

Kathleen McGowan

OCZEKIWANA

Książka ta jest dedykowana:

*Marii Magdalenie
Mojej muzie, mojej antenatce;*

*Peterowi McGowanowi,
Skale, na której zbudowałam swe życie;*

*Moim rodzicom, Donnie i Joemu
Za bezwarunkową miłość i ciekawą genetykę;*

*I naszym księżętom Graala,
Patrickowi, Conorowi i Shane'owi
Za to, że tchnęli w nasze życie
miłość, radość i bezustanną inspirację.*

*Do Wybranej Pani i do jej dzieci,
Które miłuję w prawdzie,
I nie tylko ja sam,
Ale także wszyscy, którzy znają prawdę,
Jaka w nas trwa
I pozostanie z nami na wieki*

DRUGI LIST ŚW. JANA APOSTOŁA, I

Prolog

Południowa Galia,

Rok 72

Nie pozostało już dużo czasu.

Stara kobieta otuliła postrzępionym szalem ramiona. Tego roku jesień zbliżała się do czerwonych gór wcześniej; czuło się ją w kościach. Powoli i ostrożnie, kobieta rozprostowała palce i rozluźniła artretyczne stawy. Nie chciała, by dłonie ją zawiodły, właśnie teraz, w tak doniosłej chwili. Musiała tej nocy dokończyć pisanie. Niebawem miała zjawić się Tamar z dzbanami i wszystko powinno być gotowe.

Pozwoliła sobie na długie i urywane westchnienie. Już od tak dawna odczuwam zmęczenie, pomyślała. Od tak dawna.

Wiedziała, że owo zadanie będzie jej ostatnim. Minione dni wypełnione wspomnianiem pozbawiły przywiędłe ciało resztek życia. Jej wiekowe kości przygniatał niewypowiedziany ciężar i znużenie, nawiedzające zwykle tych, którzy żyją dłużej od swych bliskich i ukochanych. Bóg poddawał ją licznym próbom, i to niełatwym.

Pozostała z nią tylko Tamar, jej jedyna córka i ostatnie żyjące dziecko. Była dla niej błogosławieństwem, błyskiem światła w tych najmroczniejszych godzinach, kiedy to wspomnienia bardziej przerażające od koszmarów sennych

napływały niepowstrzymaną falą. Prócz niej samej, jedynie córka przeżyła Wielki Czas, chociaż była zaledwie dzieckiem, kiedy wszyscy oni odgrywali swe role w niedawnych dziejach, jednak świadomość, że jest przy niej ktoś, kto pamięta i rozumie, przynosiła ukojenie.

Inni już odeszli. Większość zmarła śmiercią męczeńską, z rąk ludzi i za sprawą działań zbyt okrutnych, by ktokolwiek zdołał je przetrwać. Być może kilkoro jeszcze żyło, rozproszywszy się po wielkiej mapie Bożej Ziemi. Wiedziała, że nigdy się tego nie dowie. Upłynęło wiele lat od czasu, gdy otrzymywała wieści od pozostałych, ale i tak modliła się za nich, od świtu do zmierzchu, w dni, kiedy wspomnienia odznaczały się wyjątkową mocą. Pragnęła z całego serca i duszy, by odnaleźli spokój i nie znosili męki tysięcy nieprzespanych nocy, tej męki, która stała się jej udziałem.

Tak, Tamar stanowiła jej jedyną pociechę w tych latach zmierzchu. Dziewczyna była za młoda, żeby przypominać sobie straszliwe szczegóły Czasu Ciemności, ale dostatecznie duża, by pamiętać piękno i urok ludzi, którzy za sprawą Bożego wyboru kroczyli Jego ścieżką. Poświęciwszy życie pamięci wybranych, Tamar uosabiała bezinteresowną służbę i miłość. Oddanie, jakie dziewczyna okazywała matce w tych końcowych dniach, było niezwykle.

Rozstanie z ukochaną córką to ostatnia ciężka próba, jaka mi jeszcze pozostała. Teraz, kiedy nadchodzi śmierć, myślę o tym z niepokojem.

A jednak...

Wyrzała z jaskini, która od prawie czterdziestu lat była jej domem. Uniosła twarz ku czystemu niebu, chłonąc piękno gwiazd. Nigdy nie przestała się zdumiewać dziełem Bożego stworzenia. Gdzieś daleko, za tymi gwiazdami, czekały na

nią dusze, które kochała najbardziej. Wyczuwała teraz ich obecność silniej niż kiedykolwiek.

I wyczuwała Jego obecność.

„Niech się stanie wola Twoja”, wyszeptała ku ciemnemu niebu. Obróciwszy się powoli i z namysłem, stara kobieta weszła do jaskini. Z głębokim westchnieniem przyjrzała się surowemu pergaminowi, mrużąc oczy w przyćmionym i zadymionym świetle lampki oliwnej.

Wzięła rysik i znów zaczęła uważnie skrobać.

... Choć upłynęło tyle lat, nie jest łatwiej pisać o Judaszu z Kariotu niż za czasów mrocznych dni. Nie dlatego, bym pragnęła go osądzać, ale raczej dlatego, że nie pragnę tego czynić.

Opowiem historię Judasza i mam nadzieję, że zrobię to sprawiedliwie. Był człowiekiem niezachwianym w swych zasadach i ci, którzy podążają za naszym wezwaniem, muszą wiedzieć jedno: nie zdradził ich - ani nas - za worek srebrników. Zaprawdę, Judasz był najwierniejszym z dwunastu. W ciągu tych minionych lat miałam wiele powodów do smutku i żalu, a jednak wydaje mi się, że tylko Jednego będę oplakiwać bardziej od Judasza.

Jest wielu, którzy by chcieli, żebym napisała o nim źle - potępiła go jako zdrajcę, odszczepieńca, człowieka ślepego naprawdę. Nie mogę jednak tego uczynić, byłoby to bowiem kłamstwem, jeszcze nim mój rysik dotknąłby stronicy. Napiszą wiele kłamstw o naszym czasie; Bóg mi to ukazał i nadal ukazuje. Nie napiszę kolejnych.

*Jakiż jest bowiem mój cel, jeśli nie wyznanie całej
prawdy o tym, co się wówczas wydarzyło?*

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES,
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział pierwszy

*Marsylia,
Wrzesień, 1997*

Marsylia to miasto, gdzie umierało się z łatwością, i to od wieków. Legendarny port morski miał określoną reputację jako siedlisko piratów, przemytników oraz rzeźmieszków, i cieszył się złą sławą od czasów, kiedy Rzymianie odebrali go Grekom w dniach poprzedzających narodziny Chrystusa.

Przed upływem dwudziestego wieku, dzięki wysiłkom rządu francuskiego, miasto stało się bezpieczne, można więc było rozkoszować się *bouillabaisse* bez obawy, że człowiek zostanie napadnięty. Mimo to, przestępstwo nie robiło wielkiego wrażenia na mieszkańcach Marsylii. Przemoc była głęboko zakorzeniona w ich historii i genach. Rybacy o zrogowaciałej skórze na rękach nie okazali więc najmniejszego zdziwienia, gdy wraz z siecią wyciągnęli zdobycz, która nie nadawała się do tutejszej potrawy rybnej.

Roger-Bernard Gélis nie był rdzennym mieszkańcem Marsylii. Urodził się i wychował u podnóża Pirenejów, w społeczności, która egzystowała dumnie jako żywy anachronizm. Dwudziesty wiek nie odcisnął piętna na jej prastarej kulturze, która ponad wszystko czczyła moc miłości i pokoju. Mimo to ów człowiek w średnim wieku nie był całkowicie oderwany od rzeczywistości; bądź co bądź,

przewodził swemu ludowi. I choć owa społeczność trwała w głębokiej duchowości, nie czyniąc nikomu krzywdy, miała wrogów.

Roger-Bernard lubił powiedzenie, że najjaśniejsze światło przyciąga najgłębszą ciemność.

Był człowiekiem o potężnej budowie ciała i budził u obcych respekt. Ci, którzy nie mieli pojęcia o łagodności wypełniającej jego duszę, mogliby brać go niesłusznie za kogoś niebezpiecznego. Zakładano później, że napastnicy nie byli mu nieznani.

Powinien był się tego spodziewać, przewidzieć, że nie pozwolono by mu obnosić się bezkarnie z tak bezcennym przedmiotem. Czyż niemal milion jego przodków nie poniósł śmierci z powodu owego skarbu? Jednakże strzał, który rozłupał mu czaszkę, oddano z tyłu, zanim zdążył się zorientować, że wróg jest w pobliżu.

Nie było mowy o ekspertyzie sądowej z zakresu balistyki, ponieważ zabójcy nie poprzestali na prostym akcie morderstwa z broni palnej. Musiało ich być kilku, gdyż ze względu na sam wzrost i ciężar ofiary potrzeba było znacznej siły, by dokonać tego, co nastąpiło.

Całe szczęście, że Roger-Bernard umarł, nim zaczął się ten rytuał. Oszczędziło mu to wysłuchiwanie przechwałek jego zabójców, gdy przystępowali do swego makabrycznego zadania. Zwłaszcza ich przywódca zdradzał niezwykle zapał, powtarzając przy pracy starodawną mantrę: *Neca eos omnes. Neca eos omnes.*

Oddzielenie ludzkiej głowy od ciała jest brudnym i ciężkim zadaniem. Wymaga siły, determinacji i bardzo ostrego narzędzia. Ci, którzy zamordowali Rogera-Bernarda Geli-sa, dysponowali tym wszystkim i odznaczyli się niezwykle skuteczną.

Ciało spoczywało w morzu bardzo długi czas, miotane falami i niepokojone przez głodnych mieszkańców głębin. Ludzie prowadzący śledztwo byli tak bardzo zniechęceni koszmarnym stanem zwłok, że nie przywiązywali szczególnej wagi do braku palca przy jednej dłoni. Protokół z sekcji, pogrzebany później przez biurokrację - a może coś więcej - stwierdzał po prostu, że wskazujący palec prawej ręki został odcięty.

Jerozolima
Wrzesień 1997

Pradawne i tętniące życiem Stare Miasto Jerozolimy rozbrzmiewało gwarem piątkowego popołudnia. W rozrzedzonym i przesiąkniętym świętością powietrzu bez trudu wyczuwało się historię; wierni śpieszyli do domów modlitwy, by przygotować się do szabatu, chrześcijanie zaś podążali Via Dolorosa, Drogą Męki, labiryntem krętych brukowanych uliczek, które wyznaczały ścieżkę ukrzyżowania. To tutaj pobity i zakrwawiony Jezus Chrystus niósł na ramionach wielki ciężar, zmierzając ku swemu boskiemu losowi na wzgórzu Golgoty.

Tego jesiennego popołudnia amerykańska pisarka Maureen Paschal nie różniła się niczym od innych pielgrzymów, którzy przybyli z odległych i przeróżnych zakątków ziemi. Mocny wrześniowy wiatr mieszał aromat skwierczącej szwamy z wonią egzotycznych olejków, która napływała od strony starodawnych bazarów. Maureen dryfowała w tym nadmiarze zapachów, tak charakterystycznym dla Izraela,

ściskając w rękę przewodnik jakiejś chrześcijańskiej organizacji, zakupiony przez Internet. Książka opisywała szczegółowo Drogę Krzyżową, zawierała też mapy i wskazówki dotyczące czternastu stacji chrystusowej ścieżki.

- Lady, potrzebny różaniec? Może kawałek drewna z Góry Oliwnej?

- Lady, potrzebny przewodnik? Nigdy się pani nie zgubi. Pokażę wszystko.

Jak większość kobiet z Zachodu, była zmuszona odrzucać niepożądane nagabywania jerozolimskich przekupniów. Niektórzy wykazywali się niez mordowanym uporem, proponując swój towar albo usługi, uwagę innych po prostu przyciągała drobna kobieta o długich rudych włosach i jasnej karnacji, co stanowiło niezwykle połączenie w tej części świata. Maureen zniechęcała swych prześladowców grzecznym, ale stanowczym „nie, dziękuję”. Potem odwracała wzrok i szła dalej. Jej kuzyn Peter, znawca spraw bliskowschodnich, przygotował ją na spotkanie z kulturą Starego Miasta. Maureen przywiązywała ogromną wagę do najdrobniejszych nawet szczegółów w swojej pracy i przestudiowała starannie wiecznie żywe obyczaje Jerozolimy. Jak dotąd przynosiło to pożądane rezultaty i Maureen zachowywała należyte skupienie, skoncentrowana na swych badaniach, zapisując szczegóły i uwagi w moleskinowym notatniku.

Była poruszona do łez niezwykłością i pięknem osiemsetletniej franciszkańskiej Kaplicy Biczowania, gdzie Jezus cierpiał chłostę. Zaskoczyła ją głębia osobistego doznania, gdyż nie przybyła do Jerozolimy jako pielgrzym, tylko jako pisarka szukająca autentycznego historycznego tła dla swej pracy. Choć zawsze starała się pojąć sens wydarzeń Wielkiego Piątku, w swych badaniach kierowała się raczej rozumem niż sercem.

Odwiedziła klasztor Najświętszej Maryi Panny - Sióstr Syjońskich, nim ruszyła w stronę sąsiedniej Kaplicy Potępienia, legendarnego miejsca, gdzie Jezus otrzymał krzyż po wyroku wydanym przez Poncjusza Piłata. „I znów, wędrując po kaplicy, poczuła ucisk w gardle, czemu towarzyszyło uczucie smutku. Płaskorzeźby naturalnych rozmiarów ukazywały wydarzenia tego straszliwego poranka sprzed dwóch tysięcy lat. Przystanąła, zauroczone wyrazistą sceną poruszającego człowieczeństwa: jakiś uczeń osłaniał Maryję, matkę Jezusa, by oszczędzić jej widoku syna dźwigającego swój krzyż. Maureen poczuła łzy w oczach, spoglądając na ów obraz. Po raz pierwszy w życiu ujrzała w tych historycznych postaciach prawdziwych ludzi, istoty z krwi i kości, których udziałem stało się wydarzenie przepełnione niewyobrażalnym bólem.

Doznając przez chwilę zawrotu głowy, Maureen oparła się dłonią o zimne kamienie starożytnego muru. Odczekała chwilę, by odzyskać równowagę i znów zabrać się do sporządzania notatek.

Kontynuowała wędrówkę, ale labirynt uliczek Starego Miasta okazał się zwodniczy, a starannie nakreślona mapa bezużyteczna. Punkty orientacyjne były niejednokrotnie naruszone zębem czasu, łatwe do przeoczenia przez kogoś niezorientowanego w ich lokalizacji. Maureen zakłęła pod nosem, uświadomiwszy sobie, że znów się zgubiła. Przystanąła pod okapem drzwi sklepowych, chroniąc się przed blaskiem słońca. Intensywność upału, nawet przy lekkim wietrze, przeczyła schyłkowi lata. Osłaniając przewodnik przed jaskrawym światłem, rozejrzała się, by odzyskać orientację.

- Ósma stacja krzyżowa. To musi być gdzieś tutaj - mruknęła.

Miejsce owo interesowało ją szczególnie, gdyż jej praca koncentrowała się na związkach tej historii z kobietami. Ponownie sięgnęła do przewodnika i zaczęła czytać fragment Biblii dotyczący ósmej stacji. „A szło za Nim mnóstwo ludu, także kobiet, które zawodziły i płakały nad Nim. Lecz Jezus zwrócił się do nich i rzekł: «Córki Jerozolimy, nie płaczcie nade mną; płaczcie raczej nad sobą i nad waszymi dziećmi»”.

Maureen wystraszyło gwałtowne pukanie w szybę za jej plecami. Odwróciła się, pewna, że napotka rozgniewany wzrok właściciela, pełnego pretensji, że blokuje mu wejście do sklepu. Ale twarz, która na nią spoglądała, była wyraźnie rozpromieniona. Nieskazitelnie ubrany Palestyńczyk w średnim wieku otworzył drzwi i skinął zachęcająco. Po chwili przemówił piękną, choć silnie akcentowaną angielszczyzną:

- Proszę, niech pani wejdzie. Witam, jestem Mahmud. Zgubiła się pani?

Maureen podsunęła mu niezgrabnie przewodnik.

- Szukam ósmej stacji. Według mapy...

Mahmud machnął ze śmiechem ręką.

- Tak, tak, ósma. Jezus spotyka pobożne kobiety z Jerozalem. To tutaj, tuż za rogiem. Można się zorientować po krzyżu nad kamiennym murem, ale trzeba uważnie pa trzeć.

Przyglądał się jej przez chwilę, potem dodał:

- Tak jest ze wszystkim w Jerozolimie. Trzeba wyczuć wzrok, by widzieć właściwie.

Maureen wpatrywała się w jego gestykulację, zadowolona, że rozumie udzielane wskazówki. Podziękowała mu z uśmiechem i już miała się odwrócić i ruszyć przed siebie, kiedy jej wzrok przyciągnął jakiś przedmiot na półce za jego

plecami. Sklep Mahmuda należał do bardziej ekskluzywnych w Jerozolimie, oferując oryginalne starocie - lampki oliwne z czasów Chrystusa czy monety z podobizną Póncjusza Piłata. Uwagę Maureen zwrócił jednak nadzwyczajny barwny błysk za oknem wystawowym.

- To biżuteria wykonana z kawałków rzymskiego szkła - wyjaśnił Mahmud, kiedy Maureen podeszła do gabloty ze srebrną i złotą biżuterią, inkrustowaną mozaiką,

- Jest wspaniała - stwierdziła Maureen, biorąc do ręki srebrny naszyjnik z wisiorkiem. Po ścianach sklepu zaczęły śmigać kolorowe błyski, kiedy uniosła ku światłu przedmiot tak bardzo przemawiający do wyobraźni pisarki. - Zastanawiam się, jaką historię mogłoby opowiedzieć to szkło.

- Któż wie, czym kiedyś było? - Mahmud wzruszył ramionami. - Buteleczką perfum? Pojemniczkiem na przyprawę? Wazonikiem na róże albo lilie?

- Wprost trudno uwierzyć, że dwa tysiące lat temu był to w jakimś domu przedmiot codziennego użytku. Fascynujące.

Teraz, przyjrząwszy się dokładniej wnętrzu sklepu, Maureen była zaskoczona jakością towaru i pięknem poszczególnych kolekcji. Przesunęła palcem po porcelanowej lampce oliwnej.

- Naprawdę ma dwa tysiące lat?

- Oczywiście. Niektóre z tych przedmiotów mogą być jeszcze starsze.

Maureen pokręciła głową.

- Czy takie eksponaty nie powinny się znajdować w muzeum?

Mahmud wybuchnął śmiechem.

- Moja droga, cała Jerozolima to jedno wielkie muzeum. Wystarczy pokopać trochę w ogrodzie, a zawsze znajdzie

się coś bardzo starego. To, co jest rzeczywiście wartościowe, trafia do poważnych zbiorów. Ale nie wszystko.

Maureen podeszła do szklanej gabloty, wypełnionej prastarą biżuterią, którą wykonano z miedzi pokrytej zielonkawym nalotem. Przystanąła, gdyż jej uwagę zwrócił pierścień w kształcie dysku wielkości małej monety. Podążając za jej spojrzeniem, Mahmud wyjął przedmiot z gabloty i podał Maureen. Promień słońca wpadający przez okno wystawowe padł na dysk, oświetlając wykuty dłutem wzór dziewięciu dziurek, tworzących krąg.

- Bardzo ciekawy wybór - zauważył Mahmud. Jego wesoły dotąd nastrój uległ zmianie. Mężczyzna przyglądał się Maureen ze skupieniem i powagą, kiedy pytała go o pierścień.

- Czy jest bardzo stary?

- Trudno powiedzieć. Moi rzeczoznawcy stwierdzili, że pochodzi z czasów Bizancjum, prawdopodobnie z szóstego albo siódmego wieku, ale możliwe, że jest jeszcze starszy.

Maureen przyjrzała się uważnie wzorowi utworzonemu przez małe kółeczka na powierzchni dysku pierścienia.

- Ten wzór wydaje się... znajomy. Mam wrażenie, że już go widziałam. Wie pan, co on symbolizuje?

Powaga Mahmuda zelżała odrobinę.

- Nie potrafię powiedzieć z całą pewnością, co chciał stworzyć artysta mniej więcej tysiąc pięćset lat temu. Słyszałem jednak, że był to pierścień kosmologa.

- Kosmologa?

- Kogoś, kto pojmuje związek między Ziemią a kosmosem. „Jak w górze, tak na dole”. Muszę pani powiedzieć, że gdy po raz pierwszy zobaczyłem ten pierścień, od razu pomyślałem o planetach krążących wokół Słońca.

Maureen policzyła na głos krofjki.

- ...Siedem, osiem, dziewięć. Ale przecież w tamtych czasach nie wiadano, że jest dziewięć planet albo że Słońce jest centrum naszego systemu. To niemożliwe, prawda?

- Nie powinniśmy zakładać, że wiemy, co pojmowali starożytni. - Mahmud wzruszył ramionami. - Proszę włożyć ten pierścień.

Maureen, wyczuwając nagle, że sprzedawca zaczyna zachwalać swój towar, chciała zwrócić pierścionelek.

- Och, nie, dziękuję. Jest bardzo piękny, ale byłam tylko ciekawa. Poza tym obiecałam sobie, że nie będę dziś wydawać pieniędzy.

- Doskonale - oświadczył Mahmud, wzbraniając się ostentacyjnie przed wzięciem pierścienia. - Ponieważ i tak nie jest na sprzedaż.

- Nie jest?

- Nie. Wielu ludzi pragnęło go kupić. Odmawiałem. Więc może go pani spokojnie włożyć na palec. Dla przyjemności.

Może sprawił to żartobliwy ton, który znów pojawił się w jego głosie, i świadomość, że nikt nie wywiera na nią nacisku, a może zafascynował ją niezrozumiały, pradawny wzór, w każdym razie Maureen wsunęła miedziany dysk na palec serdeczny prawej dłoni. Pasował doskonale.

Mahmud, odzyskując powagę, skinął głową i zauważył niemal szeptem:

- Jakby zrobiono go z myślą o pani.

Maureen uniosła dłoń do światła i przyjrzała się pierścieniowi.

- Nie mogę oderwać od niego oczu.

- To dlatego, że jest dla pani przeznaczony.

Maureen popatrzyła na niego podejrzliwie, wyczuwając, że przystępują do targów. Mahmud wydawał się nieco

bardziej dystyngowany i elegancki od ulicznych sprzedawców, ale nie zmieniało to faktu, że był kupcem.

- Mówił pan chyba, że nie jest na sprzedaż.

Zaczęła ściągać z palca pierścień, na co właściciel sklepu zareagował gwałtownie, unosząc dłonie w geście sprzeciwu.

- Nie. Proszę go zatrzymać.

- Okej, okej. Mamy się targować, tak? Ile chce pan za niego?

Przez chwilę Mahmud wyglądał na urażonego, nim odparł:

- Źle mnie pani zrozumiała. Ten pierścień został mi powierzony, dopóki nie znajdę dla niego właściwej dłoni. Takiej, dla której został wykonany. Widzę teraz, że już ją znalazłem. Nie mogę go pani sprzedać, gdyż należy już do pani.

Maureen popatrzyła na pierścień, a potem podniosła zdumiony wzrok na Mahmuda.

- Nie rozumiem.

Mahmud uśmiechnął się znacząco i ruszył ku drzwiom sklepu.

- Tak, nie rozumie pani. Ale pewnego dnia pani zrozumie. Proszę po prostu zatrzymać ten pierścień. Jako podarek.

- Doprawdy, nie mogę...

- Może pani to zrobić i zrobi. Nie ma pani wyboru. W przeciwnym razie okaże się, że zawiodłem. Jestem przekonany, że nie chciałaby pani brać tego na swoje sumienie.

Maureen potrząsnęła ze zdumieniem głową, podążając za nim w stronę wyjścia. Nagle przystanęła.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć ani jak panu dziękować.

- Nie trzeba, nie trzeba. Ale teraz musi już pani iść. Tajemnice Jerozolimy czekają. ■"

Mahmud przytrzymał jej drzwi, Maureen zaś podziękowała mu ponownie.

- Do widzenia, Magdaleno - wyszeptał, kiedy wyszła na ulicę.

Maureen znów przystanąła i odwróciła się szybko.

- Słucham?

Mahmud uśmiechnął się tajemniczo.

- Powiedziałem: „Do widzenia, moja pani”.

Pomachał Maureen, która odpowiedziała mu tym samym gestem, ponownie wychodząc na ostre słońce Bliskiego Wschodu.

Wróciła na Via Dolorosa i kierując się wskazówkami Mahmuda, odnalazła VIII stację. Była jednak niespokojna i niezdolna do koncentracji; czuła się dziwnie po spotkaniu z właścicielem sklepu. Podejmując wędrowkę, znów doznała zawrotu głowy, tym razem jeszcze silniejszego; niemal straciła orientację. Był to jej pierwszy dzień w Jerozolimie i bez wątpienia odczuwała skutki gwałtownej zmiany strefy czasowej. Lot z Los Angeles był długi i wyczerpujący, poza tym niewiele spała poprzedniej nocy. Czy był to skutek upału, wyczerpania i głodu, czy czegoś bardziej zagadkowego, to, co się po chwili wydarzyło, wykraczało poza jej dotychczasowe doświadczenie.

Maureen znalazła kamienną ławkę i usiadła, żeby odpocząć. Zachwiała się, uderzona kolejną falą zawrotów głowy, podczas gdy oślepiający blask bezlitosnego słońca przeniósł jej myśli gdzie indziej.

Została wrzucona gwałtownie w sam środek jakiegoś tłumu. Otaczał ją zewsząd chaos - krzyki i popychania,

wielki zamęt z każdej strony. Maureen zachowała na tyle przytomności umysłu, by dostrzec, że postaci wokół niej są odziane w proste, ręcznie tkane szaty. Ci, którzy byli obuci, mieli na nogach prymitywne sandały; zauważyła to, kiedy ktoś nadepnął jej na stopę. Większość tego tłumu stanowili mężczyźni, brodaci i brudni. Padało na nich światło wszechobecnego słońca przedpołudniowych godzin, mieszając pot z brudem na gniewnych i pełnych bólu twarzach, które ją otaczały. Znajdowała się na skraju wąskiej drogi, a tłum z przodu zaczął się właśnie gwałtownie przemieszczać. Z wolna utworzyła się szczelina, w niej zaś ukazała się niewielka, idąca powoli grupka ludzi. Wydawało się, że pozostali podążają za tą gromadką. Kiedy podeszli bliżej, Maureen po raz pierwszy ujrzała tę kobietę.

Niczym samotna i nieruchoma wyspa w samym środku owego chaosu, była jedną z nielicznych kobiet w tłumie -ale nie to ją wyróżniało, tylko jej zachowanie, władcza postawa, która nadawała jej cechy królowej pomimo warstwy brudu pokrywającego dłoń i stopy. Była odrobinę niechlujna, lśniące kasztanowe włosy wetknęła częściowo pod szkarłatną chustę, zasłaniającą dolną część twarzy. Maureen pojęła instynktownie, że musi zbliżyć się do tej kobiety, że koniecznie powinna się z nią spotkać, dotknąć, porozmawiać. Jednakże niespokojny tłum ją powstrzymywał, ona zaś poruszała się jak w zwolnionym tempie, typowym dla koszmaru sennego.

Kiedy przepychała się nieubłaganie w stronę tamtej kobiety, uderzyło ją niemal bolesne piękno twarzy widzianej w oddali, twarzy o drobnych kościach i niezwykłych, delikatnych rysach. Ale to oczy robiły największe wrażenie, a wspomnienie ich widoku miało prześladować Maureen długo po zniknięciu tej wizji. Wielkie i błyszczące

od nieprzelanych łez, odznaczały się barwą po trosze bursztynową i po trosze oliwkową, i niezwykle orzechowym światłem, odbijającym nieskończoną mądrość i przeogromny smutek, które chwyciły nieubłaganie za serce. Rozdzierające duszę spojrzenie kobiety napotkało oczy Maureen i przez jedną, krótką chwilę wyrażało pełne rozpaczę błaganie.

„Musisz mi pomóc”.

Maureen wiedziała, że ta prośba jest skierowana właśnie do niej. Urzeczona i zastygła w bezruchu, spoglądała w oczy tamtej kobiety. Chwila ta przeminęła, gdy niewiasta spuściła gwałtownie wzrok i popatrzyła na dziewczynkę, która czepiała się gorączkowo jej dłoni.

Mała spjrzała na Maureen ogromnymi orzechowymi oczami, zwierciadlanym odbiciem matczynych. Za nią stał chłopiec, starszy od dziewczynki i o ciemniejszych niż ona oczach, ale bez wątplenia syn tej kobiety. Maureen zrozumiała w tej przedziwnej chwili, że jest jedyną osobą zdolną pomóc owej niezwyklej, cierpiącej królowej i jej dzieciom. Kiedy sobie to uświadomiła, ogarnęło ją głębokie zmieszanie i coś jeszcze... jakby niepowstrzymany smutek.

Potem tłum ruszył ponownie, zalewając Maureen morzem potu i rozpacz.

Maureen zamrugała gwałtownie i przez kilka sekund nie otwierała oczu. Potrząsnęła głową. Przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Zerknęła na swoje dzinsy, plecak z mikrofibry, sportowe buty Nike i upewniła się, że to dwudziesty wiek. Wokół nadal rozbrzmiewał gwar Starego Miasta, ale ludzie byli ubrani według współczesnej

mody, a dźwięki zmieniły charakter: radio w sklepie na-
przeciwko nadawało jakiś amerykański utwór - „Losing my
religion” zespołu R.E.M.? Kilkunastoletni Palestyńczyk
wybijał rytm na kontuarze. Uśmiechnął się do niej, nie
przerywając ani na chwilę ruchu dłonią.

Wstając z ławki, Maureen próbowała otrząsnąć się z tej
wizji. Jeśli to była wizja. Nie bardzo wiedziała, co to takie-
go, nie chciała też dłużej się nad tym zastanawiać. Czas jej
pobytu w Jerozolimie był ograniczony, a musiała obejrzeć
dwa tysiące lat historii. Odwołując się do dziennikarskiej
dyscypliny i wrodzonej umiejętności tłumienia uczuć,
oznaczyła w myślach wizję etykietką „do późniejszej anali-
zy”, i podjęła dalszą wędrówkę.

Po chwili Maureen wmieszała się w tłum brytyjskich
turystów, którzy wyłonili się zza rogu, prowadzeni przez
przewodnika noszącego koloratkę anglikańskiego pastora.
Oświadczył grupie pielgrzymów, że zbliżają się do najświęt-
szego miejsca dla chrześcijaństwa, Kościoła Grobu Świętego.

Maureen wiedziała dzięki swoim badaniom, że pozostałe
stacje Drogi Krzyżowej znajdują się w obrębie tego oto-
czonego czcią budynku. Ciągnąc się na przestrzeni kilku
przecznic, bazylika obejmowała również miejsce ukrzyżo-
wania, od kiedy cesarzowa Helena ślubowała w czwartym
wieku, że będzie chronić to święte miejsce. Helena, która
była także matką cesarza Konstantyna Wielkiego, została
później za swe wysiłki wyniesiona na ołtarze.

Maureen zbliżyła się do wielkich drzwi powoli i z pew-
nym wahaniem. Stojąc na progu, uświadomiła sobie, że nie
była w prawdziwym kościele od wielu lat i że nie podoba się
jej myśl o zmianie tego stanu rzeczy. Upomniała się
stanowczo, że badania, które przywiodły ją do Izraela, są
natury naukowej, nie duchowej. Wiedziała, że dopóki

pozostanie skupiona na swoim zadaniu, zdoła to uczynić. Zdoła przejść przez te drzwi.

Pomimo niechęci, jaką odczuwała, w tej kolosalnej świątyni było coś budzącego podziw i magnetycznego. Kiedy Maureen przekroczyła próg, usłyszała dźwięczne brzmienie słów angielskiego duchownego: „W tych ścianach ujrzycie miejsce, gdzie nasz Pan dokonał ostatecznej ofiary. Gdzie odarto Go z szat, gdzie przybito Go do krzyża. Wejdziecie do Świętego Grobu, gdzie złożono Jego ciało. Siostry i bracia w Chrystusie, kiedy już tu wkroczycie, wasze życie odmieni się na zawsze”.

Kiedy Maureen weszła w głąb świątyni, owionęła ją woń kadzidła. To miejsce odwiedzali pielgrzymi ze wszystkich zakątków świata. Minęła gromadkę koptyjskich duchownych, którzy oddawali się przyciszonej i nabożnej dyskusji, a po chwili zobaczyła, jak prawosławny kleryk zapala w jednej z mniejszych kaplic świeczkę. Męski chór śpiewał we wschodnim dialekcie, który brzmiał egzotycznie w uszach ludzi Zachodu; dźwięki hymnu napływały z jakiegoś ukrytego miejsca w świątyni.

Maureen chłoneła niezwykle obrazy i odgłosy, a ich bogactwo sprawiało, że odczuwała dziwną zbędność swej osoby. Nie dostrzegła chudego małego człowieka, który osunął się przy niej na kolana. Kiedy poklepał ją po ramieniu, podskoczyła przestraszona.

- Przepraszam, miss. Przepraszam. Mo-ree.

Mówił po angielsku, ale w przeciwieństwie do enigmatycznego sklepikarza Mahmuda miał bardzo toporną wymowę, a znajomość samego języka była w najlepszym przypadku

podstawowa i dlatego z początku Maureen nie zorientowała się, że mężczyzna zwraca się do niej po imieniu.

- Mo-ree. Twoje imię. Mo-ree, tak? - powtórzył.

Maureen nie kryła zdumienia, próbując się zorientować, czy ten dziwny mały człowieczek rzeczywiście zwrócił się do niej po imieniu, a jeśli tak, to skąd je zna. Przebywała w Jerozolimie od niespełna dwudziestu czterech godzin i nikt z wyjątkiem recepcjonisty w King David Hotel nie wiedział, jak ona się nazywa. Ale ten mężczyzna nie krył zniecierpliwienia, ponawiając pytania:

- Moree. Ty jesteś Mo-ree. Pisarka. Piszesz, tak? Mo-ree?

Skinąwszy powoli głowę, Maureen odparła:

- Tak. Na imię mam Maureen. Ale skąd... skąd pan wie działo?

Mały człowieczek zignorował pytanie, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Mało czasu, mało czasu. Chodź. Czekamy długo na ciebie. Chodźmy, chodźmy.

Jak na kogoś tak drobnej postury - był niższy od niej, choć ona sama odznaczała się niewielkim wzrostem - poruszał się bardzo szybko. Krótkie nogi niosły go żwawo przez wnętrze bazyliki, obok pielgrzymów czekających w kolejce na wejście do Grobu Pańskiego. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarli do niewielkiego ołtarza w tylnej części kościoła. Wtedy przystanął gwałtownie. Nad miejscem tym dominował naturalnej wielkości, odlany z brązu posąg kobiety wyciągającej błagalnie ręce do jakiegoś mężczyzny.

- Kaplica Marii Magdaleny. Magdaleny. Przyjeżdża pani* dla niej, tak? Tak?

Maureen przytaknęła ostrożnie, patrząc na posąg i na tabliczkę ze słowami:

W TYM MIEJSCU
MARIA MAGDALENA JAKO PIERWSZA
UJRZAŁA ZMARTWYCHWSTAŁEGO PANA

Przeczytała głośno cytaty biblijne na drugiej tabliczce pod posągiem:

Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?

Maureen nie zdążyła zastanowić się nad tym pytaniem, gdyż dziwny mały człowieczek znów zaczął ją ciągnąć za rękę, śpiesząc ku innemu ciemnemu zakątkowi bazyliki.

- Chodźmy, chodźmy.

Obeszli narożnik i stanęli przed obrazem, dużym i starym malowidłem, które przedstawiało kobietę. Czas, dym kadzidła i wiekowy oleisty osad ze świec odcisnęły swe piętno na strukturze dzieła; Maureen musiała przysunąć się bliżej i zmrużyć oczy. Mały człowieczek mówił do niej poważnym tonem:

- Obraz bardzo stary. Grecki. Rozumie? Grecki. Najważniejszy obraz naszej Pani. Chce, żebyś opowiedziała jej historię. Dlatego ty tu przyjechać, Mo-ree. Czekaliśmy dłużej na ciebie. Ona czekała. Na ciebie. Tak?

Maureen patrzyła uważnie na malowidło, mroczny i przestarzały obraz kobiety w czerwonej szacie. Odwróciła się ku małemu człowiekowi, głęboko zaciekawiona, dokąd ją to wszystko zaprowadzi. Ale jego już nie było - zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Zaczekaj! - Jej krzyk odbił się dźwięcznym echem w ogromnym kościele, ale pozostał bez odpowiedzi. Po chwili skupiła uwagę na obrazie.

Przysuwając się bliżej do powierzchni malowidła, dostrzegła, że kobieta ma na palcu prawej dłoni pierścień: miedziany dysk ozdobiony wzorem dziewięciu kółeczek otaczających kulę.

Maureen uniosła prawą dłoń z niedawno otrzymanym pierścieniem, by porównać go z tym na obrazie.

Były identyczne.

...Dużo powie się i napisze w nadchodzącym czasie o Szymonie, rybaku ludzi. O tym, jak Eza i ja nazwaliśmy go Opoką, czyli Piotrem, podczas gdy inni zwali go Kefasem, co było rzeczą zwykłą w ich języku. I jeśli historia jest uczciwa, opowie o tym, jak kochał Eze z niezrównaną mocą i lojalnością.

I wiele już powiedziano, albo też tak słyszałam, o moim związku z Szymonem Piotrem. Są tacy, którzy nazywają nas przeciwnikami, wrogami. Chcieliby, aby uwierzono, że Piotr pogardzał mną i że przy każdej sposobności walczyliśmy o przychyłność Ezy. I są tacy, którzy nazwaliby Piotra człowiekiem zięjącym nienawiścią do kobiet - ale jest to oskarżenie, które nie odnosi się do nikogo, kto był uczniem Ezy. Niechaj będzie wiadomo, że żaden człowiek, który Go słuchał, nigdy nie lekceważył kobiet ani nie podważał ich roli w Bożym planie. Ten zaś, kto tak czyni, powołując się przy tym na Ezę jako nauczyciela, plami się kłamstwem.

Nie są prawdą owe oskarżenia wobec Piotra. Ci, którzy byli świadkami jego krytyki mej osoby, nie znają naszych dziejów ani źródła jego gwałtownych ataków. Lecz ja je znam i nie będę go osądzać, przenigdy. Tego ponad

*wszystko inne nauczył mnie Eza - i żywię nadzieję, że
nauczył także innych. Nie osądzajcie.*

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział drugi

*Los Angeles,
Październik 2004*

- Wyjaśnijmy sobie od razu: Maria Antonina nigdy nie powiedziała: „Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciastka”, Lukrecja Borgia nigdy nikogo nie otruła, a Maria, królowa Szkotów, nie była krwiożerczą dziwką. Wyjaśniając te nie ścisłości, czynimy pierwszy krok ku przywróceniu kobie tom ich właściwego i godnego miejsca w historii - miejsca, które uzurpowały sobie pokolenia historyków o określonym programie politycznym.

Maureen umilkła, kiedy wśród słuchaczy przebiegł pomruk aprobaty. Pierwsze zajęcia z nową grupą studentów przypominały premierę w teatrze. Sukces jej wystąpienia decydował o powodzeniu dalszego toku pracy pedagogicznej.

- W ciągu kilku następnych tygodni będziemy analizowali życiorysy niektórych spośród najbardziej niesławnych kobiet, znanych zarówno z historii, jak i legendy. Kobiet, które odcisnęły niezatarte piętno na rozwoju nowoczesnego społeczeństwa i myśli; kobiet, które były tragicznie niezrozumiane i niewłaściwie reprezentowane przez osobników kształtujących historię zachodniego świata za sprawą opinii przelewanych na papier.

Była w swoim żywiole i nie zamierzała przerywać na tak wczesnym etapie, by wysłuchać¹ pytań, ale jakiś student

w pierwszym rzędzie wymachiwał uniesioną dłonią od chwili, gdy zaczęła mówić. Wychodził dosłownie ze skóry, by coś powiedzieć, ale poza tym w jego zachowaniu i wyglądzie nie było nic nadzwyczajnego. Przyjaciel czy wróg? Zwolennik czy fundamentalista? Zawsze ten sam problem. Maureen skinęła na niego, wiedząc doskonale, że nie da jej spokoju, dopóki nie załatwi z nim sprawy.

- Uznałaby to pani za feministyczny pogląd na historię?

A więc o to chodziło. Maureen odprężyła się odrobinę, odpowiadając na znajome pytanie.

- Uznaję to za uczciwy pogląd na historię. Nie przyświeca mi inny cel niż tylko dotarcie do prawdy.

Student nie zamierzał jednak ustąpić.

- No cóż, w moim przekonaniu to nastawienie zdecydowanie antymęskie.

- Ależ skąd. Kocham mężczyzn. Uważam, że każda kobieta powinna mieć swojego.

Przerwała, a obecne na sali studentki roześmiały się.

- Żartuję - kontynuowała. - Chodzi mi o to, żeby przywrócić pewnym kwestiom właściwe proporcje dzięki spojrzeniu na historię współczesnym okiem. Czy żyje pan tak samo jak ludzie tysiąc sześćset lat temu? Nie. Zatem dlaczego prawa, przekonania i interpretacje historyczne obowiązujące we wczesnym średniowieczu miałyby decydować o tym, jak żyjemy w dwudziestym pierwszym stuleciu? To nie miałyby najmniejszego sensu.

- Ależ właśnie dlatego tu jestem, by się dowiedzieć, jak było naprawdę.

- Bardzo dobrze. Mogę więc tylko panu przyklasnąć i prosić, by zachował pan otwarty umysł. Co więcej, chcę, byście w tej chwili przerwali to, co robicie, unieśli ręce i złożyli następujące ślubowanie.

Słuchacze studiów wieczorowych zaczęli szeptać i rozglądać się po sali, uśmiechając się do siebie i wzruszając ramionami, jakby pragnęli się zorientować, czy mówi poważnie. Ich wykładowczyni, autorka bestsellerów i szanowana dziennikarka, stała przed nimi z podniesioną ręką i z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- No, dalej - zachęcała. - Ręce w górę i powtarzajcie za mną.

Grupa wykonała posłusznie jej polecenie, unosząc ręce i czekając na sygnał.

- Ślubuję uroczyście, jako poważny student historii... - Maureen odczekała chwilę, by mogli za nią powtórzyć - ...pamiętać bezustannie, że słowa przelane na papier zostały napisane przez ludzi.

I znów przerwa, by studenci mogli powtórzyć.

- A ponieważ wszyscy ludzie podlegają emocjom, opiniom, a także politycznym i religijnym przekonaniom, cała historia składa się w takiej samej mierze z opinii, jak z faktów, i w wielu wypadkach została całkowicie sfabrykowana w celu realizacji osobistych ambicji autora czy jakiegoś sekretnego celu. Ślubuję uroczyście zachować otwarty umysł podczas każdej chwili spędzonej w tej sali. Oto nasz okrzyk bojowy: „Historia nie jest tym, co się wydarzyło. Historia jest tym, co zapisano!”.

Wzięła z pulpitu książkę w twardej oprawie i pokazała słuchaczom.

- Czy wszystkim udało się ją wypożyczyć?

Odpowiedzią był zgodny pomruk i przytakiwanie. Trzymała w dłoni swoje własne, budzące kontrowersje dzieło *Jej opowieść. Obrona najbardziej znienawidzonych kobiet w historii*. Stanowiło ono główny powód, dla którego zajęcia

na studiach wieczorowych i wykłady cieszyły się pełną frekwencją, ilekroć Maureen decydowała się wystąpić w roli wykładowcy.

- Dziś wieczorem zaczniemy od dyskusji o kobietach ze Starego Testamentu, prekursorkach chrześcijańskiej i żydowskiej tradycji. W przyszłym tygodniu przejdziemy do Nowego Testamentu, poświęcając większość zajęć jednej kobiecie - Marii Magdalenie. Przeanalizujemy różne źródła dotyczące jej życia, zarówno jako kobiety, jak i uczennicy Chrystusa. Proszę przeczytać na następny tydzień związane z tym zagadnieniem rozdziały. Wysłuchamy także wykładu specjalnego gościa, doktora Petera Healy; niektórzy z was mogą znać go z dodatkowych zajęć z humanistyki. Dla wiadomości tych, którzy nie mieli jeszcze okazji uczęszczać na zajęcia naszego wspaniałego doktora, jest on także duchownym, jezuickim uczonym i światowej sławy ekspertem w sprawach Biblii.

Uparty student z pierwszego rzędu znów podniósł rękę i nie czekając na sygnał ze strony Maureen, spytał:

- Czy pani i doktor Healy jesteście spokrewnieni?

- Doktor Healy to mój kuzyn. Przedstawi nam spojrzenie Kościoła na związek Marii Magdaleny z Chrystusem i wyjaśni, jak poglądy w tej sprawie zmieniały się w ciągu dwóch tysięcy lat - odpowiedziała Maureen, chcąc jak najszybciej wrócić do zajęć i skończyć je o wyznaczonym czasie. - Będzie to bardzo ciekawy wieczór, postarajcie się więc go nie przeoczyć. Dzisiaj jednak zajmijmy się jedną z naszych antenetek. Kiedy po raz pierwszy spotykamy Batszebę, „oczyszcza się ze swej nieczystości”...

Maureen wypadła z sali, przepaszając podniesionym głosem i zapewniając przez ramię, że zostanie w następnym tygodniu dłużej po zajęciach. W normalnej sytuacji spędziłaby tu jeszcze co najmniej pół godziny, rozmawiając z kilkusobową grupą, która nieodmiennie zostawała po każdych zajęciach. Uwielbiała owe dyskusje ze studentami, może nawet bardziej od samych wykładów, ponieważ była to garstka jej bratnich dusz. To właśnie dzięki takim studentom wciąż jeszcze poświęcała się nauczaniu. Z pewnością nie potrzebowała tych marnych groszy, jakie dawały dodatkowe zajęcia. Maureen uczyła, ponieważ wielką przyjemność sprawiał jej bezpośredni kontakt z entuzjastycznie nastawionymi ludźmi o otwartych umysłach, a także podnieta intelektualna, jaką zapewniało dzielenie się z nimi swoimi teoriami.

Stukając rytmicznie obcasami o chodnik, Maureen szła szybkim krokiem zadrzewionymi uliczkami campusu. Za żadne skarby nie chciała rozminąć się tego wieczoru z Peterem. Przeklinała się za to, że nie włożyła wygodniejszych butów, które pozwoliłyby jej dotrzeć w sprinterskim tempie do gabinetu kuchyňa, zanim zdąży wyjść. Jak zawsze, miała na sobie nieskazitelny strój, do którego przywiązywała taką samą wagę jak do wszystkiego innego w życiu. Doskonale skrojony kostium znanego projektanta leżał na jej drobnej figurze idealnie, a jego leśna barwa podkreślała kolor oczu. Para dość odważnych szpilek od Manolo Blanika ożywiała nieco skądinąd konserwatywny ubiór - a także dodawała kilka cali jej wzrostowi liczącemu zaledwie pięć stóp. To właśnie te buty stanowiły obecnie źródło jej frustracji. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie cisnąć ich w diabły.

Błagam, nie wychodź. Błagam, bądź tam jeszcze! - wzywała Petera w myślach, śpiesząc ile sił. Zawsze łączyła ich

jakaś dziwna więź, nawet w dzieciństwie, i teraz Maureen miała nadzieję, że jej kuzyn w jakiś sposób się zorientuje, że bardzo pragnie z nim porozmawiać. Próbowwała skontaktować się z nim za pomocą bardziej konwencjonalnych środków, ale na próżno. Peter nienawidził komórek i nie chciał nosić przy sobie czegoś takiego, pomimo jej licznych próśb, jakie ponawiała przez całe lata, nie odbierał nawet telefonów w swoim gabinecie, jeśli akurat zajmował się pracą.

Zdjęła przekłute szpilki, wepchnęła do dużej skórzanej torby i pokonała biegiem ostatni odcinek trasy. Wyłoniła się zza narożnika budynku i wstrzymując oddech, spojrzała w okna na pierwszym piętrze, po czym zaczęła liczyć od lewej strony. Odetchnęła z ulgą, ujrawszy światło w czwartym z kolei. Wciąż był u siebie.

Maureen wspinała się po schodach powoli, by złapać oddech. Ruszyła korytarzem w lewo i przystanęła przed czwartymi drzwiami po prawej stronie. Peter był u siebie i z uwagą wpatrywał się przez szkło powiększające w jakiś poźółkły manuskrypt. Raczej wyczuł niż dostrzegł jej obecność i gdy podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech.

- Maureen! Co za niespodzianka. Nie spodziewałem się ciebie.

- Cześć, Pete - odparła z taką samą serdecznością i obezšla biurko, by go uściskać. - Tak się cieszę, że jesteś... Bałam się, że już wyszedłeś, a koniecznie chciałam się z tobą zobaczyć.

Ojciec Peter Healy uniósł brwi i przyglądał jej się przez długą chwilę, nim wyjaśnił:

- Wiesz, w normalnych okolicznościach wyszedłbym już kilka godzin temu. Ale zasiedziałem się nad robotą, i to z przyczyn, które nie bardzo pojmowałem - aż do teraz.

Słowom tym towarzyszyło wzruszenie ramion i nieznaczny, pełen zrozumienia uśmiech. Maureen też się uśmiechnęła. Nigdy nie potrafiła wyjaśnić tej więzi łączącej ją ze starszym kuzynem. Ale od dnia, w którym przybyła do Irlandii jako młoda dziewczyna, byli sobie bliscy niczym bliźnięta, dzieląc tajemniczą zdolność komunikowania się bez słów.

Maureen sięgnęła do torby i wyjęła niebieski plastikowy woreczek, w jaki zwykle pakuje się importowane towary. W środku znajdowało się niewielkie prostokątne pudełko, które podała duchownemu.

- Ach. Lyon. Gold Label. Wciąż nie mogę się przyzwyczać do amerykańskiej herbaty.

Maureen skrzywiła się i wzdrygnęła, dając mu do zrozumienia, że podziela jego niechęć.

- Obrzydlistwo.

- W czajniku jest chyba woda, więc tylko włączę go do kontaktu i zaraz się napijemy.

Maureen przyglądała się z uśmiechem, jak Peter wstaje z podniszczonego skórzanego fotela, o który stoczył bój z władzami uniwersytetu. Po przyjęciu stanowiska na wydziale humanistyki dr Peter Healy otrzymał gabinet od frontu z nowoczesnym umeblowaniem, które obejmowało nowiutkie i bardzo funkcjonalne biurko z fotelem. Peter, jeśli chodzi o meble, nienawidził funkcjonalności, a jeszcze bardziej nowoczesności. Posługując się swoim celtyckim urokiem jako nieodpartą siłą, zdołał zmusić flegmatyczny zwykle personel do gorączkowego działania. Był niemal sobowtórem irlandzkiego aktora Gabriela Byrne'a, i to podobieństwo nieodmiennie robiło na kobietach wrażenie, bez względu na koloratkę. Pracownicy uniwersytetu przetrząsnęli piwnice i przeczesali niewykorzystywane pomieszczenia, aż w końcu znaleźli dokładnie to, o co mu chodziło:

stary i nadzwyczaj wygodny skórzany fotel z wysokim oparciem i biurko z wiekowego drewna, które przynajmniej wyglądało nieco zabytkowo. Nowoczesne udogodnienia w gabinecie były rezultatem jego osobistego wyboru: mała lodówka w kącie za biurkiem, niewielki czajnik elektryczny i ignorowany na ogół telefon.

Maureen odprężyła się; obecność bliskiej osoby i irlandzka sztuka parzenia herbaty działały na nią kojąco.

Peter odwrócił się plecami do biurka i nachylił do stojącej tuż za nim lodówki. Wyjął mały pojemnik z mlekiem i postawił obok różowo-białej paczki cukru na chłodziarce.

- Gdzieś tu miałem łyżeczki... Czekać... O, są. Woda w elektrycznym czajniku zaczęła bulgotać.

- Będę czynić honory domu - zaproponowała Maureen.

Wstała i wzięła z biurka Petera paczkę z herbatą, po czym ściągnęła foliowe opakowanie wypielegnowanym paznokciem. Wyjęła z pudełka dwie torebki i wrzuciła je do dwóch różnych i poplamionych osadem z herbaty kubków. Maureen uważała, że stereotypy na temat Irlandczyków i alkoholu są grubo przesadzone; tak naprawdę ich prawdziwym nałogiem była herbata.

Uporała się fachowo z przygotowaniami i podała parujący kubek kuzynowi, sama zaś usiadła na krześle po drugiej stronie biurka. Wzięła swój kubek i popijała przez chwilę w milczeniu, czując na sobie spojrzenie łagodnych niebieskich oczu Petera. Teraz, kiedy już znalazła się w jego gabinecie, nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. To duchowny przerwał w końcu milczenie.

- A zatem wróciła? - spytał cicho.

Maureen westchnęła z ulgą. W chwilach, kiedy naprawdę czuła się na granicy szaleństwa, Peter zawsze śpieszył jej z pomocą jako kuzyn, kapłan, przyjaciel.

- Tak - odparła niewyraźnie, co było dla niej nietypowe. -
Wróciła.

Peter przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Rozmowa z Maureen poruszyła go bardziej, niż to okazał. Martwił się o nią, zarówno jako jej najbliższy żyjący krewny, jak i duchowy doradca. Wiedział od dawna, że jej sny pojawią się ze zdwojoną siłą, i czekał na ten dzień z lękiem.

Kiedy Maureen wróciła z Ziemi Świętej, męczyły ją sny o dumnej, cierpiącej kobiecie w czerwonej szacie, kobiecie, którą ujrzała w Jerozolimie. Ten sen był zawsze taki sam: Maureen tkwiła w tłumie na Via Dolorosa. Czasem pojawiały się drobne zmiany, jakiś nieistotny szczegół, ale zawsze obecna była głęboka nuta rozpaczy. To właśnie owa intensywność najbardziej niepokoiła Petera, owa autentyczność w opisach Maureen. Chodziło o coś nieuchwytnego, coś, co było owocem Ziemi Świętej, wrażenie, jakiego on sam doznawał podczas studiów w Jerozolimie. Poczucie niezwyklego zbliżenia ze starożytnym - i boskim.

Po powrocie z Ziemi Świętej Maureen spędziła wiele godzin na zamiejscowych rozmowach z Peterem, który nauczał wówczas w Irlandii. Jego pewna siebie i niezależna kuzynka zaczęła wątpić we własną poczytalność, a intensywność i częstotliwość snów zaniepokoiła Petera. Poprosił o przeniesienie na Uniwersytet Loyoli, pewien, że otrzyma zgodę bezzwłocznie, i wsiadł do samolotu lecącego do Los Angeles, by znaleźć się bliżej swojej kuzynki.

Minęło kilka lat, a on znów zmagał się z myślami i sumieniem, zastanawiając się, jak najlepiej pomóc Maureen.

Chciał, by spotkała się z jego kościelnymi przełożonymi, ale wiedział, że ona nigdy się na to nie zgodzi. Peter był ostatnim ogniwem łączącym ją z katolicką przeszłością. Ufała mu tylko dlatego, że należał do rodziny - i że był jedynym człowiekiem w jej życiu, na którym zawsze mogła polegać.

Usiadł na łóżku, godząc się z myślą, że tej nocy nie zdoła zasnąć - i starając się nie myśleć o paczce marlboro w szufladzie szafki nocnej. Próbował zwalczyć ten szczególnie zły nałóg - był to na dobrą sprawę jeden z powodów, dla których zdecydował się mieszkać w pokoju uczelnianym, a nie w siedzibie jezuitów. Stres jednak był zbyt silny i Peter uległ grzesznej skłonności. Przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zaczął rozważać problemy stojące przed Maureen.

Ta jego drobna i zadziorna kuzynka z Ameryki zawsze miała w sobie coś szczególnego. Kiedy po raz pierwszy przyjechała z matką do Irlandii, była wystraszoną i samotną siedmiolatka mówiącą z akcentem południowych stanów. Starszy o osiem lat Peter wziął ją pod swoje opiekuńcze skrzydła, zapoznając dziewczynkę z dziećmiakami we wsi - i podbijając oko każdemu, kto naśmiewał się z jej zabawnej wymowy.

Ale Maureen nie potrzebowała dużo czasu, by się zasymilować ze swoim nowym otoczeniem. Szybko się otrząsnęła z urazów przeszłości w Luizjanie, kiedy przyjaźnie otuliły ją mgły Irlandii. Znalazła na wsi bezpieczną przystań. Peter wraz z siostrami zabierał ją na długie spacerunki, pokazywał piękno rzeki i ostrzegał przed pułapkami mokradeł. Spędzali razem długie letnie dni, zbierając jeżyny, które rosły dziko na rodzinnej farmie, i grając w piłkę aż do zachodu słońca. Z czasem, kiedy bardziej przywykła do otoczenia

i zaczęła ujawniać swoją prawdziwą osobowość, miejscowe dzieci zaakceptowały ją bez zastrzeżeń.

Peter często zastanawiał się nad definicją pojęcia „charyzma”, używanego zwłaszcza w nadprzyrodzonym kontekście wczesnego Kościoła: charyzmat, dar czy moc udzielona przez Boga. Być może odnosiło się to do Maureen bardziej i głębiej, niż komukolwiek się śniło. Prowadził dziennik, w którym notował ich dyskusje, robił to od chwili ich pierwszych rozmów telefonicznych, tam też umieszczał swoje uwagi na temat znaczenia jej snów. I modlił się codziennie o wsparcie - jeśli Maureen została wybrana przez Boga w celu dokonania czegoś, co miało związek z czasem Pasji, a był coraz bardziej przekonany, że to właśnie widziała w swoich snach, to rzeczywiście potrzebował wskazówek od swego Stwórcy. I Kościoła.

Ch&teau des Pommes Blues

Langwedocja, Francja

Październik 2004

„Marie de Negre zdecydowanie, kiedy pojawi się pora na przyjście Oczekiwanej. To ta, która jest zrodzona z Baranka Paschalnego, gdy dzień zrównuje się z nocą, ta, która jest dzieckiem zmartwychwstania. Ta, która nosi Sangre-Ela, otrzyma klucz w Czarnym Dniu Czaszki. Stanie się nową Pasterką i pokaże nam Drogę”.

Lord Berenger Sinclair chodził tam i z powrotem po wypolerowanej podłodze swej biblioteki. Płomienie wielkiego kamiennego kominka rzucały złoty blask na pradawny zbiór cennych książek i manuskryptów. W wiszącej szklanej gablocie, na całej długości paleniska, znajdował

się postrzępiony i porwany sztandar. Niegdyś biały, a teraz pożółkły materiał był ozdobiony spłowiałymi liliami królewskimi złotego koloru. Na bukramie wyhaftowano połączone imiona *Jhesus-Maria*, ale były one widoczne tylko dla tych nielicznych, którzy mieli okazję zbliżyć się do owej niezwyklej relikwii.

Sinclair wyrecytował tekst przepowiedni głośno i z pamięci, z nieznacznym szkockim akcentem, pobrzmiwającym w głosce „r”. Berenger znał te słowa, nauczył się ich, siedząc jako mały chłopiec na kolanach dziadka. Wtedy nie pojmował ich sensu. Była to tylko gra w zapamiętywanie, w którą się bawił podczas letnich wakacji w rozległej francuskiej posiadłości rodzinnej.

Przystanął przed skomplikowanym obrazem drzewa genealogicznego, obejmującego liczne wieki i sięgającego od podłogi do sufitu. Było to ogromne ściennie malowidło, które przedstawiało dzieje niezwyklej przodków Berengera.

Ta linia rodziny Sinclairów była jedną z najstarszych w Europie. Zwani początkowo Saint Clair, zostali zmuszeni w trzynastym wieku do opuszczenia kontynentu i szukania schronienia w Szkocji, i wtedy to ich nazwisko przyjęło współczesną zanglizowaną formę. Przodkowie Berengera należeli do najznamienitszych ludzi w historii brytyjskiej, jak chociażby król Jakub I i jego niesławna matka Maria, królowa Szkotów.

Wpływowi i obdarzeni bystrym umysłem Sinclairowie zdołali przetrwać wojny domowe i polityczne zawieruchy w Szkocji, grając na dwie strony w ciągu burzliwej historii kraju. Pradziad Berengera, kapitan przemysłu w dwudziestym wieku, zgromadził jedną z największych fortun w Europie, po tym jak stanął na czele przedsiębiorstwa

naftowego North Sea. Miliarder i brytyjski par zasiadający w Izbie Lordów, Alistair Sinclair miał wszystko, czego mógłby pragnąć człowiek. Wciąż jednak dręczył go niepokój i niezadowolenie, jakby poszukiwał czegoś, czego nie mogła mu zapewnić fortuna.

Obsesją pradziadka Alistaira stała się Francja - kupił ogromny *chateau* niedaleko wioski Arques w niegościnnym i tajemniczym regionie południowo-zachodnim, Langwedocji. Nazwał swoją nową siedzibę Chateau des Pommes Blues - Domem Niebieskich Jabłek - z powodów znanych tylko garstce wtajemniczonych.

Langwedocja była pełną mistycyzmu, górzystą krainą. Miejscowe legendy o zakopanych skarbach i tajemniczych rycerzach przetrwały setki a nawet tysiące lat. Alistair Sinclair zdradzał coraz większą manię, jeśli chodzi o folklor Langwedocji - zaczął skupować za ogromne sumy ziemię i poszukiwać z rosnącą niecierpliwością skarbu, który, jak wierzył, został ukryty gdzieś w tym regionie. Nie poszukiwał złota ani kosztowności, tego Alistairowi nie brakowało. Chodziło mu o coś znacznie cenniejszego - dla niego, dla jego rodziny, dla całego świata. Z upływem lat spędzał coraz mniej czasu w Szkocji, szczęśliwy tylko wówczas, gdy przebywał w dzikich, czerwonych górach Langwedocji. Alistair nalegał, by jego wnuk towarzyszył mu podczas letnich miesięcy, i w końcu zaszczepił pasję do tego mistycznego regionu - a właściwie swoją obsesję - w młodym Bérengerze.

Teraz, czterdziestokilkuletni Berenger Sinclair przerwał swoją wędrówkę po bibliotece, zatrzymując się tym razem przed portretem swego pradziadka. Kiedy patrzył na ostre, kanciaste rysy, kręcone ciemne włosy i oczy o intensywnym spojrzeniu, miał wrażenie, że spogląda w lustro.

-Jest pan tak bardzo do niego podobny, *monsieur*. Z każdym dniem przypomina go pan coraz bardziej, i to pod wieloma względami.

Sinclair odwrócił się i ujrzał budzącą respekt postać swego służącego, Rolanda. Jak na tak potężnego człowieka, odznaczał się on niezwykle zwinnością i często pojawiał się jakby znikąd.

- To dobrze? - spytał cierpko Berenger.

- Oczywiście. *Monsieur* Alistair był wspaniałym człowiekiem, wręcz uwielbianym przez mieszkańców wioski. I przez mojego ojca. Ja też go kochałem.

Sinclair przytaknął z nieznacznym uśmiechem. Nie dziwił się słowom Rolanda. Francuski olbrzym był synem Langwedocji. Jego ojciec pochodził z miejscowej rodziny, której korzenie tkwiły głęboko w tej legendarnej ziemi, i był majordomusem Alistaira w *chateau*. Roland dorastał na terenie posiadłości i doskonale rozumiał rodzinę Sinclairów i jej obsesje. Kiedy jego ojciec zmarł nagle, Roland przejął po nim rolę opiekuna Chateau des Pommes Blues. Był jednym z nielicznych ludzi na świecie, którym Berenger ufał.

-Jeśli wolno mi powiedzieć, pracowaliśmy po drugiej stronie holu i usłyszeliśmy pana - ja i Jean Claude. Usłyszeliśmy, jak wypowiada pan słowa proroctwa. - Spojrzał pytająco na Sinclaira. - Czy stało się coś złego?

Sinclair podszedł do wielkiego mahoniowego biurka, stojącego pod przeciwległą ścianą.

- Nie, Rolandzie, nie stało się nic złego. Sądzę nawet, że sprawę przyjęły w końcu korzystny obrót.

Wziął z biurka książkę i pokazał służącemu okładkę współczesnego dzieła literatury faktu. Była zatytułowana *Jej opowieść*. Niżej widniały słowa: *Obrona najbardziej znieprawionych bohaterów w historii*.

Roland patrzył zdziwiony na książkę.

- Nie rozumiem.

- Nie, nie. Odwróć ją. Spójrz na to. Spójrz na nią - powiedział z naciskiem.

Roland odwrócił książkę i zobaczył na okładce zdjęcie autorki z podpisem Maureen Paschal.

Była to atrakcyjna, rudowłosa kobieta po trzydziestce. Pozowała do zdjęcia oparta o stojące przed nią krzesło. Sinclair przesunął dłonią po okładce i wskazał ręce pisarki. Na serdecznym palcu prawej znajdował się mały, ale dobrze widoczny stary miedziany pierścień z Jerozolimy, z planetarnym wzorem.

Roland podniósł gwałtownie wzrok.

- *Sacre bleu.*

- Rzeczywiście - odparł Sinclair. - Czy może raczej *Sacre rouge.*

Nagle w drzwiach stanął Jean Claude de la Motte, jeden z najbardziej zaufanych członków wewnętrznego kręgu Pommes Blues, i popatrzył pytająco na obu mężczyzn.

- Co się stało?

Sinclair skinął na Jean Claude'a.

- Jeszcze nic. Ale spójrz na to i powiedz, co myślisz.

Roland podał książkę Jean Claude'owi i wskazał pierścień na dłoni autorki.

Jean Claude wyjął z kieszeni okulary i przyglądał się przez chwilę zdjęciu, nim wyszeptał:

- *Lattendue?* Oczekiwana?

Sinclair roześmiał się cicho.

- Tak, moi przyjaciele. Sądzę, że po tych wszystkich latach znaleźliśmy wreszcie naszą Pasterkę.

...Pamiętam Piotra z najwcześniejszych wspomnień, jako że jego ojciec i mój byli przyjaciółmi, i jako że pozostawał bliskim towarzyszem mego brata. Świątynia w Kafarnaum znajdowała się niedaleko domu ojca Szymona Piotra i była miejscem, które często odwiedzaliśmy jako dzieci. Pamiętam, jak się tam bawiliśmy na wybrzeżu. Byłam znacznie młodsza od chłopców i często bawiłam się sama, ale ich śmiech, gdy mocowali się ze sobą, wciąż rozbrzmiewa w moich uszach.

Piotr zachowywał się zawsze poważniej od pozostałych, a jego brat Andrzej był bardziej beztroski. Jednakże obaj mieli w sobie za młodu radość. Piotr i Andrzej utracili ową niefrasobliwość, kiedy Eza odszedł, i nie mieli serca dla tych, którzy szukali w niej ucieczki i pociechy.

Piotr przypominał mego brata w tym, że traktował obowiązki rodzinne bardzo poważnie, i gdy wkroczył w wiek męski, przeniósł owo poczucie odpowiedzialności na nauczanie Drogi. Odznaczał się siłą i wytrwałością w dążeniu do celu, w czym nie dorównywał mu nikt prócz samych nauczycieli - dlatego obdarzono go tak wielkim zaufaniem. Jednak, pomimo nauk Ezy, Piotr zmagał się ze swoją naturą zacieklej, niż komukolwiek się wydaje. Sądzę, że poświęcił więcej od innych, by podążać Drogą zgodnie z nakazami nauki - wymagało to od niego dawania samego siebie, głębszej wewnętrznej przemiany. Piotr będzie niezrozumiany i są tacy, którzy źle mu życzą. Ale nie ja.

Kochałam Piotra i ufałam mu. Zawierzyłam mu nawet swego najstarszego syna.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział trzeci

McLean, Wirginia

Marzec, 2005

McLean w Wirginii to eklektyczne miejsce, dziwne połączenie polityki i kultury przedmieść. Zjeżdżając z obwodnicy, wystarczy minąć siedzibę CIA, by znaleźć się wTysons Corners, jednym z największych i najbardziej prestiżowych centrów handlowych Ameryki. McLean nie jest znane jako podmiejskie centrum duchowości. W każdym razie nie większości ludzi.

Maureen Paschal nie zaprzętała sobie głowy sprawami natury religijnej, kiedy jadąc wypożyczonym fordem taurusem skręcała w długi podjazd przed miejscowym Ritz-Carltonem. Poranek następnego dnia zapowiadał się pracowicie: wczesne śniadanie z przedstawicielkami wschodniej ligi pi-sarek, potem podpisywanie książki w monstualnym centrum Tysons Corners.

Oznaczało to, że większość sobotniego popołudnia będzie miała wyłącznie dla siebie. Doskonale. Zamierzała spenetrować okolicę, jak zawsze to robiła, ilekroć znalazła się w jakimś nowym mieście, nieważne, dużym czy małym; jeśli Maureen nigdy wcześniej w nim nie była, budziło w niej fascynację. Zawsze udawało jej się znaleźć jakiś klejnot, niezwykle szczególnie miejsca, dzięki któremu pozostawało w jej pamięci jako wyjątkowe. Wiedziała, że rtazajutrz odkryje McLean.

Zameldowanie w hotelu było czystą formalnością; jej wydawca załatwił wszystko, a Maureen musiała tylko podpisać formularz i wziąć klucz. Potem wystarczyło wjechać windą na górę i wejść do pięknego apartamentu, gdzie natychmiast zaspokoila potrzebę schludności, rozpakowując się i oceniając zmarszczki na ubraniach.

Maureen uwielbiała luksusowe hotele; przypuszczała, że każdy je lubił, ale ona zachwycała się jak dziecko. Zlustrowała starannie wyposażenie, spenetrowała zawartość minibarku, obejrzała wspaniały i ozdobiony monogramem hotelu szlafrok wiszący na drzwiach łazienki i uśmiechnęła się, dostrzegając drugi telefon obok toalety.

Przyrzekła sobie, że nigdy nie stanie się tak zmanierowana, by nie cieszyć się drobnymi przyjemnościami. Być może te wszystkie lata, kiedy musiała zaciskać pasa i żywić się kanapkami z masłem orzechowym, podczas gdy praca naukowa pochłaniała resztki oszczędności, wyszły jej ostatecznie na dobre. Wczesne doświadczenia nauczyły ją cenić miłe drobiazgi, jakimi zaczęło ją obdarzać życie.

Rozejrzała się po przestronnym pokoju i przez chwilę odczuwała ukłucie smutku - choć odniosła niedawno sukces, nie było nikogo, z kim mogłaby dzielić się radością ze swoich osiągnięć. Była teraz sama, zawsze była sama i zapewne zawsze będzie...

Maureen stłumiła ten cień żalu równie szybko, jak się pojawił, i skupiła się na przyjemnościach. Tuż za drzwiami czekało jedno z najbardziej kuszących centrów handlowych w całej Ameryce. Maureen chwyciła torbę, sprawdziła jeszcze raz, czy ma przy sobie kartę kredytową, i wyruszyła na spotkanie z kulturą Tysons Center.

Pisarki wschodniej ligi spotkały się na śniadaniu w sali konferencyjnej hotelu. Maureen miała na sobie swój oficjalny strój: konserwatywny kostium i buty na wysokim obcasie, całość zaś uzupełniła odrobiną perfum Chanel nr 5. Kiedy zjawiła się w sali punktualnie o dziewiątej, podziękowała za jedzenie, poprosiła natomiast o dzbanek irlandzkiej herbaty. Posiłek przed sesją pytań nie był w jej przypadku wskazany. Zawsze potem dostawała mdłości.

Maureen czuła się tego ranka nieco mniej zdenerwowana niż zwykle, ponieważ spotkanie prowadziła jej sojuszniczka, urocza kobieta nazwiskiem Jenna Rosenberg, z którą od kilku tygodni utrzymywała kontakt, przygotowując spotkanie członkiń ligi. Przede wszystkim Jenna była wielbicielek księżki Maureen i potrafiła przytaczać z pamięci spore jej fragmenty. Już sam ten fakt podbił bez reszty serce Maureen. Poza tym spotkanie zorganizowano w kameralnym otoczeniu małych stolików, które zsunięto, dzięki czemu niepotrzebny był mikrofon.

Jenna zaczęła sesję pytań osobiście, od oczywistej, ale ważnej kwestii.

- Co cię zainspirowało do napisania tej książki?

Maureen odstawiła filiżankę i odparła:

- Przeczytałam kiedyś, że wczesne historyczne teksty brytyjskie zostały przetłumaczone przez sektę zakonników, którzy nie wierzyli, że kobieta ma duszę. Uważali, że kobiety są źródłem zła. To właśnie ci zakonnicy jako pierwsi zmienili legendy o Królu Arturze i o tym, co uważamy za Camelot. Ginewra stała się spiskującą cudzołożnicą, nie zaś potężną królową-wojownikiem. Morgana le Fay przemieniła się w złą siostrę Artura, która nakłoniła go podstępem do kazirodztwa, nie zaś w duchową przywódczynię całego narodu, jak w najwcześniejszej wersji tej legendy.

Uświadomienie sobie powyższego wywołało u mnie szok i skłoniło do tego, by zadać sobie pytanie: czy także portrety innych kobiet w historii zostały namalowane z tak skrajnym uprzedzeniem? Oczywiście, podobne nastawienie przeważa w całej historii. Zaczęłam rozmyślać o wielu kobietach, które mogły być w ten sposób przedstawiane, i to był punkt wyjścia moich badań.

Jenna udzielała po kolei głosu kobietom siedzącym przy różnych stolikach. Po krótkiej dyskusji na temat roli literatury feministycznej i zagadnień równości w przemyśle wydawniczym pytanie zadała młoda kobieta w jedwabnej bluzce, na którą wyłożyła złoty krzyżyk.

- Dla tych spośród nas, które wychowywały się w tradycyjnych środowiskach, rozdział o Marii Magdalenie był nie jaką rewelacją. Ukazujesz kobietę różniącą się w ogromnym stopniu od skruszonej jawnogrzesznicy i upadłej niewiasty. Wciąż jednak nie jestem pewna, czy mnie przekonałaś.

Maureen, przytakując ze zrozumieniem, odpowiedziała:

- Nawet Watykan przyznał, że Maria Magdalena nie była jawnogrzesznicą i że nie powinno się rozpowszechniać tego kłamstwa na lekcjach religii. Upłynęło ponad trzydzieści lat od chwili, kiedy Stolica Apostolska ogłosiła oficjalnie, że Maria nie była upadłą kobietą z Ewangelii świętego Łukasza i że papież Grzegorz Wielki wymyślił tę historię we wczesnym średniowieczu dla swoich własnych celów. Ale trudno wymazać opinię ogółu trwającą dwa tysiąclecia. Przyznanie się do błędu przez Watykan w latach sześćdziesiątych nie było w gruncie rzeczy bardziej skuteczne od sprostowania zamieszczonego na ostatniej stronie gazety pośród setek innych informacji. A zatem Maria Magdalena jest matką chrześną niezrozumianych kobiet, pierwszą w dziejach przedstawicielką swej płci, której obraz został

celowo i całkowicie zmieniony, a także złośliwie zniekształcony przez ludzi piszących historię. Była bliskim uczniem Chrystusa, można nawet przyjąć, że uważała się za jego apostoła. A jednak została niemal całkowicie usunięta ze wszystkich Ewangelii.

W tym momencie włączyła się Jenna, wyraźnie podekscytowana tematem.

- Ale jest w tej chwili mnóstwo spekulacji na temat Marii Magdaleny, jak chociażby dotyczących jej związku z tymnym z Chrystusem.

Kobieta z krzyżykiem wyłożonym na bluzkę drgnęła, ale Jenna ciągnęła:

- Nie poruszyłaś tej sprawy w swojej książce, więc zastanawiam się, *co* sądzisz o takich teoriach.

- Nie poruszyłam jej, ponieważ nie wydaje mi się, by istniały na poparcie tej tezy jakiegokolwiek dowody, jest natomiast sporo barwnych przypuszczeń i zapewne pobożnego życzenia. Teologowie zgadzają się co do tego bez wyjątku. Nie znalazłam niczego, co jako szanująca się dziennikarka mogłabym bez wahania przedstawić jako fakt i opublikować pod swoim nazwiskiem. Mogę jednak zaryzykować twierdzenie, że istnieją autentyczne dokumenty sugerujące możliwość intymnego związku między Jezusem i Marią Magdaleną. Pewna Ewangelia, odkryta w Egipcie w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, powiada, że „towarzyszem Zbawiciela jest Maria Magdalena. Kochał ją bardziej niż innych uczniów i często całował w usta”. Oczywiście, tego rodzaju Ewangelie zostały zakwestionowane przez Kościół i mogą one stanowić wczesny odpowiednik popularnych gazet w rodzaju „National Enquirer”. Sądzę, że należy w takim wypadku zachować daleko idącą ostrożność, napisałam więc to, czego jestem pewna. A jestem pewna,

że Maria Magdalena nie uprawiała prostytucji i że była ważnym uczniem Jezusa. Może nawet najważniejszym, była bowiem pierwszą osobą, której postanowił ukazać się zmartwychwstały Pan. Poza tym nie zamierzam spekulować na temat jej roli w Jego życiu. Byłoby to z mojej strony nieodpowiedzialne.

Maureen udzieliła na to pytanie jak zwykle zgrabnej i bezpiecznej odpowiedzi. Zawsze jednak podejrzewała, że upadek Magdaleny wynikał z jej bliskości z Mistrzem, budzącej zazdrość u uczniów-mężczyzn, którzy później postanowili ją zdyskredytować. Święty Piotr otwarcie ją lekceważył i krytykował, jeśli wierzyć tym dokumentom z drugiego wieku, odkrytym w Egipcie. A święty Paweł w swych późniejszych pismach systematycznie eliminował wszelkie odniesienia do ważnej roli, jaką kobiety pełniły w życiu Chrystusa.

Maureen poświęciła w rezultacie bardzo dużo czasu na obalenie tej doktryny. Paweł, prześladowca, który stał się apostołem, kształtował myśl chrześcijańską na podstawie swych obserwacji, pomimo że od Jezusa i Jego wybranych uczniów, a także rodziny, dzielił go dystans w sensie filozoficznym, jak i dosłownym. Nie poznawał nauk Chrystusa bezpośrednio, z ust ich autora. Taki mizoginista i polityczny manipulator nie zamierzał unieśmiertelnić Marii Magdaleny jako najbardziej oddanego ucznia Jezusa.

Maureen była zdecydowana pomścić Marię, uznając ją za archetyp napiętnowanej przez historię kobiety, matkę niezrozumianych. Jej dzieje, jeśli nie w swej istocie, to w formie, były odzwierciedlone w żywotach innych kobiet, których Maureen broniła w swej książce. Lecz zależało jej niezwykle na tym, by rozdziały poświęcone Magdalenie były możliwie bliskie teorii akademickiej. Chociażby cień hipotezy spod znaku New age czy w jakikolwiek

sposób niepotwierdzonej, a dotyczącej związku Magdaleny z Chrystusem, mógłby podważyć inne wyniki jej badań i zniszczyć ich wiarygodność. Była zbyt ostrożna w życiu jak i w pracy, by decydować się na takie ryzyko. Mimo pokusy, odrzuciła alternatywne teorie na temat Marii Magdaleny i postanowiła odwołać się do najbardziej bezdyskusyjnych faktów.

Wkrótce po podjęciu tej decyzji sny zaczęły ją przesładować na dobre.

W prawej dłoni czuła dotkliwy skurcz i miała wrażenie, że jej twarz wykrzywi się na stałe od bezustannego uśmiechu, ale Maureen dalej robiła swoje. Jej wizyta w księgarni została zaplanowana na dwie godziny z dwudziestominutową przerwą. Ona natomiast siedziała już tu trzecią godzinę, bez chwili przerwy, i była gotowa dalej podpisywać książki, ku satysfakcji ostatniego klienta. Maureen nigdy nie odeślałaby z kwitkiem potencjalnego czytelnika. Nie okazałaby pogardy tym, dzięki którym jej marzenie zmieniło się w rzeczywistość.

Tego dnia z zadowoleniem dostrzegła w tłumie licznych mężczyzn. Sądząc po temacie książki, można by przypuszczać, że zjawią się głównie kobiety, ale miała nadzieję, że jej styl przemówi do każdego czytelnika odznaczającego się otwartym umysłem i zdrowym rozsądkiem. Choć zasadniczym celem Maureen było pomszczenie krzywd wyrządzonych słynnym kobietom, które stały się ofiarami historyków, jej badania ujawniły, że motywy kryjące się za takim sposobem pisania historii były zdecydowanie polityczne i religijne. Płeć odgrywała tu drugorzędną rolę.

Wyjaśniała to w czasie niedawnego występu w telewizji, przywołując postać Marii Antoniny jako najbardziej dobitny przykład tej socjopolitycznej teorii, ponieważ „główne relacje na temat Rewolucji Francuskiej zostały napisane przez samych rewolucjonistów”. Podczas gdy nieszczęsna królowa była powszechnie obwiniana o wybryki monarchii francuskiej, tak naprawdę nie miała nic wspólnego z narodzinami niechlubnych królewskich tradycji. W rzeczywistości Maria Antonina jakby odziedziczyła praktyki arystokracji francuskiej, gdy przybyła z Austrii, będąc zaręczoną z młodym delfinem, przyszłym Ludwikiem XVI. Była córką wielkiej Marii Teresy, a owa austriacka cesarzowa nigdy nie słynęła z królewskich ekscesów i folgowania swym zachciankom. Wprost przeciwnie, odznaczała się wyjątkową jak na kobietę tej pozycji surowością i skromnością, wychowując liczne córki, w tym i małą Antoinette, twardą ręką. Młoda następczyni tronu musiała przyjąć jak najszybciej obyczaje dworu francuskiego. Była to po prostu kwestia przetrwania.

Pałac wersalski, wielki pomnik francuskiej ekstrawagancji, został wzniesiony dziesiątki lat przed narodzinami Marii Antoniny, a jednak stał się symbolem jej legendarnej chciwości. Słynna odpowiedź na słowa: „Chłopi głodują - nie mają chleba” padła w rzeczywistości z ust królewskiej kurtyzany, kobiety, która zmarła na długo przed przybyciem młodej Austriaczki do Francji. Mimo to po dzień dzisiejszy stwierdzenie „Niech jedzą ciastka” jest przytaczane jako wezwanie do rewolucji. Tym jednym cytatem usprawiedliwiano czasy terroru, rozlew krwi i przemoc, jakie nastąpiły po upadku Bastylii. A skazana na tragiczny los Maria Antonina nigdy nie wypowiedziała tego cholernego zdania.

Maureen żywiła szczególną sympatię do królowej Francji, która tak marnie skończyła. Nienawidzona od dnia swego przyjazdu do obcego kraju, Maria Antonina stała się ofiarą zajadłego i celowego rasizmu. Skrajnie etnocentrycznej arystokracji francuskiej osiemnastego wieku było bardzo wygodnie przypisywać wszystkie negatywne politycznie i społecznie zjawiska urodzonej w Austrii królowej. Maureen była poruszona trwałością tej postawy w czasie swego pobytu we Francji, gdzie zbierała materiały do książki; posługujący się angielskim przewodnicy po Wersalu wciąż mówili o świętej monarchini z niemałą dawką nienawiści, całkowicie ignorując dowody historyczne, rozgrzeszające Marię Antoninę z wielu odrażających czynów, które rzekomo miała popełnić. I to pomimo faktu, że tę kobietę brutalnie zgładzono przed dwustu laty.

Pierwsza podróż do Wersalu zdopingowała Maureen do jeszcze większego wysiłku. Przeczytała niezliczone książki, od akademickich dzieł na temat osiemnastowiecznej Francji po skomplikowane powieści historyczne, które ukazywały królową w różnym świetle. Ogólny obraz się różnił, choć nieszczególnie, od powszechnie akceptowanej karykatury: była płytka, lubiła sobie dogadzać, nie odznaczała się szczególną bystrością. Maureen zdecydowanie odrzuciła ten portret. A Maria Antonina jako matka - rozpaczająca kobieta, która oplakiwała córeczkę zmarłą w wieku niemowlęcym, a później straciła także ukochanego syna? I Maria żona, przestawiana jak pionek na politycznej szachownicy, czternastoletnia dziewczyna poślubiona cudzoziemcowi na obcej ziemi, odrzucona przez jego rodzinę, a później przez poddanych. Wreszcie Maria jako kozioł ofiarny, kobieta przebywająca w więzieniu, podczas gdy ludzie, których kochała najbardziej, szli na rzeź w jej

imieniu. Najbliższa przyjaciółka Marii, księżniczka Lamballe, została dosłownie rozdarta na strzępy przez tłuszczę; kawałki jej ciała i kończyn ponabijano na piki i przymaszerowano z nimi pod oknem celi, w której siedziała Antonina.

Maureen była zdecydowana odmalować pełen współczucia, choć całkowicie realistyczny portret jednej z najbardziej pogardzanych monarchiń w historii. Rezultat był niezwykle, a poświęcony królowej rozdział książki wzbudził ogromne zainteresowanie i wywołał gorącą dyskusję. Jednak pomimo swej niezwykłości, Maria zawsze ustępowała miejsca Marii Magdalenie.

I to właśnie jej nadprzyrodzona moc przyciągania stanowiła temat dyskusji, jaką Maureen prowadziła w tej chwili z podekscytowaną blondynką.

-Wiedziała pani, że McLean jest uważane za święte miejsce dla wyznawców kultu Marii Magdaleny? - spytała niespodziewanie.

Maureen otworzyła usta, ale zdołała tylko wyjąkać:

- Nie, nie miałam o tym pojęcia.

Znów to samo, ten elektryczny impuls, który przebiegał przez jej ciało, ilekroć na horyzoncie pojawiała się coś niezwyklego. Czuła go ponownie, nawet tutaj, w blasku lamp fluorescencyjnych olbrzymiego centrum handlowego. Maureen odzyskała równowagę, wzdychając głęboko.

- Okej, poddaję się. Jaki związek z Marią Magdaleną ma McLean?

Kobieta wręczyła Maureen wizytówkę.

- Nie wiem, czy znajdzie pani trochę wolnego czasu, ale jeśli się pani uda, to proszę mnie odwiedzić.

Na wizytówce widniało: Księgarnia Pobożnego Światła, Rachel Martel, właścicielka.

- Nie mamy oczywiście tak bogatej oferty - oświadczyła kobieta, która, jak domyślała się Maureen, była właśnie Rachel Martel, i wskazała ogromną ofertę księgarni centrum handlowego. -Ale sadzę, że znajdzie się kilka pozycji, które mogłyby panią zainteresować. Napisali je tutejsi mieszkańcy i wydali własnym sumptem. Ich tematem jest Maria. Nasza Maria.

Maureen przełknęła ślinę, a potem spytała o drogę.

Z jej lewej strony dobiegło dyskretne kasznięcie i gdy podniosła wzrok, zobaczyła szefa księgarni, który dał jej znak, że inni też czekają w kolejce. Maureen spojrzała na niego znacząco i zwróciła się do Rachel:

- Będzie tam pani dziś po południu? Tylko wtedy znajdę trochę czasu.

- Z pewnością. To kilka mil od głównej trasy. McLean nie jest takie duże. Trafí pani bez trudu. Jeśli będzie pani potrzebowała dokładniejszych wskazówek, proszę zadzwonić. Dziękuję za autograf. Mam nadzieję, że zobaczymy się niedługo.

Patrząc w ślad za oddalającą się kobietą, Maureen zwróciła się do szefa księgarni.

- Chyba mimo wszystko przyda mi się przerwa - oznajmiła cicho.

Paryż (Pierwsza dzielnica)

Caveau des Mousquetaires

Marzec 2005

Pozbawiona okien kamienna piwnica w starym zabytkowym budynku była zwana od niepamiętnych czasów Caveau des Mousquetaires. Bliskość Luwru, w dniach kiedy

wielkie muzeum było siedzibą królów Francji, zapewniała jej strategiczne znaczenie, równie ważne w obecnych czasach. Ukryte pomieszczenie nazwano na cześć ludzi uniesmiertelnionych przez Aleksandra Dumasa w jego najśłynniejszym dziele. Dumas, tworząc postaci muszkietierów, wzorował się na autentycznych postaciach, którym przyświecała autentyczna misja. Piwnica była jednym z sekretnych miejsc, gdzie spotykali się członkowie straży królowej, kiedy nikczemny kardynał Richelieu zmusił ich, by zeszli do podziemia. W rzeczywistości muszkietierowie ślubowali chronić nie króla Francji Ludwika XIII, tylko królową. Anna Austriaczka była córką rodu znacznie starszego i bardziej królewskiego niż ród jej męża.

Dumas przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że to nigdyś tak czczone miejsce wpadło we wrogie ręce. Tej nocy piwnica była miejscem spotkania innego sekretnego bractwa. Owa organizacja nie tylko była starsza od muszkietierów o tysiąc pięćset lat, ale sprzeciwiała się ich misji, składając na tę okoliczność przysięgę krwi.

Blask dwudziestu czterech świec rzucał na ściany roztańczone cienie i dobywał z mroku sylwetki mężczyzn w długich szatach. Stali wokół poobijanego prostokątnego stołu, a na ich twarzach igrało światło i ciemność. Choć w półmroku ich rysy były zamazane, można było bez trudu dostrzec osobliwy emblemat ich gildii - krwawoczerwony powróż zawiązany ściśle na szyi każdego z obecnych.

Przyciszone głosy rozbrzmiewały różnymi akcentami - angielskim, francuskim, włoskim i amerykańskim. Wszyscy umilkli, gdy ich przywódca zajął miejsce u szczytu stołu. Przed nim połyskiwała w blasku świec wypolerowana ludzka czaszka spoczywająca na połączonym półmisku. Z jednej strony ustawiono kielich ozdobiony złotymi spiralami

i wysadzany klejnotami, takimi samymi jak te na półmisku. Z drugiej spoczywał na stole ręcznie rzeźbiony drewniany krucyfiks, obrócony postacią Chrystusa do dołu.

Przywódca dotknął z czcią czaszki, nim podniósł złoty kielich wypełniony gęstym czerwonym płynem. Przemówił w angielszczyźnie z oksfordzkim akcentem:

- Krew Nauczyciela Sprawiedliwych.

Napił się z wolna, by po chwili podać kielich swemu bratu po lewej ręce. Mężczyzna przyjął naczynie ze skinieniem głowy, powtarzając motto po francusku, i też się napił. Każdy z członków gildii spełnił ten rytuał, przemawiając w swoim rodzimym języku, dopóki kielich nie powrócił na swe miejsce u szczytu stołu.

Przywódca odstawił go ostrożnie. Następnie podniósł półmisek i ucałował w nabożnym skupieniu czaszkę w kość czołową. Tak jak zrobił to wcześniej z kielichem, podał czaszkę towarzyszowi z lewej strony i każdy członek bractwa uczynił to, co on. Ta część rytuału przebiegała w całkowitym milczeniu, gdyż była zbyt podniosła, by zakłócać ją słowami.

Czaszka, dokonawszy swej wędrówki po kręgu wyznawców, znów znalazła się w dłoniach przywódcy. Uniósł wysoko półmisek, po czym odstawił go na stół z teatralnym gestem i słowami: „Pierwszy. Jedyny”.

Przywódca znieruchomiał na chwilę, potem wziął do ręki drewniany krucyfiks. Obrócił go postacią ukrzyżowanego do siebie i uniósł na wysokość oczu - po czym splunął z nienawiścią w twarz Jezusa Chrystusa.

...Sara Tamar zjawia się często i czyta moje wspomnienia, gdy je spisuje. Przypomniała mi, że nie wyjaśniłam

jeszcze kwestii Piotra i tego, co jest znane jako jego wyparcie się.

Są tacy, którzy osądzali go surowo i zwali Piotr In Gallicantu - Piotr w wyparciu się - ale jest to niesprawiedliwe. Ci, którzy rozsiewają ów sąd, nie mogą wiedzieć, że Piotr spełnił jedynie życzenie Ezy. Słyszę, że niektórzy z wyznawców powiadają teraz, że Piotr wypełnił proroctwo Ezy, że Eza rzekł do Piotra: „Wyprzesz się mnie”, Piotr zaś odparł: „Nie, nie wyprę się”.

Jest to prawda. Eza nakazał Piotrowi, by ten się go wyparł. To nie było proroctwo. To był nakaz. Eza wiedział, że jeśli stanie się najgorsze, to właśnie Piotr, spośród wszystkich uczniów, musi uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa. Za sprawą Piotrowej determinacji nauka rozprzestrzeniłaby się po całym świecie, tak jak marzył o tym Eza. Tak więc Eza rzekł mu: „Wyprzesz się mnie”, ale Piotr odparł we wzburzeniu: „Nie, nie mogę!”.

Lecz Eza tłumaczył: „Musisz się mnie wyprzeć, byś był bezpieczny, a nauczanie Drogi trwało nadal”.

Oto prawda o „wyparciu się” Piotra. Nigdy nie było to wyparcie się, spełniał bowiem polecenie swego nauczyciela. Jestem tego pewna, byłam tam bowiem i widziałam to na własne oczy.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział czwarty

McLean, Wirginia

Marzec 2005

Puls Maureen bił nienaturalnie szybko, kiedy jechała główną ulicą przez McLean. Była całkowicie nieprzygotowana na dziwne zaproszenie Rachel, ale jednocześnie odczuwała ogromne podekscytowanie. Zawsze tak się działo; jej życie stanowiło łańcuch niezwykłych i, często, poważnych wydarzeń, nadzwyczajnych zbiegów okoliczności, które pozostawiały po sobie niezatarte piętno. Czy i to miało się okazać jednym z tych nadprzyrodzonych wydarzeń? Jakakolwiek rewelacja dotycząca Marii budziła jej ciekawość. Ciekawość? Za mało powiedziane. Raczej obsesję.

Więź z legendą Marii Magdaleny była dominującą siłą w jej życiu od pierwszych dni poszukiwania materiałów do Jej opowieści. Od czasu pierwszego pobytu w Jerozolimie Maureen nosiła w sobie wyraźny obraz Marii Magdaleny jako kobiety z krwi i kości, niemal przyjaciółki. Kiedy pracowała nad ostateczną wersją książki, miała wrażenie, że broni bliskiej znajomej, którą oczerniła prasa. Jej związek z Marią był niezwykle realny. Czy też, mówiąc ściślej, nadrealny.

Biblioteka Bożego Światła była mała, choć od frontu szczyciła się dużym oknem wystawowym, które roiło się od aniołów wszelkiego rodzaju i dosłownie w każdym

rozmiarze. Były tam książki o aniołach, figurki i mnóstwo migoczących kryształków, pośród których poustawiano wizerunki cherubinów. Maureen przyszło do głowy, że sama Rachel odznacza się anielskim wyglądem: odrobinę pulchna, bardzo jasne loki okalające twarz o słodkim wyrazie. A wcześniej, w hotelu, kiedy Maureen podpisywała książkę, kobieta była ubrana w dwuczęściowy kostium z powiewnego białego płótna.

Gdy Maureen otworzyła drzwi i weszła do niewielkiego pomieszczenia, jej przybycie oznajmił melodyjny dzwoneczek. Rachel Martel stała pochylona za ladą, szukając w gablotce jakiegoś kamienia.

-Ten? - zwróciła się do młodej kobiety, która mogła mieć osiemnaście, co najwyżej dziewiętnaście lat.

- Tak... to ten. - Dziewczyna wyciągnęła dłoń po kryształową bryłkę - lawendowy kamyk osadzony w srebrze. -To ametyst, prawda?

- Tak naprawdę to ametryn - sprostowała Rachel. Właśnie zauważyła, że to Maureen uruchomiła dzwoneczek przy drzwiach, i posłała jej znaczący uśmiech, który mówił: „Zaraz skończę”, a potem wróciła do rozmowy z klientką. - Ametryn to ametyst z kawałeczkiem cytrynu. Jeśli spojrzysz pani pod światło, zobaczy pani przepiękny złoty środek.

Klientka przyglądała się spod zmrużonych powiek kryształowi.

- Jest taki ładny - powiedziała. - Ale powiedziano mi, że potrzebuję ametystu. Czy ten kamień będzie działał tak samo?

- Owszem, a nawet skuteczniej. - Rachel uśmiechnęła się. - Panuje powszechne przekonanie, że ametyst rozwija naturę duchową, a cytryn wpływa pozytywnie na zrównoważenie emocji w ciele fizycznym. Biorąc wszystko

pod uwagę, to bardzo skuteczne połączenie. Ale mam też czysty ametyst, jeśli pani woli.

Maureen tylko pobieżnie przysłuchiwała się tej rozmowie. Znacznie bardziej ciekawiły ją książki, o których mówiła wcześniej Rachel. Okazało się, że są poustawiane na półkach według tematów; szybko przebiegła po nich wzrokiem. Zauważyła pozycje dotyczące rdzennej Ameryki, dział celtycki, nad którym mogłaby spędzić nawet cały dzień, gdyby miała inny nastrój, no i oczywiście książki poświęcone aniołom.

Na prawo od aniołów umieszczono kilka książek o myśli chrześcijańskiej. Oho, coraz cieplej, pomyślała. Przesuwała po nich wzrokiem i nagle znieruchomiała. Dostrzegła duży biały tom opatrzony grubymi czarnymi literami: *Magdalena*.

- Widzę, że doskonale dajesz sobie radę beze mnie! - Rachel bezceremonialnie przeszła na „ty”.

Maureen niemal podskoczyła; nie słyszała, jak Rachel do niej podchodzi. Zadzźwięczał dzwonek przy drzwiach, kiedy młoda klientka wyszła z księgarni, ściskając w dłoni małą niebiesko-białą torebkę z wybranym kryształem.

- To właśnie jedna z książek, o jakich ci mówiłam. Pozostałe to raczej broszury. O! Sądzę, że powinnaś rzucić okiem na to.

Rachel zdjęła ze znajdującej się na wysokości oczu półki cienką książeczkę, niewiele grubszą od pamfletu. Miała różową okładkę i wyglądała tak, jakby została wydrukowana na domowym komputerze. „Maria w McLean”, głosił tytuł czionką Times New Roman.

- Która to Maria? - spytała Maureen. Pisząc swoją książkę, przejrzała kilka źródeł, by się przekonać, że wszystkie odnoszą się do Maryi Dziewicy, nie do Magdaleny.

-Twoja Maria - wyjaśniła ze znaczącym uśmiechem Rachel.

Maureen odwzajemniła uśmiech. Rzeczywiście, moja Maria. Tak zaczęła ją nazywać.

- Nie trzeba było tego precyzować, ponieważ napisał to ktoś miejscowy. Duchowa społeczność w McLean wie, że chodzi o Marię Magdalenę. Tak jak ci mówiłam, ma tutaj swoich wyznawców.

Rachel wyjaśniała dalej, że od wielu pokoleń mieszkańcy tego małego miasta w Wirginii doznawali objawień.

- W ciągu ostatniego wieku widziano Jezusa w niemal stu udokumentowanych przypadkach. Dziwne jest to, że często widywano go stojącego na poboczu drogi - głównej drogi - tej, którą tu przyjechałaś, tak przy okazji. Kilka razy ukazał się na krzyżu, także od strony drogi. Widziano go też spacerującego z jakąś kobietą. Opisywano ją wielokrotnie jako niewysoką postać z długimi włosami. - Rachel wertowała książeczkę, wskazując poszczególne rozdziały. - Pierwsza tego rodzaju wizja została udokumentowana na początku dwudziestego wieku; kobietą, która jej doznała, była niejaka Gwendolyn Maddox, i stało się to w jej ogrodzie, o dziwo. Upierała się, że niewiastą towarzyszącą Chrystusowi była Maria Magdalena, podczas gdy jej proboszcz utrzymywał, że wizja w rzeczywistości dotyczyła Chrystusa i Maryi Dziewicy. Przypuszczam, że zyskuje się przychylność Watykanu, kiedy widzi się właśnie Ją. Ale stara Gwen nie chciała ustąpić. Według niej to była Maria Magdalena. Powiedziała, że nie ma pojęcia, skąd o tym wie, ale wie. Gwen twierdziła też, że wizja wyleczyła ją całkowicie z wyjątkowo złośliwej postaci reumatyzmu. Wtedy to postawiła w ogrodzie kapliczkę i udostępniła ją zwiedzającym. Po dziś dzień miejscowi

modłą się do Marii Magdaleny o uzdrowienie. Fascynujące jest także to, że żaden z potomków Gwen nigdy nie cierpiał na gościec, który, o ile mi wiadomo, jest chorobą dziedziczną. Bardzo się z tego cieszę, tak jak moja matka i babcia. Jestem prawnuczką Gwendolyn.

Maureen popatrzyła na broszurę w swojej dłoni. Dotąd nie zauważyła maleńkiego druku umieszczonego pod tytułem. „Napisała Rachel Maddox Martel”.

Rachel wręczyła broszurkę Maureen.

- Proszę, to prezent dla ciebie. Jest tam opowieść Gwen i kilka szczegółów dotyczących wizji. A ta książka - Rachel wskazała duży biały tom z czarnym wytłuszczonym tytułem „Magdalena” - także została napisana przez rdzenną mieszkankę McLean. Autorka długi czas analizowała przypadki ukazywania się Marii Magdaleny, ale przeprowadziła też wyczerpujące badania. Ta książka rzeczywiście przedstawia cały wachlarz teorii dotyczących Marii Magdaleny, choć niektóre są zbyt naciągane, nawet jak na mój gust. To fascynująca lektura i nie znajdzie pani tej książki nigdzie indziej, bo nigdy nie była rozprowadzana.

- Wezmę ją, oczywiście - powiedziała Maureen odrobinę rozkojarzona. Myślała w tej chwili o kilku rzeczach naraz. - Dlaczego akurat McLean, a nie jakieś inne miasto? Dlaczego pojawia się właśnie tutaj? Jak sądzisz?

Rachel uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może zdarza się to także w innych miejscach Ameryki, tyle że mieszkańcy nie chcą o tym mówić. A może McLean odznacza się czymś szczególnym. Wiem jedno: ludzie interesujący się życiem Marii Magdaleny prędzej czy później trafiają do McLean. Nie potrafię powiedzieć, ilu klientów przewinęło się przez tę księgarnię, szukając konkretnych książek na temat Magdaleny.

I podobnie jak ty nie wiedzieli wcześniej o jej związku z tym miastem. To nie może być przypadek, prawda? Wierzę, że ona przyciąga tu swych wyznawców. Maureen zastanawiała się przez chwilę.

- Wiesz... - zaczęła z namysłem, wciąż zbierając myśli. - Kiedy przygotowywałam się do tej podróży, zamierzałam zatrzymać się w Waszyngtonie. Mam tam dobrą znajomą, poza tym bez trudu mogłam tu dojechać. Połączenie lotni cze też jest wygodne, ale w końcu postanowiłam zatrzymać się w McLean.

Rachel przysłuchiwała się wyjaśnieniom Maureen z szerokim uśmiechem.

- Sama widzisz. Magdalena cię tu sprowadziła. Obiecuj mi, że jeśli ją zobaczysz, jeżdżąc po McLean, nie omieszkasz zadzwonić do mnie i powiedzieć mi o tym.

- A ty ją widziałas? - spytała Maureen. Musiała to wiedzieć.

Rachel postukała koniuszkiem paznokcia różową broszurę w dłoniach Maureen.

-Tak. Co więcej, wyjaśniam, jak te wizje powtarzały się w naszej rodzinie - powiedziała zaskakująco rzeczowym tonem. - Za pierwszym razem byłam bardzo mała. Miałam cztery czy pięć lat. To się działo w ogrodzie babci, obok kapliczki. Maria była wtedy sama. Drugiego objawienia doznałam, kiedy miałam kilkanaście lat. To była wizja z „pobocza drogi”, jak tutaj mówimy, i zobaczyłam Marię z Jezusem. Wydawało się to bardzo dziwne; siedziałam w samochodzie pełnym dziewcząt, wracałyśmy z meczu szkolnego. Był piątkowy wieczór. Prowadziła moja starsza siostra Judith i kiedy wyjechałyśmy z zakrętu, zobaczyłyśmy mężczyznę i kobietę, którzy szli prosto na nas. Judy zwolniła, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie potrzebują

pomocy. Wtedy właśnie zdałyśmy sobie sprawę, kto to jest. Po prostu stali tam, jakby zastygli w czasie, ale otaczał ich blask. No cóż, Judy się przestraszyła i zaczęła płakać. Po chwili dziewczyna, która siedziała obok niej na przednim fotelu, zaczęła się dopytywać, co się stało i dlaczego nie jedziemy. Wtedy uświadomiłam sobie, że inne dziewczęta ich nie widzą. Tylko ja i moja siostra. Zastanawiałam się długi czas, czy geny mają cokolwiek wspólnego z tymi wizjami. Moja rodzina doznawała ich tak często, a ja miałam namacalny dowód, że to, co dostrzegamy, dla niektórych pozostaje niewidoczne. Wciąż nie wiem, jak to wytłumaczyć. Bez wątpienia byli w McLean ludzie, którzy choć z nami niespokrewnieni, też miewali te wizje.

- Czy doznawały ich wyłącznie kobiety?

- O, tak, zapomniałam o tym wspomnieć. Ilekroć Maria była widziana sama, to zawsze przez kobietę. Kiedy pojawia się z Jezusem, to widują ich zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Mimo wszystko, rzadko pokazują się mężczyznom. Może jest inaczej, ale wydaje mi się, że mężczyźni niechętnie o tym mówią.

- Rozumiem. - Maria skinęła głową. - Słuchaj, Rachel, jak wyraźnie widziałaś Marię? Chodzi mi o to, czy potrafisz opisać szczegółowo jej twarz?

Rachel wciąż się uśmiechała tym swoim błogim, wymownym uśmiechem, który przynosił Maureen niejaką ulgę. Rozmowa o objawieniach, jakby chodziło o najnormalniejszą rzecz pod słońcem, dawała jej osobliwe poczucie bezpieczeństwa. Gdyby się okazało, że jest kompletną wariatką, to przynajmniej znajdowała się w miłym towarzystwie.

- Nie tylko. Chodź ze mną.

Rachel wzięła ją za ramię i poprowadziła na tyły księgarni. Wskazała ścianę za kasą, ale Maureen zdążyła już dostrzec

portret. Był to obraz olejny; widniała na nim kobieta o rudych włosach, niespotykane pięknej twarzy i niezwykłych orzechowych oczach.

Rachel przypatrywała się reakcji Maureen i czekała na jej słowa, jakby wiedząc, że może to potrwać bardzo długą chwilę. Maureen oniemiała z wrażenia.

- Widzę, że już się spotkałyście - zauważyła cicho Rachel.

Twarz na obrazie wprawiła Maureen w osłupienie, ale to, co nastąpiło później, było dla niej jeszcze bardziej poruszające. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, zaczęła drzeć, by w końcu wybuchnąć płaczem.

Stała tam i płakała przez minutę, może nawet dwie, łkania wstrząsały przez kilka sekund jej drobnym ciałem, potem przeszły w cichy szloch. Czuła straszliwy smutek, głęboki i dręczący ból, ale nie była wcale przekonana, że to jej własne doznania. Miała wrażenie, że doświadcza cierpienia kobiety na obrazie. Potem to jednak przeminęło; pierwszy szok ustąpił i teraz płacz jakby przynosił jej ulgę, więc nie broniła się przed nim. Malowidło olejne stanowiło coś w rodzaju potwierdzenia; kobieta ze snu stała się kimś realnym.

Kobieta ze snu, która okazała się Marią Magdaleną.

Rachel była tak miła, że poszła zaparzyć herbatę ziołową na zapleczu biblioteki. Pozwoliła Maureen posiedzieć w małym magazynku i na chwilę zostawiła ją samą. Potem

w księgarni zjawila się jakaś mloda para, poszukujaca ksiazek o astrologii. Maureen siedziala przy niewielkim biurku i popijala rumianek, majac nadzieje, ze slogan na opakowaniu - „Koi nerwy” - nie jest tylko chwytem reklamowym. Kiedy Rachel obsluzyla klientow, wrócila do Maureen.

- Jak tam?

Maureen przytaknela i napila się jeszcze herbaty.

-Już dobrze, dziękuję. Posłuchaj, Rachel, naprawdę mi przykro z powodu tej hysterii, ja tylko... Czy to ty namalowałaś ten obraz?

Rachel skinęła głową.

- Moja rodzina zawsze była utalentowana artystycznie. Babcia jest rzeźbiarką; stworzyła w glinie kilka postaci Marii Magdaleny. Często się zastanawiam, czy nie jest to czasem powód, dla którego Maria się nam ukazuje - bo potrafimy w jakiś sposób ją wyrazić.

- A może dlatego, że artyści są bardziej otwarci - zastanawiała się na głos Maureen. - Coś w rodzaju właściwej umysłowości.

- Możliwe. Myślę, że ostatecznie jedno i drugie. Ale powiem ci coś jeszcze. Wierzę z całego serca, że Maria chce być usłyszana. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pojawia się w McLean coraz częściej. Prześladowała mnie prawie przez cały ostatni rok, a ja wiedziałam, że muszę ją namalować, żeby odzyskać choć odrobinę spokoju. Z chwilą, gdy ukończyłam obraz i wystawiłam go, mogłam spać spokojnie. Prawdę mówiąc, nie widziałam jej od tego czasu.

Siedząc tego wieczoru w swoim pokoju hotelowym, Maureen kołysała delikatnie kieliszkiem czerwonego wina

i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Po chwili zerknęła na telewizor i włączyła kanał kabłówki, starając się nie przejmować słowami skrajnie konserwatywnego gospodarza programu. Pomimo pozorów siły, Maureen nie nawidziła konfrontacji. Już samo prawdopodobieństwo, że mogą dyskutować o jej książce, było dla niej bolesne. Przypominało to oglądanie skutków straszliwego wypadku samochodowego - nie mogła oderwać oczu, bez względu na to, jak okropny miała przed sobą widok.

Nadgorliwy gospodarz przedstawił swego czcigodnego gościa, dorzucając pytanie: „Czy nie chodzi o kolejny z licznych ostatnio ataków na Kościół?”.

Na ekranie pojawiła się gniewna starcza twarz, pod spodem zaś napis „Biskup Magnus O'Connor”. Duchowny odpowiedział z irlandzkim akcentem: „Oczywiście. Od wieków mamy do czynienia z oszczerstwami pomyłonych osobników, którzy z myślą o osobistych korzyściach starali się podkopać wiarę milionów ludzi. Ci feministyczni ekstremiści powinni przyjąć do wiadomości fakt, że wszyscy znani nam apostołowie byli mężczyznami”.

Maureen poddała się. Nie miała sił tego wieczoru - to był bardzo długi i wyczerpujący dzień. Przyciskiem na pilocie uciszyła duchownego, żałując przy tym, że w prawdziwym życiu nie jest to takie łatwe.

- Pocałuj mnie gdzieś, wasza świątobliwość - mruknęła, kładąc się do łóżka.

Na stolik nocny padało przez okno światło, dobywając z mroku eliksiry nasenne: opróżniony do połowy kieliszek czerwonego wina i tabletki, które można kupić bez recepty.

Na małej kryształowej popielniczce tuż obok lampki leżał stary miedziany pierścień z Jerozolimy.

Maureen rzuciła się na łóżku niespokojnie, choć wcześniej zaaplikowała sobie sporą porcję środków gwarantujących zdrowy sen. Ale wizja się pojawiła, równie nieustępliwa jak nieproszona.

Zaczęło się jak zwykle - zamieszanie, ludzki pot, tłum. Ale kiedy Maureen dotarła do momentu, w którym po raz pierwszy dostrzegła kobietę, wszystko zgąsło. Zanurzyła się na nieokreślony czas w próżni.

A potem sen się odmienił.

Dzień był piękny. Wzdłuż brzegu jeziora Genezaret, kilka kroków przed swoją uroczą matką, biegł mały chłopiec. Nie miał jej niezwykłych orzechowych oczu ani gęstych miedzianych włosów, w przeciwieństwie do młodszej siostry. Miał też inne spojrzenie, mroczne i intensywne, zadziwiająco dojrzałe jak na tak małego chłopca. Podbiegł do linii wody, wziął kamyczek i uniósł go do słońca, by popatrzeć na jego migotliwy blask.

Matka zawołała ostrzegawczo, by nie zbliżał się zbyt blisko do wody jeziora. Nie miała tego dnia na głowie tradycyjnej chusty i jej długie włosy splotywały się swobodnie wokół twarzy; trzymała dłoń małej dziewczynki, swej wykapanej miniatury.

Kiedy dziewczynka wyrwała się matce i pobiegła do brata, rozległ się głos jakiegoś mężczyzny, który też krzyknął ostrzegawczo, ale bez gniewu. Dziecko popatrzyło buntowniczo, matka jednak wybuchnęła śmiechem, zerkając przez ramię na mężczyznę, który szedł z tyłu. Podczas tej zwykłej przechadzki ze swoją młodą rodziną miał na sobie szarą luźną

szatę, a nie dziewiczo białą, w jakiej pokazywał się tłumom. Odsunął sprzed oczu długie kosmyki kasztanowych włosów i odpowiedział uśmiechem; na jego twarzy odmalowały się miłość i zadowolenie.

Maureen odzyskała gwałtownie świadomość, jakby ktoś wypchnął ją brutalnie ze snu do pokoju hotelowego. Drżała na całym ciele. Te wizje zawsze odbierały jej spokój, ale tym razem wrażenie błyskawicznej podróży w czasie i przestrzeni było nie do zniesienia. Oddychała szybko, by się odprężyć i jak najszybciej odzyskać równowagę.

Zaczynała powoli wracać do rzeczywistości, kiedy dostrzegła jakiś ruch w pokoju, tuż obok drzwi. Była pewna, że słyszy szelest, ale bardziej wyczuła niż zobaczyła postać, która pojawiła się przy progu. To, co widziała w ciemności, było nieokreślone - kształt, postać, nieznaczny ruch. Nie miało to znaczenia. Maureen wiedziała, kto to jest, tak jak wiedziała, że nie śni. To była Ona. Przebywała tutaj, w jej pokoju.

Maureen przełknęła z wysiłkiem ślinę. Zdawała sobie sprawę, że ta istota obok drzwi nie jest z tego świata, nie była jednak pewna, czy szukać w tym pociechy. Zdobyła się na ogromną odwagę i wyszeptła do niewyraźnego kształtu na tle drzwi:

- Co... powiedz mi, jak mogę ci pomóc. Błagam.

W odpowiedzi rozległ się leciutki szmer, szelest chusty czy liści porwanych przez wiosenny wiatr, a potem zapadła cisza. Zjawa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Maureen wyskoczyła z łóżka i zapaliła światło - zegar elektroniczny wskazywał czwartą dziesiątą rano. W Los Angeles było w tej chwili o trzy godziny wcześniej. Wybacz mi, ojcze, pomyślała, chwytając za telefon na stoliku nocnym, i pośpiesznie wystukała drżącymi palcami numer. Potrzebowała rady swego najlepszego przyjaciela - i być może rady księdza.

Stanowczy ton Petera, z jego kojącym irlandzkim akcentem, przywołał Maureen do rzeczywistości.

- To bardzo ważne, żebyś notowała te... no... wizje. Mam nadzieję, że je zapisujesz?

- Wizje? Błagam, Peter, daj sobie spokój z tym watykańskim podejściem - jęknęła Maureen. - Wolałabym umrzeć niż uchościć za jakiś ciekawy przypadek w oczach Rzymu.

- Maureen, nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobił. Ale co, jeśli naprawdę chodzi o objawienia? Nie możesz lekceważyć faktu, że być może ukazano ci coś ważnego.

- Przede wszystkim mówimy tylko o dwóch tak zwanych objawieniach. W pozostałych wypadkach to były sny. Bardzo wyraziste i sugestywne, ale tylko sny. Może to odzywa się jakieś genetyczne szaleństwo? Wiesz, obłąd w rodzinie. - Maureen westchnęła ciężko. - Do diabła, boję się nie na żarty. Obiecałeś, że zawsze będziesz mi pomagał, pamiętasz?

- Przepraszam. Masz rację, ale naprawdę chcę ci pomóc. Przyrzeknij, że będziesz zapisywała daty i godziny tych twoich wi... to znaczy snów. Wyłącznie do naszych celów. Jesteś historykiem i dziennikarzem. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że najważniejsza jest odpowiednia dokumentacja materiału.

Maureen zdobyła się na słaby śmiech.

- O, tak, a mam z pewnością do czynienia z materiałem historycznym. - Westchnęła do słuchawki. - W porządku,

będę notować. Może któregoś dnia rozjaśni mi to w głowie. Ale czuję, że wszystko jest ukryte gdzieś pod powierzchnią i że nie mam nad tym żadnej kontroli.

...Muszę teraz napisać więcej o Natanaelu zwanym przez nas Bartłojem, ponieważ ogromnie poruszało mnie jego oddanie. Bartłoj był zaledwie młodzieńcem, kiedy przystał do nas w Galilei. I choć został wygnany z domu swego ojca szlachetnego rodu, Tolmai z Kany, od razu pojęliśmy, że nie ma w nim nic nieprawego - wiadomo było, że okrutny i niemądry patriarcha błędnie osądził piękno i możliwości tak cennej i wyjątkowej duszy, wspaniałego syna. Eza dostrzegł to równie szybko.

Wystarczyło spojrzeć Bartłojowi w oczy, by od razu go zrozumieć. Pominąwszy Ezę i moją córkę, wzrok żadnego człowieka nie zdradził mi nigdy takiej czystości i dobroci. Ujawniała się w nim nieskalaność młodzieńca - dziewicza i niewinna dusza. Tego dnia, gdy zjawił się w naszym domu wMagdali, mój maleńki synek wspiął mu się na kolana i przesiedział tam cały wieczór. Dzieci to najmądrzejsi sędziowie, a ja i Eza uśmiechaliśmy się do siebie przez stół, przyglądając się małemu Janowi ze swym nowym przyjacielem. Jan jedynie potwierdził to, co wiedzieliśmy, ujrzawszy Bartłoję - że należy do naszej rodziny i że tak będzie zawsze.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział piąty

Los Angeles

Kwiecień 2005

Maureen była nieludzko zmęczona, podjeżdżając pod swój dom na ekskluzywnym osiedlu przy Wilshire Boulevard. Nie miała nic przeciwko temu, żeby Andre, parkingowy, który miał tego dnia dyżur, zaparkował za nią samochód, poprosiła go także o wniesienie na górę torby podróźnej. Opóźniony lot z lotniska DuUesa i bezsenność poprzedniej nocy nadwyrężyły jej nerwy.

Kiedy weszła do holu, czekała ją niespodzianka, nieoczekiwana i absolutnie zaskakująca.

- Dobry wieczór, panno Paschal. Chwileczkę. - Laurence był recepcjonistą w budynku. Niski mężczyzna wyszedł z za swego biurka wyraźnie zaaferowany. - Proszę mi wybaczyć, musiałem wejść dziś po południu do pani mieszkania. Przesyłka była tak duża, że nie mogłem jej tutaj trzymać. Powinna pani nas uprzedzić, że spodziewa się czegoś o takich rozmiarach.

- Przesyłka? Jaka przesyłka? Niczego się nie spodziewałam.

- No cóż, nie ulega wątpliwości, że to pani jest jej adresatką. Ma pani niezwyklego wielbiciela.

Zaskoczona Maureen, podziękowała Laurence'owi i wjechała windą na jedenaste piętro. Kiedy wyszła na korytarz,

od razu poczuła odurzającą woń. Otworzyła drzwi mieszkania i aż westchnęła z wrażenia. Pokój tonął w kwiatach. Wszędzie stały bukiety i wyszukane kompozycje, niektóre umieszczono na postumentach, inne w kryształowych wazonach na blatach stołów. Wszystkie składały się z tych samych kwiatów w różnych wariacjach - dorodne czerwone róże i lilie z rodzaju calla i Casablanca. To właśnie te lilie, w pełnym rozkwicie, były źródłem zapierającej dech w piersiach woni.

Maureen nie musiała długo szukać kartki od wielbiciela. Tkwiła za złoconą ramą ogromnego obrazu opartego o przeciwległą ścianę salonu i przedstawiającego klasyczną scenę o tematyce bukolicznej. Trzej pasterze w togach i z wieńcami laurowymi na głowach skupili się wokół dużego kamiennego obiektu - jak się okazało, samotnie stojącego grobowca. Wskazywali wykuta w nim inskrypcję. Centralną postacią malowidła była kobieta, rudowłosa pasterka, najwyraźniej przywódczyni grupy.

Jej twarz namalowano tak, by odznaczała się niezwykle podobieństwem do rysów Maureen.

„Les Bergers d'Arcadie". Peter odczytał napis na mosiężnej tabliczce u dołu ramy, poruszony doskonałością kopii znajdującej się w salonie Maureen.

- Pędzła Nicolasa Poussina, francuskiego mistrza baroku. Widziałem oryginał; jest w Luwrze.

Maureen słuchała, odczuwając ulgę, że zjawił się tak szybko.

- Tytuł obrazu tłumaczy się „Pasterze Arkadii" - ciągnął Peter.

- Nie wiem, czy mam się czuć zaszczycona, czy przerażona. Proszę, powiedz mi, że na oryginale ta pasterka nie wygląda tak, jakbym to ja pozowała do jej postaci.

Peter zaśmiał się cicho.

- Nie, nie. To chyba robota kopisty albo nadawcy. Który nazywa się...

Maureen potrząsnęła głową i podała mu dużą kopertę.

- Przysłał to ktoś o nazwisku... Sinclair. Nie mam pojęcia, kto to jest.

- Wielbiciel? Fanatyk? Wariat, który się ujawnił po przeczytaniu twojej książki?

Maureen roześmiała się nerwowo.

- Możliwe. Wydawca przekazał mi w ciągu kilku ostatnich miesięcy parę dziwnych listów.

- Podziękowania czy inwektywy?

- Jedno i drugie.

Peter wyjął z dużej koperty list, napisany wyszukany charakterem pisma na eleganckim papierze welinowym. Kartkę ozdobiła wytłoczona lilia, będąca od wieków symbolem monarchii europejskich. Złożone litery u dołu strony obwieszczały, że nadawcą jest Bérenger Sinclair. Peter założył okulary i zaczął głośno czytać:

Droga Panno Paschal, proszę wybaczyć mi owo najście. Wierze jednak, że jestem w posiadaniu odpowiedzi, których Pani szuka, i że Pani jest w posiadaniu tych, których ja szukam. Jeśli ma Pani odwagę bronić swych przekonań i wziąć udział w ekspedycji mającej na celu odkrycie prawdy, to mam nadzieję, że spotka się Pani ze mną w Paryżu w dniu przesilenia letniego. Sama Magdalena domaga się Pani

obecności. Nie powinna Pani jej zawieść. Być może ten obraz pobudzi Pani podświadomość. Proszę go potraktować jak mapę — mapę pani przyszłości, a być może nawet przeszłości. Jestem przekonany, że uczyni Pani honor wielkiemu nazwisku Paschal, jak starał się to uczynić Pani ojciec.

*Z poważaniem,
Berenger Sinclair*

- Wielkie nazwisko Paschal? Twój ojciec? - dziwił się Peter. - Jak to rozumiesz?

- Nie mam pojęcia-wyznała, próbując pojąć cokolwiek. Wzmianka o ojcu zaniepokoiła ją, ale Maureen nie chciała, by Peter to dostrzegł. Odpowiedziała od niechcenia: - Słyszałeś o rodzinie mojego ojca. Pochodziła z lasów i mokradł Luizjany. Nic szczególnego, chyba że obłęd uznamy za objaw wielkości.

Peter milczał, czekając, co Maureen jeszcze powie. Rzadko mówiła o ojcu, i teraz był ciekaw, czy zechce zdradzić coś więcej. Był nieco rozczarowany, gdy porzuciła temat.

Maureen wzięła list od Petera i przeczytała jeszcze raz.

- Dziwne. Jak myślisz, co za odpowiedzi ma na myśli? Nie mógł przecież wiedzieć o moich snach? Nikt o nich nie wie, z wyjątkiem ciebie i mnie - zastanawiała się, przesu wając palcami po liście.

Peter powiódł wzrokiem po niezliczonych kwiatkach i górującym nad nimi obrazie.

- Ktokolwiek to jest, wyczuwam zapach dwóch kwestii - fanatyzmu i pieniędzy. Wiem z doświadczenia, że to kiepska kombinacja.

Maureen słuchała go jednym uchem.

- Popatrz na tę papeterię, jest wspaniała. Bardzo francuska. I ten wzór biegnący wokół brzegów stronicy... co to jest? Winogrona? - Ten widok coś jej przypominał. - Niebieskie jabłka?

Peter znów założył okulary i przyjrzał się z uwagą listowi.

- Niebieskie jabłka? Hmm, chyba masz rację. Spójrz tutaj, na dolną krawędź kartki; to pewnie adres: *Le Chateau des Pommes Bleues*.

- Moja francuszczyzna jest kiepska, ale czy to nie jest coś o niebieskich jabłkach?

Peter przytaknął.

- Zamek albo dom Niebieskich Jabłek. Mówi ci to coś?

Maureen skinęła powoli głową, zastanawiając się.

- Do diabła, nie mogę sobie przypomnieć. Wiem, że natknęłam się podczas badań na jakieś wzmianki o niebieskich jabłkach. To rodzaj kodu, jak mi się wydaje. Miał związek z grupami religijnymi we Francji, które otaczały kultem Marię Magdalенę.

- Ci ludzie wierzyli, że po ukrzyżowaniu Chrystusa udała się do Francji?

- Kościół prześladował ich jako heretyków, ponieważ twierdzili, że ich nauki pochodzą wprost od Jezusa. Zmuszono ich do ukrywania się i zakładania tajemnych stowarzyszeń, z których jedno symbolizowały właśnie niebieskie jabłka.

-No dobrze, ale co konkretnie oznaczają niebieskie jabłka?

- Nie pamiętam. - Maureen zaczęła się intensywnie zastanawiać, ale nic nie przychodziło jej do głowy. - Znam jednak kogoś, kto będzie pamiętał.

Marina delRey, Kalifornia
Kwiecień, 2005

Maureen spacerowała wzdłuż nabrzeża w Marina del Rey. W południowym kalifornijskim słońcu połyskiwały luksusowe jachty i żaglówki, symbol hollywoodzkiego uprzywilejowania. Z pokładu niewielkiego jachtu pomachał do niej jakiś surfer w T-shircie z napisem „Jeszcze jeden gówniany dzień w raj”. Skórę miał opaloną, a włosy zbieleły od bezlitosnego słońca. Maureen nie знаła go, ale błogi uśmiech na jego twarzy i butelka piwa w dłoni dowodziły, że jest w przyjaznym nastroju.

Maureen też mu pomachała i ruszyła dalej, kierując się ku kompleksowi restauracyjnemu i butikom. Weszła do El Burrito, meksykańskiego lokalu z tarasem nad wodą.

- Reenie! Tu jestem!

Maureen usłyszała Tammy, zanim zdążyła ją dostrzec, jak to zwykle bywało. Ruszyła w stronę, skąd dobiegał głos, i odnalazła przyjaciółkę na tarasie, popijającą przy stoliku margaritę z mango.

Tamara Wisdom była dokładnym przeciwieństwem Maureen Paschal. Miała posagową figurę i oliwkową karnację, i odznaczała się egzotyczną urodą. Sięgające do pasa proste czarne włosy zwykle ożywiała jakimś intensywnym kolorem, w zależności od nastroju. Tego dnia były to błyszczące liliowe pasemka. Nos miała przekłuty i ozdobiony zadziwiająco dużym diamentem - podarunek od byłego chłopaka, niezależnego reżysera, który odniósł sukces. Uszy też nosiły ślady licznych przekłuć, a top z czarnej koronki uzupełniały amulety z ezoterycznymi wzorami. Zbliżała się do czterdziestki, ale wyglądała o dobre dziesięć lat młodziej.

W sytuacjach, kiedy Maureen była konserwatywna, Tammy była ekstrawagancka; kiedy Maureen zachowywała dyskrecję i ostrożność, Tammy manifestowała pewność siebie. Różniły się pod każdym względem, zarówno w życiu, jak i w pracy, szanowały się jednak nawzajem, co szybko przerodziło się w przyjaźń.

- Dzięki, że zgodziłaś się spotkać ze mną tak szybko, Tammy. - Maureen usiadła i zamówiła mrożoną herbatę.

Tammy przewróciła oczami, ale była zbyt podekscytowana, by łąjąc przyjaciółkę za konserwatywny wybór drinka.

- Żartujesz? Ugania się za tobą Berenger Sinclair, a ty sobie wyobrażasz, że nie mam ochoty poznać wszystkich smakowitych szczegółów?

- Byłaś bardzo tajemnicza przez telefon, więc lepiej gadać od razu. Nie mogę uwierzyć, że znasz tego faceta.

- A ja nie mogę uwierzyć, że ty go nie znasz. Jak, na Boga - dosłownie - udało ci się wydać książkę o Marii Magdalenie, nie szukając wcześniej materiałów we Francji? I ty twierdzisz, że jesteś dziennikarką?

- Owszem, jestem dziennikarką, i właśnie dlatego nie pojechałam do Francji. Nie interesują mnie te wszystkie tajne stowarzyszenia. To twoja działka, nie moja. Pojechałam do Izraela w poszukiwaniu poważnych materiałów na temat pierwszego wieku.

Dobrotliwe złośliwości stanowiły nieodłączny element ich przyjaźni. Maureen poznała Tammy, zbierając materiały do książki; przedstawił jej sobie ich wspólny znajomy, kiedy się dowiedział, że Maureen bada życie Marii Magdaleny. Tammy opublikowała kilka alternatywnych pozycji o tajnych stowarzyszeniach i alchemii, a jej film dokumentalny o duchowych tradycjach dotyczących kultu Marii Magdaleny zdobył uznanie na licznych festiwalach. Maureen

była zaszokowana tym, co utrzymywali badacze z wąskiego kręgu ezoterycznego, których Tammy знаła, i to wszystkich, jak się zdawało. I choć Maureen szybko uświadomiła sobie, że alternatywne podejście Tammy jest dalekie od jej koncepcji poważnego materiału badawczego, dostrzegła za maską grubego makijażu bystry umysł, a pod płytką fasadą głębię. Maureen uwielbiała żywiołową odwagę Tammy i jej brutalną szczerość, nawet jeśli czasem odczuwała ją na własnej skórze.

Tammy sięgnęła do jadowicie pomarańczowej torby na zakupy i wyjęła elegancką kopertę. Pomachała nią kusząco przed nosem przyjaciółki, a potem położyła na stole i przesunęła w jej stronę.

- Masz, chciałam ci to pokazać osobiście.

Maureen dostrzegła znajomy emblemat lilii i motyw niebieskich jabłek na kopercie i popatrzyła ze zdziwieniem na Tammy. Wyjęła kartkę wytłaczanego papieru i zaczęła czytać.

-To zaproszenie na bardzo ekskluzywny doroczny bal kostiumowy organizowany przez Sinclaira. Wygląda na to, że zrobiłam w końcu karierę. Też ci takie przesłał? - spytała Tammy.

Maureen pokręciła głową.

- Nie. Tylko jakąś dziwną propozycję spotkania w dniu letniego przesilenia. Jak to się stało, że wysłał do ciebie to zaproszenie?

- Poznałam go w trakcie zbierania materiałów we Francji - odparła Tammy znacząco. - A teraz apeluję do niego, żeby wsparł mnie finansowo i pomógł ukończyć nowy film. Jest zainteresowany własnym projektem, więc negocjujemy - rozumiesz, ja pomogę jemu, jeśli on pomoże mnie.

- Pracujesz nad nowym filmem? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

-Trudno się było z tobą ostatnio skontaktować, nie uważasz?

Maureen miała głupią minę. Skandalicznie zaniedbała swoich przyjaciół w ciągu ostatnich miesięcy wypełnionych jej zawodowym szaleństwem.

- Przepraszam. I przestań być z siebie tak cholernie zadowolona. Co jeszcze przede mną ukrywasz? Wiedziałaś o tej historii z Sinclairem? Że się mną... interesuje?

- Nie, nie. Absolutnie. Spotkałam go tylko raz, ale cholera, dałabym wszystko, żeby się mną tak zainteresował. Jest wart jakiś miliard - rozumiesz, miliard - i na dodatek przystojny z niego facet. Wiesz, Reenie, może naprawdę ci się uda. Na litość boską, rozpuść włosy i rzuć się w wir przygody. Kiedy ostatni raz byłaś na randce?

- Nie ma sensu o tym mówić.

- Może jest.

Maureen zbyła pytanie machnięciem ręki, próbując zapanować nad rozdrażnieniem.

- Nie mam czasu na związkę. Nie zauważyłam też, by ktokolwiek proponował mi randkę.

- Tym bardziej szkoda. Nie ma bardziej romantycznego miejsca niż Francja.

- Więc dlatego spędziłaś tam ostatnio tyle czasu?

Tammy wybuchnęła śmiechem.

- Nie, nie. Chodzi o to, że Francja jest ojczyzną zachodniej ezoteryki i istnym tygłem herezji. Mogłabym napisać o tym sto książek i nakręcić tyleż filmów, a i tak ledwie bym liznęła temat.

Maureen słuchała jednym uchem.

- Jak myślisz, czego Sinclair chce ode mnie?

- Trudno powiedzieć. Ma opinię ekscentryka i lubi szokować. Za dużo czasu i za dużo pieniędzy. Przypuszczam, że zainteresowało go coś w tej twojej książce i pewnie chce cię dołączyć do swojej kolekcji. Ale nie mam pojęcia co konkretnie. Twoje wielkie dzieło to nie jego dziedzina.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Maureen czuła się trochę zbita z tropu. - Dlaczego nie jego dziedzina?

- Bo jest zbyt ugrzecznione i akademickie. Daj spokój, Maureen. Pisząc rozdział o Marii Magdalenie, byłaś taka ostrożna, tak politycznie poprawna. Być może Maria Magdalena i Jezus byli ze sobą związani, ale nie ma dowodu, i tak dalej, i tak dalej. Asekurowałaś się jak diabli. Wierz mi, to nie w stylu Sinclaira. Dlatego go lubię.

Maureen zrewanżowała jej się ostrzej, niż zamierzała.

- To ty zajmujesz się rewidowaniem historii w oparciu o własne przekonania. To twój biznes, nie mój.

Tammy już parę razy tego dnia uderzała Maureen w czułe miejsce, ale swoim zwyczajem nie zamierzała na tym poprzestać i ostro zaatakowała:

- A jakie są twoje przekonania? Coś mi się wydaje, że nawet nie wiesz. Posłuchaj, jesteś moją przyjaciółką i szanuję cię, więc się nie wściekaj. Wiesz równie dobrze jak ja, że istnieją dowody na potwierdzenie tezy, że Jezus był związany uczuciowo z Marią Magdaleną i że mieli dzieci., Dlaczego tak bardzo się boisz tej prawdy? Nawet nie jesteś religijna. Skąd ten lęk?

- Nie ma mowy o żadnym lęku. Nie chciałam po prostu iść tym tropem. Obawiałam się, że ta sprawa będzie rzutować na całą książkę. Twoja koncepcja „dowodów” nie pokrywa się do końca z moją. Poświęciłam większość dorosłego życia

na zbieranie materiałów do tej książki i nie zamierzałam zmarnować tego wysiłku dla jakiejś niedowarzonej i niczym nieopartej teorii, do której nie jestem w najmniejszym stopniu przekonana.

-Ta niedowarzona teoria dotyczy boskiego związku -idei, według której dwoje ludzi szanujących się nawzajem w uświęconym związku stanowi najpełniejszy wyraz Boga na Ziemi. Może powinnaś się zastanowić, czy tego nie zaakceptować...

Maureen przerwała jej, zmieniając temat.

- Obiecałaś powiedzieć mi, co wiesz o niebieskich jabłkach.

- No, jeśli wybaczysz mi moje niedowarzone i niczym nieoparte teorie...

- Przepraszam. - Maureen wyglądała na szczerze skruszoną, co rozśmieszyło Tammy.

- Daj spokój. Wysłuchiwałam już gorszych rzeczy. No dobra, powiem ci, co wiem o niebieskich jabłkach. Są symbolem rodu - tak, tego samego rodu, którego ty i twoi akademiccy przyjaciele nie chcecie uznać, twierdząc, że nie istnieje. Rodu Jezusa Chrystusa i Marii Magdaleny, założonego przez ich potomków. Różne tajne stowarzyszenia posługiwały się licznymi symbolami, które go przedstawiały.

- A dlaczego niebieskie jabłka?

- Przedstawia się różne teorie na ten temat, ale wszyscy są zgodni, że to odniesienie do winogron. Winne regiony na południu Francji słyną z dużych winogron, które z kolei mogły być symbolizowane przez niebieskie jabłka. Musisz sobie uświadomić pewien ciąg symboli: dzieci Jezusa to owoce winorośli, to znaczy winogrona, to znaczy niebieskie jabłka.

Maureen przytaknęła.

- A więc Sinclair należy do jednego z tych tajnych stowarzyszeń.

- Sinclair sam dla siebie jest tajnym stowarzyszeniem. - Tammy roześmiała się. - Na swoim terenie jest jak ojciec chrzestny. Nic się nie dzieje bez jego wiedzy czy zgody. No i stanowi źródło finansowania różnych badań. Nie wyłączając moich.

Maureen upiła łyk herbaty i przyjrzała się kopercie w swojej dłoni.

- Ale nie uważasz, że Sinclair może być niebezpieczny?

- O Boże, nie. Jest za bardzo znany, żeby sobie na to pozwalać, choć z pewnością ma dość pieniędzy i wpływów, by ukryć trupy. To był żart, więc nie blednij ze strachu. I jest prawdopodobnie największym na świecie ekspertem w sprawach Marii Magdaleny. Mogłabyś z tego skorzystać, gdybyś tylko się zdobyła na odrobinę otwartości.

- Więc przypuszczam, że zamierzasz wziąć udział w tym jego przyjęciu.

- A coś ty myślała? Pewnie, że tak. Mam już bilet. Poza tym przyjęcie jest planowane na dwudziestego czwartego czerwca, trzy dni po letnim przesileniu. Hmm...

- To znaczy?

- On coś kombinuje, ale nie wiem co. Chce, żebyś była w Paryżu dwudziestego pierwszego, a przyjęcie jest dwudziestego czwartego - to środek lata według starożytnego kalendarza, ale także dzień świętego Jana Chrzciciela. Za czyną się robić coraz ciekawiej. Nie wierzę, że te dwie daty to zbieg okoliczności. Gdzie macie się spotkać?

Maureen wyjęła z torebki list, razem z dołączoną do niego mapą Francji, i podała Tammy.

- Zobacz. - Wskazała palcem. - Od Paryża biegnie czerwona linia na południe Francji.

- To paryski południk, moja droga. Przebiega dokładnie przez samo serce terytorium Marii Magdaleny, posiadłość Sinclaira, jeśli już o tym mówimy.

Tammy odwróciła mapę, by pokazać inną, tym razem Paryża. Zaczęła przesuwac po niej szkarłatnym paznokciem i wybuchnęła ogłuszającym śmiechem, kiedy dostrzegła punkt orientacyjny na lewym brzegu Sekwany, oznaczony czerwonym kółeczkiem.

- O, rany. Co ty knujesz, Sinclair? - Tammy wskazała mapę Paryża. - Kościół Saint-Sulpice. Tam się spotkacie?

Maureen skinęła głową.

- Znasz tę świątynię?

- Oczywiście. Wielki kościół, drugi po Notre Dame, zwany czasem Katedrą Lewego Brzegu. Jest miejscem spotkań tajnych stowarzyszeń od co najmniej siedemnastego wieku. Szkoda, że o niczym nie wiedziałam, zaplanowałabym sobie lot do Paryża, żeby zjawić się tam kilka dni wcześniej. Wiele bym dała, żeby być świadkiem twojego spotkania z ojcem chrzestnym.

-Nie powiedziałam jeszcze, że jadę. To wszystko jest trochę zwariowane. Nie podał mi żadnego kontaktu - ani telefonu, ani e-maila. Nie poprosił nawet o potwierdzenie. Chyba z góry zakłada, że się tam zjawię.

- To człowiek przyzwyczajony do tego, że dostaje to, czego chce. I z jakiegoś powodu, którego nie potrafię zgłębić, jesteś mu chyba potrzebna. Ale jeśli zaczniesz zadawać się z tymi ludźmi, musisz zapomnieć o regułach normalnego społeczeństwa. Nie są niebezpieczni, ale potrafią zachowywać się wyjątkowo ekscentrycznie. Zagadki to nieodłączna część ich gry i będziesz musiała rozwiązać kilka, by udowodnić, że zasługujesz na dopuszczenie do ich wewnętrznego kręgu.

- Wcale nie wiem, czy chcę na to zasługiwać.

Tammy dopiła swoją margaritę.

- Twój wybór, siostró. Ja za nic nie przepuściłabym takiej okazji. Myślę, że to dla ciebie życiowa szansa. Jedź tam jako dziennikarka, żeby zbierać materiały. Pamiętaj tylko, że jak już zagłębisz się w tę tajemnicę, to tak, jakbyś przeszła na drugą stronę lustra i wpadła w króliczą jamę. Bądź więc ostrożna. I trzymaj się kurczowo swojej rzeczywistości, moja konserwatywna Alicjo.

Los Angeles

Kwiecień 2005

Kłótnia z Peterem była bardziej zajadła, niż Maureen przewidywała. Co prawda zdawała sobie wcześniej sprawę, że sprzeciwi się on jej spotkaniu z Sinclairem we Francji, ale nie była przygotowana na tak zażarty opór z jego strony.

- Tamara Wisdom jest stuknięta, nie mogę uwierzyć, że dałaś się na to namówić. Trudno jej doprawdy wierzyć, jeśli chodzi o tego Sinclaira.

Ostra dyskusja toczyła się przez większość kolacji - Peter odgrywał starszego brata i opiekuna zatroskanego o jej bezpieczeństwo, a Maureen robiła wszystko, by ją zrozumiał.

- Pete, wiesz, że nigdy nie lubiłam ryzykować. Cenię sobie porządek i poczucie kontroli nad własnym życiem, i skłamałabym, mówiąc, że to mnie nie przeraża.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo sny i zbiegi okoliczności przerażają mnie jeszcze bardziej. Nie mam na nie wpływu, poza tym, w miarę jak się nasilają, jest coraz gorzej. Mam wrażenie, że muszę podążyć tą ścieżką i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Może

Sinclair zna odpowiedzi, których szukam, tak jak twierdzi. Jeśli jest najwybitniejszym na świecie ekspertem od Marii Magdaleny, to może coś z tej mojej historii zrozumie. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, prawda?

Pod koniec tej wyczerpującej dyskusji Peter zgodził się wreszcie, ale pod jednym warunkiem. „Jadę z tobą”, oświadczył.

I na tym poprzestali.

Wychodząc w sobotni poranek z biura podróży w Westwood, Maureen zadzwoniła z komórki do Petera. Nie powiedziała mu jeszcze wszystkiego. Czasem traktował ją tak, jakby wciąż była dzieckiem, a on jej opiekunem. Choć doceniała jego troskę, była dorosłą kobietą, która koniecznie musiała dokonać ważnego wyboru w krytycznym momencie życia. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, a w rękę trzymała bilety, nadszedł czas, by mu powiedzieć.

- Cześć. Wszystko jest załatwione, mam bilety. Posłuchaj, podjęłam błyskawiczną decyzję i postanowiłam, że najpierw trzeba polecieć do Nowego Orleanu, a dopiero potem do Paryża.

Milczał przez chwilę, zaskoczony.

- Do Nowego Orleanu? W porządku. Rozumiem, że stamtąd polecimy do Paryża.

Nadszedł czas, by to powiedzieć.

- Nie. Do Nowego Orleanu lecę tylko ja. - Pośpieszyła z wyjaśnieniami, by nie zdążył jej przerwać: - Muszę zrobić to sama, Pete. Spotkamy się następnego dnia na lotnisku Kennedy'ego i stamtąd razem polecimy do Paryża.

Peter milczał przez chwilę, potem powiedział tylko:

- Okej.

Maureen czuła się winna z powodu tego oszustwa.

- Posłuchaj, jestem w Westwood, właśnie wyszłam z biura podróży. Możemy umówić się na lunch? Ty wybierasz, ja płacę.

- Nie da rady. Prowadzę dziś dodatkowe zajęcia przed końcowymi egzaminami w Loyoli.

- Daj spokój, nie znajdziesz kogoś od łaciny, kto cię zastąpi przez kilka godzin?

- Od łaciny tak, ale jestem tu jedynym wykładowcą greki, więc mam dziś mnóstwo na głowie.

- Okej. Może któregoś dnia mi powiesz, po co młodzież z dwudziestego pierwszego wieku studiuje martwe języki.

Peter wiedział, że Maureen żartuje. Żywiła ogromny szacunek dla jego wykształcenia i zdolności lingwistycznych.

- Z tego samego powodu, dla którego ja się ich uczyłem, a wcześniej mój dziadek. Przydały się nam, prawda?

Maureen nie mogła się z tym spierać, nawet w żartach. Dziadek Petera, szanowany doktor Cormac Healy, należał do działającej w Jerozolimie komisji, która badała i tłumaczyła teksty na potrzeby znakomitej biblioteki Nag Hammadi. Peter rozbudził w sobie pasję do starożytnych manuskryptów już jako kilkunastoletni chłopak, podczas lata, które spędził ze swoim dziadkiem w Izraelu. W ramach stażu Peter uczestniczył w wykopaliskach na terenie skryptorium w Qumran, gdzie powstały zwoje znad Morza Martwego. Przez długie lata przechowywał kawałeczek cegły z murów skryptorium w muzealnej gablotce obok swego biurka. Ale gdy jego kuzynka okazała prawdziwą pasję i powołanie do pracy pisarskiej, uznał, że ów drobny fragment przeszłości powinien służyć jej jako źródło inspiracji. Maureen, siedząc nad poważnym tekstem, zawsze

miała na szyi skórzany woreczek z odłamkiem starożytnej cegły.

To właśnie podczas tego lata w Izraelu młody Peter znalazł swoje powołanie, zarówno jako uczony, jak i duchowny. Odwiedził wraz z grupą jezuitów święte miejsca chrześcijaństwa, a doświadczenie to miało głęboki wpływ na irlandzkiego idealistę. Zakon jezuitów okazał się doskonałym wyborem w przypadku człowieka łączącego w sobie dwie pasje, religijną i naukową.

Maureen zaplanowała, że spotkają się pod koniec tygodnia. Chowając komórkę do torby, uświadomiła sobie, że od dawna nie czuła się tak lekko.

Ojciec Peter Healy nie mógł powiedzieć tego samego o sobie.

Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych szczyci się bogactwem budynków historycznych w dawnych misjach kalifornijskich, założonych w osiemnastym wieku przez przedsiębiorczego zakonnika franciszkańskiego, ojca Junipero Serrę. Te pozostałości architektury hiszpańskiej są na ogół wzbogacone pięknymi ogrodami albo bliskością cudownej natury.

Peter żywił ogromną sympatię do zakonu franciszkańskiego, a od chwili przybycia do tego stanu, postawił sobie za osobisty cel zwiedzenie wszystkich siedzib misyjnych. Łączyły w sobie wiarę i historię, co przemawiało do jego serca i duszy. Kiedy potrzebował czasu i przestrzeni, by spokojnie pomyśleć, uciekał często do jednego z owych miejsc, do których łatwo było dotrzeć z południowej Kalifornii. Każde odznaczało się urokiem- i stanowiło oazę spokoju,

dając cudowne wytchnienie od gorączkowego życia Los Angeles.

Wybrał tego dnia misję San Fernando, ze względu na przyjaciela, ojca Briana Rourke, który mieszkał w pobliżu i był przeorem zakonu jezuitów z siedzibą na przedmieściach San Fernando Valley. Znajomość Petera z ojcem Brianem datowała się od pierwszych lat w seminarium, gdzie starszy z mężczyzn pełnił funkcję mentora. Teraz Peter potrzebował zaufanego przyjaciela; pragnął sanktuarium, nawet oddalonego od Kościoła, który kochał i któremu był posłuszny. Ojciec Brian zgodził się na spotkanie w krótkim terminie, wyczuwając w głosie Petera słaby ton paniki.

-Twoja kuzynka to praktykująca katoliczka? - Starszy ksiądz spacerował z Peterem po ogrodach misji. Popołudniowe słońce wypełniało dolinę oślepiającym blaskiem i młodszy duchowny ocierał wierzchem dłoni pot z twarzy.

- Nie. Ale jako dziecko była bardzo pobożna. Oboje by liśmy tacy.

Ojciec Rourke przytaknął ze zrozumieniem.

- Coś sprawiło, że odwróciła się od Kościoła?

Peter zawahał się.

- Sprawy rodzinne. Wolałbym o tym nie mówić.

Miał wrażenie, że już samo ujawnienie wizji prześladowanych Maureen bez jej wiedzy jest czymś w rodzaju zdrady. Nie chciał wnikać w jej sekrety rodzinne. W każdym razie nie teraz. Nie bardzo wiedział jednak, co ma robić, a potrzebował rozsądnej rady osoby duchownej, której mógł zaufać.

Starszy ksiądz skinął głową na znak, że rozumie.

- Owe boskie wizje rzadko okazują się godne wiary. Czasem to tylko sny, czasem urojenia z dzieciństwa. Prawdopodobnie nie ma się czym przejmować. Zamierzasz towarzyszyć jej w podróży do Francji?

- Tak. Zawsze byłem jej duchowym doradcą, poza tym jestem chyba jedynym człowiekiem, któremu naprawdę ufa.

- To dobrze, to dobrze. Zatem będziesz mógł się jej przyglądać. Proszę, zadzwoń natychmiast, gdy tylko stwierdzisz, że dziewczyna w jakikolwiek sposób zagraża sama sobie. Pomożemy ci w tej sprawie.

- Jestem pewien, że do tego nie dojdzie. - Peter uśmiechnął się i podziękował przyjacielowi.

Rozmowa przeszła w dyskusję o palącym słońcu Kalifornii i łagodnej porze letniej w rodzinnej Irlandii. Gawędzili przyjaźnie o starych przyjaciółach i ich niegdysiejszym nauczycielu i rodaku, który pełnił obecnie funkcję biskupa gdzieś na głębokim południu. Kiedy nadeszła pora, by się pożegnać, Peter zapewnił starego przyjaciela, że czuje się po tej rozmowie znacznie lepiej.

Kłamał.

Tego popołudnia ojciec Brian Rourke wrócił do swojego biura z ciężkim sercem i niespokojnym sumieniem. Siedział przez długi czas przy biurku, wpatrując się w krucyfiks na ścianie. Westchnąwszy z rezygnacją, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer kierunkowy stanu Luizjana. Nie musiał sprawdzać w notatniku numeru abonenta.

Nowy Orlean
Czerwiec 2005

Maureen jechała wypożyczonym samochodem przez przedmieścia Nowego Orleanu, na fotelu pasażera rozłożyła

mapę. Zwolniła i zjechała na pobocze drogi, zerkając na mapę, by się upewnić, że nie zabłądziła. Zadowolona, znów włączyła się do ruchu. Kiedy pokonała następny zakręt, wyłoniły się przed nią, widoczne wysoko nad linią horyzontu, grobowce w stylu sarkofagów i pomniki, z których słyną cmentarze Nowego Orleanu.

Maureen zatrzymała się na parkingu, po czym sięgnęła na tylną kanapę po torebkę i kwiaty, które kupiła od ulicznego sprzedawcy. Wysiadła z samochodu, starannie unikając błotnistych kałuż, pozostałości po wczesnych i zwiastujących lato burzach, po czym obrzuciła spojrzeniem wypielegnowane groby. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widziała ozdobne wstęgi wieńców. Odetchnąwszy głęboko, ruszyła z kwiatami w dłoni ku bramie cmentarza. Zatrzymała się przy głównym wejściu i podniosła wzrok, a następnie skręciła gwałtownie w lewo, nie wchodząc na teren nekropolii.

Szła wzdłuż ogrodzenia, mijając kolejne bramy, aż dotarła do innego miejsca pochówków, w którym groby były porośnięte mchem i chwastami, zaniedbane i żalosne. Tutaj powierzano ziemi odmieńców.

Kroczyła powoli, ostrożnie i z szacunkiem. Powstrzymywała łzy, przestępując mogiły ludzi, którzy byli porzuceni nawet w chwili śmierci. Postanowiła, że następnym razem przyniesie ze sobą więcej kwiatów, dla nich wszystkich.

Uklękła i odsunęła chwasty, przysłaniające podniszczony kamienny nagrobek. Ukazało się imię: Edouard Paul Paschal.

Maureen zaczęła wściekle wyrywać uparte zielsko. Wokół padały szczątki roślin, ona zaś oczyszczała to miejsce, niepomna na błoto i brud, zbierające się pod jej paznokciami i plamiące ubranie. Wygladziła mogiłę dłońmi i przetarła

nagrobek, by całkowicie odsłonić niewyraźne litery imienia i nazwiska zmarłego.

Na koniec położyła na grobie kwiaty. Wyjęła z torebki oprawioną fotografię i patrzyła na nią przez chwilę, tym razem nie powstrzymując łez. Było to zdjęcie dziewczynki, co najwyżej sześciolatniej, usadowionej na kolanach mężczyzny, który czytał jej książeczkę. Uśmiechali się do siebie, nie zwracając uwagi na aparat fotograficzny.

- Cześć, tato - wyszeptła do zdjęcia, a potem umieściła je na mogile, opierając o nagrobek.

Maureen klęczała przez chwilę nieruchomo z zamkniętymi oczami, próbując przypomnieć sobie jakiś szczegół związany z osobą ojca. Pominawszy tę fotografię, pozostały jej tylko strzępy niejasnych wspomnień. Po jego śmierci matka zabroniła wszelkich rozmów o tym człowieku czy jego roli w ich życiu. Po prostu przestał dla nich istnieć, tak jak i jego rodzina. Maureen wkrótce przeprowadziła się z matką do Irlandii. Jej przeszłość w Luizjanie została zepchnięta w otchłań mglistej pamięci zropaczonego dziecka.

Tego samego ranka Maureen wertowała książkę telefoniczną Nowego Orleanu, szukając abonentów o nazwisku Paschal. Było ich kilku, niektórzy może nawet pochodzili z rodziny. Szybko zamknęła książkę; tak naprawdę nigdy nie zamierzała kontaktować się z domniemanymi krewniakami, nie po tak długim czasie i z pewnością nie teraz. Potraktowała to raczej jako ćwiczenie pamięci.

Na pożegnanie Maureen dotknęła fotografii i otarła łzy ubrudzoną dłonią, która pozostawiła ciemne smugi na jej twarzy. Nie zważała na to. Podniosła się z klęczek i ruszyła z powrotem, nie oglądając się za siebie; przystanąła dopiero przy głównym wejściu. Na terenie cmentarza, w świetle

południowego słońca, jaśniała biała kaplica, zwieńczona wypolerowanym mosiężnym krzyżem.

Niczym ciekawski outsider, Maureen patrzyła zza bramy na kościółek.

Osloniła oczy przed blaskiem odbijającym się od mosiężnego krzyża, odwróciła się i odeszła.

Watykan

Czerwiec 2005

Kardynał Tomas DeCaro wstał zza biurka i wyjrzał przez okno na *piazza*. Nie tylko jego starcze oczy potrzebowały wytchnienia od stosu pożółkłych papierów na blacie. Umysł i sumienie też musiały odpocząć, by mógł rozważyć informację, jaką otrzymał tego ranka. Zbliżało się trzęsienie ziemi, był o tym przekonany. Nie wiedział tylko, jakich zniszczeń dokona ów kataklizm - i kto będzie jego ofiarą.

Wysunął górną szufladę biurka, by rzucić okiem na wizerunek, który dawał mu siłę w takich chwilach. Był to portret papieża, błogosławionego Jana XXIII, nad nim zaś widniały słowa *Vaticanum Secundum* - drugi sobór watykański. U dołu portretu umieszczono cytat tego wielkiego wizjonera, który zaryzykował wiele, by wprowadzić swój ukochany Kościół we współczesny świat. Choć DeCaro znał te słowa na pamięć, odczytał je teraz, umacniając się w swym przekonaniu: „To nie Ewangelia się zmieniła. To my zaczęliśmy rozumieć ją lepiej. Nadeszła chwila, by rozpoznać znaki czasu, wykorzystać szansę i wejrzeć daleko w przyszłość”.

Za oknami wyczuwało się nadchodzące lato, w Rzymie zapowiadał się piękny dzień. DeCaro postanowił urządzić

sobie kilkugodzinne wagarzy i udać się na długi spacer po swym ukochanym Wiecznym Mieście.

Musiał się przejść, musiał pomyśleć, a ponad wszystko musiał się pomodlić o inspirację. Miał nadzieję, że mądry duch papieża Jana pomoże mu znaleźć drogę wyjścia z nadchodzącego kryzysu.

...Bartłomieja przyprowadził do nas Filip, jeszcze jeden z naszego plemienia, który był niezrozumiany -i wyznam tutaj, że jako pierwsza błędnie go oceniłam. Był długo uczniem Jana Chrzciciela i dzięki temu o nim słyszałam. Z tego też powodu upłynęło trochę czasu, nim nauczyłam się mu ufać.

Filip jako człowiek był zagadką - praktyczny i wykształcony. Mogłam z nim rozmawiać w języku hellenistów, którego i mnie uczono. Pochodził ze szlacheckiego rodu i przyszedł na świat w Szebie, jednak przed wieloma laty postanowił wieść życie najwyższej prostoty, wyrzekając się wszelkich pokus zbytkownego życia. Tę cechę jako pierwszy wpoił mu Jan Chrzciciel. Filip z pozoru był trudny i swarliwy, ale w głębi serca skrywał pogodę ducha i dobroć.

Nie potrafiłby skrzywdzić jakiegokolwiek żywej istoty. Zaprawdę, przestrzegał surowych zasad co do spożywania posiłków i nigdy by nie zjadł strawy, której przyrządzenie sprawiłoby ból jakiemuś zwierzęciu. Podczas gdy pozostali z naszego plemienia żywili się rybami, Filip nie chciał nawet o tym słyszeć. Nie mógł znieść myśli o ich miękkich i delikatnych pyskach rozrywanych przez haczyki albo o męce, jaką cierpiały schwymane w sieci. Wiele

razy spierał się o to z Piotrem i Andrzejem! Często wtedy o tym myślałam. Może miał słuszość, a jego wierność owemu przekonaniu to jeden z powodów, dla których go uwielbiałam?

Czasem zdawało mi się, że Filip przypomina zwierzęta, które tak szanował, zwłaszcza te, co chronią się za sprawą igieł i pancerza, tak że nic nie jest zdolne przekłuć delikatnej i miękkiej istoty pod'spodem. A jednak otoczył opieką Bartłomieja, znalazłszy go bezdomnego na drodze. Dostrzegł w nim dobroć i ową dobroć przywiódł do nas.

Po Czasie Ciemności Filip i Bartłomiej byli dla mnie źródłem wielkiej pociechy. To oni poczynili z Józefem pierwsze starania, by zabrać nas w bezpieczne miejsce w Aleksandrii, z dala od naszej ziemi. Bartłomiej był dla dzieci równie ważny jak kobiety. Zaprawdę, przynosił największą pociechę małemu Janowi, który kocha wszystkich. Ale Sara Tamar tak samo uwielbiała Bartłomieja.

Tak, ci dwaj ludzie zasługują na miejsce w niebie, które jest na wieczność wypełnione światłem i doskonałością. Filip troszczył się jedynie o to, by nas chronić i przywieść bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Myślę, że nic by go nie powstrzymało, nieważne, o co bym poprosiła. Gdybym rzekła, że naszym miejscem przeznaczenia jest sam Księżyc, uczyniłby wszystko, co w jego mocy, by nas tam doprowadzić.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział szósty

Paryż Czerwiec
2005

Słońce połyskiwało na powierzchni Sekwany, gdy Maureen i Peter spacerowali brzegiem rzeki. Paryż był skąpany w ciepłym świetle wczesnego lata i oboje nie kryli zadowolenia, mogąc się odprężyć i cieszyć oczy widokami najpiękniejszego w świecie miasta. Czuli, że jeszcze będą mieli czas martwić się spotkaniem z Sinclairem, które wypadło za dwa dni.

Delektowali się rozkami lodowymi, pochłaniając je szybko, by nie roztopiły się w słońcu.

- Mmm, miałeś rację, Peter. Berthillon to być może najlepsze lody na świecie. Wspaniałe.

- Jaki trafił ci się smak? Maureen
ćwiczyła swój francuski.

- *Pqivre*.

- Pieprz? - Peter wybuchnął śmiechem. - Dostałaś lody przyprawione pieprzem?

Maureen zacerwieniła się, zakłopotana, ale spróbowała jeszcze raz.

- *Pauvre?*

- Biedne? Dostałaś biedne lody?

- Okej, poddaję się. Przestań mi dokuczać. Są gruszkowe.

*

- *Poire*. Gruszka to *poire*. Przepraszam, nie powinienem się z ciebie wyśmiewać. Dzielnie sobie poczyniałaś.

- No cóż, od razu widać, kto ma w rodzinie talent do języków.

- Nieprawda. Mówisz pięknie po angielsku.

Oboje wybuchnęli śmiechem, ciesząc się niefrasobliwością chwili i pięknem dnia.

Gotycka wspaniałość katedry Notre Dame dominowała nad Ile de la Cite, tak jak czyniła to od ośmiuset lat. Kiedy zbliżyli się do kościoła, Peter spojrzął z czcią na potężne mury ozdobione mnóstwem posągów świętych i gargulców.

- Kiedy ujrzałem tę budowlę po raz pierwszy, powiedziałem: „Bóg tu mieszka”. Chcesz wejść do środka?

- Nie, wolę zostać na zewnątrz, z gargulcami; tu moje miejsce.

- To najsłynniejsza gotycka budowla na świecie i symbol Paryża. Jako turystka jesteś zobowiązana wejść do środka. Poza tym witraże są fenomenalne, trzeba też koniecznie zobaczyć rozetę w słońcu południa.

Maureen zawahała się, ale Peter chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Śmiało. Obiecuję, że mury nie runą, kiedy tam wejdziesz.

Promienie słońca przenikały słynną rozetę, pograżając Maureen i Petera w lazurowym świetle, poprzątkanym

szkarłatnymi pasemkami. Peter przechadzał się, chłonąc wzrokiem witraże, szczerze wniebowzięty. Maureen szła powoli tuż za nim, starając się z wysiłkiem przekonać samą siebie, że to budynek o ogromnym historycznym i architektonicznym znaczeniu, a nie jeszcze jeden kościół.

Minął ich jakiś ksiądz, skinąwszy z powagą na powitanie. Maureen się potknęła, a ksiądz przystanął i wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, mówiąc coś po francusku. Maureen uśmiechnęła się i uniosła dłoń, by dać mu do zrozumienia, że wszystko w porządku. Peter zbliżył się do niej, gdy duchowny zniknął.

- Nic ci nie jest?

- Nie, trochę mi się zakręciło w głowie. Może to zmiana czasu.

- Niewiele ostatnio spałaś.

-To też mi nie pomogło. - Maureen wskazała jedną z bocznych ławek, stojących równolegle do rozety. - Posiedzę tu chwilę i rzucę okiem na witraże, a ty sobie pospaceruj.

Peter nie krył troski, ale Maureen machnęła ręką.

- Nic mi nie jest. Idź. Zaczekam tutaj na ciebie.

Peter skinął głową i poszedł zwiedzać katedrę. Maureen usiadła w ławce, starając się odzyskać równowagę. Nie powiedziała Peterowi, jak bardzo jest rozdygotana. Pojawiło się to tak niespodziewanie; wiedziała, że jeśli nie usiądzie, to nogi odmówią jej posłuszeństwa. Zapewne odczuwała skutki zmiany stref czasowych i wyczerpania.

Maureen przesunęła dłońmi po twarzy, starając się zapanować nad zawrotami głowy. Kalejdoskopowe promienie barwnego światła, wpadające do środka przez rozetę, do bywały z mroku ołtarz i wielki krucyfiks. Maureen zamrugała z wysiłkiem. Krucyfiks jakby rósł w jej oczach z każdą chwilą.

y

Kiedy zaczęła ogarniać ją mgła nieświadomości, a wizja napłynęła z całą mocą, chwyciła się za głowę.

Błyskawica rozdarła nienaturalnie ciemne niebo w owo najbardziej mroczne piątkowe popołudnie. Kobieta w czerwieni potykała się co chwila i wspinała niepewnym krokiem na wzgórze, dążąc z wysiłkiem na jego szczyt. Nie zwracała uwagi na zadrapania i rany pokrywające jej ciało ani na rozdarte szaty. Miała tylko jeden cel- dotrzeć do Niego.

Odrażający dźwięk młota wbijającego gwóźdź — metalu uderzającego o metal - rozbrzmiewał w powietrzu nieubłaganie. Kobieta w końcu załamała się i zawyla - był to krzyk najczystszej ludzkiej rozpacz.

Kobieta dotarła do stóp krzyża, gdy zaczęło padać. Podniosła na Niego wzrok, a krople Jego krwi spadły na jej bolekiwą twarz, mieszając się z bezlitosnym deszczem.

Zagłębiona w wizji, Maureen straciła poczucie miejsca. Jej skowyt, echo rozpacz Marii Magdaleny, rozległ się w katedrze Notre Dame, wzbudzając przestрах turystów; Peter ruszył biegiem w jej stronę.

- Gdzie jesteśmy?

Maureen ocknęła się na leżance w pokoju wyłożonym boazerią. Ujrzała nad sobą zaniepokojoną i poważną twarz Petera, który odparł:

- W jednym z biur katedry.

Wskazał głową francuskiego księdza, którego spotkali wcześniej. Wszedł właśnie przez ukryte drzwi na tyłach pomieszczenia. Na jego twarzy malowała się troska.

- Ojciec Marcel pomógł mi przynieść cię tutaj. Nie byłaś w stanie pójść gdziekolwiek o własnych siłach.

Ojciec Marcel zbliżył się i podał jej szklanekę wody. Wypiła z wdzięcznością i powiedziała *merci*, kleryk zaś skinął głową i wycofał się dyskretnie w głąb pokoju, na wypadek gdyby potrzebowali jego pomocy.

- Przepraszam - zwróciła się niepewnie do Petera.

- Daj spokój. To najwyraźniej jest niezależne od ciebie. Chcesz mi powiedzieć, co widziałaś?

Maureen zrelacjonowała wizję. Peter z każdym jej słowem robił się coraz bledszy na twarzy. Kiedy skończyła, spojrzął na nią z głęboką powagą.

- Maureen, wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale uważam, że doznajesz boskich wizji.

-Nie powinnam przypadkiem poradzić się jakiegoś księdza? - zażartowała.

- Mówię poważnie. Nie mam doświadczenia, ale mogę znaleźć kogoś, kto się na tym zna. Chcę tylko, żebyś z nim porozmawiała, nic więcej. To naprawdę może pomóc.

-Wykluczone - oświadczyła zdecydowanym tonem Maureen, siadając na kozetce. - Odprowadź mnie tylko do hotelu, żebym mogła odpocząć. Zdrzemnę się trochę i od razu poczuje się lepiej.

Po otrząśnięciu się z wizji Maureen była w stanie wyjść z pomieszczeń katedralnych o własnych siłach. Z ulgą

przyjęła wiadomość, że może skorzystać z bocznego wyjścia, co pozwoliło jej uniknąć ponownej wędrówki po wnętrzu tego ogromnego symbolu chrześcijaństwa.

Kiedy Peter się upewnił, że Maureen można zostawić samą w jej pokoju, wrócił do siebie. Siedział przez chwilę, wpatrując się w telefon. Było za wcześnie, żeby dzwonić do Stanów. Postanowił wyjść do miasta i wrócić o bardziej odpowiedniej porze.

Nieco dalej, nad brzegiem Sekwany, ojciec Marcel znów przemierzał tonące w blasku świec wnętrze najśłynniejszej katedry gotyckiej. Za nim kroczył duchowny irlandzki, biskup O'Connor, który próbował zadawać pytania w bardzo kiepskiej francuszczyźnie.

Ojciec Marcel zaprowadził go do ławki, w której Maureen doznała wizji, i wyjaśnił wszystko powoli, starając się przełamać barierę językową. Choć podjął szczerą próbę porozumienia się z Irlandczykiem, sprawiał wrażenie kogoś, kto przemawia do idioty.

O'Connor odesłał go niecierpliwym skinieniem dłoni, rozsiadł się w ławce i w głębokim skupieniu popatrzył na krzyż nad ołtarzem.

Paryż

19 czerwca 2005

Jaskinia Muszkietierów była mniej złowieszcza za dnia, jej mrok bowiem rozpraszała bezlitosna żarówka fluorescencyjna. Obecni mieli na sobie zwykłe ubrania i nie nosili już

tych dziwnych czerwonych sznurów na szyi, znaku przynależności do Gildii Sprawiedliwych.

Na tylnej ścianie wisiała kopia portretu Jana Chrzciciela pędzla Leonarda da Vinci, niespełna przecznicę od Luwru, gdzie znajdował się bezcenny oryginał. Jan spogląda z owego słynnego płótna, mając na twarzy znaczący uśmiech. Dłoń trzyma uniesioną, prawy palec wskazujący i kciuk są skierowane ku niebu. Leonardo kilkakrotnie namalował Jana w takiej pozie, zwanej często gestem „Pamiętaj o Janie”. Znaczenie takiego układu dłoni było przez wieki tematem ożywionej dyskusji.

Anglik siedział jak zwykle u szczytu stołu, plecami do obrazu. Amerykanin i Francuz zajęli miejsca po obu jego stronach.

- Nie rozumiem, do czego zmierza - warknął Anglik. Wziął ze stołu książkę w twardej oprawie i potrząsnął nią wymownie. - Przeczytałem ją dwa razy. Nie ma tu nic nowego, absolutnie nic, co mogłoby nas zainteresować. Albo jego. Więc o co chodzi? Czy któryś z was ma jakiegokolwiek refleksje na ten temat? Czy też mówię wyłącznie do siebie?

Z nieukrywaną odrazą rzucił książkę z powrotem na stół. Amerykanin podniósł ją i zaczął od niechęcia wertować. Zatrzymał się przy wewnętrznej stronie okładki i spojrzął na zdjęcie autorki.

- Jest urocza. Może chodzi tylko o to.

Anglik prychnął pogardliwie. Typowy śmieszny jankes, który niczego nie rozumie. Zawsze miał zastrzeżenia do amerykańskich członków gildii, ale ten idiota pochodził z bogatej rodziny, związanej z ich dziedzictwem, więc musieli go po prostu przyjąć.

- Sinclair ze swoimi pieniędzmi i władzą ma na każde zawołanie, i to przez okrągłą dobę, lepsze kandydatki. Jego

wyczyny w tej dziedzinie są legendarne w Brytanii i na kontynencie. Nie, chodzi o coś więcej niż zabawa z tą dziewczyną, i spodziewam się, że wy dwaj się tego dowiecie. I to szybko.

-Jestem prawie pewien, że uważa ją za Pasterkę, ale szybko to ustalę - oznajmił Francuz. - Jadę pod koniec tygodnia do Langwedocji.

- To za późno - rzucił gniewnie Anglik. - Byłoby dobrze, gdybyś wyjechał już jutro. A najlepiej dzisiaj. Czas odgrywa tu ważną rolę, jak doskonale wiecie.

- Ma rude włosy - zauważył Amerykanin.

- Każda dziwka z dwudziestoma euro w kieszeni - warknął Anglik - jeśli ma na to ochotę, może zafundować sobie rude włosy. Jedźcie tam i ustalcie, dlaczego ta kobieta jest taka ważna. Szybko. Bo jeśli Sinclair znajdzie przed nami to, czego szuka...

Nie dokończył - nie musiał. Dwaj pozostali doskonale wiedzieli, co by się stało, tak jak wiedzieli, co się wydarzyło ostatnim razem, kiedy ktoś opowiadający się po niewłaściwej stronie zbytnio się do nich zbliżył. Amerykanin był szczególnie wrażliwy i myśl o rudowłosej autorce bez głowy napawała go niepokojem.

Wziął ze stołu egzemplarz książki Maureen, wetknął go pod pachę i wyszedł w ślad za swoim francuskim towarzyszem na oślepiające słońce Paryża.

Kiedy jego podwładni zniknęli, Anglik, który został ochrzczony jako John Simon Cromwell, wstał od stołu i ruszył w głąb piwnicy. Za narożnikiem, niewidoczna od strony głównego pomieszczenia, znajdowała się płytką wnęka.

Mieścił się w niej ciężki kredens z ciemnego drewna; po prawej stronie mebla umieszczono mały ołtarz. Stojący przed nim kłęcznik był przeznaczony tylko dla jednej osoby.

Drzwi kredensu były ozdobione kutymi w żelazie elementami, a niższy schówek chronił imponujący zamek. Anglik sięgnął pod koszulę, po czym, wyciągnąwszy zawieszony na szyi klucz, przyklęknął, wsunął go do masywnego zamka i otworzył niższą część kredensu.

Wyjął dwa przedmioty - butelkę ze święconą wodą, którą przelał do złotej chrzcielnicy na ołtarzu, i niewielki, ale bogato zdobiony relikwiarz.

Cromwell umieścił go ostrożnie na ołtarzu i zanurzył dłonie w chrzcielnicy. Następnie natarł obiema dłońmi szyję, wypowiadając przy tym słowa jakiejś inwokacji. Potem uniósł relikwiarz na wysokość oczu. Przez maleńką szybkę w pojemniku ze szczerego złota można było dostrzec błysk czegoś, co przypominało kość słoniową. Kiedy Anglik spojrział na długą, wąską i ponacinaną kość ludzką, ta zagrzehotała w swej niewielkiej trumnie. Przycisnęła relikwię do piersi i zaczął się żarliwie modlić.

- O, wielki Nauczycielu Sprawiedliwości, wiedz, że cię nie zawiodę. Ale błagamy cię, byś nam pomógł. Pomóż nam, którzy szukamy prawdy. Pomóż nam, którzy żyjemy tylko po to, by służyć twemu wielkiemu imieniu. A nade wszystko pomóż nam zmusić tę sukę, by pozostała tam, gdzie jest.

Amerikanin, teraz już sam, szedł chodnikiem *rue de Tivoli* i mówił głośno do komórki, przekrzykując hałas paryskiego ruchu ulicznego.

- Nie możemy czekać dłużej. To całkowity odszczepienie, absolutnie poza jakąkolwiek kontrolą.

Głos po drugiej stronie rozbrzmiewał amerykańskim akcentem rozmówcy - gładkim, północno-wschodnim i równie gniewnym.

- Trzymaj się planu. Pomoże nam dojść do celu stopniowo i skutecznie. Poza tym został opracowany przez znacznie mądrzejszych od ciebie - dobiegł ze słuchawki głos starszego mężczyzny.

- Ci mądrzejsi ode mnie nie przebywają tutaj - rzucił do słuchawki młodszy. - Nie widzą tego, co ja. Do diabła, tato, kiedy mi wreszcie zaufasz?

- Kiedy na to zasłużysz. Chwilowo zabraniam ci robić cokolwiek głupiego.

Młodszy Amerykanin zamknął gwałtownie klapkę telefonu komórkowego, przeklinając przy tym. Wyłonił się z za rogu przed hotelem Regina i ruszył przez plac Piramid. Podniósł wzrok i zatrzymał się w ostatniej chwili, unikając kolizji ze słynnym złożonym posągiem Joanny d'Arc, dłuta wielkiego Fremieta.

- Dziwka - mruknął pod adresem zbawczyni Francji i splunął na nią, nie zwracając uwagi, czy ktokolwiek to widzi.

Paryż

20 czerwca 2005

Szklana piramida autorstwa I.M. Pei połyskiwała w porannych promieniach letniego francuskiego słońca. Maureen i Peter, oboje rześcy i wypoczęci po całonocnym śnie, czekali w kolejce turystów na wejście do Luwru. Peter rzucił

okiem na długi ogonek zwiedzających, którzy trzymali przewodniki.

- I całe to zamieszanie z powodu Mony Lisy. Nigdy tego nie zrozumie. Najbardziej przereklamowany obraz na tej planecie.

- Zgadzam się. Ale kiedy ci wszyscy ludzie zaczną się tratować nawzajem, żeby go obejrzeć, będziemy mieli całe skrzydło Richelieu dla siebie.

Maureen i Peter kupili bilety i zaczęli studiować plan Luwru.

- Dokąd idziemy?

- Najpierw Nicolas Poussin. Chcę zobaczyć na własne oczy „Pasterzy arkadyjskich”, nim zaczniemy oglądać cokolwiek innego.

Ruszyli wzdłuż skrzydła, w którym wisiały dzieła francuskich mistrzów, szukając wzrokiem enigmatycznego arcydzieła Poussina.

- Tammy powiedziała mi, że ten obraz jest od kilkuset lat przedmiotem kontrowersji. Ludwik XIV walczył dwadzieścia lat, żeby go zdobyć. Kiedy w końcu mu się to udało, zamknął go w piwnicy w Wersalu, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Dziwne, co? Jak myślisz, dlaczego król Francji miałby tak bardzo starać się o jakieś dzieło sztuki, a potem ukryć je przed światem?

- To po prostu jeszcze jedna z licznych tajemnic. - Peter sprawdzał numerację w przewodniku. - Według tego, co tu napisali, obraz powinien być gdzieś...

- Tutaj! - wykrzyknęła Maureen.

Peter podszedł do niej i oboje przez chwilę patrzyli na płótno. Maureen przerwała milczenie i odwróciła się do Petera.

- Czuję się tak głupio. Jakbym czekała, aż ten obraz do mnie przemówi. - Znów spojrzała na malowidło. - Chcesz mi coś powiedzieć, pasterko?

Petera uderzyła nagle pewna myśl.

- Nie mogę uwierzyć, że nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

-Co?

- Idea pasterki. Jezus to dobry pasterz. Może Poussino-wi - albo przynajmniej Sinclairowi - chodziło o dobrą pasterkę?

- Tak! - wykrzyknęła podniecona Maureen, odrobinę za głośno. - Może Poussin chciał nam pokazać Marię Magdalenę jako pasterkę, przewodniczkę swego stada. Przywódczynię swego Kościoła!

Peter drgnął.

- No cóż, właściwie nie to chciałem powiedzieć...

- Nie musiałeś. Ale spójrz, na tym grobowcu jest jakaś inskrypcja.

- *Et in Arkadia ego* - przeczytał głośno Peter. - Hmm. Nie ma sensu.

- Co to znaczy?

- Nic nie znaczy. To gramatyczny bałagan.

- Mimo wszystko spróbuj to jakoś przełożyć.

- To albo kiepska łacina, albo rodzaj szyfru. W dosłownym tłumaczeniu jest to niedokończone zdanie, z grubsza znaczy „I ja w Arkadii...”. Nie ma większego sensu.

Maureen słuchała Petera, ale w muzeum zaczęła rozbrzmiewać niecierpliwy kobiecy głos, rozpraszając jej uwagę.

- Sandro! Sandro!

Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła głosu, nim zwróciła się do Petera:

- Przepraszam, ale przez tę kobietę jestem rozkojarzona. Głos rozległ się znowu, tym razem był donośniejszy i co raz bardziej irytował Maureen.

- Kto to jest?

Peter spojrział na nią zdumiony.

- O kogo ci chodzi?

- O tę kobietę, która woła...

- Sandro! Sandro!

Maureen spojrzała na Petera, kiedy głos się nasilił. Najwyraźniej go nie słyszał. Odwróciła się, by popatrzeć na innych turystów i studentów, pochłoniętych oglądaniem bezcennych dzieł sztuki na ścianach. Wydawało się, że nikt inny nie uświadamia sobie niecierpliwego nawoływania, które rozbrzmiewało w Luwrze.

- O Boże. Nie słyszysz tego, prawda? Nikt tego nie *słysz*y prócz mnie.

Peter patrzył na nią bezradnie.

- Czego nie słyszysz?

- W muzeum rozbrzmiewa głos kobiety, która wołała: „Sandro! Sandro!”. Chodź.

Maureen chwyciła Petera za rękaw i ruszyła biegiem w stronę, skąd dobiegało wołanie.

- Dokąd idziemy?

- Za tym głosem. Dochodzi stamtąd.

Popędzili przez muzealne korytarze. Kiedy wpadali na zwiedzających. Maureen co chwila rzucała przez ramię „przepraszam”, głos przeszedł w nagły szept, ale prowadził ją dokądś, ona zaś była zdecydowana podążać za nim. Przemknęli ponownie przez skrzydło Richelieu, nie zwracając

uwagi na gniewne spojrzenie poirytowanego strażnika, potem zbiegli po schodach i pokonali jeszcze jeden korytarz, mijając po drodze tabliczki wskazujące drogę do skrzydła Denona.

- Sandro... Sandro... Sandro...!

Głos umilkł nagle, gdy Maureen i Peter wspięli się na wielkie schody i przeszli obok słynnego posągu bogini Nike w całej jej skrzydlatej glorii. Skręciwszy u szczytu schodów w prawo, stanęli przed dwoma mniej znanymi arcydziełami włoskiego renesansu. Peter dokonał pierwszego odkrycia.

- Freski Botticellego.

Nagle oboje uświadomili sobie pewien fakt.

- Sandro. Sandro Botticelli.

Peter spojrzał na freski, a potem na Maureen.

- Boże, jak tyś to zrobiła?

Maureen zadrżała.

- Nic nie zrobiłam. Słuchałam tylko i szłam za głosem.

Skupili uwagę na postaciach niemal naturalnych rozmiarów, zaludniających oba freski, które sąsiadowały ze sobą. Peter przetłumaczył tytuły na tabliczkach.

- Pierwszy fresk jest zatytułowany „Wenus i trzy gracje obdarowują młodą kobietę”. Drugi nosi tytuł „Lorenzo Tornabuoni w kręgu sztuk”. Mówi się, że to Wenus wprowadza młodzieńca w tajemnice sztuk wyzwolonych. Ten drugi obraz został namalowany z okazji ślubu Lorenza Tornabuoni i Giovanni Albizzi.

- Dobrze, ale dlaczego nie ma pewności, że chodzi o Wenus? - zastanawiała się Maureen.

Peter pokręcił głową.

- Mieli chyba wątpliwości, czy to rzeczywiście ona widnieje na obrazie.

Malowidło w sposób wyszukany, a jednocześnie osobliwy, przedstawiało młodego człowieka trzymającego dłoń kobiety w czerwonej szacie. Stali przed siedmioma kobietami, z których trzy dzierżyły niezwykle i niepasujące do siebie rekwizyty: jedna ścisnęła w dłoni ogromnego i nieco groźnego skorpiona czarnego koloru, a jej sąsiadka łuk. Trzecia trzymała pod dziwnym kątem jakiś instrument do pomiarów architektonicznych.

- Siedem sztuk wyzwolonych - zastanawiał się głośno Peter. - Dziedziny nauki wyższej. Czy ten obraz ma nam powiedzieć, że był to wszechstronnie wykształcony młody człowiek?

- Co to takiego siedem sztuk wyzwolonych?

Zamykając oczy, by przypomnieć sobie studia klasyczne, Peter wyrecytował:

- *Trivium*, czyli trzy pierwsze ścieżki nauki, to gramatyka, retoryka i logika. Dalsze cztery, czyli *quadrivium*, to matematyka, geometria, muzyka i kosmologia; są one inspirowane przez Pitagorasa, który żywił przekonanie, że wszystkie liczby przedstawiają określone wzory czasu i przestrzeni.

Maureen uśmiechnęła się.

- Niezwykłe. Co teraz?

Peter wzruszył ramionami.

- Nie wiem, co z tego wszystkiego pasuje do naszej coraz bardziej skomplikowanej układanki.

Maureen wskazała skorpiona.

- Dlaczego obraz ślubny miałby przedstawiać kobietę trzymającą wielkiego jadowitego pajęczaka? Którą ze sztuk wyzwolonych mógłby przedstawiać?

- Nie jestem pewien. - Peter zbliżył się do barierki odgradzającej ich od fresku i wychylił się nad nią. - Ale przyjrzyj

się dokładnie. Skorpion jest ciemniejszy i wyraźniejszy niż reszta obrazu. Tak jak wszystkie przedmioty trzymane przez kobiety. Można odnieść wrażenie, że...

- Że zostały domalowane później - dokończyła Maureen.

-Ale przez kogo? Przez samego Sandra? Czy też ktoś inny kombinował przy freskach mistrza?

Maureen pokręciła głową, szczerze tym wszystkim zdumiona.

Siedząc nad *cafe creme* w kawiarni w Luwrze, Maureen przeglądała z Peterem swoje nabytki. Wybrała reprodukcje dzieł, które zobaczyli, i książkę o życiu i twórczości Botticellego.

- Mam nadzieję dowiedzieć się więcej o genezie tego fresku.

- Mnie bardziej interesuje geneza tego głosu, które cię zaprowadził w odpowiednie miejsce.

Maureen upiła łyk kawy.

- Co to mogło być? Moja podświadomość? Boska interwencja? Obłąd? Duchy Luwru?

- Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie, ale nie potrafię.

- Ale z ciebie duchowy doradca - zażartowała Maureen, po czym skupiła uwagę na reprodukcji Botticelliego, którą odwinęła z papieru. Kiedy załamane światło piramidy padło na obraz, doznała olśnienia.

- Zaraz, zaraz. Powiedziałeś, że kosmologia była jedną ze sztuk wyzwolonych? - Spojrzała na swój miedziany pierścień.

Peter przytaknął.

-Astronomia, kosmologia. Studia nad gwiazdami. A o co chodzi?

- Mój pierścień. Człowiek w Jerozolimie, który mi go dał, powiedział, że to pierścień kosmologa.

Peter przesunął dłonią po twarzy, jakby to mogło mu pomóc w rozwikłaniu zagadki.

- Więc co to ma sugerować? Że powinniśmy szukać od powiedzi w gwiazdach?

Maureen położyła palec na wizerunku tajemniczej kobiety trzymającej dużego czarnego pajęczaka, a po chwili niemal podskoczyła, wykrzykując:

- Skorpion!

- Słucham?

- Znak zodiaku. A kobieta obok trzyma w dłoni łuk. Symbol Strzelca. Skorpion i Strzelec to sąsiednie znaki zodiaku.

- Więc uważasz, że na fresku umieszczono jakiś szyfr związany z astronomią?

Maureen powoli skinęła głową.

- W każdym razie możemy od tego zacząć.

Przez okno pokoju hotelowego sączyły się światła Paryża, dobywając z mroku przedmioty leżące na łóżku obok Maureen. Zasnęła nad książką Botticelliego, reprodukcja obrazu zaś leżała po drugiej stronie.

Maureen nie była tego świadoma. Znów wchłonął ją sen.

Przy stole znajdującym się w pomieszczeniu o kamiennych ścianach, i rozjaśnionym słabym blaskiem lamp oliwnych, garbiła się stara kobieta. Długie szare włosy przykryła splotiałym czerwonym szalem. Skręcone od artretyzmu dłonie wodziły starannie piórem po papierze.

Prócz stołu i krzesła jedynym meblem w izbie był duży drewniany kufel. Staruszka przestała pisać, wstała i podeszła powoli do skrzyni. Ukłękła ostrożnie i uniosła ciężkie wieko. Spojrzała przez ramię, a po jej twarzy przemknął błogi uśmiech zrozumienia. Odwróciła się do Maureen i przywołała ją ruchem dłoni.

Paryż

21 czerwca 2005

Najstarszy most Paryża, Pont Neuf, jest często zwany „nowym mostem”, co stanowi zabawny ukłon w stronę galijskiej ekscentryczności. Jest on główną arterią paryskiego życia, łącząc przez Sekwanę modną Pierwszą Dzielnicę z sercem Lewego Brzegu.

Peter i Maureen minęli posąg Henryka IV, jednego z najbardziej ukochanych władców Francji, za którego łaskawych rządów, w 1606 roku, ukończono budowę mostu. Był piękny paryski poranek, pełen olśniewającego majestatu, tak charakterystycznego dla niezrównanego miasta światel. Pomimo doskonałości otoczenia, Maureen nie kryła zdernerwowania.

- Która godzina?

- Pytałaś o to pięć minut temu - odparł z uśmiechem Peter.

- Przepraszam. Zaczyna mnie to wszystko wyprowadzać z równowagi.

- Napisał w liście, żebyś była w kościele w południe. Jest jedenasta. Mamy mnóstwo czasu.

Przeszli na drugi brzeg Sekwany i ruszyli według mapy, w stronę krętych uliczek Lewego Brzegu. Skręcili w *rue Dauphine*, minęli stację metra Odeon przy Saint-Sulpice i znaleźli się na malowniczym placu o tej samej nazwie.

Ogromne, niepasujące do siebie dzwonnice kościoła majaczyły dumnie ponad placem, rzucając cienie na słynną fontannę zbudowaną przez Viscontiego w 1884 roku. Kiedy zbliżyli się do wielkich drzwi, Peter poczuł, jak Maureen się waha.

- Nie zostawię cię tym razem - obiecał i położywszy uspokajającym gestem dłoń na jej ramieniu, otworzył wrota kościoła.

Weszli cicho, dostrzegając grupę turystów w pierwszej kaplicy po prawej stronie. To musieli być studenci sztuk pięknych z Anglii. Ich nauczyciel mówił przyciszonym głosem o trzech arcydziełach Delacroix, które zdobiły tę część świątyni: „Walka Jakuba z aniołem”, „Heliodor wygnany ze świątyni” i „Święty Michał pokonujący smoka”. W innych okolicznościach Maureen byłaby skłonna obejrzeć słynne dzieła i posłuchać ukradkiem wykładu w rodzimym języku, ale tego dnia miała inne sprawy na głowie.

Przeszli obok studentów i zagłębili się w trzewia budynku, oglądając z podziwem potężną, historyczną świątynię. Niemal instynktownie, Maureen zbliżyła się do ołtarza z dwoma wielkimi malowidłami po obu stronach. Każde

miało wysokość co najmniej trzydziestu stóp. Pierwsze przedstawiało scenę z dwiema kobietami - jedną odzianą w błękit, drugą w czerwień.

- Maria Magdalena ze świętą Dziewicą? - zaryzykowała Maureen.

- Tak mi się wydaje, sądząc po kolorach szat. Watykan ustalił na mocy dekretu, że Matka Boska może być przedstawiana tylko w bieli albo w błękitcie.

- A moja Pani jest zawsze w czerwieni. - Maureen podeszła do drugiego dzieła po przeciwnej stronie ołtarza. - Spójrz na to...

Obraz ukazywał Jezusa leżącego w grobowcu, podczas gdy Maria Magdalena szykowała jego ciało do pochówku. Na krawędzi sceny było widać Matkę Bożą i dwie inne, pogrążone w rozpacz kobiety.

- Maria Magdalena przygotowuje ciało Chrystusa do pochówku? Tego nie ma chyba w Ewangeliach, prawda?

- Marek w ustępie piętnastym i szesnastym wspomina, że razem z innymi kobietami przyniosła do grobowca wonne olejki, ale nie opisuje samego aktu namaszczenia.

- Hmm - zastanawiała się głośno Maureen - a tutaj mamy Marię Magdalенę, która robi właśnie coś takiego. Czy w hebrajskiej tradycji namaszczenie ciała przed pochówkiem nie było zarezerwowane wyłącznie dla...

- Żony - rozległ się za ich plecami arystokratyczny męski głos z cieniem szkockiego akcentu.

Maureen i Peter odwrócili się gwałtownie, by spojrzeć na człowieka, który zbliżył się do nich tak cicho. Trzeba przyznać, że mężczyzna robił wrażenie. Był na swój sposób przystojny i nieskazitelnie ubrany; choć jego strój i zachowanie świadczyły o wysokim urodzeniu, to nie było w nim nic nاپuszonego. Prawdę powiedziawszy, wszystko, co dotyczyło

Berengera Sinclaira, było odrobinę nietypowe, absolutnie indywidualne. Włosy miał perfekcyjnie ostrzyżone, a mimo to wydawały się zbyt długie, by kiedykolwiek zaakceptowano je w Izbie Lordów. Jedwabna koszula przywodziła na myśl raczej Versace niż eleganckie sklepy przy Savile Row. Naturalną arogancję, która towarzyszy zwykle najwyższym przywilejom, łagodził humor - kiedy mężczyzna mówił, odnosiło się wrażenie, że za chwilę na jego ustach pojawi się lekko krzywy i niemal chłopięcy uśmiech. Maureen z miejsca uległa fascynacji tym człowiekiem; stała niczym wrośnięta w ziemię, słuchając dalszej części wywodu.

- Tylko żona miała prawo przygotować swojego męża do pochówku. Chyba że zmarł nieżonaty, w którym to przypadku honor przypadał jego matce. Jak widać na tym obrazie, matka Jezusa jest obecna, jednak nie dokonuje rytuału. Co prowadzi do jedynej możliwej konkluzji.

Maureen spojrzała na malowidło, a potem znów na charakterystycznego mężczyznę przed sobą.

- Że Maria Magdalena była Jego żoną - dokończyła.

- Brawo, panno Paschal. - Szkot skłonił się teatralnie. - Proszę mi jednak wybaczyć, całkowicie zapomniałem o manierach. Lord Berenger Sinclair, do usług.

Maureen podeszła, by uścisnąć mu dłoń. Sinclair zaskoczył ją, przytrzymując jej drobną rękę bardzo długą chwilę. Obracał ją w swej dłoni i przesuwając nieznacznie palcem po pierścieniu, który nosiła. Ponownie błysnął szelmowskim uśmiechem i mrugnął.

Maureen była całkowicie zbита z tropu. Wielokrotnie się zastanawiała, jak będzie wyglądał Sinclair, czegokolwiek się jednak spodziewała, nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Starając się za wszelką cenę zapanować nad sztywnym językiem, oznajmiła:"

- Mnie już pan zna. - Odwróciła się do Petera, by go przedstawić. - A to jest...

Sinclair jej przerwał:

- Ojciec Peter Healy, oczywiście. Pani kuzyn, jeśli się nie mylę? I niezwykle wykształcony człowiek. Witam w Paryżu, ojciec Healy. Był ksiądz już tutaj, ma się rozumieć. - Zerknął na swój modny i nieprawdopodobnie drogi szwajcarski ze garek. - Mamy jeszcze kilka minut. Chodźcie, są tu rzeczy, które uznacie za bardzo interesujące, jak mi się wydaje.

Kiedy przemierzali kościół, Sinclair rzucił przez ramię:

- Tak na marginesie, nie zwracajcie sobie głowy prze wodnikiem, który tu sprzedają. Pięćdziesiąt stron i ani sło wa o Marii Magdalenie. Jakby dzięki temu mogła po prostu zniknąć.

Maureen i Peter dotrzymywali mu kroku, by w końcu zatrzymać się przy małym bocznym ołtarzu.

- Jak widzicie, jest w tym kościele przedstawiana wiele krotnie, a mimo to ignorowana. Oto doskonały przykład.

Sinclair poprowadził ich do marmurowego posągu Piety, klasycznej rzeźby przedstawiającej Matkę Boską, która trzyma w objęciach ciało martwego Chrystusa. Na prawym ramieniu świętej Dziewicy wsparła głowę Maria Magdalena.

- Przewodnik określa to dzieło jako „Pietę, osiemnasty wiek, Włochy”. Oczywiście, tradycyjna Pieta ukazuje Dziewicę obejmującą swego syna po ukrzyżowaniu. Obecność Marii Magdaleny w tym przypadku jest wysoce nieortodoksyjna, a jednak... celowo ignorowana. - Sinclair westchnął dramatycznie i pokręcił głową, najwyraźniej nie mogąc pogodzić się z taką niesprawiedliwością.

- Jaka jest więc pańska teoria? - spytał Peter nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Arogancja Sinclaira zaczynała

go irytować. - Że istnieje jakiś spisek Kościoła, który ma na celu usunięcie wszelkich wzmianek o Marii Magdalenie?

- Proszę samemu wyciągnąć wnioski, proszę księdza. Ale powiem jedno: we Francji poświęcono więcej kościołów Marii Magdalenie niż jakiegokolwiek świętemu, nie wyjąwszy Matki Boskiej. W Paryżu znajduje się rejon nazwany jej imieniem. Byliście w Madeleine, jak przypuszczam?

Maureen coś sobie nagle uświadomiła.

- Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale Madeleine to po francusku Magdalena, tak?

- Zgadza się. Odwiedziliście kościół w Madeleine? To ogromna budowla, dedykowana jej osobie, a jednak na żadnym dziele, jakie się tam znajduje, nie widniała początkowo postać Marii Magdaleny. Na żadnym. Dziwne, prawda? Umieszczono nad ołtarzem rzeźbę Marochettiego, która, jak się dowiedziałem, była pierwotnie zatytułowana „Wniebowzięcie Maryi Dziewicy”, i zmieniono to na „Wniebowzięcie Marii Magdaleny” za sprawą nacisków ze strony... no cóż, tych, którym zależało na prawdzie.

- Zaraz mi pan powie, że Marcel Proust nazwał swoje ciastka na jej cześć - zażartował Peter. W przeciwieństwie do Maureen, która z miejsca uległa fascynacji Sinclairem, irytowała go bezceremonialną pewnością siebie tego człowieka.

- No cóż, z jakiegoś powodu mają kształt muszli świętego Jakuba - oznajmił Sinclair i wzruszył ramionami, pozostawiając Peterowi rozwiązanie tej zagadki, po czym przysunął się do Maureen.

- Wygląda to tak, jakby próbowano zatrzeć wszelki ślad po niej - zauważyła Maureen.

- Rzeczywiście, droga panno Paschal. Wielu dokładało starań, byśmy zapomnieli o dziedzictwie Magdaleny, ale jej

obecność jest zbyt silna. I jak zapewne zdążyła już pani zauważyć, nie zostanie zignorowana, zwłaszcza...

Dzwony kościelne zaczęły wybijać dwunastą w południe, przerywając Sinclairowi w pół słowa. Ponownie poprowadził ich pośpiesznie przez kościół. Wskazał wykonaną z brązu wąską linię południka, wpuszczoną w posadzkę i biegnącą dokładnie przez transept północ-południe. Linia kończyła się przy marmurowym obelisku w egipskim stylu, zwieńczonym złotym globem i krzyżem.

- Chodźcie, szybko. Jest południe, musicie to zobaczyć. To zdarza się tylko raz do roku.

Maureen wskazała linię z brązu.

- Co ona oznacza?

- Paryski południk. Dzieli Francję w bardzo ciekawy sposób. Popatrzcie tam, w górę.

Sinclair wskazał okno nad ich głowami, na drugim końcu kościoła. Kiedy się odwrócili, w szybie zabłysnął promień słońca i oświetlił linię wtopioną w kamień. Patrzyli, jak światło tańczy na posadzce, podążając wzdłuż południka. Potem zaczęło się wspinać na obelisk, by w końcu sięgnąć globu, otaczając złoty krzyż nieskazitelną iluminacją.

- Piękne, prawda? Ten kościół został tak usytuowany, by w doskonały sposób ukazywać przesilenie letnie.

- Rzeczywiście, piękne - przyznał Peter. - Nie chciałbym jednak pana rozczarować, panie Sinclair, ale ma to swoje religijne uzasadnienie. Wielkanoc przypada w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca, po równonocy wiosennej. Nie jest niczym niezwykłym, że w kościołach wymyślano różne metody oznaczania przesilen i równonocy.

Sinclair wzruszył ramionami i zwrócił się do Maureen:

- Ma całkowitą rację.

- Ale z tym paryskim południkiem chodzi o coś więcej, prawda?

- Niektórzy nazywają go Linią Magdaleny. Jest podobna do linii na mapie, którą pani przysłałem - linii, która zaczyna się w Amiens i kończy w Montserrat. Jeśli chce się pani dowiedzieć dlaczego, proszę spotkać się ze mną za dwa dni w moim domu w Langwedocji, a wyjaśnię to pani. I nie tylko to. Och, prawie zapomniałem. - Sinclair wyjął z wewnętrznej kieszeni jedną ze swoich eleganckich welinowych kopert. - Rozumiem, że jest pani znajomą uroczej dokumentalistki filmowej, Tamary Wisdom. Weźmie udział w naszym balu kostiumowym, który ma się odbyć pod koniec tygodnia. Mam nadzieję, że się przyłączycie. Nalegam też, by zatrzymała się pani w *chateau* jako mój gość.

Maureen popatrzyła na Petera, chcąc się zorientować, co on o tym myśli. Nie spodziewali się tego.

- Lordzie Sinclair - zaczął Peter. - Maureen przebyła kawał drogi, by się z panem spotkać. Obiecał pan w swoim liście wyjaśnić pewne sprawy...

- Ojczy Healy - przerwał mu Sinclair - ludzie od dwóch tysięcy lat starają się zrozumieć tę tajemnicę. Nie może ksiądz oczekiwać, że pozna wszystkie odpowiedzi w ciągu jednego dnia. Prawdziwej wiedzy nie zdobywa się łatwo, prawda? Proszę mi wybaczyć, mam spotkanie, a już jestem spóźniony. Muszę uciekać.

Maureen położyła mu dłoń na ramieniu.

- Lordzie Sinclair, wspomniał pan w swoim liście o moim ojcu. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś przynajmniej o nim.

Sinclair spojrział na Maureen i nieco złagodniał.

- Moja droga - zwrócił się do niej serdecznie - jestem w posiadaniu listu napisanego przez pani ojca i sądzę, że

niezwykle on panią zaciekaWi. Nie mam go przy sobie, znajduje się w *chdteau*. To jeden z powodów, dla których powinna pani przyjechać i zatrzymać się u mnie. I ojciec Healy, oczywiście.

Maureen była poruszona.

- List? Jest pan pewien, że wyszedł spod ręki mojego ojca?

- Czy pani ojciec nazywał się z francuska Edouard Paul Paschal? I czy mieszkał w Luizjanie?

- Tak - odparła niemal szeptem Maureen.

-W takim razie list pochodzi z pewnością od niego. Znalazłem go w naszym rodzinnym archiwum.

- Ale co w nim jest?

- Panno Paschal, byłoby z mojej strony ogromnym nie-taktem, gdybym próbował powiedzieć to pani w tej chwili, gdyż moja pamięć jest po prostu okropna. Z chęcią go pani pokażę, kiedy się zjawicie w Langwedocji. Naprawdę muszę już uciekać. Jeśli będziecie potrzebować czegoś przed przyjazdem, zadzwonicie pod numer podany na zaproszeniu i poproście Rolanda. Pomoże wam we wszystkim. Wystarczy powiedzieć, o co wam chodzi.

Sinclair oddalił się pośpiesznie bez pożegnania. Rzucił tylko przez ramię:

- Och, wierzę, że już macie mapę. Po prostu podążajcie za Linią Magdaleny.

Echo kroków Szkota rozbrzmiewało w kościele, kiedy odchodził, Maureen i Peter zaś mogli tylko patrzeć na siebie bezradnie.

Przy lunchu w knajpce na Lewym Brzegu rozmawiali o dziwnym spotkaniu z Sinclairem. Różnili się zdecydowanie

opiniami na jego temat. Podejrzliwość Petera graniczyła z irytacją. Fascynacja Maureen graniczyła z oczarowaniem.

Postanowili zrzucić kalorie po posiłku, spacerując po Jardin du Luxemburg.

Jakaś rodzina z gromadką hałaśliwych dzieci urządziła sobie piknik na trawie. Dwoje młodszych gonilo piłkę i siebie nawzajem, podczas gdy starsze wraz z rodzicami głośno dopingowały rodzeństwo. Peter przystanął i przyglądał się im przez chwilę ze smutkiem na twarzy.

- Co się stało? - spytała Maureen.

- Nic, nic. Myślałem tylko o domu. Siostrze, jej dzieciakach. Wiesz, nie byłem w Irlandii od dwóch lat. Nie wspomnę już o tym, ile czasu upłynęło od chwili twojego powrotu.

- Stąd to tylko ponad godzina lotu.

- Wiem. Zapewniam cię, że myślę o tym. Zobaczymy, jak nam się tu powiedzie. Jeśli znajdę czas, skoczę tam na kilka dni.

- Pete, jestem dużą dziewczynką i sama dam sobie do skonałe radę. Dlaczego nie miałbyś skorzystać z okazji i wybrać się do domu?

- I zostawić cię samą w łapach Sinclaira? Oszalałaś?

Piłka, teraz w posiadaniu starszych dzieci, poleciała w stronę Petera. Zatrzymał ją stopą i kopnął z powrotem w stronę dzieci. Pomachał im i ruszył z Maureen dalej.

- Żałowałaś kiedykolwiek swojej decyzji?

- Jakiej decyzji? Że przyjechałem tu z tobą?

- Nie. Że zostałeś księdzem.

Peter przystanął gwałtownie, zaszokowany pytaniem.

- Co ci, u licha, przyszło do głowy?

- Obserwowałam cię przed chwilą. Kochasz dzieci. Byłby z ciebie wspaniały tata. *

Peter ruszył dalej, wyjaśniając:

- Nie żałuję. Miałem powołanie i poszedłem za jego głosem. Wciąż je mam i myślę, że nigdy go nie stracę. Wiem, że zawsze było ci to trudno zrozumieć.

- Nadal mi trudno.

- Hmm. Wiesz, na czym polega paradoks mojej sytuacji?

-No?

- Na tym, że to między innymi z twojego powodu zo stałem księdzem.

Tym razem Maureen zatrzymała się jak wryta.

- Z mojego? Jakim cudem? Dlaczego?

- Obróciłaś się przeciwko swojej wierze z powodu przestarzałych idei kościelnych. To dzieje się z wieloma ludźmi, a przecież tak być nie musi. Teraz istnieją zakony - młodsze, wykształcone, postępowe - które starają się wnieść w dwudziesty pierwszy wiek duchowość i przybliżyć ją młodzieży. Znalazłem tę duchowość u jezuitów, których po raz pierwszy spotkałem w Izraelu. Próbowali odmienić to wszystko, co oddaliło cię od Kościoła. Chciałem w tym uczestniczyć. Chciałem pomóc ci na nowo odnaleźć wiarę. Tobie i innym.

Maureen patrzyła na niego, powstrzymując łzy, które napływały jej do oczu.

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Peter wzruszył ramionami.

- Nigdy nie pytałaś.

...Końcowe cierpienie Ezy było dla nas wszystkich straszliwa udręka, ale Filip przeżywał to całym sobą. Krzyczał często przez sen i nie chciał mi powiedzieć,

dlaczego, ani pozwolić sobie pomóc. Prawdę ujawnił mi ostatecznie Bartłomiej, który wyjaśnił, że Filip nie chciał ranić mnie tak straszliwymi wspomnieniami. Był każdej nocy dręczony myślą o męce Ezy, obrazem jego straszliwych ran.

Inni otaczają mnie czcią, gdyż jako jedyna z nas byłam świadkiem Pasji Ezy.

Podczas pobytu w Egipcie Bartłomiej stał się najbardziej oddanym z moich uczniów. Pragnął dowiedzieć się jak najwięcej i jak najszybciej. Był żarliwy, głodny wiedzy, jak człowiek łaknący chleba. Było tak, jakby ofiara Ezy uczyniła w Bartłomieju wylom, który mogło wypełnić tylko nauczanie Drogi. Wiedziałam wtedy, że ma szczególne powołanie, że zanieśie słowa o Miłości i Świetle całemu światu, że inni odmienia się za jego sprawą. Zatem każdej nocy, gdy wszyscy już spali, uczyłam Bartłomieja tajemnic, aby był gotowy, gdy nadejdzie czas.

Nie wiedziałam jednak, czyja będę gotowa. Z czasem pokochałam go tak bardzo jak własne dzieci i bałam się o niego — ponieważ czułam, że jego piękno i czystość nie zostaną zrozumiane przez innych tak, jak były rozumiane przez tych, którzy kochali go najbardziej. Był człowiekiem pozbawionym przebiegłości.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział siódmy

*Langwedocja 22
czerwca 2005*

Za oknem szybkiego pociągu przemykała zielen francuskiej prowincji. Maureen i Peter nie mieli czasu podziwiać scenerii; ich uwagę pochłaniały całkowicie przeróżne mapy, książki i dokumenty rozłożone na stoliku.

- *Et in Arkadia ego* - mruknął Peter, bazgrząc na żółtym bloczku kartek. -*Et... In... Arca-di-a... ego...*

Wpatrywał się w mapę Francji, tę z biegnącą przez środek czerwoną linią. Wskazał ją.

- Zobacz, jak południk paryski przecina Langwedocję, aż do tego miasta. Arques. Bardzo ciekawa nazwa.

Peter wymówił ją, ona zaś zabrzmiała podobnie do słowa „arka”.

- Jak arka Noego czy Arka Przymierza? - spytała z niekłamnym zainteresowaniem Maureen.

- Właśnie. Arka to wieloznaczne słowo w łacinie - ogólnie znaczy „pojemnik”, ale i „grobowiec”. Zaraz, zaraz, popatrzmy na to.

Peter wziął bloczek i pióro. Zaczął po kolei nakreślać litery sentencji *Et in Arcadia ego*. Potem, w górnej części kartki, napisał drukowanymi czarnymi literami słowo „ark”. Poniżej, w ten sam sposób, umieścił „arc”.

Maureen przyszło coś do głowy.

- Okej, co powiesz na to? *Arc. Arc - adia*. Może wcale nie chodzi o mityczną krainę Arkadii? Może kryje się w tym zbitka kilku słów? Da się z tego zrobić coś sensownego po łacinie?

Peter napisał dużymi literami: *ARC A DIA*.

- No i co? - spytała gorączkowa Maureen. - Czy to znaczy cokolwiek?

- Jeśli popatrzysz na to w ten sposób, może znaczyć „arka Boga”. Przy odrobinie wyobraźni da się to przełożyć jako „I w arce Boga jestem”. - Peter wskazał miasto Arques na mapie. - Przypuszczam, że nie orientujesz się w historii Arques? Gdyby z miastem wiązała się jakaś święta legenda, zdanie to mogłoby znaczyć „I w wiosce Boga jestem”. Wiem, że to naciągane, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Posiadłość Sinclaira leży niedaleko Arques.

- Owszem, to jednak nie wyjaśnia, dlaczego Nicolas Poussin utrzymał być może to miejsce na swoim obrazie, i to czterysta lat temu. Albo dlaczego słyszałaś w Luwrze głosy, patrząc na ten obraz. Wydaje mi się, że chwilowo powinniśmy rozpatrywać to wszystko, co ci się przytrafiło, pomijając Sinclaira.

Peter wyraźnie lekceważył rolę tego człowieka w doznaniach Maureen. Miała wizje Magdaleny od kilku lat, na długo przed poznaniem Berengera Sinclaira.

Maureen skinęła głową.

- Powiedzmy więc, że jeśli Arques z jakiegoś powodu było uważane za miejsce święte, za „wioskę Boga”, to Poussin dawał nam do zrozumienia, że znajduje się tam coś ważnego. Czy tak właśnie jest? „I w wiosce Boga jestem”?

Peter przytaknął zamyślony.

- To tylko teoria. Ale zdaje się, że okolice wokół Arques są warte zwiedzenia, prawda?

W Quillan był akurat dzień targowy i to małe miasteczko u podnóża Pirenejów rozbrzmiewało, jak co tydzień, gwarem handlowego święta. Mieszkańcy Langwedocji przechodzili pośpiesznie od straganu do straganu, robiąc zapasy świeżych warzyw i ryb przywiezionych znad Morza Śródziemnego.

Peter i Maureen wędrowali po targowisku, ona z reprodukcją „Pasterzy arkadyjskich” w dłoni. Sprzedawca owoców rozpoznał dzieło i roześmiał się, wskazując kopię.

- Ach, Poussin!

Po chwili zaczął udzielać im wskazówek. Peter poprosił go, by mówił wolniej. Mniej więcej dziesięcioletni synek sprzedawcy dostrzegł niepewność Maureen, kiedy jego ojciec rozmawiał z Peterem, i postanowił wypróbować swoją łamaną, ale pozbawioną kompleksów angielszczyznę.

- Pani chce obejrzeć grób Poussina?

Maureen przytaknęła z entuzjazmem. Do tej chwili nie wiedziała nawet, że grobowiec z obrazu w ogóle istnieje. - Tak. *Oui!*

- Okej. Iść do głównej drogi i w dół. Kiedy pani zobaczy kościół, w lewo. Grób Poussina na wzgórzu.

Maureen podziękowała chłopcu, a potem sięgnęła do torebki i wyjęła pięć euro.

- *Merci, merci beaucoup* - podziękowała chłopcu, wsuwając mu w dłoń banknot.

Dzieciak uśmiechnął się szeroko.

- *De rien, madame! Bon chance!* - zawołał za nimi sprzedawca, kiedy oboje opuszczali targowisko.

Ostatnie słowo należało jednak do jego syna: *Et in Arcadia ego!* Roześmiał się i ruszył przed siebie, by zarobione pieniądze wydać na słodycze.

Jakoś' zdołali rozszyfrować wspólnymi siłami wskazówki udzielone przez ojca i syna, i ostatecznie znaleźli się na właściwej drodze.

Peter prowadził ostrożnie, podczas gdy Maureen przyglądała się okolicy zza szyby samochodu.

- Tam! Chodzi właśnie o to? Na tamtym wzgórzu?

Peter zaparkował obok łagodnego zbocza, porośniętego na szczycie niskimi drzewkami i zaroślami. Za kępą krzewów widać było górną krawędź prostokątnego kamienia nagrobnego.

- W Ziemi Świętej widywałem samotne grobowce w takim samym stylu. Jest ich w rejonie Galilei kilkanaście - wyjaśnił Peter. Nagle zamilkł, jakby uderzony jakąś myślą.

- Co się stało? - spytała Maureen.

-Właśnie sobie przypomniałem, że jeden znajduje się na drodze do Magdali. Jest bardzo podobny do tego. Może nawet identyczny.

Ruszyli poboczem drogi, szukając ścieżki, która zaprowadziłaby ich na szczyt wzniesienia. Znaleźli wąski i porośnięty gęsto szlak. Maureen przystanęła u jego podnóża i przyklękła.

- Spójrz na te rośliny. Są martwe.

Peter ukląkł obok niej i wziął do ręki kilka patyków i liści, ułożonych na początkowym odcinku ścieżki.

- Masz rację.

- Wygląda, jakby ktoś chciał zamaskować tę drogę - zauważyła Maureen.

- Może to robota właściciela tej ziemi. Miał dość ludzi takich jak my, którzy nachodzą jego grunty. Czterysta lat turystyki każdego wyprowadziłoby z równowagi.

Wspinali się ostrożnie, przestępując nad roślinnością i podążając ścieżką na szczyt wzniesienia. Kiedy ich oczom ukazał się prostokątny granitowy głaz, Maureen wyjęła reprodukcję obrazu Poussina i porównała ją z krajobrazem. Występ skalny widoczny za grobowcem znalazł na obrazie swe zwierciadlane odbicie.

- Zobacz, wszystko się zgadza.

Peter podszedł do nagrobka i przesunął po jego powierzchni dłonią.

- Tyle że sam kamień jest gładki - zauważył. - Nie ma na nim napisu.

- A więc inskrypcja stanowiła wymysł Poussina?

To pytanie zawisło w powietrzu, kiedy okrążała kamień. Jego tylna strona była zakryta przez krzewy i wysoką trawę, więc Maureen próbowała odsunąć tę przeszkodę. Kiedy ujrzała odsłoniętą powierzchnię, z jej ust wyrwał się krzyk:

- Chodź tutaj! Musisz to zobaczyć!

Peter przeszedł na jej stronę i pomógł rozsunąć zarośla. Kiedy ujrzał na własne oczy to, co tak podekscytowało Maureen, pokiwał głową w zdumieniu.

Na powierzchni kamienia widniał wzór dziewięciu krążków otaczających centralny dysk.

Był identyczny ze wzorem na pradawnym pierścieniu Maureen.

Oboje spędzili noc w niewielkim hotelu w Couiza, kilka mil od Arques. Lokalizację wybrała Tammy, ze względu na bliskość enigmatycznej posiadłości zwanej Rennes-le-Chateau i noszącej w ezoterycznych kręgach miano Wioski Tajemnicy. Tammy przyleciała do Langwedocji późnym

wieczorem; umówili się na spotkanie nazajutrz rano przy śniadaniu.

Tammy wkroczyła zdecydowanie do sali jadalnej, gdzie czekali już na nią Peter i Maureen, popijając kawę.

- Przepraszam za spóźnienie. Samolot do Carcassonne wystartował po czasie i zanim tu przyjechałam, było już po północy. Najpierw nie mogłam zasnąć, a potem wstać z łóżka.

- Zaczęłam się martwić, kiedy nie odezwałaś się wczoraj wieczorem - powiedziała Maureen. — Sama przyjechałaś samochodem z Carcassonne?

- Nie. Kilku przyjaciół też wybiera się na jutrzejszą uroczystość u Sinclaira, zabrałam się z nimi. Jeden tu mieszka, więc mnie podrzucił.

Kelner postawił na stoliku koszyk croissantów i przyjął od Tammy zamówienie na drinka. Tammy poczekała, aż mężczyzna się oddali, i oznajmiła:

- Musimy wymeldować się z hotelu jeszcze dziś rano.

Maureen i Peter nie kryli zdziwienia.

- Dlaczego? - spytali jednocześnie.

- Sinclair się wścieka, że zatrzymaliśmy się tutaj. Został mi wiadomość zeszłego wieczoru. Przygotował nam po koje w swoim *chdteau*.

Peter był podejrzliwy.

- Nie podoba mi się ten pomysł. - Zwrócił się do Maureen, szukając u niej poparcia: - Wolałbym zostać tutaj; wy daje mi się, że będziesz bezpieczniejsza. Hotel to neutralne terytorium, miejsce, dokąd będziemy mogli się wycofać, jeśli coś cię zaniepokoi.

Tammy nie kryła irytacji.

- Wiecie, ilu ludzi zabiłoby dla tego zaproszenia? *Chdteau* jest fantastyczne; to jak żywe muzeum. Jeśli odmówicie,

Sinclair może się obrazić, a zapewniam, że nie chcielibyście tego. Ma wam zbyt dużo do zaoferowania.

Maureen była w rozterce. Patrzyła to na kuzyna, to na przyjaciółkę. Peter miał rację - hotel zapewniał im neutralność. Ale myśl, że zatrzyma się w *chdteau* i przyjrzy enigmatycznemu Sinclairowi z bliska, silnie działała na jej wyobraźnię.

Tammy wyczuła jej wahanie.

- Mówiłam ci, że Sinclair nie jest niebezpieczny. Wprost przeciwnie, sądzę, że to wspaniały człowiek. - Popatrzyła na Petera. - Jeśli uważasz inaczej, przypomnij sobie stare porzekadło: „Trzymaj przyjaciół blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej”.

Przed końcem śniadania Tammy przekonała oboje, że powinni wymeldować się z hotelu. Peter obserwował ją uważnie podczas posiłku, odnotowując w myślach, że jest bardzo elokwentną kobietą.

*Rennes-le-Chdteau, Francja 23
czerwca 2005*

- Nigdy nie znaleźlibyście tego miejsca za pierwszym razem, gdyby ktoś nie pokazał wam drogi. - Tammy udzielała wskazówek z tylnego siedzenia wozu. — Skręć tutaj; widzisz tę niewielką drogę? Prowadzi pod górę, do samego Rennes-le-Chiteau.

Wąska droga była prymitywnie wybrukowana i wiła się ostrymi zakrętami. Zwykła tablica na szczycie wzgórza, częściowo zasłonięta przez krzaki, podawała nazwę maleńkiej miejscowości.

- Możesz tu zaparkować. - Tammy wskazała niewielką łąkę przy wjeździe do wioski.

Kiedy wysiedli z samochodu, Maureen spojrzęła na zegarek. Po chwili zerknęła na jego tarczę ponownie i zauważyła:

- Jakie to dziwne. Stał mi zegarek, a wymieniłam baterię przed wyjazdem ze Stanów.

Tammy wybuchnęła śmiechem.

- Widzisz, zabawa już się zaczyna. Na tym magicznym wzgórzu czas ma inny wymiar. Gwarantuję ci, że kiedy opuścimy tę okolicę, twój zegarek zacznie chodzić.

Peter i Maureen popatrzyli na siebie, podążając za Tammy. Nie zamierzała niczego wyjaśniać, ruszyła tylko przed siebie, by po chwili rzucić przez ramię żart:

- Panie i panowie, wkraczacie właśnie w Strefę Mroku.

Wioska rzeczywiście sprawiała wrażenie miejsca, o którym czas zapomniał. Była zaskakująco mała i wydawała się dziwnie wyludniona.

- Mieszka tu ktoś? - spytał Peter.

- O, tak. To normalna wioska. Żyje tu niespełna dwieście osób, ale żyje.

- Jak tu nienaturalnie cicho - zauważyła Maureen.

- Zawsze tak jest - wyjaśniła Tammy. - Dopóki nie pojawi się autobus.

Kiedy weszli do wioski, po prawej stronie ukazały się pozostałości *chdteau*, niemal ruina domu, który dał nazwę tej osadzie.

-To Chateau Hautpol. Było warownią templariuszy podczas wypraw krzyżowych. Widzicie tę wieżę? - Wskazała kruszejącą konstrukcję. - Nie dajcie się zwieść niepozornej lokalizacji i nie zwracajcie uwagi na stan budowli. Wieża Alchemii jest jednym z najważniejszych symboli ezoterycznych na terenie Francji. Może na całym świecie.

- Zakładam, że zechcesz nam powiedzieć, dlaczego? - odezwał się Peter.

Jego irytacja narastała z każdą chwilą. Był zmęczony tymi tajemniczymi gierkami; pragnął po prostu, by ktoś udzielił mu kilku sensownych odpowiedzi.

- Powiem wam, ale jeszcze nie teraz. Tylko dlatego, że nic z tego nie zrozumiecie, dopóki nie poznacie historii tej wioski. Zostawimy to sobie na koniec. Powiem, jak będzie my stąd wyjeżdżać.

Minęli niewielką księgarnię po lewej stronie. Była zamknięta, ale okno wystawowe ozdabiały okładki dzieł z symbolami okultyzmu.

- Nie przypomina to typowej katolickiej wioski - szepnęła Maureen do Petera, kiedy Tammy wysforowała się do przodu.

- Z pewnością - przyznał Peter, patrząc na dziwny zbiór książek i biżuterii z motywem pentagramu.

Kiedy szli w ślad za Tammy przez starodawną kamienną i osobliwą wioskę, uwagę Maureen przykuła jeszcze jedna ciekawostka na przeciwległym murze wąskiej uliczki. Na ścianie jednego z domów, na wysokości oczu, wyryto coś w rodzaju zegara słonecznego. Metalowy środek już dawno odpadł, zostawiając po sobie dziurę noszącą ślady starości. Przyjrzawszy się dokładniej, zauważyli, że w oznaczeniach widniejących na zegarze nie ma nic niezwykłego. Zaczynały się od liczby dziewięć i dochodziły do liczby siedemnaście, między nimi zaś widniały połówki godzin. Lecz ponad tymi cyframi umieszczono szereg tajemniczych symboli.

Peter zerknął ponad ramieniem Maureen, kiedy pokazała dziwne znaki.

- Co według ciebie oznaczają? - spytała.

Tammy zawróciła w ich stronę, uśmiechając się jak kot, który uraczył się śmietanką.

- Widzę, że już znaleźliście pierwszą z naszych osobiwości w RLC - rzuciła.

-RLC?

- Rennes-le-Chateau. Tak wszyscy mówią na wioskę, bo nazwa jest cholernie długa. Musicie zacząć się uczyć miejscowego dialektu, żebyście rozumieli wszystko na jutrzejszym *party*.

Maureen ponownie odwróciła się do znaków na ścianie domu. Peter studiował je z uwagą.

- Poznają te symbole, chodzi o planety. To jest Księżyc i Merkury. A tu Słońce? - Wskazał krąg z kropką pośrodku.

- Zgadza się - potwierdziła Tammy. - A to Saturn. Pozostałe symbole są związane z astrologią. Tu jest Waga, Panna, Lew, Rak i Bliźnięta.

Maureen przyszło coś do głowy.

- Jest tu gdzieś Skorpion? Albo Strzelec?

Tammy pokręciła głową, ale wskazała lewą stronę zegara słonecznego, która na klasycznej tarczy oznaczałaby godzinę siódmą.

- Nie. Widzicie to miejsce, gdzie kończą się znaki? To Saturn. Gdyby znaki biegły w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, Skorpion następowałby po Wadze, a potem byłby Strzelec.

- Dlaczego znaki kończą się w takim dziwnym miejscu? - zapytała Maureen.

-1 co to znaczy? - dorzucił Peter. Tammy uniosła dłonie w geście bezradności. -To chyba jakieś odniesienie do pozycji planet. To wszystko, co wiemy.

Maureen wciąż wpatrywała się w zegar. Myślała o fresku Sandra Boticellego w Luwrze, starając się znaleźć jakiś związek ze skorpionem z obrazu. Pragnęła zrozumieć zastosowanie tak dziwnego zegara słonecznego, jeśli to był zegar.

- Czy to coś w rodzaju „When the moon is in the seventh house and Jupiter alians with Mars”? - przytoczyła początkowy wers piosenki z musicalu Hair.

- Jeśli zaczniecie śpiewać „Erę Wodnika”, to żegnam - oświadczył Peter.

Roześmiali się wszyscy, a Tammy wyjaśniła:

- Maureen ma rację. To prawdopodobnie aluzja do szcze gólnego układu planet. A ponieważ tę tarczę umieszczono na frontonie rzucającego się w oczy domu, musimy założyć, że każdy mieszkaniec wioski miał o tym wiedzieć.

Tammy poprowadziła ich dalej, wskazując jeden z domów.

- Centralnym punktem wioski jest muzeum i willa wraz z przyległym terenem. To tam, przed nami.

Na końcu wąskiej uliczki stał budynek mieszkalny, niezwykła willa z kamienia. Z tyłu, w pewnej odległości, wznosiła się wieża o osobliwym kształcie, przylegając do zbocza góry.

- Tajemnica tej willi ma związek z bardzo dziwną historią o sławnym - czy raczej niesławnym - księdzu, który mieszkał tu pod koniec dziewiętnastego wieku. To był *l'abbe* Berenger Sauniere.

- Berenger? Czy nie tak ma na imię Sinclair? - spytał Peter.

Tammy przytaknęła.

- Tak, i nie jest to zbieg okoliczności. Dziadek Sinclaira miał nadzieję, że jeśli jego wnuk będzie nosił to samo imię co ksiądz, to być może odziedziczy niektóre jego przymioty -

Sauniere bronił nieustraszenie miejscowych historii i tajemnic, był też bez reszty oddany dziedzictwu Marii Magdaleny. W każdym razie krążyły liczne legendy o tym, co *l'abbe* tu znalazł, kiedy przystąpił do odbudowy kościoła. Niektórzy wierzą, że był to zaginiony skarb templariuszy z Jerozolimy. Ponieważ sąsiednie *chateau* było kojarzone z rycerzami Czerwonego Krzyża, możliwe, że tu właśnie, na tej odległej placówce, ukryli łupy zagarnięte w Ziemi Świętej. Kto szukałby czegokolwiek cennego w takim miejscu? Niektórzy powiadają, że Sauniere znalazł jakieś bezcenne dokumenty. Cokolwiek to było, stał się bardzo bogatym człowiekiem, nagle i w tajemniczych okolicznościach. Wydał za swego życia miliony, choć otrzymywał rocznie wynagrodzenie duchownego równe mniej więcej dwudziestu pięciu dolarom. Skąd więc brała się ta cała gotówka? W latach osiemdziesiątych zeszłego wieku troje badaczy brytyjskich napisało książkę o księdzu Sauniere i jego tajemniczym bogactwie; stała się bestsellerem. W Stanach wydano ją pod tytułem *Święta krew, święty Graal*; jest w kręgach ezoterycznych uważana za klasykę. Niestety, ta sama książka wywołała szaleństwo poszukiwania skarbów na tym terenie. Naturalne zasoby zostały wyczerpane, a lokalne zabytki zniszczone przez religijnych fanatyków i łowców pamiątek. Sinclair musiał nawet postawić na swej ziemi uzbrojonych strażników, żeby strzegli grobowca.

- Grobowca Poussina? - spytała Maureen.

Tammy skinęła głową.

- Oczywiście. To centrum tej całej tajemnicy, właśnie dzięki „Pasterzom arkadyjskim”.

- Poszliśmy wczoraj obejrzeć ten grobowiec. Nie widziałem żadnych strażników - wyznał Peter.

Tammy wybuchnęła swym gardłowym śmiechem.

- Dlatego, że jesteście mile widziani na ziemi Sinclaira; Wierzcie mi, jeśli tam byliście, to wiedział o tym. A gdyby nie życzył sobie waszej obecności na wzgórzu, to wy byście o tym wiedzieli.

Dotarli pod wielki budynek, który górował nad wsią. Tabliczka głosiła: „Willa Betania - rezydencja Berengera Sauniera'a”.

Kiedy weszli do muzeum, Tammy uśmiechnęła się i skinęła głową kobiecie przy kontuarze, która tylko machnęła ręką.

- Nie musimy płacić za wejście? - zdziwiła się Maureen, kiedy minęli tablicę z cenami biletów.

Tammy zaprzeczyła ruchem głowy.

-Nie, znają mnie tutaj. Wykorzystuję to miejsce jako scenografię do dokumentu o historii alchemii.

Poprowadziła ich obok szklanej gabloty, prezentującej szaty duchowne noszone w dziewiętnastym wieku przez *I'abbe* Sauniera'a. Peter zatrzymał się, żeby je obejrzeć, podczas gdy Tammy doszła do końca holu. Przystanąła przy starym kamiennym filarze z wyrytym krzyżem.

-Jest nazywany filarem rycerzy, podobno wykuli go w ósmym wieku Wizygoci. Kiedyś stanowił część ołtarza w starym kościele. Kiedy *I'abbe* Sauniera przesunął go w czasie odnawiania willi, odkrył jakieś tajemnicze, zaszyfrowane pergaminy, tak w każdym razie mówią. Kopie pergaminów zostały powiększone przez kustoszów muzeum, by lepiej było widać zaszyfrowaną treść. Rozrzucone litery zostały przedstawione grubym drukiem, ale po dokładniejszej analizie okazało się, że nie ma niczego przypadkowego w ich rozmieszczeniu.

Maureen wskazała maksymę *Et in Arcadia ego*, widoczną pośród wytłuszczonych znaków.

- Znów to samo - powiedziała do Petera, po czym zwróciła się do Tammy: - Więc co to znaczy? Rodzaj jakiegoś kodu?

- Znam co najmniej pięćdziesiąt teorii na ten temat. Ta fraza jest źródłem całej literatury.

- Kiedy jechaliśmy tu pociągiem, Peter przedstawił ciekawą teorię - wyznała Maureen. - Uważa, że te słowa odnoszą się do Arques. „W Arques, wiosce Boga, jestem”.

Tammy była pod wrażeniem.

- Nieźle, *padre*. Większość uważa, że to łaciński anagram. Jeśli przestawisz odpowiednio litery, otrzymasz: *I tego arcana Dei*.

- „Ukryłem sekrety Boga” - przetłumaczył Peter.

- Owszem. Niewiele nam to wyjaśnia, co? - Tammy się roześmiała. - Chodźcie, pokażę wam dom w środku.

Peter jednak wciąż myślał o grobowcu Poussina.

- Czekaj chwilę. Czy nie sugerowałoby to, że ukryto coś wewnątrz grobowca? Jeśli zebrać to wszystko razem, wychodzi mniej więcej: „W Arques, wiosce Boga, ukryłem sekrety”.

Maureen i Peter czekali na reakcję Tammy. Zastanawiała się przez chwilę.

- Teoria równie dobra jak każda inna. Niestety, grobowiec otwierano i przeszukiwano wiele razy. Dziadek Sinclaira przekopał każdy cal posiadłości w promieniu mili wokół grobowca, a Berenger sprowadził tu wszelkie możliwe urządzenia do poszukiwania skarbów - ultrasonograf, radar, co tylko chcecie.

- I nic nie znaleźli? - spytała Maureen.

- Nic.

|

- Może ktoś dotarł do tego wcześniej? - podsunął Peter.

- A ten ksiądz Saunier? Czy nie to właśnie uczyniło go bogatym? Jakiś skarb, który znalazł?

- Wielu ludzi tak uważa. Ale wiesz, co jest zabawne? Od dziesięcioleci zdeterminowani mężczyźni i kobiety prowadzą badania, a nikt nie zna sekretu Saunier'e'a.

Tammy poprowadziła ich przez uroczy dziedziniec, nad którym górowała fontanna z kamienia i marmuru.

- Nieźle jak na siedzibę prostego księdza z dziewiętnastego wieku - stwierdził Peter.

- Prawda? I tu dochodzimy do jeszcze dziwniejszej rzeczy. Choć *l'abbe* Saunier wydał fortunę na budowę tego domu, nigdy w nim nie mieszkał. Ostatecznie zostawił go... swojej gospodyni.

- Zawahałaś się - zauważył Peter. - Zawahałaś się przed słowem „gospodyni”.

- No cóż, wielu uważa, że była czymś więcej niż gospodynią, że była towarzyszką jego życia.

- Mówimy o katolickim księdzu, jeśli się nie mylę.

- Nie sądz, *padre*. To moje motto.

Maureen oddaliła się od nich, ponieważ jej uwagę przyciągnęła jakaś rzeźba w ogrodzie.

- Kogo przedstawia ten posąg?

- Joannę d'Arc - wyjaśniła Tammy.

Peter przysunął się bliżej, by popatrzeć na rzeźbę.

- Tak, zgadza się. Ma swój miecz i sztandar. Ale nie bardzo tu pasuje - zauważył.

- Dlaczego? - zapytała Maureen.

-Wydaje się... zbyt tradycyjna. Klasyczny symbol francuskiego katolicyzmu. A jak zauważyłem, w tym miejscu nie ma niczego, co można choć w przybliżeniu uznać za tradycyjne.

-Joanna? Tradycyjna? - Tammy parsknęła śmiechem. - Nie w tych okolicach. Ale to poważniejsza lekcja historii, którą zajmiemy się później. Chcecie zobaczyć coś

naprawdę nietypowego? Musicie koniecznie rzucić okiem na kościół.

Nawet w ciepłe i słonecznym blasku pełni lata Rennes--le-Chateau było dziwne i mroczne. Maureen towarzyszyło niepokojące uczucie, że ktoś za nią idzie, że ktoś czai się za każdym zakrętem ścieżki. Obróciła się kilka razy odruchowo, nie dostrzegła jednak nikogo za plecami. Ta wioska przyprawiała ją o dreszcz - dziwne miejsce, gdzie jej zegarek nie chciał chodzić i gdzie wyczuwała czyjąś obecność. Było to w pewnym sensie fascynujące, pomyślała jednak, że z zadowoleniem opuści ten zakątek, i to jak najszybciej.

Tammy wyprowadziła ich z ogrodu. Na drugim końcu drugiego dziedzińca zobaczyli wejście do starego kamiennego kościoła.

- To kościół parafialny wioski RLC. Przez tysiąc lat stała w tym miejscu świątynia pod wezwaniem Marii Magdaleny. Sauniere zaczął ją odnawiać około *tysiąc* osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy *znalazł* tajemnicze dokumenty. Zawiózł je do *Paryża*. i zaraz potem stał się milionerem. Wykorzystał te pieniądze, by rozbudować kościół, i to w sposób dość niezwykły.

Kiedy zbliżyli się do wejścia, Peter zatrzymał się, by przeczytać łacińską inskrypcję na nadprożu.

- *Terribilis est locus iste.*
- *Terribilis?* - zainteresowała się Maureen.
- „O, jakże miejsce to przejmuje grozą” - wyjaśnił Peter.
- Poznajesz ten tekst, *padrei* - spytała Tammy.
- Oczywiście. - Jeśli Tammy chciała sprawdzić jego znajomość Biblii, to musiała się bardziej wysilić. - *Księga*

Rodzaju, rozdział dwudziesty ósmy. Jakub wypowiada te słowa, obudzwszy się ze snu, w którym ujrzał drabinę sięgającą nieba.

- Dlaczego jakkolwiek ksiądz miałby wyryć coś takiego nad wejściem do swojego kościoła? - dziwiła się Maureen, spoglądając na Tammy i Petera, jakby oczekiwała od nich wyjaśnień.

- Może powinnaś zajrzeć do środka, zanim spróbujesz znaleźć odpowiedź na to pytanie - podsunęła Tammy, czego Peter posłuchał skwapliwie i wszedł do świątyni.

- Ciemno tu jak w grobowcu! - zawołał do nich.

- Och, zaczekaj chwilę - rzuciła Tammy, szukając w rece drobnych. - Światło włącza się po wrzuceniu monety. - Wsunęła monetę do skrzynki przy drzwiach i po chwili zamigotały świetlówki. - Kiedy byłam tu po raz pierwszy, próbowałam oglądać kościół po ciemku. Za drugim razem wzięłam ze sobą latarkę. Właśnie wtedy jeden z dozorców pokazał mi skarbonkę. W ten sposób turyści mogą łączyć na kościół. Mamy jakieś dwadzieścia minut na oglądanie.

- Co to takiego?! - wykrzyknął Peter.

Kiedy Tammy tłumaczyła kwestię oświetlenia, odwrócił się i ujrzał posąg odrażającego demona, ktbry przycupnął w wejściu.

- Och, to *Rex*. Cześć, *Rex*. - Tammy poklepała głowę posągu. - To coś w rodzaju oficjalnej maskotki Rennes-le-Chateau. Krąży na jego temat mnóstwo teorii, to typowe dla tej wioski. Niektórzy twierdzą, że to demon Asmodeusz, strażnik tajemnic i ukrytych skarbów, inni utrzymują, że to *Rex Mundi* z katarskiej tradycji. Osobiście, podzielam ten pogląd.

- *Rex Mundi*. Król świata - przetłumaczył Peter.

Tammy przytaknęła i wyjaśniła, zwracając się do Maureen:

- Katarowie stanowili w średniowieczu większość na tym terenie. Nie zapominaj, że kościół stał tutaj od tysiąc pięćdziesiątego dziewiątego, a to szczytowy okres ich ruchu. Wierzyli, że nad ziemską równiną sprawuje pieczę istota niższa, demon zwany przez nich *RexMundi* - Królem Świata. Nasze dusze toczą ciągłą walkę, by pokonać go i osiągnąć Królestwo Niebieskie, dziedzinę ducha. *Rex* symbolizuje wszelkie ziemskie i cielesne pokusy.

- Ale co on robi w poświęconym kościele katolickim? - spytał Peter.

- Przegrywa w walce z aniołami, oczywiście. Spójrz wyżej.

Nad plecami demona, wparte na chrzcielnicę w kształcie gigantycznej muszli świętego Jakuba, widniały cztery kamienne anioły, czyniące znak krzyża.

Peter odczytał głośno inskrypcję, a potem przetłumaczył:

- *Par Ce signe tu le vaincmis*. Tym znakiem go pobiję.

- Dobro zwycięża zło. Duch pokonuje materię. Anioły ponad demonami. Nieortodoksyjne, owszem, ale *tres Sauniere*. - Tammy przesunęła dłonią po szyi demona. - Widzicie to? Kilka lat temu ktoś włamał się do kościoła i odciął *Reksowi* głowę. Ta, którą widzicie, jest nowa. Nikt nie wie, czy był to jakiś łowca pamiątek, czy oburzony katolik, który sprzeciwił się obecności tak dualistycznego symbolu w miejscu poświęconym. O ile wiem, jest to jedyny posąg demona w kościele katolickim. Nie mylę się, Peter?

Peter odpowiedział skinieniem głowy.

- Powiedziałbym, że nie widziałem czegoś takiego w żadnym rzymskokatolickim kościele. To na dobrą sprawę bluźnierstwo.

*

- Katarowie byli dualistami. Wierzyli w istnienie dwóch przeciwstawnych boskich sił, jednej, która działała na rzecz dobra i skupiała się na oczyszczeniu esencji ducha, i drugiej, która działała na rzecz zła i była przykuta do zepsutego świa ta materii - wyjaśniła Tammy. - Popatrzcie na posadzkę.

Wskazała ręką na kamienne płyty, pokrywające podłogę kościoła. Tworzyły hebanowo-białą szachownicę.

- Jeszcze jedno ustępstwo Sauniere'a wobec dualizmu - białe i czarne, dobro i zło. Jeszcze jeden przykład ekscentryczności. Ale wydaje mi się, że Sauniere był przebiegły jak lis. Urodził się kilka mil stąd i rozumiał doskonale miejscową mentalność. Wiedział, że jego wierni są potomkami katarów i że mają powody, by nie ufać Rzymowi, nawet po upływie wieków. Bez obrazy, *padre*.

- Ależ skąd - odparł Peter. Przyzwyczajał się powoli do przytyków Tammy. Wydawały się dobrotliwe, więc nie brał ich sobie do serca. Prawdę powiedziawszy, ekscentryczność dziewczyny zaczynała mu się podobać. - Kościół rozprawił się z herezją katarów dość brutalnie. Nie dziwię się, że miejscowi wciąż nie mogą tego zapomnieć.

-Jedyna oficjalna krucjata w historii, kiedy to chrześcijanie zabijali chrześcijan. Armia papieska zmasakrowała katarów i nikt tutaj tego nie zapomniał. Tak więc, wzbogacając kościół o niewątpliwie katarskie i gnostyczne elementy, Sauniere stworzył otoczenie, gdzie jego trzoda czułaby się swojsko, a tym samym zapewnił większe uczestnictwo w życiu kościoła i lojalność wobec niego. Powiodło mu się. Miejscowa ludność kochała go do granic uwielbienia.

Peter przechadzał się po świątyni, chłonąc wzrokiem jej wystrój. Każdy element wydawał się osobliwy i dziwaczny. Wnętrze było krzykliwe i bez wątpienia niekonwencjonalne. Wszędzie stały malowane gipsowe posągi bliżej nieznanych

świętych, jak chociażby enigmatycznego świętego Rocha, unoszącego tunikę, by pokazać skaleczoną nogę, czy świętej Germaine, przedstawionej jako młoda pasterka niosąca jagnię. Każde dzieło sztuki w tym kościele odznaczało się czymś nieregularnym albo niezwykłym. Najbardziej rzucała się w oczy niemal naturalnych rozmiarów rzeźba przedstawiająca chrzest Jezusa, gdzie Jan górował nad Zbawicielem - odziany osobiwie w rzymską tunikę i pelerynę.

- Dlaczego ktoś miałby ubierać Jana Chrzciciela w rzymski strój? - zdziwił się Peter.

Po twarzy Tammy przemknął cień, ale nie odpowiedziała, tylko podjęła swój wywód:

- Według lokalnej legendy to Sauniere pomalował osobiście niektóre rzeźby. Nie ulega wątpliwości, że przynajmniej część ołtarza to jego dzieło. Miał obsesję na punkcie twojej Marii. - Zwróciła się do Maureen, która podeszła do miejsca, gdzie płaskorzeźba przedstawiająca Marię Magdalenę stanowiła punkt centralny ołtarza. Otaczały ją tradycyjne rekwizyty - czaszka u stóp, pod ręką książka. Wpatrywała się intensywnie w krzyż, który tworzyło żywe drzewo.

Peter nie odrywał wzroku od reliefów przedstawiających Stacje Męki Pańskiej. Podobnie jak posągi, każda z nich zawierała jakiś dziwny szczegół czy osobiwy element, sprzeczny z tradycją kościelną.

Oglądali z uwagą dziwaczne elementy wnętrza, a każdy stanował kolejny stopień otaczającej ich tajemnicy.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, w kościele rozległ się trzask i wszystko ogarnął gęsty jak smoła mrok.

Maureen zareagowała na to przerażeniem. Cienie, które podążały za nią nawet w blasku słońca, tutaj chwytaly ją za gardło i dusiły. Krzyknęła z całych sił, wołając Petera.

-Tutaj! - odkrzyknął. - Gdzie jesteś?!

Akustyka wnętrza sprawiała, że każdy dźwięk odbijał się od ścian, uniemożliwiając zlokalizowanie jego źródła.

- Przy ołtarzu! - wrzasnęła Maureen.

- W porządku - odezwała się donośnym głosem Tam-my.

- Nie panikuj. Czujnik odciął dopływ prądu.

Pobiegła do wyjścia i otworzyła drzwi, wpuszczając do środka światło, dzięki czemu Maureen mogła odnaleźć Petera. Uczepiła się go i wybiegła na dwór, celowo patrząc w lewo, by uniknąć widoku kamiennego demona.

- Wiem, że to tylko elektryczność, ale poczułam ciarki na plecach. Cały ten kościół jest... taki niesamowity.

Maureen drżała, choć słońce Langwedocji wskazywało dwunastą w południe. Ta wioska nie z tego świata, zapomniana przez czas, była niezwykle niepokojąca i nie miała nic wspólnego z jej dotychczasowym doświadczeniem. Pod powierzchnią wyczuwało się chaos. Podczas gdy miejsce było niemal wyludnione, panująca tu cisza miała w sobie coś ogłuszającego. Maureen spojrzała na zegarek i przypomniała sobie, że wskazówki znieruchomiały w chwili, gdy tu przybyła. To tylko spotęgowało jej niepokój.

Kiedy Tammy prowadziła ich z powrotem przez ogród wokół willi Betania, Peter powiedział do niej:

- Trudno mi uwierzyć, że Saunier zrobił to wszystko, nie narażając się na krytykę ze strony Kościoła.

- Och, był krytykowany - odparła Tammy. - Chcieli go nawet zawiesić i sprowadzić innego kapłana, ale się nie udało. Miejscowa ludność nie chciała zaakceptować nikogo prócz Saunier'a, ponieważ był jednym z nich. Sposobiono go do przyjęcia tej parafii, wbrew temu, co możecie przeczytać w większości książek. Śmiać mi się chce, kiedy tak zwani eksperci w sprawach RLC mówią, że Saunier znalazł się tu przypadkowo. Wierzcie mi - nic, co się dzieje w tej

okolicy, nie jest dziełem przypadku. Działa tu zbyt wiele potężnych sił.

- Masz na myśli siły ludzkie czy nadprzyrodzone?

- Jedno i drugie. - Tammy dała im znak, by podążyli za nią. Ruszyła w stronę zachodniego krańca posesji, gdzie na samej krawędzi klifu wznosiła się kamienna wieża. - Chodźcie, musicie zobaczyć *piece de resistance*. *Tour Magdala*.

- *Tour Magdala*? - powtórzyła Maureen, zaintrygowana nazwą.

- Wieża Magdaleny. Mieściła się w niej prywatna biblioteka Sauniera'a. Ale najciekawszy jest widok, jaki rozciąga się z góry.

Ruszyli za Tammy do wnętrza kamiennej budowli, rzuciwszy po drodze okiem na osobiste rzeczy Sauniera'a, umieszczone w szklanych gablotach, a potem zaczęli wspinaczkę po dwudziestu dwu stopniach. Rzeczywiście, krajobraz Langwedocji i widziany ze szczytu wieży zapierał dech w piersiach.

Tammy wskazała wzgórze w oddali.

- Widzicie? To jest Arques. A po drugiej stronie doliny leży wioska Coustaussa, gdzie inny ksiądz, przyjaciel Sauniera'a, o imieniu Antoine Gelis, został brutalnie zamordowany w swoim domu. Jego siedzibę splądrowano i uważa się powszechnie, że ten, kto zabił starego człowieka, szukał czegoś cenniejszego od pieniędzy. Zostawił złote monety, które leżały na stole, ale ukradł wszystko, co przypominało dokumenty. Biedny staruszek z tego Gelisa - był dobrze po siedemdziesiątce, znaleźli go leżącego w kałuży krwi. Zamordowano go szczypcami do węgla i siekierą.

- To straszne. - Maureen zadrżała pod wpływem opowieści, ale także całego otoczenia. Z jednej strony była zafascynowana tym miejscem, z drugiej budziło w niej głębką niechęć.

- Jak widać, ludzie są gotowi zabijać dla tych tajemnic - zauważył rzeczowo Peter.

- No cóż, to było sto lat temu. Wolę myśleć, że w dzisiejszych czasach jesteśmy nieco bardziej cywilizowani.

- Co się stało z Saunierem? - spytała Maureen, wróciwszy myślami do dziwnego księdza i jego milionów.

- To też zagadkowe. Doznał wylewu kilka dni po zamówieniu dla siebie trumny. Jak głosi miejscowa legenda, zjawił się pewien ksiądz, obcy w tych stronach, by udzielić Saunierowi ostatniej posługi, ale odmówił jej, wysłuchawszy jego spowiedzi. Biedak opuścił Rennes-le-Chateau w głębokiej depresji i podobno nigdy więcej się nie uśmiechnął.

- Rany. Ciekawe, co Saunier mu powiedział.

- Nikt nie miał pojęcia z wyjątkiem tej jego gospodyni, Marie Denardaud, której Saunier zostawił cały majątek - i tajemnice. Umarła w niewyjaśnionych okolicznościach kilka lat później, ale nie była w stanie mówić w ostatnich dniach życia, więc nikt na dobrą sprawę nic nie wie. Dlatego wioska stała się z czasem taką atrakcją. Co roku odwiedza ją sto tysięcy turystów; niektórzy przyjeżdżają tu zdecydowani znaleźć skarb Sauniera'a. - Tammy podeszła do balustrady i popatrzyła na rozległą dolinę. - Nie wiemy też, dlaczego zbudował w tym miejscu wieżę, ale można się założyć, że czegoś szukał. Nie sądzisz, *padrei*

Mrugnęła do Petera, po czym odwróciła się i ruszyła schodami na dół.

Kiedy szli do samochodu, Maureen nalegała, by Tammy dotrzymała wcześniejszej obietnicy i opowiedziała o Wieży Alchemii, majestatycznej niegdyś budowli zrujnowanego

obecnie Chateau Hautpol. Tammy zastanawiała się, nie wiedząc od czego zacząć. Napisano dziesiątki książek o tym rejonie, a ona sama przez lata prowadziła badania, więc przedstawienie jakiejś skondensowanej historii zawsze nastroczało trudności.

- Od tysięcy lat ta okolica przyciąga ludzi - zaczęła. - To musi być coś głęboko zakorzenionego, coś, co tkwi w samej ziemi. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że jej magnetyczne działanie obejmuje dwa tysiące lat historii i tak różne wierzenia religijne? Jak w przypadku wszystkiego, co się tu dzieje, istnieje mnóstwo teorii. Najśmieszniejsi są oczywiście prawdziwi wariaci - ci, którzy przysięgają, że wszystko wiąże się z kosmitami i potworami morskimi.

- Potwory morskie? - spytał Peter, śmiejąc się razem z Maureen. - Mógłbym się spodziewać kosmitów, ale potwory morskie?

- Nie żartuję. Bezustannie pojawiają się w miejscowych legendach. Zabawne w przypadku tak odległej od morza okolicy, ale wiercie mi, opowieści o UFO bywają jeszcze dziwniejsze. Mówię wam, ta ziemia ma w sobie coś, co przyprawia ludzi niemal o obłąd. No i ta historia z czasem. Twój zegarek wciąż stoi?

Maureen знаła odpowiedź na to pytanie, ale na wszelki wypadek spojrzała na wskazówki, które od godziny wskazywały 9.33. Skinęła głową.

- Nie zacznie pewnie chodzić, dopóki nie zejdziemy z tej góry - ciągnęła Tammy. - Jest tu coś, co zakłóca działanie zegarków i w ogóle elektroniki; chyba dlatego tak wielu mieszkańców wciąż posługuje się zegarami słonecznymi, nawet w dwudziestym pierwszym wieku. Oczywiście, nie każdemu się to przytrafia, ale nie zliczę, ilu dziwnych przypadków sama tu doświadczyłam.

Zaczęła im opowiadać jedną z historii o niewyjaśnionych aberracjach czasowych w Rennes-le-Chateau.

- Jechałam tu pewnego dnia samochodem z przyjaciółmi i sprawdziłam godzinę na elektronicznym zegarze, kiedy byliśmy u podnóża góry. Gdy dotarliśmy na szczyt, według zegara upłynęło prawie pół godziny. Jechaliśmy tutaj... Ile czasu nam to zabrało, nawet zakładając, że się nie śpieszyliśmy? Pięć minut? - zapytała Petera, który w odpowiedzi kiwnął głową.

- Niewiele dłużej.

-To nie jest długi odcinek drogi, może ze dwie mile. Pomyśleliśmy więc sobie, że jest coś nie tak z zegarem w samochodzie, dopóki nie spojrzeliśmy na swoje zegarki. Wszystkie pokazywały, że upłynęło pół godziny. Wiedzieliśmy doskonale, że nie spędziliśmy tyle czasu na drodze, ale jakimś cudem dotarcie na szczyt zabrało nam trzydzieści minut. Można to wyjaśnić? Nie. To było coś w rodzaju zakrzywienia czasoprzestrzeni. Od tamtej pory rozmawiałam z kilkoma osobami, którym przytrafiło się to samo. Miejscowi się tym nie przejmują, tak bardzo do tego przywykli. Spytajcie ich, a tylko wzruszą ramionami, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz pod słońcem. Jednak podobne fenomeny występują w pobliżu Wielkiej Piramidy czy w obrębie świętych miejsc w Irlandii i Wielkiej Brytanii. Więc co to jest? Jakiegoś rodzaju magnetyczna siła? Czy coś bardziej ulotnego, a tym samym nieuchwytnego dla ludzkiego umysłu?

Tammy przytaczała różne teorie, badane przez mieszkańców tego rejonu i międzynarodowe zespoły ekspertów, wymieniając po kolei możliwości: hipotetyczna linia łącząca miejsca historyczne, tajemnicze wiry, próżnia w ziemi, wrota gwiazdne.

- Salvador Dali powiedział, że stacja kolejowa w Perpignan jest centrum wszechświata, ponieważ tam właśnie zbiegają się te wszystkie punkty magnetyczne.

- Jak daleko stąd leży Perpignan? - spytała Maureen.

- Około czterdziestu mil. Dostatecznie blisko, by rzecz wyglądała ciekawie. Chciałabym znać definitywną odpowiedź, ale nikt jej nie zna. Dlatego jestem tak przywiązana do tego miejsca i cały czas tu wracam. Pamiętacie ten południk, który Sinclair pokazał wam w kościele Saint-Sulpice?

Maureen kiwała z namysłem głową, starając się nadażyć za Tammy.

- Linia Magdaleny - przypomniała sobie.

- Właśnie. I biegnąc z Paryża, przecina ten obszar. Dlaczego? Bo jest tu coś, co przekracza bariery czasu i przestrzeni, i myślę, że właśnie dlatego to miejsce przyciąga od niepamiętnych czasów alchemików z całej Europy.

- Już się zastanawiałem, kiedy wrócimy do alchemii — zauważył ironicznie Peter.

- Przepraszam, *padre*. Bywam gadatliwa, ale z drugiej strony nie ma tu prostych wyjaśnień. No więc ta wieża, zwana Wieżą Alchemii, została bez wątpienia wzniesiona na legendarnym punkcie mocy, poza tym przecina ją Linia Magdaleny. Była miejscem niezliczonych eksperymentów alchemicznych.

- Kiedy mówisz o alchemii, to masz na myśli średnio-wieczne systemy wierzeń, które zakładały możliwość przemiany siarki w złoto? - zapytała Maureen.

- Owszem, w niektórych przypadkach. Ale jaka jest prawdziwa definicja alchemii? Jeśli chcesz wywołać prawdziwą wojnę, zadaj to pytanie na zjeździe myślicieli ezoterycznych. Sala zamieni się w pobojowisko, zanim ktokolwiek udzieli odpowiedzi.

Tammy zaczęła wyliczać różne odmiany alchemii.

- Są alchemicy naukowi, to znaczy ci, którzy w sposób fizyczny próbują przekształcić pierwotne składniki w złoto. Niektórzy przyjechali tutaj, wierząc, że sam element magiczny obecny w tej ziemi to ów tajemniczy czynnik, poszukiwany przez nich w celu zrealizowania eksperymentów. Następnie są filozofowie, którzy wierzą, że alchemia to duchowa transformacja, że chodzi w niej o przekształcenie podstawowych elementów duszy ludzkiej w złotą istotę; są też ezoterycy, którzy wyznają ideę, że można za pomocą procesów alchemicznych osiągnąć nieśmiertelność i zyskać w jakiś sposób wpływ na naturę czasu. Wreszcie można wymienić alchemików seksualnych, którzy wierzą, że energia seksualna tworzy rodzaj transformacji, kiedy dwa ciała zlewają się ze sobą dzięki pewnej kombinacji fizycznych i metafizycznych metod.

Maureen słuchała uważnie, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o osobistym nastawieniu Tammy.

- A którą alchemię ty preferujesz?

- Osobiście, jestem wielką zwolenniczką alchemii seksualnej. Ale sądzę, że wszystkie mają prawo bytu. Naprawdę. Myślę, że alchemia jest w rzeczywistości określeniem najstarszego na Ziemi systemu zasad. I myślę, że kiedyś te zasady były pojmowane przez starożytnych, jak chociażby architektów Wielkiej Piramidy w Gizie.

Kolejne pytanie zadał Peter:

- Więc jaki to wszystko ma związek z Marią Magdaleną?

- No cóż, przede wszystkim wierzymy, że mieszkała tutaj albo że przynajmniej spędziła w tym miejscu trochę czasu. Co z kolei prowadzi nas do pytania: dlaczego tutaj? To bardzo daleko, nawet przy współczesnych środkach transportu. Możecie sobie wyobrazić, co oznaczała próba pokonania

tych gór w pierwszym wieku? Teren był absolutnie niegościnnie. Dlaczego zatem wybrała to miejsce? Bo jest w nim coś szczególnego. Aha, zapomniałam wspomnieć o jeszcze jednej odmianie alchemii, jaka tutaj występuje; niedawno ochrzciłam ją mianem gnostycznej.

- Brzmi jak ciekawa nazwa nowej religii - zauważyła re fleksyjnie Maureen.

-Albo dawnej. Mamy tu jednakże do czynienia z pewnym wierzeniem, które sięga czasów katarskich, może nawet wcześniejszych, a mianowicie, że rejon ten był centrum dualizmu: że żyje tu Król Świata, stary *RexMundi*. Że w tej dziwnej małej wiosce i bezpośredniej okolicy występuje ziemską równowagę między światłem a ciemnością, dobrem a złem. I na pewnym poziomie te dwa elementy toczą ze sobą bezustanną walkę, tu, pod naszymi stopami. Wydaje wam się, że ta okolica jest niesamowicie nawet za dnia? Za żadne skarby nie przesłabym się po tych uliczkach w środku nocy. W tym miejscu dzieje się coś ważnego, i nie jest to wyłącznie dobre.

- Ja też to czuję - przyznała Maureen. - Więc może Dali pomylił się o czterdzieści mil? Może to Rennes-le-Chateau jest prawdziwym centrum wszechświata?

Do rozmowy włączył się Peter, mówiąc nieco poważniejszym tonem:

- No cóż, miałyby to sens dla ludzi w średniowiecznej Francji, bo to był ich wszechświat. Ale czy ludzie wciąż w to wierzą?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że dzieją się tu dziwne rzeczy, których nikt nie potrafi wyjaśnić, i to przez cały czas. Tutaj, w Arques, i w bezpośredniej okolicy, gdzie zbudowano te wszystkie *chdteaux*. Niektórzy mówią, że katarowie wzniesli swoje zamki jako kamienne fortece przeciwko siłom ciemności. Budowali na podziemnych wirach czy też

w punktach mocy, dzięki czemu mogli odprawiać święte ceremonie i w ten sposób panować nad siłami ciemności albo je zwyciężać. I warownie te, bez wyjątku, miały wieże, co jest bardzo znaczące.

Peter przysłuchiwał się uważnie.

- Czy nie chodziło o względy strategiczne, obronne?

- Oczywiście - przytaknęła zdecydowanie Tammy. - Ale to nie wyjaśnia, dlaczego z każdym z tych zamków wiążą się legendy na temat alchemii funkcjonującej w obrębie ich wieżyc. Słyną z tego, że działała w nich magia albo dokonywała się jakaś transformacja. Ma to bezpośredni związek z dewizą alchemii: „Tak w górze, jak w dole”. Wieże symbolizują Ziemię, ponieważ na niej stoją, ale symbolizują także niebo, ponieważ wznoszą się ku niemu, co czyni z nich odpowiednie miejsce do prowadzenia alchemicznych eksperymentów. I podobnie jak w wieży Sauniere'a, schody w nich liczą dwadzieścia dwa stopnie.

- Dlaczego dwadzieścia dwa? - spytała zaciekawiona Maureen.

- Dwadzieścia dwa to liczba główna, a elementy numeryczne mają ogromne znaczenie w alchemii. Główne liczby to jedenaście, dwadzieścia dwa i trzydzieści trzy. Ale dwadzieścia dwa to wzór, który spotkacie w tej okolicy najczęściej, ponieważ odnosi się do boskiej żeńskiej energii. Zauważcie, że dzień Marii Magdaleny w kalendarzu kościelnym wypada...

- Dwudziestego drugiego lipca - przerwali jej jednocześnie Maureen i Peter.

- Bingo. Więc żeby ostatecznie odpowiedzieć na wasze pytanie, może Maria Magdalena przybyła tu właśnie dlatego, że wiedziała o tych naturalnych elementach mocy albo rozumiała coś z walki między światłem a ciemnością, jaka

się tutaj toczy. Ten region nie był nieznanym mieszkańcom Palestyny, jak zapewne wiecie. Nawet rodzina Heroda miała niedaleko stąd swoje siedziby. Istnieje pewna tradycja, która mówi, że matka Marii Magdaleny pochodziła z ludu Langwedocji. Niewykluczone więc, że sama Magdalena w pewnym sensie wracała do domu.

Tammy spojrzała na wieżę Chateau Hautpol.

- Oddałabym wszystko, by być niesmiertelną muchą na murach tego zamku.

Langwedocja 23

czerwca 2005

Podrzućli Tammy do Couizy, gdzie miała się spotkać z kilkoma przyjaciółmi na lunchu. Maureen była rozczarowana, że Tammy przyłączy się do nich dopiero później; z niechęcią myślała o tym, że znajdzie się w domu Sinclaira bez ich wspólnej znajomej, której obecność bardzo by pomogła. Wyczuwała też napięcie Petera. Starał się je ukryć za wszelką cenę, ale zdradzały go mocno zaciśnięte na kierownicy dłonie. Może jednak zgoda na pobyt w domu Sinclaira była błędem?

Podjęli już jednak decyzję i zmiana planów mogłaby urazić ich gospodarza. Kiedy przejeżdżali przez bramę, Maureen zauważyła ozdoby w kształcie lilii królewskich i winorośli - czy raczej niebieskich jabłek. Kręty podjazd biegł pod górę, przez rozległą i wspaniałą posiadłość, czyli Chateau des Pommes Blues.

Zatrzymali się przed siedzibą, podziwiając w milczeniu jej wielkość i okazałość, i sam nieskazitelnie zrekonstruowany zamek, który wzniesiono w szesnastym wieku. Kiedy

wysiedli z samochodu, w drzwiach wejściowych ukazał się imponujący majordomus Sinclaira, potężny Roland. Dwaj służący w liberjach okrążyli szybkim krokiem wóz, by wziąć z bagażnika walizki, spełniając polecenie Rolanda.

- *Bonjour, mademoiselle* Paschal, *l'abbe* Healy. *Bienvenue*. - Roland uśmiechnął się, co złagodziło jego rysy, Maureen i Peter zaś odetchnęli z ulgą. - Witamy w Chateau des Pommes Blues. *Monsieur* Sinclair niezwykle się cieszy z państwa przybycia!

Maureen i Peter czekali w ogromnym i wystawnym holu, podczas gdy Roland udał się na poszukiwanie swego pana. Nie było to dla nich kłopotliwe - pomieszczenie wypełniały wspaniałe dzieła sztuki i bezcenne antyki, których nie powstydziliby się żadne muzeum we Francji.

Maureen zatrzymała się przed szklaną gablotą, która stanowiła punkt centralny holu, Peter zaś dołączył do niej. W gablocie znajdował się masywny i zdobiony kielich, a obok, na honorowym miejscu, spoczywała ludzka czaszka. Była wyblakła ze starości, a jednak kość nosiła wyraźny ślad pęknięcia. Obok czaszki, w kielichu, umieszczono kosmyk włosów - spłowiały, a mimo to odznaczający się niewątpliwym rdzawym odcieniem.

- Starożytni wierzyli, że rude włosy są źródłem wielkiej magii - wyjaśnił Sinclair, który pojawił się znienacka za ich plecami.

Maureen drgnęła zaskoczona, ale odwróciła się, by odpowiedzieć:

- Starożytni nie musieli nigdy uczęszczać do szkoły państwowej w Luizjanie.

Sinclair wybuchnął typowo szkockim, donośnym śmiechem i wyciągnął dłoń, by musnąć włosy Maureen.

- W pani szkole nie było chłopców?

Maureen uśmiechnęła się, ale zdążyła skupić uwagę na relikwii w gablocie, nim Sinclair dostrzegł jej rumieniec. Po chwili odczytała głośno słowa na tabliczce za szybą.

- Czaszka króla Dagoberta Drugiego.

-Jednego z moich nietuzinkowych i barwnych przodków - uzupełnił Sinclair.

Peter był zafascynowany i odrobinę sceptyczny.

- Święty Dagobert Drugi? Ostatni król Merowingów? Jest pan jego potomkiem?

- Tak. Widzę, że ksiądz zna historię równie dobrze jak łacinę. Brawo, ojcze.

- Proszę odświeżyć mi pamięć. - Maureen była wyraźnie zakłopotana. - Przepraszam, ale moja znajomość francuskiej historii zaczyna się od Ludwika Czternastego. Kto to byli Merowingowie?

-Wczesna linia władców na terenie dzisiejszej Francji i Niemiec - wyjaśnił Peter. - Rządzili od mniej więcej piątego wieku do ósmego. Ród wygasł wraz ze śmiercią tego Dagoberta.

Maureen wskazała nierówne pęknięcie w czaszce.

- Coś mi się zdaje, że nie umarł z przyczyn naturalnych.

- Niezupełnie - przytaknął Sinclair. - Kiedy spał, jego chrześniak wbił mu włócznię w mózg. Przez oczodół.

- To się nazywa rodzinna lojalność - skomentowała Maureen.

- Niestety, przedłożył ponad nią obowiązek religijny. Dylemat, który dręczył wielu ludzi na przestrzeni dziejów. Czyż nie tak, ojcze Healy?

Peter zmarszczył czoło, zaskoczony sugestią.

- Jak mam to rozumieć?

Sinclair wskazał uroczystym gestem tarczę herbową na ścianie: krzyż spowity różami, a na nim łaciński napis: *Elige Magistrum*.

- Dewiza mojej rodziny. *Elige magistrum*.

Maureen spojrzała na Petera, prosząc wzrokiem o wyjaśnienie. Dostrzegła napięcie między obydwojma mężczyznami i zaczęła się odrobinę denerwować.

- Co znaczy?

- „Wybierz pana” - wyjaśnił Peter.

Sinclair dorzucił:

- Król Dagobert został zamordowany na rozkaz Rzymu, ponieważ papieżowi nie podobała się wyznawana przez władcę odmiana chrześcijaństwa. Chrześniakowi Dagoberta kazano wybrać sobie pana, i wybrał Rzym, tym samym stał się zabójcą na usługach Kościoła.

-A dlaczego wyznawana przez Dagoberta odmiana chrześcijaństwa była tak niepokojąca? - zainteresowała się Maureen.

-Wierzył, że Maria Magdalena jest królową i legalną żoną Jezusa Chrystusa, i że on sam wywodzi się od nich, co daje mu boskie prawo królów, przekraczające wszelką ziemską władzę. Papież uznał, że władca żywiący takie przekonanie stanowi straszliwe niebezpieczeństwo.

Maureen wzdrygnęła się i doszła do wniosku, że warto wprowadzić do rozmowy odrobinę lekkiego tonu. Trąciła Petera.

- Obiecay, że nie wepchniesz mi w oko żadnej włóczni, kiedy będę spała.

Peter zerknął na nią z ukosa.

- Obawiam się, że nie mogę czynić żadnych obietnic. *Elige magistrum* i tak dalej.

Maureen popatrzyła na niego z udawanym przerażeniem i znów zaczęła studiować ciężki srebrny kielich, który był ozdobiony skomplikowanym motywem lilii królewskich.

- Jak na kogoś', kto nie jest Francuzem, ma pan ogromną słabość do tego symbolu.

- *Fleur de lis*? Oczywiście. Proszę nie zapominać, że Szkoci i Francuzi byli sprzymierzeni przez setki lat. Ale posługuję się nim z innego powodu. To symbol...

- Trójcy świętej - dokończył Peter.

Sinclair uśmiechnął się do nich.

- Tak, zgadza się. Ale zastanawiam się, ojcze Healy, czy jest to symbol Trójcy księdza, czy... mojej?

W tym momencie do holu wkroczył Roland i zwrócił się do Sinclaira, mówiąc coś szybko w języku, który przypominał francuski o brzmieniu bardziej śródziemnomorskim. Sinclair wyjaśnił swoim gościom:

- Roland pokaże państwu wasze pokoje, żebyście mogli odpocząć i odświeżyć się przed kolacją.

Sklonił się wyszukanie, mrugając przy tym do Maureen, po czym się ulotnił.

Maureen weszła do swojej sypialni i z wrażenia otworzyła usta. Apartament był wspaniały. Na honorowym miejscu stało ogromne łóżko z baldachimem, obwieszona czerwoną aksamitną draperią z obowiązkowym motywem lilii. Reszta wyposażenia też była niewątpliwie bardzo stara i bez wyjątku połączana.

Jedną ze ścian zajmował obraz zatytułowany „Maria Magdalena na pustyni”, pędzla hiszpańskiego mistrza Ribery; przedstawiał kobietę wznoszącą oczy ku niebu.

W całym pokoju rozstawiono ciężkie kryształowe wazony z czerwonymi różami i białymi liliami, przywodzące na myśl bukiety, które Sinclair przesłał do mieszkania Maureen w Los Angeles.

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać - powiedziała głośno, gdy do drzwi apartamentu zapukali służący i zajęli się jej bagażem.

Pokój Petera był mniejszy, ale też bogato zdobiony i urządzony po królewsku. Nie przyniesiono mu jeszcze walizki, miał jednak przy sobie podręczną torbę, która mieściła niezbędne rzeczy. Wyjął z niej oprawioną w skórę Biblię i różaniec o kryształowych paciorkach.

Wziął go do ręki i osunął się na łóżko. Był zmęczony i wyczerpany podróżą, ale również ciężarem odpowiedzialności, do jakiej się poczuwał, jeśli chodziło o Maureen. Był zmęczony fizycznie i psychicznie. Znalazł się na nieznanym sobie terenie i ów fakt go irytował. Nie ufał Sinclairowi. Co gorsza, nie podobała mu się reakcja jego kuzynki na osobę gospodarza. Pieniądze i sam wygląd tego człowieka bez wątpienia tworzyły mistyczną aurę, która działała na kobiety.

Przynajmniej wiedział, że ona nie da się tak łatwo omanieć. Co więcej, wiedział o jej nielicznych związkach z mężczyznami. Podejście Maureen do tych spraw zostało skażone nienawiścią matki do ojca. Fakt, że ich toksyczne małżeństwo zakończyło się tragedią, był głównym powodem, dla którego Maureen trzymała się z daleka od wszelkich spraw sercowych.

Mimo wszystko nie była kobietą wolną od ludzkich słabości. I bezbroną wobec własnych wizji. Peter postanowił

zrobić wszystko, by Sinclair nie mógł tego wykorzystać w celu jakiejś manipulacji. Nie był pewien, ile już wie ich gospodarz - albo jak tę wiedzę zdobył - ale zamierzał zorientować się w tym jak najszybciej.

Peter zamknął oczy i zaczął się modlić o jasność umysłu, ale jego bezgłośnie modlitwy były zakłócanie przez nieustępliwe buczenie. Z początku starał się ignorować ten wibrujący dźwięk, ale w końcu się poddał. Podeszedł do swojej torby, sięgnął do środka i wyjął komórkę.

Na szczęście pokój Petera znajdował się w tym samym korytarzu co sypialnia Maureen, w przeciwnym razie mogliby się nigdy nie odnaleźć w ogromnej rezydencji Sinclaira. Maureen była oczarowana domem, chłonąc każde dzieło sztuki czy element architektoniczny, kiedy przechodzili z jednego skrzydła do drugiego.

Zwiedzali *chateau*, ponieważ do kolacji pozostało kilka godzin. Oboje byli zbyt zafascynowani otoczeniem, by nie podjąć próby zbadania go. Weszli do szerokiego holu, który był skąpany w świetle wpadającym przez kryształowe okna z ołowianymi szprosami. Dłuższą ścianę pomieszczenia zdobiło ogromne i niezwykle malowidło, przedstawiające nieco abstrakcyjną scenę ukrzyżowania.

Maureen przystanąła, by podziwiać dzieło.

Obok Chrystusa stała kobieta w czerwonej chuście, unosząc trzy palce, podczas gdy po jej twarzy spływały łzy. Stała obok jakiegoś zbiornika wodnego - rzeki? - z którego wyskakiwały w powietrze trzy małe ryby, jedna czerwona, dwie niebieskie. Zarówno kształt ryb, jak i uniesionych

palców kobiety był w jakiś abstrakcyjny sposób odbiciem motywu lili.

Na tym wyszukany i bez wątpienia nowoczesnym obrazie widniały niezliczone szczegóły. Maureen była pewna, że mają znaczenie symboliczne, ale dokładne ich obejrzenie zabrałoby godziny, zrozumienie zaś" - pewnie lata.

Peter cofnął się nieznacznie, by objąć wzrokiem scenę ukrzyżowania, która była piękna w swej prostocie. Niebo ponad krzyżem pociemniało od czarnego słońca, a jego powierzchnię rozdzierała błyskawica.

- Przypomina styl Picassa, prawda? - odezwał się Peter.

Na końcu holu ukazał się ich gospodarz.

- To dzieło Jeana Cocteau, najbardziej płodnego artysty Francji i jednego z moich osobistych bohaterów. Namalował ten obraz, będąc tu gościem mojego dziadka.

Maureen nie kryła zaskoczenia.

- Cocteau się tu zatrzymał? No, no. Ten dom musi uchodzić we Francji za skarbnicę narodową. Cała zgromadzona tu sztuka jest niezwykła. Malowidło w moim pokoju...

- Ribera? To mój ulubiony portret Magdaleny. Oddaje jej piękno i boski wdzięk pełniej niż jakikolwiek inny. Jest wyjątkowy.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że to oryginał - zauważył z niedowierzaniem Peter. - Widziałem ten obraz w Prado.

- Ależ to oryginał. Ribera namalował go na prośbę króla Aragonii. Namalował dwa obrazy, mówiąc ściślej. I ma ksiądz rację, mniejszy znajduje się w Prado. Król hiszpański przekazał ten większy innemu z moich przodków, pochodzącemu z rodziny Stuartów, jako gałązkę oliwną. Jak widzicie, sztuka piękna jest bardzo często związana z naszą

Panią. Przy kolacji pokażę wam inne tego przykłady. Ale jeśli wolno spytać, dokąd się teraz udajecie?

- Zamierzaliśmy właśnie przejść się przed kolacją - wy jaśniła Maureen. - Jadąc tu, widziałam ruiny na wzgórzu. Chcieliśmy rzucić na nie okiem.

-Tak, oczywiście. Byłbym jednak zaszczycony, mogąc służyć wam za przewodnika. Jeśli ojciec Healy nie ma nic przeciwko temu, ma się rozumieć.

- Skądże - zapewnił z uśmiechem Peter, Maureen jednak dostrzegła, jak zacisnął usta, gdy Sinclair ujął ją za ramię.

Rzym

23 czerwca 2005

W Rzymie słońce świeciło znacznie jaśniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Takie wrażenie miał biskup Magnus O'Connor, krocząc po odwiecznych kamieniach Bazyliki świętego Piotra. Zaszczyc odwiedzenia prywatnej papieskiej kaplicy nappełniał go niemal uniesieniem.

Kiedy przekroczył próg świątyni, przystanął przed marmurowym posągami Piotra trzymającego klucze Kościoła i ucałował jego nagie stopy. Później podreptał ku frontowej części świątyni i usiadł w pierwszej ławce. Podziękował Panu za to, że przywiódł go do tego świętego miejsca. Pomodlił się za siebie, za swoją diecezję i za przyszłość Świętej Matki - Kościoła.

Odmówiwszy modlitwy, Magnus O'Connor wszedł do gabinetu kardynała Tomasa DeCaro. W dłoni trzymał czerwone teczki na dokumenty, które stanowiły jego przepustkę do Watykanu.

- Jest tu wszystko, Wasza Eminencjo.

Kardynał mu podziękował. Jeśli O'Connor spodziewał się zaproszenia do dłuższej dyskusji, to spotkało go głębokie rozczarowanie. Kardynał DeCaro odprawił biskupa szorstkim skinieniem głowy, nie wypowiadając więcej ani słowa.

DeCaro pragnął jak najszybciej zapoznać się z dokumentami, ale mając z nimi do czynienia po raz pierwszy, wołał zrobić to bez s'wiadków.

Otworzył pierwszą z teczek, które wszystkie, bez wyjątku, były opatrzone czarnymi pogrubionymi literami: Edouard Paul Paschal.

...Nie napisałam jeszcze o Wielkiej Matce, Wielkiej Marii. Zwlekałam tak długo, gdyż zastanawiałam się, czy wystarczy mi słów, by oddać w pełni jej dobroć, mądrość i siłę. W życiu każdej kobiety ważny jest wpływ i nauki innej niewiasty, która stoi wyżej. Dla mnie to mogła być tylko Wielka Maria, matka Ezy.

Moja własna matka zmarła, kiedy byłam bardzo mała. Nie pamiętam jej. I choć Marta zawsze troszczyła się o mnie i dbała o moje ziemskie potrzeby jako siostra, to matka Ezy zapewniła mi nauki duchowe. Pielęgnowała mą duszę i udzielała licznych lekcji współczucia i wybaczenia. Pokazała mi, co to znaczy być królową, i wpoila zachowanie przystające kobiecie naszego nakreślonego przeznaczenia.

Kiedy nadszedł czas, by nałożyć czerwoną chustę i stać się prawdziwą Marią, byłam gotowa. Dzięki niej i wszystkiemu, co mi dała.

Wielka Maria była wzorem posłuszeństwa, ale owo posłuszeństwo żywiła tylko wobec Pana. Słyszała Boże

przesianie z najwyższą jasnością. Jej syn odznaczał się tym samym przymiotem i dlatego oboje odstawali od innych szlachetnego urodzenia. Tak, Eza był dziecięciem Lwa, spadkobiercą tronu Dawida, matka jego zaś pochodziła z wielkiej kapłańskiej kasty Aarona. Urodziła się królową, Eza zaś królem. Ale to nie krew jedynie odróżniała ich od innych, tylko duch i siła wiary w przesłanie, jakie nam zesłał Bóg.

Gdybym nie czyniła nic innego, a jedynie kroczyła przez wszystkie swe dni w cieniu Marii, to i tak byłoby to dla mnie błogosławieństwem.

Wielka Maria była pierwszą kobietą w ludzkiej pamięci obdarowaną tak jasną wiedzą boskiego. Stanowiło to wyzwanie dla arcykapłanów, którzy nie wiedzieli, jak zaakceptować kobietę o takiej mocy. Nie mogli też jej potępiać. Wielka Maria wywodziła się z rodu nieskałanego, a jej sercu i duchowi nie sposób było cokolwiek zarzucić. W wielu krainach słynęła ze swej czystości.

Ludzie władzy obawiali się jej, nie mogli bowiem nad nią panować. Odpowiadała jedynie przed Bogiem.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział ósmy

Chateau des Pommes Blues

23 czerwca 2005

Sinclair wyprowadził Maureen i Petera na brukowaną ścieżkę, która wiodła na zewnątrz ogromnego domu. Ota-
czały ich poszarpane pogórza z ciemnoczerwonej skały, na
pobliskim zaś szczycie widniały ruiny zamku.

Maureen była oczarowana zapierającą dech w piersiach
scenerią.

-To miejsce jest niezwykle. Ma w sobie coś mistycznego.

- Znajdujemy się w samym sercu krainy katarów. Pano-
wali kiedyś nad całym tym rejonem. Katarowie. Co znaczy
„czyści”.

- Jak zyskali to miano?

- Ich nauki płynęły w prostej, nieskażonej linii od Jezusa
Chrystusa. Za pośrednictwem Marii Magdaleny. Była zało-
życielką ruchu katarów.

Peter nie krył sceptycyzmu, ale to Maureen wyraziła wąt-
pliwości:

- Dlaczego nigdy o tym nie czytałam?

Berenger Sinclair roześmiał się, niezrażony w najmniej-
szym stopniu, że mu nie wierzą. Był człowiekiem tak głą-
boko przekonanym o słuszności swoich przekonań i tak
pewnym siebie, że nie liczył się z opinią innych.

-1 nie przeczyta pani. Prawdziwe dzieje katarów nie są zawarte w jakichkolwiek książkach historycznych i nigdzie nie może ich pani rzetelnie studiować z wyjątkiem tego miejsca. Prawda o wyznawcach tej religii kryje się w czerwonych skałach Langwedocji.

- Chciałabym o nich poczytać - wyznała Maureen. - Może polecić pan jakieś książki, które uważa za warte za interesowania?

Sinclair wzruszył ramionami i pokręcił głową.

-Jest ich bardzo niewiele, a z tych, które uważałbym za wiarygodne, ani jedna nie została przetłumaczona na język angielski. Większość dzieł poświęcona historii katarów została oparta na zeznaniach wymuszonych torturami. Wszystkie bez wyjątku średniowieczne relacje na ich temat pochodzą od ich wrogów. Czy uznałaby je pani za ścisłe i rzetelne? Mogę chyba oczekiwać, Maureen, że nie uznałaby ich pani za wiarygodne, zważywszy na pani doświadczenie zawodowe. Autentyczne praktyki katarów nigdy nie zostały utrwalone na papierze. Ich tradycje są na tych ziemiach przekazywane z pokolenia na pokolenie od dwóch tysięcy lat, ale są to tradycje ustne i strzeże się ich bezwzględnie.

- Czy Tammy nie mówiła, że zorganizowano przeciwko nim oficjalną krucjatę? - spytała Maureen, kiedy podążali krętą ścieżką ku czerwonym wzgórzom.

Sinclair kiwnął głową.

- Był to okrutny akt ludobójstwa, który pochłonął milion ofiar i został zapoczątkowany przez papieża Innocen tego Trzeciego, cóż za niefortunne imię w tym wypadku. Słyszała pani kiedykolwiek sentencję: „Zabijcie ich wszystkich i niech Bóg załatwi z nimi sprawę”?

Maureen drgnęła.

- Tak, oczywiście. To barbarzyńskie podejście.

- Po raz pierwszy sentencja ta pojawiła się w trzynastym wieku, w ustach żołnierzy papieskich, którzy dokonali rzezi katarów w Beziers. Gwoli ścisłości, brzmiała: *Neca Eos omnes. Deus suos agnoset*, co tłumaczy się: „Zabijcie ich wszystkich. Bóg pozna swoich”. - Zwrócił się do Petera: - Poznaję ksiądz te słowa?

Peter zaprzeczył ruchem głowy, nie bardzo wiedząc, do czego Sinclair zmierza, i nie chcąc wpaść w intelektualną pułapkę.

- Zostały zaczerpnięte od waszego świętego Pawła. Drugi list do Tymoteusza, rozdział drugi, wers dziewiętnasty. „Poznał Pan tych, którzy są Jego”.

Peter uniósł dłoń w geście sprzeciwu.

- Nie może pan winić Pawła za to, że wypaczono sens jego słów.

- Nie mogę? Chyba to właśnie zrobiłem. Paweł nie jest moim ulubieńcem, przyznaję. I to nie przypadek, że nasi wrogowie od wieków wykorzystują jego słowa przeciwko nam. Historia z katarami to był dopiero początek.

Maureen, chcąc jakoś rozładować napięcie między mężczyznami, znów spytała Sinclaira o historię lokalną.

- Co się stało w Beziers?

- *Neca eos omnes*. Zabijcie ich wszystkich - powtórzył Sinclair. - To właśnie uczynili krzyżowcy w naszym pięknym mieście Beziers. Rozprawili się mieczem z każdą duszą - począwszy od najstarszych, a skończywszy na maleńkich dzieciach. Nikogo nie oszczędzili ci rzeźnicy. Podobno podczas tego jednego oblężenia zamordowano sto tysięcy ludzi. Według legendy nasze wzgórza są po dziś dzień czerwone, ponieważ oplakują te niewinne ofiary.

Szli przez chwilę w milczeniu przez szacunek dla nieśczęsnych dusz tej pradawnej ziemi. Masakry rozgrywały

się tutaj niemal osiem wieków wcześniej, jednak wokół wyczuwało się obecność zagubionych- duchów, szeptał o nich każdy powiew wiatru omiatającego podnóża Pirenejów. To był kraj katarów i na zawsze miał takim pozostać. Sinclair kontynuował opowieść:

- Oczywiście pewna liczba katarów uciekła, znajdując schronienie w Hiszpanii, Niemczech i Włoszech. Zachowali swoje tajemnice i nauki, ale nikt nie wie, co się stało z ich największym skarbem.

- Co to był za skarb? - spytał Peter.

Sinclair rozejrzał się wokół. Było widać, że to miejsce i jego historia wryły się w jego duszy. Za każdym razem, gdy przytaczał te opowieści, ujawniała się jego pasja.

- Jest mnóstwo legend mówiących o tym, co stanowiło skarb katarów. Niektórzy twierdzą, że był to święty Graal, inni utrzymują, że to prawdziwy całun Chrystusa albo jego korona cierniowa. Lecz prawdziwym skarbem była jedna z dwóch najświętszych ksiąg, jakie kiedykolwiek na pisano. Katarowie byli strażnikami *Księgi Miłości*, jedynej prawdziwej Ewangelii. - Przerwał, by po chwili dokończyć z emfazą: - *Księga Miłości* była jedyną prawdziwą Ewangelią, została bowiem spisana dłonią samego Jezusa Chrystusa.

Peter stanął jak wryty, słysząc tę rewelację, i wlepił wzrok w Sinclaira, który spytał:

- Co się stało, ojczu Healy? W seminarium nie uczono o *Księdze Miłości*.

Maureen też nie kryła niedowierzania.

- Sądzi pan, że takie dzieło w ogóle istniało?

- Och, istniało. Przywiozła je z Ziemi Świętej Maria Magdalena, a potem jej potomkowie przekazywali je z zachowaniem najwyższej tajemnicy z pokolenia na pokolenie. Jest

bardzo prawdopodobne, że to *Księga Miłości* była prawdziwą przyczyną podejmowania krucjat przeciwko katarom. Przedstawiciele Kościoła pragnęli za wszelką cenę zdobyć tę księgę, ale nie po to, by jej strzec, może mi pani wierzyć.

- Kościół nigdy nie zniszczyłby czegoś tak cennego i świętego - prychnął pogardliwie Peter.

- Nie? A gdyby taki dokument został uznany za autentyczny? I gdyby taki autentyczny dokument podważał nie tylko wiele zasad, ale sam autorytet Kościoła? Dokument, który wyszedł spod ręki samego Chrystusa. Co wtedy, ojczec?

- To czysta spekulacja.

- Ma ojciec prawo do swojej opinii, tak jak ja do swojej. Jednakże moja opiera się na znajomości wysoce strzeżonych faktów. Ale wracając do mojej... spekulacji, Kościół w pewnym stopniu odniósł sukces w swych poszukiwaniach. Po otwartej rozprawie z katarami zeszli oni do podziemia, a *Księga Miłości* zniknęła na zawsze. Tylko nieliczni dzisiaj uświadamiają sobie, że kiedykolwiek istniała. To prawdziwa sztuka, wyeliminować coś tak wielkiego z historii.

Peter cały czas trwał w głębokiej zadumie. Wreszcie, po kolejnej chwili namysłu, powiedział:

- Wspomniał pan, że prawdziwym skarbem była jedna z dwóch najświętszych ksiąg, jakie kiedykolwiek napisano. Jeśli jedną z nich jest Ewangelia, która wyszła spod ręki samego Chrystusa, to czym jest ta druga?

Berenger Sinclair przystanął i zamknął oczy. Letni wiatr, podobny do mistrała szalejącego gdzieś dalej na wschodzie, w Prowansji, wzmagął się i porywał jego włosy, które chłostały go po twarzy. Wziął głęboki wdech, a potem rozwarł powieki i spojrzał Maureen prosto w oczy.

- Drugą jest Ewangelia Marii Magdaleny, przezczysta i doskonała relacja jej życia z Jezusem Chrystusem.

Maureen stała nieruchomo jak posąg. Patrzyła na Sinclaira, jakby zahipnotyzowana pasją malującą się na jego twarzy.

Peter pierwszy przerwał milczenie.

- Czy katarowie twierdzili, że i tę Ewangelię posiadają?

Sinclair oderwał wzrok od Maureen, potrząsnął głową i zwrócił się do Petera:

- Nie, nie twierdzili. W przeciwieństwie do *Księgi Miłości*, o której istnieniu mówią świadkowie, nikt nigdy nie widział Ewangelii Magdaleny. Prawdopodobnie dlatego, że nigdy jej nie znaleziono. Niektórzy twierdzą, że być może została ukryta w pobliżu wioski Rennes-le-Chateau, którą odwiedziliście wcześniej. Czy Tammy pokazała wam Wieżę Alchemii?

Maureen skinęła głową. Peter był za bardzo zajęty szukaniem odpowiedzi na pytanie, skąd Sinclair tak dużo wiedział o tym, co robili. Maureen sprawiała wrażenie zafascynowanej, zanurzonej bez reszty w żywej historii - i w bezgranicznej miłości, jaką wobec tej historii żywił Sinclair.

- Tak, pokazała, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego to tak ważne?

- Ważne z wielu powodów, powiedzmy na razie tylko tyle, że według niektórych Maria Magdalena mieszkała i napisała swoją Ewangelię w miejscu, gdzie obecnie wznosi się wieża. Ukryła swe pisma, a potem zapieczętowała w jakiejś jaskini. Miały tam pozostać, dopóki nie nadszedłby czas, by ujawnić jej wersję wydarzeń. - Sinclair wskazał otaczające ich wzgórza i szereg dużych dziur podobnych do jaskiń. - Widzi pani te kratery? To bliźny pozostawione przez poszukiwaczy skarbów w ciągu ostatnich stu lat.

- Szukali tych Ewangelii?

Śmiech Sinclaira zawierał szyderczą nutę.

-Jest ironią losu, że większość nie wie nawet, czego szuka. Nie mają o tym bladego pojęcia. Znają legendę o skarbie katarów albo też przeczytali jedną z wielu książek o Saunierze i jego tajemniczym bogactwie. Ale większość nie wie, co to jest. Niektórzy myślą, że chodzi o świętego Graala albo Arkę Przymierza, podczas gdy inni są pewni, że to skarb zrabowany ze Świątyni Jerozolimskiej albo stopy złota Wizygotów w ukrytym grobowcu. Wypowiedzcie tylko słowo „skarb”, a skądinąd rozsądni ludzie zamieniają się z miejsca w dzikusów. Od wieków przybywają tu z całego świata, by odkryć tajemnice Langwedocji. Wierzcie mi, wielokrotnie byłem tego świadkiem. Poszukiwacze skarbów wyrabali te pieczary dynamitem. Bez mojego pozwolenia, muszę nadmienić.

Sinclair wskazał kolejne jaskinie w górskim zboczu.

- Ukrywanie natury skarbu stało się tak ważne jak sam skarb dla katarów, co tłumaczy, dlaczego tak niewielu ludzi w tej współczesnej epoce w ogóle wie, że te Ewangelie istniały. Popatrzcie na zniszczenia wokół, dokonane w oparciu o niepewne domysły. Możecie sobie wyobrazić, co stałoby się z naszą ziemią, gdyby odkryto bezcenną i świętą naturę prawdziwego skarbu.

Sinclair raczył ich jeszcze innymi legendami o skarbie, jak i bardziej prozaicznymi historiami o bezwzględnych poszukiwaczach, którzy dokonywali spustoszeń w naturalnych zasobach okolicy. Opowiedział o tym, jak naziści przysyłali podczas wojny specjalne oddziały w celu znalezienia artefaktów okultyzmu, które według nich zostały zakopane na tym terenie. O ile wiadomo, ludziom Hitlera nie powiodło

się w poszukiwaniach i ostatecznie wyjechali stąd z pustymi rękami - i wkrótce potem przegrali wojnę.

Peter był przygaszony i milczący, i celowo trzymał się z tyłu, by przemyśleć spokojnie to, co usłyszał. Postanowił, że później przeanalizuje wszystkie szczegóły i oceni, co może być prawdą, a co owocem romantyzmu Sinclaira, typowym dla mieszkańców Langwedocji. W tak dzikiej i mistycznej krainie łatwo było ulec fascynacji legendami o Graalu i zaginionych świętych manuskryptach. Jednakże nawet on czuł, jak przyśpiesza mu puls na samą myśl o istnieniu takich skarbów.

Maureen szła obok Sinclaira, słuchając go uważnie. Peter nie był pewien, czy widzi dziennikarkę i pisarkę, czy po prostu kobietę, która chłonie każde słowo mężczyzny. Tak czy inaczej, była urzeczona, a jej uwaga skupiała się bez reszty na charyzmatycznym Szkocie.

Kiedy znaleźli się na szczycie niewielkiego wzgórza, ich oczom ukazała się kamienna, jakby zamkowa wieża, która na pierwszy rzut oka wyrastała niespodziewanie ze zbocza. Wysoka na kilka pięt, stała samotnie w tym skalistym krajobrazie, jakby się wzięła znikąd.

-Wygląda jak wieża Saunier'a! - wykrzyknęła Maureen.

- Nazywamy ją Żartem Sinclaira. Zbudował ją mój dziadek. Owszem, wzorował się na wieży Saunier'a. Widok, jaki się z niej rozciąga, nie jest tak wspaniały jak z Rennes-le-Chateau, ponieważ ta stoi niżej, ale i tak jest wart zachodu. Chcecie sprawdzić?

Maureen spojrzała przez ramię na zamyślonego Petera, pragnąc się przekonać, czy ma ochotę wejść na wieżę. Pokręcił głową.

- Zostanę tutaj. Idź, jeśli chcesz.

Sinclair wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi prowadzące do wieży. Wszedł pierwszy, prowadząc Maureen po stromych krętych schodkach. Kiedy dotarli na górę, otworzył z kolei drzwi prowadzące na taras i skinął na Maureen, by wyszła na zewnątrz.

Widok krainy katarów i ruin starodawnych *chdteaux* w oddali był wspaniały. Maureen przez chwilę podziwiała tę panoramę, nim spytała Sinclaira:

- Dlaczego ją zbudował?

- Z tego samego powodu, dla którego Sauniere zbudował swoją. Widok z lotu ptaka. Obaj wierzyli, że patrząc z góry można odkryć wiele sekretów.

Maureen oparła się o parapet i jęknęła.

- Dlaczego wszystko jest zagadką? Obiecał mi pan odpowiedzi, ale jak dotąd zawdzięczam panu wyłącznie pytania.

- Dlaczego nie posłucha pani tego głosu w swojej głowie? Albo jeszcze lepiej, tej kobiety z pani wizji? To ona tu panią przywiodła.

Maureen osłupiała.

- Skąd pan o tym wie?

Sinclair usmiechnął się znacząco, ale bez cienia triumfu.

- Jest pani kobietą z rodu Paschal. Można więc było tego oczekiwać. Zna pani pochodzenie swojego nazwiska?

- Paschal? Mój ojciec urodził się w Luizjanie, był potomkiem Francuzów, jak wszyscy na rozlewiskach.

- Cajun?

Maureen przytaknęła.

-Tak mi mówiono. Umarł, kiedy byłam mała. Prawie go nie pamiętam.

-Wie pani, od czego pochodzi słowo „Cajun”? Od słowa „Arkadyjski”. Francuzi, którzy osiedli w Luizjanie,

byli nazywani Arkadianami, co w miejscowym dialekcie przybrało z czasem formę „Akadian”, a to z kolei „Cajun”. Proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek sprawdzała pani w słowniku angielskim znaczenie słowa *paschalt*

Maureen przyglądała mu się teraz ciekawie, ale z coraz większą rezerwą.

- Nie, chyba nie.

- Zadziwia mnie, że osoba o pani zdolnościach badawczych wie tak niewiele o swoim nazwisku rodowym.

Maureen odwróciła się do niego plecami.

- Kiedy mój ojciec zmarł, matka zabrała mnie do rodziny w Irlandii - powiedziała. - Potem nie miałam już kontaktu z krewnymi ojca.

- Mimo to jedno z pani rodziców musiało przeczuwać pani przeznaczenie.

- Dlaczego tak pan twierdzi?

- Pani imię. Maureen. Wie pani, co oznacza?

Ciepły wiatr znowu się zerwał, mierzwiąc rude włosy Maureen.

- Oczywiście. To znaczy po irlandzku „mała Mary”. Pe ter nazywa mnie tak cały czas.

Sinclair wruszył ramionami, jakby zyskał potwierdzenie swojej teorii, i powiódł wzrokiem po krajobrazie Langwedocji. Maureen podążyła za jego spojrzeniem i dostrzegła łańcuch masywnych skał, rozrzuconych po rozległej trawiastej równinie.

Maureen ujrzała w dali jakiś błysk. Ten refleks letniego słońca kazał jej wyteńczyć wzrok, jakby dostrzegła na horyzoncie coś ciekawego.

Sinclair wydawał się szczerze zainteresowany tym, co zobaczyła.

- Co to jest?

- Nic. - Maureen potrząsnęła głową. -To tylko... słońce w moich oczach.

Sinclair wydawał się niezadowolony z odpowiedzi.

- Jest pani pewna?

Maureen wahała się przez chwilę, ponownie spoglądając w stronę równiny. Kiwnęła głową, a potem zadała pytanie, które jej ciążyło.

- Ta rozmowa o moim nazwisku... Kiedy pokaże mi pan list od mojego ojca?

- Myślę, że zrozumie pani więcej, kiedy ten wieczór dobiegnie końca.

Maureen wróciła do swojej wspaniałej sypialni w *chateau*, żeby się wykąpać i przebrać do kolacji. Kiedy wyszła z łazienki, zauważyła coś, czego wcześniej w pokoju nie było. Na jej łóżku leżała duża książka w twardej oprawie, słownik angielski. Był otwarty na literze P.

Słowo *Pascal* zakreślono czerwonym kółkiem. Maureen przeczytała wyjaśnienie hasła: „Symboliczne przedstawienie Chrystusa. Baranek Paschalny jest symbolem Chrystusa albo Wielkanocy”.

...Wielu mówiło mi o człowieku zwanym Pawłem. Wywołał wiele zamieszania pośród wybranych i niektórych przebyli długą drogę z Rzymu, a także Efezu, by poprosić mnie o radę w sprawie tego człowieka i jego słów.

Nie przystoi mi go osądzać, nie mogę też powiedzieć, co miał w duszy, jako że nie spotkałam go nigdy ani nie

zajrzałam mu w oczy. Mogę jednak rzec z całą pewnością, że ów Paweł nigdy nie spotkał Ezy i że z najwyższym niepokojem usłyszałam, iż przemawia w jego imieniu i głosi wszystko, czego on nauczał o świetle i dobroci, czyli Drodze.

Było w tym człowieku wiele z tego, czego się obawiałam i uważałam za niebezpieczne. Był niegdyś sprzymierzony z najbardziej zawziętymi wyznawcami Jana, tymi ludźmi, którzy mieli Ezę w głębokiej pogardzie. Sprzeciwiali się nauczaniu Drogi, takiemu, jakim nas obdarzał. Słyszałam też, że człowiek ten znany był kiedyś jako Szaweł z Tarsu i prześladował wybranych. Przyglądał się, gdy młody wyznawca Ezy, piękny młodzieniec zwany Szczepanem, którego serce przepelniała miłość, był kamienowany. Niektórzy powiadają, że ów Szaweł podjudzał do ukamienowania Szczepana. Młodzieniec ten pierwszy po odejściu Ezy umarł za wiarę w Drogę. Nie miał być jednak ostatnim. Z powodu ludzi takich jak Szaweł z Tarsu.

Należało się ich obawiać.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KsiążKA UCZNIÓW

Rozdział dziewiąty

Chateau des Pommes Blues

23 czerwca 2005

Sinclair wybrał na ten wieczór swój prywatny pokój, który był mniej formalny od przepastnej sali jadalnej *chateau*. Pomieszczenie ozdabiały doskonale repliki najslynniejszych obrazów Botticellego. Jedną ze ścian zakrywały niemal w całości obie wersje arcydzieł znanych jako „Opłakiwanie Chrystusa”, ukazujące ukrzyżowanego Jezusa na kolanach matki, jak w przypadku Piety. Na pierwszym z nich zapłakana Maria Magdalena trzyma jego głowę; na drugim trzyma mu stopy. Na dwóch innych ścianach, w bogato złożonych ramach, wisiały trzy malowidła mistrza renesansu, poświęcone Madonnie: „Madonna z owocem granatu”, „Madonna z książką” i „Madonna Magnificat”.

Maureen i Peter oderwali wzrok od płócien dopiero wtedy, gdy się zorientowali, że przygotowano dla nich tradycyjną langwedocką ucztę. Służące przyniosły bulgoczące wazy *cassoulet* i gęsty gulasz fasolowy z dodatkiem kaczki i kielbasy, a koszyki na stole wypełniały kawałki białego chrupkiego chleba. Czerwone wino z Corbieres już czekało, by rozlać je do kieliszków.

- Witam w pokoju Botticellego - oznajmił Sinclair, ukazując się w drzwiach. - Rozumiem, że zapaliliście ostatnio sympatią do naszego Sandra.

Maureen i Peter patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

- Kazał nas pan śledzić? - spytał Peter.

- Oczywiście - odparł rzeczowo. - I bardzo się z tego cieszę, ponieważ zrobiło na mnie ogromne wrażenie to, że zainteresowaliście się freskami weselnymi. Nasz Sandro był całkowicie oddany Magdalenie, o czym dobitnie świadczą jego najśłynniejsze dzieła. Jak na przykład to.

Sinclair wskazał kopię „Narodzin Wenus”, kultowego dzieła, którego główną postacią była bogini na muszli świętego Jakuba, naga i wyłaniająca się z fal.

- Obraz ten przedstawia przybycie Marii Magdaleny do brzegów Francji. W malarstwie renesansowym jest często ukazywana pod postacią bogini miłości, co ma ścisły związek z planetą Wenus.

- Widziałam to płótno ze sto razy - wyznała Maureen. - Nie miałam pojęcia, że przedstawia Marię Magdalenę.

-Tylko nieliczni o tym wiedzą. Nasz Sandro działał czynnie w tokańskiej organizacji oddanej zachowaniu jej imienia i pamięci, czyli w bractwie Marii Magdaleny. Zrozumieliście symbolizm fresków, które oglądaliście w Luwrze?

Maureen się zawahała.

- Nie jestem pewna.

- Proszę spróbować.

- Moją pierwszą myślą była astrologia lub przynajmniej astronomia. Skorpion przedstawiał konstelację Skorpiona, a łuk konstelację Strzelca.

- Brawo. Sądzę, że słusznie. Słyszała pani kiedykolwiek o zodiaku Langwedocji?

- Nie, ale słyszałam o zodiaku Glastonbury w Anglii. Są podobne?

-Tak. Jeśli położy się mapę konstelacji na mapie tego regionu, to wtedy widać, że pewne miasta pokrywają się z pewnymi konstelacjami. To samo dotyczy Glastonbury.

Peter nie do końca rozumiał, o czym mówią.

- Przepraszam, ale w ogóle nie wiem, o co chodzi.

Maureen mu wyjaśniła:

- To było powszechne wierzenie wśród starożytnych, począwszy od Egipcjan. Święte budowle na Ziemi wzniesione tak, by odwzorowywać układ nieba. Na przykład piramidy w Gizie rozmieszczono w ten sposób, by odzwierciedlić konstelację Oriona. Całe miasta planowano według wzoru gwiazd. Spełniało to postulat filozofii alchemicznej „jak w górze, tak na dole”.

- Fresk weselny jest mapą - wyjaśnił Sinclair. - Sandro mówił nam, gdzie patrzeć.

- Chwileczkę. Chce pan powiedzieć, że jeden z największych malarzy wszech czasów wyznawał tę spiskową teorię związaną z Magdaleną? - spytał Peter, wyraźnie zmęczony i niechętny w tej chwili jakiegokolwiek dyplomacji.

- Co więcej, ojciec Healy, twierdząc, że wielu największych malarzy w dziejach wyznawało ową teorię. Musimy podziękować Magdalenie za wiele rzeczy, między innymi za bogactwo arcydzieł wielkich mistrzów.

- Jak Leonardo da Vinci? - spytała Maureen.

Twarz Sinclaira pociemniała tak szybko, że zaskoczyło to Maureen.

- Nie! Leonardo nie zalicza się do nich z bardzo ważkiego powodu.

- Ale namalował Marię Magdalenę w swojej „Ostatniej Wieczerzy”. Panuje też powszechne przekonanie, że był przywódcą tajnego stowarzyszenia, które czciło ją, a także boską kobiecość.

Leonardo był jedynym artystą, o którym bezustannie slyszała, zbierając materiały na temat Marii Magdaleny. Była zaszokowana i zaskoczona niespodziewaną reakcją Sinclaira i jego niechęcią.

Sinclair napił się wina i odstawił delikatnie kieliszek. Kiedy się odezwał, w jego głosie wyczuwało się napięcie:

- Moja droga, nie będziemy psuć tego wieczoru rozmową o tym człowieku czy jego dziele. Nie znajdzie pani śladu jakichkolwiek odniesień do Leonarda da Vinci w moim domu ani też w domu kogokolwiek innego w tej okolicy. Niechaj to wyjaśnienie chwilowo wystarczy. - Uśmiechnął się, by poprawić trochę nastrój. - Poza tym mamy do wyboru tak wielu wspaniałych artystów - naszego Sandra, Poussina, Ribere, El Greco, Moreau, Cocteau, Dalego...

- Ale dlaczego? - zainteresował się Peter. - Z jakiego powodu wszyscy ci ludzie byli zaangażowani w coś, co z gruntu jest herezją?

- Herezja tkwi w oczach patrzącego. Ale, by odpowiedzieć na pytanie księdza, ci wielcy artyści malowali dla bogatych mecenasów, którzy wspierali ich samych i ich dzieła, i większość tych szlachejnych patronów była spokrewniona ze świętym rodem jako potomkowie Marii Magdaleny. Weźmy na przykład freski weselne Botticellego. Pan młody, Lorenzo Tornabuoni, pochodził z pewnej linii tego rodu. Jego wybranka, Giovanni Albizzi, pochodziła z jeszcze bardziej szlachejnej linii. Zauważycie na fresku, że nosi ona czerwona szatę, co symbolizuje jej związek z rodem Magdaleny. Było to bardzo ważne wesele, ponieważ połączyło dwie potężne dynastyczne rodziny, które przez długi czas znajdowały się w stanie wojny.

Maureen i Peter milczeli, czekając z ciekawością, jakimi jeszcze szczegółami zechce się z nimi podzielić Sinclair.

-Twierdzono nawet, że wszyscy ci artyści byli ze sobą spokrewnieni i że ich wielki talent był owocem świętej genetyki. Jest to całkowicie możliwe, a w przypadku Sandra prawdopodobne. Jesteśmy przekonani, że dotyczy to kilku francuskich mistrzów, jak chociażby Georges de la Tour, który wielokrotnie malował swą mużę i antenatkę.

Podekscytowana Maureen stwierdziła, że wie, o czym mówi Sinclair.

- Widziałam jedno z dzieł de la Toura, kiedy zbierałam materiały do książki. W muzeum w Los Angeles. „Pokutu jącą Magdalene”.

Była poruszona niezwykle pięknym ujęciem światła i cie nia na tym płótnie. Maria Magdalena, z dłonią na czaszce, wpatruje się w migotliwy płomień świecy, który odbija się w lustrze.

-Widziała pani jedną z wersji „Pokutującej Magdaleny” - wyjaśnił Sinclair. - Namalował ich wiele, z subtelnymi wariacjami. Kilka zaginęło. Jeden obraz został skradziony z muzeum za życia mojego dziadka.

- Skąd pan wie, że Georges de la Tour wywodził się z tego rodu?

- Pierwszą wskazówką jest jego nazwisko. De la Tour znaczy „z wieży”. To coś w rodzaju gry słownej. Imię Magdalena pochodzi od słowa *migdal*, co znaczy „wieża”. A więc dosłownie jest Marią z miejsca wieży. Jak już pani wie, niektórzy twierdzą, że Magdalena to tytuł, który oznacza „Maria była wieżą” albo przywódczynią plemienia. Kiedy zaczęły się prześladowania katarów, ci, którzy przeżyli, byli zmuszeni zmienić imiona, by strzec swej tożsamości, gdyż imiona katarów od razu ich zdradzały. Ukrywali swój rodowód, posługując się mianem rozpoznawalnym dla wtajemniczonych, jak na przykład

de la Tour czy... - urwał dla większego efektu - ...de Paschal.

Maureen spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- De Paschal?

- Oczywiście. Imię Paschal służyło jako zasłona tożsamości jednej z najszlachetniejszych katarskich rodzin. Kolejny przykład konspiracji w blasku słońca. Zwali się we Francji de Paschal, a we Włoszech di Pasquale. Dzieci Baranka Paschalnego. Wiem też, że Georges de la Tour pochodził z tego rodu, ponieważ był wielkim mistrzem organizacji oddanej zachowaniu czystego chrześcijaństwa, jakie do Europy przyniosła Maria Magdalena.

- Co to za organizacja? - spytał tym razem Peter.

Sinclair zatoczył dłonią łuk.

- Stowarzyszenie Niebieskich Jabłek. Spożywacie kolację w oficjalnej siedzibie organizacji, która istnieje od ponad tysiąca lat.

Sinclair nie chciał mówić dłużej o stowarzyszeniu, porzucając temat z wprawą mistrzowskiego manipulatora. Przez resztę posiłku omawiali szczegóły dnia spędzonego w Rennes-le-Chateau i osobę tajemniczego księdza Beren-gera Saunier'a.

- *Uabbe* ochrzcił w tym kościele mojego dziadka - wyjaśnił Sinclair. - Nic dziwnego, że stary Alistair był tak oddany tej ziemi.

- Nie ulega wątpliwości, że to po nim odziedziczył pan tę fascynację - zauważyła Maureen.

-Tak. Nadając mi jego imię, dziadek pobłogosławił mnie w szczególny sposób. Mój ©jciec się temu sprzeciwiał,

ale Alistair był człowiekiem o żelaznej woli i nikt nie mógł mu się opierać, a już na pewno nie mój ojciec.

Sinclair nie powiedział nic więcej, Maureen i Peter zaś nie naciskali go w tej osobistej i niewątpliwie delikatnej sprawie. Kiedy posiłek dobiegł końca, Sinclair wyprowadził ich z sali.

- Chodźcie, powrócimy do naszego Sandra i waszego wspaniałego odkrycia w Luwrze. Tędy.

Weszli do zaskakująco nowoczesnego pokoju, wypełnionego wysokiej klasy sprzętem kina domowego i kilkoma komputerami. Przy jednym z monitorów siedział Roland, który na ich widok rzucił miłe *bonsoir*. Służący wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze, a potem jakiś guzik na konsoli obok. Na ścianie rozwinął się ekran projekcyjny.

Ich oczom ukazała się mapa najbliższej okolicy, Sinclair zaś wskazał kilka charakterystycznych miejsc.

- Bez trudu odnajdziecie znajome wioski: Rennes-le-Chateau jest tutaj, a tu oczywiście Arques, gdzie się znajdujemy. Grobowiec Poussina, który oglądaliście wczoraj, jest z kolei tutaj.

- I leży w obrębie pańskiej posiadłości? - spytała Maureen.

Sinclair przytaknął.

- Tak, dopilnowaliśmy, by jeden z najcenniejszych skarbów w historii znalazł się na tym terenie.

Dał znak Rolandowi, który rzucił na mapę siatkę konstelacji. Były one oznaczone; Skorpion pokrywał się dokładnie z wioską Rennes-le-Chateau. Arques leżało między Skorpionem a Strzelcem.

- Malując freski, Sandro nakreślił pewną mapę. To był jego prawdziwy prezent dla nowożeńców. Na dobrą sprawę to, co stworzył, było tak niebezpiecznie dokładne, że

wymagało natychmiastowego zniszczenia. Malowidła znajdowały się na ścianach będących częścią posiadłości Tornabuoni, więc nie można ich było zburzyć. Wobec tego zamalowano je mlekiem wapiennym. Pozostały niewidoczne aż do drugiej połowy dziewiętnastego wieku, kiedy to odkryto je przez czysty przypadek.

Nagle Maureen coś sobie uświadomiła.

- Dlatego właśnie pan tu mieszka. W Arques. Uważa pan, że Maria Magdalena ukryła tutaj swoją Ewangelię.

- Jestem tego pewien. I teraz przekonała się pani, że Sandro też o tym wiedział. Proszę ponownie spojrzeć na fresk z Luwru. Bądź tak łaskaw, Rolandzie.

Roland stuknął w klawiaturę, przywołując na ekran malowidło. Sinclair wskazywał poszczególne elementy:

- Widzi pani, kobieta ze skorpionem jest tutaj. Jeśli prze suniemy się w prawo, zobaczymy obok niej inną, która nie trzyma żadnego symbolu. Powyżej, na tronie, siedzi kobieta z łukiem. Ale proszę się dokładnie przyjrzeć. Ta kobieta *jest* odziana w czerwień, w szaty Marii Magdaleny, i przekazuje znak błogosławieństwa dokładnie nad głową kobiety, która siedzi między nią a tą ze skorpionem. To jest na mapie miejsce ukrycia skarbu, między Skorpionem a Strzelcem. Sandro Botticelli znał to miejsce, tak jak i z pewnością Nicolas Poussin. I byli na tyle uprzejmi, by pozostawić nam wskazówki.

Peter nie widział w tym sensu.

-Ale dlaczego ci artyści mieliby sporządzać mapy dostępne oczom wszystkich i ujawniać lokalizację tak bezcennego skarbu?

- Ponieważ trzeba na niego zasłużyć. Nie może być odkryty przez pierwszego z brzegu człowieka. Możemy każde go dnia naszego życia stawać w miejscu, gdzie Magdalena

go zakopała, ale nigdy go nie znajdziemy, chyba że sama postanowi go ujawnić. Został rzekomo ukryty za pomocą jakiegoś procesu alchemicznego, innymi słowy zamka, który może być otwarty tylko dzięki odpowiedniej... energii, tak to nazwijmy. Legenda głosi, że skarb sam się ujawni w odpowiednim momencie, kiedy pojawi się ktoś wybrany przez samą Magdalenę. Obaj, Sandro i Poussin mieli nadzieję, że skarb zostanie odkryty za ich życia, i starali się do tego przyczynić. W przypadku Botticellego to Giovanni Albizzi uchodziła za osobę, która może odnaleźć skarb. Była wedle powszechnej opinii kobietą cnotliwą i uduchowioną, a także błyskotliwą i wykształconą. Jej portret namalował także Domenico Ghirlandaio, umieszczając na nim sentencję „Gdyby tylko sztuka umiała przedstawiać charakter i umysł, nie byłoby na ziemi piękniejszego obrazu”. Pamiętacie drugi fresk z Luwru? Ten, który nosi tytuł „Wenus i trzy gracie obdarowują młodą kobietę”? No cóż, owa młoda kobieta, cała w czerwieni, to właśnie Giovanni Albizzi. Zauważcie, że na obrazie Botticellego nosi ten sam rodowy naszyjnik, co na portrecie Ghirlandaio. Był to bardzo kosztowny klejnot, wykonany specjalnie dla niej, by uczcić pokój zawarty między tymi potężnymi rodzinami. Z osobą sławnej Giovanni wiązano ogromne nadzieje. Niestety, zostały one pogrzebane. Biedna, urocza Giovanni zmarła w połogu dwa lata po ślubie.

Maureen chłoneła każde słowo, starając się połączyć tę włoską historię z tym, co tego samego dnia widziała w Rennes-le-Chateau. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Sądzi pan, że Sauniere mógł znaleźć Ewangelię Magdaleny? Czy dzięki temu stał się tak bogaty?

- Nie. Absolutnie nie. - Sinclair powiedział to z całą mocą. - Bez wątplenia jednak jej szukał. Miejscowi twierdzą,

że wędrował po okolicy, badając skały i jaskinie, i starając się natrafić na jakiś trop.

- Skąd pewność, że jej nie znalazł? - chciał wiedzieć Peter.

- Bo gdyby tak się stało, moja rodzina by o tym wiedziała. Poza tym może być znaleziona tylko przez kobietę, kobietę z tego rodu, wybraną przez samą Magdalene.

Peter nie zamierzał dłużej ukrywać swoich podejrzeń.

- I uważa pan, że Maureen jest tą wybraną?

Sinclair zastanawiał się przez chwilę, potem odparł z charakterystyczną dla siebie szczerością:

- Podziwiam taką bezpośredniość, ojciec. I by odpowiedzieć w ten sam sposób... tak, uważam, że Maureen jest tą wybraną. Nikomu dotąd się nie udało, a próbowały tysiące. Wiemy, że skarb jest gdzieś tutaj, ale nawet najbardziej nieustraszeni nic nie wskórali. Łącznie ze mną. - Zwrócił się do Maureen, a jego twarz i ton głosu wyraźnie zła godniały: - Moja droga, mam nadzieję, że to pani nie przeraża. Wiem, że wszystko, co mówię, brzmi dziwnie, a nawet szokująco. Proszę tylko, by mnie pani wysłuchała. Nigdy nie zostanie pani poproszona o zrobienie czegoś wbrew sobie. Pani obecność tutaj jest całkowicie dobro wolna i mam nadzieję, że postanowi pani pozostać w tym miejscu dłużej.

Maureen skinęła głową, ale nie się odezwała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, jak zareagować na taką rewelację. Nie potrafiła nawet określić, co o tym wszystkim myśli. Czy fakt, że była uważana za kogoś takiego, należało traktować jak honor? Jak przywilej? Czy też powinien budzić strach? A może była jedynie pionkiem zwykłego ekscentryka i jego kultu? Wydawało się niemożliwe, by to wszystko było prawdą i wiązało się z jej osobą. Jednakże w zachowaniu Sinclaira wyczuwała coś, co odbierała jako absolutną

szczerłość. Wbrew wszelkim skrajnym opiniom i dziwactwom, Maureen nie dostrzegła w nim nic nieodpowiedzialnego. W końcu oznajmiła krótko:

- Proszę mówić dalej.

Peter jednak domagał się bardziej szczegółowych wyjaśnień.

- Dlaczego pan uważa, że to Maureen jest wybraną?

Sinclair skinął na Rolanda.

- *La Primavera*, proszę.

Roland zaczął stukać w klawisze, aż na ekranie ukazało się w swej olśniewającej kolorystyce arcydzieło Botticellego, „Wiosna”.

- Kolejne dzieło naszego chłopca. Znać je, jak przypuszczam.

- Tak - odparła niemal szeptem Maureen. Nie wiedziała, do czego to wszystko zmierza, ale już czuła bolesny ucisk w żołądku.

- Oczywiście - zapewnił Peter. - To jeden z najszlachetniejszych obrazów świata.

- Alegoria wiosny. Nieliczni znają prawdę kryjącą się za tym płótnem, ale i tym razem Sandro składa hołd naszej Pani. Centralną postacią jest tu ciężarna Maria Magdalena - zwróćcie uwagę na jej czerwoną pelerynę. Wiecie, dlaczego nasza Maria przedstawia wiosnę?

Peter starał się podążać za tokiem myśli Sinclaira.

- Wielkanoc?

- Dlatego że pierwsza Wielkanoc przypadła w dniu równonocy wiosennej. Chrystus został ukrzyżowany dwudziestego marca i zmartwychwstał dwudziestego drugiego. Według miejscowej ezoterycznej legendy Magdalena też urodziła się dwudziestego drugiego marca. Pierwszy stopień pierwszego znaku zodiakalnego, Barana. Jest to data

nowego początku i zmartwychwstania, co więcej, zawiera dodatkową wartość, duchową liczbę dwadzieścia dwa, liczbę boskiego rodzaju żeńskiego. Dwudziesty drugi marca. Czy ta data *coś* pani mówi, moja droga Maureen?

Peter zdążył już odkryć związek i teraz spojrzał na nią, ciekaw jej reakcji. Nie odzywała się przez długą chwilę. Wreszcie odparła chrapliwym szeptem:

- To dzień moich urodzin.

Sinclair zwrócił się do Petera:

- Urodzona w dniu zmartwychwstania, z rodu Pasterki. Urodzona pod znakiem Barana w pierwszy prawdziwy dzień wiosny i odrodzenia. - Przyszedł czas na ostateczne wyznanie: - Moja droga, jest pani Barankiem Paschalnym.

Maureen natychmiast przeprosiła i wyszła z sali; potrzebowała czasu, by przeanalizować wszystkie informacje i ich konsekwencje. Położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Wiedziała, że w końcu rozlegnie się pukanie do drzwi, ale miała nadzieję, że nie tak szybko. Odczuła ulgę, gdy z drugiej strony dobiegł głos Petera.

- Maureen, to ja. Mogę wejść? Maureen wstała z łóżka i poszła otworzyć.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Głęboko poruszona. Wejdz. - Wskazała jeden z bogato zdobionych i wyściełanych czerwona skórą foteli, które stały po obu stronach kominka.

Peter pokręcił głową. Był zbyt zdenerwowany, by siadać.

- Posłuchaj, Maureen, chcę cię stąd zabrać, zanim to dziwactwo przemieni się w coś gorszego.

Maureen westchnęła i usiadła w fotelu.

- Ale dopiero zaczynam poznawać odpowiedzi, po które tu przyjechałam. Po które oboje przyjechalśmy.

- Nie powiem, żeby mnie specjalnie obchodziły odpowiedzi Sinclaira. I uważam, że grozi ci tutaj ogromne niebezpieczeństwo.

- Ze strony Sinclaira?

-Tak.

Maureen spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

- Och, daj spokój. Dlaczego miałby mnie skrzywdzić, skoro moja osoba pozwala mu zrealizować życiowy cel?

- Ponieważ ten cel to iluzja spowita wiekami przesądów i legend. To bardzo groźne, Maureen. Tu chodzi o religijne kultury. O fanatyków. Martwi mnie to, co z tobą zrobi, kiedy sobie uświadomi, że nie jesteś jego zbawczynią.

Maureen milczała przez chwilę. Jej pytanie było zaskakująco chłodne.

- Skąd wiesz, że nie jestem? Peter spojrzał na nią osłupiały.

- Wierzysz w to, co mówi Sinclair?

- A jak wytłumaczysz te wszystkie zbiegi okoliczności, Peter? Głosy, wizje? Ja nie potrafię ich wyjaśnić, jeśli odrzucę teorię Sinclaira.

Peter zwrócił się do niej zdecydowanym tonem, jakby przemawiał do dziecka:

- Wyjeżdżamy rano. Możemy złapać samolot z Tuluzi do Paryża. Możemy nawet polecieć z Carcassonne do Londynu...

Maureen nie zamierzała ustąpić.

- Nie wyjeżdżam stąd, Peter. Nie ruszę się, dopóki nie poznam wszystkich odpowiedzi, po jakie przyjechałam...

Peter przestał panować nad nerwami.

- Maureen, przysięgłem twojej matce przed jej śmiercią, że zawsze będę się tobą opiekował, że nie zdradzę, co stało się z twoim ojcem... - Zbyt późno ugryzł się w język.

Maureen miała taką minę, jakby dostała w twarz. Peter zaczął się szybko wycofywać.

- Przepraszam, Maureen, ja...

Przerwała mu chłodno:

- Mój ojciec. Dzięki, że przypomniałeś mi jeszcze jeden powód, dla którego powinnam tu zostać. Żeby się dowie dzieć, co Sinclair o nim wie. Niemal przez całe życie za stanawiałam się nad tym, podczas gdy matka mówiła mi tylko tyle, że był obłąkany i miał skłonności do przestępstw. Przypuszczam, że i tobie to powiedziała. Ale, choć pamięć tam go jak przez mgłę, wiem, że to po prostu nieprawda. Jeśli ktokolwiek może zdradzić mi na jego temat coś więcej, to zrobię wszystko, by go wysłuchać. Jestem to winna ojcu. I sobie.

Peter już chciał coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował. Odwrócił się do drzwi, wyraźnie rozdarty. Maureen przyglądała mu się przez chwilę, potem zmiękła i poprosiła, żeby został.

- Proszę, okaż mi trochę cierpliwości. Muszę to rozwiązać. Nigdy się nie dowiemy, czy te wizje cokolwiek oznaczają, jeśli nie wyjaśnię wszystkiego. A jeśli - założmy - jeśli chociażby ułamek tego, co powiedział nam Sinclair, jest prawdą? Muszę się o tym przekonać, Pete. Jeśli teraz wyjadę, będę żałować do śmierci, a nie chcę tego. Uciekałam przez całe życie, uciekałam przed wszystkim. W dzieciństwie uciekałam z Luizjany, tak szybko i tak daleko, że nawet tego nie pamiętam. Po śmierci matki uciekałam z Irlandii i wróciłam do USA, do miasta, gdzie nie było wspomnień, gdzie każdy staje się kimś innym, niż był w chwili narodzin.

Los Angeles to miejsce, gdzie wszyscy są tacy jak ja, wszyscy uciekają przed tym, czym kiedyś byli. Ale mam już tego dość.

Wstała i podeszła bliżej, by spojrzeć mu w twarz.

- Teraz, po raz pierwszy w życiu, czuję się tak, jakbym uciekała ku czemuś. Tak, to przerażające, ale wiem, że nie mogę się zatrzymać. I wołałabym nie doświadczyć tego bez ciebie, ale zdołam - i zrobię to — jeśli postanowisz rano wyjechać.

Peter wsłuchiwał się z uwagą w jej gwałtowne słowa. Kiedy skończyła, skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Stał przez chwilę z dłonią na klamce, potem odwrócił się do niej.

- Nigdzie nie jadę. Ale, proszę, nie każ mi tego żałować przez resztę mojego życia. Albo twojego.

Peter wrócił do swojego pokoju i spędził noc na modlitwie. Przyłapał się na tym, że długo i z wysiłkiem rozważa nauki Ignacego Loyoli, założyciela zakonu jezuitów. Nie dawał mu spokoju zwłaszcza jeden fragment, napisany przez świętego w 1556 roku:

Jako że szatan okazał wielki spryt, prowadząc ludzi ku zatraceniu, taki sam spryt należy okazać, kiedy chce się ich ocalić. Diabeł badał naturę każdego człowieka, skupiał się na przymiotach jego duszy, dostosowywał się do niego i stopniowo zdobywał zaufanie swej ofiary - podsuwając ambitnemu splendory, chciwemu zyski, zmysłowemu rozkosze, pobożnemu zaś fałszywe pozory świętości - a zatem zdobywca dusz powinien wykazać się taką samą przebiegłością i rozwagą.

Sen umykał Peterowi, gdy słowa założyciela jego zakonu dźwięczały mu bezustannie w sercu i myślach.

Rzym

23 czerwca 2005

Biskup Magnus O'Connor otarł z czoła kroplę potu. Sala, w której odbywały się posiedzenia rady watykańskiej, była klimatyzowana, ale to niewiele mu pomagało w tej chwili. Siedział przy wielkim, owalnym stole, w otoczeniu przedstawicieli swego Kościoła. Czerwone teczki, które przyniósł poprzedniego dnia, znajdowały się w rękach stanowczego i groźnego kardynała DeCaro, który pełnił rolę przesłuchującego.

- Skąd ksiądz biskup wie, że te zdjęcia są autentyczne? - Kardynał położył teczki na stole, ale nie otworzył ich jeszcze.

- Byłem obecny, kiedy je wykonano. - Magnus starał się zapanować nad jękiem, które przesładowało go w chwilach stresu. - Sprawę zgłosił mi jego proboszcz.

Kardynał DeCaro wyjął z teczki kilka zdjęć o formacie osiem na dziesięć centymetrów. Były czarno-białe i pośliznęły się ze starości, ale nie umniejszało to wrażenia, jakie ich treść robiła na obecnych, gdy krążyły wokół stołu.

Pierwsze, opatrzone adnotacją „Dowód rzeczowy I”, przedstawiało makabryczny obraz - ręce mężczyzny, spoczywające po jego bokach i odwrócone dłońmi do góry. W nadgarstkach widniały ziejące, krwawe rany.

„Dowód rzeczowy II” ukazywał stopy mężczyzny, naznaczone równie okropnymi, krwawiącymi dziurami.

Trzecie zdjęcie, „Dowód rzeczowy III”, przedstawiało mężczyznę bez koszuli. Pod żebrami, po lewej stronie torsu, można było dostrzec krwawiące, postrzępione rozcięcie.

Kardynał czekał, aż szokujące fotografie okrążą stół i trafią z powrotem do teczki. Potem zwrócił się do członków rady. Ich twarze były poważne, gdy potwierdził to, co wszyscy podejrzewali:

- Patrzymy na autentyczne stygmaty. W liczbie pięciu i wszystkie w odpowiednich miejscach.

Chateau des Pommes Blues

24 czerwca 2005

Rano Sinclair się nie pokazał. Maureen i Peter zostali powitani przez Rolanda, który zaprowadził ich na śniadanie. Peter nie bardzo wiedział, czy niezwykła uprzejmość, jakiej doświadczali, była oznaką gościnności, czy też wskazywała raczej na areszt domowy. Najwyraźniej Sinclair robił wszystko, by oboje nie pozostawali ani na chwilę sami.

- *Monsieur* Sinclair poprosił mnie, bym zapewnił was, że dostarczono wam wspaniałe kostiumy na dzisiejszy bal. Jest zajęty ostatnimi przygotowaniem do przyjęcia, ale oddał do waszej dyspozycji szofera, gdybyście chcieli zwiedzić dzisiaj okolicę. Pomyślał, że być może zainteresują was zamki katarów w tym rejonie. Byłbym zaszczycony, mogąc wam służyć jako przewodnik.

Przyjęli ofertę i towarzystwo olbrzymia, który usatysfakcjonował ich znakomitym komentarzem. Pokazał wspaniałe ruiny potężnych niegdyś warowni katarów, opisując, jak to zamożni hrabiowie Tuluzy rywalizowali pod względem

potęgi i przywilejów z królami Francji. Panowie Tuluzy byli potomkami katarów albo przynajmniej darzyli sympatią ich ideały. Był to jeden z powodów, dla których król francuski tak przychylnie patrzył na bezwzględne krucjaty przeciwko Czystym - mógł skonfiskować to, co należało niegdyś do Tuluzy, powiększając swe francuskie posiadłości i majątek, pomniejszając zaś wpływy rywali.

Roland mówił z dumą o swej ojczyźnie i rodzimym języku oksytańskim, zwanym Oc, od którego pochodziła nazwa tej krainy. *Langue Oc*, czyli „język Oc” z czasem przemieniło się w *Languedoc*. Kiedy w pewnej chwili Peter określił Rolanda mianem Francuza, ten z miejsca sprostował, że nie jest Francuzem, tylko Oksytańczykiem.

Roland opisywał szczegółowo liczne okrucieństwa, jakie w trzynastym wieku spadły na tę ziemię i jego naród. Mówił *o jęgo dziejach z nieklamaną pasją*.

- Wielu ludzi poza granicami Francji nie słyszało nawet b katarach, a jeśli ktoś słyszał, to wyobraża sobie niewielką i pozbawioną znaczenia sektę ukrywającą się w tych górach. Mało kto zdaje sobie sprawę, że katarowie stanowili dominującą społeczność i kulturę na dużym i zamożnym obszarze Europy. To, co się tutaj wydarzyło, nie było ni czym innym jak ludobójstwem. Siły papieskie wymordowały blisko milion ludzi.

Spojrzał z pewnym współczuciem na Petera.

- Nie żywię urazy do współczesnego duchowieństwa za czyny średniowiecznego Kościoła, *labbe Healy*. Ojciec jest kapłanem, ponieważ poczuł powołanie, każdy to widzi.

Potem prowadził ich w milczeniu, a Maureen i Peter podziwiali potężne zamki, które wzniesiono na poszarpanych górskich szczytach przed niemal tysiącem lat. Owe fortece były na dobrą sprawę nie do zdobycia, zarówno ze względu

na ich położenie, jak i architekturę. Oboje rozmyślali o bogactwie kultury zdolnej stworzyć bez wsparcia współczesnej techniki tak potężne fortyfikacje w niegościnnym i złowrogim krajobrazie.

Kiedy jedli lunch w wiosce Limoux, Maureen czuła się w towarzystwie Rolanda już na tyle pewnie, by spytać go o znajomość z Sinclairem. Siedzieli jak starzy przyjaciele w knajpce nad rzeką Aude, od której brała swą nazwę najbliższa okolica. Potężnie zbudowany majordomus okazał się zaskakująco serdeczny i życzliwy, nawet dowcipny, co przeczyło jego groźnemu wyglądowi.

- Dorastałem w Chateau des Pommes Blues, *mademoiselle* — wyjaśnił. - Moja matka zmarła, kiedy byłem dzieckiem. Ojciec służył zarówno u *monsieur* Alistaira, jak i *monsieur* Berengera, mieszkaliśmy zaś na terenie posiadłości. Gdy ojciec zmarł, poprosiłem, by pozwolono mi zająć jego stanowisko w *chdteau*. To mój dom, a Sinclairowie to moja rodzina.

Wydawało się, że ten człowiek o imponującej posturze łagodnieje, mówiąc o stracie rodziców i o swej lojalności wobec Sinclairów.

-To musiało być dla pana bardzo trudne, stracić ojca i matkę - powiedziała ze współczuciem Maureen.

Roland zeszywniał i wyprostował się gwałtownie.

- Tak, *mademoiselle* Paschal. Jak powiadam, moja matka zmarła na nieuleczalną chorobę, gdy byłem jeszcze bardzo mały. Zaakceptowałem to jako wolę boską. Ale śmierć ojca to inna sprawa... mój ojciec padł ofiarą bezsensownego mordu, zaledwie kilka lat temu.

Maureen aż westchnęła z wrażenia.

- Mój Boże, przepraszam, Rolandzie. - Nie chciała do pytywać się o szczegóły.

Peter jednak poczuł, że ciekawość bierze górę nad jego wrodzonym taktem, i spytał:

- Jak to się stało?

Roland wstał od stołu, dając do zrozumienia, że posiłek i rozmowa dobiegły końca.

- Na tej ziemi toczą się zajadłe spory, *l'abbe* Healy. Się gają zamierzchłych czasów, powody ich zaś są nieznanne. To miejsce... jest wypełnione najpiękniejszym światłem. Czasem jednak przyciąga ono najstraszniejszą ciemność. Walczymy z nią w miarę możliwości, ale, jak w przypadku naszych przodków, nie zawsze zwyciężamy. Lecz jedno jest pewne - wszelkie próby ludobójstwa, jakie tu podejmowano, nie powiodły się. Wciąż jesteśmy katarami, zawsze nimi byliśmy i zawsze będziemy. Praktykujemy swoją wiarę po cichu i w odosobnieniu, ale stanowi ona część naszego życia w takim samym stopniu jak dawniej. Nie pozwólcie, by autor jakiejś książki historycznej czy badacz wmówił wam coś innego.

Kiedy Maureen wróciła tego popołudnia do *chateau*, w pokoju czekała na nią pokojówka.

- Fryzjerka zjawi się za chwilę, *mademoiselle*. Przesłano też pani kostium. Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc...

- Nie, *merci*. - Maureen podziękowała pokojówce i zamknęła drzwi.

Chciała odpocząć przed przyjęciem. Przeżyła piękny dzień, wypełniony najbardziej niezwykłymi widokami, jakie przyszło jej oglądać w czasie tej podróży. Ale była też wyczerpana i niepokoiły ją enigmatyczne wzmianki Rolanda o morderstwie dokonanym na-jego ojcu.

Dostrzegła sporych rozmiarów torbę na odzież leżącą w poprzek łóżka. Domyślając się, że jest to kostium na bal, rozsunęła zamek błyskawiczny i wyjęła suknię. Dopiero po chwili zorientowała się, co to jest, i aż sapnęła z wrażenia.

Zbliżywszy się do obrazu Ribery, zauważyła, że suknia jest identyczna z obszerną, obszywaną szkarłatem szatą Marii Magdaleny z płótna hiszpańskiego mistrza.

Peter z niechęcią myślał o włożeniu kostiumu. Początkowo nie zamierzał uczestniczyć w balu, uznawszy, że po prostu nie wypada mu tego robić. Jednakże, w sytuacji gdy Sinclair mnożył swoje rewelacje, a Maureen poddawała się im coraz bardziej, postanowił nie spuszczać jej z oka. Oznaczało to konieczność ubrania się w wyszukaną trzynastowieczną szatę i pończochy, które dla niego przygotowano.

- Co za bzdury - mruknął, zdejmując opakowanie z kostiumu i próbując się zorientować, gdzie ma włożyć głowę.

Peter zapukał do drzwi pokoju Maureen, niezgrabnie poprawiając na sobie kostium. Z kapelusza zrezygnował. Był ciężki i tkwił na jego głowie pod dziwnym kątem, przypominając Peterowi bezustannie, że wygląda w nim śmiesznie.

Drzwi się otworzyły i z pokoju wyszła odmieniona Maureen. Strój z obrazu Ribery pasował na nią jak ulał - koronkowy, odsłaniający ramiona gorset ustępował tafcie o najgłębszym szkarłatnym odcieniu. Długie włosy Maureen zostały tak ułożone, by podkreślić ich gęstość, i opadały na kark lśniąca kaskadą. Peter był jednak najbardziej

poruszony zaskakującą pewnością siebie, emanującą z jej postaci. Miał wrażenie, że przyjęła rolę, która pasowała jej w stopniu doskonałym.

- I co myślisz? Nie jest to przesada?
- Zdecydowanie. Ale wyglądasz... zjawiskowo.
- Ciekawe określenie. Gra słów niezamierzona?

Peter mrugnął i skinął głową, zadowolony, że znów żartują i że ich wzajemne relacje nie ucierpiały zbyt po scysji z poprzedniego wieczoru. Wycieczka po niezwyklej krainie katarów pokrzepiła ich oboje.

Peter poprowadził ją krętymi korytarzami *chateau* w stronę sali balowej w odległym skrzydle budynku. Maureen roześmiała się, gdy zaczął narzekać na swój kostium.

- Wyglądasz bardzo dostojnie i szycownie - zapewniła.
- Czuję się jak kompletny idiota - odparł.

Carcassonne 24
czerwca 2005

W pradawnym kamiennym kościele za murami miasta Carcassonne trwały przygotowania do uroczystości innego rodzaju. Ogół członków Gildii Sprawiedliwych uczestniczył z powagą w nabożeństwie - ponad dwustu ludzi w odświęt-nych szatach i z grubymi czerwonymi sznurami na szyjach, symbolem ich zakonu.

Wśród obecnych nie było ani jednej kobiety. Nigdy żadna niewiasta nie sprofanowała sal gildii czy jej prywatnych kaplic. W każdej siedzibie znajdowała się tabliczka z wygrawerowanymi słowami świętego Pawła, odnoszącymi się do kobiet. Na jednej widniał cytat z Pierwszego Listu do Koryntian:

Kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć; nie dozwala im się bowiem mówić, lecz mają być poddane, jak to Prawo nakazuje. A jeśli pragną się czegoś nauczyć, niech zapytają w domach swoich mężów. Nie wypada bowiem kobiecie przemawiać na zgromadzeniu.

Na drugiej widniał cytat z Pierwszego Listu do Tymoteusza:

Nauczać zaś kobiecie nie pozwalam ani też przewodzić nad mężem, lecz chcę, by trwała w cichości.

Choć gildia otaczała wciąż słowa świętego Pawła, nie on był jej mesjaszem.

Nad ołtarzem rozłożono na atlasowych poduszkach relikwie mistrza, od którego się wywodzili - połyskującą w blasku s'wiec czaszkę i fragment prawego palca wskazującego; szczątki te wyjęto z relikwiarza na ową doroczną uroczystość. Po nabożeństwie i przemowie Mistrza Gildii każdy jej członek miał prawo dotknąć relikwii. Był to przywilej zwyczajowo zarezerwowany tylko dla członków rady, gdy już złożyli przysięgę krwi, że będą krzewie nauki sprawiedliwości. Lecz coroczne święto było pielgrzymką wyznawców ze wszystkich zakątków świata i tej jednej nocy Wszyscy dostępowali zaszczytu dotknięcia świętych szczątków.

Ich przywódca podszedł do ambony, by wygłosić mowę wprowadzającą. W pradawnych kamiennych murach kościoła rozbrzmiała arystokratyczna angielszczyzna Johna Simona Cromwella.

- Bracia moi, dziś wieczór, nie tak daleko stąd, zebrał się pomiot ladacznicy i niegodziwego kapłana. Czczą swą

dziedziczną nieczystość rozpasaniem. Celowo postanowili zbrukać tę świętą noc, by obnosić się ze swymi lubieżnymi postępkami i pokazać nam swą siłę. Ale nie ułękniemy się ich. Niebawem dokonamy na nich zemsty, która czekała dwa tysiące lat, by ujrzeć pełne światło sprawiedliwości. Obaliliśmy wówczas ich niegodziwego pasterza i teraz obalimy jego potomków. Zniszczymy ich wielkiego mistrza i jego kukły. Wyeliminujemy kobietę, którą zwą swoją Pasterką, i dopilnujemy, by ta wszeteczna królowa została strącona do piekła, zanim zdoła rozprowadzić kłamstwa o czarownicy, z rodu której się wywodzi. Czynimy to w imię pierwszego, jedynego prawdziwego mesjasza, przemówił on bowiem do mnie i takie jest jego pragnienie. Czynimy to w imię Nauczyciela Sprawiedliwości i z błogosławieństwem Boga, Pana naszego.

Cromwell zaczął procesję relikwii, dotykając z czcią najpierw czaszki, a potem kości palca. Jednocześnie oznajmił głośnym szeptem:

- *Neca eos omnes.*

Zabić ich wszystkich.

...Wedle słów tych, którzy powiadomili mnie o Pawle, przemawiał on przeciwko roli kobiet w wytyczaniu Drogi. Jest to najpewniejszy dowód, że taki człowiek nie mógł znać prawdy nauk Ezy czy istoty jego samego. Wielki szacunek, jaki Eza okazywał kobietom, jest dobrze znany wybranym, ja zaś mogę uchodzić za owego szacunku potwierdzenie.

Nikt nie jest władny tego odmienić, chyba że wykreślą me imię z historii.

Powiada się też, że ów Paweł bardziej sobie cenił samą śmierć Ezy, nie zaś jego słowa. Zasmuca mnie to wielce jako oznaka niezrozumienia.

Paweł ten był przez długi czas więziony przez Nerona. Powiada się, że ułożył wiele listów do swych wiernych, głosząc im nauki, które, jak twierdził, pochodziły od Ezy. Lecz ci, którzy przyszli do mnie, powiadają, że nie przemawiał za Drogą, że jego nauki były zafalszowaniem naszej ścieżki.

Oplakuję każdego człowieka, który był męczony i zabijany w mrocznym królestwie tego potwora Nerona. A jednak duszę moją napętnia lęk. Żywię obawę, że człowiek imieniem Paweł będzie postrzegany jako wielki męczennik za Drogę i że liczni uznają, iż jego fałszywe nauki są tymi, które głosił Eza.

Nie są.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział dziesiąty

Chateau des Pommes Blues

24 czerwca 2005

Maureen i Peter kroczyli korytarzami, kierując się ku melodyjnym dźwiękom madrygałów. Zbliżywszy się do drzwi sali balowej, po raz pierwszy przekonali się, czym będzie wyszukana i zorganizowana z przepychem uroczystość Sinclaira.

Maureen miała wrażenie, że przeniosła się w inną epokę. Ogromna sala balowa została udrapowana w aksamitne zasłony, jej wnętrze zaś zdobiły tysiące kwiatów i świec. Służący w perukach i kostiumach krążyli bezszelestnie i z wprawą, roznosząc jedzenie i drinki, i sprząając dyskretnie po bardziej niesfornych i hałaśliwych gościach.

Lecz to właśnie goście stanowili prawdziwą ozdobę tej kosztownej szkatułki, jaką była sala balowa. Ich kostiumy odznaczały się wyszukaniem i ekstrawagancją; były to stroje z różnych epok francuskiej i langwedockiej historii lub ubiory symbolizujące tajemnicze tradycje. Zaproszenie na imprezę Sinclaira stało się przedmiotem pożądania ze strony elity ezoterycznej na całym świecie; szczęśliwi wybrańcy poświęcili mnóstwo czasu i pieniędzy, by nabyć odpowiednie stroje. Zorganizowano konkurs na najbardziej oryginalny kostium, a także najpiękniejszy i najśmieszniejszy. Sam Sinclair pełnił obowiązki jednoosobowego jury,

a nagrody, jakie przy takich okazjach wręczał, były często warte małą fortunę. Co ważniejsze, zwycięstwo zapewniało wielce pożądane miejsce na liście zaproszonych gości na następny rok.

Muzyka, śmiech i brzęk kryształowych kieliszków uci-
chły nagle, gdy Maureen i Peter wkroczyli do sali.

Mężczyzna w liberii dał trąbką heraldyczny sygnał, Ro-
land zaś, ubrany w prosty katarski strój, wystąpił do przodu,
by obwieścić ich przybycie. Z niejakim zdziwieniem
Maureen spostrzegła, że tego wieczoru służący jest ubrany
jak gość, a nie jak podwładny Sinclaira, ale nie miała czasu
się nad tym zastanawiać, ponieważ została poprowadzona w
głąb sali.

- Mam zaszczyt przedstawić naszych honorowych gości,
mademoiselle Maureen de Paschal i *l'abbe* Petera Healy.

Tłum zastygł niczym woskowe figury, wpatrując się w
nowo przybyłych. Roland dał znak orkiestrze, by grała dalej,
i w ten sposób położył kres niezręcznej chwili. Podał
Maureen ramię i poprowadził ją wzdłuż sali. Goście nadal
się przypatrywali, ale już nie tak nachalnie. Ci z większym
poczuciem taktu pokryli swe zmieszanie udawanym brakiem
zainteresowania.

- Proszę się nimi nie przejmować, *mademoiselle*. Jest pani
nową osobą i nową tajemnicą, którą należy odkryć. Teraz
jednak szybko panią zaakceptują - oznajmił znacząco. -
Nie mają wyboru.

Maureen nie miała czasu zastanawiać się nad znaczeniem
słów Rolanda, ponieważ porwał ją na parkiet. Peter został
sam, obserwując wszystko z coraz większym zaciek-
awieniem.

- Reenie!

Amerykański akcent Tamary Wisdom nie pasował do europejskiego otoczenia. Podeszła do Maureen, która właśnie zakończyła taniec z Rolandem. W cygańskim kostiumie Tammy wyglądała wyjątkowo egzotycznie. Jej niezwykle włosy były ufarbowane na kruczoczarny kolor i sięgały aż do talii. Na ramionach pobrzękiwały złote bransolety. Roland mrugnął do niej - nieco zalotnie, jak dostrzegła Maureen - po czym skłonił się i oddalił, przeprosiwszy obie panie.

Maureen uściskała przyjaciółkę, zadowolona, że w tym coraz dziwniejszym miejscu widzi znajomą twarz.

- Wyglądasz wspaniale. Za kogo się przebrałaś?

Tammy obróciła się z wdziękiem, powiewając wokół siebie hebanowymi włosami.

- Za Egipcjankę Sarę, znaną również jako cygańska królowa. Była służką Marii Magdaleny. - Tammy uniosła jednym palcem taftę sukni Maureen. - Nie muszę chyba pytać, kim ty jesteś. Berry ci to dał?

- Berry?

Tammy wybuchnęła śmiechem.

- Tak Sinclaira nazywają przyjaciele.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteście ze sobą tak blisko. - Maureen miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać rozczarowania.

Tammy nie zdążyła odpowiedzieć, w tym bowiem momencie podeszła do nich młoda kobieta ubrana w prostą szatę katarów. Dziewczyna wręczyła Maureen białą lilię.

- *Marie de Negre* - powiedziała, po czym skłoniła się i oddaliła.

Maureen spojrzała na Tammy.

- O co chodzi?

„

- O ciebie. Ty dziś jesteś tematem plotek. Podczas tej corocznej uroczystości obowiązuje tylko jedna zasada, innymi słowy, nikomu nigdy nie wolno ubierać się tak jak Ona. I nagle ty się pojawiaasz, jakby wprost z jej obrazu. Sinclair obwieszcza światu twoje istnienie. To twój debiut towarzyski.

- Cudownie. Byłoby miło, gdybym została poinformowana o tym drobnym szczególe. Jak mnie nazwała ta dziewczyna?

- *Marie de Negre*. Czarna Maria. Tak miejscowi nazywają Marię Magdalenę, Czarną Madonną. W każdym pokoleniu jedna kobieta z jej rodu otrzymuje ten oficjalny tytuł i dzierży go aż do śmierci. Gratuluję, tutaj to ogromny zaszczyt. To tak, jakby powiedziała do ciebie: „Wasza Wysokość”.

Maureen miała za mało czasu, by rozmyślać o chaosie, który ją otaczał. Zewsząd atakował ją nadmiar wrażeń: za dużo muzyki, zbyt wielu ekscentrycznych i budzących ciekawość gości. Sinclaira nie było nigdzie widać; podczas tańca pytała o niego Rolanda, ale olbrzym z Langwedocji tylko wzruszył ramionami i udzielił jak zwykle niejasnej i enigmatycznej odpowiedzi.

Widząc, że Maureen rozgląda się po sali, Tammy spytała:

- Szukasz swojego opiekuna?

Maureen spojrzała na nią znacząco, ale skinęła głową; nie chciała, by Tammy sądziła, że chodzi jej o kogoś innego niż tylko i wyłącznie o Petera. Przyjaciółka spojrzała ponad jej ramieniem i poinformowała, że Peter idzie w ich stronę.

- Zachowuj się, błagam - syknęła Maureen.

Tammy zignorowała ją i podeszła do Petera.

- Witamy w Babilonie, *padre*.

Peter wybuchnął śmiechem.

- Dziękuję... chyba.

- Zjawileś się w samą porę. Właśnie miałam oprowadzić Naszą Panią po tym jarmarku osobliwości. Chcesz się przyłączyć?

Skinął głową i uśmiechnął się bezradnie do Maureen, a potem ruszył za Tammy.

Tammy oprowadzała ich, informując konspiracyjnym szeptem o różnych grupkach, które mijali, przedstawiając swych przyjaciół. Maureen zdawała sobie doskonale sprawę, że znajduje się w centrum zainteresowania.

Kiedy mijali kilkoro skąpo odzianych mężczyzn i kobiet, Tammy trąciła Maureen.

- To kult seksualny. Wierzą, że Maria Magdalena była najwyższą kapłanką podczas dziwnych rytuałów seksualnych, które wywodzą się ze starożytnego Egiptu.

Maureen i Peter byli wyraźnie oburzeni.

- Nie miejcie do mnie pretensji, mówię wam tylko to, co widzę. Ale zaraz, wstrzymajcie się z komentarzem. Spójrzcie tam...

Najbardziej jak dotąd ekstrawagancka grupa, ubrana w wyszukane stroje kosmitów, łącznie z antenkami, stała w głębi sali.

- Rennes-le-Chateau to gwiazdne wrota, z bezpośrednio nim dostępnym do innych galaktyk.

Maureen wybuchnęła śmiechem, a Peter pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Rzeczywiście, jarmark osobliwości.

- A podejrzewaliście, że zmyślam.

Zatrzymali się, by rzucić okiem na niewielki tłumek ludzi słuchających z uwagą niskiego krągłego człowieczka z kocią bródką. Wydawało się, że mówi rymami, a jego audytorzy chłoną każde słowo.

- Kto to jest? - spytała szeptem Maureen.

- Nostradureń - zażartowała Tammy. Maureen stłumiła śmiech, a Tammy ciągnęła:

- Twierdzi, że jest wcieleniem wiadomo kogo. Mówi tyl ko czterowerszami. Nudny jak diabli. Przypomnijcie mi później, żeby wam wyjaśniła, dlaczego nienawidzę tego całego kultu Nostradamusa. - Wzruszyła wymownie ramionami. - Szarlatani. Równie dobrze mogliby sprzedawać cudowny lek na wszystkie choroby.

Tammy kontynuowała wędrówkę po sali.

- Dzięki Bogu, nie wszyscy tutaj to skończeni dziwacy. Niektórzy są naprawdę ciekawymi ludźmi, w tej chwili widzę dwóch. Chodźcie.

Podeszli do grupy mężczyzn ubranych w kostiumy siedemnasto- i osiemnastowiecznej arystokracji angielskiej. Szlachetnie wyglądający Anglik uśmiechnął się szeroko, kiedy dostrzegł trójkę przyjaciół.

- Tamara Wisdom! To ogromna przyjemność znów cię widzieć, moja droga. Wyglądasz cudownie.

Tammy obdarzyła go europejskim całusem, nie dotykając policzków.

- Gdzie twoje jabłko?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Zostawiłem w Anglii. Proszę cię, zapoznaj nas ze swoimi przyjaciółmi.

Tammy dokonała prezentacji, przedstawiając Anglika jako sir Isaaca, bez nazwiska. On z kolei wyjaśnił im wybór swego kostiumu.

- Sir Isaac Newton to nie tylko ta historia z jabłkiem - powiedział. - Odkrycie praw grawitacji stanowi jedynie pochodną jego znacznie większych dokonań. Isaac Newton był prawdopodobnie jednym z najbardziej utalentowanych alchemików w dziejach.

W tym momencie zbliżył się do nich młody wysoki Amerykanin w stroju Thomasa Jeffersona i pudrowanej peruce.

- Tammy, dziecinko!

Objął ją po amerykańsku, po czym schylił się i pocałował w usta. Tammy wybuchnęła śmiechem i wyjaśniła Maureen:

- To jest Derek Wainwright. Był moim pierwszym przewodnikiem po Francji, kiedy zaczęłam się zajmować tym szaleństwem. Mówi nieskazitelnie po francusku, co urało wało mi życie niezliczoną ilość razy.

Derek skłonił się nisko Maureen. Miał czysty akcent Cape Cod i przeciągał samogłoski, co było typowe dla stanu Massachusetts.

- Thomas Jefferson, do usług, *madame*. - Skinął głową Peterowi. - Ojczce.

Derek jako pierwszy dostrzegł obecność Petera. Maureen zauważyła to, ale nie miała zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ Peter spytał:

- Jaki jest związek Thomasa Jeffersona z... tym wszystkim?

- Nasz wielki kraj został założony przez masonów. Każdy amerykański prezydent, od George'a Washingtona do George'a Busha, był potomkiem rodu - w taki czy inny sposób.

Maureen była zdumiona.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewniła Tammy. - Derek może to udowodnić. Miał zbyt dużo wolnego czasu w szkole z internatem.

Isaac przysunął się do nich, by poklepać Dereka po ramieniu, i oświadczył uroczyście:

- Paweł był pierwszym człowiekiem, który wypaczył doktryny Jezusa, czy nie tak, Tammy?

Peter spojrzął na niego gwałtownie.

- Słucham?

- To jeden z najbardziej kontrowersyjnych cytatów Jeffersona - wyjaśnił Anglik.

Tym razem Maureen była zdumiona.

- Jefferson tak powiedział?

Derek skinął głową, ale wydawało się, że słucha tylko jednym uchem. Rozglądał się po tłumie.

- Hej, gdzie jest Draco? - rzuciła Tammy. - Maureen pewnie by go chętnie poznała.

Cała trójka roześmiała się serdecznie.

- Obraziłem go, a on się wściekł i poszedł szukać innych Czerwonych Smoków - wyjaśnił Isaac. - Jestem pewien, że zaszyli się w jakimś kącie ze swoimi szpiegowskimi kamerami, rejestrując wszystko. Są dzisiaj ubrani w swoje barwy, więc na pewno ich nie przeoczysz.

Maureen nie mogła opanować ciekawości.

- Kim oni są?

- Rycerze Czerwonego Smoka - odparł z dramatyczną przesadą Derek.

- Odrażający - skomentowała Tammy, marszcząc z niechęcią nos. — Noszą te swoje kostiumy, w których wyglądają jak Ku-Klux-Klan, tyle że ich są z jasnoczerwonej satyny. Powiedzieli mi, że mogę poznać sekrety ich szacownego klubu, jeśli przekażę im swoją krew menstrualną do eksperymentów alchemicznych. Oczywiście skorzystałam skwapliwie z oferty.

- A kto by nie skorzystał - zauważyła sucho Maureen, ale po chwili wybuchnęła śmiechem. - Gdzie oni są? Muszę ich zobaczyć.

Rozejrzała się po sali, ale nie dostrzegła nikogo, kto odpowiadałby dziwaczemu opisowi Tammy.

- Widziałem, jak wychodzili na dwór - podsunął usłużnie Newton. - Ale nie wiem, czy powinienem pokazywać im w tej chwili Maureen. Może nie być jeszcze gotowa.

- To bardzo tajemnicze towarzystwo i wszyscy twierdzą, jakoby pochodzili ze królewskich albo sławnych rodów - wyjaśniła Tammy. - Przewodzi im facet, którego nazywają Draco Ormus.

- Dziwne, ale to nazwisko wydaje mi się znajome.

- To pisarz. Współpracujemy z tym samym wydawcą literatury ezoterycznej w Anglii, stąd go znam. Mogłaś natrafić na jedną z jego książek, kiedy podróżowałaś po terytorium Magdaleny. Paradoks polega na tym, że gość pisze o istocie kultu bogini i zasadzie kobiecości, a nie dopuszcza kobiet do swojego klubu.

- Jakież to brytyjskie - skomentował Derek, trącając w bok sir Isaaca, który sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Nie włączaj mnie do tego wariackiego towarzystwa, kowboju. Nie wszyscy Brytyjczycy zostali stworzeni równymi.

- Isaac zalicza się do tych porządnych - wyjaśniła Tammy. - Oczywiście jest w Zjednoczonym Królestwie kilku geniuszy i niektórzy z nich to moi przyjaciele. Ale wiem z doświadczenia, że wielu angielskich ezoteryków to snoby. Uważają bez wyjątku, że są w posiadaniu tajemnicy wszechświata i że pozostali - zwłaszcza Amerykanie - są idiotami spod znaku New Age, którzy prowadzą kiepskie badania. A uważają tak, ponieważ potrafią napisać trzysta stron o świętej geometrii Langwedocji i kolejne dwieście

o fikcyjnych na ogół drzewach genealogicznych, mają to wszystko w małym palcu. Gdyby jednak zechcieli odłożyć na chwilę swoje cyrkle i zawierzyć uczuciom, to odkryliby, że skarbu nie da się obliczyć na papierze.

Wskazała głową grupkę gości w strojach z epoki elżbieciańskiej, na drugim końcu sali.

- Stoi tam kilku, tak na marginesie. Nazywam ich Wielbicielami Kątomierza. Całe życie analizują s'więtą geometrię map typograficznych. Chcesz się czegoś dowiedzieć o znaczeniu sentencji *Et in Arcadia ego*? Przedstawię ci anagramy w dwunastu różnych językach i przełożę na równania matematyczne.

Wskazała atrakcyjną, choć sprawiającą wrażenie arogantkiej kobietę w wyszukanym kostiumie w stylu Tudorów. Nosiła na szyi łańcuszek ze złotą literą „M”, ozdobioną barokową perłą. Otaczający ją tłumek wydawał się pełen uwielbienia.

- Ta kobieta w środku utrzymuje, że pochodzi z rodu Marii, królowej Szkotów.

Jakby wyczuwając, że o niej mowa, kobieta odwróciła się i popatrzyła w ich stronę. Po chwili wlepiła wzrok w Maureen i przyglądała się jej z niekłamaną odrazą, po czym znów nawiązała rozmowę ze swoją s'witą.

- Wredna suka - skomentowała Tammy. - Jest czołową postacią niezbyt tajemnego stowarzyszenia, które pragnie przywrócenia koronie brytyjskiej dynastii Stuartów. Z nią na tronie, ma się rozumieć.

Maureen była zafascynowana mnogością przekonań i wierzeń reprezentowanych przez gości, pomijając już przeróżnych dziwaków o skrajnych poglądach.

Peter nachylił się do niej i zażartował:

- Freud miałby tu wielkie pole do popisu.

Maureen roześmiała się i znów skupiła uwagę na Brytyjczykach po drugiej stronie sali.

- Co Sinclair o niej myśli? Jest Szkotem, poza tym chyba spokrewnionym ze Stuartami - zauważyła.

Zdradzała coraz większe zainteresowanie tym człowiekiem, poza tym Maria, królowa Szkotów, odznaczała się szczególną urodą.

- Och, wie doskonale, że to wariatka. Popęłniłabyś błąd, nie doceniając Berry'ego. Ma swoje obsesje, ale nie jest głupi - zapewniła Tammy.

- Popatrzcie tylko - przerwał im Derek w swój młodzieńczy, niefrasobliwy sposób. - Nadchodzi Hans i jego słynna banda. Słyszałem, że Sinclair omal nie zakazał im wstępu na bal w tym roku.

- Dlaczego? - Maureen była coraz bardziej zafascynowana Langwedocja i tą dziwną ezoteryczną subkulturą, jaką przez wieki stworzyła.

-To poszukiwacze skarbów w najbardziej dosłownym znaczeniu - wyjaśnił sir Isaac. - Plotka głosi, że posłużyli się ostatnio w górach Sinclaira dynamitem.

Maureen przyjrzała się grupie postawnych i hałaśliwych Niemców. Ich zachowanie podkreślały stroje - wszyscy byli przebrani za barbarzyńców.

- Kogo oni udają?

- Wizygotów - odparł Isaac. -Ta część Francji stanowiła ich terytorium w siódmym i ósmym wieku. Niemcy wierzą, że w okolicy jest ukryty skarb jakiegoś króla wizygockiego.

- To byłby europejski odpowiednik odkrycia grobowca Tutanchamona - ciągnęła Tammy. - Złoto, klejnoty, bezcenne artefakty. Typowy skarb.

Przez salę, tuż obok nich, przebiegła wyjątkowo hałaśliwa grupa, potracając przy tym Petera i Tammy. Pięciu

mężczyzn w tunikach gonilo kobietę w barwnych szatach z Bliskiego Wschodu. Niosła na tacy groteskową ludzką głowę. Mężczyźni wołali za nią, zwracając się bez wątpienia do uciętej głowy: „Przemów do nas, Bahomecie, przemów do nas!”.

Tammy wzruszyła ramionami i wyjaśniła krótko, kiedy się oddalili:

- Baptyści.
- Nieprawdziwi oczywiście - wtrącił Derek.
- Nie, nieprawdziwi.

Peter był wyraźnie zaintrygowany tym odłamem religijnym.

- Co rozumiecie przez to, że są nieprawdziwi? - zapytał.
- Jestem pewna, że wiesz, ojcze, jaki dziś dzień w chrześcijańskim kalendarzu - odparła Tammy.

Peter kiwnął głową.

- Święto Jana Chrzciciela.
- Jego prawdziwi wyznawcy nigdy tego dnia nie wzięliby udziału w takiej zabawie - ciągnął Derek. - To byłoby bluźnierstwo.

- To bardzo konserwatywna grupa, w każdym razie odłam europejski - dokończyła Tammy i wskazała kobietę z odciętą głową. - A ci to prześmiewcy. Raczej brutalni, można powiedzieć. Choć nie bez powodu.

Goście w sali obserwowali to błazeństwo, choć nie wszystkich ono bawiło. Jedni śmiali się nieskrępowanie, inni kiwali głowami, a jeszcze inni byli wyraźnie oburzeni.

Derek, który najwidoczniej nie lubił zajmować się przez dłuższy czas jednym tematem, oznajmił:

- Mam ochotę na drinka. Chcecie coś z baru?

Peter wykorzystał nieobecność Dereka jako okazję, by przeprosić na chwilę pozostałych. Kostium mu ciążył, ale chodziło nie tylko o to. Powiedział Maureen, że idzie poszukać toalety. W rzeczywistości skierował się na taras. Był bądź co bądź we Francji - mógł się założyć, że znajdzie kogoś, kto poczęstuje go papierosem.

Do Maureen i Tammy podszedł jakiś Francuz, niezwykle elegancki pomimo prostej szaty katarów. Skinął Tammy i skłonił się Maureen.

- *Bienvenue, Marie de Negre.*

Zaskoczona nagłym zainteresowaniem Maureen roześmiała się.

- Przepraszam, mój francuski jest okropny.

Mężczyzna posługiwał się perfekcyjną, choć odrobinę akcentowaną angielszczyzną.

- Powiedziałem: „Do twarzy pani w tym kolorze”.

Ktoś w końcu sali zaczął nawoływać Tammy. Maureen zerknęła w tamtą stronę. Wydawało jej się, że słyszy Dereka. Zobaczyła, że Tammy wyraźnie się rozpromieniła.

- Oho! Coś mi się zdaje, że Derek dorwał przy barze jednego z moich potencjalnych sponsorów. Wybaczycie mi?

Tammy oddaliła się w ułamku sekundy, zostawiając Maureen w towarzystwie tajemniczego Francuza. Ucałował jej prawą dłoń, wcześniej jednak się zawahał, spoglądając na pierścień. Potem się przedstawił.

- Nazywam się Jean Claude de la Motte. Berenger twierdzi, że jesteśmy spokrewnieni, ja i pani. Moja babka także miała na nazwisko Paschal.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana Maureen.

- Tak. W Langwedocji wciąż żyje kilka osób o tym nazwisku. Zna pani nasze dzieje?

- Niezupełnie. Przyznam ze wstydem, że wszystko, co wiem, usłyszałam w ciągu paru ostatnich dni od pana Sinclaira. Bardzo bym chciała dokładniej poznać historię swojej rodziny.

Obok przesunęli się tancerze w strojach z osiemnastowiecznego Wersalu. Jean Claude wyjaśnił:

- Nazwisko Paschal jest jednym z najstarszych we Francji. Zostało przyjęte przez jedną z wielkich rodzin katarskich, po tomków Jezusa i Marii Magdaleny w prostej linii. Większość jej członków zginęła podczas krucjaty przeciwko naszemu ludowi. Tych, którzy ocalili po masakrze w Montsegur, spalono żywcem na stosie jako heretyków. Kilku jednak uciekło, by potem stać się doradcami królów i królowych Francji.

Jean Claude wskazał parę na parkiecie, ubraną w wyszukane stroje Marii Antoniny i Ludwika XVI.

- Maria Antonina i Ludwik? - spytała ze zdziwieniem Maureen.

- *Oui*. Maria Antonina pochodziła z Habsburgów, a Ludwik z Burbonów - oboje byli potomkami rodu Marii Magdaleny, tyle że z różnych jego gałęzi. Połączyli te odnogi krwi, co tłumaczy, dlaczego ludzie tak bardzo się ich bali. Rewolucja była po części owocem lęku, że połączone rodziny stworzą najpotężniejszą na świecie dynastię. Była pani w Wersalu, *mademoiselle*

-Tak, odwiedziłam go, zbierając materiały na temat Marii Antoniny.

- Zna więc pani ten jej zakątek?

- Oczywiście.

Ów zakątek był ulubionym miejscem Maureen, jeśli chodzi o rozległe tereny pałacowe Wersalu. Kiedy przemierzała

sale królewskiej rezydencji, przepelniała ją ogromna sympatia do królowej. Każde z codziennych zajęć Marii Antoniny, takie jak siedzenie w toalecie czy przygotowanie do snu, było bacznie obserwowane przez królewskich zauszników. Jej dzieci rodziły się na oczach dworskiej publiczności tłoczącej się w sali sypialnej.

Królowa Maria buntowała się przeciwko niewolniczym tradycjom francuskiego dworu i wpadła na pomysł, jak uciec z tej złotej klatki. Stworzyła sobie prywatny zakątek, małe Disneyland ze stawem dla kaczek pośrodku, po którym pływały łódki. Scenerię dla bukolicznych przyjęć z udziałem zaufanych przyjaciół tworzył miniaturowy młyn i niewielka zagroda.

- Zatem wie pani również, że Maria bardzo lubiła przebierać się za Pasterkę. Podczas prywatnych uroczystości tylko ona nosiła ten kostium.

Zdumiona Maureen pokręciła głową. Wszystko zaczynało do siebie pasować.

- Maria Antonina zawsze przebierała się za Pasterkę. Wiedziałam o tym, kiedy pojechałam do Wersalu, ale wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, o co chodzi. - Wskazała salę pełną rozradowanych gości.

- Dlatego właśnie zakątek został utworzony z dala od pałacu i otoczony ścisłą tajemnicą - ciągnął Jean Claude. - W taki sposób Maria pragnęła pielęgnować tradycje rodu. Ale oczywiście inni o tym wiedzieli, w pałacu bowiem nic nie mogło się ukryć. Zbyt wielu szpiegów, zbyt dużo do stracenia, zwłaszcza władzy. Być może to - między innymi - przesądziło o losie Marii i wybuchu rewolucji. Rodzina Paschal była oczywiście lojalna wobec rodziny królewskiej i często bywała zapraszana na prywatne przyjęcia Marii. Kiedy jednak nastały czasy terroru, - musiała uciekać z kraju.

Maureen poczuła na ramionach gęsią skórę. Dzieje tragicznej królowej Francji zawsze były dla niej źródłem fascynacji i stały się jednym z głównych bodźców do napisania książki.

-Większość osiedliła się w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w Luizjanie - ciągnął Jean Claude.

Maureen natężyła uwagę.

- Mój ojciec pochodził stamtąd.

- Ależ oczywiście. Każdy, kto ma oczy, wie doskonale, że wywodzi się pani z tego królewskiego rodu. Doznaje pani wizji i objawień, prawda?

Maureen się zawahała. Niechętnie o tym mówiła nawet z najbliższymi przyjaciółmi, a tego człowieka w ogóle nie знаła. Było jednak coś niezwykle kojącego w towarzystwie ludzi takich jak on - którzy uważali, że podobne doznania są czymś zupełnie naturalnym. Odpowiedziała po prostu:

-Tak.

- Magdalena ukazuje się wielu kobietom pochodzącym z tego rodu, czasem nawet mężczyznom, na przykład Sin clairowi, który miewa objawienia od dzieciństwa. To bar dzo powszechne.

Nie powiedziałabym, pomyślała Maureen.

- Sinclair ma wizje? - spytała. Nie przypominała sobie, by o tym wspominał.

Przyszło jej do głowy, że nadarza się okazja, by go o to spytać, gdyż właśnie się do nich zbliżał, ubrany w nieskazitelny strój ostatniego hrabiego Tuluzy.

-Widzę, Jean Claude, że odnalazłeś dawno zagubioną kuzynkę.

- *Out*. Jest chlubą rodowego nazwiska.

- Oczywiście. Mogę ją porwać na chwilę?

- Tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi zabrać ją jutro na przejażdżkę. Chciałbym pokazać jej kilka znanych miejsc, które wiążą się z nazwiskiem Paschal. Nie była pani w Montsegur, *cheñei*

- Nie. Roland zabrał nas dzisiaj na wycieczkę, ale nie dotarliśmy tam.

-To święte miejsce dla naszej rodziny. Nie masz nic przeciwko temu, Berenger?

- Oczywiście, że nie, ale Maureen sama może o sobie decydować.

- Uczyni mi pani ten zaszczyt? Zobaczymy Montsegur, a potem wybierzemy się do pewnej restauracji. Podają tam tylko i wyłącznie katarskie potrawy, przyrządzone na sposób tradycyjny.

Maureen nie wiedziała, jak odmówić, nawet gdyby chciała. Francuski wdzięk i szansa bliższego poznania historii rodzinnej okazały się nieodparte.

- Będę zachwycona - odparła.

- Zatem do zobaczenia jutro, kuzynko. Jedenasta?

Jean Claude ucałował jej dłoń ponownie i pożegnał się z Berengerem.

- Uciekam, skoro muszę się na jutro przygotować.

Maureen i Sinclair odprowadzili go uśmiechem.

- Widzę, że zrobiła pani ogromne wrażenie na Jean Gaudzie. Nic dziwnego. Wygląda pani cudownie w tej sukni, co zresztą przewidziałem.

- Dziękuję za wszystko.

Maureen zdawała sobie sprawę, że się czerwieni, absolutnie nienawykła do męskiego zainteresowania w tak ogromnej dawce. Skierowała rozmowę na temat Jean Claude'a.

- Sprawia bardzo miłe wrażenie. <.

-To niezwykle błyskotliwy naukowiec, niezrównany ekspert w historii zarówno francuskiej, jak i oksytańskiej. Pracował przez lata w *Bibliothèque Nationale*, gdzie miał dostęp do najbardziej zdumiewających materiałów. Pomógł w ogromnym stopniu mnie i Rolandowi.

- Rolandowi? - Maureen była zaskoczona szacunkiem, z jakim Sinclair mówił o swoim służącym. Wydawało się to nietypowe dla arystokraty.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Roland jest lojalnym synem Langwedocji. Przejawia ogromne zainteresowanie historią swego narodu. - Ujął Maureen za ramię. - Chodźmy, chcę pani coś pokazać.

Zaprowadził ją schodami na górę do małego gabinetu z balkonem, z którego rozciągał się widok na taras w dole i rozległe ogrody. Prowadząca do nich brama z połączonym motywem lilii była zamknięta i strzeżona z obu stron przez wartowników.

- Dlaczego bramy pilnuje tylu ludzi?

- Ogrody to moje prywatne królestwo, teren święty. Nazywam je ogrodami Trójcy i wpuszczam tam tylko nielicznych; proszę mi wierzyć, wielu z obecnych dzisiaj gości zapłaciłoby słono, by przedostać się za tę bramę. - Zaczerpnął tchu i po chwili mówił dalej: - Bał kostiumowy to tradycja, coroczne spotkanie ludzi, których łączy pewne zainteresowanie.

Wskazał bawiące się na tarasie grupki osób.

- Niektórych szanuję, nawet bardzo, niektórych nazywam przyjaciółmi, a niektórych traktuję z przymrużeniem oka, ponieważ mnie bawią. Ale wszystkich bacznie obserwuję. Niektórych niezwykle bacznie. Pomyślałem sobie, że zechce pani zobaczyć na własne oczy, jak przyjeżdżają ze wszystkich stron świata, by badać tajemnice Langwedocji.

Maureen patrzyła przed siebie, chłonąc powiewy jedwabnego wiatru; w letnim powietrzu unosiła się woń ogrodu różanego. Zauważyła Tammy pogrążoną w bardzo poufalej rozmowie z Derekiem, który wyglądał na zauroczonego zmysłową królową cygańską. Wypatrzyła też kogoś, kto był bardzo podobny do Petera, ale po chwili doszła do wniosku, że to nie on. Mężczyzna w polu jej widzenia trzymał papieroś, a Peter nie palił od czasu, kiedy był nastolatkiem.

Odwróciła się nagle do Sinclaira i spytała:

- Jak pan mnie znalazł? Uniósł

delikatnie jej prawą dłoń.

- Pierścień.

- Pierścień?

- Miała go pani na fotografii z okładki książki.

Maureen skinęła głową.

- Wie pan, co znaczy widniejący na nim wzór?

- Mam na ten temat pewną teorię, co tłumaczy, dlaczego panią tu przyprowadziłem. Chodźmy.

Sinclair ujął ją delikatnie za ramię i wprowadził z powrotem do pokoju, gdzie na ścianie, w szklanej gablocie, wisiało dzieło sztuki. Wydawało się nie większe od typowego zdjęcia, ale dzięki wyeksponowanemu miejscu i odpowiedniemu oświetleniu można było dostrzec wszystkie szczegóły.

- To średniowieczny sztych - wyjaśnił Sinclair. - Przedstawia filozofię. I siedem sztuk wyzwolonych.

- Jak fresk Botticellego.

- Zgadza się. Widzi pani, z klasycznego punktu widzenia, jeśli ktoś opanował wszystkie spośród siedmiu sztuk wyzwolonych, zasługiwał na miano filozofa. Dlatego ta kobieta postać pośrodku jest przedstawiona jako bogini, właścicielka Filozofia, a sztuki wyzwolone znajdują się niżej, gotowe

jej służyć. Ale jest coś jeszcze, co według mnie uzna pani za najbardziej interesujące.

Zaczął od lewej strony sztychu, nazywając po kolei sztuki i jednocześnie wskazując poszczególne postaci palcem. Zatrzymał się przy siódmej.

- Doszliśmy do ostatniej, czyli Kosmologii. Dostrzega tu pani coś znajomego?

Maureen aż westchnęła z wrażenia.

- Mój pierścień!

Postać przedstawiająca Kosmologię trzymała dysk ozdobiony wzorem z pierścienia. Maureen policzyła gwiazdy i przystawiła dłoń z pierścieniem do sztychu.

- Jest identyczny, nawet kółeczka są takie same. - Milczała przez chwilę, próbując ochłonąć, w końcu zwróciła się do Sinclaira: - Ale co to wszystko znaczy? Jaki to ma związek z Marią Magdaleną? I ze mną?

- Chodzi o duchowe i alchemiczne konotacje. Jeśli mówimy o tajemnicach Magdaleny, wierzę, że symbol ten pojawia się tak często jako wskazówka, przypomnienie, że musimy zwracać uwagę na szczególny związek Ziemi i gwiazd. Starożytni to wiedzieli, ale my, żyjący we współczesnych czasach, zapomnieliśmy o tym. Jak w górze, tak na dole. Gwiazdy przypominają nam każdej nocy, że mamy szansę stworzyć niebo na Ziemi. Wierzę, że tego właśnie chcieli nas nauczyć. To był ich najważniejszy dar dla nas, ich przesłanie miłości.

- Ich?

- Jezusa Chrystusa i Marii Magdaleny. Naszych przodków.

Jakby na sygnał jakiegoś kosmicznego zegara, po tych słowach niebo nad ogrodem rozbłysło ku zachwytowi gości ogniami sztucznymi. Sinclair wyprowadził Maureen na balkon, by popatrzeć na barwny deszcz nad *chateau*. Kiedy

ją objął, nie wzbraniała się, czerpiąc dziwny spokój z jego ciepła, siły i bliskości.

Niżej zaś, na tarasie, ojciec Peter Healy nie patrzył na ogień. W każdym razie nie te, które rozświetlały niebo. Obserwował uważnie Berengera Sinclaira; Szkot stał na balkonie i obejmował mocnym, opiekuńczym ramieniem jego rudowłosą kuzynkę. W przeciwieństwie do Maureen, Petera dręczyły wątpliwości - co do Sinclaira, tych ludzi, ich planów.

Nie tylko jego oczy śledziły bacznie coraz wyraźniejszą fascynację, jaka tej nocy ujawniła się między Sinclairem i Maureen. Stojący na drugim końcu tarasu Derek też na nich patrzył. Przesunąwszy wzrokiem po balkonie, zauważył, że jego francuski towarzysz przycupnął na górze, może nawet na tyle blisko, by podsłuchać rozmowę między ich gospodarzem a kobietą przebraną za Marię Magdalенę.

Derek Wainwright poklepał się po kostiumie, chcąc sprawdzić, czy czerwony jak krew, ceremonialny sznur gildii jest odpowiednio ukryty pod fałdami odzienia Thomasa Jeffersona. Wiedział, że przyda mu się jeszcze tej samej nocy, po powrocie do Carcassonne.

...Być może jestem jedyną obrończynią księżniczki zwanej Salome, ale to mój obowiązek. Żałuję, że piszę o tym dopiero teraz, nie zasługiwała bowiem na swój straszliwy los. Był czas, kiedy mówienie o niej i jej czynach groziło śmiercią, nie mogłam więc jej bronić, nie

narażając jednocześnie wyznawców Ezy i samej Drogi. Ale jak wielu z nas, była osądzana przez tych, którzy nie znają prawdy czy chociażby jej cienia.

Powiem przede wszystkim, że Sabme kochała mnie, a Ezę jeszcze bardziej. W innym czasie i miejscu, w innych okolicznościach, dziewczyna mogłaby być prawdziwym uczniem, szczerym wyznawcą Drogi Światła. Tak więc umieszczam jej imię w Księdze Uczniów, ze względu na to, czym mogła się stać. Tak jak Judasz, Piotr i inni, Salome miała przeznaczoną sobie rolę i niewielką szansę, by owej roli uniknąć. Imię jej zostało wyryte na kamieniach Izraela, we krwi Jana i zapewne krwi Ezy.

Jeśli popełniała lekkomyślne czyny w młodości - jak ktoś, kto nie zastanawia się nad sprawami, nim otworzy usta - to zaprawdę jest temu winna. Ale żyć w ludzkich wspomnieniach jako potępiana i pogardzana nierządnica, która kazała ściąć Janowi Chrzcicielowi głowę - nie znam większej niesprawiedliwości.

Żywię nadzieję, że w Dniu Sądu Salome mi wybaczy.

I że być może Jan wybaczy nam wszystkim.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,

NAPISANA W ARQUES

KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział jedenasty

Chateau des Pommes Blues

24 czerwca 2005

Maureen położyła się do łóżka zaraz po pokazie ogni sztucznych. Peter pojawił się, kiedy schodziła z Sinclairem z góry, i zaproponował, że odprowadzi ją do pokoju. Skorzstała z tego skwapliwie, spragniona samotności. Miała za sobą męczące dwadzieścia cztery godziny i czuła w głowie pulsowanie.

Tej samej nocy, nieco później, obudziły ją głosy na korytarzu. Odniosła wrażenie, że słyszy, jak Tammy do kogoś szepcze. Odpowiedział jej przyciszony męski głos. Potem rozległ się gardłowy śmiech, tak charakterystyczny dla jej przyjaciółki jak odciski palców. Maureen pomyślała z uśmiechem, że dziewczyna świetnie się bawi.

Odpywała w sen z niejasnym przekonaniem, że ten pełen namiętności męski głos nie miał amerykańskiego akcentu.

Carcassonne

25 czerwca 2005

Derek Wainwright jęknął, świadomy bezlitosnego blasku słońca, który sączył się przez okno pokoju hotelowego.

Pomyślał z niechęcią o dwóch sprawach, którymi nie miał ochoty się tego dnia zajmować - o straszliwym kacu i wiadomościach na komórcie.

Wstał ostrożnie, by ocenić ból głowy, i poczłapał do włoskiej skórzanej torby podróżnej, z której wyjął butelkę. Jej zawartość stanowiły różnego rodzaju tabletki. Znalazł to, czego szukał, i połknął vicodin, potem, na wszelki wypadek, zażył jeszcze trzy tylenole. Wzmocniony w ten sposób, obrzucił niechętnym spojrzeniem komórkę na stoliku nocnym. Wyłączył ją późnym wieczorem, kiedy wrócił do hotelu; nie był w stanie znieść bezustannego brzęczenia i z pewnością nie miał ochoty odsłuchiwać teraz poczty głosowej.

Derek unikał w ten sposób odpowiedzialności przez większość swego życia. Potomek niezwykle bogatej rodziny ze wschodniego wybrzeża, beneficjent funduszu powierniczego, najmłodszy syn potentata rynku nieruchomości Elegia Wainwrighta, otrzymał na samym starcie przepustkę do wspaniałego życia. Dostał się gładko do Yale, krocząc śladami ojca i brata, a później, mimo przeciętnych wyników w nauce, otrzymał kierownicze stanowisko w wysoko notowanej firmie inwestorskiej. Derek zrezygnował z pracy po niespełna roku, kiedy doszedł do wniosku, że godziny spędzone w biurze przeszkadzają mu w jego stylu życia wesołego chłopca. Nie musiał pracować. Fundusz rodzinny pozwalał mu na beztruską egzystencję, podobnie jak jego dzieciom i wnukom - gdyby kiedykolwiek ustatkował się na tyle, by się ich dorobić.

Eli Wainwright traktował z nadzwyczajną cierpliwością wady swego najmłodszego syna. Derekowi brakowało naukowego zacięcia i zdolności rodzeństwa, okazał jednak głębokie zainteresowanie istotnym elementem życia rodziny i jej sukcesu - członkostwem w Gildii Sprawiedliwych.

Ochrzczony po raz pierwszy w niemowlęctwie, a potem ponownie w wieku piętnastu lat, co było tradycją w tym stowarzyszeniu, Derek zdradzał naturalne upodobanie do owej organizacji i jej nauk. Ojciec zdecydował, że to właśnie on przejmie po nim funkcję jednego z czołowych amerykańskich członków gildii, która funkcjonowała nie tylko w świecie zachodnim, ale też w Azji i na Bliskim Wschodzie. Gildia Sprawiedliwych skupiała w swych szeregach kilku niezwykle wpływowych ludzi ze świata wielkiego biznesu i polityki międzynarodowej.

Członkostwo było ściśle określone związkami rodzinnymi, a ochrzczeni mężczyźni mieli się żenić z córkami sprawiedliwości, które także wywodziły się z rodzin należących do gildii i były wychowywane według ścisłych zasad dobrych obyczajów. Dziewczęta przechodziły specjalne szkolenie, podczas którego wpajano im zachowanie godne żony i matki, podręcznikiem zaś był pradawny dokument znany jako *Prawdziwa księga świętego Graala*, przekazywana sobie od wieków. Wielkie bale i zabawy taneczne na wschodnim wybrzeżu, głębokim południu i Teksasie były w gruncie rzeczy uroczystościami inicjacyjnymi, które miały dowodzić, że dziewczęta są gotowe wejść w życie jako posłuszne i godne żony członków gildii.

Starsi synowie Elegia ożenili się bez wyjątku z córkami sprawiedliwości i wiedli przykładowe życie klasy uprzywilejowanej. Najmłodszy z Wainwrightów, już dobrze po trzydziestce, odczuwał coraz większą presję, by ustatkować się jak bracia, nie miał jednak odwagi powiedzieć ojcu, że nie jest tym zainteresowany. Uważał, że córki sprawiedliwości są w swym nieskałanym charakterze niebywale nudne. Sama myśl, że pójdzie do łóżka z jedną z tych doskonale wychowanych lodowatych księżniczek, napawała

go dreszczem przerażenia. Oczywiście, mógł zrobić to, co bracia i wszyscy pozostali członkowie gildii - ożenić się z aprobowaną i odpowiednią matką dla swych dzieci i znaleźć sobie kuszącą ladacznicę, by się zabawiać na boku. Ale po co pakować się w coś takiego na tak wczesnym etapie życia? Wciąż był młody i nieprzyzwoicie bogaty, obowiązków zaś miał niewiele. I dopóki kusiły go takie zmysłowe, egzotyczne kobiety jak Tamara Wisdom, nie zamierzał wiązać się z jakąś nudną klaczą zarodową, która za bardzo przypominałaby mu matkę. Gdyby ojciec pozostał przekonany, że syn interesuje się wyłącznie sprawami związanymi z gildią, Derek mógłby wykręcać się od innych obowiązków jeszcze kilka lat.

Eli Wainwright, ślepo zapatrzony w syna, którego wad nie chciał widzieć, nie potrafił dostrzec jednego - że dla Dereka ważna *jest* nie filozofia gildii, tylko mistyka zakazanego stowarzyszenia, rytuały, duma wynikająca ze znajomości sekretów przekazywanych z pokolenia na pokolenie i strzeżonych przysięgą krwi. Tak naprawdę pociągało go przekonanie, że każdy podejrzany postępek członka gildii może być szybko zatuszowany dzięki globalnej sieci wpływów, jakimi szczyliła się organizacja. Derek upajał się tym faktem i poniekąd wszystko uchodziło mu na sucho ze względu na bogactwo ojca i jego wpływy. Albo przynajmniej tak było do niedawna; niestety, poprzedni Nauczyciel Sprawiedliwości zmarł tajemniczo i został zastąpiony przez nowego, fanatycznego Anglika, który wprowadził w gildii rządy silnej ręki.

Ich nowy przywódca zmienił wszystko. Afiszował się swym pokrewieństwem z OHverem Cromwellem, studiując jednocześnie bezwzględne i częstokroć makabryczne metody przodka, który za ich pomocą rozprawiał się

z przeciwnikami. Otrzymawszy tytuł Nauczyciela Sprawiedliwości, John Simon Cromwell ujawnił swe bezwzględne oblicze za sprawą odrażającej egzekucji. Prawda, zamordowany człowiek był wrogiem i przywódcą organizacji, która sprzeciwiała się gildii od setek lat. Ale przesłanie było jasne: wyeliminuję każdego, kto rzuci mi wyzwanie, i uczynię to bezlitośnie. Pozbawienie kogoś głowy mieczem i odcięcie jego palca wskazującego dowodziło w sposób dobitny i niezaprzeczalny skrajnego fanatyzmu ich przywódcy.

Derek starał się wymazać z zamrozonego umysłu ten straszliwy obraz, kiedy brał do ręki telefon komórkowy. Nadszedł czas, by zmierzyć się z rzeczywistością. Miał do wypełnienia misję i był gotów to zrobić; zdecydował, że pokaże temu brytyjskiemu draniowi, kto to jest Derek Wainwright. Obaj, Anglik i Francuz, wyśmiewali się z niego, a on znosił to z coraz większym trudem. Traktowali go jak idiotę, a nikt nigdy dotąd nie śmiał tego robić.

Słuchając wiadomości, Derek silił się na odwagę. Oxfordzki akcent z każdą kolejną wiadomością pobrzmiwał coraz groźniejszym tonem. Wysłuchawszy ósmej, Derek już wiedział, co należy zrobić.

Cbdteau des Pommes Blues
25 czerwca 2005

Tamara Wisdom czesała lśniące czarne włosy, wpatrzona w ogromne lustro o połączanych ramach. Jej pokój, równie królewski jak sypialnia Maureen, rozświetlały żywe promienie porannego słońca. Stoły były zastawione kryształowymi wazonami, pełnymi róż o barwie kremowej i lawendowej. Wokół wielkiego łóża, innymi słowy miejsca, w którym

rzadko przebywała sama, zwieszały się fioletowe atłasy i ciężkie brokaty.

Oddała się z uśmiechem rozkosznym wspomnieniom z minionej nocy. Ciepło jego ciała pozostawiło na jej skórze ślad, który trwał jeszcze długo po ich rozstaniu tuż przed świtem. W swym życiu, pełnym nieokiełzanych zachcianek i eksperymentów, zaznała wielu namiętności, ale żadna z nich nie mogła się równać z tym, czego właśnie doświadczyła. Zrozumiała w końcu, co mieli na myśli alchemicy, mówiąc o Wielkim Dziele, doskonałym związku mężczyzny i kobiety - połączeniu ciał, umysłów i dusz.

Uśmiech na jej twarzy przygasł, gdy przypomniała sobie, co musi tego dnia zrobić.

Z początku wydawało się to wspaniałą zabawą, jak gigantyczna partia szachów, rozgrywana na dwóch kontynentach. Bardzo szybko przywykła do opieki nad Maureen, tak jak wszyscy. Nawet ksiądz nie okazał się wścibskim gościem, wbrew wszelkim obawom. Był na swój sposób mistykiem, wolnym od jakiegokolwiek dogmatyzmu, o który w pierwszej chwili go posądzali.

Pozostawała jeszcze kwestia jej własnego zaangażowania. Szpiegowski aspekt sprawy wydawał się w pierwszej chwili nawet zabawny, ale teraz napawał ją głęboką niechęcią. Pojęła, że musi postępować bardzo ostrożnie, by uzyskać potrzebne informacje, a jednocześnie nie pogрузić się w tym układzie. Miała tego dnia do osiągnięcia kilka celów, ważnych dla niej samej, dla stowarzyszenia, dla Rolanda. Nie trać z oczu tego co najważniejsze, Tammy, upomniała się w myślach. Jeśli ci się uda, można zyskać wszystko, i wszystko stracić, jeśli zawiedziesz.

Gra się zmieniła. I stawała się o wiele bardziej niebezpieczna, niż to przewidywali.

Tammy odłożyła szczotkę i spryskała sobie skronie i szyję mocnym kwiatowym zapachem, przygotowując się do tego, co miało nastąpić. Kiedy odwróciła się w stronę drzwi, przystanąła na chwilę przed zadziwiającym obrazem, który zdobił ścianę jej pokoju. Dzieło francuskiego symbolisty Gustave'a Moreau przedstawiało księżniczkę Salome w swych siedmiu zasłonach, trzymającą na tacy głowę Jana Chrzciciela.

- Dobra dziewczyna - wyszeptęła Tammy i wyszła z pokoju, by przystąpić do ostatniego i najważniejszego etapu intrygi.

Maureen siedziała przy stole w pokoju śniadaniowym. Roland, przechodząc sąsiednim holem, dostrzegł ją i podszedł do niej.

- *Bonjour, mademoiselle* Paschal. Jest pani sama?

- Dzień dobry, Rolandzie. Tak. Peter spał jeszcze, więc nie chciałam mu przeszkadzać.

Roland skinął ze zrozumieniem głową.

- Mam wiadomość od pani przyjaciółki, panny Wis-dom. Chciałaby towarzyszyć pani przy kolacji.

- Wspaniale. - Maureen nie mogła się doczekać, żeby obgadać z Tammy przyjęcie. - Gdzie ona teraz jest?

Roland wzruszył ramionami.

- Pojechała wczesnym rankiem do Carcassonne. Coś związanego z filmem, który kręci. Przekazała mi tylko tę wiadomość dla pani. A teraz, *mademoiselle*, pójdę poszukać pana Berengera, byłby bowiem bardzo niezadowolony, gdyby zobaczył, że je pani sama.

Sinclair przerwał rozmyślania Maureen, zjawiając się bardzo szybko po wyjściu Rolanda.

- Przespała się pani trochę?

- Czy mogłoby być inaczej w takim łóżu? Jakbym spoczywała na chmurach.

Maureen już pierwszej nocy zauważyła, że pod kosztownymi prześcieradłami z bawełny egipskiej kryje się ogromny materac wypełniony pierzem.

- Doskonale. Ma pani jakieś plany na dzisiaj?

- Do jedenastej jestem wolna, potem spotykam się z Jean Claude'em, pamięta pan?

- Tak, oczywiście. Zabiera panią do Montsegur. Niezwykłe miejsce. Żałuję tylko, że to nie ja pokażę je pani jako pierwszy.

- Chciałby się pan do nas przyłączyć?

Sinclair roześmiał się.

- Moja droga, Jean Claude powiesiłby mnie, utopił i poćwiartował, gdybym wam towarzyszył. Jest pani teraz miejscową gwiazdą, zwłaszcza po wczorajszym debiucie. Wszyscy chcą się o dowiedzieć czegoś więcej o tajemniczej damie. Notowania Jean Claude'a wzrosną, gdy pokaże się z kimś takim. Ale nie zamierzam mu tylko zazdrościć. Też chcę pani coś pokazać po śniadaniu. Jestem pewien, że uzna to pani za godne zapamiętania.

Stali na tym samym balkonie, z którego poprzedniej nocy oglądali sztuczne ognie. Przed nimi rozciągały się niezwykle ogrody *chdteau*.

- Lepiej je oglądać i podziwiać za dnia - oświadczył z dumą Sinclair, wyjaśniając przy okazji, że dzielił się na

trzy odrębne części. - Widzi pani, jak tworzą wzór lilii królewskiej?

- Są wspaniałe - przyznała szczerze Maureen.

Rzeczywiście, widziane z góry, olśniewały swym niemal posagowym pięknem.

- Potrafią opowiedzieć historię naszych przodków znacząco lepiej niż ja. Będę zaszczycony, mogąc je pani pokazać. Pójdziemy?

Maureen wzięła go pod ramię i zeszli po schodach do atrium. Zauważyła, że w domu panuje nieskazitelny porządek, choć minionej nocy nawiedziły go setki gości. Służba musiała sprzątać non stop do rana, by usunąć wszelkie ślady po zabawie; w całym *chateau* panował idealny ład.

Przez wielkie rozsuwane drzwi wyszli na marmurowy taras, po czym ruszyli starannie wypielegnowaną ścieżką ku zdobionej złotej bramie. Sinclair wyjął z kieszeni klucz i wsunął do masywnej kłódki. Poluzował łańcuch i pchnął złote pręty, otwierając drogę do swego prywatnego królestwa.

Przed nimi szumiała cicho fontanna, która stanowiła punkt centralny frontowej części ogrodów. W kroplach wody spływającej po ramionach Marii Magdaleny migotało słońce. Posąg naturalnej wielkości wykonano z marmuru o barwie kości słoniowej. Kobieta trzymała w lewej dłoni różę; na prawej, którą wyciągała przed siebie, przysiadł gołąb. W podstawie fontanny wycięto wszechobecne lilie.

- Spotkała pani zeszłej nocy wielu ludzi. Wszyscy oni mają teorie na temat tego regionu i tajemniczego skarbu. Jestem pewien, że usłyszała pani mnóstwo hipotez, od najbardziej nieprawdopodobnych do zabawnych.

Maureen wybuchnęła śmiechem.

- Na ogół zabawnych, owszem.

Sinclair odpowiedział jej uśmiechem.

- Wszyscy oni mają swoje teorie i wszyscy wierzą — czy też raczej wiedzą - że Maria Magdalena jest tu, na południu Francji, naszą królową. To na dobrą sprawę jedyna kwestia, co do której wszyscy obecni tutaj zeszłego wieczoru się zgadzają.

Maureen słuchała z uwagą. W głosie Sinclaira wyczuwało się nutę podniecenia, które udzielało się także jej.

- I wszyscy oni wiedzą o rodowodzie. O królewskiej linii, biorącej swój początek od Marii Magdaleny i jej dzieci. Ale tylko nieliczni znają całą prawdę, która jest dostępną wyłącznie szczerym wyznawcom Drogi nauczanej przez naszą Magdalenę i samego Jezusa Chrystusa.

Maureen zawahała się.

- Być może nie wypada mi o to pytać, ale czy taki jest właśnie cel pańskiego Stowarzyszenia Niebieskich Jabłek?

- Stowarzyszenie jest pradawne, a sens jego funkcjonowania złożony. Opowiem o tym więcej w swoim czasie. Na razie przyjmijmy, że istnieje po to, by bronić i strzec prawdy. A prawda jest taka, że Maria Magdalena była matką trojga dzieci.

Maureen nie kryła zdumienia.

- Trojga?

Sinclair skinął głową.

- Tylko nieliczni ludzie znają całą historię, jej szczegóły bowiem celowo zaciemniano z myślą o bezpieczeństwie dzieci. Trojga dzieci. Trójcy. Każde z nich zapoczątkowało linię królewskiej krwi, która miała zmienić oblicze Europy, a w końcu całego świata. Ogrody te są hołdem złożonym dynastii ustanowionej przez każde z potomstwa, a stworzył je mój dziadek. Ja je rozbudowałem i poświęciłem się za chowaniem ich.

Z frontowej części prowadziły w głąb ogrodu trzy skle-
pione bramy z zieleni.

- Zaczniemy od naszej protoplastki - zaproponował,
prowadząc zdumioną Maureen ku środkowemu łukowi. -O
co chodzi? Dziwi się pani, że jesteśmy spokrewnieni?
Bardzo daleko, bez wątpienia, ale pochodzimy z tej samej
linii.

- Staram się to wszystko wchłonąć. Dla pana to rzecz od
dawna wiadoma, dla mnie to szokujące. Nie mogę sobie
wyobrazić, jak przyjełaby to reszta świata.

Weszli do ogrodu różanego o nadzwyczajnej bujności.
Lilie w kilku odmianach otaczały kręgiem jakiś posąg.
Kwiaty wydzielają wspaniałą woń, której siły Maureen do-
świadczyła poprzedniej nocy.

Gdy spacerowali w milczeniu, nad niezwykłymi splą-
tanymi krzewami róż przeleciał z gruchaniem biały gołąb.
Maureen przystanęła, by odetchnąć głęboko zapachem
pięknej róży w pełnym rozkwicie.

- Róże. Symbol wszystkich kobiet z rodu. I lilie. Lilia
to szczególnie symbol Marii Magdaleny. Róża może ozna-
czać jakąkolwiek kobietę wywodzącą się z tego rodu, ale
według naszej tradycji lilia jest przypisana tylko Magda-
lenie.

Poprowadził Maureen w stronę posągu przedstawiającego
wiotką młodą kobietę o rozwianych włosach.

- To jej córka? - zapytała niemal szeptem Maureen.

- Niech wolno mi będzie przedstawić Sarę Tamar, jedyną
córkę Jezusa Chrystusa i Marii Magdaleny, założycielkę
francuskich dynastii. I naszą wspólną prababkę sprzed ty-
siąca dziewięciuset lat.

Maureen patrzyła przez chwilę na posąg, potem zwróciła
się do Sinclaira:

-To wszystko jest takie niewiarygodne, a jednak bez trudu to akceptuję. To takie dziwne, a jednak wydaje się... prawdziwe.

- Dlatego że pani dusza potrafi rozpoznać prawdę.

Jakby na potwierdzenie tych słów, od strony różanych krzewów dobiegło gruchanie.

- Słyszysz pani gołębie? Są symbolem Sary Tamar, emblematem jej czystego serca. Potem stały się symbolem jej potomków - katarów.

- I dlatego zostali wymordowani przez Kościół jako heretycy?

-Tak, po części, gdyż dzięki pewnym przedmiotom i dokumentom, które posiadali, potrafili udowodnić, że są potomkami Jezusa i Marii Magdaleny, co czyniło ich obecność zagrożeniem dla Rzymu. Obecność mężczyzn, kobiet i dzieci. Kościół próbował dokonać ich eksterminacji, by nie dopuścić do ujawnienia tej tajemnicy. Ale to nie wszystko. Chodźmy, coś pani pokażę.

Sinclair poprowadził Maureen półkolistą i tonącą w różach ścieżką, by mogła podziwiać piękno ogrodu w letnim słońcu złotego poranka Langwedocji. Wziął ją za rękę, a ona jej nie cofnęła; czuła się dziwnie spokojna przy tym ekscentrycznym człowieku, którego prawie nie знаła. Szła posłusznie, kiedy prowadził ją pod zielonym łukiem i wokół fontanny Marii Magdaleny.

- Czas poznać jej małego brata.

Maureen znów wyczuła jego podniecenie i zaczęła się zastanawiać, jak to jest, gdy posiada się tajemnicę takiej wagi. Pomyślała z cieniem lęku, że niedługo dowie się sama.

Sinclair skierował się ku skrajnemu łukowi po prawej stronie i wprowadził Maureen do ogrodu odznaczającego się jeszcze większą precyzją i starannością.

- Wygląda na bardzo angielski - zauważyła Maureen.
- Jest pani niezwykle spostrzegawcza, moja droga. Zaraz wyjaśnię, dlaczego ogród ma taki charakter.

W tej części także wznosiła się pośrodku duża fontanna, a jej głównym elementem był posąg długowłosego chłopca, trzymającego w górze kielich. Płynęła z niego krystalicznie czysta woda.

- Jezua Dawid, najmłodsze dziecko Jezusa i Marii. Nie znał swego ojca, gdyż Magdalena była ciężarna w chwili ukrzyżowania Chrystusa. Urodził się w Aleksandrii, gdzie schroniła się jego matka z towarzyszami przed podróżą do Francji.

Maureen stanęła jak wryta. Położyła odruchowo dłoń na brzuchu.

- Co się stało? - spytał.
- Była w ciąży. Widziałam to. Była ciężarna na Via Dolorosa i... podczas ukrzyżowania.

Sinclair kiwnął kilkakrotnie głową, po czym nagle zniechęcił się.

- O co chodzi? - zapytała Maureen.
- Widziała pani ukrzyżowanie? Miała pani wizję ukrzyżowania?

Maureen poczuła ucisk w gardle i palące łzy w oczach. Bała się przez chwilę mówić, przekonana, że nie zapanuje nad głosem. Sinclair dostrzegł to i zwrócił się do niej łagodnie:

- Maureen, moja droga, może mi pani zaufać. Proszę po wiedzieć, czy miała pani wizję Magdaleny w chwili ukrzyżowania Chrystusa?

Tym razem łzy popłynęły niepowstrzymanym strumieniem, Maureen jednak nie chciała ich ukrywać. Możliwość podzielenia się tym doświadczeniem z kimś, kto rozumiał, przynosiła ulgę, jeśli nie poczucie bezpieczeństwa.

- Tak - wyszeptała. -To się stało w katedrze Notre Dame.
Sinclair otarł łzę z jej policzka.

- Moja droga, moja kochana Maureen. Zdaje sobie pani sprawę, jakie to nadzwyczajne?

Potrząsnęła głową.

-W ciągu całej historii tego regionu setki potomków miały sny i wizje o naszej Pani, ze mną włącznie - ciągnął łagodnie Sinclair. - Lecz wizje te ustępują przed Wielkim Piątkiem. O ile wiem, nikt nigdy nie ujrzał Marii Magdaleny w chwili ukrzyżowania Jezusa.

- A dlaczego to takie ważne?

- Z powodu przepowiedni.

Maureen czekała na wyjaśnienia, wiedząc, że je otrzyma.

- Istnieje taka przepowiednia, która jest przekazywana od niepamiętnych czasów. Legenda głosi, że stanowiła ona tylko część większej księgi z przepowiedniami i objawieniami, spisanej po grecku. Jej autorstwo przypisywano Sarze Tamar, więc można by ją uznać za Ewangelię samą w sobie. Wiemy, że pochodząca z rodu księżniczka Matylda z Toskanii, księżna Lorraine, była w posiadaniu oryginału, kiedy w jedenastym wieku wznosiła opactwo Orval.

- Gdzie leży Orval?

- W okolicach obecnej granicy z Belgią. Do dzisiejszego dnia istnieją tam osady religijne, które wiążą się z naszą historią, ale to właśnie w Orval przechowywano przez kilka lat przepowiednie Sary Tamar. Wiemy, że oryginał znalazł się potem w rękach katarów z Langwedocji. Niestety, zniknął i nie wiadomo, co się z nim stało. Nasze jedyne informacje o jego treści pochodzą od Nostradamusa.

- Nostradamusa? - Maureen poczuła zawrót głowy. Pomyślała sobie, że nigdy nie przestanie się zdumiewać mnogością tropów i ich powiązaniem.

Sinclair spojrział na nią wymownie.

-Tak, tak. To jemu przypisuje się zadziwiające wizje i umiejętność przewidywania przyszłości, ale nie on był autorem tych wszystkich przepowiedni, tylko Sara Tamar. Najwidoczniej Nostradamus miał dostęp do oryginału, kiedy odwiedził Orval. Egzemplarz zaginął wkrótce potem, więc sama może się pani domyślić jego losu.

Maureen roześmiała się.

- Nic dziwnego, że Tammy mówi o Nostradamusie z takim lekceważeniem. Był plagiatorem.

- I to bardzo sprytnym. Musimy mu oczywiście oddać sprawiedliwość, jeśli chodzi o te słynne czterowiersze. Były wyłącznie jego wynalazkiem. Po prostu przepisał proroctwa Sary Tamar w taki sposób, by zataić ich źródło i wywierać maksymalne wrażenie w swoich czasach. Stary Michel był rzeczywiście genialny. A jego nadzwyczajna znajomość alchemii umożliwiła mu rozszyfrowanie dokumentu, który musiał być bardzo skomplikowany. Niewiele jednak pozostało nam ze spuścizny Sary Tamar, pomijając dzieło Nostradamusa i pojedynczą przepowiednię, która przetrwała w sercach kilkorga z nas, zamieszkujących te ziemie.

- I co mówi ta przepowiednia?

Sinclair popatrzył na wodę wypływającą z kielicha. Zamknął oczy i wyrecytował fragment przepowiedni:

- „*Maria de Negre* wybierze chwilę nadejścia Oczekiwanej. To ta, która zrodzona jest z Baranka Paschalnego w dniu zrównania z nocą, ta, która jest dzieckiem zmartwychwstania. Ta, która nosi Sangre-Ela, otrzyma klucz w Czarnym Dniu Czaszki. Stanie się nową Pasterką Drogi”.

Maureen niemal oniemiała. Sinclair znów ujął jej dłoń.

- Czarny Dzień Czaszki. Golgota, wzgórze, na którym dokonano się ukrzyżowanie, tłumaczy się jako „miejsce

czaszki", a Czarny Dzień jest tym, co dzisiaj nazywamy Wielkim Piątkiem. Przepowiednia dowodzi, że córka rodu, która doznaje wizji ukrzyżowania, otrzyma klucz.

- Klucz do czego? - Maureen wciąż nie rozumiała. Wirowało jej w głowie od natłoku informacji.

- Klucz do sekretu Marii Magdaleny. Jej Ewangelii. Spisanej w pierwszej osobie relacji o jej życiu i czasach. Ukryła ją, posługując się jakąś odmianą alchemii, jak już pani wie. Może być odnaleziona tylko w przypadku spełnienia określonych kryteriów duchowych. - Wskazał posąg młodego człowieka, wieńczący fontannę, i jego kielich. - Oto czego poszukiwało tak wielu przez tak długi czas.

Maureen starała się rozumować logicznie i uporządkować chaos myśli. Kielich. Nagle zrozumiała.

- Ten kielich, który trzyma... to święty Graal?

- Tak. Słowo „graal” pochodzi od pradawnego określenia, „Sangre-El”, co oznacza Krew Boga. Symbol boskiego rodowodu, oczywiście. Ale nie szukano takich czy innych dzieci tego rodu. Rycerze Graala sami się w większości z niego wywodzili i zdawali sobie doskonale sprawę, co owo dziedzictwo oznacza. Nie, szukali określonego potomka: księżniczki Graala, która jest też znana pod imieniem Oczekiwanej. To ona jest córką posiadającą klucz, którego wszyscy oni pragnęli.

- Chwileczkę. Chce mi pan powiedzieć, że poszukiwanie świętego Graala było poszukiwaniem kobiety z tej przepowiedni?

-W jakimś stopniu, oczywiście. Najmłodsze dziecko, Jezua Dawid, udał się do Glastonbury w Anglii ze swoim stryjecznym dziadkiem, znanym w historii jako Józef z Arymatei. Razem założyli pierwszą chrześcijańską osadę w Brytanii. Tam właśnie narodziła się legenda o świętym Graalu.

Sinclair wskazał inny posąg stojący w tej samej części ogrodu, nieco dalej. Była to postać króla trzymającego ogromny miecz.

- Jak pani myśli, dlaczego król Artur był znany jako obecny i przyszły król? Z powodu swego pochodzenia od Jezusy Dawida. Do dzisiejszego dnia istnieje arystokracja brytyjska wywodząca się z tej linii. Głównie w Szkocji.

- Pan także do niej należy.

- Tak, ze strony matki. Ale pochodzę też z linii Sary Tamar ze strony ojca, podobnie jak pani.

Przerwało mu natrętne buczenie. Zaklął cicho, wyjmując komórkę, i zaczął mówić szybko po francusku, wreszcie wyłączył telefon.

- To Roland. Powiedział mi, że właśnie zjawił się Jean Claude, żeby panią porwać.

Maureen nie kryła rozczarowania.

- Nie widziałam jeszcze trzeciej części ogrodu.

Wydawało się, że twarz Sinclaira pociemniała. Było to ledwie dostrzegalne, ale Maureen nie miała wątpliwości.

- Może to i lepiej - powiedział. - Mamy taki piękny dzień. A tam - wskazał ruchem głowy - to ogród najstarszego syna Magdaleny.

Odpowiedział na milczące pytanie Maureen w enigmatyczny sposób, typowy chyba dla mieszkańców tego rejonu, co mogło irytować.

- I choć ogród odznacza się swoistym pięknem, kryją go zbyt głębokie cienie jak na tak cudowny dzień.

Kiedy szli w stronę domu, Sinclair zatrzymał się przy złoconej bramie.

- Pierwszego dnia spytała pani, dlaczego mam taką słabość do motywu lilii. Powiem pani. *Fleur de lis* znaczy „kwiat lilii”, a jak już pani wie, lilia to symbol Marii Magdaleny. „Kwiat lilii” odnosi się do jej potomstwa. Miała troje dzieci, stąd trzy płatki kwiatu.

Przesunął palcem po trzech łądogach.

- Pierwszy płatek, najstarszy syn Jan Józef, to bardzo złożona postać, o której powiem więcej w odpowiednim czasie. Wspomnę tylko, że jego potomkowie działali na terenie Włoch. Środkowy płatek to córka, Sara Tamar, a trzeci to najmłodsze dziecko, Jezua Dawid. To dobrze strzeżony sekret *fleur de lis*. Powód, dla którego lilia przedstawia zarówno włoską, jak i francuską arystokrację. Po wód, dla którego spotyka się ją w heraldyce brytyjskiej. Po raz pierwszy posłużyli się nią potomkowie Marii Magdaleny, pochodzący od trójki jej dzieci. Niedługo był to pilnie strzeżony sekretny symbol i tylko wtajemniczeni potrafili się nawzajem rozpoznać w trakcie wędrówek po Europie.

Maureen nie potrafiła ukryć zdumienia.

- A teraz jest to jeden z najpowszechniejszych symboli na świecie. Można go znaleźć na biżuterii, ubraniach, meblach. Jest na ogólnym widoku. I ludzie nie mają pojęcia, co on oznacza.

Langwedocja 25

czerwca 2005

Maureen siedziała na fotelu pasażera w sportowym re-nault Jean Claude'a; czekali, aż otworzy się elektroniczna brama *chateau* i będą mogli wyjechać na główną drogę.

Kątem oka zauważyła jakiegoś człowieka, który przemykał wzdłuż ogrodzenia.

- Co się stało? - spytał Jean Claude, dostrzegając wyraz jej twarzy.

- Przy ogrodzeniu jest jakiś mężczyzna. Teraz go nie widać, ale był tam przed chwilą.

Jean Claude wzruszył ramionami na swój obojętny, galijski sposób.

- Może to ogrodnik? Albo jeden z wartowników Berengera? Kto wie? Ma liczny personel.

- Ci wartownicy są tu cały czas na służbie? - *Ch&teau* i jego tajemnice, włącznie z właścicielem, wciąż budziły zaciekawienie Maureen.

- Ach, *oui*. Rzadko się ich widuje, taką mają pracę. Może to był jeden z nich.

Maureen nie miała jednak okazji dowiedzieć się czegoś więcej o codziennych aspektach funkcjonowania *ch&teau*, gdyż Jean Claude zaczął mówić o legendzie rodziny Paschal.

- Mówi pan doskonale po angielsku - zauważyła Maureen, kiedy relacjonował bardziej skomplikowane fakty historyczne.

- Dziękuję. Spędziłem dwa lata w Oksfordzie.

Maureen słuchała zafascynowana, chłonąc każde słowo cenionego historyka. Za oknem wozu przemykały niesamowite czerwone podnóża zboczy. Zmierzali w stronę Montsegur, majestatycznego i tragicznego symbolu - ostatniego bastionu katarów.

Są na Ziemi miejsca roztaczające wokół siebie przemożną aurę tajemniczości i tragedii. Zanurzone w strumieniach

krwi i wiekach historii, prześladują przez długie lata każdego, kto je odwiedził, a potem wrócił do bezpiecznej przystani współczesnego świata. Maureen widziała podobne miejsca podczas swych podróży. W Irlandii doznawała tego uczucia w historycznych miastach, takich jak Drogheda, gdzie niegdyś Oliyer Cromwell wymordował wszystkich mieszkańców, albo w wioskach nawiedzonych przez wielki głód w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Będąc w Izraelu, wspięła się na górę w Masadzie, by obejrzeć wschód słońca nad Morzem Martwym. Była głęboko poruszona, kiedy przechadzała się po ruinach pałacu, w którym kilkuset Żydów w pierwszym wieku po Chrystusie wolało odebrać sobie życie niż poddać się rzymskim okupantom i pójść do niewoli. Gdy Jean Claude podjechał na parking u stóp wzgórza, na którym przysiadło Montsegur, Maureen poczuła natychmiast, że jest to jeszcze jedno wyjątkowe miejsce. Nawet w jasny letni dzień okolica wydawała się spowita mgłą czasu. Maureen wpatrywała się w wyrastające przed nimi góry, podczas gdy Jean Claude prowadził ją w stronę szlaku.

- Czeka nas długa wspinaczka. Dlatego poradziłem, żeby włożyła pani wygodne buty.

Maureen dziękowała Bogu, że jako entuzjastka pieszych wędrówek zawsze zabierała ze sobą porządne obuwie sportowe. Rozpoczęli długie i kręte podejście. Maureen pomyślała, że od jakiegoś czasu jej praca nie daje wielu okazji do ćwiczeń fizycznych, i przeklinała się w duchu za brak kondycji. Lecz Jean Claude się nie śpieszył; szli wolnym krokiem, on zaś mówił o tajemniczych katarach i odpowiadał na pytania Maureen.

- Czy wiadomo o ich praktykach coś, co nie budzi wątpliwości? Lord Sinclair twierdzi, że większość tego, co o nich napisano, to tylko przypuszczenia.

- To prawda. Ich wrogowie przekazali nam wiele szczegółów, które im przypisywano; w ten sposób robiono z nich jeszcze większych heretyków, a ich zachowanie wydawało się tym bardziej szokujące. Świata nie obchodzi, kiedy mordujesz wyrzutków. Ale jeśli dokonujesz masakra chrześcijan, którzy są być może bliżsi Chrystusowi niż inni, to pojawia się problem. Liczne opowieści o praktykach katarów to wymysł ówczesnych i późniejszych historyków. Wie pani, czego jesteśmy absolutnie pewni, jeśli chodzi o praktyki katarów? Kamieniem węgielnym ich wiary była Modlitwa Pańska.

Maureen przystanąła, by złapać oddech i spytać:

- Naprawdę? Ta sama Modlitwa Pańska, jaką odmawiamy dzisiaj?

Skinął głową.

- *Oui*, ta sama, tylko oczywiście odmawiana po oksytańsku. Będąc w Jerozolimie, odwiedziła pani kościół Pater Noster na Górze Oliwnej?

-Tak!

Maureen знаła to miejsce. Po wschodniej stronie miasta znajdował się kościół zbudowany nad grota, w której według podania Jezus po raz pierwszy nauczał Modlitwy Pańskiej. Piękny zewnętrzny krużganek był wyłożony płytami mozaikowymi z tekstem modlitwy w ponad sześćdziesięciu językach. Sfotografowała tę, na której umieszczono „Ojciec nasz” w archaicznej formie irlandzkiej odmiany galijskiego, by potem dać zdjęcie Peterowi.

- Jest tam też tekst w języku oksytańskim - wyjaśnił Jean Claude. - Każdy katar odmawiał ją codziennie rano. Nie klepał jej z pamięci, jak robi to obecnie wielu ludzi; był to akt medytacji i prawdziwa modlitwa. Każdy wers stanowił dla niego święte prawo.

Maureen rozmyślała o tym, gdy podjęli wędrowkę, a Jean Claude mówił dalej:

-Widzi więc pani, że ziemie te zamieszkiwali ludzie, którzy żyli w pokoju i nauczali tego, co nazywali Drogą, życia skupionego na wpajaniu miłości. Byli społeczeństwem, które uznawało Modlitwę Pańską za swój najświętszy tekst.

Maureen domyśliła się, do czego jej rozmówca zmierza.

- Więc jeśli ktoś stanowi Kościół i chce wyeliminować tych ludzi, nie rozgłasza, że to dobrzy chrześcijanie.

- Właśnie. Oskarżono katarów o dziwaczne rytuały, by usprawiedliwić ich rzeź.

Jean Claude przystanął, dotarli bowiem do pomnika na środku szlaku. Była to duża granitowa płyta, zwieńczona równoramiennym krzyżem Langwedocji.

-To pomnik męczeństwa - wyjaśnił. - Znajduje się w miejscu, gdzie kiedyś wzniesiono stos.

Maureen zadrżała. Ogarnęło ją to samo przejmujące, a jednak budzące dziwną ekscytację uczucie, świadomość przebywania w strasznym miejscu historii. Słuchała Jean Claude'a, który opowiadał historię ostatniego przyczółka katarów na tej górze.

Przed końcem 1243 roku katarowie byli już niemal od pół wieku prześladowani przez armię papieską. Wyrzynano całe społeczności, a ulice miast takich jak Beziers dosłownie spływały krwią niewinnych. Kościół był zdecydowany wypłenić tę „herezję” za wszelką cenę, a król Francji z zadowoleniem wspierał go swymi oddziałami, gdyż każde zwycięstwo nad zamożnymi niegdyś możnowładcami katarskimi oznaczało dla Francji zdobycze terytorialne. Księżęta Tuluzy nie raz grozili utworzeniem niezależnego państwa. Jeśli mógł ich powstrzymać przed tym gniew Kościoła, to

król pochwalał takie rozwiązanie; miał nadzieję, że ów fakt rozgrzeszy go w przyszłości.

Pozostali przy życiu przywódcy społeczeństwa katarskiego utworzyli ostatni bastion w fortecy Montsegur w marcu tysiąc dwieście czterdziestego czwartego. Podobnie jak Żydzi w Masadzie ponad tysiąc lat wcześniej, schodzili się na wspólną modlitwę o wybawienie od najeźdźcy i ślubowali, że nigdy nie wyrzekną się wiary. Prawdę mówiąc, przypuszczano nawet, że to właśnie z dziedzictwa męczenników Masady katarowie czerpali siłę podczas swego ostatniego oporu. Siły papieskie zaś, tak jak ich przodkowie - rzymscy legionieści - próbowały wziąć przeciwników głodem, odcinając im dostęp do wody i żywności. Okazało się to równie trudne jak w przypadku Masady, gdyż obie warownie były usytuowane na wzgórzach, co uniemożliwiało skuteczną blokadę. Obrońcy, tak żydowscy, jak i katarscy, wynajdywali różne sposoby, by krzyżować najeźdźcom plany.

Po kilku miesiącach oblężenia dowództwo wojsk papieskich zdecydowało, że trzeba skończyć z tym impasem. Przekazano katarom ultimatum. Jeśli wyznają winy i odpokutują jako heretycy przed inkwizycją, zostaną oszczędzeni. Jeśli jednak odmówią, zostaną spaleni na stosie za obrazę świętego Kościoła rzymskiego. Mieli dwa tygodnie do namysłu.

Ostatniego dnia dowódcy armii papieskiej podpalili stos i wezwali katarów do udzielenia odpowiedzi. Ta, którą otrzymali, na zawsze pozostała w pamięci Langwedocji. Z twierdzy Montsegur wyłoniło się dwustu katarów odzianych w proste szaty i trzymających się za ręce. Śpiewając Modlitwę Pańską w swoim języku, wszyscy weszli na stos. Umarli tak, jak żyli, w całkowitej zgodzie z wyznawaną przez siebie wiarą.

Ostatnie dni katarów otaczają liczne legendy, niektóre nadzwyczaj dramatyczne. Najślynniejsza mówi o tym, jak to do twierdzy udali się na rozmowy papiescy wysłannicy. Ludzie ci, zaprawieni w bojach najemnicy, zostali na zaproszenie katarów przez jakiś czas w murach warowni i byli świadkami nauk i rytuałów katarskich. To, co ujrzeli w tych ostatnich dniach, było podobno tak wspaniałe, tak oszałamiające, że stali się wyznawcami wiary Czystych. Wiedząc, że czeka ich pewna śmierć, Francuzi przyjęli końcowy sakrament katarski znany jako consolamentum i wkroczyli w płomienie wraz ze swymi nowymi braćmi i siostrami.

Maureen, spoglądając na wzgórze i krzyż, starła z policzka łzę.

- Co takiego ujrzeli Francuzi, że skłoniło ich to do przyjęcia wiary katarów i pójścia z nimi na śmierć? Czy ktokolwiek wie?

- Nie. - Jean Claude pokręcił głową. - Istnieją tylko domysły. Niektórzy twierdzą, że podczas rytuałów objawił się Duch Święty i pokazał, że czeka ich Królestwo Niebieskie. Inni mówią, że było to coś innego, ów słynny skarb katarów.

Kiedy podjęli zmuśną wspinaczkę, Maureen dalej chłoneła legendę Montsegur.

Przedostatniego dnia oporu katarów czterej z nich zostali spuszczeni na linie po najbardziej stromej i niebezpiecznej ścianie zamku i umknęli w bezpieczne miejsce. Podobno skorzystali ze wskazówek udzielonych przez francuskich wysłanników, którzy przyjęli nową wiarę i dzień później poszli wraz z innymi na śmierć.

- Wzięli ze sobą legendarny skarb katarów, czym on jednak naprawdę był, pozostaje w sferze domysłów. Musiał być niewielki, gdyż wśród czwórki uciekinierów były dwie

młode kobiety, przypuszczalnie drobnej budowy. Nie mówiąc już o tym, że po miesiącach spędzonych w twierdzy, gdzie racjonowano żywność i wodę, wszyscy musieli być osłabieni. Niektórzy twierdzą, że zabrali ze sobą świętego Graala albo koronę cierniową, czy też najcenniejszy skarb na Ziemi, *Księgę Miłości*.

- Ewangelie napisaną przez samego Jezusa?

Jean Claude przytaknął.

- W tym mniej więcej czasie znikają z historii wszelkie legendy na ten temat.

W Maureen obudziła się dziennikarka i badaczka dziejów.

- Może mi pan polecić jakieś książki na ten temat? Dokumenty, które mogłabym obejrzeć, skoro już tu jestem. Może znajdę tam więcej informacji?

Francuz roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Moja droga, w Langwedocji przywiązuje się ogromną wagę do podań ludowych. Ludzie strzegą swych sekretów i legend, nie przelewając ich na papier. Wiem, że trudno to zrozumieć. Ale proszę się rozejrzeć wokół, *cherie*. Po co książki, skoro sama okolica może opowiedzieć tę historię?

Dotarli na szczyt wzniesienia; ich oczom ukazały się ruiny wielkiej niegdyś fortecy. W obliczu potężnych kamiennych ścian, które niemal emanowały historią, Maureen doskonale zrozumiała punkt widzenia swego przewodnika. Mimo to jednak była rozdarta między uczuciami a dziennikarską potrzebą potwierdzenia wszelkich przypuszczeń.

- Dziwna postawa jak na człowieka, który określa siebie mianem historyka - zauważyła.

Roześmiał się.

- Uważam się za historyka, ale nie akademickiego. To istotna różnica, zwłaszcza w takim miejscu. Podejście akademickie nie wszędzie się sprawdza, *mademoiselle* Paschal.

Zorientował się po jej minie, że nie do końca go rozumie, zaczął więc wyjaśniać:

- Widzi pani, by zachować najbardziej szacowne tytuły w świecie naukowym, trzeba przeczytać odpowiednie książki i napisać odpowiednie prace. Kiedy byłem w Bostonie z serią wykładów, poznałem pewną Amerykankę, która miała doktorat z historii Francji, ze szczególnym uwzględnieniem herezji średniowiecznych. Jest obecnie uznawana za jedną z najwybitniejszych specjalistek w tej dziedzinie, napisała nawet kilka podręczników akademickich. Wie pani, co jest zabawne? Nigdy nie odwiedziła Francji. Nie była nawet w Paryżu, nie mówiąc już o Langwedocji. Co gorsza, nie uważała tego za stosowne. Twierdzi, zgodnie z powszechnym akademickim przekonaniem, że wszystko może znaleźć w książkach i dokumentach uniwersyteckiej bazy danych. To tak jakby wiedzę na temat katarów czerpała z komiksu. A mimo to jest uznawana za wielki autorytet z powodu stopni naukowych i skrótów przy nazwisku.

Maureen słuchała z uwagą, obchodząc wspaniałe ruiny i przestępując rozrzucone kamienie. Argumentacja Jean Claude'a poruszyła ją mocno. Zawsze uważała się za naukowca, lecz jej dziennikarskie doświadczenie kazało jej także poszukiwać opowieści w miejscu ich narodzin. Nie wyobrażała sobie, by mogła napisać o Marii Magdalenie, nie odwiedzając Ziemi Świętej, uparła się też, że pojedzie do Wersalu i więzienia rewolucji, Conciergerie, kiedy zbierała materiały do rozdziału o Marii Antoninie. Teraz, nawet po tych kilku dniach spędzonych w otoczeniu żywej historii Langwedocji, dochodziła do wniosku, że ma do czynienia z kulturą, która wymaga wyjątkowego zrozumienia.

- Pozwoli pani, że podam pewien przykład - kontynuował Jean Claude. - Można przeczytać jedną z pięćdziesięciu

spisanych przez historyków relacji na temat tragedii, jaka się rozegrała w Montsegur. Proszę się jednak rozejrzeć wokół. Gdyby nie weszła pani na tę górę, czy nie zobaczyła na własne oczy tego miejsca, gdzie płonął stos, albo nie przekonała się naocznie, jak nieprzeniknione są te mury, jak chciałyby pani to zrozumieć? Chodźmy, coś pani pokażę.

Maureen ruszyła za Francuzem nad krawędź urwiska, gdzie runęły ściany niezdobytej niegdyś fortecy. Wskazał przerażająco strome zbocze, które schodziło w dół na głębokość tysiąca stóp. Wzmagał się ciepły wiatr i porywał włosy Maureen, kiedy próbowała wczuć się w sytuację młodej katarskiej dziewczyny z trzynastego wieku.

- Tędy uciekli - wyjaśnił Jean Claude. - Proszę to sobie wyobrazić, stojąc w tym miejscu. Jest środek nocy, ma pani przytwierdzone do ciała najcenniejsze relikwie swego narodu, za sobą miasmo głodu i cierpienia. Jest pani młoda i przerażona, i wie, że choć ma szansę przeżyć, wszyscy ci, których pani kocha, spłoną żywcem. Mając taką świadomość, jest pani spuszczana na linie w dół, prosto w straszliwie zimno i nocną otchłań, istnieje też ogromne ryzyko, że runie pani w przepaść i zginie.

Maureen westchnęła ciężko. Było to niezwykle uczucie, stać w miejscu, gdzie zewsząd otaczały ją żywe legendy. Jean Claude przerwał jej myśli.

- A teraz proszę sobie wyobrazić, że czyta pani o tym tylko w bibliotece w New Haven. Nieco inne doświadczenie, prawda?

Maureen przytaknęła.

- Zdecydowanie.

- Och, zapomniałem wspomnieć o czymś jeszcze. O najmłodszej dziewczynce, która uciekła tamtej nocy. Była

prawdopodobnie pani antenatką. Tą, która później przyjęła nazwisko Paschal. W każdym razie aż do śmierci nazywano ją La Paschalina.

Maureen ze zdumieniem przyjęła wiadomość o istnieniu jeszcze jednej protoplastki swego rodu.

- Ile pan o niej wie?

- Niewiele. Umarła w klasztorze Montserrat na granicy z Hiszpanią jako bardzo stara kobieta, zachowały się też pewne świadectwa na jej temat. Wiemy, że poślubiła innego katarskiego uciekiniera i miała z nim kilkoro dzieci. Napisało, że przywozła ze sobą do klasztoru jakiś bezcenny dar, jednak jego charakter nigdy nie został ujawniony.

Maureen schyliła się i zerwała jeden z kwiatów polnych, które porastały szczeliny w zwałonych murach. Zbliżyła się do krawędzi urwiska, skąd dziewczyna katarska, która później przybrała imię La Paschalina, zsunęła się odważnie po stromym zboczcu - ostatnia nadzieja jej narodu. Cisnęła w dół liliowy kwiatek, wypowiadając jednocześnie modlitwę w intencji kobiety, która mogła być jej antenatką lub nie. To nie miało większego znaczenia. Opowieść o wspaniałych ludziach i dar samej ziemi sprawiły, że ten dzień zmienił ją nieodwracalnie.

- Dziękuję - zwróciła się do Jean Claude'a niemal szepcem.

Wtedy oddalił się, by mogła zostać sama i uświadomić sobie, jak bardzo jej przeszłość i przyszłość splatały się z tym prastarym i zagadkowym miejscem.

Maureen i Jean Claude zjedli lunch w małej wiosce u podnóża Montsegur. Tak jak obiecał, restauracja

serwowała jedzenie w stylu katarskim. Na menu składały się proste potrawy z ryb i świeżych warzyw.

- Panuje niesłuszne przekonanie, że katarowie byli ścisłymi wegetarianami, w rzeczywistości jednak spożywali ryby - wyjaśnił Jean Claude. - Traktowali dosłownie nie które przypowieści o życiu Chrystusa. A ponieważ nakarmił nieprzebrane rzesze bochenkami chleba i rybami, uznali, że je także powinni włączyć do swojej diety.

Maureen stwierdziła, że posiłek jest niezwykle sycący, i pochłaniała go ze smakiem. Sinclair miał rację: Jean Claude był wspaniałym historykiem. Maureen zasypywała go pytaniami, kiedy schodzili w dół zbocza, on zaś odpowiadał cierpliwie i z niezwykłą wnikliwością. Nim zasiedli do jedzenia, ucieszyła się, mogąc z kolei odpowiedzieć na jego pytanie.

Jean Claude zaczął od jej snów i wizji. Wcześniej czułaby się nieswojo, ale kilka ostatnich dni w Langwedocji sprawiło, że stała się bardziej otwarta. Tu, na tej ziemi, takie sprawy traktowano jako coś zwykłego; stanowiły po prostu element życia. Możliwość rozmowy z ludźmi, którzy zajmowali pewne kwestie, przynosiła ulgę.

- Miewała pani te wizje w dzieciństwie? - chciał wiedzieć Jean Claude.

Maureen pokręciła głową.

- Jest pani pewna?

- Jeśli je miałam, to ich nie pamiętam. Nie doświadczyłam ich, dopóki nie pojechałam do Jerozolimy. Dlaczego pan pyta?

- Z ciekawości. Proszę mówić.

Maureen opowiedziała o swych przeżyciach bardziej szczegółowo; Jean Claude słuchał uważnie, wtrącając czasem jakieś pytanie. Kiedy zaczęła opisywać wizję ukrzyżowania,

jakiej doznała w Notre Dame, wyraźnie się ożywił. Maureen to zauważyła.

- Sinclair także sądzi, że ta wizja jest niezwykle znacząca.

- Owszem - przytaknął Jean Claude. - Powiedział pani o przepowiedni?

- Tak, jest fascynująca. Ale trochę mnie niepokoi, że to ja według niego jestem Oczekiwaną z tego proroctwa. Wolę nie mówić o tremie, jaka mnie ogarnia.

Francuz wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie. Czegoś takiego nie można narzucić. Albo jest pani Oczekiwaną, albo nie, a jeśli tak, to ujawni się to bardzo szybko. Jak długo zamierza pani zostać w Langwedocji?

- Początkowo chcieliśmy spędzić tu cztery dni, potem wrócić jeszcze na kilka do Paryża. Ale teraz nie wiem. Jest tutaj tyle do obejrzenia, do posłuchania. Zobaczymy, jak będzie.

Słuchając jej, Jean Claude wydawał się nieco zadumany.

- Czy przytrafiło się pani coś dziwnego po balu? Coś, co wydało się pani niezwykle? Jakież sny?

Maureen pokręciła głową.

- Nie, nic. Byłam zmęczona i spałam bardzo dobrze. Dlaczego pan pyta?

Jean Claude wzruszył nieznacznie ramionami, prosząc o rachunek. Po chwili mruknął pod nosem:

- To zawęźa pole działania.

- Jakie pole działania?

- Och, chodzi o to, że jeśli chce nas pani wkrótce opuścić, będziemy musieli się nad czymś zastanowić. A mianowicie, co zrobić, by się przekonać, czy wywodzi się pani z rodu La Paschaliny. Czy jest pani naprawdę Oczekiwaną, która zaprowadzi nas do wspaniałego tajemniczego

skarbu. - Mrugnął do niej, kiedy wstali. - Lepiej panią odwożę, zanim Berenger urwie mi głowę.

... Od czego zacząć, jeśli chce się napisać o czasie, który zmienia świat?

Zwlekałam z tym tak długo, ponieważ zawsze się obawiałam, że ten dzień nadejdzie i będę musiała przeżywać to jeszcze raz. Widziałam ów dzień w snach przez te wszystkie lata, wielokrotnie, ale teraz nadchodzi nieproszony, by mnie prześladować. Rozmyślne przywołanie go nigdy nie było moim wyborem, bo choć wybaczyłam wszystkim, którzy odegrali swoją rolę w cierpieniu Ezy, wybaczenie nie przynosi zapomnienia.

Niechaj jednak będzie, jak powinno być, gdyż jestem jedyną, która pozostała, a która może opowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło w tych dniach ciemności.

Niektórzy powiadają, że Eza zaplanował wszystko od samego początku. Nie jest to prawdą. Było to zaplanowane dla niego, on zaś spełnił to w swej mocy i posłuszeństwie wobec Boga. Wypił z kielicha, który mu podano, uczyniwszy to z odwagą i spokojem, jak nikt inny przed nim ani po nim, pominąwszy jego matkę. Tylko ona, Wielka Maria, słyszała wołanie Pana z taką samą jasnością i tylko ona odpowiedziała na owo wołanie z taką samą odwagą.

Pozostali z nas pokornie uczyli się ich spokoju.

EWANGELIA MARI MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Rozdział dwunasty

*Carcassonne 25
czerwca 2005*

Tamara Wisdom i Derek Wainwright wyglądali pod forticznymi murami Carcassonne jak typowa para amerykańskich turystów. Kiedy spotkali się w hotelowym lobby, Derek pocałował ją namiętnie. Odsunęła go łagodnie ze wstydliwym uśmiechem.

- Będzie na to jeszcze mnóstwo czasu, Derek.

- Obiecujesz?

- Oczywiście. - Przesunęła dłonią po jego plecach, jakby na potwierdzenie swego słowa. - Ale wiesz, jaka ze mnie pracowolizka. Kiedy się z tym uporam, resztę dnia będziemy mogli przeznaczyć na... zabawę.

- Słusznie, ruszajmy. Lepiej będzie, jeśli ja poprowadzę.

Derek wziął Tammy za rękę i skierował się do swojego samochodu. Wyjechał na obwodnicę i ruszył wzdłuż murów miasta, by skręcić na drogę, która prowadziła między wzgórzami.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne? - spytała go.

Derek skinął głową.

- Wszyscy wyjechali rano do Paryża. Tylko że...

- Tylko że co?

Przez chwilę zdawało się, że chce jej coś powiedzieć, potem jednak się rozmyślił.

- Nic. Jeden został tutaj, w Langwedocji, ale jest dziś zajęty. Mało prawdopodobne, żebyśmy się na niego na tknęli.

- Zechcesz mówić jaśniej?

Derek roześmiał się.

- Jeszcze nie. Wystarczy, że podejmuję poważne ryzyko. Wiesz, co mi grozi, jeśli mnie przyłapią?

Tammy pokręciła głową.

- Nie. A co? Wyznaczą ci jakiś sekretny nadzór?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- Żartuj sobie, jeśli chcesz, ale ci goście nie bawią się w sentymenty. - Przejechał palcem wskazującym po gardle.

- Nie mówisz poważnie.

- Wprost przeciwnie. Karą za wyjawienie sekretów gildii komuś spoza jej kręgu jest śmierć.

- Wykonano ją kiedykolwiek? A może to tylko straszak, żeby dodać mistycyzmu temu tajnemu stowarzyszeniu i kontrolować jego członków?

- Jest teraz nowy Nauczyciel Sprawiedliwości - tak nazywa się nasz przywódca - i stosuje skrajne metody.

Tammy zaczęła się zastanawiać. Derek wyznał jej kilka lat wcześniej w przypiływie pijackiej niedyskrecji, że należy do gildii, ale potem nabrał wody w usta i nie chciał na ten temat mówić. Wyciągnęła z niego więcej minionej nocy podczas przyjęcia. W końcu, ulegając działaniu alkoholu i długo tłumionemu pożądaniu do dziewczyny, ujawnił, że główna siedziba stowarzyszenia znajduje się pod Carcassonne. W każdym razie Tammy przypuszczała, że właśnie z tych powodów Derekowi rozwiązał się język. Zaproponował nawet, że dziś pokaże jej tę tajemną kryjówkę. Ale jeśli mówił poważnie o konsekwencjach zdrady, to wolała nie brać tego na swoje sumienie.

- Słuchaj, Derek, jeśli to naprawdę takie niebezpieczne, to nie chcę cię naciskać. Słowo daję. Wykorzystam cię jako anonimowe źródło informacji, jeśli zdecyduję się wspomnieć o gildii w swoich filmach. Wróćmy do Carcassonne i zjedzmy lunch. Możesz powiedzieć mi co nieco w zaciszu jakiejś knajpki.

No! Zaproponowała mu proste wyjście z sytuacji.

Zaskoczył ją, odrzucając tę ofertę.

- O, nie. Chcę ci to pokazać. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać.

Tammy była nieco zaniepokojona tym entuzjazmem.

- Dlaczego?

- Sama zobaczysz.

Derek zaparkował za żywopłotem, kilkaset jardów od wejścia na teren posesji. Ruszyli ostrożnie wzdłuż szosy, potem skręcili w wąską i niebrukowaną drogę. Przebyli kolejne sto jardów i wreszcie ich oczom ukazała się kamienna kaplica, w której poprzedniej nocy członkowie gildii odprawili nabożeństwo.

-To właśnie ten kościół. Wejdziemy tam potem, jeśli będziesz chciała go sobie obejrzeć.

Tammy przytaknęła, gotowa iść za nim i sprawdzić, dokąd ją prowadzi. Znała Dereka od lat, ale zawsze traktowała tę znajomość jak coś przypadkowego. Teraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę wie o nim za mało, by trafnie ocenić jego rzeczywiste motywy. Początkowo sądziła, że sprowadzają się do prostych męskich impulsów, a z tym mogłaby sobie bez trudu poradzić. Nagle jednak dostrzegła w nim pewną determinację, coś, czego wcześniej nigdy nie

zauważyła. Budziło to w niej lęk. Dziękowała Bogu, że Sinclair i Roland wiedzieli, gdzie jest.

Zaprowadził ją do długiego bungalowu za kościołem, wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Niepozorny wygląd budynku sprawił, że Tammy była zaskoczona samymi rozmiarami i wystrojem wnętrza holu gildii. Było bogate i złocone, każdy skrawek przestrzeni zajmowały dzieła sztuki i każde z nich było kopią obrazów Leonarda da Vinci. Na przeciwległej ścianie, która po wejściu do środka od razu rzucała się w oczy, wisiały dwie wersje „Świętego Jana”.

- Mój Boże - wyszeptała Tammy. - A więc to prawda. Leonardo był wyznawcą kultu Jana. Absolutnym heretykiem.

Derek wybuchnął śmiechem.

- Według jakich kryteriów? Bo w przypadku gildii prawdziwymi heretykami są chrześcijanie, będący wyznawcami Jezusa. Nazywamy go Uzurpatorem albo Niegodziwym Kapłanem. - Derek wskazał obraz i przemówił wzniosłym tonem, jakiego Tammy nigdy wcześniej u niego nie słyszała: - Leonardo da Vinci był w swoim czasie Nauczycielem Sprawiedliwości, przywódcą naszej gildii. Wierzył, że Jan Chrzciciel to jedyny prawdziwy mesjasz i że Jezus dzięki kobiecym manipulacjom zajął bezprawnie jego miejsce.

- Kobiecym manipulacjom?

Derek skinął głową.

- To fundament naszej tradycji. Salome i Maria Magdalena doprowadziły w podstępny sposób do śmierci naszego mesjasza, by osadzić na tronie swego fałszywego proroka. Gildia obie uważa za ładacznicę. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Tammy popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę tak myślisz? Do diabła, Derek, jak to się stało, że zacząłeś wyznawać tę filozofię? I jak ci się udało zataić to przede mną?

Derek wzruszył ramionami.

- Sekret to nasza zasada. Jeśli chodzi o filozofię, wpajano mi ją od dzieciństwa, poza tym studiowałem przez lata tajemne pisma. Są bardzo przekonujące.

- Co jest przekonujące?

- Pewne materiały, jakimi dysponujemy. Nazywamy je *Prawdziwą księgą Świętego Graala*. Jest przekazywana z pokolenia na pokolenie od czasów rzymskich i działalności pierwszych uczniów Jana Chrzciciela. Opisuje szczegółowo wydarzenia dotyczące śmierci Jana. Jestem pewien, że cię zafascynuje.

- Będę mogła ją zobaczyć?

- Dam ci egzemplarz. Mam jeden w hotelu.

Tammy wyczuła w jego słowach cień sugestii, ale starała się nic po sobie nie pokazać. Bez trudu mogła odgadnąć, czego Derek się spodziewa w zamian za udostępnienie tego cennego dokumentu. Odwróciła się i przechadzając się powoli, oglądała obrazy.

- Zauważyłaś, co je łączy? - spytał Derek.

- Prócz tego, że namalował je Leonardo? - Tammy pokręciła głową. Nie dostrzegала żadnego związku poza tym jednym. - Nie. Z początku myślałam, że wszystkie przedstawiają Jana Chrzciciela, ale tak nie jest. O, ten wygląda jak fragment „Ostatniej Wieczery”, ale to nie ma sensu, biorąc pod uwagę, co mi przed chwilą powiedziałeś. Po co mielibyście go tu trzymać, jeśli gildia pogardza Jezusem jako uzurpatorem i wini Marię Magdalenę za śmierć Jana?

-Właśnie dlatego - zapewnił Derek, unosząc prawą dłoń do twarzy w osobliwym geście.

Palec wskazujący był wycelowany w niebo, kciuk wyprostowany, a pozostałe trzy palce zwinięte. Tammy uświadomiła sobie, że jeden z apostołów na słynnym fresku Leonarda wykonywał ten sam ruch ręką - czyniąc niemal groźny gest przed twarzą Jezusa.

- Co to znaczy? - spytała Tammy. - Widziałam to już wcześniej, na obrazie „Święty Jan” w Luwrze. - Skinęła głową w stronę kopii na ścianie. - O, na tym. Sądziłam, że chodzi o Królestwo Niebieskie, wskazywanie nieba.

Derek cmoknął w udawanym rozczarowaniu.

- Daj spokój, Tammy. Powinnaś wiedzieć, że Leonardo nigdy nie przedstawiał niczego w jednoznaczny i oczywisty sposób. Nazywamy to gestem „Pamiętaj o Janie” i jest on wieloznaczny. Po pierwsze, jeśli przyjrzyś się dokładnie, to zobaczysz, że palce tworzą literę „J”, pierwszą literę imienia Jan. Wyprostowany palec wskazujący prawej dłoni przed stawia także cyfrę jeden. A więc wszystko to razem znaczy „Jan jest pierwszym mesjaszem”. Aha, jeszcze jedna ważna rzecz związana z tym gestem, czyli relikwia.

- Macie jakąś relikwię Jana?

Derek uśmiechnął się chytrze.

- Chciałbym ci ją pokazać, ale Nauczyciel Sprawiedliwości trzyma ją stale pod kluczem. Mamy kości wskazującego palca Jana, tego samego, którym wykonywał ów gest, ten zaś służy nam od tysiąca lat jako znak rozpoznawczy. Umożliwiał rycerzom i szlachetnie urodzonym identyfikować się dyskretnie w czasach średniowiecza; dzisiaj też się nim posługujemy. Mamy również czaszkę świętego.

Tammy nie wierzyła własnym uszom.

- Macie czaszkę Jana?

Derek wybuchnął śmiechem.

- Pewnie. Nauczyciel Sprawiedliwości poleruje ją codziennie. Stanowi główny rekwizyt wszystkich rytuałów gildii.

- Skąd wiesz, że to jego czaszka? Zawsze sądziłam, że znajduje się w Amiens, w tamtejszej katedrze.

- Masz pojęcie, w ilu miejscach rzekomo się znajduje? Wierz mi, nasza jest autentyczną relikwią. Jest przekazywana od pokoleń. To wspaniała historia, ale przeczytasz o tym w *Prawdziwej księdze świętego Graala*. Spójrz, wszędzie zobaczysz palec wskazujący, jest na każdym z tych obrazów.

Nawet podczas dyskusji o tak poważnym zagadnieniu Tammy zauważyła, że Derek odznacza się ograniczoną umiejętnością koncentracji i że przeskakuje z tematu na temat. Czy było to zamierzone? Czy przyświecał mu jakiś cel? Wcześniej nie posądzała go o szczególną inteligencję, ale teraz doznała niepokojącego wrażenia, że nie doceniała tego człowieka. Rozmyślała gorączkowo, starając się zachować obojętność. Czy ten facet jest fanatykiem? Jak mogła nie zauważyć, że Derek jest człowiekiem niejednoznacznym? Tammy próbowała uwolnić się od nieprzyjemnego podejrzenia, że jej piękna kruczoczarna główka tym razem ją zawiodła.

Derek pokazywał jej kolejne obrazy, na każdym widniał gest dłoni z wyciągniętym palcem. Na malowidłach przedstawiających postać świętego Jana sam Chrzciciel był uwieczniony w tej pozie. W przypadku „Ostatniej Wieczery” był to jeden z apostołów, niewierny Tomasz.

- Kilku apostołów było uczniami Jana na długo przed pojawieniem się Jezusa - wyjaśnił Derek. - Najważniejsze w tym obrazie jest to, że Jezus ogłasza właśnie: „Jeden z was

mnie zdradzi". Tomasz potwierdza ten fakt i daje do zrozumienia gestem „Pamiętaj o Janie”, dlaczego tak się stanie - dla przypomnienia postaci mesjasza. Jego los stanie się twoim losem. To właśnie przekazuje tym gestem, celując palcem wskazującym w twarz fałszywego proroka. Zostaniesz zamęczony tak jak Jan i będzie to słuszna zapłata.

Tammy była zszokowana tą nowiną i zdumiewającą interpretacją jednego z najśłynniejszych dzieł świata. Nie mogła się powstrzymać od pytania:

- A więc zapewne nie wierzysz, że Maria Magdalena siedzi obok Chrystusa na „Ostatniej Wieczerzy”?

Derek w odpowiedzi splunął na podłogę.

- Oto, co myślę o tej teorii i każdym, kto w nią wierzy.

Stanęli pod dłuższą ścianą pomieszczenia, na której widniały dwie wersje słynnego obrazu Leonarda „Madonna wśród skał”, i Derek wskazał płótno na prawej stronie.

- Leo otrzymał zamówienie na namalowanie Dziewicy i dzieciątka na święto Niepokalanego Poczęcia. Najwyraźniej jednak Bractwu Niepokalanego Poczęcia chodziło o coś innego. Obraz został odrzucony, stał się jednak klasycznym dziełem naszej gildii; wszyscy mamy w domach jego kopię.

Centralną postacią malowidła była madonna obejmująca prawą ręką dziecko, lewą zaś drugie, siedzące niżej. Scenie przyglądał się anioł.

- Wszyscy sądzą, że to Matka Boska, ale się mylą. Pierwotnie obraz nosił tytuł „Madonna wśród skał”, nie „Dziewica wśród skał”, jak bywa obecnie nazywany. Przyjrzyj się dokładnie. To Elżbieta, matka Jana Chrzciciela.

Tammy nie była przekonana.

- Dlaczego tak uważasz?

- Tak przede wszystkim mówi tradycja gildii. Znamy prawdę. - Jego odpowiedź była niemal arogancka. - Za

słusznością naszej opinii przemawia historia sztuki. Leonardo pokłócił się z Bractwem o zapłatę za ten obraz, więc odegrał się na przeciwniku, wmawiając mu, że dostarcza tradycyjne dzieło, jakie zostało zamówione. "W rzeczywistości jednak uwiecznił pewną wersję całej naszej filozofii, wymierzając Bractwu policzek. Był w tym złośliwie dowcipny. Za sprawą wielu swych dzieł Leonardo wyśmiewał Kościół i wykrecał się sianem, ponieważ był znacznie bystrzejszy od głupich papistów w Rzymie.

Tammy starała się nie okazywać zdumienia skrajną bigoterią Dereka. Nigdy wcześniej nie dostrzegła tej strony jego osobowości, co budziło w niej narastający niepokój. Pomacała się po kieszeni, wyczuwając znajomy kształt komórki. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie nadać sygnału SOS, gdyby sytuacja zrobiła się nieprzyjemna. Z drugiej strony była niezdecydowana. Jako pisarka i filmowiec dostawała do ręki prawdziwy skarb - czy ośmieliłaby się go wykorzystać?

Derek nie przestawał mówić o swoim idolu.

- Wiedziałaś, że Mona Lisa to w rzeczywistości autoportret? Leonardo najpierw naszkicował swoją podobiznę, a potem ją namalował, jak wiemy obecnie. Był to z jego strony jeden wielki żart. Żart z nas samych, bo ludzie ustawiają się w kolejce, żeby zobaczyć ten obraz. Nienawidził kobiet z powodu swojej matki. Wprowadził nawet obostrzenia w gildii wobec kobiet, co było jego zemstą za nieszczęśliwe dzieciństwo. Dowiesz się o tym z *Prawdziwej księgi świętego Graala*.

Derek przedstawił następnie krótką historię życia Leonarda - artysta został porzucony przez rodzoną matkę i skazany na nieszczęśliwe dzieciństwo u boku macochy, która miała trudny charakter. Prawdę powiedziawszy, wszystkie

udokumentowane relacje Leonarda z kobietami były w jakiś sposób negatywne albo traumatyczne. Jego awersja do kobiet została dokładnie zbadana przez historyków, którzy ustalili także, że aresztowano go i uwięziono za sodomie. Największą jednak skazą na reputacji Leonarda było adoptowanie dziesięcioletniego chłopca w charakterze ucznia i terminatora; przez wiele lat trzymał go przy sobie jako partnera. Choć życie artysty było znaczone skandalami, unikał kłopotów ze strony władz dzięki temu, że malował dla Kościoła i korzystał z opieki zamożnych mecenasów, którzy się za nim wstawiali.

- Ilekroć był zmuszony malować kobietę, jak na przykład Monę Lisę, zamieniał to w żart, głównie ku własnej rozrywce. Była to jego reakcja na przymus malowania czegoś, co do niego nie przemawiało. - Derek ponownie odwrócił się ku „Madonnie ws'ród skał”. - Jedyłą znaną nam kobietą, którą szanował, była Elżbieta, idealna niewiasta i matka. Prawdziwa madonna. Spójrz, obejmuje to dziecko - swoje dziecko. To bez wątpienia Jan.

Tammy przytaknęła. Maluch w ramionach kobiety musiał być Janem Chrzycielem.

- A teraz przyjrzyj się lewej ręce Elżbiety. Odpycha od siebie Jezusa, dając do zrozumienia, że stoi on niżej od jej dziecka. Leonardo posunął się nawet do tego, że fizycznie umiejscowił Jezusa poniżej Jana, by pokazać jego pośledniość. Wreszcie, zwróć uwagę na oczy anioła Uriela. Na kogo patrzy z uwielbieniem? Widzisz to na pierwszym obrazie? Wskazuje Jana, ale unosi też dłoń w tym geście, o którym ci mówiłem. Bractwo Niepokalanego Poczęcia nie było zadowolone z tego pierwszego obrazu i oczywi stego przesłania Janowego. Kazali Leonardowi namalować drugi, nalegając, by tym razem Jezus i Maryja mieli aureole

i by anioł nie wskazywał na Jana. Spójrz na drugie płótno, a przekonasz się, że dostali to, czego chcieli, ale nie do końca. Maryja i Jezus mają aureole, ale ma ją również Jan. Leonardo wyposażył go także w kostur chrzcielny, by jeszcze dobitniej dać do zrozumienia, kim jest, i jeszcze dobitniej uwydatnić jego autorytet. Na obu obrazach Jezus obdarza swym błogosławieństwem Jana. Teraz, widząc te płótna, jak myślisz, kogo według ciebie Leonardo czcił jako prawdziwego mesjasza i proroka?

-Jana Chrzciela. Bez wątpienia - odparła szczerze Tammy.

- Oczywiście. Archanioł Uriel potwierdza wyższość Chrzciela, tak jak i matka Jana. Zgodnie z tradycją czcimy Elżbietę w taki sam sposób, w jaki błądzący chrześcijanie czczą matkę Jezusa. Nasze dziewczęta są wychowywane na podobieństwo Elżbiety, by mogły stać się córkami sprawnymi i mądrymi.

Tammy uniosła brwi.

- Co to dokładnie znaczy?

Derek uśmiechnął się chytrze i przysunął bliżej.

- Znaczą, że kobiety powinny znać swoje miejsce, a to z kolei oznacza posłuszeństwo i drugorzędność w życiu wobec mężczyzn. Ale wiesz, nie wygląda to tak źle, jak można by przypuszczać. Kiedy już urodzą syna, zyskują miano „Elżbiety” i są traktowane jak królowe. Szkoda, że nie widziałaś diamentów, jakie dostała moja matka za każdego z nas, jej synów. Wierz mi, gdybyś się przekonała, jak wyglądało jej uprzywilejowane życie, nie byłoby ci jej w ogóle żal.

-A ty popierasz tę koncepcję kobiecej podległości? - Tammy twardo trzymała się swoich planów, nie okazując narastającej nerwowości.

- Jak powiedziałem, tak mnie wychowano. Pasuje mi. -
Wzruszył ramionami.

Tammy najpierw potrząsnęła z niedowierzaniem głową, potem zaczęła się śmiać, po trosze z rozbawienia, po trosze z nerwów.

- Co? - zainteresował się Derek.

- Właśnie pomyślałam sobie o tym pomieszczeniu, z tą całą herezją Leonarda da Vinci, i jednocześnie o pokoju Sinclaira, z tą całą herezją Botticellego. Coś w rodzaju renesansowego starcia na śmierć i życie. Leonardo przeciwko Sandrowi.

Derek nie okazał wesołości.

- Może byłoby się z czego śmiać, gdyby nie wyglądało to tak cholernie poważnie. Rywalizacja między potomkami Jana i potomkami Jezusa często doprowadzała do rozlewu \ krwi. Nawet teraz sprawia sporo kłopotu, więcej niż przy puszczasz.

Tammy spojrzała na Dereka z udawanym zmieszaniem. Wiedziała doskonale, do czego zmierza, ale nie chciała się zdradzić. Spytała niewinnie:

- Potomkowie Jana? Derek
nie krył zaskoczenia.

- Oczywiście. Nie mów mi, że nie wiedziałaś.

Tammy pokręciła głową, trzymając się roli.

- Nie, nie wiedziałam. Widząc jej
wyraz twarzy, ciągnął:

- Daj spokój, nie wiedziałaś, że Jan miał syna? Tak właśnie została założona gildia, przez jego potomków. No cóż, to długa historia, ponieważ połowa z nich zaprzedała się ostatecznie papistom i wyznawcom Chrystusa, jak Medyceusze. - Wspominając znany ród włoski, skrzywił się z obrzydzeniem. - Nawet Leonardo pod koniec życia

skończył na służbie wroga, choć sądzimy, że był przetrzymywany we Francji wbrew swej woli. Lecz inni, ci najtwardsi, stworzyli gildię. Prawdę mówiąc, patrzysz na prawnuka Jana Chrzyciela w prostej linii - sprzed dwóch tysięcy lat.

Tammy myślała z lękiem o tym, co jest nieuniknione - że wyląduje w pokoju hotelowym Dereka, co gorsza, w wiadomym celu. Ale nie mogła tego uniknąć. Musiała zdobyć tę *Prawdziwą księgę świętego Graala* i dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi tym chłopcom od świętego Jana. Miała szansę jako pierwsza osoba spoza gildii zdobyć te ściśle tajne informacje i nie zamierzała tego schrzanić. Wszystko już zaszło dalej, niż którekolwiek z nich się spodziewało, i nie było możliwości, by nie zdobyła tej książki. Zamierzała zrobić to dla swego przyszłego filmu, dla przyjaciół ze Stowarzyszenia Niebieskich Jabłek, a ponad wszystko dla Rolanda. Oczywiście wiedziała, że Roland nigdy się nie dowie, do czego się posunęła, by zdobyć te dokumenty, i że będzie musiała wymyślić na jego użytek jakąś wiarygodną historyjkę. Dziękowała Bogu, że szofer z Chateau des Pommes Blues miał przyjechać po nią dopiero po południu i że będzie miała dość czasu w drodze powrotnej do Arques, by się spokojnie zastanowić.

Tammy nalegała, by zjedli lunch przed powrotem do hotelu, i zamówiła sobie sporą porcję wina Pays d'Oc rubinowego koloru. Przyglądała się, jak Derek połyka garść leków na kaca; zrodziła się w niej nieśmiała nadzieja, że tabletki w połączeniu z winem ostudzą jego zapaly, a może nawet pozbawią go przytomności.

Derek wyznał podczas posiłku, że zdradza jej wszystkie sekrety gildii, ponieważ chce, by ujawniła je drukiem i w swoim filmie. Choć sam nie mógł z niczym wystąpić - miał swój cel, ale nie był szalony — pragnął, by ktoś ujawnił prawdę o gildii.

- Ale dlaczego? - spytała Tammy.

Nie miało to dla niej najmniejszego sensu. Derek tkwił po uszy w stowarzyszeniu i był najwyraźniej zauroczony jego filozofią i naukami. Gildia przyczyniła się do pomnożenia majątku, jaki zgromadziła jego rodzina. Dlaczego chciał wydać swych mocodawców?

- Posłuchaj, Tammy. - Nachylił się nad stołem i wyszeptał: - Zamierzam powiedzieć ci mnóstwo rzeczy - wszystko, co wiąże się z poważnymi przestępstwami. Nawet morderstwem. Ale nikt nie może się nigdy dowiedzieć, że to ja, bo będę martwy.

- Wciąż nie rozumiem - odparła. - Dlaczego wydajesz organizację, która jest tak ważna dla ciebie i twojej rodziny?

- Chodzi o nowego Nauczyciela Sprawiedliwości - wypalił. - O Cromwella. To stuknięty drań, który pociągnie za sobą wszystkich na dno. Nie jestem nielojalny, wręcz przeciwnie. Jedyna nadzieja na ocalenie gildii to pozbyć się go, zanim zdąży narobić nieodwracalnych szkód. Chcę, byś wydała jego, nie gildię. Żeby wyszedł na stukniętego indywidualistę, zwariowanego fanatyka.

- Dlaczego zwróciłeś się z tym do mnie? - spytała Tammy, odczuwając coraz większy niepokój. Rzecz wyglądała o wiele poważniej, niż się spodziewała, i o wiele groźniej, niżby sobie tego życzyła.

Derek pogłaskał ją po ramieniu z zadowoloną miną.

- Ponieważ jesteś ambitna i bardzo byś chciała mieć łączność na tę informację, jeśli chodzi o książkę albo film.

I ponieważ mój fundusz powierniczy jest równy dochodowi narodowemu kilku niezależnych państw, a ty wiesz, że wypiszę czek na każdą sumę, jakiej będziesz potrzebowała. Nie myślę się?

Tammy uśmiechnęła się słodko i dotknęła jego dłoni, starając się zapanować nad obrzydzeniem. Musiała to w ten sposób rozgrywać. Po prostu musiała.

— Ależ oczywiście.

Derek nie ujawnił jednak podczas tej rozmowy, że delegacja amerykańska planowała przewrót w łonie gildii. Najpierw musieli uporządkować sprawy w Europie, eliminując silnych graczy. Jego ojciec, Eli Wainwright, miał zostać następnym ^Nauczycielem Sprawiedliwości - Derek zaś jego następcą - gdyby tylko udało im się zneutralizować potężną europejską strukturę organizacji.

Derek uśmiechnął się, a jego twarz przypominała przez chwilę oblicze drapieżnika. Od początku wykorzystywał Tammy wyłącznie w tym celu. Jeśli sądziła, że udało jej się nakłonić go do wyjawienia sekretów gildii za pomocą kobiecych sztuczek, to była durną dziwką, która w pełni zasługiwała, by tak właśnie ją potraktować. Mimo wszystko takie zakończenie popołudnia było dość przyjemne. Czyż ta mała ladacznica nie prowokowała go już dostatecznie długo?

Tammy starała się nie obudzić Dereka, zbierając swoje rzeczy. Chciała się jak najszybciej stąd wynieść, nie mogła się wręcz doczekać, kiedy wreszcie wróci w bezpieczne mury *chdteau* i weźmie prysznic. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała szorować skórę, by pozbyć się odoru przeklętych fanatyków z gildii.

Była zadowolona, że udało jej się uniknąć najgorszego scenariusza. Przewidywała trafnie - gdy wrócili do pokoju Dereka, leki, które zażył, w połączeniu z winem i zmęczeniem sprowadziły na niego sen.

Z początku musiała się wykręcać. Derek nie mógł utrzymać rąk na wodzy, kiedy już byli sami, ale Tammy zaczęła z wprawą grać na jego oczywistej obsesji, czyli pozbyciu się rywala w osobie Johna Simona Cromwella. Podkreślała, że potrzebuje jak najwięcej informacji, jeśli ma być jego partnerką w tak niebezpiecznej grze. Derek dostarczył jej to, co obiecał, a nawet więcej - dokumenty, sekrety i szokujący opis szczególnie brutalnego morderstwa, dokonanego kilka lat wcześniej w Marsylii.

Tammy musiała panować nad sobą ze wszystkich sił, by nie zwymiotować, kiedy Derek opowiadał o egzekucji człowieka z Langwedocji. Ucięto mu głowę i pozbawiono palca wskazującego, co było symbolem odwetu gildii. Tak brutalny czyn wywołałby w każdych okolicznościach jej sprzeciw, ale ona знаła tego człowieka; był mistrzem Stowarzyszenia Niebieskich Jabłek. Nie mogła dopuścić do tego, by Derek się zorientował, że rozpoznała ofiarę. Starła się za wszelką cenę zachować obojętny wyraz twarzy.

Teraz zbierała w pośpiechu swoje rzeczy, by wyjść jak najszybciej z pokoju, gdy nagle przewróciła lampę stołową, robiąc mnóstwo hałasu. Usłyszała, jak Derek się poruszył, i zakłęła pod nosem.

- Hej - mruknął półprzytomny. - Dokąd idziesz?

- Na dole czeka samochód Sinclaira, żeby zabrać mnie z powrotem do Arques. Muszę wrócić tam na kolację, na którą umówiłam się z Maureen.

Próbował usiąść, złapał się za głowę i opadł na łóżko z jękiem, ale zdołał wymamrotać:

- Och, Maureen. Cholera, prawie o tym zapomniałem.

Tammy zastygła.

-Co?

- Może mieć dzisiaj kłopoty.

- Kłopoty? Co masz na myśli?

- Pojechała na wycieczkę z Jean Claude'em, zgadza się?

Tammy skinęła głową, zastanawiając się gorączkowo, o co chodzi. Derek przekreślił się na bok i przeciągnął leniwie.

- Dziewczyno, obudź się. Jean Claude to jeden z nas. Czy raczej powinienem powiedzieć: jeden z nich. Jest prawą ręką tego czubka, Nauczyciela Sprawiedliwości, i szefem naszej francuskiej filii. Jest nim od najmłodszych lat. Nie ma nawet na imię Jean Claude, tylko Jean Baptiste. - Urwał i zaśmiał się z tego żartu. - Ale pewnie nie zrobi jej krzywdy. Jeszcze nie. Za bardzo chcą wiedzieć, czy Maureen znajdzie ten tak zwany skarb, będąc tutaj. A oboje wiemy, że dysponuje ograniczonym czasem.

Tammy rozmyślała gorączkowo. Nie była w stanie tak szybko rozważyć podstępu Jean Claude'a. Był od lat przyjacielem Sinclaira i Rolanda, ufali mu bezgranicznie. Od jak dawna trwała ta infiltracja? Coś jeszcze nie dawało jej spokoju i musiała to wiedzieć. Modliła się, by na jej twarzy nie uwidoczniło się roztrzęsienie.

- Historycznie rzecz biorąc, Oczekiwana zawsze eliminowana, nim zdołała odnaleźć skarb - powiedziała. - Dla czego teraz miałoby być inaczej? Jeśli Jean... Baptiste i twój szef wierzą, że Maureen jest kobietą z przepowiedni, dlaczego po prostu się jej nie pozbędą, nim spełni swoje zadanie? Tak jak zrobiono to z Joanną i Germaine?

Derek ziewnął.

- Bo chcą, żeby zaprowadziła ich do Ewangelii Magdaleny, dzięki czemu będą mogli ją zniszczyć. Kiedy to się

stanie, twoja przyjaciółka też stanie się wyłącznie historią - nim zdąży o tym napisać.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz? - spytała ostrożnie Tammy.

- Chodzi mi o to, żeby Jean Baptiste poszedł na dno ze swoim szefem. I kombinuję sobie, że jeśli twój wielki mistrz Sinclair dowie się, że był oszukiwany, to wyeliminuje za mnie tego żabojada.

Tammy chciała w tym momencie wrzasnąć na niego, powiedzieć mu, że Sinclair i inni w ich organizacji nie są tacy jak on, Derek, i inni podżegacze z gildii. Nie chciała jednak powiedzieć nawet słowa, które mogłoby ją zdradzić, dopóki nie znajdzie się za drzwiami.

- Tymczasem powiedzmy, że na twoim miejscu wywiózł bym rudowłosą z Langwedocji, i to jak najszybciej - rzucił Derek.

Tammy ruszyła w stronę drzwi, ale przystanąła. Musiała zadać to ostatnie pytanie, musiała się dowiedzieć, jak bardzo była przez te wszystkie lata przez niego oszukiwana.

- Jak się z tym wszystkim czujesz? - zapytała cicho.

- Tak naprawdę podchodzę do tego obojętnie - odparł, sprawiając wrażenie nad wyraz znudzonego, jakby chciał czym prędzej zapaść w swój pijacki sen. - Choć twoja przyjaciółka wydaje się całkiem miłą, jest pomiotem Jezusa, a tym samym moim naturalnym wrogiem. Tak po prostu jest. Może tego nie rozumiesz, ale nasze przekonania wywodzą się z bardzo dawnych czasów. A jeśli chodzi o prawdopodobne odkrycie zwojów tej ladacznicy, to wszyscy są pewni, że dojdzie do tego tym razem, ponieważ twoja dziewczyna pasuje jak ulał do przepowiedni, a nie tylko trochę. Ale nie martwię się tym zbytnio. W końcu nie ma czym, prawda?

Śmiał się przez chwilę, potem przekreślił na bok i uniósł na łokciu, by na nią spojrzeć.

- Wiesz, co jest naprawdę zabawne? Nikomu nie zależy na ujawnieniu zawartości tych zwojów. Ze względu na treść Watykan nie zechce ich uznać, tak jak i inne chrześcijańskie wyznania. Historycy ich nie chcą, bo naukowcy i badacze Biblii wyjdą na idiotów. Więc jest szansa, że sami nasi wrogowie spalą je, zanim wszyscy się dowiedzą, co w nich było. Oszczędzi nam to kłopotu zajmowania się nimi - takie jest moje zdanie.

Ziewnął ponownie, jakby ten temat był zbyt przyziemny, by zajmować się nim dłużej, i znowu położył się na plecach, po czym dorzucił:

- Oczywiście pogardzamy tym dokumentem, ponieważ wiemy, że zawiera kłamstwa o Janie Chrzcicielu. I ponieważ został napisany przez ladacznicę.

Tammy chciała uciec z hotelu, znaleźć się jak najdalej od Dereka i jego przepelnionej nienawiścią filozofii, uosabianej przez gildię. Chwyciła komórkę i błyskawicznym ruchem wyciągnęła ją z kieszeni, gdy tylko znalazła się na zewnątrz. Nie było czasu do namysłu, czasu na cokolwiek. Musiała natychmiast się dowiedzieć, gdzie jest Maureen.

Wystukała numer Rolanda i chciała wybuchnąć płaczem, gdy usłyszała jego kojący oksytański akcent. Połączenie było kiepskie, musiała wrzasnąć kilka razy, żeby jej głos dotarł do niego.

- Maureen! Wiesz, gdzie jest w tej chwili Maureen?

Do diabła! Nie zrozumiała jego odpowiedzi. Wrzasnęła ponownie:

- Co?! Nic nie słyszę. Krzycz, Roland, żebym mogła cię usłyszeć.

Roland wrzasnął:

- Maureen jest tutaj!

- Na pewno?

-Tak. Szukała cię, ona...

W tym momencie połączenie zostało przerwane. Dzięki Bogu, pomyślała Tammy. Nie chcę mu niczego wyjaśniać, zanim przemyślę sobie to wszystko. Dopóki Maureen przebywała w bezpiecznym schronieniu Chateau des Pommes Blues, nie trzeba było podejmować nagłych decyzji. Postanowiła, że spotka się przed kolacją z Sinclairem, by omówić strategię.

Sprawdziła zegar na wyświetlaczu komórki. Miała spotkać się z kierowcą za niespełna pół godziny przy bramie miasta. To nie było daleko, ale czuła się osłabiona, nie wiedziała też, czy może zaufać drżącym nogom. Ruszyła, starając się oddychać miarowo, i jednocześnie rozważała wszystkie te szokujące szczegóły, jakich dowiedziała się od Dereka. Również o nim samym. Kiedy powróciły w całej wyrazistości, poczuła, jak wywraca się jej żołądek. Dostrzegając przed sobą ogród niewielkiego hotelu, pobiegła w tamtą stronę i w ostatniej chwili dopadła krzaków; zaczęła gwałtownie wymiotować.

Chateau des Pommes Blues

25 czerwca 2005

Maureen miała wyrzuty sumienia, że tak bardzo zaniedbała Petera. Lecz kiedy wróciła z wycieczki z Jean Claude'em, nigdzie nie mogła go znaleźć.

- Nie widziałem księdza od rana - poinformował ją Roland. - Zjadł późne śniadanie, a zaraz potem odjechał pani wypożyczonym wozem. Ale, skoro jest niedziela, może wybrał się do kościoła? Mamy w tej okolicy niejedną świątynię.

Maureen skinęła głową, nie zastanawiając się nad tym dłużej. Peter był zaradny i mówił płynnie po francusku, więc było logiczne, że zaplanował sobie udział we mszy, a potem zwiedzanie tego niezwykłego rejonu.

Była umówiona na kolację z Tammy - bardzo chciała się z nią spotkać, ale nie kosztom uczuć Petera.

- Można się jakoś skontaktować z Tamarą Wisdom? - spytała Rolanda. - Zapomniałam ją zapytać, czy ma przy sobie komórkę.

- *Oui*, owszem. Mogę to dla pani zrobić. Zresztą muszę ją poprosić o coś dla lorda Berengera. Jakież problemy?

- Nie, zastanawiałam się tylko, czy się zgodzi, by przy kolacji towarzyszył nam Peter.

- Jestem pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu, *mademoiselle* Paschal. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że oczekuje obecności księdza przy stole. Prosiła, żebym przygotował kolację dla czterech osób.

Maureen podziękowała Rolandowi i wróciła do swojego pokoju. Wcześniej jednak zatrzymała się przy drzwiach sypialni Petera i zapukała. Odpowiedziała jej cisza. Przekręciła pozłacaną gałkę i lekko pchnęła drzwi, by zajrzeć do środka. Obok łóżka leżały starannie poukładane rzeczy osobiste - oprawiona w skórę Biblia i różaniec o kryształowych paciorkach. Lecz ich właściciela nigdzie nie było widać.

Maureen wróciła do swego pałacowego apartamentu i wyjęła jeden z notatników, ten większy. Chciała napisać o Montsegur, dopóki miała tę historię świeżo w pamięci.

Ale gdy zsunęła elastyczny rzemyk z okładki i otworzyła zeszyt, stwierdziła ze zdumieniem, że przyszła jej na myśl inna opowieść o męczeństwie.

Maureen wspinała się o wschodzie słońca po zboczach gór niedaleko Morza Martwego, podążając wraz z kilkoma turystami skalistym i krętym szlakiem. Nie bardzo wiedziała, co skłoniło ją do tej wyczerpującej wyprawy. Upał, nawet o tak wczesnej porze, był nieznośny. Pozostali towarzysze jej wędrówki byli bez wyjątku Żydami; dla nich ta pielgrzymka była czymś oczywistym i podyktowanym głębokimi uczuciami. Maureen nie mogła ze swej strony odwołać się do jakiegokolwiek dziedzictwa czy religii.

Zatrzymywała się wielokrotnie na szlaku, by podziwiać niemal boleśnie piękny spektakl światła i barw, które zalewały dziwny, księżycowy krajobraz i migotały w kryształkach soli uspiętej wody. Widok ten stanowił dla niej inspirację, zmuszał zmęczone mięśnie do wysiłku.

Wsluchiwała się w urywki rozmów, które prowadzili ze sobą pielgrzymi dążący pod górę. Nie rozumiała hebrajskiego, ale ich wędrówce towarzyszyła nieklamana pasja. Maureen zastanawiała się, czy mówią o męczennikach Masady, którzy woleli umrzeć, niż żyć w okowach albo narazić swe kobiety i dzieci na rzymską niewolę i poniżenie.

Na szczycie zaczęła penetrować pozostałości wielkiej niedyś fortecy, przechadzając się po zburzonych salach i krużejących murach. Była to zadziwiająco rozległa budowla i niebawem Maureen stwierdziła, że jest sama i że odłączyła się od innych pielgrzymów, którzy z siebie tylko znanych powodów udali się w inny rejon twierdzy. W miejscu tym

panowała dojmująca martwota, spokojna cisza, która sama sprawiała wrażenie ruiny, dotykalna jak kamienie. Maureen była pochłonięta tym wrażeniem, patrząc niemal nieobecnym wzrokiem na pozostałości rzymskiej mozaiki. Wtedy ją ujrzała.

Stało się to nagle i pojawiło całkowicie znikąd, jak jej wizje. Nie mogła sobie potem przypomnieć, jak wyczuła tę obecność; po prostu uświadomiła sobie, że ktoś jest w sali. Z odległości dziesięciu stóp spoglądało na nią wielkimi, ciemnymi oczami niespełna czteroletnie dziecko. Dziewczynka miała podarte i brudne odzienie; łzy na jej twarzy mieszały się z błotem. Nie odezwała się, ale Maureen wiedziała, że mała ma na imię Hannah - i że była świadkiem wydarzeń, których nigdy nie powinno doświadczyć żadne dziecko.

Maureen wiedziała też, że dziewczynka w jakiś sposób przeżyła nieopisaną tragedię Masady. Opuściła to miejsce i zabrała ze sobą jego historię. To było jej dziedzictwo - podzielić się z innymi ludźmi prawdą o tym, co się tam wydarzyło.

Maureen nie wiedziała, jak długo patrzyła na dziewczynkę. Jej wizje odznaczały się beczasowością. Minuty? Sekundy? Czy wieczność?

Później rozmawiała z jednym z izraelskich przewodników oprowadzających turystów po Masadzie. Był młody i otwarty, ona zaś zaskoczyła samą siebie, opowiadając mu o spotkaniu. Wzruszył ramionami i powiedział, że to nic nadzwyczajnego czy nienaturalnego, widzieć takie rzeczy w tym niezwyklej miejscu. Wyjaśnił, że zachowały się legendy o ludziach, którzy ocalili z oblężenia Masady, o jakiejś kobiecie i kilkorgu dzieciach; ta mała grupka ukryła się w jaskini i w końcu uciekła, zabierając ze sobą prawdziwą opowieść.

Maureen wierzyła, że Hannah to jedno z owych dzieci.

Od tamtego dnia zastanawiała się wiele razy, dlaczego doznała tej wizji, dlaczego to przytrafiło się właśnie jej. Czuła, że jest tego niegodna, że nie zasługuje na tak głębokie spotkanie ze świętą historią narodu żydowskiego. Lecz po przeżyciach w Montsegur wszystko zaczęło się układać w piękny wzór, który Maureen w końcu pojęła. Mała Hannah i katarska dziewczyna zwana La Paschalina pochodziły z jednej rodziny, jeśli nie poprzez krew, to poprzez ducha. Były dziećmi, którym przyszło podążać przed siebie i przechowywać te historie, tak aby prawda nigdy nie zaginęła. To było ich przeznaczenie - stać się najświętszymi nauczycielami ludzkości. Te małe dziewczynki i kobiety, które z nich wyrosły, ucieleśniały historię i przetrwanie rodzaju ludzkiego. Ich przeżycia nie miały granic; te opowieści należały do wszystkich ludzi, bez względu na tożsamość etniczną czy przekonania religijne.

Uświadamiając sobie to powiązanie, czyż nie dochodzimy do prawdy, że wszyscy jesteśmy ostatecznie jednym plemieniem?

Maureen podziękowała szeptem Hannah i La Paschalinie, kończąc zapis w swym dzienniku.

Tammy wpadła do *chdteau*, mając nadzieję, że uniknie spotkania z kimkolwiek, nim weźmie prysznic. Była wyczerpana i miała wrażenie, że każdy skrawek jej ciała pokrywa brud. Lecz nie dane jej było zaznać samotności. Kiedy dotarła do swego pokoju, zauważył ją Roland. Otworzył drzwi i wszedł za nią do środka.

- Wszystko w porządku? - spytał z troską.

- Nic mi nie jest.

Przez całą drogę przygotowywała sobie przemowę, ale wystarczyło jej jedno spojrzenie na potężnego majordomusa, by rozkleić się na dobre. Odczuwała ulgę, że jest tutaj, że już nic jej nie grozi, w tym domu i w obecności tego człowieka. Niewiele się zastanawiając, rzuciła się w objęcia olbrzymia i rozplakała.

Roland był zaskoczony. Nigdy wcześniej nie widział u tej kobiety słabości.

- Co się stało, Tammy? Skrzywdził cię? Musisz mi powiedzieć.

Tammy starała się zapanować nad sobą. Przestała płakać i podniosła na niego wzrok.

- Nie, nie skrzywdził mnie. Ale...

- Ale co? Co się stało?

Dotknęła jego twarzy, kanciastej, męskiej twarzy, którą zaczynała kochać.

- Rolandzie - wyszeptwała. - Rolandzie... miałeś rację co do tego, kto zabił twojego ojca. A teraz myślę, że możemy to udowodnić.

...Eza był dzieckiem proroctwa, wszyscy o tym wiedzieli. A owo proroctwo niosło ze sobą przeznaczenie, które musiało się spełnić w wyznaczony sposób. Eza je spełnił; nie dla własnej chwały, lecz po to, by dzieci Izraela łatwiej pojęły i przyjęły jego rolę mesjasza. Im bardziej los Ezy miał być zgodny z naturą przepowiedni, tym silniejsi mieli być ludzie po jego odejściu.

Lecz nawet wówczas nie spodziewaliśmy się, że dokonano się to tak, jak się dokonało.

Eza wjechał do Jeruzalem na grzbiecie osła, zgodnie ze słowami Zachariasza o przybyciu namaszczonego. Podążyliśmy za nim z palemkami, wyśpiewując hosanny. Przyłączył się do nas wielki tłum, gdy przekraczaliśmy bramy miasta, wszędzie zaś wyczuwało się radość i nadzieję. Wielu szło za nami z Betanii, napotkaliśmy też rodaków Szymona, zelotów. Nawet kilkoro spośród wspólnoty esseńczyków opuściło swe pustynne siedziby, by towarzyszyć nam w tym triumfalnym dniu.

Dzieci Izraela radowały się wielce, że przybył Wybrany, by wyzwolić je spod władzy Rzymu i jarzma przemocy, ubóstwa i boleści. Ten syn proroctwa wyrósł na mężczynę i mesjasza. W sercach naszych i w naszej liczbie kryła się wielka siła.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Rozdział trzynasty

Chdteau des Pommes Blues

25 czerwca 2005

Kolacja w *chdteau* zawsze była wystawnym przedsięwzięciem z udziałem gości, i tego wieczoru rzecz miała się nie inaczej. Berenger Sinclair nie oszczędzał ani personelu kuchni, ani swej piwnicy z winami, by wydać ucztę o średniowiecznym i dekadencym przepychu. Rozmowa przy stole była równie treściwa jak posiłek.

Tammy zdołała się pozbić z godną Oscara swobodą. Prezentując swą typową kokieteryę, znów była w pełni sobą.

Maureen z zadowoleniem obserwowała, jak jej przyjaciółka i Sinclair ścierają się w dyskusji z Peterem, pewna, że jej kuzyn potrafi się obronić w każdej teologicznej debacie. Wiedziała to z własnego doświadczenia.

Sinclair zaczął od klasycznego ataku.

- Udowodniono historycznie, że Nowy Testament przybrał swą obecną postać podczas soboru nicejskiego. Cesarz Konstantyn i jego doradcy mogli wybierać spośród wielu ewangelii, a jednak zdecydowali się tylko na cztery - te, które zostały w sposób znaczący zmienione. Był to akt cenzury, zmieniający historię.

- Siłą rzeczy człowiek się zastanawia, co Konstantyn postanowił przed nami ukryć - wtrąciła Tammy.

Peter nawet w najmniejszym stopniu nie był zbity z tropu argumentem, który słyszał już setki razy, i zaskoczył potencjalnych oponentów swoją odpowiedzią:

-To nie wszystko. Nie wiemy nawet, kto napisał te cztery Ewangelie. Prawdę mówiąc, jesteśmy pewni tylko tego, że nie wyszły spod ręki Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Ich autorstwo zostało przypisane tym ewangelistom w drugim wieku, a niektórzy twierdzą, że opierało się na bardzo niepewnych przypuszczeniach. Co więcej, pomimo obfitej dokumentacji, jaką dysponuje Watykan, nie mamy pewności, w jakim języku spisano oryginalne Ewangelie.

Tammy była wyraźnie zaskoczona.

- Myślałam, że po grecku.

Peter pokręcił głową.

- Najwcześniejsze wersje, jakimi dysponujemy, są greckie, ale to prawdopodobnie przekłady jakiegoś wcześniejszego tekstu. Po prostu nie możemy być tego pewni.

- Dlaczego oryginalny język ma takie znaczenie? - zainteresowała się Maureen. - Pomijając błędy w tłumaczeniu.

- Dlatego że język oryginalny to pierwsza wskazówka dotycząca tożsamości autora i miejsca powstania tekstu - wyjaśnił Peter. - Na przykład, jeśli oryginalne Ewangelie były napisane po grecku, to by dowodziło, że autorzy byli hellenizowani - ulegali greckiemu wpływowi, charakterystycznemu dla elity, ludzi obytych i wykształconych. Tradycja nie każe nam myśleć w ten sposób o apostołach, powinniśmy więc spodziewać się innego źródła, powszechnego języka, takiego jak aramejski czy hebrajski. Gdybyśmy byli pewni, że teksty oryginalne zostały napisane po grecku, musielibyśmy zrewidować poglądy na temat pierwszych wyznawców Jezusa.

- Ewangelie gnostyczne, które znaleziono w Egipcie, zostały napisane w języku koptyjskim - dodała Tammy.

- Istnieją koptyjskie teksty, ale wiele zostało przełożonych na koptyjski z greckich oryginałów - poprawił ją łagodnie Peter.

- Jaki stąd wniosek? - spytała Maureen.

- No cóż, wiemy, że żaden z pierwszych wyznawców nie był Egipcjaninem, więc zakładamy, że kilku z nich wyruszyło z działalnością kapłańską do Egiptu i że rozkwitło tam wczesne chrześcijaństwo. Stąd się wzięli koptyjscy chrześcijanie.

- Ale co wiemy pewnego o czterech Ewangeliach? - Maureen była bardzo zaciekawiona kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa. Podczas zbierania materiałów do książki nie miała czasu zgłębiać zagadnień dotyczących historii Nowego Testamentu. Skupiła się głównie na fragmentach związanych z osobą Marii Magdaleny.

- Wiemy, że Ewangelia Marka jest najstarsza i że Mateuszowa jest niemal wierną jej kopią, zawiera prawie sześćset identycznych wersów. Ewangelia Łukasza też jest bardzo podobna do Ewangelii Marka, choć autor zamieścił w niej kilka faktów, których nie znajdziemy u Marka i Mateusza. Ewangelia Jana stanowi największą zagadkę z tych czterech i prezentuje odmienny od pozostałych punkt widzenia, politycznie i społecznie.

- Jak wiem, niektórzy wierzą nawet, że czwarta Ewangelia, ta przypisywana Janowi, wyszła spod ręki Marii Magdaleny - powiedziała Maureen. — Rozmawiałam z pewnym wybitnym naukowcem, kiedy zbierałam materiały do książki. On też tak twierdził. Niekoniecznie się z nim zgadzam, ale ta koncepcja wydaje mi się fascynująca.

Sinclair sprzeciwił się gwałtownie:

- Nie, nie wierzę w to. Wersja Marii Magdaleny to osobny tekst, który wciąż czeka na odkrycie.

- Czwarta Ewangelia jest wielką tajemnicą Nowego Testamentu - ciągnął Peter. - Krążą na jej temat liczne teorie, między innymi taka, że spisywało ją kilku ludzi przez dłuższy czas, by przekazać wydarzenia z życia Jezusa w określony sposób.

Tammy przysłuchiwała się temu z ogromnym zainteresowaniem.

- Ale wydaje mi się, że tak wielu przywiązanych do tradycji chrześcijan chce po prostu zatkać sobie uszy i zignorować te fakty - zauważyła. Ten temat zawsze budził jej pasję i wielokrotnie prowokował ją do zażartych dyskusji. - Nie chcą znać historii; pragną wierzyć ślepo w to, co mówi im Kościół. Czy też ich duchowni.

- Nie, nie. Nie rozumiesz - odparł z głębokim przekonaniem Peter. - To nie zaślepienie. To wiara. Dla ludzi wiary fakty nie mają znaczenia. Nie popełniaj jednak klasycznego błędu i nie myl wiary z ignorancją.

Sinclair wybuchnął śmiechem, w którym wyczuwało się nutę szyderstwa.

- Mówię poważnie - ciągnął Peter. - Ludzie wiary są głęboko przekonani, że Nowy Testament jest owocem boskiej inspiracji; tym samym to bez znaczenia, kto napisał Ewangelie i w jakim języku. To Bóg natchnął autorów. Ktokolwiek podjął decyzję o wyborze i opracowaniu Ewangelii podczas soboru konstantynopolskiego czy nicejskiego, musiał uczynić to z Bożego natchnienia. I tak dalej, i tak dalej. To wyłącznie kwestia wiary, historia nie ma tu nic do rzeczy. Wasze rozważania zdadzą się na nic. Wiara to coś, co nie podlega dyskusji.

Nikt się nie odezwał, czekając, co Peter jeszcze powie.

- Sądzicie, że nie znam historii własnego Kościoła? Znam, dzięki czemu badania Maureen czy wasze opinie nie mogą mnie urazić w najmniejszym stopniu. A tak przy okazji, zdajecie sobie sprawę, że według niektórych badaczy nawet Ewangelia Łukasza została napisana przez kobietę?

Tym razem to Sinclair wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę? Nie słyszałem o tym. I to przypuszczenie nie niepokoi księdza?

-W najmniejszym stopniu - zapewnił Peter. - Rola kobiet we wczesnym Kościele, jak i w kontynuacji chrześcijaństwa, jest niezaprzeczalna. Nie powinniśmy jej podważać, wystarczy przykład Klary z Asyżu, która utrzymała ruch franciszkański po śmierci Franciszka w tak młodym wieku. - Peter spojrzał na zdziwione miny Sinclaira i Tammy. - Przepraszam, że popsulem wam doskonały argument, ale zgadzam się z ideą, że Maria Magdalena zasługuje na miano Apostoła Apostołów.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem Tammy.

- Oczywiście. W Dziejach Apostolskich Łukasz przedstawia określone wymagania stawiane apostołowi: musiał uczestniczyć w kapłaństwie Jezusa za jego życia, musiał być świadkiem jego ukrzyżowania i zmartwychwstania. Jeśli potraktować to w sensie dosłownym, jest tylko jedna osoba, która odpowiada tym kryteriom - Maria Magdalena. Apostołowie-mężczyźni nie byli świadkami ukrzyżowania, co rzeczywiście jest zagadkowe. A Maria Magdalena jest pierwszą osobą, której ukazuje się zmartwychwstały Jezus.

Maureen z trudem powstrzymywała się od śmiechu, widząc wyraz twarzy Sinclaira i Tammy. Byli oszołomieni tym pokazem intelektu i osobowości Petera.

- Można twierdzić, że prócz niej do tej charakterystyki apostoła pasują jeszcze inne Marie - kontynuował Peter -

Maryja Dziewica, jak i Maria Salome wraz z Marią matką Jakuba, z których dwie ostatnie, jak się przyjmuje, były obecne przy ukrzyżowaniu i w dniu zmartwychwstania.

Kiedy Peter uchwycił spojrzenie Maureen, ta nie wytrzymała. W pokoju zadźwięczał jej śmiech.

- Co się stało? - spytał szelmowskim tonem Peter.

- Przepraszam - powiedziała Maureen, łykając pośpiesznie wino. - Chodzi tylko o to, że... no cóż, Peter lubi zaskakiwać ludzi, co mnie zawsze bawi.

Sinclair przytaknął.

- Przyznaję, że spodziewałem się zobaczyć kogoś zupełnie innego, ojcie Healy.

- A kogo się pan spodziewał zobaczyć, lordzie Sinclair? - spytał Peter.

- No, z całym szacunkiem, oczekiwałem jakiegoś katolickiego strażnika idei. Kogoś broniącego zajadle dogmatów i doktryny.

Peter roześmiał się.

- Ależ, lordzie Sinclair, zapomniał pan o bardzo ważnej rzeczy. Nie jestem tylko księdzem; jestem jezuitą. I to irlandzkim.

- *Touche*, ojcie Healy. - Sinclair uniósł w stronę Petera kieliszek wina.

Zakon Petera, Towarzystwo Jezusowe, zwane powszechnie jezuitami, skupiało się na edukacji i poszukiwaniach intelektualnych. Choć obecnie stanowili najliczniejsze katolickie zgromadzenie zakonne, konserwatyści w łonie Kościoła tradycyjnie uważali, że jezuita byli absolutnie niezależni, i to do kilkuset lat. Zyskali miano „piechurów papieża”, jednakże przez wieki krążyły plotki, że sami wybierają swego generała, a ich odpowiedzialność przed pontyfikatem jest tylko kwestią formalności i ceremonii.

- Czy także inni księża w twoim zakonie tak uważają? - spytała zaciekawiona Tammy. - Chodzi mi o rolę kobiet.

- Nigdy nie należy uogólniać - odparł Peter. - Jak powiedziała Maureen, ludzie myślą o duchowieństwie w sposób stereotypowy, zakładając, że wszyscy odznaczamy się identycznym umysłem, co po prostu nie jest prawdą. Księża to ludzie, a wielu z nas jest bardzo inteligentnych i wykształconych, jak i oddanych wierze. Każdy człowiek wyciąga własne wnioski. Ale wróćmy do dyskusji o Marii Magdalenie i rzetelności czterech Ewangelii. Apostołowie musieli czuć się zakłopotani faktem, że Jezus powierzył całą swą misję tej kobiecie, bez względu na jej miejsce w jego życiu i kapłaństwie. Mimo wszystko była kobietą w czasach, gdy niewiast nie traktowano na równi z mężczyznami. A zatem ewangeliści zmuszeni byli napisać o niej, ponieważ była to prawda, nieważne jak dla nich kłopotliwa. Bo jeśli nawet przeinaczali inne fakty, nigdy nie zmieniliby tego najbardziej istotnego elementu zmartwychwstania - że Jezus ukazał się najpierw Marii Magdalenie. Nie ukazał się apostołom, tylko jej. Przypuszczam więc, że autorzy Ewangelii nie mieli innego wyjścia, jak jedynie napisać to, co było po prostu prawdą.

Tammy nie kryła coraz większego podziwu dla Petera; widać to było po jej minie.

-A więc jesteś gotów rozważać możliwość, że Maria Magdalena była najważniejszym z uczniów? Może nawet czymś więcej?

Peter spojrzał jej w oczy, tym razem z niezwykłą powagą.

- Jestem gotów rozważać wszystko, co przybliży nas do pełnego zrozumienia natury Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela.

Był to wspaniały wieczór dla Maureen. Zawsze uważała Petera za swego najbardziej zaufanego doradcę, ale coraz bardziej podziwiała Sinclaira, który budził w niej fascynację. Z głęboką ulgą zauważyła, że jej kuzyn znalazł płaszczyznę porozumienia z ekscentrycznym Szkotem. Pomyślała, że być może teraz *wszyscy* będą mogli badać dziwne okoliczności towarzyszące jej wizjom.

Pod koniec posiłku Peter, który cały dzień zwiedzał okolicę, przeprosił i poszedł do siebie, tłumacząc, że jest zmęczony. Tammy wspomniała, że musi popracować nad scenariuszem swojego dokumentu, i też się oddaliła. Maureen i Sinclair zostali sami. Ożywiona winem i rozmową, wróciła do nurtującego ją tematu:

- Chyba czas, by dotrzymał pan obietnicy.
- O jaką obietnicę chodzi, moja droga?
- Chcę zobaczyć list od mojego ojca.

Wydawało się, że Sinclair zastanawia się przez chwilę. Po krótkim wahaniu zgodził się.

- Doskonale. Chodźmy.

Sinclair poprowadził ją długim korytarzem. Na jego końcu wyjął z kieszeni klucz znacznych rozmiarów, otworzył drzwi i zaprosił Maureen do swego prywatnego gabinetu. Kiedy weszli do pomieszczenia, przekręcił kontakt po prawej stronie i oświetlił ogromne malowidło na przeciwległej ścianie. Maureen westchnęła z podziwu i pisnęła radośnie.

- Cowper! Mój ulubiony obraz!

Sinclair się uśmiechnął.

- „Lukrecja Borgia rządzi w Watykanie pod nieobecność papieża Aleksandra VI”. Wyznam, że nabyłem go po przeczytaniu pani książki. Musiałem się trochę potargować z galerią Tate, ale jestem bardzo upartym człowiekiem, kiedy czegoś pragnę.

Maureen podeszła do płótna z szacunkiem, podziwiając kunszt artystyczny i kolorystykę zastosowaną przez brytyjskiego artystę z początku dwudziestego wieku, Franka Cadogana Cowpera. Obraz przedstawiał Lukrecję Borgia na tronie watykańskim w otoczeniu kardynałów w czerwonych szatach, które przywodziły na myśl barwne morze. Zobaczyła to dzieło po raz pierwszy w jego dawnej siedzibie, londyńskiej Tate Gallery i poczuła się jak rażona gromem. Ten jeden wizerunek wyjaśniał, dlaczego przez setki lat oczerniano charakter owej córki papieża. Była obruczana tak odrażającymi wyzwiskami, jakie można sobie tylko wyobrazić, między innymi morderczynią i kazirodczą lądaczką. Lukrecja Borgia została ukarana przez średnio-wiecznych historyków, ponieważ miała odwagę zasiąść na świętym tronie Piotrowym i wydawać papieskie polecenia pod nieobecność swego ojca.

- To Lukrecja była siłą napędową mojej książki. W jej historii, jak w zwierciadle, odbija się temat kobiety na piętnowanej i pozbawionej należytej jej władzy - wyjaśniła Maureen.

Jej badania dowiodły, że druzgocące oskarżenia o kazirodztwo spreparował pierwszy mąż Lukrecji, okrutny prostak, który został zrujnowany, gdy unieważniono małżeństwo. Rozpuścił plotki, że Lukrecja pragnęła unieważnienia, ponieważ miała stosunki seksualne z ojcem i bratem. Te odrażające kłamstwa przetrwały wieki, podsycane

przez wrogów rodziny Borgiów, otoczonej powszechną zawzięcią.

- Wywodzą się z naszego rodu, wie pani?

- Borgiowie? - Maureen nie kryła zdumienia. - Jakim cudem?

- Przez linię, która wywodzi się od Sary Tamar. Jej potomkowie byli katarami, którzy uciekli do Hiszpanii. Znaleźli schronienie w klasztorze w Montserrat i w końcu zasymilowali się z Aragonią, gdzie przyjęli nazwisko Borgia, nim wyemigrowali do Włoch. Ale ten wybór nie był przypadkowy, podobnie jak ich legendarna ambicja. Rodrigo Borgia był zdecydowany zasiąść na tronie, by przywrócić Rzym ludziom, których uważał za prawowitych władców.

Zdumiona Maureen pokręciła głową.

- Umieszczenie na tronie swej córki było symbolicznym potwierdzeniem katarskiego rodowodu - kontynuował Sinclair. - Kobiety są równe mężczyznom w obliczu Drogi, we wszystkich sprawach, nie wyłączając przywództwa duchowego. Postępowanie Cesarego Borgii doprowadziło do upadku Lukrecji. Jest rzeczą smutną, że historia zapamiętała Borgiów wyłącznie jako ludzi złych i spiskujących.

Maureen zgodziła się z nim bez wahania.

- Niektórzy pisarze posunęli się nawet tak daleko, że nazwali ich pierwszym rodzinnym gangiem. Wydaje się to skrajnie niesprawiedliwe.

- Owszem, nie mówiąc już o tym, że jest całkowicie nieścisłe.

- Ta wiadomość o ich pochodzeniu... - Maureen wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia. - Z pewnością ujawnia zupełnie nową płaszczyznę całej tej historii.

- Czeka panią napisanie nowej książki. Czujecie to pani, moja droga? - zażartował Sinclair.

- Czuję, że czeka mnie co najmniej dwadzieścia lat zbierania materiałów. Jestem zafascynowana. Tak bardzo bym chciała wiedzieć, czym to wszystko się skończy.

- Rozumiem, ale nadszedł chyba czas, by zajęła się pani pewnym rozdziałem własnego życia.

Maureen zeszywniała. Prosiła go, by to zrobił, nalegała. Przede wszystkim w tym celu przyjechała do Francji. Teraz jednak nie była już taka pewna, czy chce wiedzieć.

- Dobrze się pani czuje? - spytał Sinclair szczerze zaniepokojony.

Skinęła głową.

- Tak, nic mi nie jest. Chodzi tylko o to, że teraz, kiedy już tu jestem... trochę się boję.

Sinclair wskazał jej krzesło i Maureen usiadła z ulgą. Otworzył kluczem wbudowaną w ścianę szafkę i wyjął z niej teczkę. Potem wyjaśnił:

- Odkryłem ten list w dokumentach ojca wiele lat temu. Kiedy się dowiedziałem o pani książce i zobaczyłem zdjęcie cie z tym pierścieniem, coś zaczęło mi świtać. Wiedziałem, że we Francji przebywali potomkowie rodziny Paschal, ale pamiętałem też, że był jakiś Amerykanin o tym nazwisku, ktoś ważny. Nie mogłem sobie przypomnieć dokładnie, do póki nie znalazłem tego listu.

Sinclair położył delikatnie teczkę przed Maureen i otworzył ją. Zobaczyła poślizgnięty papier i splóviały atrament.

- Chce pani zostać sama? - spytał.

Maureen spojrzała na Sinclaira, dostrzegając w jego oczach zrozumienie i szczerą troskę.

- Nie, proszę nie odchodzić.

Sinclair skinął głową i poklepał ją po dłoni, potem usiadł naprzeciwko.

List zaczynał się od słów „Drogi *Monsieur Gelis*”.

- Gelis? - zdziwiła się Maureen. - Myślałam, że był zaadresowany do pańskiego ojca?

- Nie. List znajdował się w jego dokumentach, ale został napisany do miejscowego człowieka ze starej katarskiej rodziny Gelisów.

Maureen przemknęło przez głowę, że już słyszała to nazwisko, ale nie chciała się nad tym w tej chwili zastanawiać. Za bardzo interesowały ją pozostałe szczegóły listu.

Drogi Monsieur Gelis, proszę mi wybaczyć, ale nie mam do kogo się zwrócić. Słyszałem, że odznacza się Pan ogromną wiedzą w sprawach duchowych. Ze jest Pan prawdziwym chrześcijaninem. Mam nadzieję, że to prawda. Od wielu miesięcy prześladują mnie koszmary senne i wizje naszego Pana na krzyżu. Nawiedził mnie i przekazał mi swój ból.

Nie piszę jednak ze względu na siebie. Piszę ze względu na swoją małą córkę, moją Maureen. Krzyczy w nocy i opowiada mi o takich samych koszmarach. Jest jeszcze maleńkim dzieckiem. Jakim cudem to jej dotyka? Jak mogę to powstrzymać, nim zacznie odczuwać ból, jaki ja odczuwam?

Nie mogę znieść, że z moją córką dzieje się coś takiego. Jej matka wini mnie za to; grozi, że na zawsze odbierze mi dziecko. Proszę mi pomóc. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, by ocalić swoją małą dziewczynkę.

*Z wyrazami szacunku
Edouard Paschal*

Maureen odczytywała te słowa przez łyzy; odłożyła list i wybuchnęła szlochem.

Sinclair zaproponował, że z nią zostanie, ale Maureen odmówiła. Była do głębi poruszona listem i chciała w tym momencie być sama. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie obudzić Petera, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Najpierw musiała wszystko przemyśleć. Poza tym jego niedawna uwaga, że „obiecał matce, że nie dopuści, by to samo się wydarzyło”, budziła jej podejrzenia i niepokój. Peter zawsze był jej ostoją, jedynym męskim opiekunem w jej życiu. Ufała mu bezgranicznie, wiedząc, że on nigdy nie uczyni nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób narazić ją na niebezpieczeństwo. A jeśli Peter opierał się na błędnych informacjach? Jego wyobrażenie o jej dzieciństwie, o którym nigdy nie chciał powiedzieć nic konkretnego, pochodziło wyłącznie od jej matki.

Jej matka.

Maureen usiadła na wielkim łożu i opadła wolno na haftowane poduszki. Bernadettę Healy była twardą i bezkompromisową kobietą, albo tak też Maureen ją zapamiętała. Jedynym śladem, który wskazywał, że być może wcześniej matka zachowywała się inaczej, były zdjęcia; Maureen miała kilka fotografii, na których matka, jeszcze w Luizjanie, trzyma w ramionach małą dziewczynkę. Bernadettę uśmiechała się radośnie do aparatu, uosobienie świeżo upieczonej i dumnej matki.

Jakże często Maureen się zastanawiała, co tak zmieniło Bernadettę, co sprawiło, że z młodej i pełnej nadziei kobiety na tych zdjęciach przemieniła się w zimną i surową osobę z jej wspomnień? Kiedy przenieśli się do Irlandii, Maureen była wychowywana głównie przez ciotkę i wuja - rodziców Petera. Matka powierzyła ją bezpiecznemu i anonimowemu

otoczeniu odległej wiejskiej społeczności na zachodzie Irlandii, sama zaś zajęła się pracą pielęgniarki w Galway.

Maureen widywała matkę rzadko, tylko wtedy, kiedy Bernadettę pojawiała się na farmie kierowana poczuciem obowiązku. Wizyty te były wymuszone, matka zaś coraz bardziej przypominała kogoś obcego. Maureen zaakceptowała rodzinę Petera jako własną i szybko została wchłonięta przez kojące ciepło tej licznej i hałaśliwej gromady. Ciotka Ailish, matka Petera, zastąpiła Bernadettę. Maureen rozbudziła w sobie serdeczność i poczucie humoru pod wpływem rodziny swego kuzyna. Natomiast wstrzeźliwość, zamięłowanie do porządku i ostrożność odziedziczyła po matce.

Przy kilku okazjach, zazwyczaj po jednej z nieudanych i destruktywnych wizyt Bernadettę, Ailish brała siostrzenicę na stronę. „Nie możesz oceniać matki zbyt surowo” - tłumaczyła cierpliwie. „Bernadettę cię kocha. Być może wszystko przez to, że kocha cię za bardzo. Ale miała ciężkie życie, i to ją zmieniło. Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz”.

Czas i nieubłagany los nie dały Maureen szansy poznania czy zrozumienia jej matki. Bernadettę zachorowała na chłoniaka, kiedy Maureen miała kilkanaście lat; umarła szybko. Peter został wezwany do jej łoża śmierci, i to on jako kapłan dokonał ostatniego namaszczenia. Wysłuchał też ostatniej spowiedzi i potem dźwigał każdego dnia ciężar szokujących wyznań swej ciotki. Nie chciał jednak nic powiedzieć kuzynce, zasłaniając się tajemnicą spowiedzi.

A teraz doszedł jeszcze jeden element układanki. Maureen musiała podjąć próbę interpretacji ojcowskiego listu, zastanowić się nad złożonym sensem dziedzictwa, jakie być może jej pozostawił. Zdecydowała, że prześpi się z tym tej nocy, a rano, kiedy będzie miała jaśniejszy umysł, przedyskutuje wszystko z Peterem.

Carcassonne 25
czerwca 2005

Derek Wainwright spał twardo. Koktajl leków i czerwonego wina, w połączeniu z wyczerpaniem i napięciem, sprawił go w stan bliski nieświadomości.

Gdyby był bardziej przytomny, może dotarłyby do niego sygnały ostrzegawcze - odgłos kroków, dźwięk otwieranych drzwi, powtarzana szeptem mantra napastnika.

- *Neca eos omnes. Neca eos omnes. Neca eos omnes.*

Zabić wszystkich. Zabić wszystkich.

Bóg pozna swoich.

Na szyi Dereka Wainwrighta zacisnął się czerwony sznur. W przeciwieństwie do Rogera-Bernarda Gelisa, nie miał szczęścia być martwym, nim zaczął się rytuał.

Chdteau des Pommes Blues

Maureen skuliła się, słysząc pukanie do drzwi. Nie miała w tej chwili ochoty widzieć się z Sinclairem czy Peterem. Odczuła ulgę, gdy usłyszała kobiecy głos.

- Reenie? To ja.

Maureen otworzyła drzwi; Tammy spojrzała na nią i jęknęła.

- Wyglądasz okropnie.

- Rany, dziękuję. Czuje się wspaniale.

- Chcesz o tym pogadać?

- Jeszcze nie. Wciąż trawię sprawy osobiste.

Tammy zawahała się. Maureen otrzeźwiała nagle, uświadamiając sobie, że widzi coś absolutnie dla niej nowego: Tamara Wisdom była wyraźnie zdenerwowana.

- Co się stało, Tammy?

Tammy westchnęła, przesuwając dłonią po włosach. - Naprawdę nie chcę ci zawracać głowy, kiedy jesteś w takim stanie, ale koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Maureen wskazała krzesło.

- Wejdz i usiądź. Tammy

pokręciła głową.

- Nie, musisz pójść ze mną. Chcę ci coś pokazać.

- Okej - odparła Maureen i ruszyła za Tammy labiryntem korytarzy Chateau des Pommes Blues. Uznała, że po wszystkim, co się dotąd wydarzyło, nic nie może już jej zaskoczyć. A jednak się myliła.

Weszły do nowoczesnego studia, w którym Sinclair po raz pierwszy pokazał Maureen i Peterowi mapy okolic i konstelacje. Tammy wskazała skórzaną kanapę ustawioną przed telewizorem dużych rozmiarów. Z pilotem w ręku usiadła obok Maureen. Wzięła głęboki wdech i zaczęła wyjaśniać:

- Chcę ci pokazać pewien materiał do następnego filmu, nad którym pracuję. Dotyczy rodu Marii Magdaleny. Wysłuchaj mnie, bo to bardzo ważne i siłą rzeczy odnosi się do ciebie i twojego udziału w całej tej historii. Jak wiesz, tajemnica Jezusa i Marii Magdaleny zainspirowała powstanie wielu tajnych stowarzyszeń i ugrupowań. Mówią po cichu o swym rodowodzie i oddają się określonym rytuałom.

Tammy wcisnęła guzik na pilocie i monitor ożył. Zaczęły pojawiać się na nim slajdy, jeden za drugim. Pierwsze przedstawiały obrazy z wizerunkiem Marii Magdaleny, namalowane przez mistrzów renesansu i baroku.

- Zdarza się, że te grupy tworzą fanatycy, ale niektórzy z nich należą do takich, więc nic ci tutaj nie grozi. Możesz mi wierzyć. - Umilkła na chwilę, zbierając myśli. - Chciałam nakręcić film, który ukazywałby całą tę sprawę z szerokiej perspektywy i dowodził, jak bardzo kwestia świętego rodu zaważyła na świecie zachodnim i naszej historii. Pomysł polegał na prezentacji licznych potomków Jezusa i Marii Magdaleny, od najsłynniejszych do całkowicie anonimowych.

Na ekranie pojawiały się wizerunki historycznych i religijnych postaci.

- Niektórzy mogą cię zaskoczyć. Karol Wielki. Król Artur. Robert Bruce, potomek Ryszarda Lwie Serce. Święty Franciszek z Asyżu.

- Zaraz, zaraz. Święty Franciszek z Asyżu?

Tammy kiwnęła głową.

- Pewnie. Jego matka, Lady Pica, urodziła się w Tarascon. Czysta katarska krew z linii Sary Tamar, czyli szlacheckiej rodziny Bourlemont. Stąd jego imię, tak na marginesie. Urodził się jako Giovanni, ale jego rodzice nazwali go ostatecznie Francesco, ponieważ bardzo przypominał im matczyną, francusko-katarską stronę rodziny. Byłaś kiedykolwiek w Asyżu?

Maureen zaprzeczyła ruchem głowy. Każda nowa informacja budziła jej zdumienie, zaprzętała bez reszty umysł. Patrzyła zafascynowana na ekran, gdzie pojawiały się obrazy z włoskiej wioski Asyż, siedziby ruchu franciszkańskiego.

- Musisz go zobaczyć; to jedno z najbardziej magicznych miejsc na ziemi. Wciąż jest tam obecny duch Franciszka i jego towarzyski, świętej Klary. Wydaje mi się, że odgrywali rolę Jezusa i Marii Magdaleny. Ale przyjrzyj się dokładnie dziełom sztuki w bazylice świętego Franciszka.

Włoski mistrz Giotto ozdobił jedną z kaplic tylko wizerunkami Marii Magdaleny. Jest tam malowidło ściennie, które ukazuje jej przybycie do brzegów Francji po ukrzyżowaniu Jezusa. Bez wątplenia Giotto przyznawał się do tego rodowodu. W myśli franciszkańskiej można się doszukać licznych wątków katarskich.

Przystanęła przy obrazie Giotta, przedstawiającym świętego Franciszka w chwili otrzymania z nieba stygmatów.

- Franciszek jest jedynym świętym, który miał stygmaty we wszystkich pięciu miejscach ciała, zostało to udokumentowane. Dlaczego? Rodowód. Jest potomkiem Jezusa Chrystusa. Autentyczne stygmaty, jak mi się zdaje, dowodzą związku z rodem. Ale w przypadku Franciszka istotne jest to, że miał je w pięciu miejscach. Nikomu się to nigdy nie zdarzyło.

Maureen liczyła po cichu, starając się jednocześnie nadążać za Tammy.

- Obie dłonie, obie stopy - to cztery. I...
- Prawy bok. Tam właśnie centurion ugodził Chrystusa włócznią. Ale muszę cię poprawić. Autentyczne stygmaty nie występują na dłoniach, lecz na nadgarstkach. Wbrew powszechnemu przekonaniu, Chrystusowi nie wbito gwoździ w dłonie, tylko w kości nadgarstków. Dłonie nie są dostatecznie silne, by utrzymać ciężar ciała. Choć poświadczano autentyczność stygmatów na dłoniach, jak w przypadku świętego ojca Pio, to tak naprawdę baczna uwagę Kościoła przyciągają stygmaty na nadgarstkach. Dlatego osoba Franciszka jest taka ważna. Co prawda artyści tacy jak Giotto ukazują na obrazach przebite dłonie dla większego efektu, ale świadectwa historyczne mówią o czymś innym. Franciszek miał stygmaty we wszystkich pięciu miejscach, włącznie z nadgarstkami.

Tammy zatrzymała na ekranie kolejny obraz, złoty posąg Joanny d'Arc w Paryżu. Po chwili pojawił się jeszcze jeden wizerunek, posąg w ogrodzie Saunier'a, który widzieli dwa dni wcześniej.

- Pamiętasz, jak Peter spytał mnie o ten posąg Joanny? Powiedział, że cały świat uważa ją za konwencjonalny symbol katolicyzmu. No cóż, oto powód. - Tammy przeszła do wizerunku Joanny d'Arc trzymającej swój słynny sztandar z napisem *Jhesus-Maria*. - Chrześcijanie od dawna wierzą, że słowa te odnoszą się do Chrystusa i jego matki. Ale to nie tak. Była to aluzja do Chrystusa i Marii Magdaleny, i dlatego umieściła między imionami łącznik, by pokazać ich bliskość. Jezusa i jego żony, którzy byli przodkami Joanny.

-Ale wydawało mi się, że była zwykłą wieśniaczką... pasterką - zauważyła Maureen i nagle wydała głośny jęk, uświadomiwszy sobie znaczenie tego słowa.

- Właśnie. Pasterka. A co z jej imieniem? D'Arc wskazuje na pewien związek z tym rejonem, Arques, a jednak Joanna urodziła się w Domremy. Joanna z Arques - to aluzja do jej rodowodu. I niebezpiecznego dziedzictwa. Berry powiedział ci o przepowiedni, prawda? O Czeka wanej?

Maureen przytaknęła z namysłem.

- Nie sądzę, by świat był na to przygotowany. Nie sądzę, bym ja była na to przygotowana.

Tammy zatrzymała obraz na ekranie i odwróciła się do Maureen.

- Chcę, żebyś wysłuchała do końca historii Joanny, bo to ważne. Jak dużo o niej wiesz?

- Prawdopodobnie tyle, ile wie większość ludzi. Walczyła, by przywrócić na tron Francji delfina, toczyła bitwy

z Anglikami. Została spalona na stosie jako czarownica, choć wszyscy wiedzą, że nią nie była...

- Została spalona na stosie, ponieważ miała wizje.

Maureen rozważała to wszystko, zastanawiając się, dokąd Tammy zmierza. Wciąż nie bardzo rozumiała, więc przyjaciółka powtórzyła z naciskiem:

- Joanna miała wizje, święte wizje. I pochodziła z rodu. Co ci to mówi? - Nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: - Joanna była Oczekiwana, wszyscy o tym wiedzieli. Miała wypełnić przepowiednię. Doznawała objawień, które miały ją zaprowadzić do Ewangelii Magdaleny. Dlatego musieli uciszyć ją na zawsze.

Maureen była zdumiona.

- Ale... czy jej data urodzin była taka sama jak moja?

- Tak, ale nie znajdziesz jej tak zapisanej w dokumentach historycznych. Przyjmuje się zazwyczaj, że przyszła na świat któregoś stycznia. Data została celowo zaciemniona, by ukryć prawdziwą tożsamość Joanny, zarówno jako królewskiego bękart, jak i długo oczekiwanej księżniczki Graala.

- Skąd to wiesz? Istnieje jakaś dokumentacja, która to potwierdza?

- Owszem, ale musisz zerwać z akademickim myśleniem. Powinnaś czytać między wierszami, ponieważ wszystko jest zawarte właśnie tam. I nie odrzucaj lokalnych legend. Jesteś Irlandką, znasz potęgę tradycji ustnych i wiesz, jak są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Katarowie nie różnili się od Celtów; prawdę mówiąc, jest mnóstwo dowodów, że obie kultury mieszały się ze sobą we Francji i Hiszpanii! Strzegły swych tradycji, nie zapisując ich i nie pozostawiając świadectw dla wrogów. Ale legenda Joanny jako Oczekiwanej jest tu powszechna, jeśli tylko wejrzysz głębiej pod powierzchnię.

- Wydawało mi się, że to Anglicy dokonali egzekucji Joanny.

- Błąd. Anglicy ją aresztowali, ale to kler francuski ją oskarżał i domagał się jej śmierci. Prześladowcą Joanny był duchowny nazwiskiem Cauchon. Jest to powód do żartów w tych stronach, ponieważ *cochon* znaczy po francusku „świnia”. Tak czy inaczej, to właśnie ten drań wyciągał z niej zeznania, a potem przekreślał fakty i dowody, by doprowadzić do jej męczeństwa. Cauchon musiał zabić Joannę, nim zdążyłaby wypełnić swą misję Oczekiwanej.

Maureen milczała, słuchając z uwagą przyjaciółki.

-1 Joanna nie była ostatnią Pasterką, której przyszło zginąć - kontynuowała Tammy. - Pamiętasz posąg świętej w Rennes-le-Chateau? Dziewczyny niosącej baranka?

- Święta Germaine - przytaknęła Maureen. - Śniłam o niej tamtej nocy.

- Dlatego że to jeszcze jedna córka równonocy wiosennej i zmartwychwstania. Jest przedstawiana z Barankiem Paschalnym z oczywistych powodów, ale także w towarzystwie młodego barana, symbolizującego jej narodziny na początku zodiakalnego znaku.

Maureen dobrze zapamiętała ten posąg. Była poruszona poważnym wyrazem twarzy młodej pasterki.

-Jej matka zajmowała wysokie stanowisko w rodzie, uchodziła w swoim czasie za *Marie de Negre*. Zmarła w tajemniczych okolicznościach, kiedy Germaine była jeszcze malutka. Dziewczynkę wychowywała okrutna rodzina zastępcza, która zamordowała ją w czasie snu, kiedy miała kilkanaście lat. - Tammy ujęła dłoń Maureen, nagle poważniejąc. - Posłuchaj mnie, Maureen. Przez tysiąc lat pojawiali się ludzie, którzy byli gotowi zabić, byle tylko nie

dopuszczyć do odkrycia Ewangelii Marii Magdaleny. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Powaga sytuacji zaczęła powoli docierać do świadomości Maureen. Zrobiło się jej zimno, gdy Tammy wreszcie wyjaśniła, o co jej chodzi.

- I wciąż są ludzie, którzy by zabili, żeby nie dopuścić do spełnienia przepowiedni. Jeśli ci sami ludzie wierzą, że to ty jesteś Oczekiwaną, może ci grozić ogromne niebezpieczeństwo.

Tammy była na tyle przewidująca, że przyniosła ze sobą do pokoju butelkę znakomitego miejscowego wina. Napełniła kieliszek Maureen i przez chwilę obie kobiety siedziały w milczeniu. W końcu Maureen się odezwała, patrząc na Tammy z pewnym wyrzutem.

- Wiedziałas już w Los Angeles znacznie więcej, niż dałaś mi do zrozumienia, prawda?

Tammy westchnęła i oparła się o kanapę.

- Naprawdę mi przykro, Maureen. Nie mogłam ci wtedy wszystkiego powiedzieć. - I wciąż nie mogę, pomyślała ponuro. - Nie chciałam cię przestraszyć. Nigdy byś się tu nie wybrała, a nie mogliśmy ryzykować.

- Nie mogliśmy? My? Masz na myśl siebie i Sinclaira? i Należysz do tego Stowarzyszenia Niebieskich Jabłek?

- To nie takie proste. Posłuchaj, Sinclair zrobi wszystko, by cię ochronić.

- Bo uważa mnie za swoją złotą dziewczynę?

- Tak, ale również dlatego, że naprawdę mu na tobie zależy. Poza tym Berry poczuwa się do odpowiedzialności za ciebie. Poprowadził cię na rzeź jak, nomen omen, Baranka j

Paschalnego, kiedy przedstawił cię gościom w tej przeklętej sukni. Był tak podekscytowany, że nie przemyślał tego do końca.

Maureen upiła łyk wina.

- Więc co według ciebie mam zrobić? To dla mnie niezna ne terytorium, Tammy. Mam wyjechać? Zapomnieć o tym, co się wydarzyło, i wrócić do dawnego życia? — Parsknęła ironicznym śmiechem. - Pewnie, żaden problem.

Tammy popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Niewykluczone, że powinnaś, ze względu na grożące ci niebezpieczeństwo. Berry już jutro może wywieźć stąd po cichu i ciebie, i Petera. To go zmartwi, ale nie będzie się sprzeciwiał, jeśli go poprosisz.

- I co dalej? Mam wrócić do Los Angeles, gdzie do końca życia będą mnie prześladować koszmary i wizje? Gdzie ucierpi moja praca, bo nigdy więcej nie zdołam spojrzeć na historię tak jak dotąd, a mimo to nie odważę się na dalsze badania, lękając się jakiegoś tajemniczego siepacza, który mnie skrzywdzi? Tak bardzo pragną przeszkodzić spełnieniu przepowiedni, że są gotowi zabić. Dlaczego?

Tammy wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Jest wiele różnych frakcji, które są szczerze zainteresowane nieujawnianiem poglądów Marii Magdaleny. Jedną z nich jest oczywiście tradycyjny Kościół. Ale to nie on jest niebezpieczny.

- Więc kto? Do diabła, Tammy, jestem zmęczona zagadkami i mam dość tych wszystkich gier. Ktoś jest mi winien wyczerpujące wyjaśnienie, i to jak najszybciej.

- Usłyszysz je rano. Ale to nie ja ci go udzielę - odparła ponuro Tammy.

- Więc gdzie jest Sinclair? Chcę z nim pomówić. Teraz.

Tammy wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Wyjechał krótko po twoim wyjściu z gabinetu. Nie wiem, dokąd się wybrał, ale powiedział, że wróci bardzo późno. Powie ci wszystko rano, obiecuję.

Niestety, nim Berenger Sinclair pojawił się w Chateau des Pommes Blues, świat się zmienił.

...Przybycie Ezy zostało bez wątpienia dostrzeżone przez wszystkie władze w Jeruzalem, począwszy od arcykapłanów w Świątyni, a skończywszy na Piłacie. Rzymianie traktowali Paschę z niepokojem. Bali się, że nawet najmniejsze przebudzenie żydowskiego ducha doprowadzi do zamieszek albo powstania. A ponieważ byli wśród nas zeloci, Piłat nie miał wyboru, jak tylko przyrzec nam się bacznie.

Byli wśród nas tacy, których bracia zaliczali się do kasty kapłańskiej. Powiadomili nas, że arcykapłan Kajfasz, zięć Jonatana Annasza, tak nami pogardzającego, zwołał radę w sprawie „tej idei, wedle której Nazarejczyka obwołano mesjaszem”.

*Wyraziłam już w przeszłości swe zdanie o tym Annaszu i tutaj też wspomnę o jego postępkach. Uczynię to jednak z pewnym zastrzeżeniem: **nie potępiajcie wielu za działania jednego człowieka.** Kasta kapłańska bowiem jest taka sama jak każda inna: niektórzy są w swych sercach dobrzy, inni nie. Byli tacy, co wypełniali rozkazy Jonatana Annasza w mrocznych dniach - kapłani i zwykli ludzie. Niektórzy czynili tak z posłuszeństwa wobec Świątyni, a także dlatego, że byli dobrymi*

prawymi ludźmi, jak mój własny brat, gdy dokonał tego strasznego wyboru.

Nasz naród był wiedziony na manowce przez przekupnych przywódców i stał się ślepy naprawdę z powodu tych, którzy mieli obowiązek dać mu co więcej. Niektórzy sprzeciwiali się nam, zdejmował ich bowiem lęk przed rozlewem krwi żydowskiej; chcieli jedynie znaleźć pokój podczas Paschy, Nie mogę winić nikogo za ów wybór.

Czy powinniśmy potępiać tych, którzy nie widzieli światła? Nie. Eza nauczał nas, że nie możemy ich odrzucać, lecz im wybaczać.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Rozdział czternasty

Chateau des Pommes Blues
25 czerwca 2005

Maureen wróciła do swojego pokoju prześladowana uczuciem niepokoju i strachu. Znalazła się w trudnej sytuacji i nie bardzo wiedziała, co ma robić. Przebierała się powoli do snu, starając się zapanować nad natłokiem myśli i działaniem czerwonego wina, którego wypła trochę za dużo. To na nic, powiedziała sobie w duchu, nie uda mi się dzisiaj zasnąć.

Lecz gdy tylko zanurzyła się w miękkości ogromnego łoża, sen ogarnął ją w ciągu kilku minut. A wraz z nim pojawił się obraz.

Drobna kobieta w czerwonej szacie podążała cicho w ciemności. Jej serce uderzało w szybkim rytmie, gdy starała się dotrzymać kroku dwóm mężczyznom. Wiedziała, na co się ważyła - na straszliwe ryzyko, ale i najważniejsze zadanie jej życia.

Zbiegli szybko po zewnętrznych schodach przy murze; była to najniebezpieczniejsza część ich wędrówki. Ujawnili się nocnemu Jeruzalem i mogli się tylko modlić, by strażę cojhięto, tak jak mieli to przyrzeczone.

Spojrzeni na siebie z ulgą, zbliżając się do podziemnego wejścia. Ani śladu wartowników. Jeden z mężczyzn stanął na zewnątrz, by mieć na wszystko baczenie, drugi zaś, który znalazł więzienne korytarze, poprowadził kobietę. Przystanął przed ciężkimi drzwiami i wyciągnął klucz ukryty pod fałdami szaty.

Popatrzył na kobietę i powiedział coś szybko. Wiedzieli, że pozostało niewiele czasu, nim pojawi się groźba odkrycia ich obecności; kobieta ryzykowała najbardziej.

Mężczyzna przekręcił klucz w zamku i otworzył przed nią drzwi, po czym zamknął je pośpiesznie, by mogła zostać sama na sam z więźniem.

Nie wiedziała wcześniej, czego ma oczekiwać, ale na pewno nie tego, co ujrzała. Jej piękny mężczyzna został potraktowany okrutnie, nie żywiła co do tego najmniejszych wątpliwości. Szaty miał porozdzierane, na twarzy widniały sińce. Jednakże, pomimo ran, jakie odniósł, obdarzył kobietę uśmiechem pełnym ciepła i miłości, gdy rzuciła mu się w ramiona.

Trzymał ją w objęciach tylko przez krótką chwilę, gdyż czasu było niewiele. Potem złożył dłonie na jej barkach i zaczął przekazywać polecenia - gorączkowe, niecierpliwe wskazówki. Ona przytakiwała, zapewniając go, że pojmuje i że wszystkie jego życzenia zostaną spełnione. W końcu położył delikatnie rękę na wżórku jej brzucha i przekazał ostatnie polecenie. Kiedy skończył, jeszcze raz padła mu w ramiona, na próżno starając się stłumić szloch, który wstrząsał jej ciałem.

Ten sam szloch wstrząsał ciałem Maureen. Plakała, wtulając twarz w poduszkę, by inni mieszkańcy *chateau* jej nie usłyszeli. Pokój Petera znajdował się najbliżej, a z pewnością cię nie chciała zwrócić jego uwagi.

Ten sen był najgorszy ze wszystkich. Zbyt rzeczywisty, zbyt jaskrawy. Czuli każdą sekundę napięcia i smutku, czuli gorączkowość wydawanych poleceń. I wiedziała, dlaczego to się dzieje. Były to ostatnie wskazówki, jakich udzielał w wigilię Wielkiego Piątku Jezus Chrystus Marii Magdalenie.

I było w tym śnie jeszcze jedno pilne polecenie, tym razem przekazane jej, Maureen. Usłyszała głos mężczyzny w swoim uchu - swoim czy Marii? Patrzyła na nią z zewnątrz, a jednak czuła wszystko, czego doświadcza tamta. I usłyszała ostatnie polecenie:

„Nadszedł bowiem czas. Idź i upewnij się, że nasze przesłanie trwa nadal”.

Maureen usiadła na łóżku i próbowała myśleć. Podążała teraz za głosem instynktu i czegoś jeszcze - czegoś nieokreślonego, czegoś, co było pozbawione logiki i rozsądku. Było to coś, czemu musiała zaufać całym swym sercem, nie zaś analizować rozumem.

Wokół roztaczała się ciemność Langwedocji, czarna i ak-samitna, a do pokoju wpadała poświata księżyca. Dobywała z mroku cudowną twarz „Marii Magdaleny na pustyni”; madonna Ribery wznosiła oczy ku niebu, szukając boskich wskazówek. Maureen postanowiła podążać w stronę wskazaną przez Marię. Po raz pierwszy od czasu, gdy miała osiem lat, zaczęła się modlić o mądrość.

Później nie mogła sobie przypomnieć, ile czasu upłynęło, nim usłyszała ten głos. Sekundy? Minuty? To nie miało znaczenia. Kiedy do niej dotarł, uświadomiła sobie jego obecność. Było tak jak w Luwrze: ten sam uporczywy

kobięcy szept, który ją poprowadził. Tym razem usłyszała swoje imię.

- Maureen, Maureen...

Narzuciła na siebie ubranie i włożyła buty, lękając się zwlekać zbyt długo i utracić kontakt z niezemskim przewodnikiem, który kierował jej krokami. Otworzyła ostrożnie drzwi swojego pokoju, modląc się w duchu, by nie zaskrzyphiały i nikogo nie obudziły. Tak jak dla Marii Magdaleny ze snu, najważniejsza była teraz ostrożność. Wiedziała, że nikt nie może jej zauważyć, jeszcze nie teraz. Musiała wszystko zrobić sama.

Słyszała łomot własnego serca, kiedy sunęła bezszelestnie korytarzami *chdteau*. Sinclaira nie było, a inni spali głąboko. Zmierzając w stronę drzwi, zastygła w bezruchu, uderzona nagłą myślą. Alarm. Drzwi wejściowe zabezpieczono kodowanym alarmem. Widziała pewnego ranka po śniadaniu, jak Roland go wyłączy, ale nie dostrzegła cyfr. Wystukał pośpiesznie szyfr na klawiaturze - trzy szybkie uderzenia - stuk, stuk, stuk. Trzy cyfry. Kod do alarmu był trzycyfrowy.

Stojąc przed tablicą z przyciskami, starała się myśleć jak Sinclair. Jakiego szyfru by użył? Wtedy doznała olśnienia. 22 lipca, święto Marii Magdaleny. Wystukała szyfr na tablicy, tak jak podpatrzyła to u Rolanda. Nic. Błysnęło jasne czerwone światelko i rozległo się głośne ostrzegawcze buczenie. Maureen o mało nie podskoczyła. Do diabła! Błagam, błagam, żeby tylko nikt się nie obudził.

Maureen wzięła się w garść i jeszcze raz się zastanowiła. Wiedziała, że nie ma dużego marginesu na błąd i że alarm w końcu się uruchomi, jeśli będzie wystukiwała niewłaściwe kody. Uniosła głowę i spojrzała w górę, powtarzając

szeptem: „Proszę, pomóż mi”. Nie bardzo wiedziała, czego oczekuje - czy ktoś miał jej odpowiedzieć? Podać cyfry? Czy drzwi miały się magicznie otworzyć i ją wypuścić? Czekała chwilę, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Nie bądź idiotką. No, dalej, Maureen, myśl. I wtedy to usłyszała. Nie tamten ulotny kobiecy głos, ale inny - z pamięci. Głos Sinclaira, który powiedział pierwszego wieczoru w *chateau*:

„Moja droga, to ty jesteś Barankiem Paschalnym”.

Maureen odwróciła się w stronę tablicy z przyciskami i wystukała cyfry. 3-2-2. 322. Datę swoich urodzin, dzień zmartwychwstania.

Rozległy się dwa krótkie sygnały, zamigotało zielone światelko, a mechaniczny głos powiedział coś po francusku. Maureen nie czekała, by sprawdzić, czy ktoś się obudził. Otworzyła ciężkie drzwi i wybiegła na brukowany podjazd, skąpany w księżycowym blasku.

Maureen wiedziała dokładnie, dokąd zmierza. Nie wiedziała dlaczego; wiedziała po prostu, jaki jest cel jej wędrówki, miejsce przeznaczenia. Nie słyszała już głosu, ale nie był jej potrzebny. Zastąpiło go coś innego, jakaś wewnętrzna wiedza, którą kierowała się bez pytania.

Przeszła szybko wzdłuż ściany domu, podążając tą samą drogą, którą obrał Sinclair, gdy obchodzili razem teren posiadłości. Była w tym miejscu ścieżka, zarośnięta i trudno dostępna, właściwie nie do przebycia podczas ciemnej nocy. Ale teraz drogę oświetlał blask pełnego księżyca. Maureen pokonała ją niemal biegiem, by w końcu ujrzeć w oddali swój cel. Architektoniczną iluzję Sinclaira. Wieżę, którą

zbudował w samym środku swej posiadłości pozornie bez powodu.

Powód jednak istniał i ona go знаła. Była to wieża obserwacyjna, taka jak *Tour Magdala* Berengera Sauniere'a w Rennes-le-Chateau. Obaj ci ludzie obserwowali uważnie okolice w oczekiwaniu na dzień, kiedy to ich Maria zdecyduje się ujawnić swe sekrety. Obie budowle strzegły terenu, który określono jako miejsce ukrycia skarbu. Maureen zmierzała podniecona ku miejscu przeznaczenia, ale straciła nagle zapamiętanie, gdy podeszła bliżej. Przypomniała sobie, że Sinclair zawsze zamykał wieżę. Posłużył się kluczem, gdy byli tu ostatnim razem.

Ale zaraz, co się stało, gdy odchodzili? Maureen, zbliżając się do budowli, zaczęła szukać w pamięci. Byli wtedy pogrążeni w rozmowie, a ona nie przypominała sobie, by zamykał wieżę. Czyżby tak bardzo pochłaniała go dyskusja, że zapomniał o tym? Czy wrócił później, by naprawić to niedopatrzenie? A może drzwi zamykały się automatycznie?

Nie musiała długo czekać. Okrążyła wieżę, kierując się ku wejściu, i zobaczyła wrota - kołysały się otwarte na zawiasach.

Odetchnęła z ulgą i radością. „Dziękuję” - powiedziała w stronę nieba. Nie miała pojęcia, czy było to celowe działanie Sinclaira, czy przykład boskiej interwencji; najważniejsze, że o to właśnie chodziło.

Maureen wspinała się ostrożnie po schodach. W tej dziwnej kamiennej budowli panował smolisty mrok; nic nie widziała. Zapanowała nad klaustrofobią i strachem. Usłyszała w głowie głos Tammy, przypominający, że zarówno Sinclair, jak i Sauniere wzniesli swoje wieże zgodnie z zasadami duchowej numerologii. Liczyła dokładnie i przy dwudziestym

drugim stopniu poszukała przed sobą po omacku drzwi. Gdy się otworzyły, księżycowy blask zalał schody, ona zaś wyszła na taras.

Stała tam przez minutę, chłonąc niezmiernie piękno cieplej nocy. Nie wiedząc, czego ma szukać, po prostu czekała. Zaszła już tak daleko; musiała trzymać się wiary, że jej wędrówka nie kończy się w tym miejscu. Coś błysnęło w świetle księżyca - coś, czego nie zauważyła, będąc tu z Sinclairem. Obok drzwi, w murze znajdował się zegar słoneczny, podobny do tego, który widzieli w Rennes-le-Chateau. Maureen przesunęła dłoń po jego wypukłościach, ale nie była dostatecznie obeznana z symbolami, by stwierdzić, czy tarcza jest identyczna, czy tylko podobna do tej drugiej. Zastanawiała się nad tym, powracając nad krawędź tarasu - wydawało jej się przez chwilę, że widzi coś na horyzoncie. Czekala, wpatrzona w langwedocką noc.

I wtedy to ujrzała, najpierw jakiś błysk uchwycony kątem oka. Przyjrzała się dokładniej, tak jak wtedy, gdy była tu pierwszy raz. Coś nieokreślonego, jakiegoś światełko czy ruch, przyciągało jej wzrok do pewnego miejsca na horyzoncie. Zwróciła się w tamtą stronę i patrzyła, podczas gdy światło księżyca jakby nabrzmiewało, skupiając swój silny, intensywny promień na widocznym w oddali fragmencie okolicy. Blask coś wskazał. Kamień? Budynek?

Pojęła. Grobowiec. Światło narastało w miejscu, gdzie znajdował się grobowiec Poussina.

Oczywiście. Kryjówka na ogólnym widoku, tak jak wszystko inne do tej pory.

Światło wciąż się poruszało i przesunęło, stawało się , mętniejsze, jakby przybierając kształt wydłużonej ludzkiej postaci. Teraz był to opalizujący kształt, żywy i roztańczo-ny; raz zmierzał w jej stronę przez pola, raz się cofał. Dawał i

jej znak, by za nim podążyła, wskazując drogę. Patrzyła zafascynowana, dopóki nie odważyła się podjąć jedynej możliwej decyzji - pójść za wezwaniem.

Maureen otworzyła drzwi i zablokowała je, by światło dobyło z mroku schody. Zbiegła na dół i wypadła z wieży, lecz gdy znów znalazła się na dworze, przystanęła. Dotarcie do grobowca nastęczało nocą poważny problem. Nie można było tam dojść w prostej linii, nie istniała po prostu zwykła droga prowadząca stąd tam. Był to nierówny teren, pokryty ogromnymi głazami i porośnięty splątanymi zaroślami.

Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to wyjść z posiadłości od strony podjazdu, po czym ruszyć główną drogą wokół terenów *chateau* i dotrzeć do grobowca. Musiałyby jednak minąć główne wejście do domu i wyjść na drogę publiczną. Idąc szybko zarośniętą ścieżką, Maureen ujrzała przed sobą dom. Był ciemny i cichy. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Pobiegnęła wzdłuż krawędzi długiego brukowanego podjazdu, aż dotarła do bramy frontowej.

Z ulgą dostrzegła, że w jej filarze zamontowano czujniki ruchu; po chwili skrzydła otworzyły się z mechanicznym szumem. Przeszła pośpiesznie na drugą stronę i skręciła w lewo, gdzie biegła główna droga. Był środek nocy, a więc wydawało się mało prawdopodobne, by w tej odległej okolicy napotkała jakieś samochody. Wokół panował groźny bezruch niezmiernie cichej nocy - takiej, która budzi głęboki niepokój. Teren posiadłości był rozległy, w pobliżu nie znajdowało się żadne sąsiedztwo. Maureen słyszała tylko łomot własnego serca. Starła się trzymać pobocza i obserwować uważnie otoczenie.

Żołądek podjechał jej do gardła, gdy nocną ciszę zakłócił jakiś dźwięk. Próbowwała stłumić panikę. Warkot

samochodu. Od której strony? Akustyka tego górskiego regionu utrudniała orientację. Nie zwlekała dłużej, tylko padła na ziemię i zaczęła się modlić, by zarośla i wysoka trawa osłoniły ją przed światłem reflektorów. Leżała całkowicie nieruchomo, gdy tuż obok przemknął samochód, a teren wokół rozblysnął w ciemności. Kierowca jednak musiał mieć co innego na głowie, ponieważ nie zwolnił, przejeżdżając obok rudowłosej kobiety, leżącej plackiem w krzewach na poboczu drogi.

Upewniwszy się, że wóz jest już daleko, Maureen podniosła się z ziemi i otrzepała ubranie. Ruszyła dalej, cały czas trzymając się drogi. Spojrzała na majaczące w dali *chd-teau* - czyżby w jednym z górnych okien paliło się światło? Wpatrywała się przez chwilę, próbując się zorientować, które to okno, ale budynek był zbyt duży, poza tym nie miała teraz czasu się nad tym zastanawiać.

Znów ruszyła przed siebie i po chwili pokonała z bijącym sercem znajomy zakręt. Tuż przed sobą, na wzniesieniu, ujrzała połyskujący w księżycowym blasku grobowiec Poussina.

- *Et in Arcadia ego* - wyszeptała Maureen. - Jestem na miejscu.

Zaczęła się rozglądać za ścieżką, którą odkryła z Peterem kilka dni wcześniej, tę zamaskowaną. Znalazła ją dzięki szczęściu i swej pamięci - a może czemuś więcej? - i wspięła się na wzgórze, gdzie od wieków stał grobowiec - niezmiennie i milczące świadectwo prastarego dziedzictwa, które nie odkryło jeszcze swych sekretów.

Co dalej? Maureen rozejrzała się i zbliżyła do grobowca. Na chwilę ogarnęło ją zwątpienie, gdy ponownie usłyszała w myślach głos Tammy. „Ahstair przekopał każdy cal tej ziemi, a Sinclair posłużył się każdą dostępną zdobyczą

techniki". Mało tego, tysiące poszukiwaczy skarbów przeczesaly tę okolicę, i to nie raz. Nikt nigdy niczego nie znalazł. Dlaczego jej miałyby się udać? I co kazało jej myśleć, że ma prawo spodziewać się czegokolwiek?

Wtedy to usłyszała, ten głos z jej snu. Jego głos. „Nadszedł bowiem czas”.

Głośny szelest dobiegający z pobliskich krzewów przstraszył ją tak bardzo, że podskoczyła, straciła równowagę i upadła na ziemię, uderzając przy tym prawą dłoń o kamień; poczuła, jak ostra krawędź rozcina jej dłoń. Nie miała czasu zastanawiać się nad bólem, za bardzo przeraził ją ten hałas. Co to było? Maureen czekała, nieruchoma jak głaz. Nie była w stanie oddychać. Po chwili szelest znów się rozległ i dwa nieskazitelnie białe gołębie wyfrunęły z zarośli i wzbily się w nocne niebo Langwedocji.

Maureen odetchnęła. Pozbierała się i ruszyła w stronę splątanych krzewów, które zasłaniały duże skupisko głazów na krawędzi wzniesienia. Sięgnęła za nie dłońmi i zaczęła macać, by sprawdzić, czy znajdzie coś z tyłu. Nie wyczuła nic prócz twardej skały. Napała na kamienie, ale nic się nie poruszyło, nic nie ustąpiło. Wyprostowała się, by odsapnąć i zastanowić się przez chwilę. Skaleczenie pulsowało boleśnie, po skórze spływała krew. Kiedy uniosła rękę, by ocenić kontuzję, na jej pierścień padł księżycowy blask, połyskując na kolistym wzorze wyciętym w starożytnej miedzi.

Pierścień. Zawsze zdejmowała biżuterię przed pójściem do łóżka, ale tego wieczoru była zbyt wyczerpana, by o tym pamiętać, i zasnęła z pierścieniem na palcu. Kolisty gwiazdny wzór. Jak na górze, tak na dole. Był odwzorowany na tylnej ścianie grobowca.

Maureen podbiegła do kamiennego pomnika i rozsunała krzewy, by znaleźć wzór, który tam widziała. Przesunęła po

nim dłonią, a jej krew splamiła wnętrze kręgu. Wstrzymała oddech i zastygła, czekając, co będzie dalej.

Nic się nie stało. Bezruch trwał długie minuty, aż Maureen poczuła się uwięziona w próżni - jakby z nocnego powietrza został wyspany tlen. Nagle, w jednym poruszającym momencie, powietrze przeszył jakiś dźwięk. Z oddali, być może ze szczytu dziwnego wzgórza, jakim było Rennes-le-Chateau, dobiegło bicie dzwonu. Głęboki, nieustępliwy dźwięk wibrował w ciele Maureen. Był to albo najświętszy odgłos, jaki zdarzyło się jej kiedykolwiek słyszeć, albo najbardziej bezbożny. Lecz to bicie dzwonu, dziwnie niestosowne w samym środku nocy, wydawało się wręcz monumentalne.

Donośny dźwięk w jednej chwili zniszczył ciemność wokół Maureen, a sekundę później rozległ się ostry i złowieszczy trzask. Był to nieomylny odgłos pękającego kamienia za jej plecami; dochodził z miejsca, z którego wyfrunęły gołębie. Teraz świeciło tam dziwne księżycowe światło i zmieniło się otoczenie. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą widać było krzewy i litą skałę, teraz ział otwór, szczelina w zboczu góry, jakby zapraszała Maureen do wejścia.

Ruszyła ostrożnie w stronę jaskini. Drżała teraz, nie mogąc nad tym zapanować. Mimo to uparcie posuwała się do przodu. Kiedy zbliżyła się do otworu, dostatecznie dużego, by w nim stanąć, dostrzegła wewnątrz niewyraźną poświatę. Przechwyciżyła strach, schyliła się i weszła do środka.

Gdy tylko znalazła się we wnętrzu góry, wstrzymała oddech, zdumiona. W jaskini znajdowała się prastara i podniszczona skrzynia. Maureen widziała ją we śnie, który miała w Paryżu. Skrzynię pokazała jej stara kobieta, przywołując ją do siebie. Maureen. była przekonana, że to ten

sam pojemnik. Otaczał go dziwny, nieziemski blask. Maureen przyklekła i z czcią położyła na nim dłonie. Skrzynia nie miała zamka. Przesuwając palcami pod wiekiem, Maureen była tak skupiona na swym zadaniu, że nie dosłyszała kroków za plecami. Poczowała oślepiający ból, który przeszył jej czaszkę, i po chwili świat zniknął.

26 czerwca 2005

Jeśli biskup Magnus O'Connor oczekiwał, że zostanie przez watykańską radę kardynałów powitany jak bohater, to czekało go bolesne rozczarowanie. Stoickie twarze mężczyzn siedzących wokół polerowanego zabytkowego stołu miały zaciśnięte usta i były niewzruszone. Kardynał DeCaro przyjął rolę głównego inkwizytora.

- Czy zechce ksiądz biskup wyjaśnić radzie, dlaczego pierwszy od czasów świętego Franciszka człowiek ujawniający pięć stygmatów nie został potraktowany poważnie?

Biskup O'Connor pocił się obficie. Ścisnął na kolanach chusteczkę, którą od czasu do czasu ocierał czoło. Odchrząknął i udzielił odpowiedzi nieco bardziej roztrzęsionym głosem, niż zamierzał:

- Wasza Eminencjo, Edouard Paschal zwykł popadać w niepokojący trans. Krzyczał, płakał i twierdził, że ma objawienia. Stwierdzono, że nie jest to nic innego jak tylko chore majaczenie umysłu cierpiącego na zaburzenia.

- I kto to oficjalnie stwierdził?

- Ja, Wasza Eminencjo. Ale musi Eminencja zrozumieć, że człowiek ten był kimś zwykłym, potomkiem osadników francuskich w Luizjanie...

DeCaro nie mógł ukryć irytacji. Nie interesowały go już wyjaśnienia biskupa. Zbyt wiele było do stracenia, musieli działać szybko. Jego pytania przybrały zwięzły charakter, ton stał się ostry.

- Niech ksiądz biskup opisz te wizje na użytek tych, którzy nie mieli okazji przeczytać dokumentów.

- Miał wizje naszego Pana i Marii Magdaleny, niezwykle niepokojące wizje. Majaczył o ich... związku i mówił o dzieciach. Te bredzenia się nasiliły po wystąpieniu... stygmatów.

Wśród obecnych członków rady dało się zauważyć narastające poruszenie, konsultowali się gorączkowo ze sobą. DeCaro kontynuował bezlitosne przesłuchanie.

- I co się stało z tym człowiekiem, Edouardem Paschalem?

O'Connor wziął głęboki wdech, nim odpowiedział:

- Był już tak bardzo udręczony tymi urojeniami, że... strzelił sobie w głowę.

- A po śmierci?

- Ponieważ popełnił samobójstwo, nie mogliśmy zezwolić, by pochowano go w poświęconej ziemi. Zapieczętowaliśmy jego dokumentację i zapomnieliśmy o nim. Do chwili, gdy... gdy naszą uwagę zwróciła jego córka.

Kardynał DeCaro skinął głową, wyjmując z biurka czerwoną teczkę, po czym zwrócił się do pozostałych członków rady:

- Zatem to każe nam się zająć sprawą jego córki.

...Wielu wyda się szokujące to, że zaliczam niewiastę rzymską, Klaudię Proculę, - wnuczkę cesarza Augusta

i przybraną córkę cezara Tyberiusza, do naszych wyznawców. Jednakże to nie jej status Rzymianki uczynił ją kimś tak pośród nas niezwykłym, ale to, że była żoną Poncjusza Pilata, tego samego prokuratora, który skazał Ezę na ukrzyżowanie.

Z wielu śpieszących nam z pomocą w najmroczniejszych dniach, Klaudia Procula ryzykowała dla Ezy tyleż samo, a może nawet więcej niż inni. Zaprawdę miała o wiele więcej do stracenia.

Lecz tego dnia, kiedy nasze ścieżki skrzyżowały się w Jeruzalem, połączyła nas więź w sercach i duszach. Od tej pory dzieliłyśmy los jako żony, matki, kobiety. Gdy nadszedł odpowiedni dla niej czas, pojęłam, widząc jej spojrzenie, że stanie się córką Drogi. Dostrzegłam ów błysk światła, który pojawia się wraz z nawróceniem, kiedy to mężczyzna albo kobieta po raz pierwszy widzą jasno Boga.

Klaudia zaś serce miała przepelnione miłością i wielkodusznością. To, że pozostała przy Pilacie, jest oznaką jej wierności. Aż do jego końca cierpiała tak, jak może tylko cierpieć kobieta, która kocha naprawdę. Wiem o tym dużo.

Historia Klaudii nie została jeszcze opowiedziana. Mam nadzieję, że to naprawię.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Rozdział piętnasty

Chateau des Pommes Blues
27 czerwca 2005

Maureen miała usta suche jak pieprz, a głowa ciążyła jej straszliwie. Gdzie się znajdowała? Próbowała przekręcić się na bok. Auu. Ból płynął z czaszki, ale poza tym było jej dobrze i wygodnie. Bardzo wygodnie. Leżała w łóżku, w *cbd-teau*. Jak się tu znalazła?

Nie mogła sobie przypomnieć, wszystko było zamglone. Przemknęło jej przez myśl, że ktoś nafaszerował ją narkotykami i uderzył w głowę. Kto? Gdzie był Peter?

Głosy za drzwiami. Podniesione. Zdenerwowane i zartokane. Gniewne? Mężczyźni. Próbowała zidentyfikować akcent. Oksytański, oczywiście. Roland. Ten podniesiony... Szkocki? Nie, irlandzki. To był Peter. Próbowała go zawołać, ale wydała z siebie tylko żalony skrzek. Wystarczyło jednak, by zwrócić ich uwagę; po chwili wpadli do pokoju.

Peter jeszcze nigdy nie odczuł takiej ulgi jak wtedy, gdy usłyszał głos dochodzący z pokoju kuzynki. Odsunął na bok olbrzyma Rolanda i wyprzedził Sinclaira; obaj pośpieszyli za nim. Maureen miała otwarte oczy i sprawiała wrażenie

oszołomionej, ale zdecydowanie przytomnej. Lekarz, który ją opatrywał, obwiązał jej głowę bandażem. Wyglądała jak ofiara wojny.

- Maureen, dzięki Bogu. Słyszysz mnie? - Peter chwycił ją za rękę.

Próbowała przytaknąć. Kiepski pomysł. Zakreśliło jej się w głowie i zrobiło na chwilę ciemno przed oczyma.

Sinclair przysunął się do Petera, a Roland pozostał z tyłu za nimi.

- Proszę się nie ruszać. Lekarz powiedział, że powinna pani leżeć jak najdłużej w tej samej pozycji - powiedział Sinclair.

Ukląkł obok Petera. Na jego twarzy malowały się smutek i troska.

Maureen zamruwała z trudem, by wiedzieli, że rozumie. Chciała coś powiedzieć, ale stwierdziła, że nie jest w stanie. Zdołała tylko wyszeptać:

-Wody.

Sinclair sięgnął po kryształowy półmisek z łyżką, stojący na nocnym stoliku. Siłąc się na wesołość, oznajmił:

- Jeszcze nie czas na wodę, zalecenie doktora. Może pani dostać kostki lodu. Jeśli poradzi sobie pani z nimi, zastano wimy się nad wodą.

Peter pomógł Maureen unieść się delikatnie, a Sinclair wsunął jej łyżeczką kawałek lodu w usta.

Czując się odrobinę lepiej, ponownie spróbowała przemówić:

- Co...?

- Co się stało? - dokończył za nią Peter. Popatrzył najpierw na Sinclaira, a potem na Rolanda, nim wyjaśnił: - Powiemy ci, jak odpoczniesz. Roland jest twoim wybawcą, że tak powiem. I moim.

Maureen spojrzała na Rolanda, który skinął uroczyście głową. Zdażyła już polubić wielkiego Oksytańczyka i była mu wdzięczna za wszystko, cokolwiek zrobił, by znalazła się tutaj. Teraz jednak nie troszczyła się o siebie. Odpowiedź, na którą czekała, jeszcze się nie pojawiła. Kiedy Sinclair nakarmił ją kolejną porcją lodu, spróbowała ponownie:

-Ten... kufer?

Sinclair uśmiechnął się.

- Jest bezpieczny. Został tu przyniesiony wraz z panią i zamknięty w moim gabinecie.

-Co...?

- Co jest w środku? Jeszcze nie wiemy. Nie otworzymy go bez pani, moja droga. Byłoby to niewłaściwe. Osoba, której przekazano kufer, musi być obecna podczas ujawniania jego zawartości.

Maureen zamknęła z ulgą oczy i poddała się kojącej dobroczynności snu, uspokojona myślą, że nie zawiodła.

Kiedy ocknęła się ponownie, uświadomiła sobie, że obok łóżka, w jednym ze skórzanych czerwonych foteli, siedzi Tammy.

- Dzień dobry, cudowna- powiedziała, odkładając książkę. - Pielęgniarka Tammy, do usług. Co ci podać, złotko? Margaritę? Pina coladę?

Maureen chciała się uśmiechnąć, ale jeszcze jej się to nie udało.

- Może trochę kostek lodu? Ach, widzę, jak podnosisz kciuk, kapuję. No dobra. - Wzięła do ręki kryształowy półmisek i przybliżywszy się do Maureen, wsunęła jej w usta

trochę lodu. - Super, co? Przyrządziłam je dziś rano, są świeżutkie.

Tym razem Maureen zdołała się słabo uśmiechnąć. Ale wciąż odczuwała przy tym ból. Po kilku łyżeczkach dobroczynnego zimna mogła mówić. Co ważniejsze, mogła myśleć. W głowie wciąż jej pulsowało, ale mgła spowijająca jej świadomość ustępowała z wolna, powracała też pamięć.

- Co się ze mną stało?

Z twarzy Tammy zniknęło rozbawienie. Znow usiadła przy łóżku, poważniejąc.

- Mamy nadzieję, że opowiesz nam pierwszą część. Potem będziemy mogli zapoznać cię z drugą. Nie teraz, oczywiście, dopiero wtedy, kiedy będziesz gotowa mówić. Ale policja...

- Policja? - zaskrzeczała Maureen.

- Szszsz, nie denerwuj się. Niepotrzebnie ci to mówiłam. Już wszystko dobrze. Na razie nie musisz nic więcej wiedzieć.

- Muszę. - Maureen odzyskiwała głos, silny jak dawniej.

- Muszę wiedzieć, co się stało.

- Okej - zgodziła się Tammy. - Zawołam chłopców.

Cała czwórka weszła do pokoju Maureen - najpierw Sinclair, potem Peter, na końcu Roland z Tammy. Sinclair podszedł do jej łóżka i usiadł na pojedynczym krześle obok.

- Maureen, nie ma pani pojęcia, jak mi przykro. Spro wadziłem panią tutaj i narażę na niebezpieczeństwo. Ale nie przyszło mi do głowy, że wydarzy się coś takiego. Byłem pewien, że na terenie posiadłości jest bezpiecznie.

Nie przewidzieliśmy jednak, że zaryzykuje pani samotną wyprawę w samym środku nocy. Tammy przysunęła się do łóżka.

- Pamiętasz, co ci mówiłam? O ludziach, którzy zrobią wszystko, żebyś tylko nie znalazła skarbu?

Maureen przytaknęła nieznacznie, by nie prowokować zawrotów głowy.

- Kim oni są? - spytała szeptem.

- To Gildia Sprawiedliwych - wyjaśnił Sinclair. - Grupa fanatyków, która działa od wieków na terenie Francji. Przyświeca im skomplikowany cel, który wyjaśnimy szczegółowo, gdy powróci pani całkowicie do zdrowia.

Maureen chciała zaprotestować. Pragnęła jasnych, pełnych odpowiedzi. O dziwo, to Peter pośpieszył Sinclairowi z pomocą.

- On ma rację, Maureen. Wciąż jesteś osłabiona, więc pozostawmy drastyczne szczegóły na później, kiedy odzyskasz siły.

- Śledzono panią - ciągnął Sinclair. - Każdy ruch od chwili pani przyjazdu do Francji.

- Ale jakim cudem?

Sinclair był blady i wyczerpany. Kiedy się ku niej pochylił, Maureen dostrzegła pod jego oczami ciemne smugi.

- Pod tym względem panią zawiodłem, moja droga. Byliśmy infiltrowani. Nie miałem pojęcia, że jeden z nas to wtyczka, zdrajca, i to od lat.

Ból zdrady i wstyd odbijały się na obliczu Sinclaira. Natomiast stojący za nim Roland sprawiał wrażenie człowieka, który ma mordercze zamiary. Maureen do niego skierowała kolejne pytanie:

-Kto?

Wielkolud splunął nienawistnie na podłogę.

- De la Motte - odparł i dodał coś w rodzimym języku.

- Jean Claude - oznajmił Sinclair. - Nie musi się pani jednak czuć zdradzona przez własnego krewniaka. Tak naprawdę on nie pochodzi z rodu Paschal. Było to, podobnie jak wszystko inne, kłamstwem. Niech go piekło pochłonie, ufałem mu bezgranicznie. W przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłbym mu się do pani zbliżyć. Kiedy przyjechał wczoraj, zostawił na terenie posiadłości swojego szpiega.

Maureen rozmyślała o czarującym Jean Claudzie, który zachowywał się z takim szacunkiem i serdecznością w czasie ich wspólnej wycieczki. Zastanawiała się, czy to możliwe, że zamierzał ją skrzywdzić? Trudno było to zgłębić. I nie pojmowała jeszcze jednego.

- Skąd mogli wiedzieć, że wyszłam z domu? Ta zbieżność w czasie...

Roland, Sinclair i Tammy popatrzyli po sobie, a na ich twarzach malowało się poczucie winy. Tammy uniosła rękę.

- Ja jej powiem. - Uklękła przy łóżku i spojrzała na Pe tera, dając do zrozumienia, że jemu także należy się wyjaśnienie. - To część przepowiedni. Pamiętasz ten dziwny zegar słoneczny w Rennes-le-Chateau? Wskazuje astrologiczne zrównanie planet, o którym mówi się w przepowiedni, a które przypada z grubsza raz na dwadzieścia dwa lata i trwa dwa i pół dnia.

- Co dwadzieścia dwa lata, kiedy dochodzi do tego zrównania, okoliczni mieszkańcy obserwują bezustannie pobliskie tereny, wypatrując oznak jakiegóż nadzwyczajnej aktywności - wtrącił Sinclair. - W tym właśnie celu wzniesiono wieże - Saunier'e'a i moją. I tam właśnie byłem zeszłej nocy. Prawdę powiedziawszy, musieliśmy się w ostatniej

chwili minąć. Spędziłem na wieży kilka godzin, nim pojechałem do RLC i zacząłem prowadzić obserwację z wieży Saunier'e'a. To rodzinna tradycja. Będąc na szczycie *Tour Magdala*, dostrzegłem jasną plamę, która narastała na horyzoncie w okolicy Arques, i od razu wiedziałem, że muszę bezzwłocznie wracać. Zadzwoiłem z komórki do Rolanda, ale on już zaczął pani szukać. Teren wokół grobowca jest monitorowany za pomocą nowoczesnego sprzętu, są tam też czujniki ruchu, które włączają alarm w mieszkaniu Rolanda. Oczywiście obserwował wszystko ze szczególną uwagą z powodu zrównania - a także dlatego, że Tammy otrzymała informację, że nasi przeciwnicy mogą być bliżej, niż przypuszczaliśmy. Roland wyszedł natychmiast, gdy tylko obok grobowca włączył się alarm. Ruszyłem samochodem tuż za nim. Powiem, że ten napastnik... nie czuje się dziś tak dobrze jak pani. A kiedy wyjdzie ze szpitala, będzie musiał leczyć połamane kości w więzieniu.

W umyśle Maureen wszystko zaczęło się układać. Zrozumiała, dlaczego wieża była niezamknięta - ponieważ odwiedził ją Sinclair.

-Jean Claude wiedział o zrównaniu, tak jak my, do wczoraj bowiem należał do naszego zaufanego kręgu - kontynuował Sinclair. - Kiedy na dwa lata przed zrównaniem odkryliśmy pani istnienie i książkę, byliśmy niemal pewni, że nadeszła właściwa chwila, jeśli tylko uda nam się ściągnąć panią tutaj w momencie tej konfiguracji planet.

To Peter zadał pytanie, które nie dawało także spokoju Maureen:

- Zaraz, zaraz. Od jak dawna o tym wiesz? - Popatrzył oskarżycielsko na Tammy.

Teraz Tammy wyglądała żałośnie. Oczy miała zaczerwienione od stresu i niewyspania. v

- Maureen... - Głos jej się załamał, ale opanowała się i mówiła dalej: - Przepraszam. Nie byłam z tobą szczerą. Kiedy poznałam cię dwa lata temu w Los Angeles, wystar czyło, że popatrzyłam na ciebie i twój pierścień, i wysłu chałam twoich historii, które opowiedziałś mi w dobrej wierze... No cóż, nie podjęłam żadnych działań, ale po zostałam w kręgu twoich znajomych i obserwowałam cię. Kiedy ukazała się twoja książka, posłałam jeden egzemplarz Berrymu. Byliśmy od lat bliskimi przyjaciółmi, wiedzia łam, czego szuka. Czego wszyscy szukamy.

Peter z przykrością słuchał tych ostatnich rewelacji, po nieważ polubił Tammy. Teraz, wiedząc, że wykorzystywała Maureen, jego uczucia do niej zaczęły się zmieniać.

- Cały czas ją okłamywałaś. Tammy przestała panować nad łzami.

- Peter ma rację. Tak mi przykro. Bardziej niż sądzicie.

Roland objął Tammy, ale to Sinclair podjął się jej obrony.

- Nie osądzajcie jej zbyt surowo. Może wam się nie podo bać to, co zrobiła, ale miała po temu powody. I ryzykowała znacznie więcej, niż to sobie w tej chwili uświadamiacie. Jest całkowicie bezinteresowna. To prawdziwa wojowniczk a Drogi.

Maureen starała się zebrać to wszystko w jedną całość - kłamstwa, celowe oszustwo, dręczące lata dziwnych proroctw i snów. Było tego za dużo jak na jej obecne samopoczucie. Na jej twarzy musiało się odbić zmęczenie, ponieważ Peter wtrącił pośpiesznie:

- Dość tego na dzisiaj. Wyjaśnią ci resztę, kiedy dojdiesz do siebie.

Maureen zwlekała chwilę. Pozostało jeszcze jedno istotne pytanie, na które należało odpowiedzieć.

- Kiedy otworzymy skrzynię?

Była szczerze zdumiona, że dotąd tego nie zrobili. Ci ludzie poświęcili znaczną część swego życia na znalezienie skarbu. Jeśli chodzi o Sinclaira, jego przodkowie wydali miliony, by osiągnąć ów cel. Choć była uważana za Oczekiwaną, nie wydawało jej się, by zasługiwała na taki zaszczyt — ujrzeć skarb wcześniej niż oni. Lecz Sinclair wyraźnie dał do zrozumienia, że nikomu nie wolno nawet dotknąć kufra, dopóki Maureen nie będzie gotowa, a Roland pilnował skarbu osobiście przez całą noc, śpiąc między skrzynią a drzwiami.

- Kiedy tylko będzie pani w stanie zejść o własnych siłach na dół - odparł Sinclair.

Roland wiercił się niespokojnie. Tammy dostrzegła to i spytała z niepokojem:

- O co chodzi, Rolandzie?

Oksytański olbrzym przysunął się do łóżka.

- Skrzynia. To święta relikwia, *mademoiselle*. Myślę... wydaje mi się, że gdy pani jej dotknie, to uleczy pani rany.

Maureen była głęboko poruszona. Ujęła jego dłoń.

- Może masz rację. Sprawdźmy, czy uda mi się wstać.

Peter nie krył niepokojów.

- Jesteś pewna, że dasz radę? Najpierw czeka cię długa wędrówka korytarzami, potem kilka kondygnacji schodów.

Roland uśmiechnął się do Petera, potem do Maureen.

- *Mademoiselle*, nie ma potrzeby się ruszać.

Gdy tylko Maureen dała znak, że jest gotowa, Roland podniósł ją z łóżka bez najmniejszego wysiłku i niosąc ostrożnie, ruszył w głąb domu.

Ojciec Peter Healy podążał w milczeniu za olbrzymem niosącym jego kuzynkę, której postać przypominała szmacianą lalkę. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny, tak bardzo pozbawiony kontroli nad sytuacją. Miał wrażenie, że Maureen znajduje się gdzieś poza jego zasięgiem. Odkrycie kufra dokonało się za sprawą jakiejś boskiej interwencji; dostrzegał to w Maureen i wiedział, że pozostali też to dostrzegają. W tym wielkim domu wyczuwało się atmosferę wyczekiwania. Działo się coś niezwykłego; wszyscy wiedzieli, że ich życie odmieni się nieodwracalnie.

Martwił się o stan zdrowia Maureen. Lekarz był poruszony widokiem rany na potylicy; nazwał cudem to, że przeżyła. Peter zastanawiał się, czy należy traktować to stwierdzenie dosłownie. Niewykluczone, że Roland miał rację. Prawdę mówiąc, Peter upierał się, że jego kuzynka powinna trafić do szpitala. To Roland - nie Sinclair - sprzeciwił się tej sugestii. Olbrzym twierdził stanowczo, że Maureen nie może oddalać się od skrzyni. Jej kontakt ze świętą relikwią już być może zaowocował czymś w rodzaju nadprzyrodzonego uzdrowienia, gdyż sam fakt, że Maureen przeżyła, stanowił rzecz niezwykłą.

Kiedy zbliżali się do drzwi gabinetu Sinclaira, Peter uświadomił sobie, że z całej siły zaciska palce na paciorkach różańca w kieszeni.

Skrzynia spoczywała na podłodze, obok wielkiego łóża. Roland ułożył Maureen delikatnie na aksamitnych poduszkach, ona zaś podziękowała mu cicho. Tammy usiadła obok niej, Peter po drugiej stronie; Sinclair i Roland pozostali na swoich miejscach. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał

przez długą chwilę. Ciszę przerwał nieznaczny szloch, który wyrwał się z ust Maureen.

Kiedy Maureen nachyliła się ostrożnie, położyła obie dłonie na wieku wielkiego kufra i zamknęła oczy, spod jej powiek wymknęły się łzy i spłynęły po policzkach. W końcu otworzyła oczy i powiodła wzrokiem po otaczających ją twarzach.

- Jest tutaj - wyszeptała. - Wyczuwam to.

- Jest pani gotowa? - spytał cicho Sinclair.

Maureen usmiechnęła się do niego - był to pełen spokoju i wewnętrznej wiedzy uśmiech, który odmienił jej twarz. Przez chwilę nie była Maureen Paschal. Była kimś zupełnie innym, kobietą przepelnioną spokojem. Później, gdy Berenger Sinclair wspominał ten moment, zwykł mawiać, że ujrzał siedzącą na miejscu Maureen Marię Magdalene.

Maureen odwróciła się do Tammy z promiennym uśmiechem. Wyciągnęła do swej przyjaciółki rękę i ścisnęła jej dłoń. W tej sekundzie Tammy pojęła, że jej wybaczone. Zostali tu przywiezieni w jakimś boskim celu, dla jakiegoś wyższego dobra, i wszyscy obecni w pokoju zdawali sobie z tego sprawę. Owa świadomość przemieniła każde z nich i jednocześnie na zawsze ich ze sobą związała. Tammy ukryła twarz w dłoniach i zapłakała cicho.

Sinclair i Roland uklękli obok kufra i spojrzeli pytająco na Maureen. Kiedy skinęła głową, obaj wsunęli palce pod wieko, przygotowując się na wielki wysiłek. Ale zawiasy nie stawiały oporu, jakiego oczekiwali. Wieko uniosło się bez trudu, z taką łatwością, że Roland omal nie stracił równowagi. Nikt tego nie zauważył. Ich wzrok przykuły dwa doskonale zachowane, wielkie gliniane dzbany wewnątrz kufra.

Siedzący koło Maureen Peter odczuwał ogromne napięcie, ale pierwszy przerwał milczenie.

-Te dzbany... są prawie identyczne jak te ze zwojami znad Morza Martwego.

Roland ukląkł obok kufra i z czią przesunął palcami po górnej części jednego z glinianych naczyń.

- Doskonale - wyszeptał.

Sinclair skinął głową.

- Rzeczywiście. Spójrzcie, nie ma żadnego kurzu czy erozji, śladu zużycia ani starości. Jakby te dzbany zastygły w czasie.

- Czymś je zapieczętowano - zauważył Roland.

Maureen przesunęła dłonią po krawędzi dzbana i drgnęła jak porażona prądem.

- Czy to może być воск?

- Zaczekajcie chwilę - wtrącił Peter. - Musimy to przedyskutować. Jeśli te dzbany zawierają to, co macie nadzieję w nich znaleźć i w co wierzycie, to nie mamy prawa ich otwierać.

- Nie? Więc kto ma prawo je otworzyć? - spytał ostrym tonem Sinclair. - Kościół? Te dzbany nie zostaną stąd zabrane, dopóki nie sprawdzimy ich zawartości. Ostatnie miejsce, w jakim chciałbym je widzieć, to jakiś watykański loch, gdzie będą leżeć ukryte przed światem przez następne dwa tysiące lat.

- Nie o to mi chodziło - zapewnił Peter, mówiąc z pozoru spokojnie, choć czuł wewnętrzne napięcie. - Tylko o to, że jeśli znajdują się w nich dokumenty, których nie wyjmowano od dwóch tysięcy lat, to ich gwałtowny kontakt z powietrzem może je uszkodzić, nawet zniszczyć. Proponuję tylko, byśmy znaleźli jakieś możliwie do zaakceptowania neutralne środowisko - może przy wsparciu rządu

francuskiego - w którym dzbany zostaną otwarte. Jeśli zniszczymy ich zawartość, *to* poszukiwania, które zabrały panu całe życie, pójdą na marne. To będzie przestępstwo, w sensie dosłownym i duchowym.

Twarz Sinclaira wyrażała rozterkę. Myśl o zniszczeniu zawartości dzbanów była zbyt przerażająca, by ją w ogóle rozważać. Jednakże pokusa realizacji marzenia, któremu poświęcił życie, a które było tak bliskie spełnienia, była trudna do odparcia i tak silna jak podejrzenia wobec kogokolwiek spoza kręgu wtajemniczonych. Zaniemował na chwilę, gdy Roland ukląkł przed Maureen.

- *Mademoiselle - zacznaj* - to jest pani decyzja. Wierzę, że Maria Magdalena sprowadziła panią do nas i że za pani pośrednictwem przekaże nam swoją wolę.

Maureen już chciała mu odpowiedzieć, ale nagle ogarnęła ją fala słabości. Peter i Tammy niemal jednocześnie wyciągnęli ręce, by ją podtrzymać. Maureen straciła świadomość, ale tylko na moment. I wtedy pojęła to z kryształową jasnością. Kiedy przemówiła, jej słowa zabrzmiały jak rozkaz:

- Otwórz dzbany, Rolandzie.

Polecenie padło z jej ust, ale głos nie należał do niej.

Sinclair i Roland wyjęli ostrożnie dzbany z kufra i postawili na dużym mahoniowym stole. Służący zwrócił się do Maureen z niezwykłym szacunkiem:

- Który najpierw?

Maureen, podtrzymywana z obu stron przez Petera i Tammy, dotknęła palcem jednego z dzbanów. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego wskazała akurat ten; po prostu

wiedziała, że to właściwy wybór. Roland postąpił zgodnie z jej wskazówką, przesuwając palcem wzdłuż krawędzi naczyń. Sinclair wziął z biurka zabytkowy nóż do listów i zaczął usuwać woskową pieczęć. Tammy stała obok jak zahipnotyzowana, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Rolanda.

Peter patrzył na to jak skamieniały. Tylko on jeden z nich wszystkich wiedział, co oznacza praca ze starożytnymi dokumentami i bezcennymi materiałami z przeszłości. Ryzyko zniszczenia było ogromne. Nawet uszkodzenie samych dzbanów oznaczałoby straszliwą hańbę.

Jakby konkludując jego myśl, napiętą atmosferę pokoju zakłócił straszliwy dźwięk pęknięcia. Nóż do listów roztrzaskał wieko pierwszego dzbana i oderwał kawałek krawędzi. Peter skulił się i ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł jednak długo trwać w takiej pozycji. Gwałtowne westchnienie stojącej obok Maureen kazało mu spojrzeć ponownie.

- Mam za duże dłonie, *mademoiselle* - zwrócił się do niej Roland.

Maureen przysunęła się bliżej na rozdygotanych nogach i wsunęła dłoń w roztrzaskany dzban.

To, co wyjęła - powoli i ostrożnie — przypominało dwie księgi spisane na pradawnym, jakby płóciennym papierze. Czarny atrament kontrastował wyraźnie ze stronicami. Litery były małe, precyzyjne i doskonale czytelne.

Peter nachylił się nad Maureen, nie mogąc zapanować nad podnieceniem, wywołanym widokiem tego, co spoczywało teraz przed nimi na stole. Powiódł wzrokiem po urzeczonych twarzach, ale z wyjaśnieniem zwrócił się bezpośrednio do Maureen, mówiąc niepewnym z przejęcia głosem:

- Pismo. Jest... greckie.

Maureen poczuła, jak oddech uwiązał jej w krtani.

- Potrafisz to odczytać? - spytała z nadzieją w głosie.

Poznała odpowiedź, nim zdążył otworzyć usta; z jego twarzy odpłynęła cała krew. Było w tym momencie jasne dla wszystkich obecnych w pokoju, że świat, jaki dotychczas znał ojciec Peter Healy, nigdy już nie będzie taki sam.

- „Jestem Maria, zwana Magdaleną” - przetłumaczył po woli. - „I...”.

Urwał, nie dla większego efektu, ale dlatego, że naprawdę nie był pewien, czy może kontynuować. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Maureen, by pojąć, że nie ma innego wyjścia.

- „Jestem prawowitą żoną Jezusa zwanego mesjaszem, który był królewskim synem domu Dawida”.

Rozdział szesnasty

Chateau des Pommes Blues

28 czerwca 2005

Peter pracował nad przekładem całą noc. Maureen nie zgodziła się wyjść z pokoju, odpoczywając od czasu do czasu na aksamitnej sofie. Roland przyniósł kilka poduszek i narzutę. Maureen uśmiechnęła się do niego uspokajająco, kiedy pochylił się nad nią z wielką troską. O dziwo, czuła się świetnie. Głowa w ogóle jej nie bolała, a niedawna słabość zniknęła bez śladu.

Pozostała na sofie, żeby nie patrzeć na ręce Peterowi. Sinclair robił to za wszystkich. Lecz Peter się tym nie przejmował; Maureen podejrzewała, że nawet tego nie dostrzegał. Był całkowicie i bez reszty pochłonięty świętą naturą swego zadania.

Tammy zaglądała co jakiś czas, zainteresowana postępem prac, ale w końcu zniknęła, mniej więcej jednocześnie z Rolandem. Maureen obserwowała ich przez cały dzień i doszła teraz do wniosku, że nie był to zbieg okoliczności. Przypomniała sobie noc po przyjęciu, kiedy słyszała na korytarzu pod swoim pokojem Tammy, rozmawiającą z mężczyzną mówiącym z obcym akcentem. Tammy i Roland. Coś między nimi było, i to zdecydowanie, ale dopiero od niedawna. Maureen postanowiła, że kiedy wszystko się uspokoi, wyciągnie od Tammy całą historię. Chciała poznać prawdę

o wszelkich związkach na terenie Chateau des Pommes Blues.

Nagle jej uwagę znów przyciągnęły starożytne zwoje:

- Mój Boże! Spójrzcie tylko na to! - wykrzyknął Sinclair.

Od dłuższego czasu stał nad Peterem, obserwując go z niepokojem. Peter skrobał gorączkowo na bloczkach żółtych karteczek, przekładając greckie słowa. Ta pierwsza wersja *nie* nadawała się od razu do czytania. Najpierw Peter musiał dokończyć transkrypcji, a potem wrócić do początku tekstu i wykorzystując swoje dos'wiadczenie językowe, ubrać poszczególne zdania w formę zgodną z logiką dwudziestego pierwszego wieku.

- Co się stało? - spytała Maureen.

Peter podniósł wzrok i przesunął dłonią po twarzy.

- Musisz to zobaczyć. Podejdź, jeśli możesz. Nie mam w tej chwili odwagi ruszyć tych zwojów.

Maureen podniosła się wolno z kanapy. Pomimo swego cudownego ozdrowienia, wciąż była świadoma ran na głowie. Zbliżyła się do stołu i zajęła miejsce po prawej ręce Petera, który siedział przed stosem notatek. Sinclair wskazał miejsce w oryginale, Peter zaś wyjaśnił:

- Pojawia się to przy końcu większych fragmentów, na zwijmy je rozdziałami. Wygląda jak pieczęć woskowa.

Maureen podążyła wzrokiem za palcem Sinclaira, wskazującym symbol. U dołu strony widniał znany już jej wzór pierścienia, dziewięć małych kręgów z dziesiątym pośrodku*

- Osobista pieczęć Marii Magdaleny - oznajmił z głęboką czcią Sinclair.

Maureen przysunęła dłoń z pierścieniem do stronicy. Symbole były identyczne. Na dobrą sprawę pieczęć w wosku mógł odcisnąć ten sam pierścień.

Nim nad Chateau des Pommes Blues wzeszło słońce, większa część pierwszej księgi, spisana w pierwszej osobie historia życia Marii Magdaleny, została przetłumaczona. Peter pracował nad tą Ewangelią jak opętany, przeskakując ze strony na stronę. Sinclair nakazał służbie przynieść herbatę, ale Peter łyknął tylko kilka razy i pracował dalej. Był bardzo blady i Maureen nie kryła troski o niego.

- Pete, musisz zrobić sobie przerwę. Powinieneś przespać się kilka godzin.

- Nie — odparł stanowczo. - Wykluczone. Nie wolno mi teraz przerwać. Nie rozumiesz, bo nie widziałaś tego, co ja dotychczas. Nie mogę przerwać. Muszę wiedzieć, co jest dalej.

Wszyscy postanowili wstrzymać się z czytaniem którejkolwiek części tekstu, dopóki Peter nie przetłumaczy Ewangelii do końca. Szanowali jego umiejętności i rozumieli odpowiedzialność, jaka spoczywała na jego barkach, ale trudno było im czekać. W tym momencie tylko Peter znał treść zwojów.

- Nie mogę ich zostawić - rzekł. Oczy miał rozpalone gorączką, jakiej Maureen nigdy wcześniej u niego nie widziała.

- Tylko na chwilę. Wyjdź ze mną na dwór na pięć minut i przejdź się po świeżym powietrzu. Dobrze ci to zrobi. Potem wrócisz, a my przyniesiemy ci śniadanie.

- Nie, żadnego jedzenia. Muszę pościć, dopóki nie dokończę przekładu. Nie mogę teraz przerwać.

Sinclair rozumiał, co czuje Peter, ale dostrzegał też jego fizyczne wyczerpanie. Spróbował innej taktyki.

- Ojciec Healy, wykonał ojciec godną podziwu pracę, ale zmęczenie może wpłynąć na rzetelność przekładu. Każe Rolandowi wrócić i przypilnować zwojów, podczas gdy ksiądz będzie odpoczywał.

Sinclair zadzwonił po Rolanda. Peter popatrzył na zatroskaną Maureen.

- No dobrze - zgodził się. - Pięć minut, dla zaczerpnięcia powietrza.

Sinclair otworzył bramę prowadzącą do Ogrodów Trójcy i Maureen z Peterem weszli na ich teren. Nad rzędami krzewów różanych krążył gołąb, a w porannym słońcu szemrała fontanna Marii Magdaleny.

Peter odezwał się pierwszy, głosem cichym i pełnym zdumienia:

- Co się dzieje, Maureen? Jak się tu znaleźliśmy, jak do szło do tego, że uczestniczymy w tym wszystkim? To jest jak sen, jak... cud. Nie masz wrażenia nierzeczywistości?

Maureen przytaknęła.

- Tak. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale towarzyszy mi głębokie poczucie spokoju, jeśli chodzi o całą tę sprawę. Jakby to wszystko przebiegało według jakiegoś planu. I uczestniczysz w tym tak samo jak ja. To nie przypadek, że przyjechałeś tu ze mną albo że uczysz starożytnych języków i potrafisz tłumaczyć greckie teksty. To wszystko zostało... z góry ustalone.

- Mam nieodparte wrażenie, że gram rolę w jakimś miśtrzowskim planie. Nie wiem tylko jaką i dlaczego właśnie ja.

Maureen przystanąła, by powąchać jedną ze wspaniałych czerwonych róż w pełnym rozkwicie. Potem zwróciła się do niego.

- Od jak dawna to trwa? Czy zostało postanowione jeszcze przed naszymi narodzinami? A może jeszcze wcześniej? Czy przeznaczeniem twojego dziadka była praca nad tekstami w bibliotece Nag Hammadi, by przygotować cię do tego konkretnego zadania? Czy też zaplanowano wszystko przed dwoma tysiącami lat, kiedy Maria ukryła Ewangelię?

Peter milczał przez chwilę.

- Wiesz, jeszcze dwa dni temu udzieliłbym ci odpowiedzi innej niż ta, której mógłbym udzielić teraz.

- Dlaczego?

- Chodzi o nią i to, co napisała w zwojach. Mówi dokładnie to samo, co ty właśnie powiedziałaś - to zdumiewające. Mówi, że niektóre zdarzenia są zawarte w Bożym planie, że niektórzy ludzie są wyznaczeni do odegrania konkretnej roli. Maureen, to niezwykle. Czytam relację z pierwszej ręki, dotyczącą Jezusa i apostołów, i spisaną przez kogoś, kto mówi o nich w tak ludzki sposób. W całej kościelnej literaturze nie ma czegoś takiego jak ta... - zawahał się przed użyciem tego słowa, ale trwało to tylko chwilę - ...Ewangelia. Czuję się jej niegodny.

- Ależ jesteś godny - zapewniła z naciskiem Maureen. - Zostałeś do tego wybrany. Przypomnij sobie, ile trzeba było nadprzyrodzonych zdarzeń, boskiej interwencji, by sprowadzić nas tutaj, ciebie i mnie, do tego miejsca i czasu, abyśmy mogli opowiedzieć tę historię.

- Ale jaką historię opowiadamy? - Peter był rozdarty i po raz pierwszy Maureen dostrzegła, że jej kuzyn zmaga się z własnymi demonami. - Jaką historię ja opowiadam? Jeśli te Ewangelie są prawdziwe...

Maureen zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Jak możesz w to wątpić? Po tym wszystkim, czego wymagało dotarcie tutaj, do tego miejsca? - Dotknęła wymownie potylicy, na której goiła się wielka rana.

- Teraz to dla mnie kwestia wiary, Maureen. Zwoje są doskonale zachowane, nie mają najmniejszej skazy, nie brakuje ani jednego słowa. Dzbany nie noszą śladu brudu. Jak to możliwe? Jedno z dwóch: to jest albo współczesne fałszerstwo, albo akt boskiej woli.

- A twoim zdaniem?

- Spędziłem właśnie dwadzieścia godzin na tłumaczeniu najbardziej zdumiewającego dokumentu. Większość tego, co czytam, jest... zasadniczo heretycka, a jednocześnie stanowi wizję Jezusa, która jest piękna w niezwykle i ludzki sposób. Ale moje zdanie nie ma znaczenia. Trzeba będzie potwierdzić autentyczność zwojów na drodze rygorystycznych badań, by reszta świata mogła je uznać. - Umilkł na chwilę. - Jeśli okażą się autentyczne, to fakt ten podważy system wierzeń znacznej części rodzaju ludzkiego, obowiązujący od dwóch tysięcy lat. Podważy wszystko, czego mnie uczono, wszystko, w co wierzyłem.

Maureen patrzyła przez długą chwilę na tego człowieka, swojego kuzyna i najlepszego przyjaciela. Zawsze widziała w nim skałę, filar siły i absolutnej uczciwości. Był też człowiekiem głębokiej wiary i lojalności wobec Kościoła. Teraz spytała po prostu:

- Co zrobisz?

- Nie miałem jeszcze czasu się nad tym zastanowić. Muszę poznać do końca treść zwojów, żeby sprawdzić, w jakim stopniu zaprzeczają czy też, miejmy nadzieję, potwierdzają znane nam relacje ewangelistów. Nie doszedłem jeszcze do opisu ukrzyżowania - czy też zmartwychwstania.

Maureen zrozumiała nagle, dlaczego Peter z taką niechęcią myślał o zostawieniu zwojów przed ukończeniem tłumaczenia. Autentyczna relacja Marii Magdaleny, dotycząca wydarzeń bezpośrednio po ukrzyżowaniu, mogła zaważyć na systemie wierzeń jednej trzeciej ludzkości. Chrześcijaństwo opierało się na przekonaniu, że Jezus zmartwychwstał trzeciego dnia po śmierci. A że według ewangelistów to Maria Magdalena jako pierwsza ujrzała go po zmartwychwstaniu, jej wersję naocznego świadka należałoby uznać za wyjątkowo istotną.

Maureen dowiedziała się podczas zbierania materiałów, że badacze piszący o Marii Magdalenie jako żonie Jezusa w przeważającej części przyjmowali także stanowisko, że Jezus nie był Synem Bożym i że nie zmartwychwstał. Istniały przeróżne hipotezy na temat tego, że Jezus przeżył ukrzyżowanie; inna teoria głosiła, że jego fizyczne ciało zostało zabrane przez jego uczniów. Nikt nie wysunął nawet przypuszczenia, że Jezus był żonaty i jednocześnie był Synem Bożym. Z jakiegoś powodu te dwie okoliczności zawsze uważano za wzajemnie się wykluczające. Być może dlatego istnienie Marii jako pierwszego apostoła było tak groźne dla Kościoła.

Nie ulegało wątpliwości, że Peter myślał o tym wszystkim przez te ostatnie, wypełnione intensywną pracą godziny. Teraz odpowiedział na jej pytanie:

-To zależy od oficjalnego stanowiska, jakie zajmie Kościół.

- A jeśli zaprzeczy treści tych zwojów? Co wtedy? Wybierzesz instytucję Kościoła czy też prawdę, którą będziesz znał?

- Mam nadzieję, że te dwie sprawy nie wykluczają się wzajemnie - odparł ze smutnym uśmiechem. - Być może podchodzę do tego zbyt optymistycznie. Ale jeśli do tego dojdzie, to cóż, będzie to oznaczało, że nadszedł czas.

- Czas na co?
- *Eligere magistrum*. Wybrać pana.

Przerwali spacer i wrócili do *chateau*. Maureen cały czas przekonywała Petera, żeby przynajmniej wziął prysznic i odświeżył się przed powrotem do pracy. Poszła do swojego pokoju umyć twarz i zebrać myśli. Zaczęło ją z wolna ogarniać wyczerpanie, ale nie mogła mu się jeszcze poddać. Najpierw musiała się dowiedzieć, co zawierają zwoje.

Kiedy wycierała oczy eleganckim czerwonym ręcznikiem, rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju wpadła Tammy.

- Dzień dobry. Straciłam coś?

-Jeszcze nie. Peter zamierza przeczytać nam pierwszą księgę, kiedy tylko uzna, że tłumaczenie jest gotowe. Mówi, że tekst jest szokujący, ale to wszystko, co wiem.

- Gdzie on teraz jest?

-W swoim pokoju,„zrobił sobie małą przerwę. Nie chciał odejść od zwojów, ale nalegaliśmy na to. Nie jest mu łatwo, choć się do tego nie przyzna. To dla niego ogromna odpowiedzialność. Może nawet ogromny obowiązek.

Tammy usadowiła się na brzegu łóżka.

- Wiesz, czego nie rozumiem? Dlaczego to tak bardzo niepokoi ludzi, ta myśl, że Jezus był żonaty i miał dzieci? W jaki sposób umniejsza to jego samego albo przesłanie, jakie głosił? Dlaczego chrześcijanie mieliby się czuć z tego powodu zagrożeni? - Tammy mówiła z pasją, bez wątpienia traktowała to poważnie. - A ten słynny fragment Ewangelii świętego Marka, ten odczytywany podczas uroczystości ślubnych? „Lecz na początku stworzenia Bóg stworzył ich

jako mężczyznę i kobietę: dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę, i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało". Maureen przyglądała się jej zdumiona.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że potrafisz cytować Biblię słowo w słowo.

Tammy mrugnęła do niej.

- Marek, rozdział dziesiąty, wers od szóstego do ósmego. Ludzie cały czas posługują się Biblią przeciwko nam, by umniejszyć znaczenie Marii Magdaleny, więc postanowiłam poszukać fragmentów na poparcie naszych przekonań. A tego właśnie uczy Jezus w Ewangelii. Znajdź żonę i z nią zostań. Więc dlaczego miałby nauczać czegoś, co dla niego byłoby niewłaściwe?

Maureen zastanawiała się głęboko nad słowami Tammy.

- Dobrze pytanie. Uważam, że Jezus byłby nam bliższy, gdyby się okazało, że miał żonę.

- Co więcej, Bóg często jest określany mianem ojca - kontynuowała Tammy - więc dlaczego Chrystus, jako syn Boga, stworzony na jego podobieństwo, nie mógłby być ojcem dzieci? Jak miałyby to zaszkodzić jego świętości? Po prostu tego nie rozumiem.

Maureen pokręciła głową. Nie знаła odpowiedzi na to także ważne pytanie.

- Przypuszczam, że o to należałoby zapytać Kościół i po szczególnych ludzi, zgodnie z ich wiarą.

Wczesnym rankiem Peter oświadczył, że dokonał wstępnego przekładu pierwszej księgi. Sinclair podniósł się od stołu.

- Czy jest książka gotowy przeczytać nam to? Jeśli tak, zawołam Rolanda i Tamarę. Też powinni tego wysłuchać.

Peter skinął głową.

- Tak, proszę ich zawołać. - Spojrzał na Maureen; jego oczy, pełne światła i cienia, były nieodgadnione. - Bo nad szedł czas.

Tammy i Roland zbiegli z góry i przyłączyli się do pozostałej trójki w gabinecie Sinclaira. Kiedy wszyscy skupili się wokół Petera, wyjaśnił, że przekład wciąż zawiera niedopracowane miejsca, które wymagają czasu i fachowych opinii. Ale z grubsza zrozumiał, kim naprawdę była Maria Magdalena i jaką rolę pełniła w życiu Jezusa Chrystusa.

- Nazywa ten tekst *Księgą Wielkiego Czasu*.

Potem, wzięwszy do ręki plik żółtych kartek, ojciec Healy zaczął cicho czytać:

- „Jestem Maria, zwana Magdaleną, księżniczka królewskiego plemienia Beniamina i córka Nazarejczyków. Jestem prawowitą żoną Jezusa, mesjasza Drogi, który był królewskim synem domu Dawida i pochodził z kapłańskiej kasty Aarona.

Wiele o nas napisano i wiele zostanie napisane w przyszłości. Liczni z tych, co piszą, nie znają prawdy i nie byli świadkami Wielkiego Czasu. Słowa zaś, które powierzam tym stronicom, są prawdą w obliczu Boga. Oto, co zdarzyło się za mojego życia, w Wielkim Czasie i Czasie Ciemności, i potem.

Pozostawiam te słowa dzieciom przyszłych dni, tak aby, gdy nadejdzie pora, mogły owe słowa odnaleźć i poznać prawdę o tych, którzy zapoczątkowali Drogę”.

I tak zaczęła się przed nimi odkrywać historia życia Marii Magdaleny w całym swym niespodziewanym i niezwykłym bogactwie.

Rozdział siedemnasty

Galilea

Rok 26

Maria czuła między palcami stóp miękką i chłodną ziemię. Spuściła wzrok, świadoma, że jej bose nogi są brudne. Nie dbała o to ani trochę. Nie był to zresztą owego dnia jedyny niestosowny element jej wyglądu. Lśniące rude włosy zwieszały się aż do talii nieprzewiązane i splątane; jej suknia, pozbawiona paska, opadała luźno.

Wcześniej, gdy próbowała wymknąć się ukradkiem z domu, została przyłapana przez niezadowoloną Martę.

- I dokąd to się wybierasz w takim stroju?

Maria roześmiała się beztrąsko, niezrażona w najmniejszym stopniu, że jej ucieczka wyszła na jaw.

- Idę tylko do ogrodu. Jest przecież otoczony murem. Nikt mnie nie zobaczy.

Marta nie wyglądała na przekonaną.

- Nie wypada kobiecie twojej pozycji biegać jak bosonoga służka.

Dezaprobata Marty była bardziej owocem przyzwyczajenia niżli szczerej troski. Starsza kobieta przywykła już do różnych przejawów niezależności ze strony swej młodej szwagierki. Maria była wyjątkowym przykładem dzieła Bożego i Marta ją uwielbiała, poza tym dziewczyna nie miała zbyt wielu okazji do swobody. Jej życie było pogrążone

proroków Izraela - małżeństwa, które wielu uważało za ni mniej, ni więcej, tylko absolutną wolę Boga.

Tak drobne barki i tak ogromny ciężar, pomyślał Łazarz, słuchając siostry. Maria mówiła w sposób, na jaki nie zawsze sobie pozwalała, otwarcie i z przejęciem. Jej brat uświadomił sobie z poczuciem winy, że dziewczyna odczuwa nieklamany strach co do naznaczonej sobie roli w dziejach. Było to dziwne, ale rzadko myślał o niej jako istocie wyłącznie ludzkiej. Była cennym towarem, którego należy strzec i o który należy dbać. Traktował te obowiązki z nieklamana gorliwością i spełniał w sposób godny podziwu. Ale poza wszystkim kochał ją - lecz uświadomił to sobie w pełni dopiero gdy poznał swą przyszłą żonę, Martę.

Łazarz był bardzo młodym człowiekiem, kiedy zmarł jego ojciec. Zbyt młodym, być może, by przyjąć na siebie dynastyczne obowiązki rodzinne, prócz tych, jakie wynikały z posiadania ziemi. Lecz młody człowiek ślubował swemu ojcu w jego ostatnich dniach, że nie zawiedzie domu Beniamina. Nie zawiedzie swego ludu i Boga Izraela.

Z zapalem równym determinacji Łazarz przystąpił do spełniania rozlicznych obowiązków, spośród których najważniejszym była opieka nad siostrą Marią. Wiódł życie naznaczone odpowiedzialnością. To on wybrał odpowiednie dla jej szlachetnego urodzenia wychowanie i wykształcenie, lecz nigdy nie pozwalał sobie na żadne uczucia. Były zbyt-kiem, często niebezpiecznym.

Potem jednak, cudownym zrządzeniem losu, Bóg zesłał mu Martę.

Była najstarszą z trzech sióstr z Betanii, te zaś przyszły na świat w jednej z najszlachetniejszych rodzin Izraela. Było to właściwie zaaranżowane małżeństwo, choć Łazarz miał

możliwość wybrać sobie żonę spośród trzech dziewcząt. Martę wybrał ze względów praktycznych. Jako najstarsza, odznaczała się trzeźwością i odpowiedzialnością, miała też więcej doświadczenia w prowadzeniu domu. Młodsze wydawały się zbyt frywolne i nieco zepsute; martwił się, że źle wpłyną na jego siostrę. Wszystkie dziewczęta były urocze, ale piękno Marty było najpogodniejsze. Jej obecność działała na niego niezwykle uspokajająco.

Ów praktyczny związek przekształcił się w wielką miłość i Marta otworzyła serce Łazarza. Kiedy jego matka zmarła nagle, pozbawiając opieki małą Marię, Marta bez trudu przejęła rodzicielskie obowiązki.

Maria rozmyślała o Marcie, kiedy przystanąła, by odpocząć w cieniu ulubionego drzewa. Nazajutrz miał się zjawić arcykapłan Jonatan Annasz, co oznaczało początek uroczystości weselnych. Wiedziała, że nie będzie mogła wymykać się bez opieki przez bardzo długi czas, więc postanowiła jak najpełniej wykorzystać tę okazję. Zaiste, nadejdzie chwila - o czym wszyscy doskonale wiedzieli - kiedy to będzie zmuszona opuścić ukochany dom i wyruszyć na południe ze swym przyszłym mężem. Jej mężem!

Eza.

Sama myślała o człowieku, który był z nią zaręczony, wypełniła serce Marii ciepłym blaskiem. Każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć pozycji przyszłej królowej u boku króla. Ale nie tylko to sprawiało jej radość; cieszyła się ze względu na osobę samego mężczyzny. Ludzie zwali go Jezua, najstarszym synem i spadkobiercą domu Dawida. Ale Maria posługiwała się jego dziecięcym przezwiskiem, Eza, ku wielkiemu zgorszeniu brata i Marty. „Nie wypada obdarzać takim imieniem naszego przyszłego króla i wybranego

przywódcy narodu, Mario", zbeształ ją Łazarz podczas ostatnich odwiedzin Ezy. „Marii wypada to czynić”, usłyszał w odpowiedzi głęboki, łagodny głos, który z łatwością przyciągał uwagę. Łazarz umilkł na te słowa. Spojrzał za siebie i zobaczył Syna Lwa we własnej osobie, Jezusę, który oznajmił: „Maria zna mnie od czasów, gdy była maleńkim dzieckiem, i zawsze tak mnie nazywała. Nie zmieniałbym tego za nic w świecie”.

Brat Marii sprawiał wrażenie osłupiałego, dopóki Eza nie rozładował sytuacji uśmiechem. Było w nim coś magicznego, jakieś ciepło, któremu nie sposób było się oprzeć. Reszta wieczoru upłynęła wspaniale, wśród ludzi najbardziej umiłowanych przez Marię; skupili się wokół Ezy i słuchali jego mądrości.

Leżąc pod większym z dwóch drzew oliwnych, Maria odpląnęła w sen zesłany przez popołudniowe słońce, a pod jej przymkniętymi powiekami tańczył obraz przyszłego męża.

Maria poczuła na twarzy przesuwający się cień i pomyślała z przerażeniem, że zasnęła. Zmierzchało! Łazarz będzie wściekły.

Lecz kiedy potrząsnęła głową, by dojsć do siebie, uświadomiła sobie, że wciąż jest dzień, a nad górą Arbel świeci słońce. Maria spojrzała gwałtownie w górę, by zobaczyć, coż takiego zacięło jej pogrążoną we śnie twarz. Westchnęła, zdumiona, potem, na widok postaci przed sobą, zerwała się z chyżością zakochanej dziewczyny.

- Eza! - pisnęła radośnie.

Rozwarł ramiona i obejmował ją przez chwilę, potem cofnął się o krok, by popatrzeć na jej cudną twarz.

- Moja mała gołąbeczko - zwrócił się do niej imieniem, jakie nadał jej w dzieciństwie. - Czy to możliwe, byś piękniała z każdym dniem?

- Eza! Nie wiedziałam, że przyjdiesz. Nikt mi nie powiedział...

- Nie wiedzieli. Też się zdziwią. Nie mogłem jednak pozwolić, by przygotowania do mego ślubu odbywały się beze mnie.

I znów obdarzył ją swym zniewalającym uśmiechem. Maria przyglądała się przez chwilę bacznie jego twarzy, intensywnie ciemnym oczom, podkreślonym przez ostre kości policzkowe. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, najpiękniejszym na świecie.

- Ale mój brat mówi, że nie jest bezpiecznie, byś teraz tu przebywał.

- Twój brat jest człowiekiem, który za bardzo się martwi - zapewnił ją Eza. - Bóg dopomoże i ochroni.

Kiedy Eza do niej mówił, Maria spuściła wzrok i uświadomiła sobie ze zgrozą, jak niechlujnie wygląda. Jej długie do pasa włosy były splątane i poprzetykane żdzębami trawy i liśćmi; stanowiły odpowiednią oprawę dla odsłoniętych i umorusanych ziemią rąk. W tej chwili nie przypominała nawet odrobinę przyszłej królowej. Jąkając się, zaczęła przeproszać za swój wygląd, ale Eza przerwał jej serdecznym, dźwięcznym śmiechem.

- Nie martw się, moja gołąbeczko. To ciebie przyszedłem zobaczyć, nie twoje odzienie. - Wyjął listek z jej włosów.

Uśmiechnęła się do niego, poprawiając szatę i otrzepując się z kurzu.

- Mój brat nie zobaczy mnie w takim stanie - rzekła z udawaną troską.

Łazarz był bardzo surowy w sprawach etykiety i honoru; straciłby panowanie nad sobą, gdyby wiedział, że jego siostra stoi teraz w ogrodzie, bez opieki i w niestosownym stroju, i to w obecności przyszłego króla Dawidowego.

- Poradzę sobie z Łazarzem - zapewnił ją Eza. - Ale na wszelki wypadek pobiegnij do domu i udawaj, że mnie nie widziałas. Wyjdę od tyłu i wrócę wieczorem, kiedy zostaną odpowiednio zapowiedziany. W ten sposób ani twój brat, ani Marta nie będą zaskoczeni.

- Więc zobaczą cię wieczorem - powiedziała Maria, nagle onieśmielona.

Zwlekała jeszcze przez chwilę, po czym ruszyła w stronę domu.

- Udawaj zaskoczoną! - zawołał za nią Eza i roześmiał się, rozbawiony widokiem przyszłej żony, która biegła boso przez ogród.

Ten dzień i następna noc miały odcisnąć się w pamięci Marii niezatartym piętnem do końca jej życia. Były to ostatnie chwile, gdy jeszcze wiedziała, co oznacza być wolną, młodą, zakochaną i szczęśliwą.

Jonatan Annasz rzeczywiście zjawił się następnego dnia, ale w innym niż zamierzony celu. Polityczny i duchowy klimat Jeruzalem dowodził narastającej niestabilności; zmieniły się plany, by zapobiec groźbie konfliktu z Rzymianami. Arcykapłani wybrali nowego przywódcę podczas tajnego posiedzenia Rady, tej samej, która uznała, że Jezua nie nadaje się na kogoś, kto miałby przejąć obowiązki namaszczonego. Członkowie Rady zjawili się wraz z Annaszem, by przedstawić swe decyzje.

Kiedy przybyli, Maria została odesłana wraz z Martą z izby, ale nie zgodziła się pozostawać w ukryciu, gdy o jej przyszłości decydowali najpotężniejsi ludzie narodu. Eza uśmiechnął się do niej, by dodać jej odwagi, ale ona dostrzegła w jego oczach coś, co napełniło ją lękiem. Nie pewność. Nigdy wcześniej jej u niego nie zauważyła, teraz jednak nie mogła się mylić, i to ją przeraziło. Wbrew ży czeniom Marty Maria schowała się w korytarzu pod izbą i słuchała.

Z pomieszczenia dobiegały podniesione głosy i krzyki, mężczyźni mówili jeden przez drugiego. Chwilami trudno się było zorientować, o co chodzi. Ostry głos, donośny i chrapliwy, należał do Jonatana Annasza.

- Sam to na siebie sprowadziłeś, sprzymierzając się z ze lotami. Rzymianie nigdy nie pozwolą nam na jakiegokolwiek przymierze z tobą, ponieważ wśród twoich zwolenników są zabójcy i buntownicy. Prosilibyśmy się o rzeź na własnym narodzie.

- Akceptuję każdego człowieka, który decyduje się pójść za mną i poszukiwać Królestwa Bożego. - Spokojny, melodyjny głos należał do Ezy. - Zeloci uznają mój Dawidowy rodowód. Jestem ich prawowitym zwierzchnikiem.

I waszym.

- Nie rozumiesz, z kim mamy do czynienia - odparł gniewnie Annasz. - Nowy prokurator, Poncjusz Piłat, to barbarzyńca. Rozleje tyle krwi, ile mu się spodoba, by stłu mić nasze żądania, nawet te najbardziej oczywiste. Obnosi się po ulicach ze swymi pogańskimi sztandarami, wybija na naszych monetach symbole bluźnierstwa, a wszystko po to, by nam przypomnieć, że jesteśmy bezradni. Nie zawaha się wyeliminować kóregokolwiek z nas, jeśli uzna, że wspiera liśmy ze Świątyni bunt przeciw Rzymowi.

- Tetrarcha nas wesprze - odparł Eza. - Być może będzie interweniował u nowego prokuratora.

Annasz splunął.

- Herod Antypas nie wspiera nikogo i niczego prócz własnej żądzy i przyjemności. Rzym mu to zapewnia. He rod jest Żydem tylko wtedy, gdy służy to jego ambicjom.

- Jego żona jest Nazarejką - oświadczył Eza.

Po tych słowach zapadło milczenie.

Eza przyjmował liberalne nauki Nazarejczyków, którym przewodziła jego matka. Nazarejczycy nie przestrzegali prawa tak surowo jak Żydzi świątynni. Między innymi dopuszczali kobiety do swych obrzędów i nawet uznawali je jako proroków. Pozwalali nawet nie-Żydom przysłuchiwać się swoim naukom i uczestniczyć w nabożeństwach.

Choć Annasz podkreślał, że frakcja zelotów stanowi główny powód wycofania poparcia dla Ezy, każdy z obecnych wiedział, że to tylko pretekst. Nauki Ezy były zbyt rewolucyjne, odznaczały się zbyt dużym wpływem Nazarejczyków. Kapłani ze Świątyni nie mogli go po prostu kontrolować.

Wspominając o żonie Heroda jako Nazarejce, Eza rzucał kapłanom Świątyni wyzwanie. Zamierzał przyjąć przepowiedzianą rolę króla Dawidowego i mesjasza bez ich udziału, i uczynić to jako Nazarejczyk. Taki wybór był wysoce ryzykowny. Choć mogło to umniejszyć potęgę świątynnego kapłaństwa, mogło również działać przeciwko samemu Ezie, gdyby lud wycofał swe poparcie dla niego na rzecz tradycyjnych przywódców.

Annasz jednak nie zakończył jeszcze swego ataku. Jego głos zadźwięczał donośnie w pełnej napięcia atmosferze izby.

- Ten, który ma oblubienicę, jest oblubieńcem.

W pomieszczeniu znów zapadła cisza, Maria zaś skamieniała, stojąc za drzwiami. Język miała suchy jak wiór.

Słowa te były odwołaniem do *Pieśni nad Pieśniami*, poematu napisanego przez króla Salomona na cześć dynastycznego związku szlachejnych domów Izraela. W tym wypadku była to celowa i wyraźna aluzja do zaręczyn Marii i Ezy. By król mógł rządzić swym ludem, tradycja nakazywała, by pojął za żonę narzeczoną z równie wysokiego królewskiego rodu. Maria, jako potomkini króla Saula, i to wywodząca się z plemienia Beniamina, była księżniczką krwi w Izraelu. A jako taka była od najwcześniejszych lat zaręczona z Jezua, synem Lwa z pokolenia Judy. Pokolenia Judy i Beniamina od pradawnych czasów były ze sobą powiązane, a małżeństwa dynastyczne tych dwóch linii królewskich zawierano od czasu, gdy córka Saula, Michał, poślubiła Dawida.

By zostać królem zgodnie z nakazami prawa, trzeba było zawrzeć związek z królową. Annasz wysuwał niedwuznaczną groźbę pod adresem narzeczonych.

Jako następny przemówił brat Marii. Łazarz był człowiekiem, który cały czas panował nad swoimi uczuciami, i tylko stojący najbliżej mogli usłyszeć nutę napięcia w jego głosie, gdy zwrócił się do arcykapłana:

- Jonatanie Annaszu, moja siostra jest zaręczona z Jezua z nakazu prawa. Prorocy wskazali go jako mesjasza naszego ludu. Nie rozumiem, jak możemy zboczyć z tej drogi, którą wybrał dla nas Bóg.

- Śmiesz mi mówić, jaką drogę wybrał dla nas Bóg? - warknął Annasz.

Maria skuliła się za drzwiami. Łazarz był człowiekiem prawym i nigdy by nie obraził arcykapłana.

- Uważamy, że Bóg wybrał innego człowieka - ciągnął Annasz. - Sprawiedliwego obrońcę prawa, człowieka, który zdoła zachować wszystko, co dla naszego ludu święte, nie będąc jednocześnie politycznym przeciwnikiem Rzymian.

Oto wypowiedziano prawdę, tak aby wszyscy mogli ją usłyszeć. Sprawiedliwy obrońca prawa. Tym samym Annasz dawał Ezie do zrozumienia, że pomimo jego nieskazitelnego pochodzenia dynastycznego nie będą tolerować nazarejskich reform.

-1 któż to taki? - spytał cicho Eza.

-Jan.

- Chrzciiciel? - Łazarz nie krył zdumienia.

- Pochodzi z rodu Lwa - wtrącił ktoś śpiewnie chrapliwym głosem, którego Maria nie rozpoznała. Był to zapewne młodszy arcykapłan, Kajfasz, zięć Annasza.

- Ale nie z rodu Dawida - odrzekł Eza.

- Nie - odparł Annasz. - Ale jego matka pochodzi z kapłańskiej linii Aarona, ojciec zaś z linii Zadoka. Ludzie uważają, że jest spadkobiercą proroka Eliasza. Wystarczy, by inni za nim poszli, jeśli poślubi odpowiednią księżniczkę.

Wrócili do punktu wyjścia. Annasz zjawił się tutaj, by dopilnować zaręczyn Marii z człowiekiem, którego sami wybrali na mesjasza. Ona zaś była towarem, jakiego potrzebowali, by uprawomocnić królewskość, taką czy inną.

Głos, który się rozległ, był gniewny, rozkrzyczany. Maria nigdy nie spotkała Jakuba, młodszego brata Ezy, ale domyślała się, że to jego teraz słyszy. Mówił jak Eza, ale bez tego opanowania, którym zawsze odznaczał się jego starszy brat.

- Nie możecie wybierać mesjasza jak przedmiotu na bazarze. Wszyscy wiemy, że Jezua jest wybranym, który ma wprowadzić nasz naród z niewoli. Jak śmiesz wskazywać kogoś innego, tylko dlatego że boisz się o swoją uprzywilejowaną pozycję?

Wybuchła wrzawa, gdy mężczyźni zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Rozdygotana Maria starała się rozróżnić

głosy i słowa. Wszystko miało się zmienić; czuła to każdym włóknem swego drobnego ciała.

Ochryply, władczy głos Annasza przebił się przez wrzawę niczym ostrze.

- Łazarzu, jako opiekun narzeczonej, tylko ty możesz zerwać zaręczyny i przeznaczyć córkę Beniamina temu, którego wybraliśmy. Teraz wszystko w twoich rękach. Lecz pozwól przypomnieć sobie, że twój ojciec był faryzeuszem i lojalnym sługą Świątyni. Znałem go dobrze. Oczekiwałyby, że uczynisz to, co dla twego narodu jest najlepsze.

Maria niemal wyczuwała przez drzwi ciężar spoczywający na barkach Łazarza. Nie mogła zaprzeczyć, że ich ojciec był oddany Świątyni i służył Prawu do śmierci. Jej matka była Nazarejką, ale nie miało to znaczenia dla takich ludzi. Łazarz przysiągł ich ojcu, kiedy ten leżał na łożu śmierci, że będzie przestrzegał Prawa i starał się za wszelką cenę zachować wysoką pozycję rodu Beniamina. Teraz stał przed okropnym wyborem.

- Pragniecie wydać moją siostrę za Chrzeciela? - spytał ostrożnie.

- Jest sprawiedliwym człowiekiem i prorokiem. I gdy zostanie już namaszczonego na mesjasza, twoja siostra zajmie jako jego żona taką samą pozycję, jaką zajmowałaby u boku obecnego tu Jezusy.

- Jan to pustelnik, asceta - wtrącił Eza. - Nie pragnie ani nie potrzebuje żony. Godzi się dobrowolnie żyć w odosobnieniu, uważa bowiem, że dzięki temu jest bliższy głosowi Boga. Zniszczylibyście jego samotność i położyli kres jego dziełu, zmuszając do małżeństwa i odpowiedzialności wynikającej z nakazów Prawa?

- Nie - odparł Annasz. - Do niczego byśmy Jana nie zmuszali. Poślubi dziewczynę, by potwierdzić w obliczu

ludu swój status mesjasza. Potem ona zamieszka w domu jego krewnych, on sam zaś będzie mógł powrócić do nauczania. Ona będzie pełnił obowiązki dynastyczne zgodnie z Prawem, on także.

Maria słuchała, modląc się, by udało jej się zapanować nad mdłościami ściskającymi żołądek i nie zdradzić swej obecności. Wiedziała, że „obowiązki dynastyczne zgodnie z Prawem” oznaczały posiadanie potomstwa - z Janem ascetą. Okropne było już samo to, że ludzie ci próbowali pozbawić ją największego szczęścia, o jakim marzyła - małżeństwa z Ezą. A w dodatku chcieli pozbawić go roli przyszłego króla.

Pozostawała jeszcze jedna kwestia - osoba samego Jana. Maria nigdy nie widziała tego człowieka, który nauczał na brzegach Jordanu i uchodził za postać legendarną wśród swego ludu. Był starszym kuzynem Ezy, lecz obaj różnili się bardzo temperamentem. Eza niezwykle szanował Jana, często mówił o nim jako o wielkim słudze bożym i sprawiedliwym człowieku. Lecz Eza dostrzegał też jego ograniczenia. Wyjaśnił to Marii, kiedy spytała go o tego płomienego kaznodzieję, który chrzczył wodą. Jan odrzucał kobiety, nie-Żydów, ułomnych i wszystkich, których uważał za nieczystych, podczas gdy Eza wierzył, że Słowo Boże należy się każdemu człowiekowi pragnącemu go słuchać. To nie jest przesłanie jedynie dla wybranych, tłumaczył Eza. To dobra nowina dla wszystkich. Te oto różnice stanowiły przyczynę sporu między Ezą a Janem.

Po śmierci rodziców Jan spędził długi czas na nagich i jałowych brzegach Morza Martwego. Zauroczyły go nauki tamtejszych esseńczyków z Qumran, surowej sekty ascetów, od których zapożyczył liczne ze swych surowych zasad. Sekta z Qumran żyła w prymitywnych warunkach i pogardzała tymi, których zwała „poszukiwaczami rzeczy gładkich”.

Mówili o Nauczycielu Sprawiedliwości, który przyniesie skrucę i ściśle wypełnianie Prawa.

Eza także spędził trochę czasu wśród esseńczyków i wyjaśniał Marii zasady wyznawane przez tych ludzi. Szanował ich oddanie Bogu i Prawu, chwalił także dobre i miłosierne uczynki. Pośród swych towarzyszy miał przez całe życie wielu esseńczyków i zwykł szukać w Qumran samotności, gdy pragnął medytować. Lecz gdy Jan przyjął surowe zasady tej sekty, Eza odrzucił ostatecznie wiele ich przekonań jako zbyt ciasne i surowe.

Eza przekazał Marii jeszcze więcej szczegółów dotyczących Jana; mówił o dziwnym sposobie jego odżywiania, jaki przyjął w Qumran, o szarańczy z miodem, i jego dziwnym stroju ze skór zwierzęcych i włosia wielbłądziego, które drażniło i kaleczyło mu skórę. Wyjaśniał, jak jego kuzyn Chrzyciel postanowił żyć na pustelni, pod gołym niebem, gdzie czuł się bliższy Bogu. Nie było to odpowiednie miejsce dla kobiety ze szlachetnego rodu czy jej dziecka. I nie był to z pewnością los, na jaki przygotowywano Marię przez całe jej młode życie.

Teraz wszystko zależy od Łazarza, pomyślała ze smutkiem. Mężczyźni w sąsiedniej izbie znów się kłócili, po jej policzkach zaś spływały łzy. Nie umiała już odróżnić głosów. Który należał do Łazarza i co on mówił? Jej brat kochał i szanował Ezę, jako człowieka i potomka Dawida, choć nigdy nie przekonał się do Drogi nazarejskiej. Łazarz przestrzegał ściśle tradycji; ich ojciec był faryzeuszem, jak i dobroczyńcą Świątyni w Jeruzalem.

Jonatan Annasz zmuszał go do podjęcia straszliwego wyboru: jeśli poprze Ezę, prawowitego króla i spadkobiercę wszelkich proroctw, zostanie wykluczony ze Świątyni.. Wynikało to jasno ze słów arcykapłana. Łazarz nie miałby wtedy

innego wyjścia, jak tylko sprzymierzyć się z Nazarejczykami i przyjąć reformatorskie credo, w które nie wierzył.

Bardziej umiarkowani pośród ludu, z Łazarzem włącznie, byli zadowoleni, dopóki Eza był uznawany zarówno przez Nazarejczyków, jak i kapłanów Świątyni. Lecz znajdowali się w przededniu straszliwego rozłamu, pełnej separacji dwóch stron, która zrodziłaby wrogość między wielkimi rodami królewskimi Izraela i doprowadziła do otwartej i gorzkiej rywalizacji. Wielu zwykłych ludzi musiałyby dokonać bolesnego wyboru.

W tej jednakże chwili Maria myślała tylko o tym, jaki wybór zostanie dokonany.

Decyzja Łazarza, by postąpić zgodnie z zasadami kapłanów Świątyni, nie tylko zniszczyłaby dziewczęce marzenia Marii i zmusiła do niechcianego małżeństwa. Był to wybór, który miał zmienić bieg historii na tysiące lat.

Eza umówił się tego wieczoru z Łazarzem, że to on przekaze Marii wieści. Łazarz się zgodził, prawdopodobnie z wielką ulgą, i Maria została wprowadzona do prywatnej izby, by spotkać się z mężczyzną, którego zawsze uważała za swego przyszłego męża.

Kiedy Eza ujrzał roztrzęsioną Marię i jej mokrą od łez twarz, od razu pojął, że słyszała większą część rozmowy. A gdy ona zobaczyła smutek w jego oczach, zrozumiała, że jej los został przypieczętowany. Rzuciła mu się w ramiona i płakała, dopóki nie przelała wszystkich łez.

- Ale dlaczego? - spytała. - Dlaczego się na to zgodziłeś? Dlaczego pozwoliłeś im odebrać sobie królestwo?

Eza pogładził ją po włosach i obdarzył uśmiechem.

- Być może moje królestwo nie jest z tej ziemi, mała gołąbeczko.

Maria potrząsnęła głową; nie zrozumiała. Eza to zauważył i mówił dalej:

- Mario, moim dziełem jest nauczanie Drogi, pokazywanie ludziom, że Królestwo Boże jest tuż obok, że mamy moc oswoobodzenia się tutaj i teraz z wszelkiej przemocy. Nie potrzeba mi ziemskiej korony czy królestwa, by tego dokonać. Muszę tylko dotrzeć do tylu ludzi, do ilu tylko zdołam, by podzielić się z nimi słowem o Bożej Drodze. Zawsze sądziłem, że odziedziczę tron Dawidowy i że ty zasiądziesz obok mnie, ale jeśli nie może się to dokonać, musimy poddać się woli Boga.

Maria zastanawiała się nad jego słowami, starając się zaakceptować je i okazać odwagę. Została wychowana jako księżniczka; dlatego dano jej imię Maria, przeznaczone zgodnie z tradycją nazarejską wyłącznie dla córek szlacheckich rodów. Była też przygotowywana przez kobiety nazarejskie, którym przewodziła matka Ezy. Wielka Maria bardzo wcześnie przejęła pieczę nad wychowaniem Marii, od jej najmłodszych lat, by przygotować ją do życia z synem Dawidowym, ale także zapoznać z duchowymi naukami odnowionej wiary. Raz poślubiona Ezie, Maria nałożyłaby czerwoną chustę kapłanek nazarejskich, taką samą, jaką nosiła Wielka Maria.

Teraz jednak miało stać się inaczej.

Maria nie mogła znieść tej straty i znów zaczęła płakać. Jednocześnie uderzyła ją straszliwa myśl, a ciałem wstrząsnął niepowstrzymany szloch.

- Ezo? - wyszeptwała, z trudem zadając to pytanie.

-Tak?

- Czy... kogo teraz poślubisz?

Eza popatrzył na nią z tak bezbrzeżną czułością, że Maria poczuła się, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. Ujął jej dłonie i przemówił cichym, lecz zdecydowanym głosem:

- Pamiętasz, co powiedziała moja matka, kiedy ostatnio przyszłaś do mojego domu?

Maria uśmiechnęła się przez łzy.

- Nigdy tego nie zapomnę. Rzekła: „Bóg uczynił cię do skonałą towarzyszką dla mego syna. Staniecie się jednym ciałem. Nie będzie już dwojga, tylko jedno. A co Bóg złą czył, niechaj człowiek nie waży się rozdzielać”.

Eza skinął głową.

- Moja matka jest najmądrzejszą kobietą i wielką pro rokiną. Dojrzała, że zostałaś mi przeznaczona przez Boga. Jeśli postanowił w swym planie, że nie będę cię miał, *to* nie będę miał innej.

Poczuła falę ogromnej ulgi. Myśl, że u boku Ezy mogłaby stanąć inna kobieta, byłaby najstraszniejsza ze wszystkich. Przypomniała sobie o czymś.

-Ale... jeśli mam zostać żoną Jana... to nigdy mi nie pozwoli zostać nazarejską kapłanką.

- Nie, Mario - odparł z powagą Eza. - Jan będzie na legał, byś przestrzegała Prawa jak najściślej. Pogardza od nową wśród naszego ludu; może być dla ciebie bardzo surowy i zmuszać cię do ciężkiej pokuty. Ale pamiętaj, co ci mówiłem i czego również uczyła cię moja matka. Kró lestwo Boże jest w twym sercu i żaden prześladowca - ani Rzymianie, ani nawet Jan - nie może ci go odebrać. - Ujął jej brodę i spojrzał w wielkie orzechowe oczy. - Słuchaj uważnie, moja gołąbeczko. Musimy przebyć tę ścieżkę z godnością i uczynić to, co jest słuszne dla dzieci Izraela.

Innymi słowy, nie mogę w tej chwili sprzeciwić się Jonatanowi Annaszowi i Świątyni. Uszanuję ich decyzję, by nauka Drogi mogła przebiegać w spokoju i rozprzestrzeniać się po ziemi. Zgodziłem się też uczynić dwie rzeczy, ażeby okazać w ten sposób swoje poparcie. Będę uczestniczył wraz z matką w twych zaślubinach z Janem i pozwolę mu się ochrzcić na oczach innych, czym dowiodę, że uznaję jego duchowy autorytet.

Maria skinęła głową. Wiedziała, że podaży ścieżką, którą jej wyznaczono; był to jej obowiązek jako córki Izraela. Nie wątpiła, że siła Ezy i jego słowa miłości dopomogą jej w tym.

Ucałował leciutko czubek jej głowy i odwrócił się, by odejść.

- Jesteś taka silna, choć taka drobna - rzekł łagodnie. - Zawsze tę siłę w tobie widziałem. Pewnego dnia będziesz wielką królową, przywódczynią naszego ludu.

Przystanął przy drzwiach, by popatrzeć na nią ostatni raz i obdarzyć ostatnią myślą. Przyłożył dłoń do serca.

- Pozostanę z tobą na zawsze.

Jan Chrzciciel nie poddał się manipulacji tak łatwo, jak oczekiwał tego Jonatan Annasz i jego Rada.

Kiedy przybyli do niego ze swoją propozycją, Jan zagrzmiał przeciwko ich niesprawiedliwości i nazwał ich plemieniem żmijowym. Przypomniał im, że mają już mesjasza w osobie jego kuzyna, proroka wybranego przez Boga, i że on, Jan, nie jest godzien przyjąć takiego zaszczytu. Kapłani odparli, że lud obwołał Jana wielkim prorokiem, spadkobiercą Eliasza. Jan jednak odrzekł:

- Nie jestem ani jednym, ani drugim.
- Wobec tego powiedz nam, czym jesteś, byśmy mogli to powiedzieć ludowi Izraela, który podąży za tobą jako prorokiem i królem - poprosili.

Jan odpowiedział im enigmatycznie:

- Jestem głosem wołającego na pustyni.

Potem odesłał faryzeuszy, ale przebiegły młody kapłan Kajfasz dostrzegł w dziwnych słowach Jana „Jestem głosem wołającego na pustyni” odwołanie do proroka Izajasza. Czyżby Jan, poprzez labirynt Pisma, w rzeczywistości sam siebie nazywał prorokiem? Czy poddawał kapłanów jakiejś próbie?

Wysłannicy Świątyni powrócili nazajutrz i tym razem poprosili Jana o chrzest. On zaś nalegał, by odpokutowali wszystkie grzechy, nim zechce rozważyć ich propozycję. Ugodziło to kapłanów, ale wiedzieli, że muszą postępować zgodnie z głoszonymi przezeń zasadami albo ryzykować utratę jego osoby jako kluczowej dla ich zamiarów. Przyjęcie chrztu z rąk Jana umocniłoby ich pozycję wśród nieprzebranych rzesz, które ogłosiły Jana prorokiem, o co właśnie chodziło.

Kiedy kapłani potwierdzili odbycie pokuty, Jan zanurzył ich w Jordanie, ale upomniał: „Ja was chrzczę wodą dla nawrócenia, lecz Ten, który idzie za mną, mocniejszy jest ode mnie”.

Kapłani pozostali tego dnia z Janem i, gdy tłum na brzegu się przeredził, zaczęli mówić mu o swym planie. Jan nie chciał o tym słyszeć. Między innymi sprzeciwił się całkowicie wzięciu sobie żony, a już na pewno nie kobiety, która była zaręczona z jego kuzynem. Lecz Rada była przygotowana na obiekcje Jana i rozważyła je zawczasu, mając na uwadze jego zajadłość. Kapłani powiedzieli o Łazarzu*

sprawiedliwym i wysoko postawionym potomku domu Beniamina, i o tym, jak ten dobry człowiek lękał się, że jego pobożna siostra znajdzie się poprzez zaślubiny w kręgu Nazarejczyków.

Chrzciiciel wzdrygnął się na tę wieść. Ujawniła się tu słabość Jana. Choć przychylił się do prorocत्व mówiących, że Jezua jest wybranym, z coraz większą troską spoglądał na ścieżkę, którą jego kuzyn podążał wraz z Nazarejczykami, i na ich jawne lekceważenie Prawa. Jan odesłał kapłanów i oświadczył, że to koniec rozmowy. Odeszli, nie zmieniawszy jego stanowiska.

Tego samego dnia na wschodnich brzegach Jordanu zjawiał się Eza, by spełnić obietnicę daną Annaszowi. Towarzyszył mu wielki orszak wyznawców, gdyż spotkanie dwóch tak czczonych ludzi przyciągnęło na brzeg rzeki tłumy. Gestem uniesionej dłoni Jan powstrzymał Ezę, gdy ten chciał doń podejść.

- Ty przychodzisz do mnie? - spytał. - To ja potrzebuję chrztu od Ciebie.

Eza uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Musimy zrobić to teraz, bo tak godzi się nam wypełnić wszystko co sprawiedliwe.

Jan przytaknął, nie okazując zdziwienia ani jakichkolwiek emocji wobec tak jawnego oświadczenia. Był to pierwszy raz, gdy obaj spotkali się od czasu podstępnej próby Annasza, i pierwsza okazja, by ocenić się nawzajem. Chrzciiciel powiódł Ezę na bok, z dala od uszu obecnych, i przemówił starannie dobranymi słowami, by ocenić stanowisko swego kuzyna.

- Ten, kto ma oblubienicę, ten jest oblubieńcem.

Eza nie okazał żadnej reakcji na słowa Jana. Skinął tylko głową.

- Lecz przyjaciel oblubieńca, który stoi i słyszy go, radu je się wielce z jego głosu - kontynuował Jan. - Raduję się z twego dobrowolnego daru sprawiedliwości, jeśli prawdą jest, że dajesz go nieprzymuszony.

Eza ponownie potwierdził skinieniem głowy swą zgodę.

- Będę spełniony jako przyjaciel oblubieńca. Muszę się umniejszyć, byś został wyniesiony, i niechaj tak będzie.

Była to gra słów, rodzaj tańca między dwoma wielkimi prorokami, z których każdy uznawał polityczne stanowisko drugiego. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że jego kuzyn zgodził się pokojowo przekazać mu swą pozycję jak i oblubienicę, Jan zwrócił się do tłumów zgromadzonych na brzegach Jordanu i oświadczył głośno, przywołując do siebie Ezę:

- Po mnie przyjdzie Mąż, który przewyższył mnie godnością, gdyż był wcześniej ode mnie.

Eza został zanurzony w wodzie, gdy rozbrzmiewały słowa Jana. Starannie je dobrał, wskazując, że jeśli ma zająć miejsce mesjasza, to Eza będzie następcą tronu, jeśli cokolwiek się wydarzy. „Był wcześniej ode mnie” oznaczało dobitnie, że Jan wciąż uznaje proroctwa odnoszące się do narodzin Ezy. Owo stwierdzenie miało chronić Jana w przypadku umiarkowanych, którzy go wspierali i lękali się reform Nazarejczyków, ale też oddawało sprawiedliwość Ezie jako dziecku proroctw. Jego pierwsze słowa: „Po mnie przyjdzie mąż” dowodziły, że Jan rozważa możliwość przyjęcia roli namaszczonego. Łatwo było zapewne nie docenić Jana, kaznodziei z pustelni, w jego dziwnym odzieniu i z jego skrajnym obyczajem ewangelicznym. ; Lecz słowa, które tego dnia padły na brzegach Jordanu, wskazywały, że jest znacznie mądrzejszym politykiem, niż • wielu sądziło.

Kiedy Eza wynurzył się z wody, lud wzniosł okrzyki radości na cześć tych dwóch ludzi, pokrewnych proroków, którzy zostali obdarzeni dotykiem Boga. Potem jednak w dolinie rzeki zapadła cisza, na niebie bowiem ukazał się samotny biały gołąb, po czym sfrunął łagodnie na głowę Ezy, Lwa Dawidowego. Była to chwila, którą mieli aż po kres ziemi zapamiętać ludzie z doliny Jordanu i zewsząd.

Kajfasz powrócił nazajutrz nad Jordan w otoczeniu faryzeuszy. Zaplanował z niezwykłą starannością postępowanie wobec Jana. Chrzest Ezy poprzedniego dnia nie służył celowi, jaki przyświecał Kajfaszowi i Annaszowi. Wierzyli, że poprzez poddanie się temu rytuałowi Eza publicznie uzna wyższość Jana. Wydarzenie owo przypomniało jednak ludziom, że kłopotliwy Nazarejczyk jest wybranym, zgodnie z prorocstwem. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, faryzeusze musieli umniejszyć siłę idei, wedle której Eza był mesjaszem. Jedynym wyjściem było jak najszybsze obdarzenie tym tytułem kogoś innego, czyli tylko i wyłącznie Jana.

Lecz on niepokoił się znakiem gołębia. Czy ten ptak, który pokazał się na niebie po chrzcie, nie stanowił dowodu, że Eza jest wybrańcem Boga? Jan wahał się, w końcu postanowił uznać stanowisko kuzyna. Kajfasz, który słuchał z uwagą nauk swego teścia, był przygotowany na taką sytuację i przystąpił do natarcia.

- Twój nazarejski kuzyn był dzisiaj wśród trędowatych - oświadczył Janowi.

Jan osłupiał. Nie znał nikogo bardziej nieczystego niż owi nieszczęśnicy porzuceni przez Boga. A to, że Eza udał się po chrzcie do tych istot, było niewiarygodne.

- Jesteś pewien? - spytał.

- Tak - odparł z powagą Kajfasz. - Przykro mi donieść, że przebywał dziś rano w najbardziej nieczystym miejscu. Powiedziano mi, że głosił im słowo o Królestwie Niebieskim. Pozwalał im się nawet dotykać.

Jan był zdumiony, że Eza posunął się tak daleko, i to tak szybko. Wiedział bardzo dobrze, że Nazarejczycy głęboko wpłynęli na jego kuzyna. Czyż jego matką nie była Maria, przywódczyni tej grupy? Ale jednocześnie była kobietą, a tym samym kimś nieistotnym, z tą różnicą, że miała na swego syna ogromny wpływ. Jeśli jednak Eza w niespełna dzień po chrzcie zanurzył się w świecie nieczystych, to być może Bóg się od niego odwrócił.

No i pozostawała jeszcze ta dziewczyna, córka Beniamina. Jan był głęboko zaniepokojony, że nazywano ją Marią - imieniem nazarejskim, które dowodziło, że wpojono jej niestosowne nauki.

Lecz należało także rozważyć proroctwo dotyczące samej dziewczyny, i to z całą powagą, ze względu na dobro ludu. Wierzano, że jest córką Syjonu, zgodnie ze słowami księgi proroka Micheasza. Fragment ten odnosił się do *Migdal-Eder*, Wieży Trzody, pasterki, która mała poprowadzić ludzi: „A ty, Wieżo Trzody, Ostojo Córy Syjonu, do ciebie dawna władza powróci, władza królewska do Córy Jeruzalem”.

Jeśli Maria rzeczywiście była przepowiedzianą przez proroctwo kobietą, to Jan miał obowiązek dopilnować, by nie zбочyła z prostej ścieżki sprawiedliwości. Kajfasz zapewnił go, że dziewczyna jest dostatecznie młoda i pobożna, i że on, Jan, zdoła ją wyuczyć wedle najbardziej tradycyjnych reguł Prawa, jakie uzna za stosowne. Na dobrą sprawę jej brat błagał ich, by uczynili to, nim będzie za późno. Zaręczyny

córki Beniamina z Ezą zostały unieważnione w oparciu o jego nazarejskie skłonności. Było to jak najbardziej akceptowane przez Prawo. Czy arcykapłan, Jonatan Annasz, osobiście spisał dokument unieważnienia?

Co najważniejsze, Eza i jego uczniowie nazarejscy nie sprzeciwiali się tej decyzji i obiecali opowiedzieć się za Janem w jego roli namaszczonego. Eza zgodził się nawet uczestniczyć w uczcie weselnej na znak swego poparcia. Nie było w tej propozycji nic, czemu można by się sprzeciwić. Gdyby Jan poślubił księżniczkę Beniamina i stał się namaszczonym, liczba ochrzczonych przez niego wzrosłaby dziesięciokrotnie. Zdołałby dotrzeć do wielu grzeszników i pokazać im drogę pokuty. Stałby się Nauczycielem Sprawiedliwości z prorocstw przodków.

Stojąc przed możliwością nawrócenia rzesz zbłąkanych i nauczania dzieci Izraela ścieżki pokuty, Jan zgodził się poślubić dziewczynę z plemienia Beniamina i zająć miejsce w dziejach swego narodu.

Zaślubiny Marii, córki domu Beniamina, i Jana Chrzciciela pochodzącego z kapłańskiego rodu Aarona i Zadoka, odbyły się na wzgórzu Kana w Galilei. Uczestniczyli w nim wysoko urodzeni, Nazarejczycy i faryzeusze. Zgodnie z obietnicą, Eza zjawił się wraz z matką, braćmi i grupą uczniów.

Pobożna matka Jana, Elżbieta, była kuzynką matki Ezy, Marii. Lecz Elżbieta i jej mąż Zachariasz nie żyli już od kilku lat. Nie zjawił się więc z jego strony nikt bliski, kto mógłby się zająć przygotowaniem do uroczystości, a sam Jan nie znał obyczajów weselnych ani też o nie nie dbał. Kiedy Wielka Maria zauważyła, że goście nie są odpowiednio

traktowani, postanowiła zająć się wszystkim jako starsza niewiasta z rodziny Jana. Podeszła do miejsca, gdzie siedział jej syn z kilkoma uczniami, i rzekła:

- Nie mają już wina.

Eza popatrzył na matkę.

- Czyż to moja lub twoja sprawa, niewiasto? - spytał ją. - To nie moje gody. Nie wypada mi się wtrącać.

Maria nie zgodziła się z nim i głośno mu to oznajmiła. Przede wszystkim czuła się w obowiązku dopilnować, by uczta, przez pamięć na osobę Elżbiety, przebiegała odpowiednio. Poza tym Maria była mądrą kobietą, która знаła ludzi i prorocтва. Wiedziała, że oto nadarza się wspaniała okazja, by przypomnieć zgromadzonym gościom i kapłanom o wyjątkowej pozycji syna w społeczności. Eza zgodził się, choć niechętnie.

Maria wezwała sługi i wydała im polecenie:

- Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie.

Słudzy czekali na wskazówki Ezy. Po chwili zażądał, by przynieśli mu sześć dużych stągwi, z których każda miała być po brzegi napełniona wodą. Słudzy uczynili to, stawiając przed nim kamienne naczynia. Zamknął oczy i zmówił modlitwę, przesuwając jednocześnie dłońmi po stągwiach. Kiedy skończył, nakazał sługom zaczerpnąć napoju. Pierwsza ze służących kobiet zrobiła to i aż upuściła kubek do rozlewania trunku. W kamiennych naczyniach nie było już wody. Każde wypełniało słodkie czerwone wino.

Eza polecił słudze zanieść kubek Kajfaszowi, który pełnił obowiązki gospodarza. Kajfasz uniósł naczynie ku Janowi, panu młodemu, i pochwalił jakość wina.

- Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, daje gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory — zażartował.

Jan spojrział na Kajfasza zdumiony. Ani on, ani arcykapłan nie mieli pojęcia, co się wydarzyło. Jedynym znakiem były ciche głosy kilkorga sług i uczniów nazarejskich. Nie upłynęło jednak dużo czasu, a wszyscy w Galilei wiedzieli dokładnie, co wydarzyło się na weselu w Kanie.

Po weselu Jana i Marii nikt nie mówił o oblubieńcu i oblubienicy. Dynastyczny związek został całkowicie przyćmiony przez rzecz o wiele bardziej niezwykłą. Tematem rozmów zwykłych ludzi było cudowne przemienienie wody w wino przez młodego proroka. W północnym rejonie Galilei imię Ezy gościło na ustach wszystkich. Był ich mesjaszem, bez względu na knowania Świątyni.

Moc i popularność Jana sięgały aż na południe, od brzegów Jordanu niedaleko Jerycha, przez Jeruzalem, aż do pustynnych obszarów Morza Martwego. Zachęceni przez kapłanów, wyznawcy Jana napływali ze wszystkich stron, aż brzeg rzeki wezbrał od ludzi proszących o chrzest. Upór Jana, który uważał, że wszyscy oni powinni przestrzegać jak najsurowiej Prawa, znacznie zwiększył liczbę składanych ofiar - a tym samym zawartość skarbcza Świątyni. Wszyscy byli zadowoleni z takiego porządku rzeczy.

Wszyscy z wyjątkiem Marii Magdaleny, która była teraz poślubiona Chrzcielowi. Być może należało dziękować Bogu, że ani oblubienica, ani oblubieniec nie pragnęli tego związku. Jan chciał jedynie pozostać na pustelni i kontynuować dzieło Boże. Zgadzał się postępować wedle Prawa, które nakazywało mężczyźnie płodzenie potomków, i odwiedzać żonę w odpowiedniej porze, by ów nakaz spełniać. Pomijając jednak te chwile, szczegółowo określone przez

Prawo i tradycję, nie interesowało go towarzystwo jakiegokolwiek kobiety.

Znalezienie siedziby dla Marii było pierwszym obowiązkiem świeżo ożenionego Jana. Nie ukrywał, że oblubienica nie jest mile widziana w pobliżu miejsca jego posługi duchowej. Zresztą esseńczycy z Qumran nie dopuszczali kobiet do wspólnego życia, tylko wysyłali do osobnych domów, gdyż niewiasty były w sposób naturalny nieczyste. Jego matka nie żyła, co komplikowało sprawę. Gdyby Elżbieta wciąż chodziła po ziemi, Maria zamieszkałaby w domu teściów.

Jan i Łazarz omówili rzecz przed ślubem, Maria zaś wcześniej przekazała bratu swe życzenie. Łazarz nalegał, by jego siostra mogła nadal mieszkać z nim i Martą w rodzinnych domostwach w Magdali i Betanii. Zapewniłoby to dziewczynie stałe towarzystwo, jak i właściwą opiekę ze strony dwojga pobożnych ludzi. Poza tym Betania znajdowała się niedaleko Jerycha, co miało znaczenie, jeśli chodzi o te nieliczne okazje, gdy Jan był zobowiązany odwiedzać swoją żonę.

Było to wygodne rozwiązanie dla Jana, którego nie interesowało, co robi Maria, chciał mieć tylko pewność, że cały czas zachowuje się jak pobożna i pełna skruchy kobieta. Jeśli ta dziewczyna miała zostać matką jego syna, musiała być bez zarzutu. Maria zapewniła Jana, że pod jego nieobecność będzie posłuszna bratu, tak jak zawsze. Starła się nie okazywać zadowolenia, gdy ustalono, że pozostanie przy Łazarzu i Marcie.

Lecz radość Marii trwała krótko, Jan bowiem wyłożył wkrótce obowiązujące ją zasady Oznajmił, że nie ścierpi, ■' by wysłuchiwała nauk Nazarejczyków. Nie wolno jej było odwiedzać domu Wielkiej Marii, najbardziej szanowanej ;

nauczycielki i przyjaciółki, a już z pewnością nie wolno jej było pokazywać się publicznie w miejscach, gdzie przemawiał Eza. Jan bolał niepomnie nad tym, że kilku spośród jego uczniów opuściło brzegi Jordanu, by pójść za jego kuzynem. Chrzciciel gromił ich za przystanie do Nazarejczyków i obdarzał obraźliwym mianem „poszukiwaczy rzeczy gładkich”. Działalność kapłańską Nazarejczyka Ezy i ascety Chrzciciela znaczyła coraz głębsza rywalizacja. Jan nie zamierzał wstydzić się za swoją żonę; nie wolno jej było pod żadnym pozorem przebywać w towarzystwie Nazarejczyków. Jan wymusił w tej sprawie uroczyste przyrzeczenie ze strony Łazarza.

Maria - młoda, naiwna dziewczyna, która nigdy nie doświadczyła niczego prócz miłości i akceptacji - próbowała spierać się z Janem, lecz wtedy poznała brutalność swego męża. Jej policzek przez cały dzień nosił ślad dłoni Jana, przypomnienie, że nie dyskutuje się o sprawach posłuszeństwa. Chrzciciel pozostawił swą oblubienicę w domu w Magdali, nawet się z nią nie pożegnawszy.

Maria lękała się odwiedzin Jana i dziękowała opatrzności, że są tak rzadkie. Zjawiał się w Betanii tylko wówczas, gdy przebywał w okolicy, przymuszony jakimiś sprawami, zazwyczaj podróżując między swą siedzibą nad brzegiem Jordanu a Jeruzalem. Zgodnie z formalnymi nakazami pytał o jej zdrowie, a gdy wymagało tego Prawo, spełniał małżeński obowiązek. Podczas tych wizyt instruował Marię w kwestiach zasad i nakazywał określoną pokutę, bezustannie przypominając, że Królestwo Niebieskie jest na wyciągnięcie ręki.

Jako księżniczka domu Beniamina, Maria wiedziała, że nie wypada jej porównywać swego męża z kimś innym, ale nie mogła się powstrzymać. Dniami i nocami rozmyślała o Ezie i o wszystkim, czego jej nauczył. Obaj, Eza i Jan, głosili w gruncie rzeczy to samo - nadejście Królestwa Bożego — ale zdumiewało ją, że dla każdego z nich prawda ta miała odmienne znaczenie. W przypadku Jana była to złowieszcza nowina, pełne grozy ostrzeżenie dla niesprawiedliwych. W przypadku Ezy natomiast była to wspaniała szansa dla wszystkich ludzi, którzy otworzyli swe serca przed Bogiem.

Gdy Maria się dowiedziała, że do Betanii ma przybyć Eza z matką i grupą nazarejskich uczniów, poczuła w sercu radość, po raz pierwszy od bardzo wielu dni.

- Nie zatrzymają się tutaj. Zresztą nie możesz się z nimi spotkać, Mario. Twój mąż tego zakazuje. - Łazarz przyjmował błagania siostry z kamienną twarzą.

- Jak możesz tak ze mną postępować? - spytała płaczliwie. - To moi najstarsi przyjaciele, a niektórzy są także twoimi przyjaciółmi. Rybacy Piotr i Andrzej, którzy bawili się z nami na schodach Kafarnaum i brzegach Genezaretu. Jak możesz odmawiać im gościny?

Na twarzy jej brata uwidocznił się ciężar podjętej decyzji. Niełatwo mu było odwrócić się od przyjaciół z dzieciństwa, od Ezy i Wielkiej Marii, obojga szanowanych potomków Dawida. Lecz Łazarz otrzymał od arcykapłana polecenie, by nie wpuszczać za próg Nazarejczyków wracających z Jerozalem. Co więcej, mąż jego siostry wyraźnie dał do zrozumienia, że nie wolno jej uczestniczyć w ich naukach. Łazarz

przyrzekł strzec pobożności Marii zgodnie z surowymi zaleceniami męża.

- Robię to dla twego dobra, siostró.

- Tak jak dla mojego dobra poślubiłeś mnie z Chrzcicielem? - Maria nie czekała na jego odpowiedź, nie chciała też ujrzeć grozy malującej się na jego obliczu. Wypadła z domu i pobiegła do ogrodu, gdzie wybuchnęła płaczem.

- On naprawdę chce twojego dobra.

Maria nie słyszała kroków Marty; była zbyt zrozpaczona, by zwracać na cokolwiek uwagę. Choć bardzo kochała szwagierkę, nie miała ochoty słuchać dłużej upomnień odnośnie posłuszeństwa. Maria zaczęła coś mówić, ale Marta jej przerwała.

- Nie jestem tu po to, żeby cię łajać, tylko ci pomóc.

Maria przyjrzała się bacznie Marcie. Nigdy nie zauważyła, by żona jej brata nie postąpiła zgodnie z jego życzeniem czy w jakikolwiek sposób mu się sprzeciwiła. Mimo to odznaczała się ukrytą wewnętrzną siłą, którą Maria dostrzegła teraz na twarzy szwagierki.

- Mario, traktuję cię jak siostrę, a pod pewnymi względami jak własne dziecko. Nie mogę patrzeć na ból, którego doznałaś w tym roku. I jestem z ciebie dumna, tak jak mój brat. Wiem, że ci tego nie mówi, ale mnie powtarza to cały czas. Spełniłaś obowiązek szlachetnej córki Izraela i uczyniłaś to z podniesioną głową.

Maria otarła łzy, Marta zaś ciągnęła:

- Łazarz wyjeżdża do Jeruzalem w interesach. Wróci do piero jutro późnym wieczorem. Nazarejczycy zatrzymają się w Betanii, w domu Szymona.

Maria słuchała z szeroko otwartymi oczami. Czyżby ta posłuszna, pobożna Marta knuła jakiś podstęp?

- W domu Szymona? W tym domu? - Wskazała rzeczony domostwo, doskonale widoczne z tego miejsca.

Marta przytaknęła.

- Jeśli będziesz ostrożna i dyskretna, odwróć wzrok, gdy zechcesz odwiedzić starych przyjaciół.

Maria zarzuciła Marcie ręce na szyję i pisnęła:

- Kocham cię!

- Sza! - Marta wyswobodziła się z ramion Marii, rozglądając się. - Jeśli Łazarz przyjdzie do ciebie przed wyjazdem do Jeruzalem, musisz okazywać mu gniew. Nie może nic podejrzewać, bo obie znajdziemy się w okropnych tarapatach.

Maria przytaknęła z powagą, starając się zapanować nad uśmiechem. Marta podreptała do domu, by wyekspediować męża, Maria zaś zatańczyła z radości pod drzewkami oliwnymi.

Maria zbliżała się do domu Szymona od strony bocznego wejścia, zakrywając miedziane włosy grubym szalem. Oznajmiła swoje przybycie i została bezzwłocznie wpuszczona do środka, gdzie z radością ujrzała znajome twarze. Rozejrzała się szybko po izbie, ale nie dostrzegła tych najważniejszych i najukochańszych, gdyż Eza i jego matka jeszcze nie przybyli. Nie zdążyła się nawet nad tym zastanowić, wystraszona głosem młodej kobiety za plecami, wykrzykującej jej imię.

Maria odwróciła się i ujrzała niezwykle uśmiech Salome, córki Herodiady i pasierbicy Heroda, tetrarchy Galilei. Maria pisnęła radośnie, jak nieraz to czyniły, siedząc niegdyś u stóp Wielkiej Marii. Potem uściskały się serdecznie.

- Co robisz tak daleko od domu? - spytała Maria.

- Matka pozwoliła mi iść za Ezą i kontynuować naukę, bym mogła włożyć siedem zasłon. - Siedem zasłon mogły nosić tylko kobiety, które dokonały inicjacji jako arcykapłanki. - Herod Antypas daje matce wszystko, czego ona zapagnie, poza tym odnosi się z sympatią do Nazarejczyków. Tylko Chrzciciela nie znosi. - Salome zakryła dłonią usta. Wyglądała na przerażoną. - Wybacz. Zapomniałam.

Maria uśmiechnęła się do niej ze smutkiem.

- Nie, Salome, nie przepraszaj. Sama czasem zapominam.

Salome spojrzała na nią z ogromnym współczuciem.

- Czy to małżeństwo jest straszne dla ciebie?

Maria pokręciła głową. Kochała Salome jak siostrę, obie się tak często nazywały, zgodnie z tradycją nazarejskich kapłanek. Lecz Maria wciąż była księżniczką, nauczoną przystojnego zachowania. Nie mogła mówić źle o swym mężu, bez względu na to, z kim rozmawiała.

- Nie, nie jest straszne. Rzadko widuję Jana.

Salome zaczęła wyjaśniać pośpiesznie, jakby pragnęła czym prędzej wytłumaczyć się z tej niestosownej gafy:

- Mam nadzieję, że cię nie obraziłam, siostrze. Chodzi o to, że Chrzciel opowiada okropne rzeczy o mojej matce. Nazywa ją ladacznicą i cudzołożnicą.

Maria skinęła ze zrozumieniem głową. Słyszała o tym wszystkim. Matka Salome, Herodiada, była wnuczką Heroda Wielkiego i odziedziczyła po nim niesławną cechę krnąbrności. Odrzuciła pierwszego męża, by poślubić Heroda Antypasa, który rządził Galileą, tetrarcha zaś ze swej strony rozwiódł się z arabską żoną, by pojąć Herodiadę. Jan nie krył oburzenia, że żydowski monarcha okazuje tak bezczelne lekceważenie Prawa, i potępił otwarcie małżeństwo

Heroda Antypasa i Herodiady jako cudzołóstwo. Jak dotąd, Herod wyraził jedynie irytację z tego powodu, ale nie podjął zdecydowanych kroków przeciwko Janowi. Jako tetrarcha Galilei miał na głowie kaprysy cesarza i kłopoty, jakie nastęrczało zajmowanie tak trudnego stanowiska; nie potrzebował dodatkowo trosk przysparzanych przez zgryźliwego proroka ascetę.

Fakt, że Herodiada była Nazarejką, z pewnością nie przysparzał jej chwały w oczach Jana ani też nie zmieniał korzystnie jego opinii co do samych Nazarejczyków i ich przekonań. Dowodził tylko, że kobiet nigdy nie należy wywyższać ani obdarzać swobodami; w przeciwnym razie stawały się ladacznicami. Jan często wskazywał na Heroda i Herodiadę jako przykład nazarejskiego zepsucia.

Lecz podczas gdy Chrzciciel uczynił sobie z tetrarchy wroga, Eza był podziwiany i lubiany przez żonę Heroda. Posłała jedyną córkę, gdy ta tylko dorosła, na naukę Drogi. Salome i Maria stały się sobie bardzo bliskie podczas tego okresu w Galilei, a jeszcze bardziej połączyła je duchowa miłość do Wielkiej Marii i jej syna.

-Jest tu nasza siostra Weronika - oznajmiła Salome, chcąc zmienić temat.

Siostrzenica Szymona, Weronika, była uroczą i głęboko uduchowioną młodą kobietą, która uczyła się wraz z nimi w domu matki Ezy. Maria kochała Weronikę i teraz zaczęła się rozglądać po izbie, szukając wzrokiem umiłowanej przyjaciółki.

- O, tam jest. - Salome chwyciła Marię za rękę i pociągnęła w stronę rozpromienionej kobiety.

Trzy niewiasty, siostry w wierze nazarejskiej, uściskały się serdecznie. Nie miały jednak okazji porozmawiać, ponieważ do izby wkroczył Eza.

Za nim pojawiła się jego matka i dwóch młodszych braci, Jakub i Juda, a także towarzysze rybacy z Galilei i wreszcie jakiś posepny mężczyzna, zwany Filipem, jak przypuszczała Maria. Eza powitał wszystkich obecnych i zatrzymał się przed Marią. Objął ją ciepło, ale z szacunkiem należnym szlachetnie urodzonej kobiecie, która jest żoną innego. Potem obrzucił ją powłóczyстым spojrzeniem, okazując zdziwienie, że nie posłuchała brata, ale nic nie powiedział.

Maria uśmiechnęła się do niego i położyła dłoń na piersi.

- Królestwo Niebieskie jest w moim sercu i nie odbierze mi go żaden prześladowca.

Eza odpowiedział jej ciepłym uśmiechem, po czym ruszył w głąb izby i zaczął nauczać.

Była to piękna noc, przepelniona przyjacielską miłością i słowem o Drodze. Maria zdążyła już niemal zapomnieć, jak ważne było dla niej to słowo i jak inspirującym nauczycielem był Eza. Siedząc u jego stóp i słuchając go, doświadczała Królestwa Bożego na ziemi. Nie umiała pojąć, jak ktoś może potępiać tak piękne słowa albo zaprzeczać świadomie tym naukom miłości, współczucia i dobra.

Eza wstał, by się oddalić, ale wpierw podszedł do Marii i dotknął delikatnie jej brzucha.

- Jesteś brzemienna, mała gołąbeczko.

Maria westchnęła z wrażenia. Jan zatrzymał się u nich pewnej nocy, by spełnić swój obowiązek w czasie nakazanym przez Prawo, ale nie miała pojęcia, że poczęła.

- Jesteś pewien?

Eza skinął głową.

-W twym łonie rośnie chłopiec. Dbaj o siebie, moja mała, byś urodziła bezpiecznie. - Po jego twarzy przemknął cień. - Powiedz swemu bratu, że musisz wydać dziecko na świat w Galilei. Poproś go, by pozwolił ci wyruszyć rankiem o pierwszym brzasku.

Maria była zdumiona jego słowami. Betania leżała blisko Jeruzalem i gdyby zaszły jakieś komplikacje, bez trudu można było uzyskać pomoc najlepszych akuszerok i zdobyć leki. Nie bardzo wiedziała, dlaczego nie może tu pozostać, tym bardziej że Łazarz miał być nieobecny jeszcze przez jeden dzień. Lecz Eza dostrzegł w tej mrocznej chwili coś, co kazało mu nalegać, by opuściła Betanię i natychmiast wyruszyła do Galilei.

Nie mogła wiedzieć tego, co Eza pojął za sprawą pro-roczej wizji - że ją, Marię, należy odesłać jak najdalej od Jana.

- Ladacznico! - wrzasnął Jan, bijąc Marię raz za razem po twarzy. - Wiedziałem, że jest dla ciebie za późno, że nie ocalę cię przed wszetecznymi wpływami Nazarejczyków. Jak śmiesz okazywać nieposłuszeństwo mężowi i bratu?!

Marta i Łazarz znajdowali się na drugim końcu domostwa w Betanii, ale słyszeli wszystko wyraźnie. Marta płakała cicho w łóżku, gdy na drobne ciało Marii spadały ciosy. To była jej wina. Sama zachęcała Marię, by zlekceważyła wyraźne polecenia męża i brata. Marta miała wrażenie, że to ona zasłużyła na bicie.

Łazarz siedział nieruchomo, skamieniały ze strachu i bezsilności. Nie krył wściekłości na Martę i Marię, ale najbardziej przybijała go brutalność. Jana. Był w tym wypadku

całkowicie bezradny. Jakakolwiek interwencja z jego strony zostałaby odebrana przez Jana jako jeszcze jedna oblega, a do tego Łazarz nie śmiał dopuścić. Poza tym to, że mąż bił swoją żonę, było rzeczą powszechną. W bardziej tradycyjnych domach było to nawet oczekiwane. Postępek Jana nie stał w sprzeczności z jego rozumieniem Prawa.

Nie mieli pojęcia, jakim cudem Jan odkrył obecność Marii na zgromadzeniu Nazarejczyków. Czy poprzedniej nocy znajdował się wśród nich jakiś donosiciel? Czy też Jan posiadał dar prorocy i zobaczył Marię w swych wizjach?

Bez względu na odpowiedź, Jan zjawił się w Betanii następnego popołudnia ogarnięty niepowstrzymaną wściekłością, gotów ukarać każdego, kto uczestniczył w tym akcie oszustwa. Wiedział, że poprzedniej nocy jego młoda żona siedziała pełna oddania u stóp jego kuzyna. Co gorsza, siedziała u boku wszetecznego pomiotu tej ladaczniczki Herodiady. To, że Maria obnosiła się ze swymi nazarejskimi sympatiami i przyjaźniła z Salome, stanowiło dla Jana źródło wstydu i zażenowania. Mogło zniszczyć jego reputację.

Przeklęta kobieta! Czy nie pojmowała, że jakakolwiek skaza na imieniu Chrzciciela mogła mieć zgubny wpływ na jego dzieło i zaszkodzić przesłaniu Bożemu? Był to dowód, że kobiety nie miały rozumu, nie potrafiły niczego przemyśleć i dostrzec konsekwencji. Niewiasty były z natury istotami grzesznymi, córami Ewy i Jezebel. Jan zaczął podejrzewać, że być może nie zasługują w ogóle na odkupienie.

Wykrzyczał teraz to wszystko, nie zaprzestając fizycznego ataku. Maria skuliła się w kącie, zasłaniając głowę rękoma w złudnej nadziei, że zdoła ochronić twarz. Było jednak za późno; wokół oka wykwitał jej fioletowy krążek, dolna warga zaś nabrzmiewała i krwawiła, uderzona wierzchem twardej dłoni i rozdarta o ząb.

- Przestań, skrzywdzisz dziecko! - zdołała zawołać.

Jan zastygł z dłonią uniesioną do kolejnego ciosu.

- Co powiedziałaś?

Maria odetchnęła głęboko, by się uspokoić.

- Noszę w łonie dziecko.

Jan spojrział na nią lodowato.

- Jesteś nazarejską ladacnicą, która spędziła bez opieki noc w domu innego mężczyzny. Nie mogę mieć nawet pewności, że to moje dziecko.

Maria przemówiła dobitnie, próbując się podnieść:

- Nie jestem tym, czym mnie nazywasz. Przyszłam do ciebie jako nieskałana oblubienica i nigdy nie byłam z innym mężczyzną prócz ciebie, swego prawowitego męża. - Te trzy ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem. - Jesteś zagniewany, że okazałam ci nieposłuszeństwo, więc zasługuję na karę.

Stała teraz pewnie. O głowę od niego niższa, wyprostowała barki i spojrzała mu w twarz.

- Lecz twoje dziecko nie jest niczemu winne. Pewnego dnia będzie księciem twojego ludu.

Jan wydał z głębi gardła niski pomruk i odwrócił się do wyjścia.

- Przekażę Łazarzowi dokładne wskazówki dotyczące twojego położenia. - Otworzył drzwi i opuścił izbę. Nie odwracając się nawet, wymierzył ostatni cios słowem: - Jeśli to dziecko jest dziewczynką, to z przyjemnością wyrzeknę się was obu.

Było późne popołudnie, gdy Maria postanowiła przebrać się do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Przeleżała w łóżku większość dnia, opatrując sińce. Ogród był miejscem odosobnionym, otoczonym przez mur, więc nie groziło jej, że ktoś dostrzeże hańbiące ślady na jej twarzy.

Maria usłyszała nagle w pobliskich krzewach szelest, który przyprawił ją niemal o palpacje serca.

- Kto to?! - zawołała.

- Maria? - usłyszała kobiecy głos, a po chwili znów rozległ się szelest.

Zza żywopłotu rosnącego tuż przy murze wyłoniła się znajoma postać.

- Salome! Co ty tu robisz? - Maria podbiegła do dziewczyny, by ją uściskać, księżniczkę z domu Heroda, która skradała się jak zwykły złodziej.

Salome nie mogła przez chwilę dobyć z siebie głosu. Wpatrywała się osłupiała w pokiereszowaną twarz Marii, która obróciła głowę, i spytała szeptem:

- Aż tak źle?

Salome splunęła na ziemię.

- Moja matka ma rację. Chrzyciel to zwierzę. Jak on śmie tak cię traktować?! Jesteś kobietą szlachetnego rodu.

Maria już chciała stanąć w obronie Jana, ale uświadomiła sobie, że nie ma na to siły. Poczula się nagle wyczerpana, przytłoczona wydarzeniami poprzedniego dnia i ciężarem, jakim dla jej drobnego ciała była brzemiennosc. Usiadła na kamiennej ławie, Salome uczyniła to samo.

- Przyniosłam ci coś. - Salome wręczyła Marii jedwabny woreczek. - W słoiku jest maść lecznicza. Złagodzi ból sińców.

- Skąd wiedziałas? - spytała Maria.

Przyszło jej nagle do głowy, że Salome wiedziała już wcześniej o tym, czego świadkiem byli tylko Marta i Łazarz.

Salome wzruszyła ramionami.

- On to ujrzał. - Mogła mieć na myśli tylko jednego człowieka. - Nie powiedział mi, co się stało. Rzekł jedynie: „Zanieś swej siostrze Marii najlepszą maść, jaką masz. Będzie jej natychmiast potrzebować”. A potem dodał, że bym uważała, by nikt nie widział, jak tu przychodzę. Ze względu na Jana.

Maria próbowała się uśmiechnąć, usłyszawszy o wizji Ezy, ale tylko się skrzywiła, czując ból w rozciętej wardze. Cudowna twarz Salome pociemniała z gniewu.

- Dlaczego to zrobił? - spytała.

- Okazałam mu nieposłuszeństwo.

- W jaki sposób?

- Uczestnicząc w spotkaniu Nazarejczyków.

Salome zaczęła z wolna pojmować.

- Ach, więc jesteśmy teraz wrogami Chrzciciela. Zastanawiam się, kiedy publicznie potępi Ezę. Bo stanie się to bez wątpienia.

Maria westchnęła.

- Są krewniakami, a Jan publicznie wychwalał go podczas chrztu. Nie zrobi tego.

- Nie? Nie jestem taka pewna, siostrzo. - Salome zastanawiała się przez chwilę. - Moja matka mówi, że Jan jest przebiegły jak węż. Pomyśl o tym. Ożenił się z tobą, by uprawomocnić swą królewskość, a teraz nosisz w łonie jego dziecko. Potępia moją matkę jako cudzołożnicę i wykorzystuje przeciwko niej argument, że jest Nazarejką, stosuje tę broń także przeciwko nam. Jaki będzie jego kolejny krok? Publicznie wycofa swe poparcie dla Ezy, opierając się na swym przekonaniu, że lekceważymy Prawo. Nie osiągniemy zadowolenia, dopóki nie zniszczy Drogi.

- Nie wydaje mi się, by Jan to uczynił, Salome.

- Nie wydaj e ci się? - Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, zaskakująco ironicznym i bezlitosnym jak na tak młodą osobę. - Nie spędziłaś tyle czasu z rodziną Herodów co ja. To zadziwiające, do czego ludzie są zdolni, by wspiąć się wyżej.

Maria westchnęła i pokręciła głową.

- Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Jan to dobry człowiek i prawdziwy prorok. Nie poślubiłabym go, gdybym tak nie myślała, a mój brat nie wyraziłby zgody na ten związek. Jan różni się od Ezy, jest srogi i nieokrzesany, ale wierzy w Królestwo Niebieskie. Żyje tylko po to, by pomagać ludziom w znalezieniu Boga poprzez pokutę i przestrzeganie Prawa.

- Tak, wierzy, że może pomóc mężczyznom. Co się tyczy kobiet, Jan prędzej by utopił nas w tej swojej ukochanej rzece niż zaoferował nam zbawienie. - Salome skrzywiła się z odrazą. - I stał się kukłą w rękach faryzeusza, choćby dlatego, że nie odznacza się talentem politycznym. Idzie tam, gdzie mu wskażą. I zapewniam cię, że skłonią go do podważenia dziedzictwa Ezy jeszcze bardziej, jeśli się go nie powstrzyma.

Maria spojrzała na przyjaciółkę. Słowa Salome budziły w niej niepokój, ale też szacunek. Dzięki pobytowi w pałacu Heroda ta dziewczyna pojmowała mechanizmy władzy.

- Co zatem proponujesz?

Kiedy Maria uniosła głowę, jej twarz oświetlił promień słońca, podkreślając kwiecisty fiolet i czerń sińców. Księżniczka Herodów zadrżała na widok tego pięknego, regularnego oblicza, poznaczonego takimi śladami. Gdy Salome przemówiła, w jej głosie wyczuwało się cichą determinację.

- Każę zapłacić Janowi Chrzcicielowi za jego czyny - w mierzone w ciebie, wymierzone w Ezę i wymierzone w moją matkę. W taki czy inny sposób.

Na dźwięk tych słów drobnym ciałem Marii wstrząsnął dreszcz. Pomimo upału popołudniowej godziny poczuła nagle przejmujący chłód.

Pośpiech, z jakim aresztowano Jana, był zdumiewający. Maria dowiedziała się znacznie później, że Salome udała się do zimowego pałacu tetrarchy nad Morzem Martwym, gdzie trwały uroczystości związane z urodzinami Heroda Antypasa. Herod zażądał, by Salome zatańczyła dla niego i jego gości - wdzięk i piękno dziewczyny były legendarne, a zaproszeni przybywali z najdalszych stron, by złożyć hołd Herodowi. Tetrarcha uznał, że zaprezentowanie jego niezwykłej pasierbicy będzie poczytane za gest dobrej woli.

Salome wkroczyła do sali, gdzie w najlepsze trwała zabawa w rzymskim stylu. Była ubrana w połyskliwe jedwabie i złote łańcuchy, którymi obdarował ją kochający ojczym. Gdy się pojawiła, wśród obecnych zapanowało poruszenie; wszyscy wyciągali szyje, by lepiej przyjrzeć się olśniewającej księżniczce.

- Jesteś najcenniejszym klejnotem w moim królestwie, Salome - oświadczył jej ojczym. - Chodź, zatańczysz dla nas. Będzie to wielkie przeżycie dla naszych gości.

Salome zbliżyła się do tronu Heroda, z którego sprawował pieczę nad uroczystością. W tej chwili była uosobieniem dziecięcego niezadowolenia.

- Nie wiem, czy mogę zatańczyć, ojczymie. Moje serce jest tak ciężkie od troski, jakiej doznałam w czasie podróży, że nie mam na to ochoty.

Herodiada, wsparta o poduszki obok swego męża, wyprostowała się.

- Cóż takiego się stało, moje dziecko? - spytała.

Salome opowiedziała im smutną historię o straszonym człowieku zwanym Chrzcicielem i o tym, jak jego słowa prześladowały ją, dokądkolwiek się udała.

- Kim jest ten człowiek, ten Chrzyciel? - zainteresował się jeden z zaproszonych, patrycjusz rzymski.

Herod machnął lekceważąco ręką.

- Nikim. Jednym z modnych mesjaszy tego roku. Wichryciel, ale niezbyt groźny.

W tym momencie Salome zalała się łzami i przypadła matce do stóp. Płacząc, wymieniła wszystkie obelgi, jakimi ów Chrzyciel obrzucał Herodiadę. Wyznała, że się boi, ponieważ ten prorok nawoływał do obalenia Heroda i przepowiadał, że jego pałac się zawali, grzebiąc wszystkich jego mieszkańców. Zaszczepiał ludowi nienawiść do rodu Herodów, przez co ona, Salome, nie mogła już bezpiecznie podróżować w towarzystwie Nazarejczyków, jeśli nie kryła się pod przebraniem.

- Wydaje się bardziej buntownikiem niż prorokiem - zauważył patrycjusz. - Z takimi najlepiej rozprawiać się szybko.

Herod nie miał nastroju do polityki, ale nie mógł pozwolić sobie na okazanie słabości wobec przedstawiciela Rzymu. Wezwał strażę i wydał rozkaz.

- Aresztujcie tego Chrzyciela i przyprowadźcie go tutaj. Chętnie się przekonam, czy będzie miał odwagę powiedzieć mi to wszystko w oczy.

Goście przywitali te słowa głośnym wybuchem radości i za przykładem rzymskiego patrycjusza wzniesli kielichy na cześć swego gospodarza. Salome otarła łzy z twarzy i uśmiechnęła się słodko do Heroda Antypasa.

- Jaki taniec chcesz zobaczyć dzisiaj wieczoru, ojczymie?

Jan Chrzciciel był kłopotliwym więźniem. Herod Antypas nie przewidywał, że Jan cieszy się aż tak wielkim poparciem. Każdego dnia do pałacu napływały tłumy, domagające się uwolnienia swego proroka. Apelowali do Heroda jako Żyda, błagając go o łaskę i zwracając się do niego jako do rodaka. Ponieważ pałac zimowy znajdował się w pobliżu Qumran, społeczność esseńczyków wysyłała codziennie swych przedstawicieli, którzy prosili o uwolnienie tego pobożnego więźnia. Nie był to jakiś zwyczajny, miejscowy prorok, którego można było z łatwością złajać i uciszyć. Jan Chrzciciel był fenomenem.

Herod wziął na siebie przesłuchanie Jana i kazał przy prowadzić ascetycznego kaznodzieję przed swe oblicze. Oczekiwał zadufanych odpowiedzi i obłąkanego bredzenia, które niejednokrotnie płynęło z ust tych pustelników i samozwańczeniowych mesjaszów. Był to rodzaj rozrywki dla Heroda; nie mógł się doczekać, kiedy podokucza człowiekowi, który niepokoił jego pasierbicę i żonę. Postanowił, że skoro z okazji i pobawi się przez jakiś czas swoim więźniem, a potem zdecyduje o jego losie.

i

Przesłuchanie nie przebiegało zgodnie z oczekiwaniami tetrarchy. Choć Jan był dziwacznie odziany i odznaczał się niechlujnym wyglądem, jego słowa nie miały nic wspólnego z bredzeniem zdziczałego osobnika. Herod uznał go za niepokojąco inteligentnego, nawet mądrego. Jan mówił surowym tonem o grzesznikach i potrzebie pokuty, i nie zawahał się spojrzeć Herodowi w oczy, kiedy ostrzegał go, że ktoś obarczony grzechami tetrarchy nie osiągnie Bożego Królestwa. Wciąż jednak jest czas na odkupienie, jeśli Herod ją odtrąci swą cudzołożną żonę i odpokutuje liczne grzechy.

Nim przesłuchanie dobiegło końca, Herod był głęboko zakłopotany uwięzieniem Jana. Pragnął go uwolnić, ale mógł tego uczynić, nie okazując się jednocześnie słabym i nieskutecznym w oczach Rzymu. Czyż jego wysłannik nie był obecny, gdy on, Herod, wydawał rozkaz aresztowania proroka? Gdyby go uwolnił, zostałby uznany za człowieka chwiejnego, być może nawet niezdolnego do rozprawy z żydowskimi buntownikami. Nie, nie miał odwagi uwolnić Chrzciciela, w każdym razie jeszcze nie teraz. Złagodził jednak warunki jego uwięzienia i pozwolił na odwiedziny ze strony zwolenników Jana i miejscowych esseńczyków.

Maria z Magdali, dowiedziawszy się o tym, wysłała do pałacu umyślnego z zapytaniem, czy jej mąż zechciałby ją widzieć albo porozmawiać o dziecku, które nosiła w łonie. Jedyne słowa, jakie Maria usłyszała od Jana podczas jego uwięzienia, były potępieniem. Dowiedziała się za pośrednictwem jego najbliższych uczniów, że wciąż kwestionuje ojcostwo dziecka i że mówi o niej wyłącznie w pogardliwy i obraźliwy sposób. Winił młodą żonę za swoje uwięzienie, a co bardziej fanatyczni z jego zwolenników wysuwali nawet groźby pod adresem jej rodziny. W końcu Maria przekonała Martę, by zabrała ją z powrotem do Galilei, jak najdalej od Chrzciciela i jego uczniów. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem z powodu jednej nocy drobnego nieposłuszeństwa zyskała reputację ladacznicy, ale musiała się z tym pogodzić. Woląла stawić czoło rzeczywistości w zaciszu swego domostwa u stóp góry Arbel, bliżej Nazarejczyków i ich sympatyków.

Jan kontynuował w więzieniu swą kapłańską działalność, a jego legenda i wpływ rosły w południowym regionie. Ale działalność jego kuzyna, charyzmatycznego Nazarejczyka, kwitła z taką samą siłą na północ od Jordanu i w Galilei.

Zwolennicy Jana przynosili mu do więzienia wieści o wspaniałych czynach Ezy, a nawet cudownych uzdrowieniach, jakie mu przypisywano. Ale mówili też o niezmiennej pobłażliwości Nazarejczyka wobec nie-Żydów i nieczystych. Raz nawet nie dopuścił do słusznego ukamienowania jawnogrzesznicy! Najwidoczniej kuzyn Jana przestał się oglądać na Prawo. Nadszedł czas, by Jan zajął zdecydowane stanowisko.

Na polecenie Chrzciciela jego zwolennicy wyruszyli, by wziąć udział w wielkim zgromadzeniu Nazarejczyków. Kiedy Eza stanął przed tłumami słuchaczy, by zacząć nauczanie, wystąpili dwaj wysłannicy Jana. Pierwszy przemówił, zwracając się do Ezy i pozostałych:

- Przychodzimy z celi Jana Chrzciciela. Na jego prośbę przekazujemy wam wszystkim to przesłanie. Chcemy ci powiedzieć, Jeszuo Nazarejczyku, że Jan zwraca się do ciebie z pytaniem. Choć wierzył niegdyś, że jesteś mesjaszem zesłanym przez Boga, to teraz nie może uwierzyć, że twoja akceptacja nieczystych jest zgodna z Prawem. Zatem pyta cię: czy ty jesteś tym, który ma przyjść, czy też ci dobrzy ludzie powinni oczekiwać innego?

Tłum poruszył się niespokojnie na owe słowa. Chrzt udzielony Ezie przez Jana był dla niektórych spośród nowych Nazarejczyków decydującym momentem. Tamten magiczny dzień nad brzegami Jordanu, kiedy Jan ogłosił swego kuzyna wybranym i kiedy Bóg ukazał swą łaskę pod postacią gołębia, przemieniło wielu ludzi w wyznawców Drogi. Teraz Jan Chrzciciel cofał w gruncie rzeczy swe poparcie poprzez publiczne rzucenie pytania pod adresem swego kuzyna.

Jeszua Nazarejczyk przyjął pytanie i obelgę niewzruszony. Uciszył tłum i rzekł do zgromadzonych:

- Nie ma większego proroka na tej ziemi od Jana Chrzciciela. - Tym zaś, którzy przynieśli mu wyzwanie Jana, od powiedział: - Proszę, przekażcie memu kuzynowi słowa szacunku. Idźcie i powiedzcie mu o wszystkim, co dziś uj rzeliście i usłyszeliście.

A, było dużo do powiedzenia. Przywódca Nazarejczyków wszedł w tłum i zajął się chorymi. Powiadano, że tego dnia przywrócił wzrok wielu niewidomym. Uzdrawiał znie doleżniałych, wypędzał złe duchy i humory z opętanych. I cały czas, czyniąc to, głosił słowo o Drodze i nauczał ludzi o Bożej światłości. Podzielił się z ludźmi pewną historią, przypowieścią o kobiecie, której wybaczone grzechy, ponieważ jej serce przepelniała wiara i miłość. To było ostatnie jego przesłanie owego dnia.

- Grzechy są wybaczone tym, których serca przepelnia miłość. Ale jeśli nawet najsprawiedliwszy człowiek ma mało miłości w swym sercu, mało otrzyma wybaczenia.

Był to dzień, który miał na zawsze określić działalność Jezusy Nazarejczyka jako uzdrawiającą Drogę miłości i wybaczenia, ścieżkę zbawienia dostępną wszystkim ludziom, którzy postanowili kroczyć w blasku tego światła.

Herod Antypas miał kłopot. Rzymski wysłannik, który przed kilkoma miesiącami był świadkiem wydania rozkazu aresztowania Jana Chrzciciela, powrócił. Kiedy Rzymianin spytał przedstawicieli tetrarchy, dlaczego wokół pałacu gromadzi się tak wielu Żydów, powiedziano mu, że uwięziony prorok nadal przyciąga uczniów. Wysłannik był zdumiony, że Herod nie uznał za stosowne zająć stanowiska w sprawie buntowniczego Chrzciciela.

Późnym wieczorem, przy kolacji, patrycjusz z Rzymu rozmawiał z Herodem surowym tonem.

- Nie możesz być postrzegany jako człowiek słaby, kiedy chodzi o tych podżegaczy. Jesteś tutaj, ponieważ cesarz wierzy, że dobrze reprezentujesz Rzym, i ponieważ uważa, że jako Żyd będziesz sobie radził ze swoim narodem. Byłoby jednak ogromnym błędem, gdybyś traktował lud zbyt łagodnie. Ten człowiek, choć siedzi w celi więziennej, codziennie obraża Rzym, a ty na to pozwalasz.

Tetrarcha bronił swego stanowiska.

- Na tej pustynnej ziemi roi się od sekt esseńczyków i innych, którzy nazywają tego człowieka prorokiem. Jego egzekucja wywołałaby zamieszki.

- Ty, obywatel rzymski i król, pozwalasz, by ci mieszkańcy pustkowi trzymali cię jak zakładnika? - Pytanie zawierało przyganę.

Herod zrozumiał, że jest przypierany do muru. Wiedział, że przedstawiciel cesarza wraca nazajutrz do Rzymu, i nie mógł dopuścić, by władca usłyszał choć słowo o jego słabości. On, tetrarcha Galilei, miał licznych wrogów, którzy chętni widzieliby upadek domu Heroda, raz na zawsze; nie mogło się tak stać. Antypas nie na darmo szczycił się krwią królewską. Czyż jego dziadek nie nakazał egzekucji własnych synów, kiedy zagrozili tronowi? Herodowie wiedzieli, jak walczyć o to, co im się słusznie należało.

Herod Antypas zaklaskał dwukrotnie w dłonie, wzywając sługi, i nakazał przywołać centurionów.

-Wykonajcie bezzwłocznie wyrok na więźniu, Janie Chrzycielu. Ma być szybko zgładzony mieczem.

Rzymski wysłannik skinął energicznie głową, wyrażając swoją aprobatę, gdy Herod Antypas po raz pierwszy zajął należne mu miejsce w dziejach - ale nie po raz ostatni.

Przed egzekucją Jan poprosił tylko o jedno - by jego żonie w Galilei przekazano wiadomość. Pozwolono mu przyjąć jednego ucznia* który miał pełnić rolę posłańca. To jemu Chrzciciel przekazał ostatnie polecenia i nakaz pokuty, nim miecz centuriona spadł na niego szybkim ruchem. Głowa została odcięta od ciała jednym ciosem i Jan Chrzciciel, prorok znad Jordanu, odszedł do Królestwa Bożego.

Herod kazał nadziać głowę Jana na włócznię i umieścić wysoko nad bramą pałacu, by pokazać rzymskiemu wysłannikowi, jak szybko i surowo zamierza się rozprawiać ze zdracą. Głowa pozostała na swoim miejscu, dopóki nie odzibały jej do kości padlinożerne ptaki, potem zniknęła pewnej nocy w tajemniczych okolicznościach. Ciało Jana przekazano jego esseńskim uczniom, by mogli je pochować.

Wiść o egzekucji Jana zanesiono Marii z Magdali, która była już bardzo brzemienna. Posłaniec przekazał jej ostatnie słowa męża osobiście.

- Pokutuj, kobieto. Okazuj każdego dnia skruchę za grzechy, które przywiodły nas do tego miejsca. Czyń to przez wzgląd na moją pamięć i przez wzgląd na dziecko, które nosisz w swym łonie. Jeśli pragniesz mieć jakąkolwiek nadzieję, że zostanie ono przyjęte do Królestwa Bożego, musisz pokutować i ochrzcić je, gdy tylko przyjdzie na świat.

Maria nigdy się nie dowiedziała, czy Jan umarł przekonany, że ona nosi jego dziecko. Zadał sobie trud, by przesłać jej wiadomość, co było jego ostatnią prośbą; mogła więc przypuszczać, że wierzył w swoje ojcostwo. Maria wzięła

sobie mężowskie słowa do serca i codziennie przez resztę życia modliła się o wybaczenie ze strony Jana. Był dla niej niemiły, ale ona nie miała mu tego za złe. Eza i Wielka Maria nauczyli ją, że wybaczenie to rzecz święta, ona zaś przestrzegająca tej zasady z całą gorliwością.

Jan stanowił dla niej od samego początku zagadkę. Był nieokrzesanym człowiekiem, który nigdy nie poprosił jej o to, czego od niego wymagano, nigdy nie zamierzał wziąć jej za żonę. Starła się ze wszystkich sił, by jej zachowanie Jan uznał za właściwe, ale nic nigdy go nie zadowalało. Było to smutne, ale Maria została poślubiona jednemu człowiekowi w Izraelu, który nie wyrzekłby się niczego, by ją zdobyć. Była piękna, cnotliwa i zamożna z urodzenia, w jej żyłach płynęła królewska krew ich narodu. Żadna z tych zalet nie budziła zainteresowania Jana Chrzciciela.

Małżeństwo stanowiło dla obojga swoisty wyrok. Błogosławieństwem zaś było to, że przez większość czasu przebywali z dala od siebie, spotykając się jedynie wtedy, gdy faryzeusze nalegali, by Jan spłodził potomka. W ostatecznym rozrachunku małżeństwo było bardziej wstrętne Janowi niż Marii. Teraz mieli to za sobą, ale Maria oddałaby wszystko, by w inny sposób odzyskać swą wolność.

Była nie tylko obwiniana za uwięzienie Jana, ale też oskarżana przez jego najwierniejszych uczniów o doprowadzenie do egzekucji. Jediną kobietą w kraju, którą w tej chwili piętnowano bardziej od niej, była Salome. Księżniczce domu Herodów zarzucano straszliwe postęпки, nie wyłączając współżycia z własnym ojczymem. Rozpowszechniano drastyczne opowieści o jej swobodzie cielesnej i o tym, jak to zażądała przyniesienia na srebrnej tacy głowy Jana Chrzciciela. Nic z tego nie było prawdą. Salome posłużyła się dziecięcą sztuczką, by doprowadzić do uwięzienia Jana,

ale ze łzami w oczach wyznała Marii, że nigdy nie oczekiwała jego egzekucji. Chciała jedynie powstrzymać go na jakiś czas, ograniczyć jego rosnącą władzę nad ludźmi, tak aby nie skrzywdził Ezy czy Marii. Salome była zbyt młoda i niedoświadczona w sprawach polityki i religii, by przewidzieć, że aresztowanie Jana doprowadzi ostatecznie do wzrostu jego popularności wśród prostego ludu. Gorzej, nie domyśliła się nieszczęsnego dylematu Heroda czy też jego radykalnego rozwiązania.

Kilka tygodni później anonimowy posłaniec przywiózł młodej wdowie ostatni i niespodziewany przedmiot pokuty. Asceta wręczył jej bez słowa pleciony czerwony kosz i oddalił się pośpiesznie. Do przesyłki nie dołączono żadnej wiadomości, posłaniec zaś unikał wzroku Marii. Zaciekawiona Maria podniosła wieko kosza.

W środku, na atlasowej poduszce, spoczywała zbieleła od słońca czaszka Jana Chrzciciela.

Maria zaczęła rodzić przedwcześnie. Było to w gruncie rzeczy szczęśliwie zrządem losu, gdyż ze względu na drobną budowę ciała nie byłaby w stanie wydać na świat dziecka o wyznaczonym czasie. Nawet pojawiwszy się przed terminem, noworodek prezentował się dorodnie i obwieścił swe narodziny pełnym oburzenia krzykiem. Mając jeden dzień, był wykapanym Janem. Każdy, kto słyszał uparte zawodzenie małego, poznawał w nim rodzone dziecko Chrzciciela.

Maria z Magdali przesłała Wielkiej Marii i Ezie wiadomość o szczęśliwych narodzinach dziecka i podziękowania za ich modły.

Dała synowi imiona Jan Józef, przez pamięć jego ojca.

Po egzekucji Jana zaczęto wywierać ogromny nacisk na Ezę, by zajął miejsce proroka wśród jego zwolenników. Udał się na pustynię i spotkał z esseńczykami i uczniami Jana, głosząc Królestwo Boże na swój własny sposób. Niektórzy z esseńczyków przyjęli Ezę jako nowego mesjasza i udali się za nim, ponieważ pochodził z rodu Dawida. Jednakże wielu innych sprzeciwiało się jego nazarejskim reformom, gdyż Jan pod koniec swego życia je potępiał. Dla większości mieszkańców pustelni Jan był jedynym Nauczycielem Sprawiedliwości, ten zaś, kto próbował zająć jego miejsce, jawił się jako uzurpator.

To w owych wczesnych dniach zrodził się głęboki podział między zwolennikami Jana i ludźmi lojalnymi wobec Ezy. Duch nazarejski był duchem miłości i wybaczenia, czekał na każdego, kto decydował się go zaakceptować. Filozofia Jana była całkowicie odmienna, opierała się na surowych sądach i ścisłych zasadach Prawa. Podczas gdy Eza i Nazarejczycy przyjmowali do swego grona kobiety i szanowali je, uczniowie Jana piętnowali niewiasty. Jan zawsze nimi pogardzał, a jego wizja Marii i Salome jako wcielonych wszetecznic Babilonu tylko wzmacniała ową wizję kobiet jako istot niższych.

Tak więc narodził się obraz Marii jako pokutującej grzesznicy i Salome jako zwykłej ladacznicy. Uczniowie Jana podsycali ten płomień niesprawiedliwości, wzniecając pożogę, która miała przetrwać dwa tysiące lat.

Eza Nazarejczyk, ksiązę domu Dawida, zamierzał zmienić powszechny wizerunek oszkalowanej i świeżo owdowiałej

księżniczki. On, bardziej niż ktokolwiek inny, wiedział, że ta dobra i cnotliwa kobieta cierpi straszliwą niesprawiedliwość. Była w takim samym stopniu córką Beniamina teraz jak wcześniej. W jej żyłach wciąż płynęła królewska krew, jej serce wciąż było czyste, a on wciąż ją kochał.

Łazarz nie krył zaskoczenia, gdy na jego progu pojawił się Syn Lwa, sam, bez swych uczniów.

- Przyszedłem zobaczyć Marię i jej dziecko - oznajmił.

Łącząc się, Łazarz zawołał Martę i zaprosił Ezę do domu. Kiedy Marta weszła do izby, nie kryła ani zdziwienia, ani radości. Od dawna była sympatyczką Nazarejczyka, wbrew swemu tradycyjnemu i konserwatywnemu wychowaniu. Zawsze kochała i szanowała Ezę.

- Przyprowadzę Marię z dzieckiem - powiedziała i wysłała pośpiesznie.

Kiedy mężczyźni zostali sami, Łazarz znów przemówił niepewnie:

- Jezuo, muszę cię przeprosić za wiele rzeczy...

Eza przerwał mu, unosząc dłoń.

- Pokój z tobą, Łazarzu. Nigdy nie widziałem, byś uczył coś, czego w swym sercu nie uważałbyś za słuszne i sprawiedliwe. Jesteś wierny sobie i swemu Panu. A jako taki, nie musisz przeproszać ani mnie, ani kogokolwiek.

Łazarz odczuł ogromną ulgę. Od dawna dręczył go smutek z powodu zerwania zaręczyn Ezy z jego siostrą, jak i wyrzuty sumienia, że odmówił Nazarejczykom gościny w tamtą noc w Betanii, co przysporzyło Marii tylu nieszczęść. Nie miał jednak czasu powiedzieć tego, gdyż Jan Józef obwieścił właśnie swe przybycie zdrowym krzykiem.

Eza uśmiechnął się do Marii i jej niemowlęcia. Wyciągnął ręce do małego, który był czerwony na twarzy od głośnego protestu.

- Jest tak piękny jak jego matka i tak zadufany w sobie jak jego ojciec - oznajmił ze śmiechem Eza, biorąc dziecko na ręce.

Jan Józef, gdy tylko poczuł na sobie dotyk dłoni Ezy, przestał płakać. Malec się uspokoił, patrząc z wielkim zainteresowaniem na tę nową postać w swoim życiu. Zagruchał uszczęśliwiony, kiedy Eza zaczął kołysać go delikatnie w ramionach.

- Lubi cię - zauważyła Maria, odczuwając nagłe onieśmienie w obecności tego człowieka, który stał się legendą pośród jej ludu.

Eza popatrzył z powagą na Marię.

- Mam nadzieję. - Spojrzał na Łazarza. - Łazarzu, drogi bracie, chciałbym pomówić z Marią na osobności o bardzo poważnej sprawie. Jest teraz wdową i wypada rozmawiać z nią sam na sam.

- Oczywiście - mruknął Łazarz i wyszedł z izby.

Eza, wciąż trzymając w ramionach dziecko, wskazał Marii, by spoczęła. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, podczas gdy dziecko gruchało do Ezy i chwytalo jego długie włosy, rozpuszczone na nazarejską modłę.

- Muszę cię o coś spytać, Mario.

Skinęła głową bez słowa, niepewna, co się wydarzy, ale niezmiernie uszczęśliwiona, że znów jest blisko niego. Obecność Ezy była balsamem na jej udręczoną duszę.

- Wiele wycierpiałaś, a stało się to za sprawą twojej wiary we mnie i w Drogę. Zamierzam naprawić zło wyrządzone tobie i twemu dziecku, Mario. Chciałbym, żebyś została moją żoną i pozwoliła mi wychowywać syna Jana jak własnego.

Maria zastygła w bezruchu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Nie, to chyba niemożliwe.

- Ezo, nie wiem co powiedzieć... — Urwała, starając się uporządkować chaos myśli, które napływały niepowstrzymanym strumieniem. - Przez całe życie marzyłam o tym, by być twoją żoną. Gdy się okazało, że tak nie będzie... nigdy już nie powróciłam do tego marzenia. Ale nie mogę dopuścić, byś uczynił coś takiego. Zbyt wielu ludzi obwinia mnie o śmierć Jana, ludzi, którzy mnie nienawidzą i nazywają grzesznicą.

- To dla mnie bez znaczenia. Każdy, kto za mną podąży, zna prawdę, a my będziemy nauczać jej tych, którzy jeszcze jej nie znają. Wyznawcy Prawa nie mogą się jej sprzeciwić. Co więcej, wypada nawet, bym wziął cię za żonę. Jesteś wdową po Janie, a ja pochodzę z jego rodziny. Jestem najbliższym krewnym Jana i jako taki powinienem wychowywać to dziecko. I wychowam je na księcia jego ludu, jako swego wybranego następcę i syna proroka. To właściwy związek w świetle Prawa i w oczach ludu Izraela. Wciąż jestem synem Dawida, a ty wciąż jesteś córką Beniamina.

Maria była do głębi poruszona. Nigdy nie przypuszczała, że może stać się coś takiego. Miała co najwyżej nadzieję, że Eza ochrzci dziecko, jak o to prosił Jan. Ale adoptować małego Jana jako własnego syna i wziąć ją za żonę? Nie mogła powstrzymać wzruszenia. Ukryła twarz w dłoniach i załkała.

- Dlaczego płaczesz, gołąbeczko? W oczach Boga jesteście tak samo sobie przeznaczeni jak wówczas, gdy po raz pierwszy postanowił nas złączyć.

Maria otarła łzy i spojrzała w twarz Nazarejczyka, swojego Ezy, którego Bóg jej zwrócił.

- Nigdy nie przypuszczałam, że znów poczuję, co to znaczy być szczęśliwą - wyszeptwała.

W przeciwieństwie do wystawnej uroczystości w Kanie, ślub Ezy i Marii był skromną ceremonią z udziałem Wielkiej Marii i najbardziej oddanych uczniów. Odbyła się ona nad brzegami jeziora Genezaret, w wiosce Tabga.

Wieść o małżeństwie rozeszła się szybko i następnego dnia do owej wioski zaczęły napływać tłumy ludzi. Niektórzy byli wyznawcami Ezy, innymi zaś kierowała tylko ciekawość wobec dwojga młodych z proroctwa Salomona, którzy w końcu się zeszl. Byli też tacy, którym się nie podobało, że ich ukochany prorok z Galilei łączy się z kobietą o zszarganej reputacji. Eza jednak cieszył się z przybycia ich wszystkich. Powtarzał Marii bezustannie, że każdy dzień daje okazję ukazania Drogi komuś, kto wcześniej jej nie widział, szansę przywrócenia wzroku ślepcom.

Wieść o zaślubinach przyciągnęła w ciągu dwóch dni tysiące ludzi. Pod koniec drugiego do Ezy przyszła Wielka Maria. Przypomniała mu o cudzie w Kanie, kiedy to zabrało wina dla gości weselnych. Teraz brzegi jeziora Genezaret roily się od tysięcy przybyszy, którzy nie posilali się od kilku dni, a jadała pozostało już niewiele. Matka nakazała synowi zatroszczyć się o jego własną ucztę weselną.

Eza przywołał swych najbliższych uczniów. Poprosił, by policzyli wszystkich gości, na co Filip odparł:

- Zebrało się blisko pięć tysięcy, a my mamy tylko dwie ście groszy.

Andrzej, brat Piotra, doradził:

- Jest tu młody chłopak, którego znam, syn rybaka. Ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie małe ryby, ale to wszystko. Nic dla tych tłumów, jakie się tu zgromadziły.

- Niechaj usiądą na trawie - odpowiedział im Eza. - Wy zaś" przynieście mi chleby i ryby.

Uczynił to Andrzej, który położył kosz z bochenkami i rybami u stóp swego mistrza. Eza zmówił modlitwę dziękczynną za obfitość jadała, po czym wręczył na powrót kosz Andrzejowi, mówiąc:

- Zaczynj od tego kosza, niechaj przechodzi z rąk do rąk. Zbierzcie wszystkie resztki, tak aby nic nie zostało. Potem włóżcie te ułamki do nowych koszy i też je rozdajcie.

Andrzej wykonał owe polecenia, wspomagany przez Piotra i pozostałych. Zdumieli się, gdy kosze zawierające kilka okruszków napełniły się bochenkami chleba. Niebawem mieli dwanaście koszy pełnych jadała. Krążyły one wśród tłumów, aż każdy z obecnych posilił się do syta.

Wszyscy, którzy uctowali tego dnia na brzegu jeziora w wiosce Tabga, przekonali się ponad wszelką wątpliwość, że Eza Nazarejczyk to naprawdę mesjasz wskazany przez prorocstwo. Jego sława wielkiego cudotwórcy i uzdrowiciela rozlewała się szeroką falą, i szło za nim coraz więcej zwykłych ludzi. I wielu zaczęło w owym czasie patrzeć przychylnym okiem na Marię. Zaprawdę, jeśli tak wielki prorok wybrał tę kobietę, to musiała być tego warta.

Pozycja i rola Marii nastęrczały pewien problem: imię. Były to czasy, gdy kobietę określał jej związek z mężczyzną, w jej zaś przypadku rodziło to niejasności. Nie byłoby rzeczą stosowną mówić o niej jako o wdowie po Janie, ani też całkiem usprawiedliwioną, nazywać ją po prostu żoną Ezy. Stała się wówczas znana pod swym własnym imieniem. Już na zawsze miała rządzić jako Córka Syjonu, Wieża Trzody - *Migdal-Eder*. Nosila niezależne imię królowej. Ludzie zwali ją po prostu Marią Magdaleną.

Ten właśnie okres kapłaństwa, jaki nastąpił po cudownym nakarmieniu tłumów w wiosce Tabga, Maria Magdalena nazwała Wielkim Czasem. Wkrótce po zaślubinach, Nazarejczycy, w ich liczbie również Maria, wyruszyli do Syrii. Podczas owej podróży Eza uzdrowił zadziwiająco wielu ludzi. Przez całe dni nauczał w synagogach i zanosił słowo o Drodze tym, którzy o niej nigdy nie słyszeli. Jednakże po kilku miesiącach grupa powróciła do Galilei. Maria Magdalena była brzemienna, a Eza pragnął, by ich dziecko urodziło się tam, gdzie Marii byłoby najwygodniej - w jej domu.

Po powrocie do Galilei Maria i Eza zostali obdarzeni piękną córeczką. Nadali jej podwójne imię księżniczki, Sara Tamar. Imię Sara przywoływało postać szlachetnej kobiety hebrajskiej z Pisma, żony Abrahama. Tamar było imieniem galilejskim; odnosiło się do obfitości palm daktylowych, które rosły w tej okolicy; od pokoleń traktowano je w królewskich domach jako pieszczotliwe przezwisko dla córek.

Szlachetna rodzina powiększała się, kapłaństwo zataczało coraz szersze kręgi, a w sercach dzieci Izraela zagościła nadzieja na przyszłość. Zaprawdę, był to Wielki Czas.

Rozdział osiemnasty

Chateau des Pommes Blues 29

czerwca 2005

Nikt się nie odezwał, gdy Peter skończył odczytywać tłumaczenie pierwszej księgi. Wszyscy siedzieli przez długą chwilę w milczeniu, rozważając, każde na swój sposób, niezwykłość tego, co zostało powiedziane. Płakali przy niektórych fragmentach opowieści - mężczyźni dyskretniej, kobiety otwarcie.

W końcu Sinclair spytał:

- Od czego zaczniemy?

Maureen pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. - Spojrzała na Petera, chcąc się przekonać, jak zniósł to wszystko. - Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie czułem się lepiej. To bardzo dziwne, ale nie jestem zaszokowany, zmartwiony czy zatroskany, po prostu czuję się... zadowolony. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale tak właśnie jest.

- Wyglądasz na wyczerpanego — zauważyła Tammy. — Ale wykonałeś zdumiewającą pracę.

Sinclair i Roland potwierdzili głośno jej słowa, dziękując Peterowi za poświęcenie wszystkich swoich sił przekładowi.

- Może byś odpoczął, a pozostałe księgi zaczniesz tłumaczyć jutro - zasugerowała łagodnie Maureen. - Naprawdę, Pete, musisz się przespać.

Peter potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie ma mowy. Zostały jeszcze dwie księgi - *Księga Uczniów* i druga, którą nazywa *Księgą Ciemności*. Można chyba przypuszczać, że zawierają relację naocznego świadka ukrzyżowania; nie ruszę się stąd, dopóki się o tym nie przekonam.

Kiedy sobie uświadomili, że Peter nie ma zamiaru ustąpić, Sinclair kazał przynieść tacę z herbatą. Duchowny wciąż odmawiał posiłku, wierząc, że musi pościć podczas pracy. Zostawili go wtedy samego i we trójkę - Sinclair, Tammy i Maureen - udali się do jadalni na lekki posiłek. Rolanda też zaprosili do stołu, ale odmówił grzecznie, oświadczając, że ma zbyt wiele do roboty. Pochwycił spojrzenie Tammy, po czym wyszedł.

Kolacja była skromna, ponieważ żadne nie miało szczególnego apetytu. Wciąż trudno im było wyrazić słowami swoją reakcję na treść pierwszej księgi. Tammy w końcu zaczęła komentować fragmenty dotyczące Jana.

- Po spędzeniu dnia z Derekiem wszystko to nabiera większego sensu. Rozumiem teraz, dlaczego członkowie gildi tak bardzo nienawidzą Marii i Salome, ale to jest takie niesprawiedliwe.

Maureen była wyraźnie zmieszana. Nie wiedziała jeszcze nic o tym, czego zdążyła się dowiedzieć Tammy.

- Co przez to rozumiesz? Czy to ci sami ludzie, którzy mnie zaatakowali?

Tammy wyjaśniła jej wszystko, czego dowiedziała się od Dereka w tę okropną noc w Carcassonne. Maureen słuchała w pełnym osłupieniu milczeniu.

-Ale czy wiedzieliście, że Maria miała syna z Janem Chrzycielem? - spytała. - To dla mnie prawdziwy szok. Nie mogę dojść do siebie.

Sinclair przytaknął.

- To będzie szok dla większości ludzi. Wiedza o tym jest tutaj tradycją, ale nieliczni spoza naszego heretyckiego kręgu są jej świadomi. Podejmowano wysiłki, i to z obu stron, by wymazać te fakty z historii. Wyznawcy Jezusa najwyraźniej nie chcieli, by jakakolwiek nowa informacja na temat Jana przyćmiła historię Jezusa, została więc ona bardzo ostrożnie i przemyślnie opowiedziana przez autorów Ewangelii.

- Natomiast wyznawcy Jana nie mówią o tym, bo gardzą Marią Magdaleną- wtrąciła Tammy. - Zaczęłam czytać ich dokumenty, tak zwaną *Księgę świętego Graala*. Wierzą, że jedyna święta krew pochodzi od Jana i jego dziecka. To sprawia, że ich ród jest prawdziwym świętym Graalem, prawdziwym naczyniem świętej krwi. Gdyby tylko mogli, usunęliby najmniejszą wzmiankę o Marii Magdalenie nie tylko z pism, ale też z historii. W gildii obowiązuje zasada, według której nie wolno o niej wspominać, nie poprzedziwszy jej imienia określeniem „ładacznica”.

- To bez sensu - oznajmiła Maureen. - Była matką dziecka Jana Chrzciciela, a oni uznali je za prawowite. Skąd ta nienawiść do Marii Magdaleny?

- Ponieważ uważają, że razem z Salome doprowadziły podstępnie do śmierci Jana, by Maria mogła poślubić Jezusa - Eze - i żeby on mógł zająć miejsce namaszczonego. I żeby mógł uzurpować sobie prawo do roli ojca wobec dziecka Jana i wychowywać je w wierze Nazarejczyków. Prawdę mówiąc, częścią ich rytuału jest odrzucanie Chrystusa poprzez splunięcie na krzyż i nazwanie go uzurpatorem.

Maureen popatrzyła na nich.

- Z niechęcią o tym mówię, ale trudno mi uwierzyć, że Jean Claude bierze w tym wszystkim udział.

- Chodzi ci o Jeana Baptiste'a. - Tammy wymówiła to imię z pogardą.

- Kiedy byliśmy w Montsegur... wiedział tak dużo o katarach. Co więcej, mówił o nich z czcią i szacunkiem. To wszystko było udawane?

Sinclair westchnął i przesunął dłonią po twarzy.

- Tak, i był to tylko niewielki element dużego pokazu, o ile się orientuję. Roland odkrył, że Jean Claude był od najmłodszych lat przygotowywany do infiltrowania naszej organizacji. Jego rodzina jest bogata, a dzięki zasobom gildii mógł stworzyć sobie nową tożsamość. Zgoda, później przypisał sobie jeszcze to pokrewieństwo z Paschalami, co powinno wzbudzić moją podejrzliwość, ale nie miałem powodu mu nie wierzyć. I pozostaje faktem, że to wybitny naukowiec i historyk, specjalista od naszych dziejów. Ale jak się okazało, trudno w jego przypadku mówić o szlachetnych pobudkach naukowych, raczej o zasadzie „poznaj swoich wrogów”.

- Od jak dawna to trwa? Ta rywalizacja?

- Od dwóch tysięcy lat - odparł Sinclair. - Ale jest ona jednostronna. Nasi ludzie nie żywią nienawiści do Jana i zawsze traktowali potomków Chrzciciela jak braci i siostry. W końcu wszyscy jesteśmy dziećmi Marii Magdaleny, prawda? Tak uważamy i zawsze uważaliśmy.

- To tamta strona naszej rodziny sprawia kłopoty - zażartowała Tammy.

- Ale nie wszyscy wyznawcy Chrzciciela to ekstremiści, o czym należy pamiętać - ciągnął Sinclair. - Ci fanatycy gildii stanowią mniejszość. To zaciekle, budząca grozę i zadziwiająco potężna grupa, ale mimo wszystko mniejszość. Chodźcie ze mną, coś wam pokażę.

Podnieśli się od stołu, a Tammy ich przeprosiła, zwracając się do Maureen, by przyszła potem do sali telewizyjnej.

- Teraz, kiedy doszłaś już tak daleko, chcę ci pokazać kilka rzeczy, które odkryłam podczas zbierania materiałów.

Maureen obiecała, że przyjdzie za godzinę, i wyszła za Sinclairem na dwór. Wieczorne niebo wciąż było jasne od letnich promieni słońca, kiedy zmierzali w stronę bramy Ogrodów Trójcy.

- Pamięta pani trzeci ogród? Ten, którego nie zdążyliśmy obejrzeć kilka dni temu? Proszę, pokażę go pani teraz.

Sinclair ujął Maureen pod ramię i poprowadził ją wokół fontanny Marii Magdaleny, a potem przez zwieńczoną łukiem zieloną arkadę po lewej stronie. Marmurowa ścieżka zawiodła ich do wyszukanego ogrodu, który przypominał otoczenie włoskiej willi.

- Wygląda bardzo... rzymsko - zauważyła Maureen.

- Tak. Wiemy niewiele o tym młodym człowieku, Janie Józefie. O ile się orientuję, nie zachowały się na jego temat żadne pisma, w każdym razie do chwili obecnej. Znamy jego imię, Jan Józef, choć w niektórych legendach występuje jako Jan Jezua, a nawet Jan Marek. Według jednej z nich udał się w pewnym momencie do Rzymu, pozostawiając matkę i rodzeństwo tutaj, we Francji. Czy zrobił to z własnej woli, czy też w związku z jakimś planem, pozostaje w sferze domysłów. Nie wiemy także, jaki los go spotkał. Istnieją na ten temat dwie teorie.

Sinclair zaprowadził ją do marmurowego posągu w renesansowym stylu. Przedstawiał młodego człowieka przed wielkim krzyżem, z czaszką w dłoni.

- Był wychowywany przez Jezusa, możliwe więc, że żył się z rozkwitającą chrześcijańską społecznością w Rzymie. Jeśli tak, to jest bardzo prawdopodobne, że zakończył życie przedwcześnie, gdyż wielu przywódców wczesnego Kościoła zostało zamordowanych z rozkazu Nerona. Rzymski

historyk Tacyt napisał, że Neron „karał z niebywałym okrucieństwem słynącą z zepsucia grupę zwaną chrześcijanami”; wiemy, że to prawda, chociażby z relacji dotyczącej śmierci Piotra.

- Sądzi więc pan, że zginął śmiercią męczeńską?

-To bardzo prawdopodobne, może nawet ukrzyżowano go razem z Piotrem. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś o jego rodowodzie nie został jednym z przywódców Kościoła. A przywódcy byli zabijani. Ale jest jeszcze druga hipoteza. - Wskazał czaszkę w marmurowej dłoni Jana Józefa. - Według jednej z legend bardziej fanatyczni wyznawcy Jana odszukali jego potomka w Rzymie i przekonali, że chrześcijanie zajęli należne mu miejsce. Że to Jan był jedynym prawdziwym mesjaszem i że Jan Józef jako jego jedyny syn jest spadkobiercą tronu namaszczonego. Niektórzy twierdzą, że zwrócił się przeciwko swej matce i rodzinie, by przyjąć nauki zwolenników ojca. Nie wiemy, jaki był jego koniec, wiemy jednak, że w Iranie i Iraku działa prężna sekta wyznawców Jana, zwana mandejczykami. To pokojowo nastawieni ludzie, przestrzegają jednak Prawa i głęboko wierzą, że Jan był jedynym prawdziwym mesjaszem. Niewykluczone, że są jego potomkami w prostej linii, że Jan Józef albo jego następcy przenieśli się na wschód po rozłamie z wczesnymi chrześcijanami. Wie już pani o Gildii Sprawiedliwych, której członkowie twierdzą, że są prawdziwymi potomkami rodu, tu, na zachodzie.

Maureen wpatrywała się w czaszkę, słuchając wyjaśnień Sinclaira. Nagle uderzyła ją jakaś myśl, pod wpływem której wykrzyknęła:

- To Jan! Czaszka jest obecna w całej ikonografii poświęconej Marii Magdalenie, na wszystkich jej obrazach. Maria jest nieodmiennie ukazana z czaszką i nikt nigdy nie mógł

mi tego zadowalająco wytłumaczyć. Zawsze było to traktowane jako niejasna aluzja do pokuty. Czaszka symbolizuje skruchę. Ale dlaczego? Teraz już to rozumiem. Maria była przedstawiana w ten sposób, ponieważ odbywała pokutę za Jana — dosłownie z jego czaszką. Sinclair przytaknął.

- Tak. I zawsze jest przedstawiana z książką.

- Ale to może być Pismo Święte - zauważyła Maria.

- Może być, ale nie jest. Maria jest ukazywana z książką, ponieważ to jej własne dzieło, przesłanie, że pozostawia nam pewne rzeczy do odkrycia. Mam nadzieję, że pozwoli nam poznać tajemnicę jej najstarszego syna i jego losu, ponieważ ich nie znamy. Mam nadzieję, że Magdalena sama objaśni nam ten sekret.

Spacerowali przez chwilę po ogrodzie, chłonąc widok wieczornego nieba i jego pierwszych niewyraźnych jeszcze gwiazd.

- Powiedział pan, że są też inni wyznawcy Jana, wolni od fanatyzmu - przerwała milczenie Maureen.

- Oczywiście. Są ich miliony. Nazywamy ich chrześcijanami.

Maureen spojrzała na niego zdziwiona, a on ciągnął:

- Mówię poważnie. Proszę pomyśleć o swoim własnym kraju. Ile Kościołów nazywa siebie baptystycznymi? To chrześcijanie, którzy zaakceptowali ideę Jana jako pełno prawnego proroka. Niektórzy nazywają go Prekursorem i widzą w nim tego, który zapowiadał nadejście Jezusa. W Europie było kilka rodzin z obu linii, które się połączyły, mieszając krew Chrzyciciela z krwią Nazarejczyka. Najśłynniejszą była rodzina Medyceuszów. Zintegrowały się i czciły zarówno Jana, jak i Jezusa. A nasz chłopiec Sandro Botticelli też należał do takiej rodziny.

Maureen była zaskoczona.

- Botticelli był potomkiem obu linii?

Sinclair przytaknął.

- Kiedy wrócimy do domu, proszę przyjrzeć się jeszcze raz „Wiośnie”. Po lewej stronie obrazu zobaczy pani Her mesa, alchemika, unoszącego kaduceusz. Jego dłonie wykonują gest „Pamiętaj o Janie”, o którym wspominała Tammy. Sandro mówi nam w tej alegorii Marii Magdaleny i siły powtórnych narodzin, że musimy uznawać także wielkość Jana. Alchemia to forma integracji, a integracja nie pozostawia miejsca dla bigoterii i nietolerancji.

i

Maureen przyglądała mu się uważnie. Zaczynała odczuwać prawdziwe uwielbienie dla tego człowieka, który z początku stanowił dla niej wielką zagadkę. Był poetą i mistykiem, poszukiwaczem duchowych prawd. Więcej, był i dobrym człowiekiem - ciepłym, troskliwym i bez wątpliwości niezwykle lojalnym. Nie doceniała go, co uświadomiła sobie z jeszcze większą mocą, gdy wypowiedział ostatnie słowa: j

- Uważam, że postawa wybaczenia i tolerancji jest kamieniem węgielnym prawdziwej wiary. W ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin przekonałem się o tym głębiej niż kiedykolwiek.

;

Maureen uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię, po czym ruszyli ku domowi przez ogród. Razem.

1

Watykan

29 czerwca 2006

Kardynał DeCaro kończył właśnie rozmowę telefoniczną, gdy drzwi jego gabinetu otworzyły się gwałtownie. Hierarchę zdumiewało ogromnie, że biskup O'Connor nie <

uświadomił sobie jeszcze, jak niepewna jest jego pozycja w Rzymie, ale człowiek ten wydawał się całkowicie bezmyślny. DeCaro wciąż nie był pewien, czy wynika to z czystej ambicji, czy też całkowitego braku rozeznania, na jakie cierpiał biskup. Być może z jednego i drugiego.

Kardynał słuchał z udawaną cierpliwością i równie udawanym zdumieniem, podczas gdy tamten paplał o niezwykłym odkryciu we Francji. Po chwili jednak biskup powiedział coś, co sprawiło, że DeCaro zeszywniał. Była to całkowicie utajniona informacja. Nikt na tym szczeblu kościelnym nie powinien wiedzieć o zwojach - a z pewnością nie o ich zawartości.

- Kto jest twoim informatorem, biskupie? - spytał kardynał, przybierając zdawkowy ton.

O'Connor poruszył się niespokojnie. Nie był jeszcze gotów ujawnić źródła.

- To człowiek wiarygodny. Bardzo wiarygodny.

- Obawiam się, że nie będę mógł potraktować tego poważnie, jeśli nie chcesz czy też nie możesz podać mi więcej szczegółów, Magnusie. Musisz zrozumieć, że niezwykle często mamy do czynienia z dezinformacją. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego sprawdzać.

Biskup Magnus O'Connor wiercił się jak na rozżarzonych węglach. Nie miał odwagi ujawnić swego źródła - jeszcze nie teraz - był to jedyny atut, jaki mu pozostał. Gdyby zdradził tożsamość swego informatora, ci tutaj udaliby się bezpośrednio do tego człowieka, O'Connor zaś zostałby pozbawiony wszelkiej władzy czy uczestnictwa w tym historycznym momencie. Poza tym musiałby odpowiedzieć nie tylko przed DeCaro i radą watykańską.

- Skontaktuję się z informatorem i zobaczę, czy będę mógł ujawnić go Waszej Ekscelencji - zaproponował O'Connor.

Kardynał DeCaro wzruszył ramionami ku wielkiej irytacji biskupa, który nie spodziewał się tak nonszalanckiej reakcji na nowinę wstrząsającą posadami Ziemi.

- Bardzo dobrze. Dziękuję za informacje - oparł z lekceważeniem starszy hierarcha. - Możesz odejść do swoich obowiązków.

- Czyżby Wasza Ekscelencja nie chciał się dowiedzieć, co właściwie znaleziono we Francji?

Kardynał DeCaro popatrzył na irlandzkiego duchownego znad szkieł okularów.

- Niepotwierdzone źródła mnie nie interesują. Dobranoc, biskupie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Kardynał pochylił głowę i zaczął przerzucać papiery na biurku, jakby O'Connor powiedział mu przed chwilą i rzecz oczywistą - to na przykład, że słońce wschodzi rano, a zachodzi wieczorem. A gdzie zdumienie? Troska? j
Wdzięczność?

Jąkając się z oburzenia, biskup wymamrotał coś w odpowiedzi i wyszedł niepewnym krokiem z gabinetu. Chwilo- j
wo zakończył sprawy w Rzymie. Postanowił, że pojedzie do i
Francji. I wtedy im pokaże.

\

Cbdteau des Pommes Blues

j

29 czerwca 2005

!

Zgodnie z obietnicą, Maureen spotkała się z Tammy; w pokoju telewizyjnym, kiedy wróciła ze spaceru w towarzystwie Sinclaira. Wpierw jednak zajrzała do gabinetu, by sprawdzić, jak sobie radzi Peter, który był bez reszty pochłonięty przekładem drugiej księgi. Jej kuzyn podniósł wzrok i mruknął coś niezrozumiale; oczy miał szkliste ze

zmęczenia. Wiedziała, że nie jest to odpowiednia chwila, by mu przerywać, i poszła się zobaczyć z Tammy.

Poza ścianami gabinetu, w *chdteau*, panowało niezwykle podniecenie; wkoło wyczuwało się świadomość doniosłej chwili i niespokojne wyczekiwanie. Maureen zastanawiała się, ile wiedzą służący, ale zakładała też, że są godni najwyższego zaufania i lojalni. Roland i Sinclair, czekając, aż Peter przetłumaczy do końca Ewangelię Marii Magdaleny, omawiali środki bezpieczeństwa i dalsze działania. Nikt jeszcze tego otwarcie nie przedyskutował, ale Maureen była bardzo ciekawa, co Sinclair zamierza zrobić - i kiedy.

- Wchodź, wchodź. - Tammy skinęła ręką, dostrzegając Maureen w drzwiach pokoju.

Maureen osunęła się na sofę, siadając obok przyjaciółki, i z głośnym jękiem odrzuciła do tyłu głowę.

- Co się stało? - spytała Tammy.

Maureen uśmiechnęła się do niej.

- Och, nic i wszystko. Właśnie się zastanawiałam, czy moje życie będzie kiedykolwiek takie jak dawniej.

Tammy odpowiedziała gardłowym śmiechem.

- Nie. Więc lepiej od razu do tego przywyknij. - Chwyła Maureen za rękę i powiedziała ze współczuciem: - Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że wszystko to jest dla ciebie czymś nowym i że sporo przeżyłaś w bardzo krótkim czasie. Chcę, żebyś wiedziała jedno - jestem dla ciebie pełna podziwu, okej? I dla Petera, skoro już o tym mówimy.

- Dzięki - westchnęła Maureen. - Ale czy naprawdę sądzisz, że świat jest gotów na ten wstrząs, jakiego dozna jego system wierzeń? Bo ja nie.

- Nie zgadzam się - oświadczyła Tammy z typowym dla siebie przekonaniem. - Wydaje mi się, że moment jest jak

najbardziej odpowiedni. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. ,
Nie palimy już na stosie heretyków.

- Nie, tylko walimy ich w czaszki. - Maureen potarła się
wymownym ruchem po głowie.

- Masz słuszość. Przepraszam.

- Trochę dramatyzuję. Nic mi nie jest, naprawdę. - Mau-
reen wskazała szerokoekranowy telewizor. - Nad czym teraz
pracujesz?

- Odbiegłyśmy ostatnim razem od tematu i nie miałam
okazji pokazać ci reszty. Myślę, że teraz, bardziej niż kiedy-
kolwiek, uznasz to za interesujące.

Tammy trzymała w dłoni pilota. Wskazała nim monitor i
ciągnęła:

- Oglądałyśmy wizerunki ludzi pochodzących z tego i
rodu, pamiętasz? - Wcisnęła guzik na pilocie i ekran wy-
pełnił się portretami. - Król hiszpański Ferdynand. Twoja ■
Lukrecja Borgia. Maria, królowa Szkotów. Księżę Karol j
Stuart, cesarzowa Austrii Maria Teresa i jej najślynniejsza ;
córka, Maria Antonina. Sir Isaac Newton. - Zatrzymała się |
na dłużej przy wizerunkach kilku prezydentów amerykan- ;
skich. - A tutaj mamy linię amerykańską, poczynając od j
Tomasza Jeffersona. Przechodzimy stopniowo do czasów j
współczesnych.

I

Na ekranie pojawiła się fotografia dużej amerykańskiej 'i
rodziny.

- Co to jest?

)

- Zjazd rodzinny Stewartów w Cherry Hill w stanie i New
Jersey. Zdjęcie zrobiłam w zeszłym roku. I następne. } Na
pierwszy rzut oka zwyczajni ludzie w zwyczajnym oto- ,
czeniu, ale wszyscy pochodzą z rodu.

j

Maureen przypomniała coś sobie nagle.

j

- Byłaś kiedykolwiek w McLean w Wirginii?

!

]

Tammy spojrzała na nią zdziwiona.

- Nie, dlaczego pytasz?

Maureen opowiedziała o swoich niezwykłych doświadczeniach w McLean i o uroczej właścicielce księgarni, którą tam poznała.

- Nazywała się Rachel Martel i...

Tammy przerwała jej:

- Martel? Powiedziałaś „Martel”?

Maureen przytaknęła, na co Tammy wybuchnęła śmiechem.

- No tak, nic dziwnego, że ma wizje - oznajmiła. - Martel to jedno z najstarszych nazwisk z tego rodu. Charles Martel, z linii Karola Wielkiego. Jeśli zechcesz podążyć w tej części Wirginii, to założę się, że znajdziesz mnóstwo takich rodzin. Prawdopodobnie schronili się tam przed wielkim terrorem - tak właśnie większość arystokratycznych rodzin znalazła się w Stanach. W Pensylwanii też się od nich roi.

Maureen się roześmiała.

- Więc dlatego tamtejszym ludziom tak często pokazuje się Maria Magdalena i Chrystus. Będę musiała zadzwonić do Rachel, kiedy wrócę do Stanów, i powiedzieć jej o tym.

Znów spojrzały na ekran, gdzie pojawiła się kolejna grupa ludzi.

-To zjazd rodziny St.Clair w Baton Rouge zeszłego lata - wyjaśniła Tammy. - W Luizjanie żyje najwięcej potomków rodu ze względu na francuskie dziedzictwo. Teraz już o tym wiesz. Widzisz tego faceta?

Tammy zatrzymała film, skupiając się na postaci młodego, długowłosego muzyka ulicznego, grającego na saksofonie w dzielnicy francuskiej. Zwolniła pauzę i przez chwilę pokój wypełniały przejmująco piękne dźwięki saksofonu.

- Nazywa się James St. Clair. Jest bezdomny. *Zarabia.* }
na życie jako uliczny naciągacz, ale gra na saksofonie tak,
że wyciska łzy z oczu. Usiadłam kiedyś na skrzyżowaniu
i rozmawiałam z nim ze trzy godziny. Genialny, wspaniała
mężczyzna.

- Ci wszyscy ludzie wiedzą, że pochodzą z tego rodu?

- Oczywiście, że nie. Na tym polega całe piękno tej sytua- ;
cji i takie jest też przesłanie mojego filmu. Po dwóch tysią-
cach lat historii i ewolucji chodzi po ziemi blisko milion lu- j
dzi, w których żyłach płynie krew Jezusa Chrystusa. Może j
nawet jest ich więcej. Nie ma w tym nic wyjątkowego czy'
tajemniczego. To może być człowiek, który pakuje w sklepie
twoje zakupy, albo kasjer w banku. Czy bezdomny facet,
który łamie ci serce, ilekroć podnosi do ust saksofon.

Chateau des Pommes Blues 2
lipca 2005

Peter pracował niezmordowanie, ale jego perfekcjonizm
przeważał i upłynęły dwa kolejne dni, nim był gotów po-1
dzielić się z pozostałymi tłumaczeniem ostatniego zwoju,|
Księgi Czasu Ciemności.

Po południu drugiego dnia Maureen zasnęła na kana
pie, zadowolona, że przebywa tak blisko Ewangelii Mariiij
Magdaleny.

\
W pewnym momencie zbudził ją szloch jej kuzyna. Pod- j
niosła wzrok i spojrzała na Petera; siedział z głową w dło- j
niach, ulegając fali wyczerpania i wzruszenia. Maureen niej
od razu jednak się zorientowała, czy był to smutek, czy!
radość. Ulga czy przygnębiecie. Popatrzyła na Sinclaira, \
który siedział naprzeciwko Petera po drugiej stronie stołu. \

Pokręcił tylko bezradnie głową. On także nie wiedział, co wywołało tak gwałtowną reakcję Petera.

Maureen podeszła do kuzyna i położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Pete? Co się stało?

Peter otarł łzy z twarzy i spojrzał na kuzynkę.

- Wolałbym, żeby ona ci powiedziała - wyszeptał, wskażując tekst tłumaczenia leżący przed nim na stole. - Zawołaj pozostałych, dobrze?

Tammy i Roland znów pośpieszyli do gabinetu Sinclaira. Nietrudno ich było znaleźć, gdyż cały czas przebywali razem, nie kryjąc już swej zażyłości. Poza tym trzymali się w pobliżu, żadne z nich bowiem nie chciało się oddalać, by niczego nie stracić. Oboje zauważyli rozgorączkowanie na twarzy Petera, gdy tylko weszli do gabinetu.

Roland wezwał pokojówkę i polecił przynieść wszystkim herbatę. Kiedy tylko zniknęła i drzwi się za nią zamknęły, Peter podjął opowieść w miejscu, gdzie przerwał poprzednim razem.

- Nazywa to *Księgą Czasu Ciemności* — powiedział. - Dotyczy ona ostatniego tygodnia w życiu Chrystusa.

Sinclair chciał o coś spytać, ale Peter go powstrzymał.

- Opowie o tym lepiej ode mnie.

I zaczął czytać.

...Jest rzeczą ważną wiedzieć, kim był Judasz z Iskariotu, by zrozumieć jego związek z moją osobą, z Ezą

i z nauczaniem Drogi. Podobnie jak Szymon, był zelotą i gorąco pragnął wypędzić Rzymian z naszych ziem. Zabijał w imię tej wiary i był więcej niżli gotów czynić to ponownie, dopóki Szymon nie przyprowadził go do Ezy.

Judasz przyjął Drogę, ale jego nawrócenie nie dokonało się szybko ani łatwo. Judasz pochodził z rodu faryzeuszy i surowo przestrzegał Prawa. Poszedł za Janem jako młody człowiek i podejrzliwie traktował wszystko, co o mnie słyszał. Z czasem staliśmy się przyjaciółmi, bratem i siostrą w Drodze - za sprawą Ezy, który był wielkim ogniwem spajającym ludzi. A jednak bywały chwile, gdy ujawniały się dawne nawyki Judasza, to zaś rodziło między uczniami napięcia. Był urodzonym przywódcą i pragnął narzucać innym swój autorytet. Eza to podziwiał, ale niektórzy z uczniów sprzeciwiali się temu. Lecz ja rozumiałam Judasza. Tak jak i w moim przypadku, jego przeznaczeniem było niezrozumienie.

Judasz wierzył, że powinniśmy korzystać z każdej sposobności, by krzewić nasze nauki, że powinniśmy czynić to poprzez datki dla ubogich. Eza wyznaczył go na skarbnika i powinnością Judasza było zdobywać pieniądze dla ludzi w potrzebie. Był człowiekiem wielkiej uczciwości i sumienia, ale też nieuznającym kompromisów.

Największy spór rozgorzał owej nocy, gdy namaściłam Ezę w Betanii, w domu Szymona. Wzięłam zapieczętowany alabastrowy flakon, który przysłano nam z Aleksandrii. Była w nim mieszanina kosztownego i aromatycznego nardu i mirry. Złamałam pieczęć i namaściłam owym balsamem głowę Ezy i stopy, ogłaszając go naszym mesjaszem, zgodnie z tradycją naszego ludu i Pieśni nad Pieśniami przekazanej nam. przez Salomona. Była to

duchowa chwila dla nas wszystkich, pełna nadziei i symboliki.

*Lecz Judasz tego nie pochwalał. Był zagniewany i zła-
jał mnie w obecności pozostałych, mówiąc: „ Ten balsam
był cenny. A że znajdował się w zapieczętowanym flako-
nie, moglibyśmy uzyskać za niego wysoką cenę, pieniądze
zaś rozdać ubogim”.*

*Nie musiałam bronić swego postępku, jako że uczynił
to za mnie Eza. Zganił Judasza, powiadając: „Zawsze
ubogich macie u siebie, lecz mnie nie zawsze macie. Za-
prawdę powiadam wam - gdziekolwiek po całym świecie
głosić będą tę Ewangelię, będą również opowiadać na jej
pamiątkę to, co uczyniła”.*

*Była to chwila, która pokazała, że Judasz nie w pełni
pojął święte obrzędy Drogi, i która zraziła kilku wy-
branych — kilku, którzy potem już nigdy nie ufali Juda-
szowi.*

*Jak powiedziałam, nie żywię do niego za to urazy, ani
za żaden inny uczynek. Judasz nie potrafił przewycię-
żyć tego, czym był w sercu, temu zaś pozostawał zawsze
wierny.*

Wciąż go oplakuję.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KsiążKA CZASU CIEMNOŚCI

Rozdział dziewiętnasty

Jeruzalem

Rok 33

Dla Nazarejczyków był to dzień brzemienny w wydarzenia. Kiedy Eza wkroczył do Jeruzalem, przywitano go powszechnym poparciem, którego się spodziewano. Prawdę powiedziawszy, owo przyjęcie przewyższyło wszelkie oczekiwania. Kiedy zwołano wyznawców, by nauczyl się Modlitwy Drogi - Eza nazywał ją teraz Modlitwą Pańską - grotta na Górze Oliwnej okazała się za mała. Ci, którzy słuchali nauk Ezy, rozeszli się po całym wzniesieniu, czekając na swą kolej, by mogli się zbliżyć do namaszczonego, swojego mesjasza, tak aby ich także nauczył, jak się modlić.

Eza pozostał tam, aż każdy mężczyzna, kobieta i dziecko poznali i pojęli ową modlitwę, wzięwszy ją sobie do serca.

Kiedy Nazarejczycy schodzili z góry, zmierzając w stronę miasta, zatrzymali ich dwaj rzymscy centurionowie. Byli oni strażnikami wschodniego przejścia, bramy najbliższej rezydencji Piłata w twierdzy Antonia. Zwrócili się do grupy, kalecząc aramejską mowę, i spytali o cel wędrówki. Eza wystąpił do przodu i zadziwił ich swą doskonałą greką. Wskazał jednego z centurionów, zauważywszy, że człowiek ten ma zabandażowaną rękę.

- Cóż ci się przytrafiło? - spytał.

Centurion nie spodziewał się takiego pytania, ale odpowiedział:

- Upadłem na kamienie podczas nocnej warty.
- Za dużo wina - zaskrzeczał jego towarzysz, osobnik o podejrzanym wyglądzie i nierównej bliźnie przecinającej lewy policzek.

Centurion ze zranioną ręką uciszył go gniewnym spojrzeniem i dodał:

- Nie słuchaj tego, co mówi Longinus. Potknąłem się. Eza oznajmił na swój prostolinijski sposób:
- Musi to być dla ciebie bolesne.

Centurion skinął głową.

- Wydaje mi się, że jest złamana, ale nie miałem jeszcze okazji udać się do medyka. Mamy pełno roboty z tymi tłumami, które przybyły na Paschę.

- Mogę obejrzeć twoją rękę? - spytał Eza.

Żołnierz wyciągnął zabandażowaną kończynę, która, począwszy od nadgarstka, wykrzywiła się pod nienaturalnym kątem. Eza podsunął pod nią jedną dłoń, na wierzch zaś położył delikatnie drugą. Zamknąwszy oczy, zmówił po cichu modlitwę, zaciskając ostrożnie, lecz zdecydowanie, dłonie na rękę centuriona. Oczy Rzymianina robiły się coraz większe, podczas gdy Nazarejczycy przyglądali się owemu aktowi uzdrowienia. Nawet centurion z blizną na twarzy stał jak urzeczony.

Eza uniósł powieki i spojrzał żołnierzowi w oczy.

- Teraz poczujesz się lepiej.

Gdy wypuścił z dłoni rękę centuriona, wszyscy mogli się przekonać, że jest prosta i silna. Rzymianin zająknął się, nie mogąc wypowiedzieć słowa. Odwinął tylko bandaż i zgiął palce. Jego błękitne jak niebo oczy zaszyły mgłą łez, kiedy spojrzał na Ezę. Lękał się odezwać, by nie okazać słabości

wobec swego towarzysza. Eza wiedział o tym i wybawił go z kłopotu.

- Królestwo Boże jest blisko. Przekaż innym dobrą nowinę - rzekł i ruszył w dalszą wędrówkę ścieżką biegnącą wokół murów miasta, za nim zaś podążyła Maria, dzieci i wybrani.

Maria była wyczerpana, ale nie narzekała. Ciężar dziecka, które niosła, spowalniał jej kroki, lecz jednocześnie sprawiał taką radość, że nie miała ochoty się skarżyć. Rozgościli się w domu wuja Ezy, Józefa, zamożnego i wpływowego człowieka, którego ziemie leżały tuż za murami miasta. Maria dziękowała Bogu, że Jan i Tamar śpią. Ten dzień także dla nich był męczący.

Maria miała czas zastanowić się nad mocami uzdrowicielskimi Ezy, siedząc samotnie w chłodnym cieniu Józefowego ogrodu. Eza rozmawiał z wujem i kilkoma uczniami, planując złożyć nazajutrz wizytę w Świątyni. Maria postanowiła, że nie będzie uczestniczyć w tej naradzie; wpiersz ułożyła dzieci do snu, a potem skorzystała z okazji, by odpocząć i się pomodlić. Pozostałe kobiety zebrały się tego wieczoru na czuwanie, ale Maria zdecydowała, że nie przyłączy się do nich. Coraz rzadziej miała okazję do samotności i bardzo ją sobie ceniła.

Lecz gdy powróciła myślą do wydarzeń towarzyszących uzdrowieniu rzymskiego żołnierza, ogarnął ją niepokój. Nie wiedziała, skąd bierze się owa niepewność. Jak na rzymskiego żołnierza, centurion był człowiekiem przyzwoitym, nawet miłym. I dostrzegła jego rozdarcie, tak jak dostrzegał je Eza, gdy tamten był bliski łez wywołanych cudem

uzdrowienia. Jego towarzysz natomiast jawił się jako ktoś całkowicie odmienny. Był twardy i nieokrzesany, co nie dziwiło u najemników, którzy przelali tyle żydowskiej krwi. Ten oszpecony człowiek, Longinus, nie krył strachu na widok cudu uzdrowienia, ale nie wydawało się, by mogło to wpłynąć na niego w jakiś dobroczynny sposób. Był na to zbyt zaprawiony w bojach.

Lecz niebieskooki żołnierz nie tylko doznał uzdrowienia, ale też przemiany. Maria widziała to w jego oczach. I gdy powróciła do tego obrazu myślą, poczuła wstrząs, dziwne wrażenie zbliżającej się wizji; oznaczało to zawsze, że ujrzy przyszłość. Maria zamknęła oczy, próbując uchwycić ten przelotny obraz, ale na próżno. Odczuwała zbyt wielkie zmęczenie albo może nie było jej dane zobaczyć czegokolwiek.

Cóż to mogło być? - zastanawiała się. W ostatnich latach sława Ezy jako uzdrowiciela rosła w całym Izraelu. Cieszył się z tego powodu rozgłosem i szacunkiem wśród ludzi. Wydawało się też, że ów dar przychodzi mu z coraz większą łatwością. Uzdrowicielska moc Boga płynęła przez dłonie Ezy obfitym strumieniem, którego widok budził prawdziwą radość.

Czyż Eza nie uzdrowił jej brata, kiedy lekarze z Betanii uznali go za zmarłego? Poprzedniego roku Eza i Maria pośpieszyli z Galilei, otrzymawszy od Marty wiadomość, że Łazarz jest poważnie cierpiący. Lecz podróż trwała dłużej, niż się spodziewali, i nim dotarli na miejsce, Łazarz otaczał już odór śmierci. Było za późno, czego wszyscy się obawiali. Choć umiejętności uzdrawiania, jakimi odznaczał się Eza, były doprawdy zadziwiające, nigdy nie wskrzesił nikogo z martwych. Nikt nie mógł żądać tego od jakiegokolwiek człowieka, nawet mesjasza.

Eza jednak wkroczył do domu Marty razem z Marią i powiedział obu kobietom, by dały dowód swej wiary i modliły się wraz z nim. Potem wszedł sam do izby Łazarza i zaczął się modlić nad ciałem martwego człowieka.

Eza wyszedł z izby i spojrzął w blade twarze Marii i Marty. Uśmiechnął się, by dodać im otuchy, nim obrócił się ku drzwiom, za którymi leżał umarły. „Łazarzu, drogi bracie, wstań z łoża i powitaj swą żonę i siostrę, które z taką miłością modliły się, byś do nas powrócił”.

Maria i Marta ujrzały ze zdumieniem, jak w drzwiach pojawiał się Łazarz. Był bladej i słaby, ale poza tym całkiem żywy.

Tej nocy w całej Betanii się radowano, jako że wieść o cudownym uzdrowieniu Łazarza rozeszła się szybko. W miarę jak dobre uczynki Ezy stawały się legendarne, rosły szeregi jego wyznawców. On zaś dalej uzdrawiał, zatrzymując się nad brzegami Jordanu w pobliżu Jerycha, by chrzczyć ludzi, tak jak nakazywał Jan. Tłumy, które oczekiwały chrztu, były ogromne, i Nazarejczycy musieli pozostać nad Jordanem dłużej, niż się spodziewali.

Fakt, że Eza przejął rolę Jana, przydał mu popularności wśród wielu umiarkowanych, którzy się modlili, by był on prawdziwym mesjaszem. Herod Antypas, tetrarcha Galilei, oświadczył, że w osobie Ezy dostrzega żywego ducha Chrzciciela. Nie wszyscy jednak byli zadowoleni z takiego obrotu rzeczy. Słowa Heroda nie zostały dobrze przyjęte przez bardziej nieprzejednanych zwolenników Jana, jak i przez większość skrajnych ascetów esseńskich. Przeklinali po cichu Ezę za uzurpowanie sobie pozycji Chrzciciela. Jednakże ich śmiertelny gniew nie był wymierzony w samego Nazarejczyka, lecz w nazarejską kobietę.

Następnego dnia Maria Magdalena padła na ziemię, trzymając się za brzuch. Niebawem zebrali się wokół niej uczniowie, ją zaś ogarnęła straszliwa niemoc. Eza, usłyszawszy, że jego żona upadła, zjawił się bezzwłocznie.

W tamtym czasie towarzyszyła im także Wielka Maria i ona także zajęła się troskliwie Marią Magdaleną. Przyjrzała się uważnie synowej, badając objawy i pielęgnując ją delikatnie. Po chwili odwróciła się do swego syna. „Widziałam to już wcześniej” - rzekła. „To nie jest zwykła choroba”.

Eza przytaknął. „Trucizna”.

Wielka Maria potwierdziła jego przypuszczenie i dodała: „I to trucizna szczególna. Widzisz, jak sparaliżowało jej nogi? Nie może poruszyć dolną częścią ciała, a jej wnętrzności wypłyną wraz z wymiotami. To wschodnia trucizna, zwana trucizną siedmiu diabłów, od siedmiu śmiertelnych składników, które zawiera. Zabija, a czyni to powoli i boleśnie. Nie ma na nią odtrutki. Musisz zwrócić się do Boga, jeśli pragniesz ją ocalić, synu”.

Wielka Maria kazała się cofnąć pozostałym, by Eza mógł w spokoju uzdrawiać swą żonę. Eza ujął jej dłonie i zaczął się modlić; modlił się, dopóki nie poczuł, jak trucizna ulatnia się z jej ciała, a na policzki powraca zdrowy rumieniec. Podczas gdy Eza dokonywał Bożego dzieła, jego uczniowie starali się dociec, kto otruł Marię Magdalenę.

Winnego nigdy nie wykryto. Przypuszczali, że jakiś fanatyczny wyznawca Jana zjawił się nad brzegami Jordanu przebrany za człowieka gotowego przyjąć chrzest i podał truciznę ufnej Marii. Od tej pory uważała, by nie jeść ani nie pić w miejscach zgromadzeń, chyba że wiedziała dokładnie, skąd pochodzi posiłek. Przez resztę życia była narażona na napaści ze strony tych, którzy nią pogardzali albo jej zazdrościli.

Uzdrowienie Marii Magdaleny z trucizny siedmiu diabłów stało się jedną z największych legend kapłańskiej działalności Nazarejczyka. Jak wiele wydarzeń z życia Marii Magdaleny, tak i to miało być opacznie rozumiane i wykorzystane przeciwko niej.

Wspomnienia Marii przerwał krzyk dochodzący z dziedzińca. Był to Judasz, który poszukiwał gorączkowo Ezy. Maria pobiegła do niego.

- Co się stało?

- Moja siostrzenica, córka Jaira - wyrzucił z siebie zdyszany Judasz. Biegł całą drogę od wschodnich murów, by jak najszybciej dotrzeć do Ezy. - Być może jest już za późno, ale muszę się z nim widzieć. Gdzie on jest?

Maria zaprowadziła go do izby w domu Józefa, gdzie zebrali się mężczyźni. Eza dostrzegł lęk i niepokój na twarzy Judasza i wstał bezzwłocznie, by go powitać. Judasz wyjaśnił bez tchu, że jego siostrzenica zapadła na gorączkę, która prześladowuje dzieci Jeruzalem i jego okolic. Wielu ludzi już umarło. Nim się dowiedział o chorobie dziewczynki i dotarł do domu Jajusa, lekarze orzekli, że jest, niestety, za późno. Ze względu na swą pozycję w Świątyni i bliskość z Poncjuszem Piłatem, Jairus miał dostęp do najświetniejszych lekarzy. Judasz wiedział, że jeśli ci medycy zrezygnowali z pomocy, to dziewczynka jest już prawdopodobnie martwa. Mimo to musiał spróbować.

Judasz miał w sercu więcej łagodności, niż to okazywał innym. A jako człowiek, który się wyrzekł życia rodzinnego w imię swej buntowniczej natury, rozbudził w sobie wielką miłość do siostrzenic i siostrzeńców. Owa

chora dziewczynka, dwunastoletnia Smedia, była jego ulubienicą.

Eza dostrzegł strach Judasza i smutek wywołany stratą, po czym spojrzął na Marię Magdalenę.

- Masz siły na to, by udać się tej nocy w podróż?

Przytaknęła. Oczywiście, że pójdzie. W tamtym domu przebywała rozpaczająca matka, a Maria była gotowa pocieszyć ją, jak tylko umiała.

- Wyruszymy od razu - oznajmił Eza.

Nie wahał się nawet przez chwilę, Maria zaś wiedziała, że tak będzie. Nieważna była pora ani to, jak bardzo był zmęczony. Nigdy nie odmawiał nikomu, kto go naprawdę potrzebował.

Judasz wyszedł za nimi na zewnątrz, obdarzając przy tym Marię spojrzeniem pełnym wdzięczności. Spostrzegła to z prawdziwą radością. Może Judasz tej nocy bardziej zaakceptuje w swym sercu Drogę, pomyślała z nadzieją.

Jairus zajmował szczególną pozycję w swej społeczności. Był faryzeuszem i człowiekiem wysoko postawionym w Świątyni, ale także specjalnym przedstawicielem swego ludu przed urzędem prokuratora. Jako taki spotykał się co tydzień z Poncjuszem Piłatem, by omawiać z nim sprawy Rzymu, dotyczące pokojowych relacji ze Świątynią i Żydami z Jeruzalem.

Jairus nawiązał trwalszą więź z Piłatem i obaj mieli w zwyczaju dyskutować o polityce godzinami. Rachel, żona Jairusa, towarzyszyła mu podczas odwiedzin w twierdzy Antonia i spędzała te godziny z żoną Piłata, Klaudią Proculą. Przyjaźń między Rachelą a Klaudią zadzierzgnęła

się pomimo dzielących je różnic, które wynikały z ich urodzenia. Klaudia była Rzymianką o niezwykle silnej pozycji, nie tylko jako żona prokuratora Palestyny, ale także córka jednego z cesarzy i ulubiona pasierbica drugiego. Rachel zaś była Żydówką wywodzącą się z jednego z arystokratycznych rodów Izraela. Jednakże te kobiety o tak odmiennej historii życia znalazły wspólny język jako żony potężnych ludzi i przede wszystkim jako matki.

Córka Racheli, Smedia, często przychodziła z matką do twierdzy Antonia. Uwielbiała się bawić w bogato urządzone salach, a gdy dorosła, Klaudia pozwalała jej używać swych pachnidła i olejków. W wieku dwunastu lat Smedia zamieniała się w piękną młodą dziewczynę.

Klaudia darzyła Smedię szczególnie ciepłym uczuciem, ponieważ dziewczynka była uroczą towarzyszką zabaw jej własnego dziecka, Piło. Siedmioletni syn Poncujusza Piłata i Klauдії Proculi stanowił zagadkę dla niemal całego Jeruzalem. Nieliczni wiedzieli, że Piłat ma syna. Deformacja lewej nogi chłopca ograniczała jego aktywność i zmuszała do bezustannego przebywania w murach twierdzy. Piłat nie pokazał światu swego syna, wiedział bowiem, że nigdy nie wyrośnie on na żołnierza i nigdy nie pójdzie w ślady swego ojca jako przyszły prokurator z ramienia Rzymu. Dziecko będące tak oczywistym dowodem nieprzychylności bogów uważano za zły omen.

Klaudia jednak знаła Piłata od strony, jakiej nie znali inni. Wiedziała, że płacze z powodu chłopca w tych mrocznych godzinach, kiedy to sądził, że nikt go nie widzi. Piłat wydał połowę ich fortuny na kosztownych lekarzy z Grecji, medyków indyjskich, zajmujących się prostowaniem wykrzywionych kończyn, i wszelkiej maści uzdrowiciela. Każda z wizyt tych ludzi kończyła się płaczem Piło i jegd

niezadowoleniem. Klaudia kołysała łkającego chłopca do snu, Piłat zaś opuszczał pośpiesznie twierdzę na długie godziny, nie chcąc widzieć obojga w takim stanie.

Młoda Smedia okazywała chłopcu bezgraniczną cierpliwość; siedziała z nim godzinami, opowiadając mu różne historie i śpiewając piosenki. Klaudia uśmiechała się, gdy obserwowała ich kątem oka, haftując z Rachelą. Co powiedziałby Piłat, gdyby usłyszał swe dziecko śpiewające po hebrajsku? Piłat jednak rzadko bywał w jej apartamentach, wiedziała więc, że nie musi się martwić o takie rzeczy.

Właśnie podczas jednej z wizyt przyjaciółki Klaudia Procula usłyszała po raz pierwszy o Ezie Nazarejczyku. Rachelą była wręcz zachwycona tym człowiekiem i jego uczynkami. Uraczyła Klaudię opowieściami o uzdrowieniach dokonanych przez Ezę i cudach, jakich dokonał. Mąż Racheli, Jairus, nie pozwalał jej wychwalać Nazarejczyka - uważał go za swoistego adwersarza arcykapłanów, Jonatana Annasza i Kajfasza. Ludzie ci traktowali Ezę jako renegata, który nie szanował zwierzchności Świątyni. Jairus nie chciał, by ktokolwiek sądził, że ma do czynienia z tym człowiekiem.

A jednak kuzyn Jairusa, Judasz, zaliczał się teraz do wybranych uczniów Ezy. Była to niezręczna sytuacja dla Jairusa, ale jak dotąd radził sobie z nią doskonale. Rachelą zaś była zachwycona, bo dzięki Judaszowi miała wiadomości o cudach Nazarejczyka z pierwszej ręki.

- Powinnaś zaprowadzić Piło do Ezy - oznajmiła pewnego dnia Rachelą.

Oczy Klaudii zasłzy mgłą.

- Jakżebym mogła? Mój mąż nigdy by nie dozwolił, by widziano nas w towarzystwie jakiegoś wędrownego kaznodziei nazarejskiego. Byłoby to niestosowne.

Rachela nie wspominała już o tym przez wzgląd na wrażliwość przyjaciółki. Lecz Klaudia nie przestała myśleć o sugestii Racheli. Potem Smedia zapadła na straszliwą gorączkę, a po kilku dniach zachorował także Piło.

Wokół domu Jairusa już zebrały się żałobne tłumy. Rodziny związane ze Świątynią i liczni obywatele Jeruzalem, poruszeni losem Jairusa i Racheli, także się zjawili, by okazać obojgu szacunek. Smedia, ich ukochana córka, była martwa.

Judasz przepychał się przez ciżbę, zmierzając pośpiesznie ku domowi kuzyna. Tuż za nim szedł Eza z Marią; trzymał ją mocno za rękę, by nie zgubić swej drobnej żony w tym ludzkim mrowiu. Na samym końcu podążali Andrzej i Piotr, jako dodatkowa ochrona. Dla Nazarejczyków było oczywiste, że dziecko zostało pokonane przez gorączkę, ale to ich nie powstrzymywało. Przeciskali się przez tłum w stronę domu Jairusa.

W twierdzy Antonia zaś Poncjusz Piłat i Klaudia Procula usłyszeli właśnie wyrok śmierci na swego syna. Lekarze byli bezradni. Nic więcej nie mogli dla dziecka uczynić; zresztą, czyż od początku chłopiec nie był słaby? Poncjusz Piłat wyszedł bez słowa i zamknął się na resztę nocy ze swymi stoickimi filozofami. Po owej stracie musiał dojść do siebie na swój rzymski sposób.

Klaudia pozostała sama z gasnącym Piło. Położyła go w swoim łóżku i zaczęła cicho płakać. Tak swą panią znalazł grecki sługa, kiedy wszedł do sypialni.

- Mój biedny synek odchodzi - rzekła cicho Klaudia. -
Co mamy zrobić? Co pocznę bez niego?

Niewolnik przysunął się pośpiesznie do niej.

- Moja pani, przynoszę wieści z domu Racheli i Jairusa. Są to niezwykle smutne nowiny, ale być może niosą ze sobą wielką nadzieję. Cudowna Smedia właśnie zmarła.

- Nie! - zawołała Klaudia.

Ten ciężar był nie do zniesienia. Czy istniała jakakolwiek sprawiedliwość, jeśli tak piękna dziewczyna jak córka Racheli opuściła świat, być może tej samej nocy co jej ukochany syn?

- Czekaj, pani, to jeszcze nie wszystko. Rachel kazała mi powiedzieć, że dzisiejszego wieczoru przybędzie do ich domu uzdrowiciel nazarejski, Eza. Nawet jeśli jest już za późno dla Smedii, może nie jest jeszcze za późno dla Piło.

Klaudia nie miała czasu zastanawiać się nad konsekwencjami. Piło był bliski śmierci.

- Owiń chłopca. Zaniesiemy go do rydwanu. Błagam, szybko!

Greki, który był także nauczycielem chłopca i kochał go wielce, otulił ostrożnie małego i zaniósł do rydwanu. Klaudia szła za nimi pośpiesznie. Nie miała zamiaru informować Piłata, przypuszczając, że on nie zauważy nawet jej nieobecności. Poza tym miała pełne prawo podjąć tak ważną decyzję sama. Czyż nie była wnuczką cesarza?

Piło jeszcze żył i wciąż oddychał, kiedy Greki i matka go nieśli. Klaudia kryła twarz za grubą zasłoną; nie chciała pokazywać oblicza rzymskiej patrycjuszki, zjawiając się w domu pograżonej w żałobie rodziny żydowskiej. Grecki

niewolnik wjechał w tłum rydwanem tak głęboko, jak tylko zdołał, potem jednak zatrzymał się i pomógł swej pani z dzieckiem na rękę przecisnąć się przez zwartą masę ludzi. Było to trudne. Pomijając żałobników wokół domu, pobliskie uliczki zaroily się od ciekawskich i wiernych na wieść o przybyciu mesjasza z Galilei. Jednakże mała grupa z twierdzy Antonia była zdeterminowana i parła do przodu, dopóki nie znalazła się pod drzwiami prowadzącymi do westybulu.

- Chcemy widzieć się z Rachelą, żoną Jairusa - oznajmił grecki niewolnik. - Proszę, powiedzcie Racheli, że przybyła jej droga przyjaciółka, Klaudia.

Drzwi się otworzyły, ale nie zostali od razu wpuszczeni. Tuż za progiem trzymał wartę Judasz. Powiedział strażnikom na zewnątrz, by nie wpuszczali nikogo, dopóki Eza nie wyjdzie. Judasz nie chciał żadnych świadków przez wzgląd na bezpieczeństwo Ezy. Jairus był faryzeuszem, a wokół domu stali inni ludzie ze Świątyni, którzy nie byli sympatykami Nazarejczyka i jego misji; czekali, co się wydarzy. Gdyby Eza nie zdołał wskrziesić Smedii, potępiliby go jako oszusta, a gdyby jego wysiłki okazały się owocne, zarzuciliby mu czary albo tajemne sztuczki. Takie oskarżenie naraziłoby na szwank reputację nie tylko Ezy, ale również samego Jairusa. Gdyby wysunął je faryzeusz i zostało poparte relacją naocznego świadka, mogło doprowadzić do wyroku śmierci. Najbezpieczniej było nie dopuszczać do izby, w której przebywał Eza z dziewczynką, nikogo z wyjątkiem najbliższej rodziny.

Klaudia Procula usłyszała tylko szorstkie polecenie Judasza: „Niechaj nikt jeszcze nie wchodzi”. Lecz gdy drzwi się otworzyły, ujrzała przelotnie, co się dzieje w środku. Smedia leżała na łożu śmierci w oparach kadzidła, blada

i pozbawiona życia. Rachel siedziała u jej boku, trzymając sztywną dłoń dziecka; głowę miała schyloną, poddawszy się niewypowiedzianemu bólowi. Obok stała kobieta w czerwonej chus'cie nazarejskiej księżniczki, uosobienie siły i współczucia w tej żałobnej scenerii. Jairus, którego Klaudia znała jako człowieka dumnego i silnego, spoczywał załamany na podłodze u stóp Ezy Nazarejczyka. Błagał go o uzdrowienie swej córki.

Później, kiedy było już po wszystkim, Klaudia mówiła o wrażeniu jakie wywarł na niej, gdy ujrzała go po raz pierwszy. „Nigdy przedtem się tak nie czułam” - wyznała. „Kiedy go ujrzałam, ogarnął mnie wielki spokój, jakbym się znalazła w obliczu miłos'ci i wielkiego światła. Wiedziałam, że jest czymś więcej niż człowiekiem i że możemy poczytywać sobie za wieczne błogosławieństwo, że przebywaliśmy w jego obecności choć kilka chwil”.

Drzwi nie zamknęły się, jak oczekiwała tego Klaudia. Judasz zajmował się zboląłym Jairusem, a strażnik na zewnątrz był zbyt zafascynowany tym, co się obok niego działo, by skutecznie pilnować wejścia do domu. Klaudia patrzyła z niekłamaną fascynacją, jak Eza zbliża się do łoża. Spojrzał na kobietę w czerwieni, swą żonę Marię Magdalenę, jak później dowiedziała się Klaudia, a potem położył dłonie na ramionach Racheli. Wyszeptał jej coś do ucha i kobieta uniosła głowę. Następnie Eza pochylił się nad dzieckiem i ucałował jego czoło. Ujął dłoń Smedii i zamknął oczy, oddając się modlitwie. Po długiej chwili milczenia, gdy nikt z obecnych nie śmiał nawet odetchnąć, Eza zwrócił się do dziewczynki i nakazał:

- Wstań, dziecko.

Klaudia nie potrafiła przywołać z pamięci wszystkiego, co się potem wydarzyło. Przypominało to dziwny sen, który

za każdym razem pamięta się inaczej. Smedia poruszyła się najpierw nieznacznie, ale potem usiadła i zawołała matkę. Rachela i Jairus podbiegli z krzykiem do córki i chwycili ją w ramiona. W którymś momencie Klaudia osunęła się na kolana, podczas gdy tłum ruszył do przodu. Wokół domu zapanowała wrzawa. Wyznawcy Nazarejczyka i przyjaciele rodziny przyjęli głośnie wybuchem radości cud wskrzeszenia Smedii. Ale było też słyhać drwiny i posykiwania faryzeuszy, a także przeciwników Nazarejczyka, którzy mówili głośno o bluźnierstwie i nazywali go szarlatanem.

Klaudię ogarnęło przerażenie. Została razem z Grekiem odepchnięta od drzwi i porwana wraz z falą tłumu. Piło był konający i jego matka wiedziała, że jej syn może umrzeć na schodach domu Jairusa. Było to ryzykowne, nawet okrutne, sprowadzać tu chłopca, gdy mógł wydać ostatnie tchnienie w swym własnym łóżku. Teraz zaś wydawało się to daremne. Nazarejczyka otoczyli jego wyznawcy i Klaudia nie mogła do niego dotrzeć.

Lecz gdy już ją opuściła wszelka nadzieja, dostrzegła w pewnej chwili, jak Maria Magdalena przystaje. I wtedy coś się między nimi wydarzyło, doszło do jakiegoś mistycznego porozumienia między dwiema matkami, które znały brzemie cierpienia. Przez długą chwilę patrzyły sobie w oczy, potem wzrok Marii spoczął na dziecku w ramionach Greka. Maria bez słowa położyła dłoń na ramieniu Ezy. Zatrzymał się i odwrócił, by zobaczyć, o co Maria go prosi. Przez moment spojrzenia Ezy i Klaudii krzyżowały się, potem na jego ustach pojawił się uśmiech, pełen nadziei i jasności. Klaudia nigdy nie potrafiła powiedzieć, jak długo to trwało, nagle bowiem z zauroczenia wyrwał ją głos synka.

- Mamo! Mamo! - Piło wyrывał się Grekowi. - Puść mnie!

Klaudia ujrzała, jak twarz chłopca odzyskuje kolory. Znów wydawał się silny i zdrowy. W chwili krótszej niż mgnienie oka syn Piłata i Klaudii został całkowicie uleczony. I nie tylko z gorączki. Gdy tylko stopki małego dotknęły ziemi, Grek i Klaudia zobaczyli, że lewa noga Piłto nie jest już wykrzywiona. Podeszedł do matki krokiem pewnym i równym.

- Patrz, mamó! Mogę chodzić!

Klaudia objęła swego pięknego chłopca, odprowadzając jednocześnie wzrokiem postać nazarejskiego uzdrowiciela i jego drobną żonę, gdy znikali w hałaśliwym tłumie Jeruzalem.

- Dziękuję - wyszeptala do nich. I co dziwne, choć zniknęli już z jej oczu, wiedziała doskonale, że ją usłyszeli.

Uzdrowienie Piłto było dla jego ojca niczym miecz obosieczny. Nie krył radości, że jego syn wyzdrowiał nie tylko z choroby, ale i z kalectwa. Ani on, ani Klaudia nigdy nie wyobrażali sobie, że kiedykolwiek się to ziści. Piłto był teraz prawowitym spadkobiercą rzymskiego dziedzictwa, dzieckiem, które mogło pewnego dnia stać się mężczyzną i żołnierzem. Jednakże to, w jaki sposób powrócił do zdrowia, budziło niepokój. Co gorsza, oboje, Piłat i Klaudia, byli teraz opętani myślą o Nazarejczyku, którego osoba stała się swoistym cierniem w boku zarówno władz rzymskich, jak i kapłanów ze Świątyni.

Piłat spotkał się wcześniej z Kajfaszem i Annaszem na ich prośbę, by omówić pewien incydent z udziałem tłumy, który nastąpił przy wschodniej bramie. Nazarejczyk przybył na osłe, zgodnie z przepowiednią jednego z izraelskich

proroków, i zaniepokoił kapłanów czymś, co uznali za deklarację o charakterze mesjańskim. Podczas gdy żydowskie nieporozumienia nie były dla Piłata powodem wielkiego zmartwienia, ten Nazarejczyk, jak głosiły plotki, nazywał siebie królem żydowskim, co było zdradą wobec cesarza. Piłat czuł się przymuszony przedsięwziąć pewne działania przeciwko temu człowiekowi, gdyby dokonał w Jeruzalem w przededniu święta Paschy czegoś kontrowersyjnego.

Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że Herod, tetrarcha Galilei, wystąpił osobiście przeciwko Nazarejczykowi w liście przesłanym Piłatowi. „Jest mi wiadomo, że człowiek ten ogłosi się królem wszystkich Żydów. Stał się niebezpieczny dla mnie, dla ciebie, dla Rzymu”.

Na tym polegał problem Piłata. Natomiast z filozoficznego punktu widzenia sprawa przedstawiała się całkiem odmiennie.

Jaką to siłę podporządkował sobie Nazarejczyk, że był władny dokonywać takich rzeczy jak wskrzeszenie dziecka z martwych? Gdyby nie Piłat, Piłat pomyślałby, że cuda Ezy to zwykłe sztuczki, i zgodziłby się z oskarżeniami faryzeuszy o bluźnierstwo. Lecz wiedział lepiej niż ktokolwiek, że choroeba i kalectwo jego syna były rzeczywiste. Lub były takie niegdyś. Teraz po prostu zniknęły.

Kryło się w tym wszystkim coś, co należało wyjaśnić. Rzymski rozum żądał jasnej odpowiedzi, pragnął pojąć, co się naprawdę wydarzyło. Poncjusz Piłat był bardzo niezadowolony, gdy nie znalazł żadnego wytłumaczenia.

Jego żona jednak nie potrzebowała przekonujących dowodów. Widziała na własne oczy dwa wielkie cuda, doświadczyła obecności i chwały Nazarejczyka i jego Boga; Klaudia Procula nawróciła się w jednej chwili. Była rozczarowana i niezadowolona, gdy mąż zakazał jej słuchania

jakichkolwiek nauk Ezy, wygłaszanych w Jeruzalem. Chciała zabrać ze sobą Piło, by jej syn mógł spotkać się z tym niezwykłym Nazarejczykiem, który był czymś więcej niż człowiekiem. Piłat zakazał jej tego surowo.

Rzymski prokurator był człowiekiem złożonym, pełnym wątpliwości, lęku i ambicji. Tragedia Poncjusza Piłata miała rozegrać się wówczas, gdy owe uczucia przeważyły miłość, siłę czy wdzięczność, które niegdyś gościły w jego sercu.

Było już bardzo późno, gdy Nazarejczycy dotarli do domu Józefa. Eza był jak zawsze gotów do jeszcze jednej narady ze swymi uczniami przed udaniem się na spoczynek. Ważyli swe decyzje co do następnego dnia w Jeruzalem. Maria nie położyła się, chcąc wszystko słyszeć i dowiedzieć się, co ów dzień przyniesie. Wydarzenia w domu Jajrusa dowodziły, że lud Jeruzalem podzielił się w kwestii roli Ezy jako mesjasza. Zwolennicy byli liczniejsi od przeciwników, lecz wszyscy podejrzewali, że ci drudzy to potężni ludzie związani ze Świątynią.

Judasz przemówił do zebranych mężczyzn. Wyglądał na wyczerpanego, jednak radosne podniecenie, jakie ogarnęło go na widok cudu przy śmiertelnym łożu Smedii, dodawało mu sił.

- Jajrus wziął mnie na stronę, kiedy odchodziliśmy - wyznał im. - Teraz, kiedy zobaczył na własne oczy, że Eza to prawdziwy mesjasz, jest o wiele bardziej skłonny nas poprzeć. Ostrzegł, że Rady faryzeuszy i saduceuszy są zaniepokojone tłumami naszych zwolenników, którzy przybyli do miasta. Jesteśmy silniejsi, niż kiedykolwiek sobie wyobrażali. Boją się nas i są gotowi podjąć jakieś działania, jeśli

uznają, że stanowią w czasie Paschy zagrożenie dla pokoju czy Świątyni.

Piotr splunął z odrazą na podłogę.

- Wiemy wszyscy dlaczego. Pascha to czas, kiedy Świątynia ma największe zyski. Ludzie składają najbogatsze ofiary, wymienia się też najwięcej pieniędzy.

- To pora zbierania plonów dla kupców i lichwiarzy - dodał jego brat Andrzej.

- A spośród nich najwięcej dostają Annasz i jego zięć - zauważył Judasz. - Nie zdziwicie się, jeśli powiem, że obaj przewodzą tym, którzy pragną nas zniesławić. Musimy postępować tu z najwyższą rozwagą, jeśli nie chcemy, by nakłonili Piłata do aresztowania Ezy.

Kiedy obecni zaczęli z przejęciem mówić jeden przez drugiego, Eza uniósł dłonie.

- Pokój, moi bracia - powiedział. - Udamy się jutro do Świątyni i pokażemy Annaszowi i Kajfaszowi, że nie jest naszym zamiarem rzucać im wyzwania. Możemy żyć razem w pokoju i nie musimy się nawzajem wyniszczać. Pójdziemy do nich wraz z naszymi nazarejskimi braćmi jako pobożni uczestnicy owego świętego tygodnia. Nie mogą odmówić nam wstępu do przybytku; być może zawrzemy z nimi rozejm.

Judasz nie wydawał się przekonany.

- Nie sądzę, byś zdołał dojść do jakiegoś kompromisu z Annaszem. Pogardza nami i wszystkim, czego nauczamy. Annasz i Kajfasz nie chcą, by ludzie uwierzyli, że nie potrzeba im Świątyni w drodze do Boga. To ostatnia rzecz, jakiej pragną arcykapłani.

Maria wstała z podłogi i uśmiechnęła się ciepło do Ezy z drugiego końca izby. Uchwycił jej spojrzenie i też się do niej uśmiechnął, gdy ruszyła cicho w stronę tylnych drzwi.

Była zbyt zmęczona, by rozważać takie sprawy. Poza tym, jeśli Eza był zdecydowany pokazać się nazajutrz w Świątyni, to coś jej mówiło, że wszystkim przyda się odrobina wypoczynku.

Maria dzieliła izbę z synkiem i córeczką, jak zawsze, gdy podróżowali. Wierzyła, że daje im to poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebnego dzieciom, które często wiodły wędrowny tryb życia. Oboje, pogrążeni we śnie, wyglądali anielsko: Jan Józef ze swymi długimi, ciemnymi rzęsami na oliwkowych policzkach i Sara Tamar otoczona chmurą lśniących, rudych włosów.

Ich matka oparła się chęci ucałowania małych twarzątek. Zwłaszcza Tamar miała płytki sen, i Maria nie chciała budzić któregokolwiek. Potrzebowały wypoczynku, jeśli miały nazajutrz towarzyszyć jej w drodze do Jeruzalem - miasto wydało im się takie ekscytujące i barwne. Dopóki nic im nie groziło, nie zamierzała się sprzeciwiać. Ale gdyby okoliczności okazały się dla Ezy nieprzychylnie, musiałyby wyprowadzić dzieci z miasta. W przypadku najgorszego, nawet włości Józefa nie dawałyby bezpiecznego schronienia. Musiałyby zabrać dzieci do Betanii, do domu Marty i Łazarza.

W końcu Maria położyła się i zamknęła oczy. Sen jednak nie przychodził, choć bardzo go pragnęła i potrzebowała. Nie dawały jej spokoju myśli i obrazy. Ujrzała oczyma duszy kobietę w grubej chuście, tę, która trzymała na rękach dziecko pod domem Jairusa. Przede wszystkim nie była Żydówką ani pospolitą niewiastą z ludu. Jej postawa i odzienie dowodziły, że błędem byłoby brać ją za kogoś zwykłego. Poza tym Maria wiedziała doskonale, kiedy kobieta zmienia odzienie, by uchodzić za kogoś innego; czyż sama nie czyniła tego wielokrotnie, gdy wymagała tego sytuacja?

Maria zauważyła też u nieznajomej niekłamaną rozpacz. Czuła niemal, jak tamta promieniuje bólem; wydawało się, jakby sam jej smutek błagał Ezę o pomoc. Kiedy Maria spojrzała w twarz kobiety, dostrzegła to samo poczucie straty, które towarzyszy każdej matce, gdy nie może ocalić swego dziecka. Było to cierpienie, które nie zna rasy, religii czy urodzenia, ból, który mogą dzielić tylko rodzice. W ciągu trzech ostatnich lat głoszenia prawdy Maria widziała ten wyraz twarzy wielokrotnie. Ale też często była świadkiem, jak rozpacz na takim obliczu zmieniała się w radość.

Eza ocalił wiele dzieci Izraela. Jak się okazało, być może ocalił też jedno rzymskie.

Eza i jego uczniowie udali się do Świątyni następnego dnia, tak jak postanowili. Maria zabrała ze sobą dzieci. Przystanąła, by przyjrzeć się gwarowi i sporom, jakie toczyły się pod świętymi murami. Eza stał pośrodku dużego i rosnącego z każdą chwilą tłumu, głosząc Królestwo Boże. Mężczyźni zadawali mu pytania, on zaś odpowiadał z charakterystycznym dla siebie spokojem. Słowa Ezy były wyważone i zawierały nauki Pisma. Niebawem stało się dla wszystkich jasne, że jego znajomości Prawa nikt nie może podważyć.

Później mieli się dowiedzieć dzięki Jairusowi, że Annasz i Kajfasz wysłali w tłum swoich ludzi. Polecono im zadawać szczególnie podchwytliwe pytania. Gdyby odpowiedzi Ezy można było uznać za bluźniercze, zwłaszcza w sąsiedztwie Świątyni i przy tylu świadkach, arcykapłani zdobyliby dalsze dowody przeciwko niemu.

Z tłumu wystąpił jakiś człowiek, by zadać pytanie dotyczące kwestii małżeństwa. Judasz dostrzegł tego mężczyznę

i rozpoznał go; szepnął do ucha Ezie, że to faryzeusz, który oddalił starszą żonę, by poślubić młodszą.

- Powiedz mi, rabbi - zwrócił się do Ezy - czy jest zgodne z Prawem, gdy mężczyzna oddała żonę z jakiegoś powodu? Słyszałem, jak mówiłeś, że nie, a jednak Prawo Mojżeszowe stanowi inaczej. Mojżesz spisał list rozwodowy.

Eza przemówił donośnym głosem, by wszyscy go usłyszeli. Odpowiedź była ostra, ponieważ wiedział o grzechach tego człowieka:

- Przez wzgląd na zatwardziałość serc waszych pozwoliłam wam Mojżesz oddalać wasze żony.

Tłum składał się w dużej mierze z mieszkańców Jeruzalem, którym ów faryzeusz był znany. Wydali głuchy pomruk niezadowolenia, słysząc nutę obelgi. Lecz Eza jeszcze nie skończył. Miał już dość tych zepsutych ludzi, którzy żyli jak królowie z datków ubogich i pobożnych Żydów. Uważał obecnych kapłanów, którzy mieli przestrzegać Prawa z największą uczciwością, za hipokrytów. Głosili konieczność życia w świętości, ale sami takiego nie prowadzili. W ciągu ostatnich lat swej działalności Eza uświadomił sobie, że lud Jeruzalem został zastraszony przez tych osobników; bał się władzy faryzeuszy tak samo jak władzy Rzymu. Pod wieloma względami kapłani ze Świątyni byli równie groźni dla zwykłych Żydów jak Rzymianie, gdyż w wielu sprawach mieli możliwość wpływania na ich życie.

- Czy nie czytaliście Pisma? - Pytanie Ezy stanowiło kolejną obelgę dla mężczyzny będącego kapłanem. Potem zwrócił się do tłumu: - Stwórca od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę. Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, i złączy się ze swoją żoną, i będą jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył,

niech człowiek nie rozdziela. A powiadam wam: Kto oddała swoją żonę, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo.

- Jeśli tak ma się sprawa człowieka z żoną, to nie warto się żenić - zażartował ktoś w tłumie.

Eza nie roześmiał się. Sakrament małżeństwa i znaczenie życia rodzinnego były kamieniem węgielnym nauki Nazarejczyków. Przemówił przeciwko takiemu postawieniu sprawy:

- Bo są niezdatni do małżeństwa, którzy z łona matki takimi się urodzili; i są niezdatni do małżeństwa, których ludzie takimi uczynili. Niechaj wszyscy ludzie zdolni do przyjęcia sakramentu małżeństwa go przyjmą, gdyż taka jest wola Boga, Pana naszego. I niechaj człowiek taki pozostanie przy swej żonie, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Dotknięty słowami Ezy faryzeusz postanowił zaatakować.

-A ty, Nazarejczyku? Prawo Mojżeszowe powiada, że każdy, kto ma być namaszczony, musi wziąć sobie za żonę dziewicę, nie zaś nierządnicę czy wdowę.

Była to niewątpliwa aluzja do Marii Magdaleny, która stała wraz z dziećmi w pewnej odległości od tłumu. Postanowiła ubrać się zwyczajnie, by nie odróżniać się od innych, i nie włożyła czerwonej chusty, będącej oznaką jej urodzenia. Była z tego zadowolona w tej chwili, czekając na słowa Ezy.

Odpowiedział faryzeuszowi pytaniem:

- Czy jestem z rodu Dawida?

- To nie ulega wątpliwości - odparł mężczyzna.

-I czy Dawid był wielkim królem i jednym z namaszczonych pośród naszego ludu?

Faryzeusz odpowiedział twierdząco; był świadomy, że zastawia się na niego pułapkę, nie wiedział jednak, jak jej uniknąć.

- Nie spytałbyś mnie, czy pragnę naśladować Dawida, jeśli mam być jego następcą? Kto z tu obecnych nie uznałby za rzecz godną podążania jego śladem?

Pytanie Ezy przebiegło przez szeregi zgromadzonych, którzy przytakiwali i dawali gestami do zrozumienia, że doprawdy byłoby rzeczą godną wzorować się na Wielkim Lwie Judy.

- To właśnie uczyniłem. Tak jak Dawid pojął za żonę wdowę Abigail, która była godną i dobrze wychowaną córką Izraela, tak i ja poślubiłem wdowę o szlachetnej krwi.

Faryzeusz wiedział, że wpadł w sidła, które zastawił, i pośpiesznie wtopił się w tłum. Ale ludzie ze świątynnego ośrodka władzy nie zamierzali tak łatwo ustępować. Pod adresem Ezy padały pytania jedno za drugim, a jego odpowiedzi były niczym ostre strzały wymierzone w faryzeuszki. Inny człowiek, tym razem w szatach kapłańskich, zaatakował Ezę z nieskrywaną złością:

- Słyszałem, że wraz ze swymi uczniami zmieniacie tradycję starszych. Dlaczego nie obmywacie dłoni, spożywając chleb?

Tłum już od jakiegoś czasu poruszał się niespokojnie. Wokół wyczuwało się niechęć i Eza wiedział, że musi twardo bronić swojego zdania. Ludzie z Jeruzalem nie byli tacy jak ci w Galilei i innych rejonach. Tutaj żądano czynów. Mogli pójść za królem, który potrafiłby zrzucić z nich pęta zniewolenia, ale wpieryw musiałby dowieść swej siły i wartości.

Rozległ się donośny i dźwięczny głos Ezy, nie tyle w obronie Nazarejczyków, ile ku potępieniu kapłanów.

- Dlaczego zmieniacie przykazania Boże, wy hipokryci? - Ta nieskrywana obelga odbiła się echem od kamiennych murów Świątyni. - Mój kuzyn Jan nazwał was plemieniem żmijowym i czyniąc to, miał słuszność.

Przywołanie osoby Jana było przemyślanym wybiegiem; chodziło o to, by zyskać poparcie bardziej konserwatywnie nastawionych ludzi w tłumie.

- Jan był znany jako uosobienie Izajasza, ten zaś rzekł: „Sławią mnie tylko wargami, podczas gdy serca ich są z dala ode mnie”. Teraz widzę, że wy, faryzeusze, jawicie się czyści na zewnątrz, ale w środku jesteście przepelnieni chciwością i niegodziwością. Czy Pan, który stworzył to, co jest na zewnątrz, nie stworzył też tego, co jest w środku? - Eza wznosił głos, by wyrazić ostateczną prawdę. - I to jest różnica między nami Nazarejczykami i tymi kapłanami. My dbamy o czystość naszych dusz, abyśmy mogli utrzymać Królestwo Boże na Ziemi, tak jak jest ono w niebie.

- To bluźnierstwo przeciwko Świątyni! - krzyknął ktoś w tłumie.

Potem wybuchła wielka wrzawa - niektórzy zgadzali się ze słowami Ezy, inni się sprzeciwiali.

Zamieszanie narastało. Obserwując wszystko z wysokości murów świątynnych, Maria miała wrażenie, że jest to tylko reakcja na śmiałe słowa Ezy. I rzeczywiście, w znacznej mierze zamieszanie wynikało właśnie z tego. Lecz kilku uczniów nazarejskich przepychało się w stronę Ezy, wiedząc za sobą zbitą gromadkę mężczyzn i kobiet - ludzi, którzy słyszeli o cudownych uzdrowieniach. Byli to żałośni nieszczęśnicy, ślepi i chromi, przez wielu traktowani nie jak ludzie.

Lichwiarze i przekupnie zaczęli głośno protestować, gdy ów tragiczny pochód ruszył przez Świątynię. Był to tydzień przynoszący im największe zyski, a obecność tych skrzywdzonych przez los istot przeszkadzała w interesach. Kiedy jeden ze ślepców wpadł na stół któregoś z przekupniów i zrzucił z niego towar, rozpały się emocje. Przekupień zaatakował ślepca kijem, wykrzykując obelgi pod adresem

biedaka i Nazarejczyków. Eza pospieszył z pomocą niewidomemu; postawił go delikatnie na nogi i wyszeptał mu coś do ucha. Skinąwszy na swoich uczniów, by odsunęli kalekich na bok, obrócił się ku stołom okrutnego przekupnia, który zaatakował nieszczęśnika. Krzyknął, by wszyscy go usłyszeli:

- Napisane jest: „Mój dom ma być domem modlitwy, a wy czynicie z niego jaskinię zbójców”.

Inni kupcy krzykali gniewnie na Ezę, gdy przemierzał dziedzińce Świątyni. Chaos groził wybuchem zamieszek, lecz Eza uniósł dłoń i nie poprosił swych uczniów, by ruszyli za nim ku frontowi przybytku. Tutaj to przyprowadzono nieszczęśników zdjętych niemocą, chorobami i deformacją członków. Począwszy od niewidomego człowieka, Eza uzdrowił wszystkich bez wyjątku.

Tłumy wokół Świątyni urosły do ogromnych rozmiarów. Pomimo śmiałych słów Ezy, a może właśnie z ich powodu, mieszkańcy Jeruzalem byli ogromnie zaintrygowani tym Nazarejczykiem - człowiekiem, który w kilka chwil uzdrowił chorych cierpiących od dziesiątków lat. Maria nie widziała już go ze swego miejsca, poza tym jej dzieci zaczęły wiercić się z energią typową dla dzieci, które znalazły się w ekscytującym otoczeniu. Maria oddaliła się z tego niespokojnego miejsca, prowadząc syna i córkę na targowisko.

Kiedy szli we trójkę brukowanymi ulicami, zobaczyła przed sobą czarne szaty dwóch faryzeuszy. Była pewna, że z ich ust padło imię Ezy. Otuliwszy twarz chustą, zrównała się z nimi, popychając dzieci do przodu. Mężczyźni rozmawiali otwarcie, ale posługiwali się greką, ponieważ wiedzieli, że pospólstwo nie zna owego języka ludzi wykształconych. Maria jednak, kobieta wysokiego rodu, władała nim biegle.

Zrozumiała doskonale, kiedy jeden z mężczyzn zwrócił się do swego towarzysza i powiedział:

- Dopóki ten Nazarejczyk żyje, nie będziemy mieli spokoju. Im prędzej się go pozbędziemy, tym lepiej dla nas wszystkich.

Maria znalazła Bartłomieja na targowisku; został tam wysłany w celu nabycia zapasów dla pozostałych uczniów. Maria nakazała, by wracał do Ezy i powiedział mu, a także innym, że nie powinni spędzać tej nocy u Józefa. Muszą opuścić Jeruzalem przez wzgląd na bezpieczeństwo Ezy. Maria wierzyła, że dom, który niegdyś dzieliła z Martą i Łazarzem w Betanii, jest najlepszym schronieniem. Znajdował się w bezpiecznej odległości od Jeruzalem, a jednocześnie umożliwiał szybki powrót do miasta - albo ucieczkę.

Eza spotkał Marię i dzieci w Betanii jeszcze tego samego wieczoru. Niektórzy uczniowie pozostali wraz z nimi w domu Łazarza, podczas gdy inni udali się do sąsiedniego domu Szymona, zaufanego przyjaciela. To właśnie tam, przed laty, Maria okazała nieposłuszeństwo swemu bratu i Janowi, co miało tak katastrofalne konsekwencje. Uczniowie zebrali się tej nocy, by omówić wydarzenia dnia i przygotować się na to, co ich czekało.

Maria była zatroskana. Wyczuwała, że mieszkańcy Jeruzalem są podzieleni - połowa opowiadała się za wspaniałym Nazarejczykiem, który był cudotwórcą i obrońcą biednych, połowa zaś sprzeciwiała się parweniuszowi, który rzucał

wyzwanie Świątyni i jej tradycjom w tak nieprzejednany sposób. Powtórzyła uczniom rozmowę kapłanów, podsłuchaną na targowisku. W tym momencie z domu Jairusa powrócił Judasz z nowymi wiadomościami.

- Maria ma słuszość. W Jeruzalem grozi ci niebezpieczeństwo - powiedział do Ezy. - Jairus twierdzi, że Kajfasz i Annasz wzywają do twojej egzekucji, oskarżając cię o bluźnierstwo.

Piotr nie krył odrazy.

- Bzdura. - Splunął z pogardą. - Eza nigdy nie wypowiedział żadnego bluźnierstwa i nie mógłby tego uczynić, nawet gdyby pragnął. Bo to oni są bluźniercami, plemię zmijowe.

Eza nie wyglądał na zatroskanego.

- To nie ma znaczenia, Piotrze. Kapłani nie mają prawa skazać człowieka na śmierć - oznajmił, odwołując się do swej dogłębnej znajomości Prawa. - Tylko Rzym może to uczynić, a Rzymianie nie uznają żydowskich przepisów do tyczących bluźnierstwa.

Obecni rozmawiali do późnej nocy o tym, co należy uczynić następnego dnia. Maria pragnęła, by Eza przez jeden dzień trzymał się z dala od Jeruzalem i by do miasta powrócił spokój. On jednak nie chciał o tym słyszeć. Nazajutrz spodziewano się jeszcze większych tłumów, gdyż wieść o odważnych naukach i cudownych uzdrowieniach rozlewała się coraz większą falą. Nie zamierzał zawieść tych, którzy przybywali z daleka do Jeruzalem, by go ujrzeć, ani też ugiąć się przed naciskami kapłanów. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiał jawić się jako przywódca.

Następnego dnia Maria postanowiła zostać z dziećmi i Martą w Betanii. Dawła znać o sobie jej brzemiennność, poza tym wyczerpała ją pośpieszna wędrownica do domu

Łazarza. Pilnowała, by dzieci miały czym się zająć, ona zaś starała się nie myśleć o możliwych niebezpieczeństwach, jakie mógł napotkać Eza za murami miasta.

Siedziała akurat w ogrodzie, patrząc na bawiącą się w trawie Tamar, gdy ujrzała jakąś kobietę w grubej czarnej chustce, zbliżającą się do domu. Twarz i włosy miała zakryte, trudno więc było poznać, czy to ktoś znajomy. Może jakaś przyjaciółka Marty czy nowa sąsiadka, o której ona, Maria, nie wiedziała?

Kobieta podeszła bliżej i Maria usłyszała stłumiony śmiech.

- Co z tobą, siostrze? Nie poznajesz mnie już?

Zasłona opadła i ukazała się twarz Salome, księżniczki domu Herodów. Jej oblicze straciło już dziecięce rysy; dziewczyna wkraczała w wiek bujnej dojrzałości. Maria podbiegła, by ją uściskać, i obejmowały się przez długą chwilę. Po śmierci Jana przebywanie w towarzystwie Nazerjczyków stało się dla Salome zbyt niebezpieczne. Z kolei jej obecność była niebezpieczna dla Ezy. Jeśli jego zwolennicy zamierzali zdobyć przychylność wyznawców Jana, nie mogli być widziani z kobietą, którą obarczano winą za jego aresztowanie, jeśli nie śmierć.

Obie znosiły ciężko tę wymuszoną separację. Salome była zdruzgotana faktem, że nie będzie jej dane przygotować się do roli kapłanki i że zostanie rozdzielona z ludźmi, których pokochała bardziej niż własną rodzinę. Dla Marii zaś było to jeszcze jedno następstwo niesprawiedliwego sądu, jaki spadł na nie po egzekucji Jana.

Salome pisała z radości na widok małej Tamar bawiącej się w trawie.

- Spójrz tylko! To twoje wierne odbicie!

Maria skinęła z uśmiechem głową.

- Zewnętrznie. Ale w s'rodku już zaczyna być podobna do ojca.

Maria opowiedziała przyjaciółce kilka historii o małej Tamar i jej wyjątkowej osobowości, która się ujawniła, gdy tylko mała zaczęła chodzić. Uzdrawiała dotknięciem dziecięcej rączki jagnię, gdy wpadło do rowu w Magdali. Skończyła zaledwie trzy latka, a jej zdolność mowy była niebywała - już posługiwała się biegle greckim i aramejskim.

- Ma doprawdy szczęście, że dorasta przy takich rodzicach - oświadczyła Salome. Jej twarz nagle pociemniała. - I musimy zapewnić im bezpieczeństwo, co tłumaczy, dlaczego tu jestem. Posłuchaj, Mario, mam wieści z pałacu. Eza jest w poważnym niebezpieczeństwie.

-Wejdźmy do środka, gdzie nikt nas nie usłyszy, a takiego małego świadka - wskazała Tamar - będzie można czymś zająć.

Maria nachyliła się, by podnieść córeczkę, lecz z powodu wydatnego brzucha trudno było jej się zgiąć. Salome wyciągnęła ręce do dziewczynki.

- Chodź do swej siostry Salome - powiedziała.

Tamar znieruchomiała, spoglądając na nieznaną kobietę, a potem na matkę, i po chwili, z uśmiechem niekłamanego zadowolenia, wskoczyła w objęcia pasierbicy Heroda.

Kiedy weszły do domu, Maria skinęła na Martę, by zajęła się Tamar. Starsza kobieta wzięła od Salome dziewczynkę.

- Chodź, mała księżniczko, pójdziemy poszukać twojego braciszka.

Jan był z Łazarzem, spacerowali gdzieś po okolicy. Marta zaproponowała, że weźmie siostrzenicę na dwór, by Salome i Maria mogły spokojnie pomówić. Kiedy zniknęła z dziewczynką za drzwiami, Salome zwróciła się do Marii i chwyciła jej dłoń.

- Posłuchaj mnie, to bardzo pilne. Mój ojczym był dzisiaj w domu Poncjusza Piłata, a ja razem z nim. Wyjeżdża za dwa dni do Rzymu, żeby spotkać się z cesarzem, potrzebował więc pełnego raportu prokuratora. Wykorzystałam pretekst, że chcę się spotkać z Klaudią Proculą, żoną Piłata, i poszłam do pałacu razem z ojczymem. Klaudia to wnuczka cesarza Augusta, wiedziałam więc, że Herod mi nie odmówi. Ale oczywiście nie dlatego chciałam tam pójść. Wiedziałam, że ty i Eza, a także inni, jesteście tutaj. Gdzie Wielka Maria?

- Też tu jest - odparła Maria. - Na dzisiejszą noc zatrzymała się z innymi kobietami w domu Józefa, ale zaprowadzę cię do niej jutro, jeśli zechcesz.

Salome skinęła głową i ciągnęła:

-Wykorzystałam ten pretekst, by się zorientować, co mówią w Jeruzalem o Nazarejczykach. Nie miałam pojęcia, że Klaudia będzie miała mi tyle do powiedzenia! Mario, czy to nie zdumiewające?

Maria nie bardzo rozumiała, o czym Salome mówi.

- To znaczy?

Ciemne, lekko skośne oczy Salome zrobiły się ogromne.

- Nie wiesz? Och, Mario, to niebywałe. Tego wieczoru, gdy Eza wskrzesił córkę Jairusa... Pamiętasz tę kobietę w tłumie, którą widzieliśmy, odchodząc stamtąd? Była z Grekiem, który trzymał w ramionach chore dziecko, małego chłopca.

Maria miała ten obraz przed oczami. Przez dwie ostatnie noce twarz tej kobiety towarzyszyła jej przed snem.

-Tak - odparła. - Powiedziała o niej Ezie, a on się odwrócił, by uzdrowić to dziecko. Tyle wiem, prócz tego, że kobieta nie wyglądała na niewiastę z pospólstwa ani Żydówkę.

Salome roześmiała się serdecznie.

- Mario, ta kobieta to była Klaudia Procula. Eza uleczył jedyne dziecko Poncjusza Piłata!

Maria przyjęła jej słowa z zaskoczeniem. Teraz wszystko nabrało sensu - wrażenie doniosłości, świadomość, że dokonało się coś więcej niż tylko samo uzdrowienie.

- Kto o tym wie, Salome?

- Nikt prócz Klaudii, Piłata i ich greckiego niewolnika. Piłat zabronił żonie mówić o tym, a każdego, kto pytał o cudowne ozdrowienie chłopca, zapewniał, że to wola bogów rzymskich. - Salome skrzywiła się z odrazą. - Biedna Klaudia tak bardzo pragnęła powiedzieć o tym komuś; wiedziała, że byłam niegdyś Nazarejką.

- Wciąż nią jesteś - przypomniała łagodnie Maria i wstała, by dziecko w jej łonie mogło się wygodniej ułożyć.

Musiła przemyśleć tę ważną wiadomość. Była ona radosna, ale Maria nie śmiała jeszcze przypisywać jej zbyt wielkiego znaczenia. Z pewnością wydarzenie to stanowiło część Bożego planu dotyczącego Ezy. Czy Bóg zesłał Klaudii chore dziecko, by Eza mógł je uzdrowić i tym samym potwierdzić swą boskość przed Piłatem? Gdyby los Ezy spoczął w dłoniach Poncjusza Piłata, to z pewnością prokurator nie wydałby wyroku na człowieka, który uzdrowił jego własne dziecko.

-To jeszcze nie wszystko, siostró. - Salome ponownie sposepniała. - Kiedy tam byłam, zjawił się ten okropny Jonatan Annasz ze swoim zięciem, by pomówić z Piłatem i moim ojczymem. Przygotowują oskarżenie przeciwko Ezie. - Uśmiechnęła się chytrze do Marii. - Usłyszałam, jak ogłoszono ich przyjście, i ubłagałam Klaudię, żeby mi powiedziała, gdzie się najlepiej schować, bym mogła podsłuchiwać.

Maria uśmiechnęła się do Salome, nieco bardziej nerwowo niż zwykle.

- Piłat nie chciał o tym słyszeć i zignorował całą sprawę jako mało istotną, zainteresowany przede wszystkim rozmową z Herodem. Piłatowi zależy tylko na tym, by do Rzymu dotarł odpowiedni raport, potwierdzający jego skuteczność jako prokuratora. Pragnie objąć stanowisko w Egipcie.

Maria słuchała cierpliwie z bijącym niespokojnie sercem, podczas gdy Salome kontynuowała:

- Lecz mój ojczym, arogancki jak wszyscy w jego rodzinie, wziął stronę tych głupich kapłanów. Uciekli się do podstępów i powiedzieli mu, że Eza ogłosił się królem Żydów i że chce zrzucić Heroda z jego tronu.

Zdumiona Maria pokręciła głową. To był oczywiście nonsens. Eza nie pragnął zasiąść na jakimkolwiek ziemskim tronie. Był królem w sercach ludzi, władcą, który miał im przynieść Królestwo Boże. Nie potrzebował do tego tronu ani pałacu. Herod poczuł się zagrożony za sprawą manipulacji Annasza i Kajfasza.

- Słyszałam, jak krótko potem Piłat przyszedł do Klaudii - nie mógł zobaczyć, gdzie się ukrywam - i powiedział do niej: „Moja droga, obawiam się, że fatum sprzysięgło się przeciwko twemu Ezie. Arcykapłani żądają jego głowy i zrobią wszystko, by został aresztowany jeszcze przed Paschą”. Na co Klaudia odpowiedziała: „Ale oczywiście dopilnujesz, by go oszczędzono”. Piłat nic nie odparł, a ja usłyszałam, jak Klaudia ponownie pyta: „Zrobisz to, prawda?”. Potem panowała już tylko cisza, w końcu Piłat wyszedł. Kiedy się upewniłam, że go nie ma, wyszłam z kryjówki i ujrzałam Klaudię w strasznym stanie. Powiedziała, że jej mąż nie patrzył na nią, wychodząc. Och, Mario, Klaudia

bardzo się martwi o los Ezy. Ja także. Musisz go nakłonić do opuszczenia Jeruzalem.

- Twój ojczym sądzi, że gdzie w tej chwili jesteś?

Salome wzruszyła ramionami.

- Powiedziałałam mu, że spędzę dzień na kupowaniu je dwabiów. Jest zbyt zajęty swoją podróżą do Rzymu, żeby przejmować się tym, gdzie spędzę noc. Ma własne rozrywki w Jeruzalem.

Maria zastanawiała się, co robić dalej. Musiała poczekać, aż Eza powróci wieczorem do domu, później oczywiście zamierzała opowiedzieć mu wszystko. Wiedziała też, że nie będzie musiała namawiać Salome, by została dłużej.

Salome została i okazała głęboką radość, gdy po południu zjawiła się Wielka Maria. Ciesząca się wielkim szacunkiem matka Ezy przyprowadziła ze sobą dwie starsze Marie - swoją siostrę, czyli Marię matkę Jakuba, i kuzynkę, Marię Salome, która była matką dwóch spośród najbardziej oddanych uczniów Ezy. Dla Salome było zaszczytem przebywanie w towarzystwie tych mądrych kobiet, silnych, choć często milczących strażniczek tradycji nazarejskiej. Jednakże radość Salome, tak jak i Marii Magdaleny, trwała bardzo krótko.

-Widzę na horyzoncie niezmierzoną ciemność, moje córki - oznajmiła im Wielka Maria. - Przyszłam spotkać się ze swym synem. Musimy być wszyscy gotowi na próbę siły i wiary, jaką przyniesie nam ta Pascha.

Wieści z Jeruzalem były z pewnością niepokojące. Tego ranka Ezę i Nazarejczyków powitały przy wjeździe do miasta jeszcze większe tłumy, wywołując zamieszanie

w szeregach rzymskich wartowników. Przybysze rozłożyli się pod Świątynią, gdzie Eza nauczał i odpowiadał na pytania i wyzwania, które mu rzucono. Tak jak poprzedniego dnia, w tłum zostali wysłani przedstawiciele arcykapłanów i Świątyni. Zamieszanie się pogłębiło, gdy wystąpili złajani przez Ezę kupcy i lichwiarze, by sprzeciwić się jego obecności. W końcu, by utrzymać spokój i zapobiec możliwemu rozlewowi krwi, Eza odszedł, zabierając ze sobą najbardziej oddanych uczniów.

Tego samego wieczoru w Betanii panowała atmosfera troski i niepewności, będąca owocem słów Salome, wieści Jairusa i prorocstwa Wielkiej Marii. Tylko Eza wydawał się nieporuszony coraz bardziej niesprzyjającymi okolicznościami, kiedy przedstawiał zamierzenia na dzień następny.

Szymon i Judasz, którzy spędzili dzień ze swymi braćmi zelotami, przedłożyli swój własny plan.

- Jest nas dostatecznie wielu, byśmy mogli stoczyć walkę z każdym, kto po ciebie przyjdzie - oświadczył Szymon. - Jutro pod Świątynią zbiorą się nieprzebrane tłumy. Jeśli powtórzysz ludziom, że Królestwo Boże uwolni Żydów spod rzymskiego panowania, pójdą za tobą.

- Po co? - spytał spokojnie Eza. - Owocem takiego działania będzie rozlew krwi wielu niewinnych Żydów. To nie jest zgodne z Drogą. Nie, Szymonie, nie wzniece rozruchów, które doprowadzą do rzezi naszego ludu w wigilię świętego dnia. Jak mogę im pokazywać, że Królestwo Boże jest w każdym mężczyźnie i kobiecie, i jednocześnie prosić, by przelewali krew i umierali za nie? Nie pojmujecie znaczenia Drogi, moi bracia.

- Ale bez ciebie nie ma Drogi - rzucił gniewnie Piotr.

Napięcie ostatnich dni uwidaczniało się w nim bardziej niż w pozostałych uczniach. Poświęcił wszystko dla wiary

w Ezę i Drogę. Rozważanie jakiegokolwiek niepomyślnego wyniku przekraczało jego siły.

- Mylisz się, mój bracie - powiedział Eza, lecz w jego głosie nie było słycać przygany. - Pamiętasz, Piotrze, co ci mówiłem od czasu, gdy byliśmy dziećmi? Ty jesteś opoką, na której rozkwitnie moje kapłaństwo. Twoje dziedzictwo przetrwa tak długo jak moje.

Piotr, podobnie jak pozostali uczniowie, nie wyglądał na pocieszonego. Eza to zauważył i uniósł dłonie.

- Słuchajcie, moi bracia i siostry. Nie zapominajcie o tym, czego was nauczyłem - że Królestwo Boże żyje w was i że żaden prześladowca nie może wam go odebrać. Jeśli zachowacie w sercach tę jedną prawdę, to nie zaznacie w życiu dnia bólu czy lęku.

Potem wyciągnął ręce do uczniów i zmówił z nimi Modlitwę Pańską.

Tego wieczoru Eza pozostawił swych towarzyszy, by pomówić na osobności z Wielką Marią. Kiedy skończyli, życzył swej matce dobrej nocy i odszukał żonę.

- Nie wolno ci lękać się tego, co się wydarzy, mała gołąbeczko - powiedział łagodnie.

Maria przypatrywała się badawczo jego twarzy. Eza często ukrywał przed uczniami swoje wizje, ale rzadko przed nią. Była jedyną osobą, która dzieliła z nim niemal wszystko. Tej nocy jednak wyczuwała jego wstrzemięźliwość.

- Co widzisz, Ezo? - spytała cicho.

-Widzę, że mój Ojciec w niebie wykląda swój wielki plan, my zaś musimy wcielić go w życie.

- By wypełniły się prorocтва?

- Jeśli taka jest jego wola.

Maria siedziała przez chwilę w milczeniu. Proroctwa nie pozostawiały wątpliwości - głosiły, że mesjasz musi być zabity przez swój własny lud.

- A Poncjusz Piłat? - spytała z nadzieją w głosie. - Przecież twoim przeznaczeniem było uzdrowienie jego dziecka, by sam mógł się przekonać, kim i czym jesteś. Nie sądzisz, że to też było planem Bożym?

- Mario, posłuchaj uważnie, *co* mam ci do powiedzenia, gdyż będzie to wymagało wielkiego zrozumienia Drogi nazarejskiej. Bóg tworzy swój plan i każdemu mężczyźnie i kobiecie wyznacza przynależne im miejsce. Nie zmusza ich jednak do działania. Jak każdy dobry ojciec, Pan kieruje swymi dziećmi, ale potem daje im możliwość podejmowania własnych wyborów.

Maria słuchała uważnie, starając się dopasować filozofię Ezy do obecnej sytuacji.

- Wierzysz, że Poncjusz Piłat znalazł się na swym miejscu za sprawą Boga?

Eza przytaknął.

- Tak. Piłat, jego dobra żona, ich dziecko.

- I bez względu na to, czy Piłat zdecyduje się nam po moc, czy nie... nie jest to Bożym postanowieniem?

Eza pokręcił głową.

- Pan nie dyktuje nam, co mamy robić, Mario. On nami kieruje. Każdy sam wybiera swego władcę, a to sprowadza się do wyboru między planem Bożym i ziemskimi pragnieniami. Nie możesz służyć Bogu i jednocześnie służyć potrzebom doczesnym. Królestwo Niebieskie przychodzi do tych, którzy wybierają Boga. Nie umiem powiedzieć, jakiego pana wybierze Poncjusz Piłat, kiedy nadejdzie jego czas.

„

Maria słuchała uważnie. Choć była biegła w ideach naza-rejskich, podany przez Ezc przykład Poncjusza Piłata uwy-puklił z całą mocą te zasady. W przebłytku przecucia za-pragnęła ocalić słowa swego męża, by zapamiętać je tak, jak je wypowiedział. Zdawała sobie sprawę, że przyjdzie czas, gdy będzie musiała uczyć innych tak samo, jak on ją uczył.

- Arcykapłan i jego zwolennicy są zdecydowani dopro-wadzić do mego aresztowania; wiemy teraz, że tego nie unikniemy - ciągnął Eza. - Poprosimy jednak, by odesłali mnie do Piłata, a ja będę bronił się przed jego obliczem. Decyzja, jaką podejmie, będzie zależała od jego wiary i sumienia. Musimy się przygotować na każdy wybór ze strony proku-ratora. Bez względu na to, co postanowi, musimy pokazać poprzez swoje działania to, co jak wiemy, jest prawdą - że gdy pozwalamy, by mieszkało w nas Królestwo Boże, nic na ziemi nie jest władne tego zmienić, ani cesarstwo, ani prześladowcy, ani ból. Ani nawet śmierć.

Rozmawiali tak do późnej nocy, a Eza przedstawiał Marii swój plan na następny dzień. Tylko raz zadała pytanie, które najbardziej ciążyło jej na sercu:

- Czy nie możemy po prostu opuścić Jeruzalem jeszcze dzisiaj? Powrócić do głoszenia nauk na wzgórzach Galilei, dopóki Annasz i Kajfasz nie znajdą sobie innej ofiary?

-Ty, ze wszystkich ludzi, wiesz najlepiej, o co chodzi, Mario - upomniał ją łagodnie. - Ludzie bacznie się nam teraz przyglądają. Muszę dać im przykład.

Skinęła ze zrozumieniem głową, a on mówił dalej, przy-taczając swą rozmowę z Wielką Marią. Zdecydowali, że pojawienie się nazajutrz w Świątyni byłoby rzeczą nadto niebezpieczną. Ucierpiałoby zbyt wielu niewinnych, gdyby doszło do zamieszek. Główną troską Ezy było zapewnienie bezpieczeństwa uczniom. Arcykapłanowi chodziło o niego,

nie o innych. Tyle się dowiedzieli od Jairusa. Nie było potrzeby narażać pozostałych. Postanowiono, że najbliżsi uczniowie Ezy zbiorą się w posiadłości Józefa na wieczerzę paschalną. Tam Eza miał każdemu udzielić wskazówek dotyczących kapłaństwa, gdyby czekało go dłuższe uwięzienie, jak w przypadku Jana - albo gdyby wydarzyło się coś gorszego. Zamierzali spędzić noc na ziemi należącej do Józefa, w Getsemani, pod świętymi gwiazdami Jeruzalem. Tam właśnie Eza chciał dopuścić do swego aresztowania.

- Pragniesz oddać się władzom Świątyni? - spytała z niedowierzaniem Maria.

- Nie, nie. Tego nie mogę zrobić. Ludzie straciliby całą wiarę w Drogę, gdyby do tego doszło. Muszę jednak dopilnować, by moje zatrzymanie odbyło się z dala od miasta i w sposób, który zapobiegnie rozlewowi krwi i zamieszkom. Każę jednemu z uczniów „zdradzić mnie” i udać się do władz, którym powie o miejscu mego pobytu. Straże zjawią się w Getsemani, gdzie nie będzie żadnych tłumów, a tym samym nie dojdzie do rozruchów.

Maria rozmyślała gorączkowo. Wszystko działo się tak szybko. Nagle, zdjęta zgrozą, uświadomiła coś sobie.

- Och, Ezo, ale kto? Kto spośród nas miałby dość siły i odwagi, by uczynić coś takiego? Nie sądzisz chyba, że Piotr czy Andrzej byliby do tego zdolni. Ani Filip, ani też Bartłomiej. Twój brat Jakub prędzej przelałby własną krew, Szymon zaś przelałby krew innych.

Wtedy w jej głowie pojawiła się odpowiedź i rzekli jednocześnie: „Judasz”.

Na twarzy Ezy malowała się głęboka powaga.

- Czas na mnie, moja gołąbeczko. Muszę pomówić z Judaszem i powiedzieć mu, że został wybrany do tego zadania przez wzgląd na swoją siłę.

Wstał i pocałował żonę w policzek. Odprowadzała go wzrokiem, przygnieciona coraz większym ciężarem **lęku** przed tym, co miało im przynieść jutro.

Zgodnie z planem, zebrali się następnego popołudnia na posiłek: Eza, jego dwunastu wybranych i wszystkie Marie. Dzieci zostały w Betanii z Martą i Łazarzem.

Eza zaczął ten wieczór od obrzędu namaszczenia. Tym razem dokonało się odwrócenie ról - on sam obmywał nogi każdemu z obecnych. Wyjaśnił, że jest to uznaniem każdej osoby za dziecko Boże, które ma szczególną misję głoszenia światu Królestwa Niebieskiego.

- Dałem wam przykład, abyście i wy tak czynili, jak ja wam uczyniłem. Abyście uznali innych za równych sobie w Bogu. I tej nocy daję wam nowe przykazanie - byćcie się miłowali nawzajem, tak jak ja was miłuję. Gdy bowiem pójdziecie w świat, ludzie będą poznawać w was Nazarejczyków dzięki temu, że się miłujecie.

Obmywszy stopy wszystkim obecnym w wieczerniku, poprowadził ich do stołu na wieczerzę paschalną. Połamał niekwaszony chleb, pobłogosławił go i rzekł:

- Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje.

Następnie wziął kielich i odmówiwszy dziękczynienie, dał im, mówiąc:

- To jest moja Krew Przymierza, która za wielu wylana będzie na odpuszczenie grzechów.

Maria przyglądała się w milczeniu, tak jak inni. Tylko ona i pozostałe Marie znały szczegółowo wydarzenia, które miały nadejść. Wiedziała, że gdy Judasz otrzyma znak od Ezy, opuści wieczerzę i pójdzie do Jairusa. Ten zaś zaprowadzi go

do Annasza i Kajfasza, przedstawiając jako zdrajcę. Judasz poprosi o trzydzieści srebrników; dzięki temu jego zdrada wyda się szczerą. W zamian za pieniądze zaprowadzi kapłanów do odosobnionego miejsca, gdzie będzie przebywał Eza i gdzie z dala od nieobliczalnego tłumu Jeruzalem łatwiej przyjdzie go aresztować.

Na twarzy Judasza malowało się napięcie, widoczne dla zorientowanych w sytuacji. Inni uczniowie nie byli świadomi tego planu, gdyż Eza nie chciał ryzykować w najmniejszym nawet stopniu. Nie chciał, by doszło do sporów, i z pewnością nie chciał, by uczniowie stawili opór. Później Maria opłakiwała los Judasza i niesprawiedliwość tej sytuacji. Broniła go przed innymi uczniami, którzy widzieli w nim wyłącznie zdrajcę. Wtedy jednak było już za późno dla Judasza z Kariotu. Bóg wyznaczył mu miejsce, on zaś zdecydował się je przyjąć.

Eza zwrócił się teraz do niego. Podał mu kawałek chleba umoczonego w winie, przekazując tym samym umówiony wcześniej sygnał.

- To, co musisz uczynić, uczynić szybko.

Kiedy Maria zobaczyła, jak Judasz wychodzi z izby, zamarło w niej serce. Nie można już było się cofnąć. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Wielkiej Marii, która także widziała, jak Judasz się oddala, trzymając w dłoniach los Ezy. Obie kobiety spoglądały sobie przez chwilę w oczy, modląc się bezgłośnie, by Bóg ocalił ich ukochanego Ezę.

Strażnicy zjawili się w liczbie większej, niż Maria się spodziewała. Była już późna noc, gdy na szczycie wzniesienia

ukazał się Judasz wraz z żołnierzami arcykapłana. Pojawieniu się uzbrojonej i znacznej grupy towarzyszyła wrzawa, która obudziła apostołów. Kobiety czuwały w pewnej odległości przy ogniu. Wszystkie prócz Marii Magdaleny, która czekała razem z Ezą.

Piotr zerwał się ze swego miejsca, wrywając miecz jednemu z zaskoczonych młodych żołnierzy.

- Panie, będziemy za ciebie walczyć! - krzyknął i rzucił się na człowieka, którego rozpoznał, Malthusa, sługę arcykapłana, po czym ciął go w ucho; z rany trysnęła krew.

Eza też się podniósł i spokojnie podszedł do nich.

- Dostyc, bracia - nakazał Piotrowi i pozostałym, zwracając się zaś do kohorty arcykapłana, rzekł: - Odłóżcie miecze. Nikt wam tu nie zrobi krzywdy. Macie moje słowo.

Zbliżył się do Malthusa, który osunął się na kolana i przykładał skrawek szaty do rany, by zatamować krew. Eza położył dłoń na okaleczonym uchu i powiedział:

- Już dość się nacierpiełeś.

Kiedy odjął rękę, ucho było na swoim miejscu, a krew już nie płynęła. Potem pomógł Bachusowi podnieść się z ziemi i rzekł:

- Kajfasz wysła przeciwko mnie uzbrojonych ludzi jak na zbójcę albo złodzieja. Dlaczego? Kiedy przychodziłem codziennie do Świątyni, nie próbował mnie aresztować ani dawać do zrozumienia, że cokolwiek mi grozi. Zaprawdę, jest to godzina ciemności dla naszego ludu.

Jeden z żołnierzy, człowiek noszący znak dowódcy, wystąpił i spytał gardłowym głosem po aramejsku:

- Ty jesteś Eza z Nazaretu?

- Jestem - odparł Eza po grecku.

Kilku uczniów przyskoczyło do Judasza z oskarżeniami i pytaniami. Eza doradził mu, by się nie odzywał, gdy

dojdzie do czegoś takiego, i Judasz postąpił zgodnie z poleceniem. Pocałował tylko Ezę delikatnie w policzek, mając nadzieję, że w ten sposób niektórzy z apostołów zrozumieją, co kazano mu uczynić.

Żołnierz noszący insygnia dowódcy odczytał oskarżenie i Eza została odprowadzony ku swemu losowi, zgotowanemu przez kapłanów.

Maria Magdalena czuwała wraz z pozostałymi Mariami do późnej nocy. Nie mogły zbliżyć się zbyt do uczniów - było to zbyt ryzykowne. Wśród mężczyzn panowało wzburzenie, a kobiety nie chciały ujawniać wszystkiego, co wiedziały o nocnych wydarzeniach.

Marie zachęcały się nawzajem do modlitwy i niosły sobie pociechę. Panowała już głęboka noc, gdy ujrzały w dolinie Kedronu światło pochodni sunące ku ich kryjówce. Była to niewielka grupka, dwaj mężczyźni i drobna na pierwszy rzut oka kobieta. Maria wstała z miejsca, poznawszy księżniczkę Herodów. Podbiegła do Salome i uściskała ją serdecznie. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że człowiekiem niosącym pochodnie był rzymski centurion, tym razem w zwykłym odzieniu - niebieskooki Rzymianin, którego złamaną rękę uleczył Eza.

- Siostrze, zostało niewiele czasu. - Salome dyszała ciężko. Zapewne śpieszyli, by dotrzeć w to miejsce. - Przychodzę z twierdzy Antonia. Przysłała mnie Klaudia Procula z najgorętszymi pozdrowieniami i słowami współczucia z powodu niesprawiedliwego aresztowania twego męża.

Maria skinęła głową, zachęcając Salome do mówienia i tłumiąc strach, który nabrzmiwał w jej trzewiach. Jeśli

żona prokuratora rzymskiego wysyłała posłańców w środku nocy, to musiało dziać się coś strasznego.

- Eza stanie rano przed Piłatem - ciągnęła Salome. - Lecz na prokuratora wywiera się ogromne naciski, by skazał Ezę na śmierć. Och, Mario, on tego nie chce. Według słów Klaudii Piłat wie, że Eza uzdrowił jego dziecko, albo przynajmniej stara się na swój rzymski sposób zaakceptować ten fakt. Jednak mój wstrętny ojczym wzywa do jak najszybszego uśmiercenia Ezy. Herod jedzie w szabat do Rzymu. Powiedział Piłatowi, że pragnie, by rozwiązać ten „nazarejski problem” jeszcze przed jego wyjazdem. Mario, musisz pojąć, jak poważna jest sytuacja. Może dojść do egzekucji Ezy. Jutro.

Wszystko to działo się zbyt szybko. Żadne z nich się tego nie spodziewało, nie takiego obrotu rzeczy. Oczekiwali dłuższego uwięzienia, podczas którego Eza miałby czas bronić się przed Piłatem i Herodem. Zawsze istniała możliwość, że dojdzie do najgorszego, ale nie tak prędko.

Salome ciągnęła bez tchu:

- Klaudia Procula przysłała nas po ciebie. Ci dwaj ludzie to jej zaufani słudzy.

Maria spojrzała na nich i zobaczyła, jak od twarzy milczącego człowieka odbija się światło pochodni. To był ten Grek, który trzymał w ramionach umierającego chłopca przed domem Jairusa.

- Zaprowadzą cię do miejsca, gdzie jest przetrzymywany Eza. Klaudia omówiła to z wartownikami, mamy czas aż do świtu. Ale musimy wyruszać, i to szybko.

Maria przeprosiła ich na chwilę i podeszła do Wielkiej Marii. Wiedziała, że starsza kobieta nigdy nie zdoła dotrzeć do swego syna na czas, ale wypadało ustąpić swego miejsca matce Ezy.

Wielka Maria pocałowała synową w policzek.

- Przekaż to samo memu synowi. Powiedz mu, że będę tam jutro, cokolwiek się wydarzy. Idź z Bogiem, moja córko.

Maria i Salome śpieszyły, by dotrzymać kroku milczącym mężczyznom, którzy zmierzali szybko ku wschodnim krańcom miasta. Maria zdążyła wcześniej zamienić czerwoną chustę nazarejskiej kapłanki na czarną, taką samą, jaką nosiła Salome. Księżniczka Herodów wyjaśniała po drodze:

- Pchnęłam posłańca do Marty. Eza chce zobaczyć swe dzieci; tyle powiedział słudze Klaudii. - Wskazała greckiego niewolnika. - Eza wiedział, że nie zdążyłabyś dotrzeć do Betanii i ich przyprowadzić, jeśli zamierzałaś się z nim widzieć.

Maria rozmyślała gorączkowo. Nie chciała, by Tamar i Jan byli nazajutrz świadkami czegoś strasznego, jeśli jednak miało zdarzyć się najgorsze, byłoby pożądane, by Eza zobaczył dzieci po raz ostatni. Mały Jan był jego synem tak samo, jak Tamar była córką; Eza kochał oboje bezwarunkowo. Maria wiedziała, że gdy wszędzie słońce, bezpieczeństwo ich wszystkich stanie pod znakiem zapytania. Modliła się w duchu przez chwilę, ale nie miała czasu się teraz nad tym zastanawiać. Właśnie zbliżali się do miejsca uwięzienia Ezy. Jak dotąd, ciemność ich chroniła, sami zaś nie zwracali niczyjej uwagi, musieli jednak zejść w dół długimi i przylegającymi do muru schodami, które były oświetlone blaskiem pochodni.

Centurion przekazał im szeptem polecenia, potem czekali przez chwilę, by Grek rozejrzał się po okolicy. Niewolnik

zbiegł na dół i dał im znak, że mogą schodzić. Salome pozostała u szczytu schodów, mając na wszystko baczenie, Grek zaś czuwał u ich podnóża. Maria i centurion pośpieszyli na dół i wkroczyli do więziennych korytarzy. Rzymianin trzymał przed sobą pochodnię, by oświetlić drogę. Maria podążała za nim szybkim krokiem, starając się nie zwracać uwagi na krzyki cierpiących i zrozpaczonych ludzi; ich wołania odbijały się echem od kamiennych ścian. Wiedziała, że nie usłyszy Ezy - bez względu na tortury, jakie by mu zadano, nigdy nie wydałby nawet jęku; nie leżało to w jego naturze. Szczerze jednak współczuła tym biednym duszom, które oczekiwały swego losu w rzymskim więzieniu.

Centurion wyjął spod tuniki klucz i wsunął go w zamek, po czym wpuścił Marię do celi jej męża. Maria dowiedziała się wiele lat później, w jaki sposób Klaudii i Salome udało się zdobyć klucz i usunąć wartowników - wymagało to wielkiego przekupstwa, a także osobistego poświęcenia ze strony księżniczki Herodów. Maria przez resztę życia była wdzięczna Rzymiance Klaudii Proculi i swej przyjaciółce, niezrozumianej Salome - nie tylko za wydarzenia owej nocy, ale także za wszystko, co się dokonało tego strasznego dnia, który miał nadejść.

Maria musiała powstrzymać się od krzyku rozpacz, gdy ujrzała Ezę. Pobito go, i to brutalnie. Jego piękną twarz pokrywały sińce, zauważyła też, że, wstając na jej widok, z trudem zapanował nad bolesnym grymasem. Przesunąwszy wzrokiem po zmasakrowanym obliczu, spytała szeptem:

— Kto ci to zrobił? Ludzie Kajfasza i Annasza?

- Nieważne. Słuchaj, moja Mario, pozostało niewiele czasu, a mam ci wiele do powiedzenia. -Nie mówmy o wi nie, wina bowiem sprowadza zemstę. Kiedy wybaczymy, zbliżamy się do Boga. Tego mamy nauczać dzieci Izraela i resztę świata. Zabierz to przykazanie ze sobą i nauczaj go każdego, kto zechce słuchać, na moją pamiątkę.

Teraz to Maria skrzywiła się boleśnie. Nie mogła znieść, że Eza mówi o sobie w ten sposób, jakby jego śmierć była już pewna. Wyczuwając jej rozpacz, przemówił do niej łagodnie:

- Ostatniej nocy w Getsemani modliłem się do Pana, naszego Ojca. Prosiłem, by zabrał ode mnie ten kielich. Ale nie uczynił tego. Nie uczynił dlatego, że taka jest Jego wola. Nie ma innego wyjścia, nie pojmujesz? Ludzie nie zdołają pojąć Królestwa Bożego bez ostatecznego przykładu. Ja nim będę. Pokażę im, że mogę za nich umrzeć i zrobić to bez bólu i strachu. Nasz Pan przekazał mi kielich, a ja wypilem z niego i uczyniłem to z radością. Dokonało się.

Maria nie mogła powstrzymać łez, ale starała się za wszelką cenę nie łkać. Najślabszy nawet dźwięk mógł ich zdradzić. Eza próbował ją pocieszyć.

- Musisz być teraz silna, moja gołąbeczko, ponieważ zabierzesz ze sobą prawdziwą Drogę nazarejską i będziesz głosiła ją światu. Inni też będą robili co w ich mocy, a ja każdemu z uczniów wydałem po wieczerzy polecenia. Ale tylko ty wiesz o wszystkim, co jest w moim sercu i myślach, musisz więc stać się następnym przywódcą naszego ludu, a po tobie staną się nim nasze dzieci.

Maria starała się rozumować logicznie i jasno. Należało się skupić na ostatniej prośbie Ezy, nie na własnym bólu. Później przyjdzie czas na żałobę. Teraz musiała okazać się warta jego zaufania jako przywódczyni Nazarejczyków.

- Ezo, nie wszyscy ludzie mnie kochają, jak sam wiesz. Niektórzy nie pójdą za mną. Choć uczyłeś ich, że należy traktować kobiety jako równe im, obawiam się, że gdy odejdiesz... twoja nauka zgaśnie. Jak miałabym im powiedzieć, że to właśnie mnie wybrałeś, bym poprowadziła Nazarejczyków?

- Myślałem o tym tego wieczoru - odparł. - Przede wszystkim tylko ty posiadasz *Księgę Miłości*.

Maria skinęła głową. Eza przez większość swego kapłaństwa spisywał przekonania nazarejskie i swe poglądy w księdze, którą nazywali *Księgą Miłości*. Inni uczniowie wiedzieli o niej, ale Eza nigdy nie pokazał jej nikomu prócz żony. Była trzymana pod kluczem w domu Marii w Galilei.

- Zawsze mówiłem, że *Księga Miłości* nie ujrzy światła dziennego, dopóki chodzę po Ziemi, ponieważ do kiedy tu przebywałem, była nieskończona - wyjaśniał Eza. - W każdej chwili każdego dnia, który przeżyłem, Bóg pozwalał mi więcej zrozumieć. Wszyscy, których spotykałem, uczyli mnie czegoś nowego o naturze Boga. Spisałem to wszystko w *Księdze Miłości*. Kiedy odejdę, musisz ją zabrać i uczynić z niej fundament wszelkiego nauczania, jakie zapanuje.

Maria przytaknęła ze zrozumieniem. *Księga Miłości* rzeczywiście była pięknym i potężnym pomnikiem tego, czego Eza nauczał w swym życiu. Możliwość czerpania z niej mądrości byłaby dla jego uczniów zaszczytem i wielką radością.

- Jest jeszcze coś, Mario. Dam uczniom znak, coś, co powie im jasno, że jesteś moim wybranym następcą. Nie lękaj się, mała gołąbeczko, gdyż powiadomię świat, że jesteś moim najukochańszym uczniem. - Eza położył dłonie na nabrzmiałym brzuchu Marii. - To dziecko, które nosisz, nasz syn, ma w sobie krew proroków i królów, tak jak

nasza córka. Ich potomkowie zajmą ich miejsca na świecie, głosząc Królestwo Boże i słowa zawarte w *Księdze Miłoiści*, tak aby wszyscy ludzie zaznali pokoju i sprawiedliwości, jak ziemia długa i szeroka.

W odpowiedzi na prococtwo ojca małeństwo wierzgnęło nóżką.

- To dziecko czeka szczególne przeznaczenie na zachodnich wyspach, gdzie rozprzestrzeni się słowo o Drodze. Przekazałem swemu wujowi specjalne polecenia dotyczące wychowania mego potomka. Musisz zaufać Józefowi i pozwolić naszej latorośli udać się tam, gdzie Bóg ją pośle.

Maria przyjęła to z pokorą. Józef był wielkim człowiekiem, mądrym, silnym i obytym w świecie. Odbывał dalekie podróże w interesach jako handlarz cyną. Będąc młodzieńcem, Eza towarzyszył mu w wyprawie na mgliste zielone wyspy na zachód od Galii. Wyznał kiedyś Marii, że właśnie tam dostrzegł przecucie nazarejskiej Drogi, rodzące się pośród gwałtownych, niebieskookich mieszkańców owych wysp.

- I musisz nadać mu imiona Jezua Dawid, upamiętniające moją osobę i założyciela naszego królewskiego rodu. Z jego krwi zrodzą się najwięksi władcy tej ziemi.

- Co nakazesz odnośnie Sary Tamar? - spytała Maria.

Eza uśmiechnął się na dźwięk imienia swej ukochanej córki.

- Musi pozostać z tobą do chwili, gdy stanie się kobietą, a potem sama dokona wyboru. Nasza Tamar ma w sobie siłę. Lecz Izrael nie będzie bezpiecznym miejscem dla ciebie i dzieci, przekonałem się już o tym. Józef zabierze cię do Egiptu wraz z tymi, którzy zechcą wam towarzyszyć. Alek sandria to wielki ośrodek nauki, nic tam nie grozi naszym ludziom. Możesz tam zamieszkać albo ruszyć dalej, do

krain zachodnich. Wybór pozostawiam tobie. Musisz sama postanowić, jak najlepiej zanieść światu nauki nazarejskie. Idź za głosem serca i ufaj Bogu, który cię poprowadzi.

- A co z małym Janem? - spytała Maria.

Eza traktował go jak własnego syna, wiedzieli oboje, że krew i przeznaczenie chłopca zawsze pozostaną odmienne. W oczach Ezy malowała się smutna wiedza.

- Nawet teraz, w tak młodym wieku, Jan jest obdarzony silną wolą i niecierpliwością serca. Ty jesteś jego matką i ty nim pokierujesz, ale Jan będzie potrzebował opieki mężczyzn, którzy okiełznają jego niepokój. Piotr i Andrzej darzą go wielką miłością. Kiedy Jan podrośnie, może wiele skorzystać na obcowaniu z Piotrem i jego bratem.

Eza nie musiał dodawać nic więcej; Maria wiedziała, o co mu chodzi. Piotr i Andrzej byli niegdyś uczniami Chrzciciela i znali się z nim jeszcze w dzieciństwie, gdy uczęszczali do świątyni w Kafarnaum. Piotr i Andrzej czcili małego Jana jako syna wielkiego proroka, ale też jako przybrane dziecko Ezy.

- Mam jeszcze słowa podzięk i pociechy dla jednej osoby - powiedział Eza. - Przekaż Rzymiance Klaudii Proculi, że opuszczam ten świat, będąc jej dłużnikiem. Poświęciła wiele, byś mogła przyjść do mnie, i za to dziękuję. Powiedz jej, że nie powinna osądzać swego męża zbyt surowo. Poncjusz Piłat musi wybrać swego pana, a przekonałem się już, że wybierze niewłaściwie. Lecz ostatecznie jego wybór pozwoli nam wszystkim wypełnić Boży plan.

Eza przekazał jeszcze swej żonie kilka poleceń natury duchowej i praktycznej, nim wypowiedział ostatecznie słowa pociechy.

- Bądź silna, bez względu na to, co przyniesie dzień jutrzejszy. Nie lękaj się o mnie, tak jak ja się nie lękam.

Z radością przyjmę kielich od mojego ojca i połączę się z nim w niebie, Mario. Przewodź naszemu ludowi i nie bój się. Pamiętaj cały czas, kim jesteś. A jesteś królową, Naza-rejką i moją żoną.

Zdruzgotana Maria szła chwiejnym krokiem ulicami Jeruzalem za Salome, gdy niebo zaczynało się rozjaśniać pierwszą zapowiedzią poranka. Zmierzały w stronę domu księżniczki, który stanowił dla nich bezpieczne schronienie; tam też posłaniec miał przyprowadzić Martę i dzieci. Gdy tylko Maria znalazła się w jego murach, by czekać na przybycie szwagierki z Janem i Tamar, Salome wybrała się na poszukiwania jeszcze jednego wysłannika, który miał zanieść wiadomość Wielkiej Marii i innym w Getsemani.

W innym zaś miejscu Jeruzalem pewna szlachetnie urodzona kobieta odczuwała ogromny ciężar. Klaudia Procula zapadła w niespokojny sen dopiero późną nocą, gdy zmęczenie okazało się silniejsze od niej. Kiedy tylko zjawił się Grek z wieścią, że ich misja dotycząca żony Nazarejczyka się powiodła, pozwoliła swym powiekom zakryć oczy.

Klaudia obudziła się zrana zimnym potem, wciąż zmagając się z senną wizją, która przyprawiała ją o zawrót głowy. Zamknęła oczy, ale obrazy nie zniknęły, podobnie jak nie ucichło skandowanie pulsujące w jej uszach. Chór głosów, setek albo może nawet tysięcy, powtarzał raz po raz: „Ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem, ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem!”. Wypowiadano coś jeszcze prócz tej

mantry, powtarzanej zgodnie przez głosy z jej snu, ale ona niczego nie słyszała, tylko owe cztery słowa.

Choć dźwięk ten budził niepokój, to obraz tchnął prawdziwą grozą. Wszystko zaczęło się jako piękny sen, z dziećmi tańczącymi na trawiastym wzgórzu w promieniach wiosennego słońca. Pośrodku tego kręgu stał Eza otoczony zewsząd dziatwą w bieli. Wśród tej wesołej i roztańczonej gromady był Piło, a także Smedia. Po chwili na wzgórzu zaroilo się od ludzi w białych szatach, młodych i starych; śmiali się i śpiewali.

Klaudia rozpoznała jednego z przybyłych na wzgórze ludzi, centuriona Praetorusa, któremu uleczono złamaną rękę. Człowiek ten opowiedział jej w tajemnicy o swym ozdrowieniu, usłyszawszy plotki o cudzie, jaki przytrafił się Piło. Lecz gdy Klaudia uświadomiła sobie, że każda z tych szczęśliwych osób z jej snu, dorosłych i dzieci, została uleczona przez Ezę, krajobraz się zmienił. Taniec zamarł, niebo pociemniało, skandowanie zaś stało się donośniejsze: „Ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem, ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem!”.

Klaudia ujrzała, jak jej ukochany Piło osuwa się na ziemię. Nim się ocknęła, jej oczom ukazał się ostatni obraz: Eza schylił się, by podnieść chłopca. Odszedł z nim na rękach, podczas gdy wokół padali ludzie. Wtedy zobaczyła swego męża, krzyczał w bezowocnej rozpaczycy za oddalającą się postacią Ezy Nazarejczyka, który dźwigał pozbawione życia ciało jego syna. Niebo rozdarła błyskawica, a w ślad za schodzącym ze wzgórza podążyły skandowane słowa: „Ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem, ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem!”.

- Ukrzyżuj go! - rozległ się nowy okrzyk. Nie było to tamto niesamowite, niezemskie żądanie z jej snu, tylko

prawdziwy głos nienawiści, dochodzący zza murów twierdzy Antonia. - Ukrzyżuj go!

Klaudia wstała, by się ubrać, gdy do sali wpadł grecki niewolnik.

- Pani, musisz się pośpieszyć, nim będzie za późno. Pan siedzi na swym prokuratorским tronie, a kapłani domagają się krwi.

- Kto tak krzyczy na zewnątrz?

- Wielki tłum. Jest za wcześnie, by ludzie stawili się tak licznie; to sprawa kapłanów ze Świątyni, pewnie przez całą noc zbierali ochotników. Wyrok będzie wydany, nim pozostali mieszkańcy Jeruzalem zdążą wystąpić w obronie Nazarejczyka.

Klaudia ubrała się szybko i bez zwykłej staranności. Nie dbała tego dnia o strój; musiała tylko wyglądać przyzwoicie, by pokazać się mężczyznom występującym przed trybunałem. Kiedy spojrzała przelotnie w lustro, uderzyła ją pewna myśl.

- Gdzie jest Piłó? Nie obudził się jeszcze, prawda?

- Nie, pani. Wciąż leży w łóżku.

- Dobrze. Zostań z nim i dopilnuj, by tam pozostał. Jeśli się zbudzi, trzymaj go jak najdalej od murów. Nie chcę, by usłyszał albo zobaczył, co się dzieje w mieście.

- Oczywiście, pani - odparł niewolnik, kiedy Klaudia wybiegła z sali w najważniejszej misji swego życia.

Klaudia Procula starała się ukryć rozpacz i odrazę, wychodząc na taras zamieniony w prowizoryczną salę sądową. Piłat poszedł na ustępstwa wobec arcykapłanów, którzy nie chcieli wkraczać do rzymskich komnat i tym samym

narazić się na nieczystość w czasie Paschy. Taras był osłonięty i niewidoczny dla tłumu gęstniejącego pod murami twierdzy. Poncjusz Piłat kazał przynieść swój tron i zajął miejsce sędziego Rzymu. Za nim stało dwóch zaufanych strażników, niebieskooki Praetorus i nieokrzesany człowiek o imieniu Longinus, którego Klaudia nie darzyła sympatią. Piłatowi na podium z jednej strony towarzyszył Kajfasz i Annasz, z drugiej zaś wysłannik Heroda. W oczy rzucała się nieobecność wysłannika Świątyni, Jajusa.

Przed nimi, związany i skrwawiony, stał Eza Nazarejczyk.

Klaudia patrzyła na niego zza zasłony. Podniósł wzrok, jakby wyczuwał jej obecność. Patrzyli sobie w oczy przez długą chwilę, która wydawało się, że trwała wieczność, i Klaudia doznała tego samego wrażenia czystej miłości i światła, jakie towarzyszyło jej tamtej nocy, gdy został uzdrowiony Piłło. Nie chciała odwracać wzroku, nie chciała odgradzać się od ciepła tego człowieka. Czy tamci niczego nie wyczuwali? Jak to możliwe, że stojąc w tej osłoniętej przestrzeni, nie doznawali słonecznej jasności, którą promieniowała ta boska istota?

Odchrząknęła, zdradzając mężowi swoją obecność. Piłat spojrział ze swego miejsca i dostrzegł Klaudię.

- Panowie, zechciejcie mi wybaczyć - rzekł prokurator, podnosząc się z sędziowskiego tronu, by zbliżyć się do żony.

Klaudia odprowadziła go na bok, by pozostali ich nie słyszeli. Ogarnęła ją panika, gdy spojrzała na poszarzałą twarz męża. Po czole i skroniach spływały mu kropelki potu, choć ranek był jeszcze łagodny.

- Nie widzę tu prostego rozwiązania, Klaudio - wyznał cicho.

- Poncjuszu, nie pozwól im zabić tego człowieka. Wiesz, czym jest.

Piłat pokręcił głową.

- Nie, nie wiem, czym jest, i to właśnie utrudnia mi wydanie wyroku.

-Ale wiesz, że to uczciwy człowiek, który dokonywał dobrych uczynków w całym kraju. Wiesz, że nie popełnił żadnego przestępstwa, które wymagałoby surowej kary.

- Nazywają go buntownikiem. Jeśli zostanie uznany za zagrożenie dla Rzymu, nie mogę mu pozwolić żyć.

- Ale przecież wiesz, że to nieprawda!

Piłat odwrócił wzrok i nie patrzył na nią przez długą chwilę. Odetchnął głęboko i znów spojrzął na żonę.

- Klaudio, jestem w rozterce. Ten człowiek zaprzecza rzymskiemu rozumowi i logice. Każda filozofia, jaką kiedykolwiek studiowałem, jest bezradna wobec sytuacji, w której się znajdujemy. Serce i trzewia mówią mi, że jest niewinny, a ja nie powinienem potępiać niewinnego człowieka.

- Więc nie potępiaj! Dlaczego to dla ciebie takie trudne? Jesteś władny go ocalić, Poncjuszu. Ocal człowieka, który przywrócił nam syna.

Piłat otarł pot z twarzy.

-To trudne, ponieważ Herod wzywa do egzekucji, i to jeszcze dzisiaj.

- Herod to szakal.

- Prawda, ale to szakal, który wyrusza tego wieczoru do Rzymu i może mnie oczernić przed cesarzem, jeśli go nie zadowolę. Ten człowiek może doprowadzić do naszego upadku, Klaudio. Czy warto ryzykować? Czy życie jeszcze jednego żydowskiego buntownika jest warte odrzucenia naszej przyszłości?

- Nie jest buntownikiem! - krzyknęła Klaudia.

Przerwał im wysłannik Heroda, który wezwał prokuratora na taras. Kiedy Piłat odwrócił się, by odejść, Klaudia chwyciła go za ramię.

- Poncjuszu, miałam tej nocy okropny sen. Lękam się o ciebie i Piło. Jeśli nie ocalisz tego człowieka, gniew Boga spadnie na nas wszystkich.

- Być może. Ale którego Boga? Mam wierzyć, że Bóg żydowski dzierży władzę nad Rzymem? - spytał. Kiedy i inni zaczęli wzywać go do powrotu, popatrzył z uwagą na żonę. - To jest dylemat, Klaudio. Najtrudniejszy, z jakim przyszło mi się kiedykolwiek zmierzyć. Nie sądz, że ten ciężar jest dla mnie lżejszy niż dla ciebie.

Wrócił na podium, by zadawać pytania więźniowi.

- Arcykapłani twojego narodu przekazali mi ciebie, do magając się twojej śmierci - zwrócił się Piłat do Nazarejczyka. - Co uczyniłeś? Czy jesteś królem żydowskim?

Eza przemówił ze zwykłym dla siebie spokojem. Ktoś obserwujący tę scenę nigdy by się nie domyślił, że życie tego człowieka zależy od jego odpowiedzi.

- Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci 6 mnie?

- Odpowiedz na pytanie. Jesteś królem? Jeśli zaprzeczysz, oddam cię arcykapłanom, by osądzi cię według swego prawa.

Na to wtrącił się Jonatan Annasz.

- Nie wolno nam nikogo skazać na śmierć, prokuratorze. Dlatego do ciebie przyszliśmy. Gdyby nie był złoczyńcą i niebezpiecznym osobnikiem, nigdy byśmy nie niepokoiłi tą sprawą Waszej Dostojności.

- Więzień odpowie na pytanie - oznajmił Piłat, ignorując Annasza.

Eza uczynił to, patrząc tylko na prokuratora. Klaudia, przysłuchując się tej wymianie zdań, miała wrażenie, że ci dwaj nie widzą ani nie słyszą pozostałych. Wszystko się rozgrywało tylko między nimi - taniec przeznaczenia i wiary,

który miał zmienić świat. Klaudia poczuła, jak po jej ciele przebiegł dreszcz.

-Ja się na to narodziłem, by pokazać ludziom Drogę Boga i dać świadectwo prawdzie.

W Piłacie ocknął się nagle rzymski filozof.

- Prawda - rzekł w zamyśleniu. - Powiedz mi, Nazarejczyku, cóż to jest prawda?

Obaj patrzyli na siebie przez długą chwilę, zamknięci w dwóch splecionych nierozzerwalnie losach. Piłat odwrócił wzrok i popatrzył na arcykapłanów.

- Powiem wam, co jest prawdą. Prawdą jest to, że nie znajduję żadnej winy w tym człowieku.

W tym momencie Piłata powiadomiono o przybyciu nowej osoby. Przesłuchanie przerwano, gdy na taras wkroczył Jairus i powitał arcykapłanów. Przeprosił prokuratora za spóźnienie, tłumacząc się ważnymi sprawami związanymi z Paschą.

- Posłuchaj, mój dobry Jairusie. - Piłat poczuł ulgę, widząc wysłannika, który był jego przyjacielem. Obaj często dzielili się sekretami. - Powiadomiłem twych obecnych tu braci, że nie znajduję winy w tym człowieku, a zatem nie mogę wydać nań wyroku.

- Rozumiem - odparł z powagą Jairus. Kajfasz posłał mu gniewne spojrzenie i oznajmił:

- Wiesz, jak niebezpieczny jest ten człowiek.

Jairus popatrzył na arcykapłana, potem zaś na Piłata, starając się za wszelką cenę omijać wzrokiem więźnia.

- Lecz mamy obecnie Paschę, moi bracia. Czas sprawiedliwości i pokoju między ludźmi. - Odwracając się do Piłata, spytał: - Znasz obyczaj o tej porze roku?

Piłat pojął, co pragnie uczynić Jairus, i uchwycił się tej szansy.

-Tak, oczywiście. Co roku o tej porze pozwalam waszemu ludowi wybrać jednego więźnia, którego obdarzam łaską i uwalniam. Czy mam zaprowadzić tego człowieka przed oblicze tłumu i spytać ludzi o zdanie?

— Tak! Doskonale! - odparł Jairus.

Wiedział, że Kajfasz i Annasz nie mają wyjścia i nie mogą odrzucić wielkodusznej propozycji przedstawiciela Rzymu. Wiedział też, że w tłumie znajdują się liczni zwolennicy arcykapłanów i co najmniej kilku najemników, którym dobrze zapłacono, by podburzali lud przeciwko Nazarejczykowi, gdyby okazało się to konieczne. Jairus mógł mieć tylko nadzieję, że Nazarejczycy i ich zwolennicy zdążyli pojawić się do tej pory w wielkiej liczbie.

Piłat dał znak centurionom, by wyprowadzili więźnia na obwałowania twierdzy. Kajfasz i Annasz przeprosili, tłumacząc, że nie mogą być tego ranka widziani w towarzystwie Rzymian, ale że powrócą, gdy zapadnie decyzja o uwolnieniu więźnia. Piłat podejrzewał, że śpieszą się, by jeszcze skuteczniej wpłynąć na swych zwolenników w tłumie, ale nic nie mógł na to poradzić. Jairus, także przepraszając, uchwycił jego wzrok. Obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia, potem zaś każdy odszedł do swych obowiązków.

Piłat wyszedł przed gęstniejący tłum i przypomniał:

-Jest u was zwyczaj - zabrzmiał dźwięcznie jego głos w poranku Jeruzalem - że dla uczczenia Paschy uwalniam jednego więźnia.

Przywleczono Eżę i postawiono szorstko obok Piłata. Prokurator spojrział na Longinusa, ganiąc go wzrokiem za tę niepotrzebną brutalność.

- Dostyc - syknął, po czym zwrócił się do tłumu: - Czy zatem chcecie, bym uwolnił króla żydowskiego?

Wybuchła wrzawa, podniesione głosy zmagaly się ze sobą. „Poza cezarem nie mamy króla!” - rozległo się. Po chwili ktoś zawtórował: „Uwolnij Barabasz z elotę!”. Słowa te spotkały się z aplauzem tłumy.

Kilku odważnych wołało: „Uwolnij Nazarejczyka!”, ale na próżno. Zwoleńnicy Świątyni byli odpowiednio pouczeni i ich skandowane żądanie uwolnienia Barabasz przemieniło się w ogłuszający grzmot. „Barabasz! Barabasz! Barabasz!”.

Piłat nie miał innego wyboru: musiał uwolnić więźnia, którego domagał się tłum. Barabasz z elotę obdarowano łaską na okoliczność Paschy, a Eza Nazarejczyk został skazany na

ubiczowanie.

j

Klaudia Procula zatrzymała męża, gdy schodził z murów. ;

- Każesz go ubiczować?

i

- Uspokój się, kobieto! - warknął Piłat, odsuwając ją \ szorstko na bok. - Każę wychłostać go publicznie, a Longi- i nus i Praetorus zrobią z tego widowisko. To nasza ostatnia j szansa, by uratować mu życie. Być może zaspokoi to żądę krwi tych ludzi i przestaną się domagać jego ukrzyżowa-

- Westchnął ciężko, puszcżając ramię żony. - To jedy- i ne, co mi pozostało, Klaudio.

\

- A jeśli to nie wystarczy?

!

- Nie zadawaj pytania, jeśli nie chcesz usłyszeć odpo- i wiedz.

j

Klaudia skinęła głową. Nie musiał jej tego wszystkiego ■ mówić, sama to wiedziała.

i

- Poncjuszu, chcę poprosić cię o jeszcze jedno. Rodzina « tego człowieka - jego żona i dzieci - przebywa na tyłach j twierdzy. Każ opóźnić bicowanie, by mógł się z nimi zo- | baczyć. To dla niego ostatnia szansa spotkania z bliskimi. I Błagam.

I

480

i
i

- Odroczę karę, ale nie na długo - odparł szorstko Piłat. -
Każe Praetorowi odprowadzić więźnia. Jest godzinie
zaufania, jeśli chodzi o tego Nazarejczyka. Longinus w tym
czasie przygotowuje wszystko do publicznej chłosty.

Poncjusz Piłat dotrzymał słowa i pozwolił zaprowadzić
więźnia do komnat na tyłach twierdzy, by mógł się przez
chwilę widzieć z Marią i dziećmi. Eza objął Jana i Tamar,
nakazując obojgu dzielność i opiekę nad matką. Ucałował
dzieci i rzekł:

- Pamiętajcie, moje maleństwa, że bez względu na to, co
się stanie, zawsze będę z wami.

Kiedy zbliżał się czas rozstania, uściskał Marię po raz
ostatni.

- Posłuchaj mnie, moja gołąbeczko. To bardzo ważne.
Kiedy opuszczę swe doczesne ciało, nie wolno ci trwać przy
mnie. Musisz pozwolić mi odejść, pojmując jednocześnie,
że zawsze będę przy tobie duchem. Zamkniesz oczy i uj
rzysz mnie.

Próbowała się uśmiechnąć przez łzy, siłąc się na odwagę.
Serce miała rozdarte i była otepiała z bólu i strachu, ale nie
chciała tego pokazać. Jej siła była ostatnim darem, jaki
mogła mu ofiarować.

Po chwili zjawił się Praetorus, by odprowadzić Ezę. Nie-
bieskie oczy centuriona były zaczerwienione. Eza to do-
strzegł i pocieszył Rzymianina.

- Czyń to, co musisz.

- Będziesz żałował, że uleczyłeś mi rękę - oznajmił cen-
turiem zdławionym głosem.

Eza pokręcił głową.

- Nie. Będę raczej wiedział, że miałem do czynienia z przyjacielem. Bądź pewien, że ci wybaczam. Proszę tylko o jeszcze jedną chwilę zwłoki.

Praetorus wyszedł na zewnątrz. Eza zwrócił się do dzieci i położył dłoń na sercu.

- Pamiętajcie, jestem tutaj. Zawsze.

Oboje skinęli uroczyście głowami; duże ciemne oczy Jana spoglądały z powagą, małe oczka Tamar były wypełnione łzami, choć malowało się w nich zrozumienie tej trudnej chwili.

Eza zwrócił się do Marii i wyszeptał:

- Obiecuj mi, że nie dopuścisz, by ujrzały to, co się jeszcze dziś wydarzy. Nie chcę też, byś i ty była świadkiem tego, co się niedługo stanie. Jednak pod koniec...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Objęła go gwałtownie i przytuliła do siebie mocno ten ostatni raz, by w jej myślach i ciele na zawsze pozostało wspomnienie fizycznego dotyku ukochanego Ezy. Wiedziała, że będzie do śmierci pielęgnować pamięć tej chwili.

- Będę z tobą - powiedziała szeptem. - Cokolwiek się wydarzy.

- Dziękuję, moja Mario - odparł, odsuwając ją od siebie łagodnie. Te ostatnie słowa wypowiedział z uśmiechem, jakby miał przed wieczorem powrócić do domu na posiłek. - Nie zaznasz udręki tęsknoty, nie odejdę bowiem. Będzie lepiej niż teraz, gdyż nigdy się już nie rozdzielimy.

Marię i dzieci wyprowadził z twierdzy Antonio, grecki niewolnik Klaudii Proculi. Maria poprosiła o spotkanie

z Klaudią i możliwość podziękowania tej kobiecie, ale niewolnik pokręcił głową i rzekł w rodzimym języku:

- Moja pani jest przybita wydarzeniami tego dnia. Wyznała mi, że nie może stanąć przed tobą. Próbowwała na wszelki sposób go ocalić.

- Przekaż jej, że wiem o tym. I Eza także wie. Powiedz jej jeszcze, że mam nadzieję, że któregoś dnia spotkam się z nią i że będę mogła spojrzeć jej w twarz, by wyrazić swą wdzięczność. I jego wdzięczność.

Grek skłonił się pokornie i odszedł do swej pani.

Maria i dzieci opuściły mury twierdzy i wkroczyły w chaos, w jaki zamieniło się Jeruzalem w ten święty piątek. Musiała zabrać stąd dzieci, musiała odejść jak najdalej, nim do ich uszu dotrze dźwięk biczowania. Niedaleko znajdował dom Salome, bezpieczna kryjówka. Maria postanowiła tam pójść i spotkać się z Martą, by poprosić ją o zabranie dzieci do Betanii.

W domu zastała Wielką Marię i dwie starsze Marie, ale Marty nie było, gdyż udała się na poszukiwania szwagierki i jej dzieci, nie zdając sobie sprawy, że wracają do domu. Marię Magdalenę czekało trudne zadanie przekazania porannych wydarzeń matce Ezy. Wielka Maria przytakiwała ze łzami w starczych oczach, które spoglądały z wielką mądrością i współczuciem.

- Zobaczył to już dawno temu. Oboje to zobaczyliśmy - oznajmiła wreszcie.

Kobiety zdecydowały, że wejdą w gwarny tłum Jeruzalem. Chciały odszukać Martę i poprosić, by zabrała Jana i Tamar w bezpieczne miejsce - a potem zamierzały odnaleźć Ezę. Jeśli miał być skazany i ukrzyżowany jeszcze tego samego dnia, to nie mogły go opuścić. Maria złożyła mu

obietnicę. Prosił, by tylko ona i matka towarzyszyły mu w ostatnich godzinach.

Gdy szykowały się do wyjścia, Wielka Maria podeszła do synowej, trzymając w ręku czerwoną chustę, oznakę ich rangi. Wręczyła ją Marii Magdalenie.

- Okryj się nią, moja córko. Jesteś Nazarejką i królową, bardziej teraz niż kiedykolwiek.

- Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go! - nasilało się skandowanie tłumu.

Piłat przyglądał się temu z bezradnością i odrazą. Okrutne biczowanie Nazarejczyka nie zadowoliło tych ludzi. Wprost przeciwnie, rozпалиło ciźbę do jeszcze większego szaleństwa i żądania śmierci więźnia. Z tłumu wystąpił jakiś człowiek, trzymając w ręku koronę uplecioną z ostrych jak nóż cierni. Rzucił nią w Ezę, który wciąż zwisał na pręgierzu, obrócony plecami do oślepiającego porannego słońca.

- Oto twoja korona, jeśli jesteś królem! - wrzasnął mąż czyzna, a tłum wybuchnął szyderczym śmiechem.

Praetorus rozkuł Ezę i właśnie odciągał go od pręgierza, kiedy Longinus podniósł z ziemi koronę i nasadził brutalnie na głowę wychłostanego. Skóra na skroniach i czole zerwała się i krew zmieszana z potem zalała oczy skazańca przy wtórze radosnego wycia tłumu.

- Dostyc tego, Longinusie - warknął Praetorus na swego towarzysza.

Longinus roześmiał się ochryple i drwiąco.

- Robisz się miękki. - Splunął pod nogi Praetorusowi. - Nie okazałeś żadnej radości z wychłostania tego króla Żydów.

Praetorus odpowiedział mu głosem tak groźnym, że twardemu i bezlitosnemu Longinusowi przebiegł dreszcz po plecach.

- Dotknij go jeszcze raz bez potrzeby, a zrobię ci drugą bliznę na policzku.

W tym momencie wkroczył między nich Piłat, wyczuwając prawdziwe niebezpieczeństwo w zachowaniu własnych ludzi. Nie mógł na to pozwolić, nie tego dnia. To, jak obaj zamierzali załatwić sprawę między sobą, z dala od oczu tłumu, nie obchodziło go, ale teraz musiał zapanować nad sytuacją, nim doszłoby do czegoś jeszcze gorszego. Prokurator wznosił dłonie i zwrócił się do obecnych:

- Oto człowiek. Człowiek, powiadam. Ale nie król, jak mi się wydaje. Nie znajduję w nim żadnej winy, poza tym został wychłostany według rzymskiego prawa. Nic więcej nie mamy tu do zrobienia.

- Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go! - rozległ się zgodny krzyk, powtarzany raz za razem, jakby wcześniej przećwiczony.

Ta manipulacja rozwścieczyła Piłata; nie mógł znieść myśli, że znalazł się w takiej sytuacji.

Położył dłoń na ramieniu Ezy, pochylając się nad nim.

- Posłuchaj mnie, Nazarejczyku - powiedział cicho. - To twoja ostatnia szansa, by ocalić życie. Pytam cię: jesteś królem żydowskim? Bo jeśli powiesz, że nie jesteś, nie będę miał podstaw, by cię ukrzyżować zgodnie z prawem rzymskim. Mogę cię uwolnić.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z ogromną żarliwością.

Eza patrzył długą chwilę na Piłata.

Powiedz to, przeklęty! Powiedz!

Wydawało się, że Eza czyta w myślach Piłata.

- Nie mogę ci tego ułatwić - wyszeptał. - Każdemu z nas wybrano jego przeznaczenie, ale teraz ty musisz wybrać swego pana.

Napięcie w tłumie narastało, a w głowie Piłata rozbrzmiewały coraz głośniejsze krzyki. Było słycać głosy wzywające do uwolnienia Nazarejczyka, i to wiele. Zostały jednak zagłuszone przez krwiożerczych najemników, którym zapłacono odpowiednio, by spełnili tego dnia swe zadanie. Nerwy Piłata były napięte jak cięciwa łuku, gdy ważył na kruchych barkach tego Nazarejczyka swe obowiązki, ambicję, filozofię i rodzinę. Usłyszał krzyk z lewej strony i gdy się odwrócił, ujrzał posłańca Heroda, tetrarchy Galilei.

- O co chodzi? - warknął Piłat.

Posłaniec wręczył Piłatowi zwój z pieczęcią Heroda. Prokurator zerwał wosk i odczytał treść listu: „Załatw tę sprawę z Nazarejczykiem natychmiast, gdyż chciałbym wyruszyć do Rzymu, wiedząc, że mogę przekazać cesarzowi, jak skutecznie rozprawiasz się z groźbami przeciwko jego majestatowi”.

Był to ostateczny cios dla Piłata. Jeszcze raz przeczytał to, co napisał Herod, i zauważył, że zwój jest splamiony krwią - krwią Nazarejczyka. Wezwał sługę i po chwili przyniesiono mu srebrną miskę. Piłat zanurzył w niej dłoń, starając się nie patrzeć, jak woda zabarwia się na czerwono.

- Nie jestem winny krwi tego człowieka! - zakrzyknął do tłumu. - Ukrzyżujcie swego króla, jeśli tak wam na tym zależy.

Odwrócił się, nie patrząc na Eżę, i wzburzony zszedł z tarasu.

Nie był to jednak jeszcze koniec. Po paru chwilach zjawił się u niego Kajfasz, za którym podążało kilku ludzi ze Świątyni.

- Nie zrobiłem dla was wystarczająco dużo jak na jeden dzień? - spytał gniewnie Piłat.

- Prawie, Wasza Dostojność. - Kajfasz uśmiechnął się chytrze.

- Czego więcej chcesz ode mnie?

- Wedle tradycji należy zawiesić na krzyżu znak pokazujący światu, jaką zbrodnię człowiek popełnił. Chcemy, byś napisał, że dopuścił się bluźnierstwa.

Piłat kazał, by przyniesiono mu przybory.

- Napiszę to, za co go skazałem, a nie to, o co mnie prosicie. Taka jest tradycja.

I napisał INRI, a pod spodem znaczenie owego skrótu - Eza Nazarejczyk, król żydowski. Potem spojrzął na swego sługę.

- Dopilnuj, by to przybito do krzyża nad głową skazane go. I każ skrybie napisać to samo po hebrajsku i aramejsku.

Kajfasz był wyraźnie zaskoczony.

- Tak nie może być! Jeśli musisz, napisz: „Twierdził, że jest królem żydowskim”, by ludzie wiedzieli, że go za takie go nie uważamy.

Piłat skończył już z tym człowiekiem i jego manipulacjami, tego dnia i na zawsze. Jego odpowiedź była pełna jadu:

- Com napisał, napisałem.

Odwrócił się plecami do Kajfasza i innych, po czym odszedł do swoich apartamentów, gdzie zamknął się do końca dnia.

Tłum falował i poruszał się niczym żywa istota, ciągnąc ze sobą Marię i jej dzieci. Tuliła do piersi synka i córeczkę, i przeciskała się z wysiłkiem przez ciżbę w poszukiwaniu

Marty. Z zasłyszanych rozmów wynikało, że Eza został skazany i że jest już w drodze na Golgotę, miejsca swej egzekucji. Obserwując procesję, która sunęła ulicami, mogła się z grubsza zorientować, gdzie akurat znajduje się Eza. Ogarniała ją coraz większa rozpacz. Musiała koniecznie znaleźć Martę i odesłać dzieci w bezpieczne miejsce, by móc spędzić te ostatnie chwile ze swym mężem.

I wtedy usłyszała w myślach głos Ezy, tak wyraźny, jakby Nazarejczyk stał tuż obok. „Poproś, a będzie ci dane. To takie proste. Musimy prosić Pana naszego Ojca o to, czego pragniemy, a on ześle to dzieciom, które kocha”.

Maria Magdalena ścisnęła rączki Jana i Tamar, i zamknęła oczy. „Błagam, najdroższy Panie, błagam, pomóż mi znaleźć Martę, abym mogła odesłać dzieci w bezpieczne miejsce i być ze swym ukochanym Ezą w chwili jego cierpienia”.

- Mario! Mario, jestem tutaj!

Głos Marty przeciął powietrze i dotarł do Marii, gdy tylko skończyła się modlić. Otworzyła oczy i ujrzała szwagierkę przepychającą się ku niej przez tłum. Objęły się i uściślały gorąco.

- Nosisz swoją czerwoną chustę. Dzięki niej cię do strzegłam.

Maria przelknęła łzy. Pozostało już mało czasu, ale obecność Marty była dla niej ogromną pociechą.

- Chodź, mała księżniczko - zwróciła się Marta do Tamar i wzięła ją na rękę, Jana zaś ujęła za dłoń. - I ty też, młody człowieku.

Maria uściślała szybko dzieci, zapewniając je, że spotkają się w Betanii tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Idź z Bogiem, siostró - wyszeptwała Marta. - Zajmijmy się dziećmi, dopóki nie wrócisz do domu. Uważaj na siebie.

Ucałowała szwagierkę, teraz już dojrzałą kobietę i królową, i znów zaczęła się przeciskać przez tłum, prowadząc ze sobą dzieci.

Maria musiała stoczyć walkę, by przebić się przez zwartą masę ludzi. Zdołała utrzymać się na krawędzi tłumy, ale nie mogła podejść bliżej do Ezy. Dostrzegła czerwone chusty Wielkiej Marii i jej dwóch towarzyszek, i podążyła za nimi krętą ścieżką na Golgotę, starając się je dogonić, ale była coraz bardziej spychana do tyłu przez nieprzebrane mrowie ludzkie, które posuwało się z wolna za swoją ofiarą.

Kiedy centurionowie dotarli na szczyt wzgórza zwanego Miejscem Czaszki, dostrzegła, że znajdują się co najmniej dwieście kroków dalej. Widziała też niewyraźną postać Ezy i czerwone chusty jego matki oraz dwóch Marii. Tłum na ścieżce wciąż był gęsty, zagradzając Marii drogę. Nie dbała o to; nie myślała już o niczym, chciała tylko dostać się do Ezy. Okrążyła ludzi, zesła ze ścieżki i zaczęła się wspinać po skalistym zboczu. Było najeżone ostrymi kamieniami i porośnięte pokrzywami, ale nie zważała na to. Jej ciało było pozbawione czucia, gdy posuwała się do przodu z niewypowiedzianą determinacją, by dotrzeć do swego Ezy.

Była tak skupiona na swym celu, że nie zauważyła, jak niebo pociemniało. Pośliznęła się na kamieniu, rozrywając dolną część chusty i kalecząc nogę o ciernisty krzak. W tym momencie usłyszała przyprawiający o mdłości dźwięk, ścisnąjący serce łoskot, który miał ją prześladować każdej nocy do końca życia - metal uderzający o metal, młot wbijający gwóźdź. Rozległ się krzyk bólu, kiedy Maria upadła

ponownie, ale dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ten głos wyrwał się z jej ust.

Była już tak blisko, nic nie mogło jej powstrzymać. Podnosząc się z ziemi, Maria zdała sobie sprawę, że kamienie są śliskie od wody. Niebo zrobiło się czarne, a deszcz kapał jak święte łzy na wypaloną, przeklętą ziemię, gdzie właśnie przybito do drewnianego krzyża Syna Człowieczego.

Maria Magdalena dotarła pod krzyż kilka chwil później, przyłączając się do swej teściowej i obu Marii, czuwających przy konającym. Tego dnia na wzgórzu Golgoty dokonano egzekucji jeszcze dwóch ludzi, którzy wisieli po bokach Ezy. Maria nie patrzyła na nich; nie widziała nikogo prócz Ezy. Starła się za wszelką cenę nie dostrzegać jego ran. Skupiła wzrok na twarzy, która wydawała się spokojna i pogodna, oczy były zamknięte. Kobiety stały razem, podtrzymując się nawzajem i modląc do Boga o rychłe uwolnienie Ezy od cierpienia. Maria rozejrzała się wokół i uświadomiła sobie, że nie zna nikogo w tłumie, który stał za nimi - i że w tym dniu nie widziała żadnego z uczniów.

Rzymianie utrzymywali gapiów z dala od miejsca kaźni. Spoglądając w stronę centurionów, Maria dojrzała na ich czele Praetorusa. Zmówiła za niego modlitwę dziękczynną - bez wątpienia to jemu rodzina zawdzięczała tę chwilę samotności u stóp krzyża.

Kobiety zamarły, *słyszac*, jak Eza próbuje coś powiedzieć. Było mu trudno, gdyż ciężar wiszącego ciała uciskał przeponę i prawie uniemożliwiał oddychanie i mówienie.

- Matko... - wyszeptał. - Oto syn twój.

Kobiety przysunęły się bliżej krzyża, by usłyszeć jego słowa. Ze zmasakrowanego ciała płynęła krew i zmieszana z kroplami deszczu skapywała na ich twarze.

- Moja ukochana - zwrócił się do Magdaleny. - Oto matka twoja.

Eza zamknął oczy i wypowiedziawszy cicho, lecz wyraźnie: „Dokonało się”, opuścił głowę i znieruchomiał.

Zapadła cisza, całkowity bezruch, nikt nawet nie drgnął. Niebiosa pokryła nieprzenikniona czerń; nie była to barwa zachmurzonego i wypełnionego deszczem nieba, tylko smoły - całkowita nieobecność światła.

Tłum na wzgórzu ogarnęła panika; wokół rozbrzmiały okrzyki przerażenia. Lecz owa ciemność trwała tylko chwilę, po czym przeszła w posępną szarość. Do Praetorusa podeszło dwóch żołnierzy.

- Mamy rozkaz przyspieszyć śmierć tych więźniów, aby ich ciała można było zdjąć z krzyży jeszcze przed szabatem.

Praetorus spojrzął na ciało Ezy.

- Nie ma potrzeby łamać temu człowiekowi nóg. Już jest martwy.

- Na pewno? - spytał jeden z żołnierzy. - Zazwyczaj upływają godziny, nim ukrzyżowany się udusi; czasem kona nawet po kilku dniach.

- Ten człowiek jest martwy - warknął Praetorus. - Nie tkniecie go.

Obaj żołnierze byli na tyle przenikliwi, by dosłyszeć w głosie dowódcy groźny ton. Wzięli pałki i zabrali się do nieprzyjemnego obowiązku połamania nóg dwóm pozostałym skazańcom, tym samym przyspieszając ich śmierć przez uduszenie.

Praetorus był zajęty wydawaniem rozkazów, nie zauważył więc Longinusa zbliżającego się z drugiej strony krzyża.

Nim obrócił wzrok w stronę, gdzie wisiał Eza, było za późno. Longinus wepchnął trzymaną w dłoni włócznię w bok Nazarejczyka. Maria Magdalena krzyknęła rozpaczliwie. Żołnierz odpowiedział twardym i okrutnym śmiechem.

- Tylko sprawdzałem. Ale masz słuszość. Jest martwy. - Zwrócił się do Praetorusa, którego twarz zbieiała z wściekłości: - I co teraz zrobisz?

Praetorus chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie.

- Nic. Nie muszę nic robić. Sam się przekląłeś swym uczynkiem.

- Zdejmijcie tego człowieka! - rozkazał.

Z twierdzy Piłata przybiegł wysłannik z poleceniem, by ciało Nazarejczyka oddać jego ludziom, aby mogli je pochować przed zachodem słońca. Była to rzecz niezwykła, gdyż zazwyczaj ofiary ukrzyżowania pozostawiano na miejscu kaźni, gdzie gniły na przestrogę innym. Lecz przypadek Ezy Nazarejczyka potraktowano inaczej.

Jego zamożny wuj, Józef, kupiec i handlarz cyną, przybył do twierdzy Antonia i spotkał się z Klaudią Proculą. To ona uzyskała pozwolenie na bezzwłoczne zdjęcie ciała w celu jego pogrzebania. Kiedy Józef dotarł pod krzyż, zaczął pocieszać Wielką Marię, podczas gdy ciało jej syna zdejmowano z drewnianego narzędzia tortur. Matka Ezy wyciągnęła ręce, kiedy żołnierze ściągnęli z góry Nazarejczyka.

- Chciałabym potrzymać swe dziecko po raz ostatni - rzekła.

Praetorus wziął ciało Ezy i położył je delikatnie na kolanach kobiety. Przytuliła je, płacząc otwarcie nad stratą syna.

Maria Magdalena podeszła i uklękła obok niej, a ona przytuliła ją także; tak obejmowała obydwójce, trzymając jedną ręką synową, na drugiej zaś kołyszac głowę Ezy.

I trwały w tym żalobnym bezruchu bardzo długą chwilę.

Józef nabył niegdyś grobowiec dla swej rodziny w ogrodzie grzebalnym niedaleko Golgoty. To właśnie tam zabrali ciało Ezy Nazarejczycy. Nikodem, młody Nazarejczyk zatrudniony przez Józefa, przyniósł mirrę i aloes. Marie zaczęły szykować zmarłego do pochówku i rozkładać całun, lecz gdy przyszło do namaszczenia ciała mirrą, Wielka Maria wręczyła słój Marii Magdalenie.

- Tylko tobie przynależy ten zaszczyt - oznajmiła.

Magdalena spełniła obowiązki wdowy zgodnie z rytuałem pogrzebowym. Ucałowała czoło Ezy i pożegnała się z nim, mieszając swe łzy z olejkami mirry. Mogłaby przysiąc, że słyszy w grobowcu jego głos, słaby, lecz wyraźny: „Jestem zawsze z tobą”.

Kobiety nazarejskie wypowiedziały słowa pożegnania i opuściły wewnętrzną komorę. Wybrano ogromną płytę kamienną, która miała strzec szczątków Ezy. Zakrycie grobowca wymagało pracy wielu ludzi, posługujących się blokiem zrobionym z lin i desek. Gdy wykonano to ostatnie zadanie, zasmucona i przygnębiona grupka wycofała się w zacisze domu Józefa. Maria Magdalena osunęła się na łożo i spała do późna dnia następnego.

W sobotnie popołudnie u Józefa zebrało się kilku apostołów, by pomówić z Magdaleną i starszymi Mariami. Opowiedziały o wydarzeniach poprzedniego dnia; wszyscy opłakiwali Ezę i pocieszali się nawzajem. Nadszedł czas rozpacz,

ale też czas więzi, który zbliżył wszystkich do siebie. Było za wcześnie, by się zastanawiać nad przyszłością ich kapłaństwa, ale ów duch jedności koił jak balsam zdruzgotane dusze.

Jednakże Maria Magdalena czuła niepokój. Nikt nie widział ani nie miał wiadomości od Judasza z Kariotu od chwili aresztowania Ezy. W domu Józefa zjawił się Jairus, pytając o niego i wyjaśniając, że Judasz był ogromnie wzburzony. Płakał przed Jairusem ostatniej nocy i wołał: „Dlaczego mnie wybrał do tego czynu?! Dlaczego to mnie przypadło dokonanie tej zbrodni przeciwko memu ludowi?!”.

Choć Maria wyznała najbliższym uczniom, że Eza nakazał Judaszowi wydać go władzom, inni nie znali - i nie mogli znać - prawdy. A zatem imię Judasza stało się w całym Jeruzalem synonimem zdrajcy i słowo to szybko przechodziło z ust do ust. Opinia, jaką zyskał Judasz, była jeszcze jednym ogniwem z długiego łańcucha niesprawiedliwości znaczących ścieżkę przeznaczenia i prorocstwa. Maria modliła się, by któregoś dnia zdołała przywrócić temu człowiekowi dobre imię. Nie wiedziała jednak, jak ma to uczynić.

Judasz miał się nigdy nie dowiedzieć, czy Marii udało się oczyścić go z hańby. Uczniowie odkryli po jakimś czasie, że jest za późno, że tego czarnego popołudnia doszło do jeszcze jednej tragedii. Nie mogąc pogodzić się z tym, że jego imię na zawsze będzie wiązane ze śmiercią Pana i mistrza, Judasz z Kariotu odebrał sobie życie w Dniu Ciemności. Znalezione go powieszono na drzewie pod murami Jeruzalem.

Maria Magdalena spała tej nocy niespokojnie. Przez jej myśli przepływało zbyt wiele obrazów, zbyt wiele głosów i wspomnień. I dręczyło ją coś jeszcze. Zaczęło się od uczucia

niepokoję, od świadomości, że dzieje się coś złego. Maria wstała z łoża i przemierzyła szybko dom Józefa. Niebo wciąż było ciemne; do świtu pozostała co najmniej godzina. Nikt nie czuł, w samym zaś domu panowała niezmacona cisza.

Nagle Maria pojęła, doznając gwałtownego przeblysku prawdy. Eza. Musiała dostać się do grobu. W miejscu, gdzie pochowano Ezę, działo się coś niezwykłego. Maria wahała się przez chwilę. Powinna zbudzić Józefa lub jednego z uczniów i poprosić, by jej towarzyszył? Może Piotra?

Nie! Musisz to zrobić sama.

Usłyszała odpowiedź w myślach, ale słowa te odbiły się echem od ścian. Okryta wiarą i żalobną chustą, przekradła się pod drzwi. Gdy tylko znalazła się poza domem, ruszyła biegiem w stronę grobowca.

Kiedy dotarła do ogrodu, w którym znajdował się grób, wciąż jeszcze panowały ciemności. Niebo krył głęboki fiolet, nadchodził świt. Było już jednak dostatecznie jasno, by Maria mogła ujrzeć, że ogromny głaz - kamienna płyta, z której ciężarem musiało się zmagać niemal dwunastu ludzi - był odsunięty od grobowca.

Maria podbiegła do wejścia, którego nic nie zagrażało. Serce waliło jej ze strachu. Pochyliła głowę, by wejść do środka, i po chwili przekonała się, że Eza zniknął. O dziwo, w grobowcu nie było ciemno; dziwny blask rozpraszał mrok komory. Maria widziała wyraźnie całun leżący na kamiennej płycie. Dostrzegła na płótnie odcisnięty zarys ciała, ale był to jedyny dowód, że Eza tu spoczywał.

Jak to się stało? Czy arcykapłani tak bardzo go nienawidzili, że ukradli jego zwłoki? Z pewnością nie była to prawda. Kto uczyniłby coś takiego?

Oddychając spazmatycznie, Maria wyszła niepewnym krokiem do ogrodu. Tam upadła na ziemię, oplakując

jeszcze jedno poniżenie, jakie stało się udziałem Ezy. Kiedy łąkała, promienie słońca rozpoczęły swą świetlistą wędrówkę po niebie. Na jej twarzy zatańczył pierwszy promyk, gdy usłyszała za plecami męski głos.

- Dlaczego płaczesz, niewiasto? Kogo szukasz?

Maria nie od razu podniosła wzrok. Pomyślała, że to ogrodnik zjawił się wczesnym rankiem, by zająć się trawą i kwiatami wokół grobowców. Potem przyszło jej do głowy, że być może widział coś i że będzie mógł jej pomóc.

- Ktoś zabrał mojego Pana, a ja nie wiem, gdzie go złożyono - powiedziała przez łzy, unosząc głowę. - Jeśli wiesz, gdzie jest, błagam cię, byś mi powiedział.

- Mario.

Zastygła, zbyt przez chwilę przerażona; nie wiedziała, co ujrzy, gdy się odwróci. Lecz on powtórzył:

- Mario, jestem tutaj.

Maria Magdalena odwróciła się, a pierwsze promienie słońca oświetliły piękną postać. Stał przed nią Eza w nieskazitelnie białej szacie, całkowicie wyleczony z ran. Obdarował ją swym ciepłym i łagodnym uśmiechem.

Kiedy ruszyła ku niemu, powstrzymał ją gestem uniesionej dłoni.

- Nie trwaj przy mnie, Mario - poprosił. - Mój czas na ziemi dobiegł końca, choć jeszcze nie wstąpiłem do Ojca. Najpierw muszę przekazać ci ten znak. Udaj się do moich braci i powiedz im: „Wstępuję do Ojca mego, który jest także twoim Ojcem i ich, Bogiem w niebiesiech”.

Maria przytaknęła, stojąc przed nim pełna lęku i zachwytu, otoczona zewsząd czystym i ciepłym światłem jego dobroci.

- Mój czas tu dobiegł końca. Teraz zaczyna się twój czas.

Rozdział dwudziesty

Chateau des Pommes Blues
2 lipca 2005

Maureen siedziała w ogrodzie z Peterem, a za ich plecami szumiała cicho fontanna Marii Magdaleny. Musiała wyciągnąć go na świeże powietrze, z dala od pozostałych. Twarz jej kuzyna była blada i mizerna od bezsenności i napięcia, jakie towarzyszyły wydarzeniom minionego tygodnia. Wydawało się, że przez te kilka ostatnich dni postarzał się o dziesięć lat. Maureen zauważyła nawet, że na jego skroniach pojawiło się kilka siwych pasemek, których wcześniej nie dostrzegła.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najtrudniejsze? - spytał szeptem.

Maureen pokręciła głową. Dla niej było to porywające przeżycie. Wiedziała jednak, że to, w co wierzył, co stanowiło sens jego życia, zostało w ogromnym stopniu podważone przez lekturę Ewangelii Marii Magdaleny. A jednak jej słowa potwierdziły najświętsze założenie chrześcijaństwa - zmartwychwstanie.

- Nie. Co jest najtrudniejsze? Powiedz mi.

Peter spojrział na nią podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami, starając się przekazać precyzyjnie to, co myślał.

- A jeśli... jeśli od dwóch tysięcy lat zaprzeczamy ostatniemu życzeniu Jezusa Chrystusa? A jeśli jest prawdą to,

co mówiła nam cały czas Ewangelia świętego Jana, kiedy to Jezus ukazał się jako pierwszej Marii Magdalenie - że to ona jest jego wybranym następcą? Cóż to byłoby za ironia losu, gdybyśmy w Jego imieniu odmawiali jej tej roli, nie tylko jako apostoła, ale przywódcy apostołów? - Umilkł na chwilę, próbując uporać się z tym wyzwaniem, które rzucono nie tylko jego umysłowi, ale także duszy. - „Nie trwaj przy mnie”. To właśnie jej mówi. Wiesz, jakie to ważne? Maureen pokręciła głową, czekając na wyjaśnienie.

- W Ewangeliach nie tłumaczy się tego w ten sposób - tylko jako „Nie dotykaj mnie”. Prawdopodobnie w oryginale użyto greckiego słowa „trwaj”, nie zaś „dotknij”, ale nikt nigdy tego nie dostrzegł. Widzisz różnicę? - Była to rewelacja dla Petera naukowca i lingwisty. - Pojmujesz, jak przekład nawet jednego słowa może wszystko zmienić? Ale w swej Ewangelii Maria używa bez wątpienia słowa „trwać”, i to dwukrotnie, cytując Jezusa.

Maureen starała się nadażyć za tokiem myśli Petera i zrozumieć jego emocjonalną reakcję na to jedno słowo.

- Z pewnością istnieje różnica między „Nie trwaj przy mnie” a „ Nie dotykaj mnie”.

-Tak - powiedział dobitnie Peter. - To tłumaczenie „Nie dotykaj mnie” było wykorzystywane przeciwko Marii Magdalenie, by pokazać, że Chrystus odpycha ją od siebie. Tak naprawdę mówi jej, by nie trwała przy nim, kiedy odejdzie, gdyż chce, by zajęła jego miejsce. - Kiedy westchnął, Maureen zdała sobie sprawę, że musi być wyczerpany. - To coś niebywałego, Maureen. Niebywałego i wielkiego.

Maureen dopiero teraz zaczynała z wolna uświadamiać sobie wszelkie konsekwencje, jakie niosła ze sobą opowieść Marii Magdaleny.

- Wydaje mi się, że przedstawienie kobiet jako przywódczyni Nazarejczyków to jeden z ważniejszych elementów jej historii - przyznała. - Nie chcę zabijać ci jeszcze większego ćwieka, ale co powiesz na postać Maryi Dziewicy? Nazywa ją Wielką Marią i bez wątpienia mówi o niej jak o przywódczyni ich ludu. Z opowieści wynika, że imię Maria nadawano kobietom pełniącym role przywódczyń. No i ta czerwona chusta...

Peter potrząsnął głową, jakby mu to mogło pomóc.

- Słyszałem kiedyś' taki argument, że Watykan ogłosił, jakoby Dziewicę należy przedstawiać wyłącznie w bieli i błękicie, co miało umniejszać jej moc, ukrywać pierwotną rolę jako jednej z przywódczyń Nazarejczyków - a jak się przekonaliśmy, nosiła czerwone szaty. Szczerze mówiąc, za wsze uważałem tę teorię za bzdurę. Wydawało mi się oczywiste, że Dziewicę należy przedstawiać w bieli i błękicie, by podkreślić jej czystość. - Podniósł się z wysiłkiem. - Ale teraz nic już nie wydaje mi się oczywiste.

Cape Cod, Massachusetts 2

lipca 2006

W tym samym czasie, po drugiej stronie Atlantyku, przy oknie swej rezydencji siedział potentat rynku nieruchomości Eli Wainwright i spoglądał na rozległy trawnik. Od ponad tygodnia nie miał wiadomości od Dereka, co głęboko go niepokoiło. Do Francji udała się na dzień świętego Jana Chrzyciela delegacja amerykańska i lider tej grupy zadzwonił do Elegia, kiedy Derek nie spotkał się z nim w Paryżu.

Eli wyteżał umysł, starając się myśleć jak jego syn. Derek zawsze był odrobinę niezależny, ale chłopak wiedział, jakie

to ważne. Miał się tylko trzymać ustalonego planu, nie odstępować na krok tego Nauczyciela Sprawiedliwości i dowiedzieć się jak najwięcej o jego działaniach i motywach. Dysponując wyczerpującym raportem wywiadowczym, Amerykanie mogliby przygotować przewrót, by pozbawić grupę europejską władzy w gildii.

Podczas ostatniego spotkania w Stanach Derek okazał niezadowolony z powodu dalekosiężnych planów, które przedstawił mu ojciec. Eli był strategiem, lecz Derek nie odziedziczył po nim cierpliwości i umiejętności przewidywania, które uczyniły z rodziny Wainwrightów miliarderów. Czy to możliwe, by Derek zrobił coś lekkomyślnego i głupiego?

Eli Wainwright otrzymał odpowiedź jeszcze tego popołudnia, gdy nadmorską ciszę posiadłości rozdarł nagle krzyk jego żony. Eli zerwał się z fotela i wybiegł do holu, gdzie na podłodze, drżąc spazmatycznie, leżała Susan.

- Susan, na litość boską, co się stało?

Kobieta nie była w stanie mu odpowiedzieć. Szlochała histerycznie i bełkocząc wskazywała paczkę z zagranicy, która leżała tuż obok niej.

Eli wyjął z kartonu małą drewnianą szkatułkę, przygotowując się w duchu na jej otwarcie. Odchylił wieczko i znalazł w środku pierścień Dereka z symbolem Uniwersytetu Yale.

Pierścień tkwił na szczątku odciętego palca prawej dłoni Dereka Wainwrighta.

Chateau de Pommes Blues 3
lipca 2006

Nawet w zwykłych okolicznościach Maureen miała lekki sen. Teraz, dręczona natłokiem myśli o zwojach, nie

mogła zmrzyć oka. Usłyszała kroki na korytarzu i usiadła. Ktoś skradał się ostrożnie. Maureen wyteżyła słuch, ale się nie poruszyła. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że dom jest ogromny i że ona nie zna nawet wszystkich pracowników służby.

Położyła się, próbując zasnąć, ale zaniepokoił ją warkot silnika na dworze. Zegar wskazywał trzecią rano. Kto to mógł być? Maureen wstała z łóżka i podeszła do okna, które wychodziło na dziedziniec. Przetarła oczy, by się upewnić, że wzrok jej nie myli.

Zobaczyła przejeżdżający pod oknem i znikający za bramą swój wypożyczony samochód - za kierownicą siedział ktoś bardzo podobny do jej kuzyna Petera.

Maureen wypadła z sypialni i pobiegła do jego pokoju. Zapaliła światło i przekonała się, że rzeczy Petera zniknęły. Nie było czarnej torby, okularów, Biblii i różańca, które zawsze trzymał przy łóżku.

Rozglądała się przez dobrą minutę za jakąś wiadomością, którą być może jej zostawił. Karteczką czy czymkolwiek. Ale jej poszukiwania okazały się bezowocne.

Ojciec Peter Healy zniknął.

Maureen próbowała uporządkować wydarzenia minionych dwudziestu czterech godzin. Ostatni raz rozmawiała z Peterem w ogrodzie obok fontanny, kiedy to wyjaśniał jej istotę słów „Nie trwaj przy mnie”. Wydawał się zdenerwowany, ale Maureen przypisała to wzburzeniu i wyczerpaniu, będącym owocami ciężkiej pracy. Co go skłoniło do tak nagłego wyjazdu w samym środku nocy i dokąd się udał? Nigdy wcześniej jej nie opuścił ani nie zawiódł. Maureen

poczuła, jak ogarnia ją panika. Był jedynym bliskim jej człowiekiem z rodziny, kimś, komu mogła bez zastrzeżeń zaufać.

- Reenie?

Maureen aż podskoczyła na dźwięk głosu za plecami. W drzwiach stała Tammy, ocierając zaspane oczy.

- Przepraszam, usłyszałam samochód, a potem jakiś ruch w twoim pokoju. Chyba jesteśmy trochę nerwowi. Gdzie *padrei*

- Nie wiem. - Maureen starała się nie okazywać strachu. - To Peter odjechał tym samochodem. Nie wiem dlaczego i dokąd. Do diabła! Co to wszystko znaczy?

- Może zadzwonisz do niego na komórkę i sprawdzisz, czy odbierze.

- Peter nie ma komórki. Tammy spojrzała na nią zdziwiona.

- Oczywiście, że ma. Sama widziałam, jak dzwonił. Teraz Maureen była zaskoczona.

- Peter nienawidzi telefonów komórkowych. Nie lubi techniki, a komórek w szczególności. Nigdy by czegoś takiego nie nosił przy sobie, choć prosiłam go, żeby to robił ze względów bezpieczeństwa.

- Maureen, widziałam dwukrotnie, jak rozmawiał przez telefon komórkowy. Kiedy sobie teraz przypominam, za każdym razem siedział w samochodzie. Wolalabym tego nie mówić, ale wydaje mi się, że w Arques coś śmierdzi.

Maureen poczuła się tak, jakby zaraz miała zwymiotować. Zorientowała się po minie przyjaciółki, że obie myślą o tym samym.

- Chodźmy - rzuciła i ruszyła biegiem w stronę gabinetu Sinclaira.

Tammy trzymała się tuż za nią:

Przystanąły pod drzwiami. Były uchylone. Od kiedy w pokoju znajdowały się zwoje, zamykano go na cztery spusty, nawet jeśli ktoś przebywał w środku. Maureen przełknęła ślinę i zaciskając zęby, weszła do ciemnego wnętrza. Tammy zapaliła światło - ujrzały nagi blat stołu. Mahoniowa powierzchnia lśniła w blasku lamp. Nic na niej nie leżało.

- Zniknęły - wyszeptła Maureen.

Zaczęły przeszukiwać gabinet, ale nie znalazły śladu po zwojach Marii Magdaleny. Żółte karteczki z notatkami także zniknęły. Nie pozostał skrawek papieru, nie było nawet pióra. Jedyne dowody na istnienie dokumentów stanowiły gliniane dzbany stojące w kącie. Były puste. Właściwy skarb zniknął. Okazało się, że zabrał go ojciec Peter Healy, najbardziej zaufana osoba w życiu Maureen.

Na chwiejnych nogach podeszła do welwetowej sofy. Nie mogła wydobyć z siebie słowa, nie wiedziała, co mówić ani myśleć. Siedziała tylko, patrząc przed siebie.

- Posłuchaj, Maureen, muszę znaleźć Rolanda - powie działa Tammy. - Zostaniesz tutaj? Zaraz do ciebie przyjdziemy.

Maureen skinęła głową, zbyt otepiała, by odpowiedzieć. Siedziała w tej samej pozycji, gdy Tammy wróciła z Rolandem. Za nimi do pokoju wszedł Berenger Sinclair.

- *Mademoiselle* Paschal - zwrócił się do niej łagodnie Roland i przyklęknął obok sofy. - Przepraszam za ból, jaki sprawia pani ta noc.

Maureen popatrzyła na wielkiego Oksytańczyka, który nachylał się nad nią troskliwie. Później, gdy mogła już na spokojnie wspominać tę chwilę, myślała o tym, jak niezwykłym człowiekiem się okazał. Skradziono największy skarb jego narodu, a on niepokoił się przede wszystkim o nią. To

właśnie Roland, bardziej niż ktokolwiek ze znanych jej ludzi, nauczył ją najwięcej o prawdziwej duchowości. Pojęła, dlaczego mieszkańców tych ziem określa się mianem *Les bonnes hommes*. Dobrymi ludźmi.

- Och, widzę, że ojciec Healy wybrał swego pana - oznajmił Sinclair. - Podejrzewałem, że to zrobi. Przykro mi, Maureen.

Maureen nie kryła zdumienia.

- Spodziewał się pan tego?

-Tak, moja droga - odparł Sinclair. - Przypuszczam, że to wszystko musiało się tak potoczyć. Wiedzieliśmy, że twój kuzyn pracuje dla kogoś. Nie byliśmy tylko pewni dla kogo.

Maureen spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co pan chce przez *to* powiedzieć? Że Peter mnie zdradził? Że planował to cały czas?

- Nie mogę twierdzić, że znam motywów ojca Healy. Wiem jednak, że jakimiś się kierował. Przypuszczam, że przed końcem jutrzejszego dnia poznamy prawdę.

- Czy ktoś mi powie, o co tu chodzi? - odezwała się Tammy, a Maureen uświadomiła sobie, że i ona nie jest do końca zorientowana w sytuacji. Roland siedział spokojnie obok jej przyjaciółki, która spojrzała na niego oskarżycielsko i rzuciła ze złością pod adresem olbrzymia: - Jak widzę, zataiłeś przede mną mnóstwo rzeczy.

Roland wzruszył ramionami.

- Chodziło o twoje bezpieczeństwo, Tamaro. Wszyscy mamy sekrety, jak wiesz. Zachowanie tajemnicy było konieczne. Sądzę jednak, że już najwyższy czas ujawnić coś więcej o sobie. Poza tym *mademoiselle* Paschal zasługuje w pełni na to, by poznać całą prawdę. Udowodniła, że jest tego warta.

Maureen miała ochotę krzyknąć ze zdenerwowania. Musiało się to uwidocznic na jej twarzy, gdyż Roland ujął jej dłoń.

- Chodźmy, *mademoiselle*. Muszę pani coś pokazać. - Potem zwrócił się do Sinclaira i Tammy i zrobił coś, czego nigdy wcześniej Maureen nie widziała - wydał im polecenia: - Berenger, powiedz służącym, żeby podali kawę, a potem przyjdź do pokoju Wielkiego Mistrza. Tamaro, chodź z nami.

Przeszli krętymi korytarzami do skrzydła *chateau*, w którym Maureen nigdy nie była.

- Muszę prosić panią o odrobinę cierpliwości, *mademoiselle* Paschal - rzucił Roland przez ramię. - Powinienem w pierw wyjaśnić parę rzeczy, zanim odpowiem na najważniejsze pani pytania.

- W porządku - odparła Maureen.

Czuła się odrobinę nieswojo, kiedy podążała za Rolandem i Tammy; nie bardzo wiedziała, co jeszcze może powiedzieć. Wróciła myślą do tamtego dnia w południowej Kalifornii, kiedy spotkała się z przyjaciółką obok przystani. Była wtedy taka naiwna; wydawało jej się, że od tamtej pory upłynęło już całe życie. Tammy przyrównała ją do Alicji w Krainie Czarów. Jakże trafne wydawało się teraz to porównanie; Maureen miała wrażenie, że przeszła na drugą stronę lustra. Wszystko, co wiedziała o swoim życiu, zostało przewrócone do góry nogami.

Roland otworzył ogromne podwójne drzwi kluczem, który nosił na szyi. Kiedy weszli do pokoju i rozległ się przekliwy dźwięk, wyłączył alarm. W świetle automatycznych

lamp ukazała się ogromna i bogato zdobiona sala, piękny pokój, godny królów i królowych Francji. W swym przepychu przypominał sale tronowe Wersalu i Fountainbleu. Na podwyższeniu pośrodku sali stały dwa identyczne rzeźbione i pozłacane fotele, a na obu widniał wzór niebieskich jabłek.

- Oto serce naszej organizacji - wyjaśnił Roland. - Stowarzyszenie Niebieskich Jabłek. Każdy, kto do niego należy, wywodzi się z królewskiego rodu, zwłaszcza z linii Sary Tamar. Jesteśmy potomkami katarów i robimy, co w naszej mocy, by zachować ich tradycje w najczystszej formie.

Zaprowadził ich do portretu Marii Magdaleny, wiszącego za wielkimi fotelami. Był podobny do malowidła Geor-gesa de la Tour, które Maureen widziała w Los Angeles, z pewną zasadniczą różnicą.

- Pamiętacie noc, kiedy Berenger powiedział wam, że jednego z najważniejszych dzieł de la Toura nie ma w żadnym muzeum i że nie jest wystawiane na widok publiczny? Dlatego że znajduje się tutaj - wyjaśnił. - De la Tour należał do naszego stowarzyszenia i pozostawił nam swój obraz. Jest zatytułowany „Pokutująca Magdalena z krucyfiksem”.

Maureen patrzyła na ten portret z podziwem i uwielbieniem. Jak każdy z obrazów francuskiego artysty, był arcydziełem światła i cienia. Lecz w tym wypadku Maria Magdalena została uchwycona w innej pozycji niż na pozostałych malowidłach. Tutaj jej lewa dłoń spoczywała na czaszce Jana Chrzyciela - Maureen nie trzeba już było tego wyjaśniać - w prawej zaś trzymała krucyfix, spoglądając w twarz Chrystusa.

- Obraz był zbyt niebezpieczny, by można go było wystawiać na widok publiczny. Odniesienie jest czytelne dla tych, którzy umieją patrzeć: oto Maria dokonująca pokuty

za Jana, pierwszego męża, i spoglądająca z miłością na drugiego - Jezusa.

Następnie pokazał im drugi wielki obraz na innej ścianie. Przedstawiał dwóch starszych wiekiem świętych, którzy siedzieli pośród skalistego krajobrazu, zagłębieni w uduchowionej rozmowie.

- Tamara może opowiedzieć pani o tym obrazie - po wiedział Roland, uśmiechając się do Tammy, która stanęła obok niego.

Maureen spojrzała na nią.

- Namalował go flamandzki mistrz David Teniers młodszy - powiedziała Tammy. - Jest zatytułowany „Święty Antoni Pustelnik i święty Paweł na pustyni”. Nie chodzi o świętego Pawła z Nowego Testamentu, tylko o lokalnego świętego, który także był pustelnikiem. Berenger Sauniere, osławiony proboszcz z Rennes-le-Chateau, nabył ten obraz dla Stowarzyszenia. Tak, był jednym z nas.

Maureen przyjrzała się uważnie obrazowi i zaczęła dostrzegać elementy, które już stały się dla niej zrozumiałe. Wskazała je.

- Widzę krucyfiks i czaszkę.

- Zgadza się - przytaknęła Tammy. - Tu jest Antoni. Nosi na rękawie symbol wyglądający jak litera T, ale w rzeczywistości to grecka wersja krzyża, nazywana Tau. Wśród naszych ludzi spopularyzował go święty Franciszek z Asyżu. Antoni podnosi wzrok znad książki, którą jest *Księga Miłości*, i patrzy na krucyfiks. A teraz spójrzcie na Pawła, wykonuje dłonią gest „Pamiętaj o Janie” i dyskutuje ze swym przyjacielem o tym, kto był pierwszym mesjaszem, Jan czy Jezus. U ich stóp leżą rozrzucone księgi i zwoje, co wskazuje na mnogość dzieł, które należy wziąć w tym wypadku pod uwagę. To bardzo ważne malowidło. Prawdę

mówiąc, są to bez wątpienia dwa najbardziej znaczące obrazy w naszej tradycji. Ta wioska na wzgórzu przedstawia Rennes-le-Chateau, a w głębi krajobrazu - spójrzcie, któż to taki?

Maureen uśmiechnęła się.

- To pasterka i jej owce.

- Oczywiście. Antoni i Paweł dyskutują, ale w dali mający postać pasterki, by przypominać, że Oczekiwana pewnego dnia znajdzie Ewangelię Marii Magdaleny i, ujawniając prawdę, położy kres wszelkim sporom.

Do pokoju wszedł cicho Berenger Sinclair.

- Chciałem pani pokazać te obrazy, *mademoiselle* Paschal, by wiedziała pani, że moi rodacy nie żywią żadnej urazy do wyznawców Jana i nigdy nie żywili - powiedział Roland. - Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami, dziećmi Marii Magdaleny, i chcielibyśmy żyć w pokoju.

Do rozmowy włączył się Sinclair.

- Niestety, niektórzy z wyznawców Jana to fanatycy, za wsze tak było. Stanowią mniejszość, ale bardzo niebezpieczną. Tak samo dzieje się na całym świecie, wszędzie tam, gdzie jakakolwiek grupa fanatyków góruje nad pokojowo nastawionymi ludźmi, których łączy jedna wiara. Zagrożenie ze strony naszych przeciwników jest jak najbardziej realne, o czym może zaświadczyć Roland.

Twarz Rolanda sposepniała.

- To prawda. Zawsze starałem się żyć zgodnie z przekonaniami swego ludu. Kochać, wybaczać, okazywać współczucie wszystkim istotom. Mój ojciec wierzył w to samo i dlatego go zabili.

Maureen wyczuwała głęboki smutek Oksytańczyka wywołany stratą ojca, ale także wyzwaniem, jakim dla jego przekonań było to morderstwo. ■*

-Ale dlaczego? - spytała. - Dlaczego zabili pańskiego ojca?

- Moja rodzina żyje w tej okolicy od zamierzchłych czasów - wyjaśnił Roland. - Tutaj słyszała pani tylko moje imię, Roland. Ale noszę rodowe nazwisko Gelis.

- Gelis? - Maureen wydało się ono znajome. Spojrzała na Sinclaira, przypominając sobie. - List mojego ojca był zaadresowany do *monsieur* Gelisa.

- Tak, mój dziadek go dostał, kiedy był Wielkim Mistrzem Stowarzyszenia — odparł Roland.

Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. Maureen popatrzyła na Rolanda, potem znów na Sinclaira. Szkot odpowiedział na pytanie, którego nie zadała:

- Tak, moja droga, obecny tu Roland Gelis to nasz Wielki Mistrz, choć jest zbyt skromny, by powiedzieć to pani osobiście. Jest oficjalnym przywódcą naszego ludu, tak jak wcześniej jego ojciec i dziadek. Nie służy mnie ani ja jemu - służymy obaj jako bracia, gdyż takie jest prawo Drogi.

- Sinclairowie i Gelisowie ślubowali służyć Magdalenie od czasów, których sięgają początki naszych rodów - dodał Roland.

- Pamiętasz, Maureen, jak byłyśmy na wieży Magdali w Rennes-le-Chateau, a ja ci opowiedziałam o starym księdzu, który został zamordowany pod koniec dziewiętnastego wieku? - wtrąciła się Tammy. - Nazywał się Antoine Gelis - był stryjecznym prapradziadkiem Rolanda.

Maureen spojrzała pytająco na Rolanda.

- Skąd ta przemoc wobec pańskiej rodziny?

-Wiedzieliśmy zbyt dużo. Mój stryjeczny prapradziadek przechowywał pewien dokument zwany *Księgą Oczekiwanej*, w której stowarzyszenie zapisywało objawienia wszystkich Pasterek od ponad tysiąca lat. Było to nasze

najskuteczniejsze narzędzie w poszukiwaniach skarbu Magdaleny. Gildia Sprawiedliwych zamordowała go z tego powodu. Dlatego też zabili mojego ojca. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale ich informatorem był Jean Claude. Przyszli mi w koszu głowę ojca i wskazujący palec jego prawej dłoni. Maureen wzdrygnęła się, słysząc coś tak makabrycznego.

- Czy ten rozlew krwi skończy się teraz? Zwoje zostały znalezione. Co według was teraz zrobią?

- Trudno powiedzieć - odparł Roland. - Mają nowego lidera, który stosuje skrajne metody. To on zamordował mojego ojca.

- Rozmawiałem dziś z lokalnymi władzami, tymi, które okazują życzliwość wobec naszych przekonań, że się tak wyrażę - wtrącił Sinclair. - Nie mówiliśmy o tym jeszcze, ale czy pamięta pani spotkanie z Derekiem Wainwrightem, tym Amerykaninem?

- Przebrany za Thomasa Jeffersona - przypomniała Tammy. - Był moim starym przyjacielem.

Potrząsnęła ze smutkiem głową, wspominając oszustwo, któremu Derek ulegał przez lata - i jego los.

- Derek zniknął w dość makabrycznych okolicznościach. Jego pokój hotelowy... - Sinclair dostrzegł bladłość na twarzy Maureen i postanowił oszczędzić jej przykrych szczegółów. - Powiedzmy tylko, że wszystko wskazywało na przestępstwo. Władze przypuszczają, że w związku z okolicznościami towarzyszącymi zniknięciu Amerykanina - jesteśmy niemal pewni, że go zamordowano - Gildia Sprawiedliwych będzie musiała przyczaić się na jakiś czas. Jean Claude ukrywa się gdzieś w Paryżu, a ich przywódca, który jest Anglikiem, powrócił do kraju, jak podejrzewamy. Przy najmniej chwilowo. Nie wydaje mi się, by mógł niepokoić nas w najbliższej przyszłości. W każdym razie mam nadzieję.

Maureen spojrziała na Tammy.

- Twoja kolej - powiedziała. - Ty też mi nie powiedziasz wszystkiego. Długo trwało, nim się zorientowałam, ale teraz chcę usłyszeć resztę. Jestem też ciekawa, co was łączy - dodała, wskazując na przyjaciółkę i Rolanda, którzy stali obok siebie.

Tammy wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- No cóż, wiesz, jak uwielbiamy tu ukrywać wszystko, ale tak, by wtajemniczeni mogli się zorientować - powiedziała. - Jak mam na imię?

Maureen zmarszczyła czoło. Czyżby coś przeoczyła?

- Tammy. - Nagle doznała olśnienia. - Tamara. Tamar-a. Mój Boże, ale ze mnie idiotka.

- Nie, skąd - zapewniła ją ze śmiechem przyjaciółka. - Ale odziedziczyłam imię po córce Magdaleny. I mam siostrę Sarę.

- Przecież mówiłaś mi, że urodziłaś się w Hollywood! A może to też było kłamstwo?

- Nie, to nie było kłamstwo. Poza tym to takie nieładne słowo. Powiedzmy, że chodzi o zrodzoną z konieczności nieprawdę. Owszem, urodziłam się i dorastałam w Kalifornii. Dziadkowie ze strony matki byli Oksytańczykami głęboko zaangażowanymi w działalność stowarzyszenia. Lecz moja matka, która urodziła się w Langwedocji, pojechała do Los Angeles, by projektować kostiumy do filmów; umożliwiła jej to przyjaźń z francuskim artystą i reżyserem, Jeanem Cocteau - kolejnym członkiem naszej organizacji. Poznała tam mojego amerykańskiego ojca i już została. Jej matka zamieszkała z nami, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Nie muszę ci mówić, że moja babcia miała na mnie wielki wpływ.

Roland odwrócił się i wskazał dwa stojące obok siebie fotele.

- Wedle naszej tradycji mężczyźni i kobiety są sobie równi, tak jak nauczał tego Jezus Chrystus na własnym przykładzie. Na czele stowarzyszenia stoi Wielki Mistrz, ale także Wielka Maria. Wybrałem Tamarę na swoją Marię, by zasiała u mego boku. Teraz muszę namówić ją, by przeniosła się do Francji i stała się w jeszcze większym stopniu częścią mojego życia.

Roland objął Tammy, a ona się do niego przytuliła.

- Zastanawiam się nad tym - oznajmiła z fałszywą skromnością.

Przerwało im wejście dwóch służących, którzy wnieśli do pokoju srebrne tace z kawą. Roland skinął na przyjaciół i ruszył w stronę stolika w głębi sali. Usiedli we czwórkę, a Tammy nalala każdemu mocnej czarnej kawy. Roland popatrzył na siedzącego naprzeciwko Sinclaira i dał mu znak skinieniem głowy.

- Maureen, chcemy pani powiedzieć, co wiemy o ojcu Healy i Ewangelii Magdaleny, ale mamy wrażenie, że potrzebuje pani pewnych wyjaśnień, by zrozumieć obecną sytuację.

Maureen sęczyła kawę, rozkoszując się jej ciepłem i mocą. Słuchała uważnie słów Sinclaira.

- Jeśli mam być szczery, to pozwoliliśmy pani kuzynowi wziąć ze sobą zwoje.

Maureen omal nie upuściła filiżanki.

- Pozwoliliście?

- Tak. Roland celowo zostawił gabinet otwarty. Podejrzewaliśmy, że ojciec Healy zechce zabrać skarb i dostarczyć tym, dla których pracuje, kimkolwiek oni są.

- Czekajcie chwilę. Pracuje? Co pan przez to rozumie? Że Peter to jakiś szpieg Kościoła?

- Niezupełnie - zastrzegł Sinclair.

Maureen zauważyła, że Tammy przysłuchuje się z wielką uwagą - ona także nie o wszystkim wiedziała.

- Nie jesteśmy pewni, w którym imieniu działa, dlatego właśnie pozwoliliśmy mu zabrać zwoje - i dlatego nie boimy się o nie. Jak na razie. W pani samochodzie zainstalowano nadajnik. Wiemy dokładnie, gdzie Peter się akurat znajduje i dokąd jedzie.

- To znaczy? - spytała Tammy. - Do Rzymu?

- Przypuszczamy, że do Paryża - powiedział Roland.

- Maureen. - Sinclair położył jej delikatnie dłoń na ramieniu. - Przykro mi to mówić, ale ojciec Healy przekazywał informacje o pani krokach przedstawicielom Kościoła od dnia, w którym zjawiliście się we Francji, a najprawdopodobniej jeszcze dłużej.

Maureen cofnęła się gwałtownie; czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- To niemożliwe. Peter nie zrobiłby mi tego.

- Przez ostatni tydzień, kiedy pracował na naszych oczach nad Ewangelią, mieliśmy okazję bliżej go poznać; było nam coraz trudniej dostrzec szpiega w pani uroczym i wykształconym kuzynie. Początkowo sądziliśmy, że chce jedynie ochraniać panią przed nami. Ale przypuszczam, że był zbyt związany z ludźmi, którzy go zatrudniają, by się od nich uwolnić, nawet po zapoznaniu się z treścią zwojów.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy uważa pan, że Peter pracuje dla Watykanu? Dla jezuitów? Dla kogo?

Sinclair wyprostował się na krześle.

-Wciąż tego nie wiem, ale mogę powiedzieć jedno. Mamy swoich ludzi w Rzymie, którzy badają tę sprawę na bieżąco. Byłaby pani zdziwiona, wiedząc, jak wysoko sięgają nasze wpływy. Jestem pewien, że poznamy wszystkie

odpowiedzi przed jutrzejszym wieczorem, najpóźniej pojutrze. Teraz pozostaje nam cierpliwie czekać.

Maureen napiła się jeszcze kawy, patrząc wprost przed siebie, na portret pokutującej Marii Magdaleny. Pomyślała, że upłyną prawie dwadzieścia cztery godziny, nim się wszystkiego dowie.

Paryż

3 lipca 2005

Ojciec Peter Healy był śmiertelnie zmęczony, kiedy dotarł do Paryża. Miał za sobą wyczerpującą podróż z Langwedocji. Nawet pomijając poranne korki w mieście, siedział za kierownicą osiem godzin. Musiał się także zatrzymać, by przygotować paczkę dla Maureen, co trwało dłużej, niż przypuszczał. Najwięcej jednak kosztował go wysiłek związany z dokonaniem tego wyboru i teraz czuł się tak, jakby uszło z niego całe życie.

Peter trzymał swój cenny ładunek w czarnej skórzanej torbie podróżnej. Przejechał na drugą stronę rzeki, zmierzając ku Notre Dame, gdzie przy bocznym wejściu czekał na niego ojciec Marcel. Francuz wprowadził Petera do środka i ruszył z nim ku tylnej części kościoła. Po chwili weszli do komnaty, której drzwi kryły się za ozdobną balustradą oddzielającą prezbiterium od nawy głównej.

Peter oczekiwał, że zobaczy swego mocodawcę, biskupa Magnusa O'Connora. Ujrzał jednak innego przedstawiciela Kościoła, imponującego Włocha w czerwonych szatach kardynała.

- Wasza Eminencjo - wysapał zdumiony. - Proszę mi wybaczyć, nie spodziewałem się..

- Tak, rozumiem, że oczekiwał ksiądz biskupa Magnusa. Nie przyjdzie. Sądzę, że zrobił już wystarczająco dużo. - Włoski duchowny, zachowując kamienny wyraz twarzy, wyciągnął dłoń po torbę, którą trzymał Peter. - Ma ksiądz te zwoje, jak mniemam.

Peter skinął głową.

- Dobrze. A teraz, mój synu... - oświadczył kardynał, biorąc od Petera torbę - porozmawiajmy o wydarzeniach kilku ostatnich tygodni. A może powinniśmy pomówić o wydarzeniach kilku ostatnich lat? Sam zdecyduj, od czego zacząć.

Cbdeau des Pommes Blues

3 lipca 2005

Przez cały dzień w *chateau* panowało ożywienie. Sinclair i Roland uwijali się jak w ukropie; rozmawiali ze sobą po francusku i oksytańsku, wydawali polecenia służbie i kontaktowali się z różnymi osobami telefonicznie. W dwóch przypadkach Maureen miała wrażenie, że Roland mówi po włosku, ale nie była pewna, nie chciała go zresztą o to pytać.

Towarzyszyła przez chwilę Tammy w pokoju studyjnym, przeglądając materiały do filmu dokumentalnego o rodzie Marii Magdaleny. Dyskutowały o tym, czy treść zwojów zmieni podejście Tammy jako dokumentalistki. Maureen nabrała jeszcze większego szacunku dla przyjaciółki, która okazała się niezwykle kompetentna i twórcza; potrafiła skupić się na pracy pomimo zmęczenia i stresu, który w tej chwili udzielał się wszystkim.

Maureen natomiast czuła się całkowicie beużyteczna. Nie mogła skoncentrować się na niczym, na żadnym celu. Czuła, że powinna teraz sporządzać gorączkowo notatki,

utrwalając z pamięci jak najwięcej materiału pozostawionego przez Marię Magdalенę. Nie mogła się jednak do tego zmusić, przybita osobistą zdradą Petera. Bez względu na kierujące nim motywy, odjechał bez słowa i zabrał ze sobą coś, co do niego nie należało. Maureen wiedziała, że długo się po tym nie otrząśnie.

Kolacja tego wieczoru była cichą uroczystością z udziałem jedynie ich trojga - Maureen, Tammy i Sinclaira. Roland gdzieś zniknął, ale Sinclair i Tammy twierdzili, że ma niebawem wrócić. Pojechał odebrać kogoś z prywatnego lotniska w Carcassonne, jak wyjaśniła Tammy, dodając, że, gdy ów tajemniczy gość się pojawi, dowiedzą się czegoś więcej. Maureen tylko kiwnęła głową. Już dawno się nauczyła, że w tym domu nie ma sensu się o cokolwiek dopytywać. Sekrety ujawniały się w swoim czasie; był to nieodłączny element kultury w Arques. Zauważyła jednak, że Sinclair wydaje się bardziej spięty niż zwykle.

Gdy tylko poszli do gabinetu na kawę, zjawił się służący i powiedział coś do Sinclaira po francusku.

- Doskonale. Nasz gość właśnie przyjechał - wyjaśnił Sinclair.

W drzwiach stanął Roland w towarzystwie równie imponującego mężczyzny, który miał na sobie ciemne ubranie z doskonałego włoskiego materiału, skromne i jednocześnie eleganckie. Człowiek ten roztaczał wokół siebie aurę arystokraty. Nikt nie wątpił, że władza i szerokie wpływy są dla niego chlebem powszednim. Od chwili, gdy tylko wszedł do gabinetu, wyczuwało się energię i siłę, jakimi emanowała jego postać.

- *Mademoiselle* Paschal, *mademoiselle* Wisdom, mam za szczyt przedstawić paniom mego szanownego przyjaciela, kardynała DeCaro - oznajmił Roland.

DeCaro wyciągnął rękę najpierw do Maureen, potem do Tammy, uśmiechając się ciepło do obu kobiet.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność. - Wskazał Maureen i spytał Rolanda: -To nasza Oczekiwana?

Roland przytaknął.

- Przepraszam, Roland powiedział: „kardynał”? - spytała Maureen.

- Niech pani nie zmyli ubranie — odezwał się za jej plecami Sinclair. - Kardynał DeCaro jest człowiekiem o ogromnych wpływach w Watykanie. Być może więcej powie jego pełne nazwisko. Oto Tomas Francesco Borgia DeCaro.

- Borgia?! - wykrzyknęła Tammy.

Kardynał skinął głową, a Roland mrugnął do niej.

- Jego Ekscelencja chciałby spędzić trochę czasu z *mademoiselle* na osobności, więc zostawimy ich teraz samych - oznajmił Roland. - Proszę zadzwonić, jeśli cokolwiek będzie potrzebne.

Potem otworzył drzwi, przepuszczając Sinclaira i Tammy, podczas gdy kardynał DeCaro wskazał Maureen miejsce przy mahoniowym stole, sam zaś usiadł naprzeciwko.

- *Signorina* Paschal, pragnę najpierw oświadczyć, że spotkałem się z pani kuzynem.

Maureen nie kryła zaskoczenia. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego.

- Gdzie jest Peter?

- W drodze do Rzymu. Dziś rano spotkałem się z nim w Paryżu. Czuje się dobrze, a dokumenty, które pani odkryła, znajdują się w bezpiecznym miejscu.

-W jakim miejscu? Pod czyją pieczęcią? Co...

- Cierpliwości, wszystko pani opowiem. Ale najpierw chciałbym pani coś pokazać.

Kardynał sięgnął do aktówki, którą przyniósł ze sobą, i wyjął z niej kilka czerwonych plastikowych teczek. Na wszystkich widniał napis „Edouard Paul Paschal”.

Maureen westchnęła z wrażenia, widząc te słowa.

-To nazwisko mojego ojca.

-Tak. I w tych teczkach znajdzie pani zdjęcia, na których widnieje. Ale muszę panią o czymś uprzedzić. To, co pani zobaczy, jest drastyczne, ale konieczne do zrozumienia pewnych rzeczy.

Maureen otworzyła pierwszą z wierzchu teczkę i po chwili wypuściła ją z drżących dłoni. Gdy przeglądała powoli zdjęcia, na których uwieczniono ciało jej ojca, kardynał DeCaro wyjaśniał:

- Był stygmatykiem. Wie pani, co to znaczy. Na jego ciele wystąpiły rany Chrystusa. Na nadgarstkach, stopach i pod żebrami, gdzie centurion Longinus przebił naszego Pana włócznią.

Maureen wpatrywała się oniemiała w fotografię. Dwa-dzieścia pięć lat domniemań i przypuszczeń na temat „choroby” ojca wypaczyło jej opinię o nim. Teraz wszystko stało się jasne - strach i wrogość jej matki, gniew wobec Kościoła. Tłumaczyło to także list ojca do rodziny Gelis, znajdujący się w archiwum *chdteau*. Napisał go z powodu stygmatów - i dlatego, że pragnął uchronić swe dziecko przed tym straszliwym losem. Maureen spojrzała przez łyżę na kardynała.

- Zawsze... zawsze mi mówiono, że odebrał sobie życie, bo był chory psychicznie. Moja matka twierdziła, że był obłąkany, kiedy umierał. Nie miałam pojęcia, nikt mi nigdy o tym nie mówił...

- Obawiam się, że bardzo wielu ludzi nie rozumiało pani ojca - oświadczył z powagą duchowny. - Nawet ci, którzy

powinni mu pomóc, jego własny Kościół. W tym miejscu należy wspomnieć o pani kuzynie.

Maureen podniosła wzrok znad fotografii, słuchając z napięciem. Czuła na plecach dreszcz, który pełzał aż do stóp.

- Pani kuzyn to dobry człowiek, *signorina*. Myślę, że nie będzie go pani obwiniać za to, co się stało, gdy wyjaśnię wszystko do końca. Musimy jednak zacząć od pani dzieciństwa. Kiedy na ciele Edouarda Paschala pojawiły się stygmaty, zwrócił się o pomoc do miejscowego księdza, który należał do separatystycznej organizacji wewnątrz Kościoła. Jesteśmy, jak wszyscy, tylko ludźmi. I choć większość stara się kroczyć ścieżką dobroci, są tacy, którzy będą za wszelką cenę chronić pewnych wierzeń i przekonań. Przypadek pani ojca powinien zostać zgłoszony bezpośrednio do Rzymu, ale tak się nie stało. Zapewniam, że byśmy mu pomogli, współpracowali z nim, by znaleźć przyczynę jego ran czy ich święte znaczenie. Lecz ludzie, do których trafił, orzekli samowolnie, że jest niebezpieczny. Jak już mówiłem, byli odszczepieńcami w łonie Kościoła. Mieli na względzie swój własny cel, ale cieszyli się wpływami sięgającymi bardzo wysoko, o czym dowiedziałem się dopiero niedawno.

Kardynał wyjaśniał funkcjonowanie rozległej struktury kościelnej, której centrum stanowi Watykan, i mówił o dziesiątkach tysięcy ludzi, pracujących na całym świecie nad zachowaniem wiary. Przy tak ogromnej liczbie duchownych działających na całej kuli ziemskiej jest rzeczą niemożliwą przejrzeć osobiste motywy jednostek czy nawet większych grup. Po drugim soborze watykańskim powstało wiele tajnych organizacji, zrzeszeń księży, którzy gwałtownie sprzeciwiali się reformom kościelnym. Jedną z takich organizacji przyciągnęła młodego kapłana irlandzkiego

Magnusa O'Connora, jak i pewną liczbę jego równie młodych rodaków. CConnor pracował w parafii pod Nowym Orleanem, gdy Edouard Paschal skontaktował się z Kościołem, prosząc o pomoc.

CConnor był przerażony stygmatami Paschala, ale w jeszcze większym stopniu jego wizjami, w których ukazywał mu się Jezus z kobietą u boku - jako ojciec z żoną i dziećmi. Irlandzki kapłan przedstawił ten przypadek swej tajnej organizacji, nie zaś oficjalnym czynnikom kościelnym. Kiedy Edouard Paschal odebrał sobie życie, zrozpaczony po tym, jak na jego ciele pojawiły się stygmata, owa tajna organizacja w łonie Kościoła zajęła się obserwacją jego żony i córki. Mała Maureen Paschal miała od najmłodszych lat objawienia podobne do ojcowskich. CConnor przekonał matkę, Bernadettę, by odseparowała dziecko od rodziny Paschal. To właśnie wtedy matka Maureen przeniosła się z powrotem do Irlandii i wróciła do panińskiego nazwiska Healy. Starła się także zmienić nazwisko córki, ale ośmioletnia Maureen odznaczała się już niezwykle silną wolą. Dziewczynka odmawiała, twierdząc z uporem, że nazywa się Paschal i że pod żadnym pozorem nie zmieni nazwiska.

Fakt, że mała Paschal miała bliskiego krewnego, który czuł powołanie, był niezwykle korzystny dla Magnusa CConnora, wówczas już wyniesionego do godności biskupa. Kiedy Peter Healy wstąpił do seminarium, CConnor nakłonił irlandzką filię swej organizacji, by wpłynęła na Petera w taki sam sposób, w jaki zrobiono to z Bernadettę. Zapoznano go z historią Edouarda Paschala i poproszono, by bacznie obserwował swą kuzynkę i składał regularne sprawozdania dotyczące jej rozwoju.

- Wasza Eminencja chce powiedzieć, że mój kuzyn obserwował mnie i przekazywał informacje na temat mojego

postępowania od czasu, jak byłam dzieckiem? - przerwała kardynałowi Maureen.

- Tak, *signorina*, to prawda. Jednakże ojciec Healy czynił to tylko i wyłącznie z miłości. Ci ludzie nim manipulowali, wmawiając mu, że to wszystko po to, by panią chronić. Nie wiedział, że odmówili pomocy pani ojcu, albo, co gorsza, że to oni być może ponosili winę za jego śmierć. - Kardynał popatrzył na nią ze współczuciem. - Wierzę, że motywy, jakimi kierował się pani kuzyn, były czyste i godne pochwały, tak jak wierzę, że postanowił przekazać Kościołowi zwoje Marii Magdaleny ze słusznych powodów.

- Ale jak to możliwe? Wie przecież, co zawierają. Dlaczego chce ukryć prawdę?

- Łatwo go niewłaściwie ocenić, w oparciu o ograniczoną wiedzę, jaką pani dysponuje. Nie sądzę jednak, by ojciec Healy pragnął cokolwiek zataić. Mamy powody podejrzewać, że biskup O'Connor i jego organizacja wywierali na niego nacisk, grożąc pani. Proszę zrozumieć, że działania tych ludzi nie mają nic wspólnego z oficjalnymi działaniami Kościoła i nie są sankcjonowane przez Rzym. Pani kuzyn pragnął przekazać zwoje CConnorowi w zamian za pani bezpieczeństwo.

Maureen czekała, by wszystko to dotarło do jej świadomości, nie bardzo wiedząc, co myśleć. Na pewno odczuwała ulgę, że Peter, jej jedyny prawdziwy i zaufany sprzymierzeniec, nie zdradził jej.

- I jak zdołaliście to wszystko odkryć? - spytała.

- O'Connor uległ swojej ambicji. Miał nadzieję, że wykorzysta odkrycie Ewangelii Marii dla własnego awansu w oficjalnych strukturach Kościoła. Dzięki temu zdobyłby więcej władzy i uzyskał dostęp do informacji z najwyższego szczebla, potrzebnych jego tajnej organizacji i jej celom. -

Na twarzy kardynała pojawił się uśmiech, w którym można było dostrzec cień zadowolenia. - Proszę się jednak nie martwić. Pracujemy nad tym, by ponownie odzyskać CConnora i jego organizację, skoro już zidentyfikowaliśmy wszystkich jej członków. Dysponujemy najlepszą na świecie służbą dyplomatyczną.

Nie zaskoczyło to Maureen, która zawsze uważała, że Kościół katolicki jest wszechwładną strukturą, sięgającą do najdalszych zakątków Ziemi. Wiedziała, że jest też najbogatszą na tej planecie organizacją i że dysponuje najlepszymi źródłami informacji.

- Co się stanie ze zwojami Marii? - spytała, przygotowując się na nieprzyjemną odpowiedź.

-Jeśli mam być całkowicie szczery, trudno mi powiedzieć. Jestem pewien, że rozumie pani, że jest to najważniejsze odkrycie naszych czasów, jeśli nie najważniejsze w całej historii Kościoła. To sprawa, którą należy przedyskutować na najwyższych szczeblach, gdy autentyczność tych dokumentów zostanie potwierdzona.

- Peter powiedział Waszej Eminencji, co się w nich znajduje?

Kardynał skinął głową.

-Tak, czytałem niektóre z jego notatek. Może to panią zdziwić, *signorina* Paschale, ale nie siedzimy przez cały dzień na srebrnych tronach w Watykanie, bezustannie spisując.

Śmiali się oboje przez chwilę, potem Maureen spytała:

- Czy Kościół zechce mnie powstrzymać, jeśli napiszę o swoich tutejszych doświadczeniach i, co ważniejsze, jeśli napiszę o tym, co kryją zwoje?

- Może pani robić, cokolwiek pani postanowi, i iść tam, gdzie skieruje panią serce i sumienie. Jeśli ujawnienie

słów Marii Magdaleny jest wolą Boga, nikomu nie wolno powstrzymać pani przed spełnieniem tego świętego obowiązku. Kościół nie ma zamiaru zatajać pewnych informacji, wbrew temu, co wielu sądzi. Może było to prawdą w średniowieczu, ale nie obecnie. Kościół jest zainteresowany przetrwaniem i krzewieniem wiary - osobiście zaś uważam, że odkrycie Ewangelii Marii Magdaleny może być dla nas nową szansą przyciągnięcia młodych ludzi. Ale - uniósł dłoń - ja to ja. Nie mogę wypowiadać się w imieniu innych ani w imieniu Ojca Świętego. Czas pokaże.

- A na razie?

- Na razie Ewangelia Marii Magdaleny, znaleziona w Arques, trafi do biblioteki watykańskiej, gdzie pozostanie pod baczny okiem pewnego kapłana, ojca Petera Healy.

- Peter ma pozostać w Rzymie?

- Tak, *signorina* Paschale. Będzie przewodniczył zespołowi tłumaczy. To wielki zaszczyt, ale w pełni nań zasłużył. I proszę nie sądzić, że zapomnieliśmy o pani udziale - powiedział, wręczając jej swoją wizytówkę. - To mój bezpośredni numer do Watykanu. Kiedy będzie pani gotowa, chętnie panią zaprosimy jako naszego gościa. Chciałbym usłyszeć coś więcej o podróży, która przywiodła panią do tego miejsca. Aha, jeszcze jedno, pod tym numerem może się pani skontaktować także ze swoim kuzynem. Będzie podlegał mnie bezpośrednio.

Maureen spojrzała na nazwisko widniejące na wizytówce. - Tomas Francesco Borgia DeCaro - przeczytała głośno. - Jeśli mogę spytać... Kardynał roześmiał się.

- Tak, *signorina*, jestem synem rodu, tak jak pani jest jego córką. Byłaby pani zdziwiona, wiedząc, ilu nas jest - i gdzie można nas znaleźć, jeśli tylko się wie, gdzie patrzeć.

- Księżyc jest w pełni, a noc przepiękna. Czy zrobi mi pani ten zaszczyt i zechce wybrać się ze mną na spacer po ogrodzie przed udaniem się na spoczynek? - zwrócił się Berenger Sinclair do Maureen, gdy kardynał odjechał.

Maureen zgodziła się.

Czuła się teraz swobodnie w jego towarzystwie, pełna głębokiego zadowolenia, które wynika ze wspólnych przeżyć niezwyklej natury.

Poza tym w południowo-zachodniej Francji niewiele mogło się równać z urodą letniej nocy. W blasku iluminacji oświetlającej majestatyczne *ch&teau* i promieniach księżyca, które odbijały się od marmurowych ścieżek, Ogrody Trójcy przemieniły się w miejsce czystej magii.

Maureen powtórzyła mu treść swej rozmowy z kardynałem, a Sinclair słuchał jej ze szczerym zainteresowaniem i uwagą. Kiedy skończyła, spytał:

- Co teraz pani robi? Napisze książkę o swych przeżyciach? Jak zamierza pani ujawnić światu słowa Ewangelii Marii Magdaleny?

Maureen obchodziła powoli fontannę, przesuwając w zamysłeniu palcem po chłodnym i gładkim marmurze.

-Nie zdecydowałam jeszcze, jaką formę to przybierze. - Spojrzała na posąg. - Mam nadzieję, że ona udzieli mi jakichś wskazówek. Cokolwiek to będzie, mogę się tylko modlić, bym oddała jej sprawiedliwość.

Sinclair uśmiechnął się.

- Nie wątpię w to. Przecież Maria Magdalena wybrała panią.

Maureen zrewanżowała mu się ciepłym uśmiechem.

- Pana też wybrała.

- Myślę, że wszyscy zostaliśmy wybrani, by odegrać przypisane sobie role. Pani, ja, z pewnością Roland i Tammy. I oczywiście ojciec Healy.

- A więc nie pogardza pan nim za to, co zrobił?

- Nie, w żadnym wypadku - odparł Sinclair. - Nawet jeśli Peter postąpił niewłaściwie, uczynił to w dobrej wierze. Poza tym byłbym hipokrytą, gdybym odczuwał nienawiść do kogoś po odkryciu takiego skarbu. Przesłanie Magdaleny to konieczność współczucia i wybaczenia. Gdyby wszyscy ludzie odznaczyli się tymi dwiema cnotami, nasza planeta byłaby znacznie miłszym miejscem, nie sądzi pani?

Maureen popatrzyła na niego z podziwem i czymś jeszcze - z drgnieniem uczucia, dotąd jej nieznanym. Po raz pierwszy w swym burzliwym życiu czuła się bezpieczna.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować, lordzie Sinclair.

- Za co dziękować, Maureen? - spytał, wymawiając z silnym szkockim akcentem jej imię.

- Za to. - Wskazała cudowne otoczenie. - Za to, że wprowadził mnie pan do świata, o którym większość ludzi nie może nawet marzyć. Za to, że pokazał mi pan moje w nim miejsce. Za to, że poczułam, że nie jestem sama.

- Nigdy więcej nie będziesz sama. - Sinclair wziął ją za rękę i poprowadził w głąb różanej bujności ogrodu. - Ale musisz skończyć z tym „lordem Sinclairem”.

Maureen uśmiechnęła się i po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu - „Berry”, a chwilę później go pocałowała.

Nazajutrz rano otrzymała przesyłkę. Została nadana poprzedniego dnia w Paryżu. Nie było na niej adresu

zwrotnego, ale Maureen doskonale wiedziała, kto jest nadawcą. Wszędzie rozpoznałaby pismo Petera.

Maureen rozerwała opakowanie, ciekawa, co Peter jej przysłał. Nie gniewała się na niego za to, co zrobił, ale on przecież o tym nie wiedział. Zdawała sobie sprawę, że czeka ich trudny okres wzajemnych przeprosin i tłumaczeń, i że będzie to wymagało poważnej dyskusji na temat ich wspólnej historii, ale nie miała wątpliwości, że przejdą przez to razem, tak jak zawsze.

Kiedy ujrzała zawartość paczki, wydała cichy okrzyk zdumienia i radości. W środku znajdowały się fotokopie notatek Petera, dotyczących wszystkich trzech Ewangelii Marii Magdaleny. Była tu całość materiału, od pierwszych transkrypcji do ostatnich fragmentów przekładu. Na samym wierzchu leżała żółta karteczka, na której Peter napisał:

Moja droga Maureen, nim wyjaśnię Ci wszystko osobiście, powierzam Twej opiece niniejszą przesyłkę. Ostatecznie jesteś jej prawowitą opiekunką, na co zasłużyłaś o wiele bardziej niż ludzie, którym zmuszony jestem oddać oryginały.

Proszę, przekaż moje przeprosiny i podziękowania pozostałym. Mam nadzieję, że wkrótce uczynię to osobiście.

Skontaktuję się z Tobą niebawem.

Pete

...Dopiero wiele lat później miałam okazję podziękować Klaudii Proculi osobiście za to, że narażała się w sprawie Ezy. Tragedią Poncjusza Piłata zaś było to,

że jego decyzja, by obrać sobie Rzym za pana, nie ocaliła jego kariery ani nie przysłużyła się jego ambicjom. Herod rzeczywiście udał się do Rzymu nazajutrz po śmierci Ezy, ale nie mówił cesarzowi pochlebnie o Pilacie. Pozostając do końca prawdziwym Herodem, miał własny cel, a mianowicie pragnął ujrzyć swego kuzyna na stanowisku prokuratora. Sączył truciznę w uszy Tyberiusza, Pilat zaś został odwołany do Rzymu, by stanąć przed sądem za swe uczynki jako namiestnik Judei.

Jego własne słowa zostały wykorzystane przeciwko niemu podczas sądu. Uprzednio wysłał Tyberiuszowi list opisujący cudy Ezy i wydarzenia Dnia Ciemności. Rzymianie użyli owych słów przeciwko niemu, nie tylko pozbawiając go tytułu i pozycji, ale także skazując na zesłanie i konfiskatę ziem. Gdyby Pilat ulaskawił Ezę i wystąpił przeciwko Herodowi i kapłanom, jego los nie byłby inny.

Klaudia Procula dochowała mężowi lojalności przez cały ten straszny czas. Powiedziała mi, że ich synek, Pilo, zmarł kilka dni po egzekucji Ezy. Nigdy nie poznano przyczyny; po prostu gasł na jej oczach. Wyznała mi też, że z trudem się powstrzymywała, by nie winić męża za śmierć ich dziecka, ale wiedziała, że Eza by tego nie chciał. Wystarczyło, że zamknęła oczy i od razu widziała twarz Ezy owego wieczoru, gdy uzdrowił jej syna - tak właśnie Klaudia Procula znalazła Królestwo Boże. Ta Rzymianka z królewskiego rodu pojmowała Drogę nazaręjską i podążała nią bez wysiłku.

Klaudia i Pilat przenieśli się do Galii, gdzie Procula mieszkała w dzieciństwie. Mówiła, że Pilat przez resztę życia próbował zrozumieć Ezę—kim był, czego chciał, czego nauczał. Wciążu tych lat wielokrotnie jej powtarzał, że Droga Ezy nie poddaje się jego rzymskiej logice. Należało

stać się podobnym do dziecka, by zrozumieć prawdę. Dzieci są czyste, otwarte i szczerze. Potrafią zaakceptować dobroć i wiarę bez zastrzeżeń. Choć Pilat nie wierzył, by sam był zdolny przyjąć Drogę tak, jak uczyniła to Klaudia, ona zawsze czuła, że na swój sposób się nawrócił.

Klaudia opowiedziała mi niezwykle historię, jaka się wydarzyła w przeddzień ich wyjazdu z Judei, którą opuścili na zawsze. Poncjusz Pilat udał się do Świątyni i zażądał widzenia z Jonatanem Annaszem i Kajfaszem. Poprosił obu, by spojrzeli mu w oczy na owym najświętszym dla ich narodu skrawku ziemi i odpowiedzieli mu napytanie: czyśmy dokonali egzekucji Syna Bożego, czy nie?

Nie wiem, co jest bardziej niezwykle - to, że Pilat udał się z tym pytaniem do arcykapłanów, czy też to, że obaj przyznali się do popełnienia straszliwego błędu.

Po zamartwychwstaniu Ezy i jego odejściu do Ojca naszego w niebie, wielu ludzi mówiło, że nasi zwolennicy zabrali ciało ukrzyżowanego. Ludzie, którzy to rozgłaszali, byli opłacani przez Świątynię, która teraz obawiała się straszliwej reakcji narodu, gdyby dowiedział się prawdy. Annasz i Kajfasz przyznali się do tego. Pilat powiedział swej żonie, że wierzy, że spotkała ich prawdziwa pokuta, że będą cierpieć do końca swych dni na ziemi, dręczeni świadomością okropnych uczynków, które popełnili.

Gdyby tylko przyszli do mnie i powiedzieli mi o tym. Udzieliłabym im nauk Drogi i zapewniła o miłosierdziu Ezy. Gdyż począwszy od dnia, w którym twe serce zbudzi się na Królestwo Boże, nigdy już nie będziesz cierpiał.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
NAPISANA W ARQUES
KSIĘGA UCZNIÓW

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nomy Orlean 1
sierpnia 2006

Maureen jechała wynajętym samochodem przez pastelowe godziny zmierzchu południowego lata. Kiedy skręciła na parking obok podmiejskiego cmentarza, gasnący blask oświetlił mały kościółek za bramą.

Tym razem jej nie minęła. Córka Edouarda Paschala przekroczyła śmiało wrota cmentarza z wysoko podniesioną głową. Nikt, kogo bliscy byli tu pochowani, nie musiał już odwiedzać miejsca ich spoczynku na zarośniętym splechotku, przeznaczonym dla odrażonych nieszczęśników. Bramę przesunięto, by ogrodzenie objęło ten żaloszny skrawek ziemi, a stało się tak dzięki wpływom i hojności pewnego włoskiego kardynała.

Białe marmur nowego grobu ojca niemal promieniował, gdy Maureen zbliżyła się do niego. Na płycie spoczywał wyszukany wieniec róż i lili, tuż pod dużym pozłacanym symbolem *fleur de lis* i napisem, który głosił:

EDOUARD PAUL PASCHAL
UKOCHANY OJCIEC MAUREEN

Uklękła przed grobem i odbyła długą, spóźnioną rozmowę ze swym ojcem.

Uczucie wewnętrznego spokoju, jakiego Maureen doznawała, było dla niej czymś nowym i dobroczynnym. Zdarzało się, że dręczyła ją lekka obawa przed tym, co przyniesie kolejny dzień, ale na ogół było to bardziej podniecenie niż lęk. Nazajutrz miała się spotkać w Nowym Orleanie na uroczystym obiedzie z członkami klanu Paschal - ciotkami i kuzynami, których nigdy nie widziała. Potem zaś wybierała się do Irlandii, gdzie po wylądowaniu na lotnisku Shannon zamierzała wynająć samochód i pojechać do małego zachodniego miasteczka Galway, by zamieszkać na jakiś czas na rodzinnej farmie Healy. Czekał tam na nią Peter. Miało to być ich pierwsze spotkanie od czasu, gdy jej kuzyn opuścił Chateau des Pommés Blues. Rozmawiali kilkakrotnie przez telefon, ale jeszcze się nie widzieli. Peter poprosił, by spotkali się w Irlandii, z dala od tłumów i ciekawskich oczu. Mogliby porozmawiać szczerze, on zaś miałby okazję zaspokoić jej ciekawość co do dalszych losów Ewangelii z Arques.

Maureen myślała o tym wszystkim, spacerując po dzielnicy francuskiej, która budziła się do życia w ten piękny piątkowy wieczór. Południowy wiatr przyniósł nagle odległy dźwięk muzyki saksofonowej. Maureen, przyciągana jej magiczną siłą, skrzyła za rogiem i ujrzała muzyka. Miał długie ciemne włosy, które podkreślały jego wychudłą i smutną twarz. Kiedy podeszła bliżej, spojrzął na nią, a ich oczy spotkały się na chwilę.

James St. Claire, grajek uliczny z Nowego Orleanu, mrugnął do Maureen. Odpowiedziała mu uśmiechem, a gdy ruszyła dalej, popłynęły za nią saksofonowe takty religijnego hymnu „Amazing Grace”.

Rozdział dwudziesty drugi

Hrabstwo Galway, Irlandia
Październik 2005

W sercu irlandzkiego krajobrazu jest obecny dziwny spokój, cisza, która ogarnia ziemię wraz z zachodem słońca. Wydaje się, jakby noc domagała się milczenia, pochłaniając każdego bez wyjątku przeciwnika.

Dla Maureen ów spokój był upragnionym wytchnieniem od chaosu minionych miesięcy. Czowała się bezpieczna w swym odosobnieniu - samotności, która obejmowała też jej serce i umysł. Nie pozwalała sobie jeszcze na osobiste refleksje o ostatnich wydarzeniach; wiedziała, że przyjdzie na to czas później. A może nie przyjdzie nigdy? Było to zbyt dojmujące, zbyt dalekosiężne - i zbyt absurdalne. Wypełniła swą rolę Oczekiwanej za sprawą dziwnego zrzędzenia losu, przeznaczenia czy boskiej opatrności.

Jej zadanie dobiegło końca. Oczekiwana była widmową istotą, przynależną czasowi i przestrzeni Langwedocji - i pozostała szczęśliwie we Francji. Lecz Maureen była kobietą z krwi i kości, w dodatku wyczerpaną. Wdychając słodkie powietrze swego domu, w którym spędziła dzieciństwo, Maureen wróciła do sypialni na długo oczekiwany odpoczynek.

Lecz nie było jej dane zaznać spokojnego snu.

Już wcześniej widziała tę scenę - postać w cieniu, pochyloną nad pradawnym stołem, skrobanie rysika, z którego spływały słowa. Gdy Maureen spojrzała ponad ramieniem piszącego, ze stronic jakby spłynął lazurowy blask. Zafascynowana iluminacją, Maureen nie dostrzegła w pierwszej chwili, że siedzący przy stole się poruszył. Gdy postać się odwróciła i wkroczyła w krąg światła lampy, Maureen wstrzymała oddech.

Widowała już przelotnie tę twarz w swych snach, w krótkich chwilach nagłego przeblysku, przemijających w okamgnieniu. Teraz postać skupiła całą swą uwagę na Maureen, która, jakby zastygła w sennej malignie, patrzyła na stojącego przed nią człowieka - najpiękniejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek widziała.

Eza.

Uśmiechnął się do niej, a na jego obliczu pojawiły się boskość i ciepło. Maureen poddała im się bez reszty, jakby w tym uśmiechu jaśniało samo słońce. Stała bez ruchu, niezdolna do niczego; mogła tylko patrzeć na piękno i wdzięk tego człowieka.

-Jesteś moją córką, w której mam upodobanie.

Jego głos był melodią, pieśnią jedności i miłości, wi-brującą w otaczającym ją powietrzu. Maureen unosiła się przez nieskończoną chwilę na jej dźwiękach, by nagle runąć w dół, usłyszawszy brzmienie słów:

- Lecz twa praca nie dobiegła jeszcze końca.

Uśmiechnawszy się ponownie, Eza Nazarejczyk, Syn Człowieczy, odwrócił się do stołu, gdzie leżały zapisane przezeń stronice. Światło bijące z kartek stało się silniejsze, litery połyskiwały błękitnym blaskiem, niebieskie i fioletowe wzory na grubym, przypominającym płótno papierze.

Maureen próbowała coś powiedzieć, ale słowa nie chciały spłynąć z jej ust. Nie potrafiła funkcjonować w jakikolwiek ludzki sposób. Mogła tylko patrzeć na boską istotę przed sobą, kiedy ta wskazywała stronicę. Eza po chwili skupił uwagę na Maureen i przez nieskończenie długą chwilę spoglądał jej w oczy.

Przeplłynąwszy bez trudu przez dzielącą ich przestrzeń, Eza stanął tuż przed Maureen. Nie powiedział już nic więcej. Nachylił się tylko i złożył na jej czole ojcowski pocałunek.

Maureen obudziła się zlaną potem. Skóra na głowie paliła ją jak naznaczona rozgrzanym żelazem, ona sama zaś czuła się oszołomiona i zdeorientowana.

Zerkając na zegarek obok łóżka, potrząsnęła głową, by się ocucić. Przez grube zasłony wpadały pierwsze promienie poranka, ale wciąż było za wcześnie, by dzwonić do Francji. Postanowiła, że pozwoli Berry'emu na jeszcze kilka godzin snu.

Potem zatelefonuje do niego - i zażąda, by przekazał jej wszystko, co wie o ostatnim znanym miejscu ukrycia *Księgi Miłości* - jedynej prawdziwej Ewangelii Jezusa Chrystusa.

Aneks:

Ewangelia Marii Magdaleny, znaleziona w Arques

W pierwszej wersji *Oczekiwanej* musiałam usunąć kilka ustępów z Ewangelii Marii Magdaleny, co było podyktowane wymogami narracyjnymi i wiązało się z koniecznością zachowania określonej objętości tekstu. Decyzja, z których fragmentów zrezygnować, sprawiła mi niemało bólu. Zachowałam te, które wydawały się absolutnie nieodzowne, pominęłam natomiast wszystkie wykraczające poza główny nurt opowieści.

Los chciał, że niektóre z usuniętych przeze mnie ustępów należą jednocześnie do moich ulubionych - zawierały one wzruszające opisy relacji Marii z jej dziećmi i informacje na temat innych apostołów, a także szczegóły pięknego nauczania Drogi. Były one dla mnie bardzo ważne, choć niekoniecznie istotne dla ogólnego obrazu, jaki starałam się nakreślić.

Z uczuciem ogromnego podniecenia, jak i wdzięczności wobec swego wydawcy, przywracam tutaj niektóre z tych „zagubionych” ustępów. Uzupełniłam każdy o dodatkowy komentarz, by ukazać ich kontekst, wierzę jednak, że większość czytelników uzna je za wystarczająco jasne - i, mam nadzieję, inspirujące.

Kathleen McGowan

Boże Narodzenie 2006

W *Oczekiwanej* Eza naucza swych wyznawców Modlitwy Pańskiej na Górze Oliwnej, tuż za murami miasta. Według niezwykle silnej tradycji kulturowej uczynił to w pewnej grocie, która znajduje się obecnie w obrębie kościoła Pater Noster. Oczywiście, wielu chrześcijan jest świadomych tego, że Modlitwa Pańska po raz pierwszy pojawia się w Kazaniu na Górze, zawartym w kanonicznej Ewangelii świętego Mateusza. Wierzę, że oba te wydarzenia są prawdziwe i że się wzajemnie nie wykluczają. Jest prawdopodobne, że Kazanie na Górze było prapoczątkiem tej modlitwy, najważniejszej w tradycji nazarejskiej, i że epizod na Górze Oliwnej uosabia żywe wspomnienie ostatniego tygodnia życia Ezy. Modlitwa ta stała się kamieniem węgielnym wczesnych wyznawców Ezy i Drogi, i pozostaje nim na całym świecie po dziś dzień.

Katarskie narody Europy czciły Modlitwę Pańską, ponieważ zawierała ona samą formułę tworzenia nieba na Ziemi, budowania Królestwa Bożego (zostanie to przedstawione bardziej szczegółowo w drugiej części *Oczekiwanej, Księżde Miłości*). W konsekwencji katarowie, podobnie jak inni wyznawcy nauk Ezy, przekazanych przez Marię Magdalenę, nosili na swoich ciałach symbole nieba, najczęściej pod postacią biżuterii, czego przykładem jest wzór na pierścieniu Magdaleny. Nawiązywało to bezpośrednio do wersu modlitwy „jako w niebie tak i na ziemi” i miało przypominać, że nigdy nie jesteśmy oddzieleni od Boga. W późniejszych czasach ludzie nosili te wzory pod postacią tatuaży, poza tym do dzisiaj przetrwały w Langwedocji starodawne kościoły, w których znajdują się malowidła przedstawiające podobne niebiańskie formacje.

...Nazajutrz po naszym przybyciu do Jeruzalem spotkaliśmy się z wybranymi i innymi wyznawcami na Górze Oliwnej. Tutaj Eza nauczał modlitwy Drogi. Mówił o Salome i Janie, wyjaśniał też, jak wydarzenia związane z tymi osobami przygniotły nasze barki. Czy była to sprawiedliwość? Nie, nie ponosiliśmy bowiem winy za jakiegokolwiek zło, jednakże wielu potępiało nas za te wydarzenia.

Eza głosił: „Musimy prosić o wybaczenie nam naszych win i musimy też wybaczać tym, którzy w naszym przekonaniu zawinili wobec nas. Bez wątpienia wybaczenie to najtrudniejsza z wszelkich nauk Drogi i zapewne najbardziej nieodzowna”.

Był to dzień pełen piękna i łaski. Eza po raz pierwszy dotarł do serc tak wielu ludzi. Ci, którzy słuchali modlitwy i jego słów wyjaśniających jej sens, zostali przemienieni na zawsze. Wszyscy mężczyźni i kobiety przemienia się na zawsze, jeśli tylko pojmą siłę, mądrość i boskość, które można znaleźć w słowach owej modlitwy.

Eza nauczał ich: „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na Ziemi”.

Wyjaśniał dzieciom Izraela, że Królestwo Boże znajduje się na wyciągnięcie ręki i że nie powinniśmy oczekiwać, że ktokolwiek nam je ojaruje. Sami powinniśmy się o nie starać i nawet potęga Rzymu nie może zniszczyć tego, co jest w naszych sercach. Posiadamy moc zbudowania nieba na Ziemi i kroczenia w świetle Drogi, uczynienia wszelkich rzeczy na Ziemi tak pięknymi i świętymi jakimi są w niebie. Eza pragnął, byśmy zrozumieli, że nasz Ojciec to miłosierny rodzic; który kocha nas i chce

dla swych dzieci tylko tego, co dobre. Najważniejsze jednak, że owa modlitwa Drogi powinna nam w każdej chwili służyć jako przypomnienie, że nigdy nie jesteśmy oddzieleni od Boga.

Kiedy wspomnienia napływają ze wzmoczoną siłą, powracam do tego dnia i zanurzam się w blasku owej wiedzy, w promiennym obrazie Ezy, który niósł tę wiedzę dzieciom świata: dzieciom Boga, którymi wszyscy jesteśmy.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
ZNALEZIONA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Po ukrzyżowaniu rodzinie Ezy groziło w Izraelu niebezpieczeństwo. Józef z Arymatei poczynił czym prędzej kroki, by ulokować ciężarną Magdalenę i jej najbliższych towarzyszy w Aleksandrii, mieście uważanym w owym czasie za centrum nauki, zarówno klasycznej, jak i ezoterycznej. Józef, który zajmował się handlem cyną, był niezwykle zamożnym człowiekiem, a jego statki mogły bezzwłocznie wywieźć zagrożonych w bezpieczne miejsce. Nie jest przypadkiem, że najważniejsze pisma gnostyczne odkryto właśnie w Egipcie.

Dziedzictwo Marii Magdaleny wciąż jest obecne w wielu rejonach południowej Francji, a jak głosi wieść, jej sarkofag został odkryty w trzynastym wieku w prowansalskim mieście Saint-Maximin-la-Sainte-Baume. Choć wymienia się kilku kandydatów do miana Saint Maximin, od którego miasto wzięło swoją nazwę, między innymi czternastowiecznego biskupa z Trewiru, pewna legenda głosi, że

jeden z wczesnych uczniów towarzyszących Marii Magdalenie w podróży do Francji nosił imię Maximin. W średniowiecznej *Złotej legendzie* jej autor Jacobus de Voriagne opisuje, jak to Maximin poprosił, by pochowano go obok kobiety, którą uważał za swego największego duchowego doradcę i źródło inspiracji. Maximin i Magdalena widnieją nawet razem na licznych dziełach z epoki średniowiecza i renesansu, jeśli tylko ktoś zechce ich tam znaleźć! Moim ulubionym jest fresk z czternastego wieku, ukryty w pewnym szczególnym kościele we Florencji, który odgrywa ważną rolę w drugiej części *Oczekiwanej*.

We wczesnych chrześcijańskich legendach Francji występuje też często historia „Sary Egipcjanki”, zwanej także „Sarą, królową cygańską”. Owa Sara jest świętą patronką w kulturze romskiej i otacza się ją czcżą w wiosce, gdzie spoczywają jej szczątki - w Saintes-Maries-de-la-Mer na śródziemnomorskim wybrzeżu Camargue. Co roku pod koniec maja w wiosce odbywa się pielgrzymka, na którą przybywają Romowie z całego świata, by wspólnie oddawać hołd tajemniczej Sarze, obdarzonej podobno niezwykle zdolnościami uzdrowicielskimi. Choć pojawiły się ostatnio spekulacje, że Sara może być córką Ezy i Magdaleny, należy wspomnieć, że istniało kilka kobiet noszących podobne imiona - między innymi Sarai, egipska kapłanka i akuszerka, a nawet Salome, która była znana jako „księżniczka” i która mogła przetrwać w pamięci jako Sara. Łączenie ze sobą legend na zasadzie podobieństwa imion było, niestety, powszechnym zwyczajem we wczesnych pismach chrześcijańskich i dlatego bardzo trudno zidentyfikować liczne Marie, Janów czy Sary w naszej historii.

W scenie balu kostiumowego w *Oczekiwanej* Tammy występuje jako Sara w swoim egipskim/cygańskim stroju.

...Po dotarciu do Aleksandrii Józef zabrał nas do domu wielkiego człowieka, Rzymianina Maximinusa. Choć nie wiedziałam, co łączy go z władzami, nie wątpiłam w jego uczciwość, gdyż głęboko wierzyłam Józefowi. Znal go od wielu lat dzięki wspólnym interesom w handlu cyną i obdarzał zaufaniem.

Zjawiliśmy się na jego progu w lachmanach, wyczerpani podróżą i niemal złamani rozpaczą. Przyjął nas z taką serdecznością i ciepłem, że gdy tylko spojrzałam mu w oczy, od razu pojęłam, że zawsze będę bezpieczna w jego obecności. Już po raz drugi niebieskooki Rzymianin przyszedł mi z pomocą; wiedziałam, że w takich przypadkach można dostrzec Boże przesłanie.

Maximinus był Rzymianinem z imienia i urodzenia, ale nie z ducha. Żył głęboki podziw dla Egipcjan i nauczył się wiele w miejscowych szkołach ich tajemnej wiedzy. Mielśmy o czym rozmawiać, Droga nazarejska bowiem ma liczne tradycje, które przeniknęły do nas z tej bogatej ziemi.

W tych pierwszych dniach Maximinus troszczył się tylko o jedno, czyli o mój bezpieczny połóg. Dowiedziałam się później z rozmów, jakie wielokrotnie prowadziłyśmy, że jego żona i dziecko zmarły od gorączki. Łączyło nas wiele, najbardziej jednak smutek zrodzony po stracie najbliższych.

Dopilnował, by sprowadzono najbieglejszą w Aleksandrii akuszerkę, gdy nadszedł dla mnie czas rozwiązania. Sarai, egipska kapłanka, która z taką troską pomogła mi wydać na świat syna, także stała się w tych dniach wygnania częścią naszej rodziny.

Nauczanie Drogi zakorzeniło się i rozkwitło na egipskich wybrzeżach, gdzie miłość i mądrość zawsze znajdowały żyzną glebę. Wspomnienia z tamtego czasu są mi bliskie, gdyż mój piękny syn urodził się w spokoju i zdrowiu, w otoczeniu przyjaciół i towarzyszy, tak dawnych i zaufanych, jak i nowych, chłonących dopiero nasze nauki. Nie ma dla matki bardziej uświęconej chwili niż ta, gdy patrzy na twarz nowo narodzonego dziecka. W jego obliczu dojrzałam Ezę; nie potrafię powiedzieć, jakim to było błogosławieństwem, nie tylko dla mnie, ale także dla wszystkich wyznawców, którzy tak bardzo pragnęli nowego znaku nadziei i życia.

Gdy nadszedł czas, by opuścić Aleksandrię, uczyniłam to z ciężkim sercem, choć wiedziałam, że moim przeznaczeniem jest inna przystań.

Opuszczałam jednak Egipt, wiedząc, że Droga w nim rozkwitnie, gdyż kilku wybranych postanowiło tam zostać, było też już wielu nawróconych, którzy słuchali nauk pozostawionych nam przez Ezę z przykazaniem, byśmy dzielili się nimi ze światem. Pociechę przynosiła mi myśl, że zabieram ze sobą dwa największe skarby egipskie - kapłankę Sarai i szlachetnego Rzymianina Maximinusa.

EWANGELIA MARIII MAGDALENY,
ZNALEZIONA W ARQUES
KSIĘGA CZASU CIEMNOŚCI

Pisząc *Oczekiwaną*, pozwoliłam sobie na pewną dowolność (zarówno współczesną, jak i poetycką), jeśli chodzi o nazwy miejsc i imiona ludzi, w imię-większej jasności tekstu.

Na przykład jezioro Genezaret i Morze Martwe nie były tak określane w pierwszym wieku naszej ery, a jednak uważałam, że będzie lepiej, jeśli czytelnik szybko zidentyfikuje te miejsca, dlatego zrezygnowałam z archaicznych nazw, które mogłyby rodzić nieporozumienia. Na tej samej zasadzie posługiwałam się współczesnymi imionami niektórych bohaterów. Weronika, przyjaciółka Marii i Salome, późniejsza święta, która w Wielki Piątek otarła twarz Ezy swoją chustą (co zostało przedstawione w szóstej stacji krzyżowej) zwała się Berenika. Jej współczesne imię, Weronika, pochodzi prawdopodobnie od określenia „prawdziwy wizerunek”. Jednakże z myślą o tych, którzy znają jej legendę, uznałam, że lepiej będzie posłużyć się imieniem tradycyjnym.

Legenda Weroniki i jej chusty zyskuje ważne znaczenie w dalszych częściach trylogii o rodzie Magdaleny. Pisze się często, że poślubiła „nowo nawróconego chrześcijanina” i razem z nim udała się do Rzymu, a później do Francji, by głosić nauki Drogi.

Niebieskooki legionista rzymski, Praetorus, stał się żołnierzem innego rodzaju, gdy dokonała się ofiara Ezy na krzyżu. Został żołnierzem Drogi, jednym z pierwszych nawróconych w naszej społeczności, i to niezwykle oddanym. Przyjęliśmy go z radością, uczynił bowiem wiele dla mnie w owym mrocznym czasie, a także dla nas wszystkich.

W dniu zmartwychwstania Ezy Praetorus usłyszał Dobrą Nowinę i przyszedł do Grobu, by się z nami spotkać. To właśnie tam po raz pierwszy zobaczył naszą siostrę nazarejską, Weronikę. Nawet w chwili tak głębokiego

poruszenia, jakie towarzyszyło mi w tych dniach, mogłam dostrzec kielkującą miłość między dwojgiem tych ludzi. Weronika zapoznawała Praetorusa z naukami Drogi wedle swoich możliwości, nie była bowiem jeszcze kimś, kogo można obdarzyć mianem Marii. Była młodszą ode mnie i niezamężna. Szeptano, że ma już swoje lata, ale ona twierdziła, że Bóg kazał jej czekać, dlatego odrzucała wszelkie propozycje małżeństwa. Jej wielkim darem był czuły ojciec, który wierzył w Drogę nazarejską i który nie chciał przymuszać córki do niechcianego związku.

W dniu, gdy Weronika poznała Praetorusa, od razu pojęła, że nie myliła się co do głosu Boga i że słyszała go wyraźnie. Oto spotkała człowieka, na którego czekała przez całe swoje młode życie.

Razem mieli czynić cuda i głosić naukę Drogi Miłości. Kiedy ujrzałam ich ponownie po wielu latach, moje serce uradowało się niezmiernie.

Legenda centuriona Longinusa, pośród opowieści związanych z ukrzyżowaniem, jest jedną z najbardziej fascynujących, choć jej bohater bywa przyćmiewany przez sławę swej broni - włóczni, która przebiła bok Chrystusa i która jest niejednokrotnie określana jako „włócznia przeznaczenia”. Z przedmiotem tym łączy się niezwykle żywy i bogaty folklor, uważa się też, że ma on mistyczną moc, choć niesie ona ze sobą ryzyko negatywnego oddziaływania. Najstłyniejsza w tym wypadku legenda głosi, że Adolf Hitler obsesyjnie pragnął zdobyć tę włócznię, ponieważ wierzył, że uczyni go ona wszechmocnym i niezniszczalnym. Kilka kolekcji

przyznaje się do posiadania autentycznej włóczni lub jej fragmentu - między innymi pewne muzeum w Austrii i oczywiście Watykan.

Natomiast legenda dotycząca samej osoby Longinusa głosi, że karą za jego uczynki była nieśmiertelność i że został skazany na wieczną wędrówkę w poszukiwaniu pokuty za ból, jaki zadał Synowi Bożemu w jego ostatnich godzinach. Jest to czasem określane jako „przekleństwo Longinusa” czy też „przekleństwo centuriona”. Może wydawać się z pozoru rzeczą zaskakującą, że w Bazylice świętego Piotra znajduje się wspaniały posąg Longinusa dłuta Berniniego. Być może słowa Marii pomogą nam zrozumieć, dlaczego człowiek ten jest wspominany z czcią.

...Nie napisałam jeszcze o innym rzymskim centurionie, tym, który był zwany Longinusem, nikt bowiem bardziej od niego nie uosabia Czasu Ciemności.

Longinus był bezwzględny, okrutny i sadystyczny, i całkowicie ślepy na wszelkie światło czy prawdę. Mimo to jednak był dzieckiem bożym, musiałam zatem mu wybaczyć, tak jak uczynił to Eza po biczowaniu, a nawet już na krzyżu. Eza uczył nas, że każdy może być odkupiony i że tych, którzy wydają się ludźmi najmniej na to zasługującymi, powinniśmy obdarzać największą miłością.

Jest to próba zarówno dla nas, jak i dla nich, gdyż łatwo jest kochać kogoś, kto kocha nas. Znacznie trudniej kochać kogoś, kto nas opluwa, obmawia albo rani-przekazywać przesłanie miłości i dobra komuś, kto tego nie pragnie. Miarą naszej dobroci jest to, czy nauczyliśmy się

kochać swoich bliźnich jak samych siebie. Bóg bowiem kocha wszystkich, a zatem my też musimy tak czynić, jeśli mamy kiedykolwiek stworzyć niebo na Ziemi.

Kiedy przeminął Dzień Ciemności, dowiedziałam się od Praetorusa, że Longinus oszalał. Prześladował go ów ostatni akt okrucieństwa - ta straszna chwila, w której przebił bok Ezy włócznią. Kiedy niebo pokryło się ciemnością, Longinus zrozumiał, że w jakiś sposób przypieczętował swój los.

Znacznie później Longinus udał się do Rzymu, gdzie odszukał naszego Piotra, Andrzeja i mego syna. Tak naprawdę jednak szukał mnie. Kiedy spotkaliśmy się w Galii, był już człowiekiem odmienionym. Zniknęło gdzieś okrucieństwo, pojawił się za to głód światła i nauki. Taka jest moc miłości i modlitwy. Nikomu, kto upadł, nie jest odebrana szansa odrodzenia.

Do najszcześniejszych chwil w moim życiu zaliczam dzień, gdy uświadomiłam sobie, że Longinus stanie się jednym z najbardziej oddanych uczniów Drogi. Był wyjątkowym człowiekiem, jeśli chodzi o pojmanie mocy nawrócenia, która płynie tylko z miłości.

Najstarszy syn Marii, Jan Józef (Mały Jan), udał się w nastoletnim wieku do Rzymu z Piotrem i Andrzejem. Tam właśnie stowarzyszył się ostatecznie z wyznawcami Jana Chrzciciela, a ścieżka, którą dotąd podążał, zmieniła się dramatycznie. Historia jego życia - opowieść o tym, jak zmagął się z dziedzictwem syna dwóch wielkich proroków i co w rezultacie stworzył - zasługuje na osobną książkę. Być może kiedyś ją przeczytacie. •■

... Trudno mi o tym pisać, tak jak trudno było mi pogodzić się z tym, jakim człowiekiem stał się mój najstarszy syn. I choć jest godny podziwu, silny, dobrze zbudowany i obdarzony bystrym umysłem, wyznawcy Jana odmienili go zupełnie.

Przygnieciona smutkiem po odejściu Ezy nie przewidziałam takiego obrotu rzeczy. Nie przewidziałam zatarciałości zwolenników Jana ani tego, że ich nienawiść do Ezy tak dalece wykroczy poza czas jego śmierci. Lecz ludzie ci poszukiwali mego syna i znaleźli go w Rzymie. Wpoili mu głęboko poczucie ważności, przekonali, że jest rodzonym synem jedyne go prawdziwego proroka, Chrzciciela, i że owo dziedzictwo zostało zawłaszczone przez jego przybranego ojca. Starali się za wszelką cenę wykorzenić wszelkie dobro, jakie tchnął w życie mego syna Eza. Musiało trwać to bardzo długo. Kiedy Jan po raz pierwszy wyruszał do Rzymu z Piotrem i Andrzejem, wciąż oplakiwał Ezę najbardziej ze wszystkich, pominiawszy mnie i Tamar. Eza był jedynym ojcem, jakiego kiedykolwiek znał, i z pewnością największym i najbardziej cierpliwym nauczycielem. Jeszcze za lat dziecinnych Jana Eza nazywał go „swym najukochańszym uczniem” i żywił nadzieję, że pewnego dnia Jan stanie się przywódcą i głosicielem Drogi, jakim może stać się jedynie syn dwóch wielkich proroków.

Teraz jednak treść owego czystego serca, duszy i umysłu została odmieniona nie do poznania.

Jakaż ciemność mieszkała w tych ludziach, że napelnili głowę mego syna nienawiścią? Że wypaczyli prawdę i obdarzyli Ezę mianem fałszywego, że pozbawili młodego

człowieka jego własnego ojca, który kochał go jak swego syna, zawsze i wszędzie? A mimo to ludzie ci nazywali Ezę „złym kapłanem” i zarzucali mu nieczystość, jaką rzekomo było małżeństwo ze mną. Obrzucali też wyzwiskami nasze dzieci, choć były rodzeństwem Jana.

Tamar pragnęła pomówić z Janem, ale on nie chciał jej widzieć, odtrącił ją nawet jako swą krewną. Jestem jednak pewna, że kazali mu tak uczynić ludzie, którzy kierowali jego krokami. Nasza Tamar jest piękna, a jej czystość jako prorokini to żywa legenda na tych ziemiach. Gdyby Jan spędził przy niej choć chwilę, odzyskałby samego siebie i pojął, że ludzie, którzy mu teraz doradzają, to fałszywcy i kłamcy, przywiązani niewolniczo do zasady uprzedzenia i nietolerancji. Tamar w mgnieniu oka starłaby na proch ich argumentację, przypominając Janowi o mocy Drogi, o prawdzie, która rodzi się jedynie z miłości i wybaczenia. Tamar nosi w swej kobiecej postaci wszelką doskonałość Ezy. Jego obecność świeci w niej blaskiem, którego nie mogą nie dostrzec nawet największe legiony ciemności.

Uczyliam wszystko, co w mojej mocy, by mój syn zrozumiał, że Eza go kochał i że ja go bardzo kochałam - i wciąż kocham. Nie wiem jednak, jakie teraz są jego myśli. Nie miałam od swego Jana żadnych wieści od czasu, gdy opuścił to miejsce i wrócił do Rzymu. A moje źródła w Rzymie zostały w znacznej mierze zdeptane przez Nerona i innych, którzy mordują dobrych mężczyzn i dobre kobiety Drogi. Tak niewiele pozostało... A jednak przetrwamy. Nikt nie pokona Drogi. Nikt nie pokona miłości.

Mogę tylko powiedzieć, że modliłam się przez wszystkie te lata, by mój syn doznał odkupienia, by dostrzegł

prawdę Drogi, taką jakiej niegdyś nauczał go Eza. Lecz gdy stał się mężczyzną, odezwała się w nim z niezwykle mocą krew rodzonego ojca, silniej niż kiedykolwiek przypuszczałam. W jego oczach można teraz dostrzec bezlitosny i pełen uprzedzeń cień innego Jana, i to mnie przeraża.

Modłę się każdej nocy, by nadszedł ten ostateczny moment, kiedy Jan znów poczuje Ezę w swym życiu. I aby nie spędził reszty swych dni w przekonaniu, że jego matka była ladacnicą.

Dziedzictwo *Księgi Miłości* to jeden z wielkich skrywaných sekretów chrześcijaństwa. Już samo to, że istniała kiedyś Ewangelia spisana ręką Chrystusa, jest koncepcją, o której słyszało niewielu współczesnych chrześcijan. Być może jest to zamierzone. Katarów, którzy jako ostatni byli w posiadaniu oryginalnych pism przywiezionych do Francji przez Marię Magdalenę, prześladowano właśnie z powodu tych dokumentów. Kiedy badacze i uczeni mówią mi: „Nie ma dowodu, że Maria Magdalena przybyła kiedykolwiek do Francji”, mogę udzielić im kilku odpowiedzi, ale najważniejsza jest ta: nie ma dowodu, ponieważ zglądono setki tysięcy ludzi - całą kulturę - właśnie w tym celu, by nie było żadnego dowodu. Prześladowania katarów to ni mniej, ni więcej ludobójstwo. Dokonano go z absolutną determinacją, z zamiarem zniszczenia „heretyków”, którzy przyznawali się nie tylko do biologicznej, ale, co być może ważniejsze, duchowej więzi z Jezusem i Marią Magdaleną. Częścią zarzucanej im herezji było także posiadanie „dokumentów”, które mogły stanowić dowód słuszności ich przekonań.

Dziedzictwo *Księgi Miłości* zostanie w pełni ukazane i ujawnione w drugim tomie cyklu.

...W Księdze Miłości, którą pozostawił nam Eza, są zawarte liczne przesłania i nauki. Z wielką radością i przez wiele lat z niej korzystałam, a teraz zostawiam ją w rękach swej pięknej córki, by kontynuowała nasze dzieło tu, w Galii. Istnieją kopie tej wielkiej księgi, sporządzone ręką Bartłomieja i Filipa; im także powierzyłam zadanie głoszenia słów Ezy, z myślą o tych, którzy zechcą słuchać.

Ostatnim życzeniem Ezy, jakie przekazał swym wyznawcom, był nakaz, byśmy miłowali się nawzajem, nawet w najmroczniejszych i najcięższych czasach. Wiedział, że czekają nas trudne dni i straszliwe przeszkody, lecz powtarzał nam wielokrotnie: „Niech świat pozna w was Nazarejczyków za sprawą miłości, jaką się obdarzacie”.

Ja także widzę, że dzieci przyszłości czekają ciężkie czasy i mroczne dni. Pozostawiam im to dziedzictwo miłości, dziedzictwo słów Ezy i własnych, by mogły znaleźć drogę wiodącą z ciemności ku światłu.

Podążajcie, dzieci Boże, i dajcie się poznać światu po tym, jak miłujecie się nawzajem.

EWANGELIA MARII MAGDALENY,
ZNALEZIONA W ARQUES
(JEJ OSTATNIE SŁOWA)

Posłowie

Cóż jest prawdą?

PONCJUSZ PIŁAT
EWANGELIA ŚW. JANA, I 8, 38

Moja podróż ścieżką Marii Magdaleny w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie Poncjusza Piłata zaczęła się od Marii Antoniny, Lukrecji Borgii i walecznej królowej celtyckiej z I wieku, znanej jako Boadkea. Jej pełen pasji okrzyk bitewny *Y gwyn erbyn y byd* tłumaczy się z walijskiego jako „Prawda przeciwko światu”. Słowa te towarzyszyły mi jako dewiza podczas poszukiwań obejmujących moje dorosłe życie i prowadzących mnie morderczą drogą dwóch tysięcy lat historii.

Od dawna pragnęłam odkrywać pradawne nieopowiedziane historie, zrywać warstwy ludzkiego doświadczenia, pogrzebane w ciszy i często celowo pod zwałami relacji naukowych. Jak przypomina nam moja bohaterka: „Historia nie jest tym, co się wydarzyło. Historia jest tym, co zostało napisane”. Niejednokrotnie to, co wiemy i akceptujemy jako historię, zostało stworzone przez autora, któremu przyświecał jakiś cel polityczny. Zrozumienie tego faktu skłoniło mnie do badania folkloru już w najwcześniejszych latach życia. Czerpię ogromną satysfakcję z odkrywania kultur, kiedy spotykam się z miejscowym historykiem czy gawędziarzem, by odnaleźć prawdziwe ludzkie kroniki,

które są niedostępne w bibliotekach i których nie znajdziecie w podręcznikach. Dzięki swemu irlandzkiemu pochodzeniu doceniam siłę relacji ustnych i żywych tradycji.

Zawdzięczam swej irlandzkiej krwi także to, że zostałam pisarką i aktywistką, i jako taka stałam się uczestniczką burzliwych wydarzeń Irlandii Północnej w latach 80. Właśnie wtedy zrodziło się we mnie sceptyczne nastawienie do oficjalnej, a zatem akceptowanej, historii. Będąc naocznym świadkiem wydarzeń historycznych, uświadomiłam sobie, że oficjalne, przetworzone ich wersje rzadko przypominały to, co działo się na moich oczach. W wielu wypadkach wydarzenia relacjonowane w prasie i telewizji, a wreszcie w książkach „historycznych”, tak bardzo odbiegały od moich doświadczeń, że zidentyfikowanie ich stało się niemal niemożliwe. Wszystkie te udokumentowane wersje nosiły piętno uprzedzeń - politycznych, społecznych i osobistych. Prawda natomiast gubiła się na zawsze - nie dotyczyło to być może tylko tych, którzy widzieli wszystko na własne oczy. Z reguły owymi świadkami byli ludzie klas pracujących, którzy pragnęli tylko żyć dalej; nie zamierzali wysyłać kolejnych listów do gazet o zasięgu ogólnokrajowym czy też szukać wydawcy, który zechce utrwalić dla potomności ich wersję wydarzeń.

Moje irlandzkie doświadczenia tylko wzmocniły we mnie wiarę w znaczenie tradycji ustnej i kulturowej, i przekonanie, że stanowi ona często najbogatsze źródło wiedzy o ludzkim doświadczeniu. Te lokalne wydarzenia na ulicach Belfastu stały się moim mikrokosmosem. Jeśli zostały uznane za dostatecznie ważne, by poddać je rekonstrukcji i odpowiednio zmienić na łamach większych gazet i w relacjach telewizyjnych, to co można powiedzieć o tej samej metodzie stosowanej wobec makrokosmosu światowej historii?

Czyż tendencja, by manipulować prawdą, nie staje się tym większa, im dalej sięgamy w przeszłość, do czasów, kiedy tylko ludzie zamożni, wykształceni i posiadający polityczną władzę byli zdolni zapisywać wydarzenia?

Zaczęłam odczuwać niepowstrzymane pragnienie, a nawet przymus podawania historii w wątpliwość. Jako kobieta, chciałam posunąć tę ideę o krok naprzód. Od początku istnienia świadectw pisanych, większość materiałów uznawanych przez naukowców za wiarygodne była dziełem mężczyzn z określonych - społecznych i politycznych - warstw. Wierzymy, zazwyczaj bez jakichkolwiek wątpliwości, w prawdziwość dokumentów tylko dlatego, że potwierdzono ich autentyczny wiek. Rzadko bierzemy pod uwagę fakt, że zostały one spisane w mrocznych czasach, kiedy to kobiety stały w społeczeństwie niżej od żywego inwentarza i były uważane za istoty pozbawione dusz! Ileż wspaniałych historii przypadło na zawsze dlatego, że uczestniczące w nich kobiety wedle powszechnej opinii nie zasługiwały na wzmiankę jako istoty niższe czy nawet nie dość ludzkie? Ile z nich wymazano na zawsze z historii? I czy nie odnosi się to zwłaszcza do kobiet z pierwszego wieku naszej ery?

Trzeba też wspomnieć o tych, które były na tyle silnymi i znaczącymi postaciami, że nie pozwoliły się zignorować. Liczne kobiety, które znalazły mimo wszystko swe miejsce w książkach historycznych, zapamiętano jako notoryczne łajdaczki - cudzołożnice, oszustki, intrygantki, nawet mordczynie. Czy podobna charakterystyka była uczciwa, czy też stanowiła owoc politycznej propagandy, która miała na celu zdyskredytowanie kobiet, na tyle odważnych, by zmanifestowały swą inteligencję i chęć sprawowania władzy? Kierując się tymi pytaniami i coraz głębszą nieufnością wobec świadectw uznawanych przez oficjalne środowiska

akademickie za historyczne, postanowiłam prowadzić badania na własną rękę i napisać książkę o niesławnych kobietach, które przez wieki złośliwie oczerniano i opacznie rozumiano. Zaczęłam od wspomnianych już dam, cieszących się powszechnie złą opinią - od Marii Antoniny, Lukrecji Borgii i Boadicei.

Postać Marii Magdaleny stanowiła początkowo jeden z wielu tematów w moich badaniach. Chciałam po prostu poznać lepiej i wyjaśnić tę nowotestamentową zagadkę; chodziło mi o znaczenie tej kobiety jako wyznawcy Chrystusa. Wiedziałam, że w chrześcijańskiej społeczności funkcjonuje jej stereotyp ładacznicy i że Watykan podejmował pewne wysiłki, by zmienić tę niesprawiedliwą opinię. Taki był mój punkt wyjścia. Zamierzałam wpleść historię Marii Magdaleny w spuściznę literacką, obejmującą dwa tysiące lat.

Lecz Magdalena wyznaczyła mi inną rolę.

Zaczęły mnie prześladować powracające sny, których tematem były wydarzenia i bohaterowie Pasji. Niewyjaśnione zjawiska, podobne do tych, jakich doświadcza w książce Maureen, skłoniły mnie do zbadania tropów związanych z legendami o Marii Magdalenie w miejscach tak od siebie odległych, jak McLean w Wirginii i Sahara. Podróżowałam między płaskowyżem Masada a ulicami Asyżu, gotyckimi katedrami Francji, wzgórzami południowej Anglii i skalistymi wyspami szkockimi.

Walczyłam zaciekle, by poradzić sobie z coraz bardziej surrealistycznym charakterem swego życia, starając się pogodzić obowiązki typowej matki z przedmiem z działaniami godnymi Indiany Jonesa. Z czasem zrozumiałam, że od urodzenia przygotowywałam się do tej szczególnej i odkrywczej podróży. Przypadkowe na pierwszy rzut oka

dos'wiadczenia, zarówno osobiste, jak i zawodowe, zaczęły się układać w zawiły wzór, dzięki któremu odkryłam sekrety rodzinne, wcześniej wręcz niewyobrażalne. Musiałam nawet poradzić sobie z szokiem wywołanym świadomością, że to, co mi mówiono o niektórych członkach rodziny, okazało się całkowitą nieprawdą. Niemal dwadzieścia lat po śmierci moich dziadków ze strony ojca, konserwatystów i tradycjonalistów - innymi słowy, mojej cudownej babci, która była uosobieniem piękności z Południa, i jej pobożnego męża baptysty - dowiedziałem się, że oboje angażowali się w ruch masonski i działalność tajnego stowarzyszenia. Odkryłam, że moja babka była spokrewniona z najstarszymi rodami Francji - fakt, który miał zmienić nie tylko charakter moich badań historycznych, ale i życie. Największy jednak szok przeżyłam, dowiedziawszy się, że moja data urodzin jest zawarta w proroctwie związanym z Marią Magdaleną i jej potomkami - proroctwem z Or-val, przytoczonym w książce przez Berengera Sinclaira. Te „osobiste zbiegi okoliczności” stały się kluczem uniwersalnym do drzwi, które pozostawały niedostępne dla wcześniejszych badaczy.

Moje zainteresowanie folklorem Marii Magdaleny przedrodziło się w obsesję, gdy zaczęłam poznawać fascynujące tradycje kulturowe, które w całej Europie Zachodniej pielęgnuje się z miłością i ogromną pasją. Byłam zapraszana na zamknięte spotkania tajnych stowarzyszeń i rozmawiałam ze strażnikami wiedzy tak świętej, że do dzisiaj mnie zdumiewa, że owi ludzie - i wiedza, której strzegą - w ogóle istnieją. I że trwa to od dwóch tysięcy lat.

Jedno jest pewne - nie zamierzałam badać zagadnień, które stawiałyby pod znakiem zapytania wierzenia miliarda ludzi. Nigdy nie było moim celem napisanie książki,

która dotyka sprawy tak istotnej i ważkiej, jak natura Jezusa Chrystusa albo jego związki z ludźmi mu najbliższymi. Mimo to jednak, podobnie jak moja bohaterka, odkrywałam, że czasem podążamy z góry wyznaczoną ścieżką. Gdy już poznałam Najwspanialszą Opowieść Świata z punktu widzenia Marii Magdaleny, wiedziałam, że nie będzie odwrotu. Urzekła mnie wtedy, tak jak urzeka dzisiaj. I jestem pewna, że nigdy się to nie zmieni.

Dwa tysiąclecia sporów i kontrowersji uczyniły z Marii Magdaleny najbardziej ulotną i tajemniczą postać Nowego Testamentu. W trakcie poszukiwań owej kryjącej się za legendą kobiety uświadomiłam sobie, że nie pragnę czerpać wiedzy z tradycyjnych źródeł. Okryłam się swoim płaszczem badaczki folkloru i wybrałam się na poszukiwanie głębszej tajemnicy. I stwierdziłam, że folklor i mitologia związane z osobą Marii Magdaleny są w Europie Zachodniej równie bogate jak pradawne. W *Oczekiwanej* i kolejnych książkach z tego cyklu badam teorie dotyczące tożsamości i znaczenia tej kontrowersyjnej postaci, zainspirowane przez kultury południowej Francji i innych krajów europejskich.

Folklor i tradycje Europy pozwalają także wejrzeć na nowo w pewne tajemnice Marii, te, których nie można wyjaśnić w jakikolwiek sposób na drodze klasycznych badań naukowych. Od wieków wykorzystuje się przeciwko Marii Magdalenie fragment Ewangelii świętego Marka (16, 9): „Po swym zmartwychwstaniu, wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia, Jezus ukazał się najpierw Marii Magdalenie, z której wyrzucił siedem złych duchów”. To jedno zdanie doprowadziło do wysuwania poważnych wątpliwości odnośnie do stanu umysłowego Marii, inspirowało nawet książki, w których dowodzono, że była albo opętana,

albo psychicznie chora. Dopiero gdy zapoznałam się z opowieścią z Araques, zgodną z tym, co napisałam w książce - że Jezus uleczył Marię, gdy została otruta groźnym specyfikiem, znanym jako trucizna siedmiu diabłów - fragment Ewangelii świętego Marka ukazał mi swój prawdziwy sens.

Choć Maria żyła w czasach, gdy kobietę określały jej osobiste związki, Nowy Testament nie wymienia jej jako żony kogokolwiek, nie mówiąc już o Jezusie. Ten fakt skłonił badaczy do wysunięcia definitywnego wniosku, że idea Marii i Jezusa jako małżonków jest po prostu niemożliwa. Jednocześnie rodzi on pewien dylemat, Maria bowiem jest jedyną kobietą we wszystkich czterech Ewangeliach, którą przedstawia się jako osobę całkowicie niezależną. To autonomiczna postać, a co za tym idzie, jej imię musiało być bez trudu rozpoznawane przez ludzi jej współczesnych i żyjących niedługo potem. Uważam, że skomplikowane związki Marii - wynikające z jej pozycji kobiety szlacheckiego rodu, która staje się jednocześnie wdową i panną młodą - nastrożały trudności. Byłoby rzeczą niezręczną, a nawet politycznie niewłaściwą, gdyby Marię miały określać jej związki z mężczyznami. W rezultacie stała się znana pod swym imieniem i tytułem: Maria Magdalena.

Intrygowała mnie też zawsze ikonografia Magdaleny. Pomimo enigmatycznego charakteru jej legendy, postać ta stała się jednym z najpopularniejszych tematów dzieł wielkich artystów średniowiecza, renesansu i baroku. Istnieją setki portretów Marii Magdaleny, począwszy od włoskich mistrzów, takich jak Caravaggio i Botticelli, a skończywszy na współczesnych malarzach europejskich, jak Salvador Dali i Jean Cocteau. Wszystkie te tak przecież różne płótna łączy jeden zasadniczy element - Maria jest na nich nieodmiennie przedstawiana z tymi samymi rekwizytami: z czaszką

jako symbolem pokuty, książką jako symbolem Ewangelii i alabastrowym flakodem, którym się posłużyła, by namaścić Jezusa. I zawsze jest odziana w czerwień - tradycja, która sięga daleko w przeszłość i jest na ogół kojarzona z jej opinią jawnogrzeszniczy.

Teraz jednak uważam, że ikonografia ta ma związek z sekretną wersją jej historii, jaka przetrwała skrywana przed światem na terenie całej Europy. W moim przekonaniu czaszka jest oczywistym odniesieniem do Jana, za którego Maria musi bezustannie pokutować. Książka jest aluzją do jej własnej Ewangelii albo do dzieła *Ezy, Księgi Miłości*. Natomiast czerwone szaty i chusta są oznaką jej królewskiego statusu w tradycji nazarejskiej. Wierzę niezachwianie, że wielu spośród wspaniałych artystów i twórców europejskich fascynowała „herezja” Marii Magdaleny i jej bogate dziedzictwo, jakie pozostawiła po sobie na kontynencie.

Na drodze tej ujawniają się w zadziwiających szczegółach nieopowiedziane historie innych bohaterów i antybohaterów Nowego Testamentu. Czytelnik znajdzie na kartach mojej książki odmienną od tradycyjnej - i mam nadzieję bardziej ludzką - interpretację roli niesławnej Salome. Jan Chrzciciel to także inny człowiek, gdy patrzy się na niego oczami Marii Magdaleny i oczami tych, którzy otaczali ją przez dwa tysiące lat czią. Żywię głęboką nadzieję, że czytelnik nie posądzi mnie o zbyt surowość i niechęć w stosunku do postaci Jana. Zarówno Maria, jak i Eza powtarzają często, że Jan Chrzciciel to wielki prorok. Wierzę także, że był człowiekiem swojego czasu i miejsca, oddanym bezkompromisowo Prawu i niezłomnym w sprzeciwianiu się reformom. Choć nie jestem pierwszą pisarką - i nie ostatnią - która zasugerowała rywalizację między zwolennikami Jana i Jezusa, zdaję sobie doskonale sprawę, że koncepcja,

według której Jan był pierwszym mężem Marii Magdaleny, może być dla wielu czytelników szokująca. Przez długie lata nosiłam w sobie tę rewelację, nim zdecydowałam się utrwalić ją na papierze. Czytelnik będzie w kolejnych książkach cyklu odkrywał dziedzictwo Jana w osobie syna, którego miał z Marią Magdaleną.

W trakcie pisania zakochałam się w apostołach Filipie i Bartłomieju. Jako ludzie widziani oczami Marii byli niezwykle bohaterami. Piotr stał się dla mnie kimś dalekim od stereotypu „człowieka, który wyparł się Jezusa”; w inny też sposób spójrzałam na Judasza i jego tragiczną i odwieczną rolę w Pasji.

Największą jednak rewelacją było dla mnie ujawnienie nieznanych dotąd faktów dotyczących Poncjusza Piłata i jego heroicznej żony, rzymskiej księżniczki znanej jako Klaudia Procula. Zachowane w archiwach watykańskich dokumenty i fascynująca tradycja królewska Francji potwierdzają opowieść o niezwykłych związkach Jezusa z rodziną Piłata; owe relacje są dowodem autentyczności cudów dokonywanych przez Chrystusa i wyjaśniają enigmatyczne zachowanie Piłata, opisane w Ewangelii świętego Jana. Uważam, że materiały dotyczące namiestnika Judei rzucają nowe światło na wydarzenia związane z Pasją; ze zdumieniem też odkryłam, że Klaudia jest w tradycji prawosławnej uważana za świętą, podobnie jak Piłat w Kościele abisyńskim i etiopskim.

Starałam się wzbogacić nieznanne materiały na temat Magdaleny, korzystając z przeróżnych źródeł, takich jak pochodząca z pierwszego wieku korespondencja Klaudii Proculi, opublikowana przez Issana Press, liczne wersje nowotestamentowych apokryfów, wczesne pisma ojców Kościoła, bezcenne dzieła gnostyczne, a nawet zwoje znad

Morza Martwego. Zdaję sobie sprawę, że moja wersja wydarzeń może wzbudzać zdziwienie, a nawet osłupienie, i mam nadzieję, że zachęci czytelników do osobistego zgłębiania tych wszystkich tajemnic. Istnieje przecież prawdziwy skarbiec informacji, spisanych głównie od drugiego do czwartego wieku i niezaliczany do tradycyjnego kanonu kościelnego. Czekają na odkrycie tysiące stron bogatego materiału - Ewangelie alternatywne, nowe Dzieje Apostolskie i inne pisma, które ujawniają szczegóły i fakty dotyczące życia i czasów Jezusa; będą one czymś absolutnie nowym dla czytelników, którzy lekturę ograniczyli wyłącznie do czterech Ewangelii. Wierzę, że odkrywanie całego tego materiału - z otwartym umysłem i sercem - pomoże zbudować most światła i zrozumienia między różnymi odłamami chrześcijaństwa, i nie tylko.

W ciągu drugich lat badań omawiałam liczne kwestie z duchownymi i wyznawcami różnych religii. Los obdarzył mnie przyjaciółmi i współpracownikami z wielu środowisk duchowych; są wśród nich księża katolicy, pastory luterkańscy, gnostycy i pogańskie kapłanki. W Izraelu spotykałam się z uczonymi i mistykami żydowskimi, jak i ortodoksyjnymi strażnikami najświętszych miejsc chrześcijaństwa. Mój ojciec jest baptystą, mój mąż zaś pobożnym katolikiem. Wszyscy ci ludzie stanowią nieodłączną część mozaiki, jaką jest mój system wierzeń, a każdemu z nich zawdzięczam ten sam dar - umiejętność wymiany myśli i prowadzenia swobodnego dialogu, wolnego od gniewu i zacierzenia.

W opowieści tej znajdują się elementy, na których poparcie nie mogę przytoczyć jakichkolwiek „U2,nanych” źródeł akademickich. Istnieją jako tradycje ustne, pielęgnowane od wieków w ściśle chronionych miejscach przez

tych, którzy obawiają się niepożądanych reperkusji. Pracując nad planem tej książki, postanowiłam zbudować swą teorię w oparciu o dwa tysiące lat poszlak. Choć nie mogę przedstawić przekonującego dowodu, dysponuję zeznaniami wielu interesujących świadków i olbrzymim zbiorem dowodów rzeczowych, z których liczne są dziełem wielkich mistrzów renesansu i baroku. Przedstawiam sprawę w kontekście takiego materiału i pozwalam sądowi złożonemu z czytelników wydać własny werdykt.

Ze względów bezpieczeństwa muszę zachować dyskrecję w kwestii głównego źródła nowych informacji, ale oświadczam: treść Ewangelii Marii Magdaleny, w formie mojej interpretacji, została zaczerpnięta z nieujawnionego uprzednio materiału źródłowego. Nigdy wcześniej nie został on podany do publicznej wiadomości. Posłużyłam się w swej wersji licencją poetycką, by dostosować treść Ewangelii do mentalności czytelnika z dwudziestego pierwszego wieku, ale wierzę, że historia w niej opowiedziana jest jak najbardziej prawdziwa i że wyszła spod ręki Marii Magdaleny.

By chronić świętą naturę całej tej wiedzy i tożsamość tych, którzy są jej strażnikami, musiałam z konieczności posłużyć się w tej książce, a także w przyszłych książkach cyklu, kanwą literacką. Jednakże liczne przygody mojej bohaterki i wszystkie jej nadprzyrodzone doznania i wizje są oparte na moich osobistych doświadczeniach. W wielu przypadkach Maureen uzyskuje informacje dokładnie w taki sam sposób, jak ja podczas zbierania materiałów do książki; dotyczy to także Tammy. Choć moi współcześni bohaterowie są postaciami fikcyjnymi, starałam się za wszelką cenę sprawić, by czytelnik miał wrażenie autentyczności. Oczywiście, przy opisywaniu niektórych miejsc pozwoliłam sobie na pewną dowolność, co bez wątplenia dostrzegą ci, którzy

na własną rękę podążali śladem tajemnic. Grobowiec w Arques, namalowany przez Poussina, już nie istnieje - został wysadzony dynamitem przez miejscowego właściciela ziemi, zmęczonego licznymi pielgrzymkami, których celem był ów kamienny nagrobek! Są też inne uproszczenia, za które powinnam przeprosić czytelników, oczekując z ich strony wyrozumiałości. Nie da się ukryć, że Peter dokonuje przekładu Ewangelii Marii Magdaleny w rekordowym czasie. W rzeczywistości tłumaczenie zajęłoby miesiące, może nawet lata.

Pisanie tej książki zabrało mi prawie dwadzieścia lat i na tej często zdradliwej ścieżce korzystałam z nieocenionej pomocy wielu nieulekłych dusz. Jestem ogromnie wdzięczna za wiedzę, którą dzielili się ze mną i powierzali mi najbardziej niezwykli ludzie; wielu z nich podejmowało poważne ryzyko, by mnie wesprzeć. Nie raz zastanawiałam się, czy zasługuję na to, by opowiedzieć tę historię. Wątpię, czy choćby przez jedną noc w ciągu ponad dziesięciu lat nie rozmyślałam gorączkowo nad szczegółami tej książki i ewentualnymi skutkami jej publikacji.

Kiedy przygotowaliśmy konferencję prasową, by zaprezentować *Oczekiwana*, po raz pierwszy przedstawiono szerszej publiczności Ewangelię Judasza. Zaczęłam wkrótce otrzymywać wiadomości od czytelników, którzy stwierdzili, że pewne elementy tego ekscytującego tekstu potwierdzają moje przekonanie, że Judasz nie „zdradził” Jezusa - i że w rzeczywistości spełniał trudne i bolesne zadanie wyznaczone mu przez przyjaciela i nauczyciela. niesprawiedliwość, jaką wyrządzono Judaszowi, jest być może jeszcze większa niż krzywda, jaką przez dwadzieścia wieków cierpiała Maria Magdalena. Uważam, że najwyższa już pora przywrócić właściwe miejsce w historii tym, którzy byli

najbliżej Jezusa. Nie od rzeczy będzie przytoczenie w tym miejscu pytania ojca Petera Healy: „A jeśli od dwóch tysięcy lat zaprzeczamy ostatniemu życzeniu Jezusa?”. Moją odpowiedzią na owo przypuszczenie jest wizerunek Judasza jako lojalnego przyjaciela, a nawet bohatera; Marii Magdaleny jako małżonki, matki, towarzyszk i partnera życiowego; Piotra jako człowieka, który wyparł się przyjaciela i nauczyciela, gdyż tak mu polecono. Wierzę też, że przeszłe jak i przyszłe odkrycia archeologiczne wydobędą na światło dzienne pewne dowody, które potwierdzą trafność i sprawiedliwość takich portretów.

Mam tylko nadzieję, że końcowy efekt mojej pracy wart jest wysiłków tych wszystkich strażników prawdy Marii Magdaleny, którzy powierzyli mi tę historię. Przede wszystkim liczę na to, że przekazuje ona przesłanie miłości, tolerancji, wybaczenia i osobistej odpowiedzialności w sposób mogący zainspirować czytelnika. Jest to przesłanie jedności i obiektywizmu dla wszystkich ludzi wszystkich wierzeń i religii. Podczas całej pracy pozostałam wierna Chrystusowym naukom pokoju i przekonaniu, że możemy stworzyć niebo na Ziemi. Moja wiara w Niego - i w Marię Magdalenę - pozwoliła mi przetrwać wiele mrocznych chwil.

Zdaję sobie sprawę, że spotkam się z atakami ze strony uczonych i badaczy akademickich, i że wielu z nich oskarży mnie o nieodpowiedzialne przedstawienie wersji, której nie potwierdzają akceptowane przez nich źródła. Nie będę jednak przeproszać za to, że w książce tej sprzeciwiłam się przyjętym praktykom i metodom naukowym. Moje podejście opiera się na osobistym i być może radykalnym przekonaniu, że tak naprawdę nieodpowiedzialne jest bezkrytyczne akceptowanie tego, co zostało napisane. Będę nosić

etykietkę „antyakademicką” z niemalą dumą i odpowiadać na zarzuty bojowym okrzykiem Boadicei. Czytelnicy wydadzą swój osąd co do historii Marii Magdaleny - takiej, jaką przedstawiłam - jeśli tylko poruszy w nich ducha.

Jednak do wszystkich pisarzy i poszukiwaczy, którzy w swym pragnieniu zrozumienia fenomenu Marii Magdaleny i jej dzieci z trudem i nieustraszenie podążali liczącą dwa tysiące lat ścieżkę pełną tropów i fałszywych śladów, wyciągam przyjacielską dłoń. Ożywione dyskusje i spory dotyczące roli naszej Magdaleny - a także roli wielu pisarzy i artystów, którzy ją portretowali - stanowią być może sam fundament poszukiwania prawdy. Mam nadzieję, że zechcą obdarzyć mnie mianem swej siostry, a to jest dla mnie najważniejsze.

Pomimo upływu dwóch tysięcy lat, jest to wciąż prawda wbrew całemu światu.

Kathleen McGowan

22 marca 2006
Miasto Aniołów

Touchstone Reading Group Guide:

Oczekiwana

1) Maureen każe swym studentom składać ślubowanie i na uczyć się go na pamięć: „Historia nie jest tym, co się wydarzyło. Historia jest tym, co napisano”. Potem, zwiedzając katarski region Langwedocji, rozważa istotę „rozumienia doznaniowego”. Czy przychodzą Ci na myśl jakieś przykłady z historii, które dowodzą, że to, „co zostało napisane”, nie musi być jednoznaczne z tym, co się wydarzyło? Czy też inne przykłady, których oficjalna wersja nie wydaje Ci się prawdziwa?

Co myślisz o podejściu Maureen do studiowania historii? Jakie korzyści mogą wynikać z uwzględnienia tradycji ustnej i informacji kulturowych, prócz klasycznych metod?

2) Książka Maureen, *Jej historia*, dowodzi, że w ciągu wieków kronikarze i badacze celowo przeinaczali rolę kobiet - szkalowali je, przedstawiali w nieprawdziwym świetle ich dokonania, a w niektórych przypadkach próbowali nawet usunąć je z kart historii. Postaraj się zidentyfikować kilka znaczących postaci kobiecych, wymienionych w *Oczekiwanej*. Przedyskutuj ich dzieje, z jakimi być może zapoznałeś się po raz pierwszy na lekcjach historii, i porównaj je z tym, co mówią o nich bohaterowie powieści.

Czy możesz wymienić także inne znane z dziejów kobiety, które przedstawiono w nieprawdziwym świetle?

Jak myślisz, dlaczego kobiety ukazywano negatywnie -a w niektórych przypadkach całkowicie wymazano z kart historii?

3) Wiele postaci w książce próbuje pogodzić ideę religii z wiarą, Kościół z duchowym przeżyciem. Opisz niektóre z osobistych konfliktów, jakie są udziałem tych bohaterów, jak chociażby wizje Maureen i jej niechęć wobec instytucji Kościoła. Czy uważasz, że istnieje rozdźwięk między tradycyjnym doświadczeniem kościelnym a osobistym doświadczeniem duchowym?

Czy wizje i sny Maureen wydają Ci się niezwykle? Czy ujawnienie przez autorkę, że też doznawała takich wizji, wpłynęło w jakiś sposób na Twoją lekturę książki? Jak?

Czy wierzysz, że takie rzeczy zdarzają się ludziom każdego dnia? Czy kiedykolwiek doznałeś mistycznych przeżyć? Jeśli tak, to czy nie bałbyś się mówić o tym publicznie?

4) Tammy i Maureen zastanawiają się nad sprzeciwem większości teologów wobec idei Jezusa jako żonatego człowieka. Tammy mówi do Maureen: „Jak miałoby to wpłynąć na jego boskość? Po prostu tego nie rozumiem”. Jak myślisz, czy Jezus stałby się mniej boski, gdyby kochał w najbardziej ludzki sposób? Gdyby spłodził dzieci?

Czy Twoja opinia na temat chrześcijaństwa uległaby zmianie, gdybyś się dowiedział, że Jezus poślubił Marię Magdalenę i miał z nią dzieci? Czy uważasz, że mógł być jednocześnie Synem Bożym i głową rodziny? Dlaczego tak uważasz albo dlaczego tak nie uważasz?

5) Jak przedstawione w książce spojrzenie na życie Marii Magdaleny, Salome i Klaudii Proculi wpłynęło na Twój

obraz kobiet w życiu Jezusa? Do której z tych postaci masz najbardziej osobisty stosunek i dlaczego?

Czy przed lekturą *Oczekiwanej* słyszałeś kiedykolwiek o Klaudii Proculi? Jak sądzisz, dlaczego tak ważna postać i świadek cudów Jezusa nie zyskała większego uznania w zachodnim chrześcijaństwie?

6) Co sądzisz o fragmentach Ewangelii z Arques, napisanych przez Marię Magdalene? Czy masz wrażenie, że to „prawda”?

Miłość, wybaczenie i tolerancja to istotne elementy chrześcijaństwa czy też „Drogi”, jak nauczają tego za pośrednictwem Ewangelii z Arques Jezus i Maria Magdalena. Jak rozpatrujesz to spojrzenie w kontekście oficjalnej nauki Kościoła? Jak według Ciebie odnosi się to do ewolucji chrześcijaństwa na przestrzeni dwóch tysięcy lat?

7) Maria Magdalena, jak wynika to z treści jej Ewangelii, jest uosobieniem wybaczenia. Zastanów się, jak jej wiara i chęć wybaczenia realizowały się w praktyce, i jak mógłbyś zastosować te wartości w swoim życiu. Czy opierając się na jej przykładzie, jesteś gotów znaleźć przykłady wybaczenia w swojej przeszłości?

8) Obraz niektórych apostołów, wyłaniający się z tej książki, zwłaszcza Judasza i Piotra, różni się od tradycyjnego. Co sądzisz o przedstawionej tu wersji wypadków? Wierzysz, że Piotr wyparł się Jezusa tylko dlatego, że tak mu nakazano? Co sądzisz o pozytywnym i pełnym współczucia obrazie Judasza? W Ewangelii z Arques jawi się on jako najbardziej niezrozumiana postać w życiu Jezusa - w stopniu być może jeszcze większym niż Maria Magdalena. Judasz został

napiętnowany jako największy złoczyńca w historii ludzkości, a jednak nie można wykluczyć, że był w rzeczywistości bohaterem działającym w służbie swego pana. Co sądzisz o takiej koncepcji?

9) Niedawne odkrycie „Ewangelii Judasza” potwierdza pewne elementy zawarte w tekście z Arques. Czy wierzysz, że istnieje jeszcze więcej zaginionych ewangelii i dokumentów, które czekają na odkrycie i które mogą rzucić nowe światło na wczesne dni chrześcijaństwa? Wierzysz, że nie które z nich mogły zaginąć czy nawet celowo zostać zniszczone albo ukryte?

Czy wierzysz, że takie dokumenty mogą stanowić zagrożenie dla tradycyjnego chrześcijaństwa? Czy też mogłyby służyć jako wzbogacenie naszej dotychczasowej wiedzy? Czy sądzisz, że instytucje chrześcijańskie kiedykolwiek zaakceptują treści wykraczające poza ewangelie kanoniczne? Czy sądzisz, że powinny to uczynić? A gdyby to uczyniły, jaką zmianę by to oznaczało?

10) Co sądzisz o tym, że powieść ukazuje tajne stowarzyszenia jako naprawdę istniejące i wszechpotężne? Wierzysz, że organizacje takie jak Stowarzyszenie Niebieskich Jabłek i Gildia Sprawiedliwych istnieją? Czy kiedykolwiek istniały? Czy istnieją nadal? Zastanów się, dlaczego powołano do życia tajne stowarzyszenia i jak przekształciły się we współczesne organizacje.

Książki polecane przez

Kathleen McGowan

Jeffrey, J. Butz, *The Brother of Jesus and the Lost Teachings of Christianity* - wspaniały opis wczesnego chrześcijaństwa i jego odłamów. Autorska interpretacja greckich przekładów była dla mnie objawieniem. Rzadki przykład dzieła naukowego, które jest pasjonującą lekturą.

Margaret Starbird, *The Woman with the Alabaster Jar* - pionierskie dzieło na temat Marii Magdaleny; Starbird jako jedna z pierwszych wysunęła teorię, że Magdalena była oblubienicą.

Susan Haskins, *Mary Magdalene, Myth and Metaphor* - wyczerpujące dzieło źródłowe na temat Marii Magdaleny.

Zoe Oldenburg, *Massacre at Montsegur* - klasyczna, erudycyjna pozycja na temat ostatnich dni katarów.

Stephen O'Shea, *The Perfect Heresy* - bardzo ciekawa praca o historii katarów.

Henry Lincoln, *Key to the Sacred Pattern* - fascynujące teorie na temat świętej geometrii Rennes-le-Chateau i Langwedocji według jednego z autorów książki *Święta krew, święty Graal*.

Rion Klawinski, *Chasing the Heretics* - wspomnienia z podróży po kraju katarów, pełne odniesień historycznych.

James F. Forcucci, *Relics of Repentance* - książka zawiera listy Klaudii Proculi, żony Poncjusza Piłata.

Jean Marale, *The Church of Mary Magdalene* - poszukiwanie uświęconego pierwiastka kobiecego w Rennes-le-Chateau, prowadzone przez poetę i filozofa, Jeana Mar-kale.

The Gospel of Mary Magdalene i *The Gospel of Philip* w opracowaniu Jeana-Yves Leluopa - erudycyjna analiza tekstów' gnóstycznych.

Rudy Cambier, *Nostradamus and the Lost Templar Legacy* - profesor Cambier bada przepowiednie Oczekiwanej z odmiennej perspektywy.

Randal MacCraw Helms, *Who wrote the Gospels?*- fascynujące teorie znanego badacza na temat autorstwa Ewangelii.

Tumothy Freke i Peter Gandy, *Jesus and the Lost Goddess* - dobrze udokumentowane teorie alternatywne, książka zawiera też wyczerpującą listę materiałów źródłowych.

Frank Zollner, *Botticelli* - doskonały i wyczerpujący album ze wspaniałymi reprodukcjami obrazów i równie wspaniałą analizą życia i kariery Sandra.

Podziękowania

Wyrażenie wdzięczności każdej osobie, która pomagała mi w ciągu dwudziestu lat, to zadanie warte osobnej książki i, niestety, niemożliwe do wykonania na tych kilku stronicach. Postaram się jednak wymienić w jak największej liczbie tych wszystkich, bez których nie zdołałabym ukończyć mojej książki.

Słowa nieskończonego podziwu i wdzięczności przekazuję swemu agentowi i przyjacielowi, Larryemu Kishbaumowi, który z czasem stał się mym osobistym archaniołem. Pasja, jaką darzył historię Marii, i determinacja, bym mogła przedstawić ją światu, były siłą umożliwiającą mój zamiar.

Nie mam słów wdzięczności dla swego wydawcy, Trish Todd, za nieugięte wsparcie, profesjonalne wskazówki i siostrzane rady. Moje uznanie dla niej, a także dla niezwykłego zespołu profesjonalistów w wydawnictwie Simon & Schuster/Touchstone Fireside, jest bezgraniczne.

Pomoc okazywana mi przez rodzinę podczas tych lat pracy nad książką wymagała od niej ogromnego poświęcenia. Mój mąż, Peter McGowan, przez cały ten czas był uosobieniem wierności. Wspomagał mnie finansowo i emocjonalnie, czuwając nad domem i zajmując się rodziną podczas moich podróży. Nigdy nie zwątpił w moje doświadczenie ani nie podał w wątpliwość moich odkryć, bez względu na to, jak niezwykle się na pierwszy rzut oka wydawały - czego nie mogę powiedzieć o sobie. Moi piękni synowie, Patrick,

Conor i Shane, tolerowali matkę, która chwilami nie istniała i zbyt często była nieobecna podczas rozgrywek szkolnych. Mimo to mój mąż i dzieci byli świadkami tylu cudów na drodze moich poszukiwań, że wszyscy wierzyliśmy głęboko, iż nie pozostaje nam nic innego, jak tylko dążyć do celu, pomimo niejednokrotnie wielkiego ryzyka. Mam nadzieję, że książka ta okaże się warta ich poświęceń.

Było to rzeczywiście przedsięwzięcie rodzinne i po części wszystko, co robię, i wszystko, czym jestem, zawdzięczam swym rodzicom, Donnie i Joemu. Ich wsparcie i miłość stanowiły kamień węgielny mojego życia, oni sami zaś cierpieli w trudnych chwilach, co było rezultatem cygańskiego ducha ich córki. Dziękuję im za wszystko, a szczególnie za bezwarunkową miłość, jaką okazują swym wnukom.

Dziękuję się tą książką - i przyszłymi - z braćmi, Kellym i Kelvinem, a także ich rodzinami. Mam nadzieję, że treść tej opowieści zainspiruje pewnego dnia moje niezwykle siostrzenice i siostrzeńców - Seana, Kristen, Logana i Rhiannon - gdy będą spełniać swe wyjątkowe przeznaczenie. W dniu, kiedy zakończyłam pracę nad ostateczną wersją książki, powitaliśmy na świecie najmłodszą z moich siostrzenic, Brigit Erin. Urodziła się 22 marca 2006 roku. Będę przyglądała się z pełnym miłości zainteresowaniem, jak dorasta, by w końcu zająć miejsce Oczekiwanych, które pojawiły się przed nią.

Cała moja rodzina zawdzięcza swe szczęście personelowi oddziału intensywnej opieki medycznej dla noworodków Uniwersytetu Kalifornijskiego; ludzie ci ocalili Shane'a. Prawdę mówiąc, ocalili nas wszystkich. Proponuję, by każdy, kto wątpi w cudy, spędził kilka dni na tym właśnie oddziale intensywnej opieki medycznej. Można się tam naocznie przekonać, że po Ziemi naprawdę chodzą anioły.

Noszą białe fartuchy i mają postać lekarzy, pielęgniarek i anestezjologów. Cud, jaki stał się udziałem Shane'a, zmusił mnie do ukończenia tej książki.

Przeżyłam niezliczone mile tej podróży w towarzystwie Stacey K., która była dla mnie siostrą, partnerem przy zbieraniu materiałów i ukochaną przyjaciółką. Zasluguje na specjalną wzmiankę za to, że bez zmrżenia oka zgadzała się wykonywać najosobliwsze zadania - biegła na przykład po Luwrze za głosami wołającymi „Sandro” i ścigała małych dziwnych ludzi po Bazylice Grobu Pańskiego. Nie ukończyłabym tej książki bez jej wiary i lojalności.

Pragnę też okazać bezgraniczne uznanie i wdzięczność „Cioci Dawn” za nadludzką szczodrość, przyjaźń i wierność.

Na słowa wiecznej - w sensie dosłownym - wdzięczności zasługuje Olivia Peyton, moja siostra duchowa i mistrz. Chylę przed nią czoło, jako genialną kobietą i sybillą wirtualnego świata, i składam hołd jej wspaniałej powieści *Bijoux*, która zawiera klucze do tak wielu tajemnic.

Szczególne podziękowania składam na ręce Marty Collier za jej wkład i wiarę w muzykę Finna MacCoola, a także za jej niezłomne wsparcie klanu McGowanów bez względu na okoliczności.

Szczerze wyrazy uznania przekazuję memu wielkiemu przyjacielowi i nieustraszonemu rycerzowi Graala, Tedowi Grau. Nie sądzę, by naprawdę wiedział, jak wielki jest jego wkład. Ale ja wiem.

Dziękuję Stephenowi Gaghmanowi za bardzo wnikliwe - choć bolesne dla mnie - uwagi odnośnie do początkowych szkiców powieści. Jego bezlitosna szczerowość zmusiła mnie do wprowadzenia istotnych poprawek.

Go raibh mile math agat - te słowa przekazuję Michaelowi Quirke, snycerzowi i mistykowi z okręgu Sligo, który

jest przy okazji najwspanialszym gawędziarzem na ziemi. Od dnia, w którym weszłam „przypadkowo” do jego warsztatu, bez reszty zagubiona w lecie 1983 roku, żyję po drugiej stronie lustra. Bardziej niż ktokolwiek, czy cokolwiek, Michael pozwolił mi zrozumieć, że historia nie jest tym, co przelano na papier, lecz tym, co zapisano w sercach i duszach ludzi - i wyryto w ziemi, na której przeżywali swe największe radości i najgłębsze smutki. Tysiąc podziękowań za oczy, którymi widzę, i uszy, którymi słyszę.

Proszę też, by słowa wdzięczności przyjęli:

Patrick Ruffino, który nauczył mnie znaczenia przyjaźni i odwiódł od włączenia się po Zsx Avenue.

Linda G., która z takim wdziękiem żongluje archetypami Marty i Vivienne.

Verdena, za uosobienie ducha Magdaleny i za to, że nauczyła mnie kilku rzeczy o wierze, cudach i wielkiej odwadze.

R.C. Welch, za rolę tłumaczki w muzeum Moreau i za wspinałą rozmowę w ławach kościoła Saint-Sulpice o życiu i pisaniu.

Branimir Zorjan, za wprowadzenie do naszego domu przyjaźni, światła i uzdrowienia.

Jim McDonough, najmiłszy magnat prasowy na ziemi i nasz wielki przyjaciel.

Carolyn i David, którzy dopiero zaczynają dostrzegać swoją rolę w tym wszystkim.

Joyce i Dave, moi nowi starzy przyjaciele.

Joel Gotler, za stoczenie bohaterskiej walki i wysiłek, by przedstawić historię Marii szerszej publiczności.

Larry Weinberg, mój adwokat i przyjaciel, za to, że wierzył zarówno we mnie, jak i w moją książkę.

Don Schneider, za to, że mnie rozśmiesza.

Dev Chatillon, za wszechstronny profesjonalizm.

Glenn Sobel, za nieskończoną cierpliwość i wsparcie okazane w przeszłości.

Córy i Annie, które kupiły pierwszy egzemplarz książki.

Jestem także zobowiązana wspaniałej królowej spod znaku Barana, Lindzie Goodman, nieżyjącej już pisarce i astrologowi, która jako pierwsza wyszeptała mi na ucho tę tajemnicę, jeszcze nim byłam gotowa ją zrozumieć. Zmieniła dzięki niej bieg mojego życia, a także dzięki temu, że pozostawiła mi tłumaczenia Szmaragdowych Tablic (które ujawnią swą treść w późniejszych książkach). Moje przeznaczenie wciąż jest dziwnie splecione z przeznaczeniem Lindy, co przyniosło mi zarówno dużo bólu, jak i radości. Żałuję, że nie pozostała z nami dostatecznie długo, by ujrzeć odkryty przez mnie dowód jej związków z rodem Marii Magdaleny.

Jestem też wdzięczna, że ścieżka wiodąca przez życie Lindy zaprowadziła mnie do innej wielkiej pisarki i astrologa, Carolyn Reynolds. Carolyn była dla mnie oparciem w mrocznych dniach, dodając mi sił swym okrzykiem bitewnym: „Nikt ci nie odbierze twego przeznaczenia”. Dziękuję jej z całego serca.

Specjalne podziękowania przekazuję świątłym damom Forum Szmaragdowych Tablic za ich wsparcie i okazywaną przez te lata miłość.

Czasem potrzeba mnóstwo czasu, by zrozumieć, dlaczego pewne wydarzenia kształtują czyjeś życie. Jackson Browne zmienił moje niedojrzałe i młode istnienie w dniu, gdy ukończyłam siedemnaście lat, a stało się to za kulisami Pantages Theater; wierzę niezachwianie, że gdyby tego nie zrobił, książka ta nigdy by nie powstała. Jako kilkunastoletnia aktywistka wysłuchałam jego porywającej przemowy o tym, że pojedynczy człowiek może zmienić świat - pochwalił

mnie także za to, że odczuwam młodzieńczą potrzebę kwestionowania niesprawiedliwego stanu *rzeczy*. Chwylił mnie wtedy za ramiona i powiedział z naciskiem: „Nigdy nie zaprzestawaj robić tego, co robisz. Nigdy”. Dziękuję mu za ten bodziec (choć pewnie moi rodzice by tego nie zrobili), i za inspirująca muzykę, zwłaszcza za „The Rebel Jesus”. Wierzę, że Eza nie miałyby nic przeciwko temu.

Serdeczne podziękowania przekazuję też Tedowi Neeley i zmarłemu Carlowi Andersonowi za cudowne wspomnienia; obaj poruszyli mnie i niezliczonych ludzi swymi portretami Ezy i Judasza, zrodzonymi z boskiej inspiracji. (Czy to przypadek, że Andrew Lloyd Weber urodził się 22 marca?). Każdy, kto miał szczęście spędzić choć trochę czasu w obecności Teda, wie, jak bardzo uosabiał ducha nazarejskiego.

Przez ostatnie kilka lat utalentowani członkowie Screenwriters¹ Refuge zapewniali mi terapię grupową i ogromne wsparcie. A więc, Cindy, Robert, James, Mel, Kathy, Fitchy, Teddy, Chris i Wenonah - no cóż, zapewniam Was o swoim podziw i wdzięczności. Wspaniale być w okopach z tak zaufanymi przyjaciółmi.

Moje serce żyje w Irlandii, a szczególnym uczuciem darzę hrabstwo Cavan, gdzie moi teściowie, John i Mary, zawsze traktowali mnie jak własną córkę. Słowa miłości i podziękowania dla całej rodziny irlandzkiej: Brina, Bridie i Pat, Susan, Philomeny, Pam i Paula, Geraldine, Eugene'a, Petera i Laury, a także Noeleen, Davida i Daniela.

Dziękuję całej ekipie w Drogheda za ukazanie mi duszy miasta, które przetrwało Cromwella. To niezwykli ludzie i wspaniali przyjaciele. A miejsce to zwane jest Wieżą Magdaleny nie bez powodu, prawda?

W trakcie zbierania materiałów moim domem było Los Angeles, moim schronieniem Irlandia, a inspiracją Francja.

Jestem wdzięczna personelowi Hotel Place du Luvre, dzięki któremu zawsze czułam się mile widziana w Paryżu i poznałam historię Caveau du Mousquetaires. Jest tylu ludzi we Francji, którzy ofiarowali mi część swego serca i duszy; nie ma dnia, bym nie wzdychała z zachwytu nad pięknem Langwedocji, Camargue, Midi i Prowansji - i nad niezwykłymi ludźmi, którzy zamieszkują te magiczne regiony.

Postać Marii Magdaleny niesie ze sobą przesłanie współczucia i wybaczenia, i w tym duchu ofiarowuję tę książkę jako gałązkę oliwną tym, których mogłam urazić - zwłaszcza swojemu wujowi, Ronaldowi Paschalowi, nie byłam bowiem w stanie dostrzec jego fascynacji niezwykłym francuskim dziedzictwem, kiedy starał mi się ją pokazać.

Chcę również ofiarować gałązkę oliwną Michele-Malana. Nasza przyjaźń nie przetrwała burzliwej ścieżki, na której się znalazłyśmy, ale jej szczodrości i inspiracji nigdy nie zapomnę. Jeśli kiedykolwiek przeczyta tę książkę - a jej miłość do Magdaleny wskazuje, że tak się być może stanie - to mam nadzieję, że mnie znajdzie.

Muszę też wyrazić uznanie wspaniałym ludziom w Issana Press za publikację listów Klaudii Proculi po angielsku. Polecam gorąco wydaną przez nich broszurę „Relics of Repentance” - jest niewielka, ale z pewnością warta uwagi. Dziękuję im także za potwierdzenie, że syn Piłata rzeczywiście miał na imię Piło - i za inspirującą myśl, że Piłat miał być może także inne dzieci...!

Myślę, że każdy pisarz powinien uhonorować pionierów, którzy otworzyli przed nami wszystkimi zamknięte dotąd drzwi. Dlatego też muszę wyrazić uznanie kontrowersyjnym w opinii wielu ludzi autorom - Michaelowi Baigentowi, Henry'emu Lincolnowi i Richardowi Leigh, którzy w 1980 zaprezentowali światu swe dzieło *Święta krew, święty Graal*.

Książka ta wywołała trzęsienie ziemi i uświadomiła czytelnikom, że w południowo-zachodnim zakątku Francji dzieje się coś ważnego. Ja doszłam do odmiennych wniosków i znalazłam inny przedmiot badań. Nie zmienia to faktu, że podziwiam odwagę, nieustępliwość i pionierskiego ducha tych trzech szanownych dżentelmenów i to, co udało im się osiągnąć - a zwłaszcza zapoznać świat ezoteryczny z enigmatyczną postacią Berengera Sauniera'a.

Wreszcie, wyrażam wdzięczność wszystkim genialnym artystom, którzy pragnęli, by odkryto tę tajemnicę - za dostarczenie nam map i tropów, koniecznych do jej odzyskania. Mam tu na myśli zwłaszcza Alessandra Filipepi, który naprawdę był „ukochanym dzieckiem bogów”; pomimo upływu czasu nie przestaje mnie fascynować.

Niebawem spotkam Was wszystkich w katedrze w Chartres przy wejściu do labiryntu, kiedy to zaczniemy poszukiwania *Księgi Miłości*. Jesteście już w posiadaniu mapy. Ale może zechcecie przynieść ze sobą podniszczony egzemplarz dzieł zebranych Aleksandra Dumasa i zagłębić się w gobelinie z jednorożcem...?

Lux et veritas,
Królestwo